

SPRZEDANO PRAWA DO EKRYNIZACJI



ROSLUND & THUNBERG

RODZINNY INTERES



**ROSLUND
THUNBERG**

**RODZINNY
INTERES**

Z języka szwedzkiego przełożyła
Elżbieta Praszyńska-Sadowska



Tytuł oryginału:
BJÖRNDANSEN

Copyright © Copyright © Anders Roslund & Stefan Thunberg 2014

Published by agreement with Salomonsson Agency
Copyright © 2015 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga
Copyright © 2015 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Zdjęcie na okładce: © Eric Thunfors
Wykonanie okładki: Monika Drobnik-Słocińska
Redakcja: Grzegorz Krzymianowski
Korekta: Magdalena Świtłała, Iwona Wyrwisz, Anna Just

ISBN: 978-83-7999-683-4

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.
Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice
tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28
e-mail: info@soniadraga.pl
www.soniadraga.pl
www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2015

Skład wersji elektronicznej:

virtualo
konwersja.virtualo.pl

Spis treści

[Teraz. Część pierwsza](#)

[Wtedy. Część pierwsza](#)

[Teraz. Część druga](#)

[Wtedy. Część druga](#)

[Teraz. Część druga](#)

[Teraz. Część trzecia](#)

[Teraz. Część czwarta](#)

[Podziękowania od autorów](#)

[Przypisy](#)

Jeśli wtedy jest teraz

Jeśli teraz jest wtedy

Siedzi w żółtym vanie VW, w którym czuć potem i farbą, i jeszcze czymś nieokreślonym. Może to zapach stojącego na desce rozdzielczej kartonowego kubka ze stacji benzynowej. A może okruchów tytoniu rozsypanych na fotelu pasażera. Albo worków z gipsem i pędzli na tylnym siedzeniu, które kupił w sklepie przy Folkungagatan. Albo narzędzi i stołu do tapetowania całkiem z tyłu, które stały w tym cholernym składziku wynajętym przez nią – tkwiły tam przez cztery lata tuż obok jego ubrań i posłania będącego kiedyś połową ich wspólnego podwójnego łóżka.

To tym czuć.

Piwnicą. Przechowalnią. Czasem.

Słońce wali w boczną szybę pokrytą warstwą zaschniętych muszek i kurzu. Dziwny upał nie wiadomo skąd. Otwiera okno, żeby się ochłodziło, i do środka wpada jeszcze większy żar.

– To ja.

– Słyszę.

– Jak się czuje mój chłopczyk? Wszystko dobrze? Wszystko w porządku?

Trzy godziny jazdy od Sztokholmu. Nieduże miasto otoczone terenami przemysłowymi i sosnowym lasem. Kraży tu od wczesnego popołudnia, zmierzając do okolicy z konsumem¹, budką z grillem i boiskiem do gry w siedmioosobowy futbol. Jego celem jest leżąca gdzieś tutaj trzypiętrowa czynszowa kamienica z czerwonej cegły.

– Tak, w porządku.

– Co robicie?

– Nic specjalnego... Zaraz będziemy jeść, mama coś szykuje.

Autostradą, która przeszła w drogę z ograniczeniem do dziewięćdziesiątki, potem do siedemdziesiątki, a jeszcze później do pięćdziesiątki, jechał przez tę Szwecję, której od tak dawna nie oglądał. Zatrzymał się na stacji benzynowej na skraju miasta, BP albo może uno-X, skręcił sobie papierosa – a może to był shell – zamknął za sobą drzwi budki telefonicznej i wybrał numer, który znał na pamięć. Odebrała ona. Zamilkła i od razu przekazała słuchawkę ich najstarszemu synowi.

– A twoi bracia, Leo? Jak się czują?

– No... normalnie.

– I wszyscy są w domu?

– Tak, wszyscy.

Przez ostatnie kilometry jechał powoli. Minał kościół, starą szkołę, rynek i ludzi w szortach i bez swetrów, wystawiających się do słońca, które niedługo zastąpią chmury i burza – było potwornie duszno.

– Możesz podać słuchawkę Feliksowi?

– Przecież wiesz, że on nie chce z tobą rozmawiać.

Siedział przed trzypiętrowym domem i wpatrywał się w wejście, które zdawało się wpatrywać w niego. Nie zamierzał siedzieć tu szczególnie długo.

– Myślałem... A Vincent?

– Bawi się albo chyba...

– Układa lego?

– Nie, on...

– Bawi się żołnierzycami? Opowiedz, co robi?

– Zdaje się, że czyta. Żołnierzki to stare dzieje, tato.

Okno na samej górze, po prawej, to musi być tamto mieszkanie, które jego czternastoletni syn opisywał mu tyle razy, że chyba potrafił sobie wyobrazić, jak ono wygląda: kuchnia od razu po lewej od wejścia, brązowy okrągły stół z czterema, nie – z pięcioma krzesłami, duży pokój na wprost, drzwi z mleczną szybą, przez którą nic nie widać, po prawej jej sypialnia z drugą połową dwuosobowego łóżka, którą zatrzymała, dalej jeden z drugim pokoje chłopców, Leo, Feliksa i Vincenta, tak jak było wtedy, kiedy mieszkali wszyscy razem.

– A ty?

– Ja...

– A ty co robisz, tato?

– Wracam do domu.

Pięciopokojowe mieszkanie jest oddzielnym światem dźwięków, które napierają. Wdzierają się. Kiedy mama odkręca kran nad zlewem w kuchni, słysząc bulgotanie i buczenie, które miesza się z metalicznym pobrękiwaniem sztućców w szufladzie. Wszystkie te odgłosy próbują zagłuszyć stojący w dużym pokoju telewizor z oglądanymi przez Feliksa animowanymi postaciami wrzeszczącymi falsetem, muzykę z obu potężnych głośników Leo i głęboki głos narratora czytającego jakąś bajkę, która sączy się z dwóch przekrzywionych na głowie Vincenta słuchawek do walkmana. Dźwięki przeplatają się i w końcu zlewają w jedno.

Spaghetti jest gotowe, i sos też.

Mama unosi słuchawkę Vincenta i szepcze mu do ucha, że pora jeść, na co on puszcza się przez przedpokój i woła: „Jeść!”. A potem jeszcze raz: „Jeść! Jeść!”.

Telewizor zostaje wyłączony, muzyka milknie.

Jest niemal cicho, gdy wszyscy jednocześnie ruszają do kuchni. Nagle ciszę przecina inny dźwięk, zakłóca ją dzwonek przy drzwiach.

Vincent zatrzymuje się w przedpokoju.

– Otworzę.

Felix miją telewizor i idzie szybko do wejścia.

– Ja otworzę.

Obaj pędzą na wyścigi do drzwi, Vincent, który był bliżej, dopada ich pierwszy i próbuje odsunąć rygiel, ale mu się nie udaje, Felix, tuż za nim, odsuwa rękę brata, pochyla się i wygląda przez judasza. Leo widzi, jak Vincent chwyta jeszcze raz za rygiel, nie mając siły go obrócić, i jak Felix cofa się i odwraca z lękiem w oczach, który nie pojawiał się w nich już od wielu lat.

– O co chodzi?

Felix wskazuje głową na drzwi.

– Tam.

– Co tam?

Znowu rozlega się dzwonek. Długie brzęczenie. Leo rusza w stronę drzwi, podczas gdy Vincent podskakuje, żeby dosięgnąć zamka, a Felix nie ma odwagi puścić klamki.

– Felix, Vincent, odsuńcie się. Ja otworzę.

Żeliwny garnek jest ciężki, kolacja dla trzech synów, którzy z każdym dniem jedzą trochę więcej, i nagle nadgarstki przeszywa ból. Odląć gorącą wodę przez durszlak, włożyć kawałek masła i makaron gotowy.

Cisza.

Zalega, gdy wszystko milknie: telewizor, dwa wzmacniacze i głos narratora czytający bajkę. Rodzaj ciszy, w której jest coś dziwnego. Ktoś dzwoni do drzwi i wszyscy trzej chłopcy oznajmniają, że otworzą.

Później nie będzie wiedziała, czy się odwróciła, czy zdążyła jeszcze spytać, dlaczego synowie znieruchomieli, czy tę ciszę tylko sobie wmówiła. Będzie jedynie pamiętać jego kręcone włosy, teraz znacznie dłuższe, i oddech, w którym nie czuć było czerwonego wina.

I to, że ją uderzył, ale nie tak, jak zawsze.

Bo kiedy uderzyłby ją za mocno, przewróciłaby się na podłogę, a on chce mieć z nią kontakt wzrokowy, gdy wymierza jej karę, jaka należy się komuś, kto lekceważy innych i oddaje słuchawkę telefonu najstarszemu synowi. Ma na niego patrzeć podczas ich pierwszego spotkania po czterech latach.

Chyba jednak mimo wszystko się odwróciła.

Bo pierwszy cios to uderzenie prawej pięści w lewy policzek, a potem ręka przesuwa się niżej, chwyta ją za szyję i obraca głowę w taki sposób, że oboje patrzą na siebie. Drugie, trzecie i czwarte uderzenia trafiają gdzie indziej, lewa pięść ląduje na prawym policzku, *popatrz na mnie*, krótkie, mocne ciosy, ona unosi ręce, żeby się osłonić, spiczaste łokcie tworzą hełm z kości i skóry.

Jedna ręka na jej karku, druga chwyta ją za włosy, zmusza, aby trzymała się prosto, chociaż ona robi się ciężka, chce osunąć się na podłogę, położyć się, osłonić. Wtedy on opuszcza jej twarz i podnosi kolano. *Poczuj mnie*, wpycha kolano w jej twarz, *no, poczuj mnie*. I jeszcze raz. *Poczuj mnie*.

Nie chodzi o te cztery lata, które minęły, wcale nie, bardziej o te jego oczy. Tata nie ma już tamtego spojrzenia, kiedy jest mu wszystko jedno, co się stanie. Teraz jest kimś, kto wie, co się stanie. Jakby ktoś całkiem inny bił mamę; lewa pięść okłada jej twarz jak pejcz, raz po raz, bez końca. Tata się nie spieszy i nie wydaje przy tym żadnego dźwięku, a zawsze było głośno, kiedy bił.

Ta cholerna cisza. Leo jej nie rozumie.

To dlatego tyle czasu upłyne, zanim Leo zareaguje, coś zrobi. Bo to niby tata, a jednak ktoś inny. I mama, która nie krzyczy. Vincent ukrywa się za jego plecami, a Felix nadal stoi przy drzwiach.

Nie są jeszcze tego samego wzrostu. Gdyby byli, Leo nie skoczyłby mu na plecy. A właśnie to zrobił, kiedy tata znowu podniósł kolano i gdy Leo zdał sobie sprawę, że tym razem to się nie skończy, dopóki mama nie będzie martwa. Leo wisi mu na plecach i zaciska ramię na jego szyi, aż wreszcie tata go z siebie strąca.

Ale w tym momencie ręce taty musiały puścić głowę mamy.

Leo upada na podłogę, a mama, półprzytomna, robi dwa kroki w bok, zasłania sobie twarz, z której leje się krew, najbardziej w okolicy kości policzkowej, gdzie lewa pięść taty rozryła ją głęboko. Tata idzie za nią, chwyta znowu, tak samo jak wcześniej – ma na niego patrzeć, kiedy ją bije.

Jeszcze jedno uderzenie. Mocno zaciśnięta pięść trafia prosto w nos i usta.

Ale tylko raz, bo Leo wstaje z podłogi i wciska się między nich dwoje i też unosi ręce w obronnym geście.

Tato, nie.

Stoi w pustej przestrzeni. Między mamą, która krwawi, a tatą, który chce bić ją dalej, lecz nie może, ponieważ na drodze jego ciosu jest inna twarz.

Leo chwyta go w pól.

Nie za szyję, na to tata jest za wysoki, nie za ramiona, bo do nich też nie sięgnie, tylko obejmuje go w pasie i trochę powyżej.

Tato, nie.

Stopy w skarpetkach ślizgają się po kuchennej posadzce, nie znajdują na niej oparcia, zapiera się więc o nogę stołu i próbuje odepchnąć tatę. Nie udaje mu się do końca, ale osiąga przynajmniej tyle, że ręce taty nie mogą chwycić jej za włosy.

Mama wybiega z kuchni i rzuca się do drzwi wejściowych, które stoją otwarte na oścież. Przewraca się na śliskiej posadzce na klatce schodowej, kapie jej krew, kiedy z trudem znowu się podnosi, a potem stęka i jęczy przy każdym kroku.

Zostali tylko we dwóch.

Leo trzyma go mocno, ścisła ramionami wokół talii czy też klatki piersiowej, przyciska się do niego, do taty, jakby go obejmował.

– Teraz twoja kolej, Leonardzie.

Pachnie jedzeniem, spaghetti, sosem bolognese i trochę krwią mamy. Patrzą na siebie.

– Rozumiesz, prawda? Mnie już nie będzie, w każdym razie nie tutaj... Od tej pory odpowiedzialność spoczywa na tobie.

Wzrok taty się zmienia, jego spojrzenie zatrzymuje się na najstarszym synu, i chociaż więcej się nie odzywa, jego oczy mówią za niego.

Co prawda, nie ma to
szczególnego znaczenia,
ale jest to powieść oparta
na prawdziwej historii.

teraz
część pierwsza

Leo wstrzymał oddech. Silne jasne światło latarki przesunęło się po nim, przycisnął więc twarz do wilgotnego mchu i krzaczków jagód, przywarł mocno całym ciałem do ziemi. Chował się, dopóki snop światła nie padł znowu na szary betonowy sześcian, żeby teraz tam wszystko sprawdzić. Strażnik za każdym razem robił trzy rundy. A leżąc tutaj, tak blisko niego, zaledwie kilka kroków od skraju lasu, Leo mógł łatwo śledzić jego określone procedurą czynności.

Najpierw mężczyzna kierował światło na zamek w stalowych drzwiach, upewniając się, czy nie ma śladów włamania.

Potem obchodził bunkier, oświetlając latarką betonowe ściany.

Na koniec opierał się o niego plecami, muskany jedynie wiatrem, który tu, na górze, wydawał się bardziej niespokojny niż gdzie indziej, i przez chwilę palił papierosa, jakby odpoczywał w ciemności, dopóki się nie upewnił, że wszystko wygląda tak samo jak poprzedniego wieczoru.

Leo zaczął znowu oddychać. Leżał tutaj już siódmy wieczór z rzędu. Pojawiał się dokładnie z wybiciem ósmej. W tym samym miejscu, między dwoma nagimi pniami drzew. Najpierw nic się nie działo. Słychać było jedynie wiatr, sowę, która pohukiwała bez przerwy, i bzyczenie kilku namolnych owadów.

Potem zjawiał się strażnik. Najwcześniej dwadzieścia dwie minuty po ósmej, w poniedziałek, a najpóźniej dziesięć po dziewiątej, w środę. Tego wieczoru – Leo spojrzął na swój zegarek z czerwonymi wskazówkami – za pięć dziesiąta zdezelowane volvo zaparkowało przed zamkniętym szlabanem.

Osobliwe uczucie.

Leżeć kilka metrów dalej i obserwować każdy ruch człowieka przekonanego o tym, że jest zupełnie sam. Umundurowanego faceta, który głęboko zaciąga się papierosem i odpowiada za całe zapasy mobilizacyjne w Sztokholmskim Regionie Obronnym numer 44.

Leo poprawił sobie mikrofon przy kołnierzu, po czym wyciągnął szyję i uniósłszy głowę ponad krzaczkami jagód, szepnął:

– Smoking Man opuszcza miejsce.

Ciągle jeszcze dało się słyszeć skrzypienie gumowych kaloszy i można było dostrzec światło latarki migające między iglastymi gałęziami i nagimi krzewami. A zaraz potem – kiedy strażnik przemierzył już całą drogę wijącą się wzdłuż lasu i minie Feliksa, Vincenta i opuszczony szlaban, uruchomi samochód i zniknie na szosie – on i Jasper będą mogli wreszcie wstać i spotkać się przed zabezpieczonymi stalowymi drzwiami.

Rów między lasem a pokrytym żwirem placem był pełen wody. Grube podeszwy butów trekkingowych pośliznęły się na trawie, kiedy wziął rozbieg i go przeskoczył, z ciężką torbą w jednej ręce i z płytą pilśniową w drugiej. Rozejrzał się dookoła. Duże, prostokątne zwirowisko w lesie i niewielki szary betonowy sześcian pośrodku. Właśnie do niego zmierzał. Do tego bunkra.

Od drugiej strony zbliżał się Jasper, miał mech i igły we włosach i dźwigał również ciężką torbę.

Nic do siebie nie powiedzieli. Nie musieli.

Leo położył płytę pilśniową – sześćdziesiąt centymetrów na sześćdziesiąt – bezpośrednio na ziemi przed drzwiami bunkra.

Długo zastanawiał się, jak najlepiej to zrobić. Wysadzona betonowa ściana od razu rzuciłaby się strażnikowi w oczy w świetle jego latarki. No i byłoby przy tym za dużo hałasu.

Później przeanalizował pomysł z dachem. Pewnie dałoby się dosyć łatwo unieść kawałek blachy, która leży na wierzchu jako ochrona przed deszczem, spenetrować piętnaście centymetrów betonu od góry w głąb i potem położyć blachę z powrotem. Kiedy później strażnik poświeciłby latarką od zewnątrz, niczego by nie zauważył. Ale i w tym przypadku byłoby głośno.

Jest jeszcze jedno dojscie. Od dołu. Ziemia pod bunkrem tworzyła przeciwcisnienie i mogła skierować siłę wybuchu ku górze. W tej sytuacji potrzeba mniej materiału wybuchowego, co w konsekwencji sprawi, że huk będzie mniejszy.

Leo wyjął z torby z pół kilograma ciasta.

Materiał wybuchowy m/46. Osiemdziesiąt sześć procent pentylu i czternaście procent oleju mineralnego.

Uklęknął i zaczął ugniatać z niego w świetle dwóch czołówek dwanaście czterdziestogramowych kulek. Ta masa była suchsza i mniej elastyczna niż gotowe ciasto piernikowe z ICA w plastikowej tubie, ale za to odporna na wilgoć i wstrząsy i na tyle stabilna, że można ją było wrzucić do tlącego się ognia, a ona mimo to nie wybuchała.

Pewnie mógłby zrobić trzynaście kulek, albo szesnaście czy dwadzieścia.

Ale on chciał mieć ich dwanaście.

– To chyba nie wystarczy.

Następnie rozłożył je na płycie pilśniowej jak na tarczy zegara – czterdzieści gramów materiału wybuchowego na każdej pełnej godzinie.

– Wystarczy.

– Ale według tabeli...

– Wojsko zawsze przesadza. Im chodzi o to, żeby zabić. Nam wystarczy połowa. Bo chcemy dostać się tylko do środka, a nie zniszczyć to, co tam jest.

Spojrzał na Jaspera, który zwinnie rozłożył wyjętą z torby składaną saperkę i zaczął kopać, a z każdym jego ruchem powiększał się dół przed i pod drzwiami przypominającymi wejście do seifu.

Kupka materiału wybuchowego jako oznaczenie każdej kolejnej godziny. Koło czasu.

Zdawał sobie sprawę, że to mogło wydawać się diabelnie zabawne, czas jednak miał dla niego bardzo duże znaczenie – zawsze wiedział, która godzina, chociaż nie nosił zegarka. Zegar tykał w jego wnętrzu, od najmłodszych lat tak było.

Dwa i pół metra lontu.

Wyglądał jak zwyczajny brunatny sznur w jednej z przegródek torby.

Waż wijący się po płycie pilśniowej od jednej kulki ciasta do drugiej i przymocowany taśmą, tak by godzina dwunasta łączyła się z pierwszą, a ta z drugą – i tak dookoła tarczy.

– Gotowe.

Dół pod wejściem, pod dnem bunkra, musi być odpowiednio głęboki, aby dało się wsunąć całą płytę. Jasper poci się, zgięty wpół, potem kopie na kolanach, wypychając saperkę daleko w podkop pod posadzką magazynu. Leo dołączył do niego, ich gorączkowo pracujące ramiona trącając się, gdy dłonie ryją w ziemi tam, gdzie nie sięga saperka.

– Teraz.

Każdy z nich trzyma płytę pilśniową za brzeg od swojej strony i wsuwa ją ostrożnie, delikatnie, centymetr po centymetrze, żeby nie potrącić żadnej z dwunastu kulek materiału wybuchowego i żeby koniec lontu wystawał tak, jak powinien. Kiedy upewnili się, że cała płyta przeszła już bezpiecznie pod drzwiami i że rzeczywiście leży na miejscu pod jedynym pomieszczeniem tego małego domku, przysypali ją z wierzchu i z boków żwirem, tak by szczelnie wypełnić podkop.

– Dobrze?

– Dobrze.

Długie godziny wyliczeń. Całe dni zdobywania materiałów. Tygodnie poszukiwań, niekończące się spacerów po lesie w kaloszach i z koszem na grzyby w ręce, żeby wytopić miejsce, które szwedzka armia wybrała na zlokalizowanie magazynów mobilizacyjnych, a kiedy odkrył to tutaj, teren nazywany Gettryggen, leżący w gminie Botkyrka, około trzydziestu kilometrów na południe od Sztokholmu, wiedział, że nie musi już więcej jeździć i szukać.

Zostało im jeszcze kilka minut.

Chwycił krótki koniec lontu, który wystawał z otworu pod drzwiami, i przymocował go taśmą do detonatora, połączył z plusem i minusem kabla elektrycznego, po czym odszedł najdalej jak mógł, za plac i rów, z powrotem do lasu, i podpiął drugi koniec przewodu do motocyklowego akumulatora.

– Felix? Vincent?

Wcześniej poprawił sobie mikrofon, teraz to samo zrobił ze słuchawką w uchu.

– Tak?

– Teren wolny?

– Wolny.

Nie ruszał się.

– Jeszcze dziesięć sekund.
Był tylko on, słaby wiatr i nic poza tym.
– A potem wysadzam.

Leo nie zauważył, że śpiewa. I to głośno jak nie wiadomo co. Przejechał Hornsgatan, potem minął most Liljeholmsbron i wyskoczył na E4, kierując się w deszczu na południe od miasta. Gdzieś na wysokości Västbergi, będąc na środkowym pasie autostrady, zorientował się, że całą kabinę wypełnia jego własny głos.

Kupił sobie kawę i bułeczkę w kawiarni, a potem jako pierwszy poranny klient wszedł do perukarni Opery Ludowej naprzeciwko. Z ciekawością śledził ruchy szczupłych palców młodej kobiety zwinnie upinającej kosmyk za kosmykiem na plastikowej czaszce i słuchał jednocześnie jej zapewnień, że stosuje wyłącznie prawdziwe włosy, sprowadzane z Azji w dużych paczkach, a potem rozjaśniane i farbowane. Następnie w Centrum Optycznym na rogu Drottninggatan i Barnhusgatan odebrał zamówione szkła kontaktowe, oba + – zero i wystarczająco duże, by mogły zasłonić całą źrenicę bez efektu kontrastu na brzegach.

Rzut oka w lustro wsteczne. Niebieskie oczy i jasne włosy. To on był zawsze najbardziej podobny do mamy. Miał jasną karnację i takie same blond włosy o lekko rudawym odcieniu. I jej nos, nieduży, ale kanciasty i twardy jak granit. Nikt na pewno nie wziąłby go za cudzoziemca, za imigranta nawet w drugim pokoleniu. Mały i prosty szwedzki nos oznaczał zawsze mniej pytań i mniejsze zainteresowanie – gdyby perukarka albo optyk mieli przedstawić rysopis klienta, który tego ranka zapłacił im za nabyte towary gotówką, opisaliby go jako kogoś o bardzo typowym skandynawskim wyglądzie.

A jeśli ktoś wygląda jak każdy inny, tym samym nie rzuca się w oczy.

Zjechał z autostrady na wysokości Alby, gdzie z trzech pasów robią się dwa, minął stację shella i śliczny kościółek z XII wieku. Potem bloki i beton ustąpiły miejsca lasom i łąkom. Jeszcze kilka minut jazdy siedemdziesiątką po krótkich prostych odcinkach i ostrych zakrętach.

Zwolnił.

Tam.

Szlaban, przy którym zaledwie siedem godzin temu Felix wymienił kłódkę i przy którym za zaledwie dziesięć godzin mężczyzna około sześćdziesiątki zaparkuje swoje volvo, zgasi butem papierosa i ruszy na obchód.

Znowu miałby ochotę zaśpiewać. Gdyby tak nie padało. Zaczęło w nocy i potem nie przestało, a teraz lało coraz mocniej i wycieraczki zamieniały krople w strugi. Deszcz padał także na niedawno wykonany podkop, tak duży, że zmieściłby się w nim człowiek. Smoking Man stanie w swoich kaloszach na żwirze wypełniającym dół. Ubijali go i udeptywali, ubijali i wyrównywali, ale i tak nigdy nie będzie tak zбитy, jak pod wpływem działania czasu, a jeśli deszcz nie przestanie padać, żwir powoli się zapadnie i wypłucze w tym miejscu, tworząc zagłębienie zauważalne w świetle latarki strażnika.

Potrzebuję czasu.

Nie możesz teraz nic odkryć tylko dlatego, że odwaliliśmy byle jak robotę, zobaczysz to i zrozumiesz, co się stało, za pięć miesięcy, kiedy otworzysz drzwi.

Potrzebuję czasu, żeby wypracować nowy sposób działania, który pozwoli zmaksymalizować zysk, nie zwiększając ryzyka, stworzyć grupę roboczą. Tak naprawdę powinienem się zatrzymać i wysiąść, pójść przez deszcz i upewnić się, że nic nie widać.

To byłby oczywiście potworny błąd.

Tylko idiota układa plan miesiącami, potem wykonuje numer, a za kilka godzin wraca na miejsce przestępstwa.

Dodał gazu. Jechał tą samą drogą co w nocy, tym samym samochodem, ale o wiele lżejszym, bez paki wyładowanej bronią.

Okoliczni mieszkańcy nazywali to Niebieskim Domem. Gigantyczna obłożona blachą skrzynia, w której wcześniej mieściła się fabryka mebli Gamla Tumba. Leo zaparkował w tym samym miejscu co w nocy – przodem samochodu w stronę rzadkich zarośli, jak najdalej od szerokiej ulicy przelotowej i tuż przy pomalowanym na czarno zamkniętym kontenerze.

Dobre miejsce. Mogli tu spokojnie rozładowywać broń sztuka po sztuce. Bez obawy, że ktoś zobaczy ich z drogi szybkiego ruchu albo z okna stojących naokoło willi.

Przez opuszczoną szybę przysлуchiwał się znajomym odgłosom dochodzącym z dużego placu budowy – głośniejszą muzyką nadawaną przez radio i krótkim trzaskom kompresora, który sprężał powietrze w pneumatycznych gwóźdźniarkach. Zapiął ostatni guzik swojej niebieskiej koszuli, podciągnął niebieskie ogrodniczki i wysiadł.

Niebieski Dom.

Długo nikt nie wykorzystywał budynku wielkiej fabryki. Potrzebowali wielu tygodni, żeby usunąć z niego wszystkie sprzęty. Potem umocnili dwie kondygnacje dodatkowymi belkami, zrobili izolację, położyli podłogę, postawili ścianki działowe i w ten sposób podzielili przestrzeń na samodzielne lokale przeznaczone pod działalność gospodarczą, które jakiś pośrednik nieruchomości próbował połączyć w jedno pod wspólną nazwą Solbo Center.

– Wszystko załatwiłeś?

Nigdy dotąd się nad tym nie zastanawiał. Felix, jego młodszy o trzy lata brat, szedł przez prowizoryczny parking i z każdym krokiem wydawał się coraz bardziej podobny do taty. Jego mocno zwrócone na zewnątrz stopy potrzebowały dużo miejsca, barki miał szerokie, a muskularne przedramiona kołysały się w pewnej odległości od tułowia, jakby jego ciało obracało się wkoło. Przypominał kogoś, kto dawno, dawno temu przechadzał się po mieszkaniu, które było całym ich światem. Wszyscy kopiujemy, dziedniczmy, zapożyczamy.

Ja przypominam mamę, a ty tatę.

– Słyszysz, Felix? Załatwiłeś co trzeba?

– Gabbe chyba próbuje nas ocyganić z ostatnią płatnością.

Felix w niewyjaśniony sposób działał na niego kojąco. A przecież powinno być odwrotnie – te jego gesty i ruchy powinny go niepokoić, drażnić.

– Siedzi wciąż u nas i liczy każdy pieprzony gwóźdź.

– Załatwiłeś czy nie?

Młodszy brat zaczął rozpinać plastikową plandekę nad paką drugiego samochodu firmowego.

– To jego piekielne gadanie. Nie zapłaci, jeśli nie zdążymy zgodnie z harmonogramem. Podobno w kontrakcie jest gdzieś taki zapis.

– Zostaw to mnie. A ty swoje zrobiłeś czy nie?

Felix uniósł białą plandekę.

– Oddział osiemdziesiąty trzeci. Chyba ortopedia. Po prostu go stamtąd wyprowadziłem. Vincenta potwornie bolała noga.

Pośrodku stała szeroka drewniana skrzynia na narzędzia z błyszczącym metalowym uchwytem. Obok niej, pod dwoma żółtymi kocami z logo szpitala wojewódzkiego, złożony wózek inwalidzki.

– Podpórka na nogi?

– Działa.

Cofnęły trochę oba samochody, a potem otworzyli kłódkę przy czarnym kontenerze – takim, jaki każda firma budowlana ustawia na placu budowy, żeby móc w nim przechowywać narzędzia i maszyny. Po otwarciu obu skrzydeł drzwi byli zasłonięci ze wszystkich stron i wtedy mogli dźwignąć pustą skrzynię i wnieść ją do środka.

W biały dzień w willowej okolicy, zaledwie kilka metrów od ruchliwej trasy przejazdowej, stali i patrzyli na stos broni automatycznej. W ciemności nocy utworzyli łańcuch jak przed bunkrem, tyle że w odwrotnym kierunku. Vincent podawał z paki karabin za karabinem Feliksowi, ten Leo, a Leo Jasperowi, który stał w kontenerze.

– Gdzieś ty się, do cholery, podziewał, Leo?! – Falset Gabbego przeciął październikowe powietrze. – Jak wy, kurde, zamierzacie z tym zdążyć?!

Zbliżał się do nich.

Był około sześćdziesiątki. Niebieskie spodnie ogrodniczki, które kiedyś pewnie leżały normalnie, teraz opinały mu ciasno wielki brzuch. Niósł kubek z kawą i torbę z bułkami cynamonowymi w objęciach.

– Czy wście... kurde... w ogóle tu byli w ostatnim tygodniu?

Leo westchnął cicho. A potem szepnął do Feliksa:

– Zamknij, a ja się nim zajmę.

Wyszedł z kontenera i ruszył w stronę purpurowego zrządzającego kierownika.

– Nie było was tutaj wczoraj! Dzwoniłem do ciebie kilka razy, Leo! Możliwe, że ciężko pracujecie, tyle że na pewno nie na tej budowie!

Szybkie spojrzenie przez ramię – Felix zamknął ciężkie drzwi kontenera. A potem odgłos żelaznego pałąka zatraskującego się w potężnej kłódce. Zawartość pojemnika znalazła się poza zasięgiem wzroku i znowu znajdowali się na całkiem zwyczajnym placu budowy.

– No ale przecież jesteśmy. Tak czy nie? I właśnie...

– Nie zdążycie!

– ...dzisiaj skończymy. Tak jak było umówione.

Gabbe podszedł tak blisko, że mógł dotknąć ściany kontenera. Leo położył mu rękę na ramieniu i niemal popchnął go w kierunku Niebieskiego Domu, nie na tyle mocno, by mogło się to wydać brutalne, ale wystarczająco zdecydowanie, aby mogli oddalić się od pojemnika kryjącego to, czego nikt postronny nie powinien widzieć.

– Mam kompletnie w dupie, czy inne zlecenia są dla ciebie ważniejsze! Kapujesz, Leo? Podpisałeś ze mną umowę!

Gabbe dyszał ciężko, gdy razem weszli do budynku. Poruszali się o wiele szybciej, niż sam zwykłe chodził. Na samym końcu pierwszego piętra miała znajdować się restauracja indyjska, a obok kwaciarnia i solarium. Na parterze – firma oponiarska, drukarnia, salon paznokci, a tam, gdzie Jasper i Vincent przykręcali właśnie do wewnętrznych ścian płyty z kartongipsu, za jakiś miesiąc po jednej stronie ktoś będzie jadł swoją capriciosę z dodatkowym serem, a po drugiej ktoś inny będzie sobie robił akrylowe paznokcie.

– Sam widzisz! Nie jesteście, kurde, gotowi!

Ten koszmarny głos. Jazgotliwy, świrdrujący, stary i choleryczny.

– Ale będziemy.

– Pierwszy najemca wprowadza się, kurde, jutro rano!

Gabbe zniknął gdzieś w ciemności i po chwili wrócił. Bez bułek cynamonowych. Ale nadal trzymał kubek z kawą.

– Przecież mam z nimi podpisaną umowę.

– Jak mówię, że będziemy gotowi, to będziemy.

– Bo jak nie, to nie wypłacę ostatniej raty! Żeby to było dla ciebie, psiamac, jasne!

„Kurde” zostało zastąpione przez „psiamac”. Leo najchętniej przyłożyłby temu człowieczkowi w mordę.

– Słyszysz mnie, Leo! Od ostatniego razu, kiedy się tutaj widzieliśmy... czyli parę dni temu... wpadłem tutaj kilka razy. Jakoś cię tu nie widziałem. Gdzie się, psiamac, podziewałeś?

Podszedłby do niego bliżej. Najpierw spojrzalby mu w oczy.

– Żadnego z was nie było tu w tygodniu!

A potem – jeden jedyny cios. Prosto w nos.

– To ty kierujesz robotą, Leo! To twoja firma przyjęła moje zlecenie! I to ty masz przypilnować, żeby tu ktoś był! Co wy, psiamac, wyprawiacie, Leo?

Ale nie daje się komuś między oczy, kiedy przygotowuje się nowy plan.

Otoczył go więc znowu ramieniem, jak miał w zwyczaju.

– Gabbe, mój drogi, czy kiedykolwiek się na mnie zawiodłeś? Czy kiedykolwiek zawałiłem jakąś robotę? Czy kiedykolwiek nie skończyłem na czas?

– No nie, ale...

– Odpowiedz mi: czy chociaż raz miałem obsuwę?

Wzburzony Gabbe uwolnił się z nieco zbyt mocnego objęcia i ruszył w róg budynku.

– Weźmy tę ścianę! Salon fryzjerski! Przecież tu brakuje jednej warstwy gipsu! – Wskazał jednocześnie w kilku kierunkach. – Czy klientki mają robić sobie trwałą w lokalu bez odpowiednich zabezpieczeń przeciwpożarowych?

Ruszył dalej.

– A tu solarium! Popatrz! Gdzie są drzwi? Przecież wszystko widać! Tam kwaciarnia, posadzka jeszcze niegotowa! Cztery płytki pęknięte... W końcu ludzie będą po niej chodzić w swoich, psiamac, mokrych butach!

Ruszył po schodach, teraz na dół, a potem wybiegł na parking i na deszcz, który znowu zaczął padać.

– No i ten... pieprzony kontener! Miałeś go usunąć! Za kilka tygodni będą tu parkować klienci!

Niewyrośnięty i korpulentny mężczyzna walnął kilka razy obiema dłońmi na płask w pojemnik, który zajmował miejsce parkingu dla klientów. Odgłos, jaki się rozległ, był bardzo przytłumiony, ponieważ całe wnętrze było wypełnione aż po brzegi.

– Opanuj się, bo jeszcze dostaniesz zawału!

Twarz kierownika zrobiła się wskutek fizycznego wysiłku jeszcze bardziej purpurowa, ale nagromadzona furia znalazła upust i rozplynęła się w deszczu.

– Wszystko będzie gotowe do północy. Nawet sobie nie wyobrażasz, Gabbe, jak ważna jest dla mnie nasza współpraca. Moja firma budowlana, nasza współpraca to podstawa naszej dalszej... ekspansji.

Złana potem twarz zwróciła się ku niemu.

– Ekspansji?

– Maksymalizacji zysków. Bez podnoszenia ryzyka.

– Nie bardzo rozumiem.

– Już dobrze, Gabbe. Już dobrze. Widzę, że masz trudności z oddychaniem. Niepokoję się o ciebie. Jedź do domu i sobie odpocznij. A my do północy będziemy gotowi. Przecież zawsze mogłeś na mnie liczyć. – Leo wyciągnął do niego rękę. – Tak czy nie? – Dłoń Gabbego była nieduża, wilgotna i miękka. – Jak mówię, że damy radę, to damy radę. A potem zaproszę cię na cynamonowe bułeczki, zgoda?

Leo stał jeszcze przez chwilę między kontenerem i samochodem, dopóki się nie upewnił, że mały furiat zniknął na drodze dojazdowej. Potem jeszcze przez chwilę nasłuchiwał walenia i warczenia – Felix, Vincent i Jasper dokładali starań, żeby kobitki robiące sobie trwałą były zabezpieczone przed pożarem, a ci, którzy będą kupować kwiaty, nie pośliznęli się w mokrych butach na posadzce.

Ktoś, kto nie powinien nic wiedzieć, stał i walił swoimi tłustymi łapami w kontener pełen automatycznej broni.

Może następnym razem będzie chciał zajrzeć do środka.

Leo ruszył przed siebie, ale nie ku ścianom i posadzkom, które powinny być gotowe za dwanaście godzin. Poszedł w inną stronę. Przeciął drogę i wszedł na teren willowy. Zmierzał ku rozwiązaniu swojego problemu związanego z magazynowaniem – ku niedużemu jednopiętrowemu domowi z ogrodzoną działką bez trawnika graniczącą z drogą szybkiego ruchu. Z placu budowy naprzeciwko widział, jak wywożono z niego meble. Teraz od tyłu stała tablica „Na sprzedaż”. Wzdłuż wysokiego ogrodzenia z siatki dotarł do wejścia i otwartej furtki, minął asfaltowy podjazd i podszedł do domu. Zajrzał w okno po prawej stronie od drzwi wejściowych – pusta kuchnia. Za szybą po lewej – pusty przedpokój. Za rogiem zerknął przez kolejne okno do przybudówki z pustym pokojem. Za drugim rogiem widać było schody na piętro.

Parter i piętro, ale brak piwnicy. Cała dzielnica mieszkaniowa była wzniesiona na dnie dawnego jeziora. Każdy dom stał na gliniastym podłożu i mógł się pięć wysoko, lecz nie rozrastać w dół.

W ciągu ostatnich tygodni Leo nieraz przerywał wbijanie gwoździ i wiercenie, żeby postać chwilę i przyjrzeć się temu małemu brzydkiemu budynkowi leżącemu tak blisko drogi. I za każdym razem jego widok przypominał mu ukrytą grootę Fantoma, komikсового bohatera jego młodości. Wiedział, że to dziecinada. Ale wiedział także, że może w ten sposób rozwiązać istotny problem. Jeśli bowiem znajdą miejsce na dobry magazyn, to nie zostaną zdemaskowani.

Okno w kuchni – jeszcze raz zajrzał do środka. Na podłodze wytarty sztuczny dywanik, popękane ściany, szafki i sprzęty kuchenne z innej epoki. Całkiem niepozorny dom. Ktoś, kto w nim mieszka, raczej nie może mieć dużo pieniędzy.

Na drzwiach wejściowych wisiała jeszcze jedna tablica z napisem „Na sprzedaż”. Ze zdjęcia spoglądała na niego uśmiechnięta pośredniczka – w kostiumie, z zaczesanymi na bok włosami. Znalazł w wewnętrznej kieszeni długopis i na odwrocie paragonu z perukarni zapisał telefon lokalnego oddziału Szwedzkiej Agencji Nieruchomości.

Dokładnie czegoś takiego szukał. A wielki garaż tuż obok czynił z tego domu po prostu wymarzone miejsce. Wdrapał się na stos używanych opon i przetaił zakurzoną szybę w okienku, żeby zajrzeć do garażu, który okazał się wysoki i wystarczająco duży na cztery, a może i pięć pojazdów. I też całkiem pusty. Wprost idealny dla stworzenia grupy.

Gdzieś otworzyły się i zamknęły drzwi.

Odwrócił się w stronę sąsiedniej działki i znacznie większego domu z trawnikiem pokrytym mokrymi liśćmi. Rzędy jabłoni tkwiły jak sękaty szkielety. Kilka metrów od niego stała na żwirowej ścieżce kobieta z małym dzieckiem i patrzyła na niego, ciekawskiego potencjalnego kupca. Skinął ku niej głową.

Walenie młotków i warczenie dochodzące zza drogi – mężczyźni w roboczych strojach nie powinni raczej wzbudzać podejrzeń. Dom z garażem, gdzie znajdował się teraz – główna siedziba i miejsce szkoleń. A tam dalej – odwrócił się w stronę lasu oddalonego o zaledwie kilka kilometrów – przeżył najdziwniejszą noc w życiu.

Że też było to takie proste.

To, że trzech bracia i przyjaciel z dzieciństwa, wszyscy około dwudziestki, zwykli gówniarze bez wyższego wykształcenia, postanowili, że uda im się największy skok i kradzież broni w historii Szwecji, Skandynawii, Europy Zachodniej, i po prostu to zrobili.

Wystarczyły podstawowe kwalifikacje budowlane, trochę materiału wybuchowego i starszy brat, który doceniał siłę zaufania.

Jest jasno od gwiazd.

Jaśniej niż poprzedniej nocy. Ale droga do domu ta sama.

Siedzieli w dwóch samochodach i jechali z jednej z podstokholmskich miejscowości willowych na peryferyjne blokowisko. Zostawili za sobą wykończony Niebieski Dom i zadowolonego Gabbego oraz zamknięty kontener, który następnego ranka zaspani mieszkańcy będą mijać w drodze na przystanek autobusowy.

Leo i Felix wysiedli ze swoich pick-upów. Chwycili za mosiężne uchwyty skrzyni stojącej na pace mitsubishi. Drewniana skrzynia, z którą nie rozstawali się od trzech lat, zwykle ciężka od młotków, wkrętarek, kluczy francuskich, poziomnic, nożyc do cięcia metalu, wiertarek. Wszystkie te narzędzia były poplamione zaschniętą farbą w najrozmaitszych odcieniach i wysłużone od ciągłego wiercenia, przybijania, wkręcania, cięcia.

– Za dziesięć dwunasta – powiedział Leo.

Skrzynia była równie ciężka, jak zawsze, mimo całkiem innej zawartości – mimo nowego życia, które właśnie się zaczęło.

– Zostało osiemnaście godzin.

Minęli niskie krzaki i nędzne rabatki, kierując się w stronę klatki schodowej w wielopiętrowym bloku. Leo otworzył wejście, a kiedy czekali na windę, usłyszeli śmiech Vincenta i Jaspera zza uchylonych drzwi prowadzących do piwnicy z komórkami po obu stronach korytarza.

Trzecie piętro.

Jego drzwi. Jej drzwi. DUVNJAC/ERIKSSON. Postawili drewnianą skrzynię na kamiennej posadzce i Leo zaczął szukać kluczy. Po chwili wyciągnął z otworu w drzwiach byle jak wciśnięty plik ulotek reklamowych i cisnął go do zsypu.

W mieszkaniu paliło się światło.

Siedziała w kuchni na prostym drewnianym krześle. Warkot maszyny do szycia, którą dostała od swojej mamy, zlewał się z muzyką z magnetofonu kasetowego. Eurythmics, często słuchała muzyki z lat osiemdziesiątych.

– Hej.

Była ładna, czasami o tym zapominał. Całus, delikatne muśnięcie jej policzka. Czarny materiał skręcał się, przytrzymywany i rytmicznie nakłuwany przez igłę maszyny: góra – dół, góra – dół. Jeszcze jeden całus, zanim odwrócił się do zlewu i szafki pod nim. Wciąż tam stały. W miejscu, gdzie je ukrył, z tyłu, za butelkami z płynem do naczyń i pojemnikiem ze środkiem do czyszczenia podłogi.

Trzy brązowe pudełka. Niespecjalnie duże, ale pękate.

Już miał wyjść z kuchni.

– Leo, posłuchaj, nie widziałam cię od... kilku dni.

Poprzedniej nocy otworzył drzwi do mieszkania i nie zaglądając ani do łazienki, ani do lodówki, od razu poszedł prosto do sypialni i położył się do łóżka, które nią pachniało; nie perfumami czy szamponem, tylko nią. Przynalę się bliżej i objął śpiące ciało, czując wciąż w piersi eksplozję wysadzanego magazynu z bronią.

– A dziś rano...

Zegar elektroniczny na jego nocnej szafce pokazywał 4:42. Obróciła się, ziewnęła i jeszcze mocniej przycisnęła do niego swe nagie ciało.

– ...kiedy się obudziłam, już cię nie było. Tęsknię za tobą.

– Nie teraz, Anneli.

– Nie chcesz zobaczyć, co zrobiłam? Golfy. Przecież chciałeś...

– Potem, Anneli.

Już miał wyjść do przedpokoju i dołączyć do reszty w dużym pokoju, gdzie zaczęło się wypakowywanie i przepakowywanie, kiedy zauważył na szafce pustą butelkę po winie i mokry korek w zlewie.

– Piłaś? A gdybyś musiała prowadzić?

– Tylko trochę. W nocy... Ty leżałeś w tym cholernym lesie, a ja nie miałam pojęcia, jak wam poszło, czy wrócisz do domu, czy ktoś was widział, i chciałam... Nijak nie mogłam zasnąć! A teraz... Gdzie byłeś?

– Na budowie. Musieliśmy dokończyć robotę.

Wyszedł z kuchni. Zatrzymała maszynę, igłę, która poruszała się w górę i w dół.

Jej dłonie. Dlaczego drżały, skoro sama chciała w tym uczestniczyć? Kamizelki są już gotowe, wystarczy tylko przyszyć superdługie golfy. A jutro ma najpierw ucharakteryzować Leo i Jaspera, a potem zawieźć ich na miejsce.

Gdy ręce drżały tak mocno, trudno było nawlec igłę i szyć prosto.

Leo opuścił rolety w oknie wychodzącym na Skogås Centrum, a Felix w drzwiach balkonowych – duży pokój wyglądał jak typowy pokój dzienny, z kanapą, fotelami, telewizorem, regałem na książki. Ale już wkrótce będzie całkiem inaczej.

Opróżnili wszystko po kolei: drewnianą skrzynię, którą przydźwigali z samochodu, torby Adidas a i torby papierowe, które Jasper i Vincent przynieśli ze składziku w piwnicy, oraz trzy brązowe pudełka, do niedawna ukryte pod zlewem. A potem ułożyli na parkiecie w długim szeregu jedną rzecz za drugą, żeby mieć ogląd całości, jak podczas inspekcji wojskowej przed atakiem.

Składany wózek inwalidzki z czerwonym materiałem na siedzeniu i oparciu, porzucony na jednym z korytarzy wojewódzkiego szpitala Huddinge. Dwa żółte koce ze szpitalnym logo, które leżały obok śpiących pacjentów na izbie przyjęć.

Torba z dwiema zrobionymi z prawdziwych włosów perukami z Opery Ludowej i z dwiema parami szkieł kontaktowych o piwnym odcieniu od optyka z Drottninggatan.

Dwa AK 4 i dwa pistolety maszynowe MP z czarnego kontenera na placu budowy. Buty, spodnie, swetry, kurtki, czapki, rękawiczki. Latarki, mniejsza, którą Vincent będzie dawał znaki, i większa ze światłem w różnych kolorach, którą Felix będzie dawał znaki. Dwa pięciolitrowe kanistry z benzyną. I cztery torby sportowe z czterema kijami hokejowymi.

Wózek dawało się rozłożyć zaledwie w dwóch ruchach. Leo usiadł na nim i przejechał się po łniącej podłodze w stronę łazienki, zakręcił i zaczął się obracać, przechylał się na lewo, na prawo, usiłował się wywrócić.

Wózek był stabilny.

Podjechał do progu kuchni, zatrzymał się, wstał i podszedł do igły, która tańczyła do akompaniamentu Eurythmics. Dotknął policzka Anneli.

– Jak ci idzie?

– Są gotowe.

Materiał dosztyty dodatkowo do golfów, by je wydłużyć, układał się jak trzeba. Pociągnęła go całkiem mocno, szwy trzymały i nic nie było widać. To ona wpadła na ten pomysł, ona to zaprojektowała.

– Golfy mogą służyć jako maski. Są w porządku. – Potem wskazała na dwie zielone kamizelki. – Dokładnie takie, jak chciałeś. Z nylonu balistycznego. Jasper ma z przodu cztery kieszenie na osiem magazynków. Ty masz trzy na sześć magazynków.

Włożył kamizelkę, którą miał nosić pod kurtką. Pasowała idealnie. Anneli dobrze знаła jego ciało.

– Mogę się swobodnie ruszać.

– Na pewno? Nie jest nigdzie za ciasna? A jak będziesz miał magazynki w kieszeniach albo jak będziesz chciał wstać z wózka?

– Leży jak ulał. Nikt niczego nie zauważy.

Pochylił się i ją ucałował.

– Wszystko to, co leży w pokoju na podłodze, może zrobić pierwszy lepszy amator. Ale nie coś takiego. Albo to. – Wskazał na kamizelkę i wziął do ręki jeden ze swetrów z przedłużonym golfem. – Detale robią ogromną różnicę. Dzięki tobie będziemy mogli podejść bardzo blisko i błyskawicznie się przeobrazić.

Jeszcze jeden całus, po czym wrócił na wózek. Rozłożył podpórkę na stopy i umieścił na niej prawą nogę w taki sposób, jakby miał ją uszkodzoną. Jasper, przykucnąwszy przed nim, otwiera w cienkich plastikowych rękawiczkach pierwsze z trzech brązowych pudełek: naboje kaliber 7,62, ołowiane i stalowe. W drugim pudełku – kaliber 9, w stalowych łuskach, w trzecim – amunicja smugowa z fosforem, który zostawia czerwoną jasną smugę długości kilkuset metrów.

Potem napelnili wszystkie magazynki i za pomocą taśmy skleil je po dwa.

Cztery pary miały znaleźć się w świeżo doszytych kieszeniach w jego własnej kamizelce, trzy pary u Leo i po parze u Feliksa i Vincenta, którzy włożą je do małych torebek na brzuchu.

– Każdy, kto na nie spojrzy, od razu pomyśli sobie wiadomo co. I my to wykorzystamy. Uprzedzenia, strach. – Leo zatoczył rundkę na wózku. – A jeśli nawet ktoś popatrzy... to raczej przelotnie.

Staral się poruszać kołami wózka tak, jak robili to niepełnosprawni, z którymi kiedyś pracowała mama. Nosila biały pielęgniariski fartuch i czasami zabierala ze sobą trzech synów do domu opieki, kiedy nie mogli zostać sami w domu. I właśnie tam widzieli, jak dorośli, czując się niepewnie, odwracali wzrok.

– Mam rację? Nikt nigdy nie przygląda się długo komuś, kto jest inny.

Jasper podał mu karabin AK 4, a Leo usiłował przytrzymać go prawą ręką pod żółtym szpitalnym kocem wzdłuż nogi opartej na rozłożonym podnóżku.

– Przesadzasz.

– Ani trochę.

– Owszem. Tak czy nie?

Jasper spojrzal na Feliksa i Vincenta. Obaj skinęli głowami.

– Uważaj, żebyś nie prze fajnował, Leo. Bo wszystko spaskudzisz.

– Kiedy oni właśnie tak jeździli na swoich wózkach. Wy tego nie pamiętacie, bo byliście za mali.

Podal broń Jasperowi, który wytarł ją białą szmatką, żeby nie zostały na niej odciski palców, po czym włożył automat do jednej ze sportowych toreb.

Leo wstał z wózka i rozejrzał się po pokoju.

To ich pierwszy raz. Zaden z nich nigdy dotąd nie uczestniczył w wielkim skoku. Ale każdy miał swoją rolę do odegrania i dokładnie wiedział, co ma zrobić. A na podłodze przed nimi leżało wszystko, czego potrzebowali. Sprawdzone i spakowane.

Za niecałą dobę będą zupełnie innymi ludźmi.

Pięć po wpół do szóstej. Jeszcze piętnaście minut.

Podróż w ciszy.

Skupienie.

Anneli poprawiła wsteczne lustro, była wysoka w porównaniu ze swoimi nielicznymi koleżankami, jednak o wiele niższa niż Leo, który siedział obok niej na środku, i Jaspera na miejscu pasażera przy drzwiach. Czerwone. Ostatnie światła przed centrum handlowym Farsta. W zapadającym wokół wczesnym wieczorze odnosiła wrażenie, jakby stopniowo wciągał ją silny czerwony blask. Im bardziej się weń wpatrywała, tym mocniej ją opanowywał, wyłączał i odciągał gdzieś dalej.

Zdecydowała się w ułamku sekundy.

Nie pamiętała tego – ale chciała pamiętać.

Ową chwilę, kiedy ktoś wepchnął to coś w jej życie. Rany boskie, gdyby jeszcze kilka lat temu ktokolwiek próbował przewidzieć, że mogłaby uczestniczyć w czymś takim, brać udział w napadzie na furgon z pieniędzmi...

A może wcale nie chodziło o jedną chwilę, lecz o wiele krótkich momentów, które się ze sobą stopiły, tak że tego nie zauważyła? Może pewnego dnia ktoś mówi, że w lesie jest magazyn broni, potem ktoś inny stwierdza, że da się go otworzyć i opróżnić, a jeszcze ktoś inny dodaje, że skoro już opróżniło się taki magazyn i ma się broń, to można ją wykorzystać do robienia skoków. Może jeśli człowiek jest wśród takich chwil, powoli staje się ich częścią. Przecież nikt nigdy nie zadał jej żadnego konkretnego pytania, a ona nie wstała i nie odpowiedziała „tak”. Nienormalne nagle staje się normalne, myśli innych stają się moimi myślami i oto nagle kobieta o imieniu Anneli siedzi za kółkiem i prowadzi pick-upa ku czemuś niewyobrażalnemu. I pewnie dlatego ruszyła zbyt gwałtownie, kiedy czerwone zmieniło się na pomarańczowe, a potem na zielone, i jechała nierówno, zrywami.

Trzęsa się. Nie mocno, nie tak, żeby Leo zauważył. On już dawno zapadł się w siebie. Trzęsa się, bo jeszcze nigdy dotąd się tak nie bała, co najwyżej przy narodzinach syna. Wtedy było dokładnie jak teraz – przekroczenie granicy i uświadomienie sobie, że dawnego życia już nigdy nie będzie.

– Tam.

Leo wskazał na chodnik. Do Farsta Centrum było pewnie jakieś dwieście metrów.

– Zatrzymaj się między dwiema latarniami, w miejscu, gdzie jest najciemniej.

Leo zamknął oczy i poczuł spokój, który panował wyłącznie w jego wnętrzu.

Jedynie ja wiem, co się stanie. Nikt inny. Tylko ja znam każdy kolejny krok.

Siedzieli na szerokim przednim siedzeniu i czekali na sygnał, który on miał im dać. Anneli po lewej ręce – płytki oddech, jakby urywany, bo już znowu musiała zaczerpnąć powietrza; Jasper po prawej – oddychał dłużej i głębiej, jak człowiek, który stara się wyglądać na spokojnego.

Silnik był wyłączony. Dopiero teraz Leo zauważył, jak ciemne są już wieczory. Przez cztery piątki z rzędu siedział samotnie w samochodzie na jednym z miejsc parkingowych na tyłach banku Forex, blisko przystanku autobusowego i wejścia do metra. Obserwował uważnie dwóch umundurowanych ochroniarzy z furgonu do transportu pieniędzy i skrzętnie odnotowywał każdy ich ruch, każdą czynność, obserwował, którędy się poruszali, jak się ze sobą komunikowali.

– Za sześćdziesiąt sekund.

Dłonie znowu jej drżały. Dotknął ich, spojrzał na Anneli i przytrzymał je, dopóki trochę się nie uspokoiły i mogła dokonać ostatniej, pospiesznej lustracji.

Najpierw peruki z prawdziwych ludzkich włosów. Jeśli potem ktoś znajdzie choćby jeden włos, nie będzie pochodził z peruki, tylko z głowy człowieka o ciemnej, gęstej fryzurze. Upewniła się, czy nie są przekrzywione i nie odsłaniają ich jasnych włosów, ale czy jednocześnie nie leżą zbyt perfekcyjnie. Potargała więc nieco grzywkę zarówno Leo, jak i Jasperowi.

Potem makijaż. Wodoodporna mascara na rzęsach i brwiach, które specjalnie podniosła trochę szczoteczką, żeby wyglądały na bujniejsze. Jeszcze w mieszkaniu gruntownie oczyściła im w łazience

czoła, policzki, nosy, brody i szyje i usunęła martwy naskórek, a potem nawilżyła kremem i posmarowała samoopalaczem. Teraz chciała się upewnić, czy nikt nie ma jasnych plam, które należałyby jeszcze dodatkowo wyróżnić, albo zbyt ciemnych w miejscach, gdzie sucha skóra wchłonęła zbyt dużo samoopalacza.

– Trzydzieści sekund.

Kazała im zamrugać, żeby się przekonać, że brązowe soczewki siedzą jak trzeba.

Sprawdziła ich dżinsy, kamizelki i buty, windstopper Leo i kurtkę przeciwdeszczową Jaspera. Wspólnie ustalili ten *outfit* i doszli do wniosku, że właśnie coś takiego mogliby mieć na sobie dwaj młodzi arabscy imigranci, którzy dopiero niedawno przyjechali do Szwecji.

Na koniec golfy.

– Pochylcie się.

To jej pomysł, jej projekt.

– Obaj.

Rozwinęła je trochę, nieco podciągnęła i znowu lekko zwinęła.

– Za bardzo je zwinęliście. Jeśli mają spełnić swoją funkcję, musicie móc je w każdej chwili chwycić, a potem naciągnąć na twarz, tak żeby się nie zsunęły.

– Piętnaście sekund.

Poprawił sobie kamizelkę. Zapasowe magazynki trochę uwierały go w pierś.

– Dziesięć sekund.

Cienkie skórzane rękawiczki.

– Pięć sekund.

Pochylił się ku niej, pocałował, ona cofnęła się lekko, gdy w górną wargę ukuły ją jego wąsy, też zrobione z ludzkich włosów; były trochę przekrzywione, więc poprawiła je z uśmiechem dwoma palcami.

– Teraz.

Anneli otworzyła drzwi i wyszła na chodnik, po czym zdjęła z paki wózek inwalidzki z oboma kocami. Podniosła prawy podnózek – z nową, krótszą kolbą mógł ukryć się pod kocem cały AK 4. Jasper pomógł niepełnosprawnemu mężczyźnie usiąść na wyściełanym plastikowym siedzeniu, po czym ruszył z nim do przodu i skinął głową w stronę samochodu, który zaraz odjechał.

Po ciemnym chodniku. Potem łagodnie w dół, aż do miejsca, gdzie nachylenie zrobiło się większe i zaczynała się rampa jednego z największych sztokholmskich oddziałów Foreksu.

Leo precyzyjnie zaplanował każdy metr ich trasy.

Trzeci i zarazem ostatni etap pokonał na próbę pontonem z dobieciem do lądu w ciemności. Odcinek środkowy przetestował samochodem ze średnią prędkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Sprawdził także lekko opadającą pochyłość, po której teraz zjeżdżał, czyli pierwszy i najbardziej ryzykowny fragment drogi, i wiedział, że obiekt zawsze przybywał tu między 17:48 a 17:53.

– Leo?

Jasper zatrzymał wózek, przykucnął, żeby mocniej zawiązać sobie sznurowadła i jednocześnie powiedzieć coś szeptem, tak żeby nikt nic nie zauważył.

– Znowu przeginasz. Widziałem twoją matkę w pracy. Kaleki nie poruszają się tak jak ty.

Jasper wyprostował się i ponownie zaczął pchać wózek w stronę podmiejskiego centrum handlowego, dokąd zmierzało mnóstwo ludzi. I właśnie wtedy Leo zobaczył chłopca. Mógł mieć pięć, może sześć lat. Stał zaledwie kilka metrów dalej, między czekającymi na autobus.

Nikt nie patrzy na tych, którzy myślą, że są inni.

Chłopiec pokazał palcem i pociągnął swoją mamę za rękę.

Dlatego nikt potem nie będzie pamiętał, jak on właściwie wyglądał.

Chłopiec pokazał na niego – mężczyznę siedzącego na wózku.

Ale to dziecko. A dziecko nie widzi świata tak jak dorośli.

Chłopiec krzyknął teraz głośno.

Dziecko jest otwarte, nie ma jeszcze uprzedzeń i nie ograniczają go lęki.

Broń pod kocem. Posklejane taśmą magazynki w kamizelce. To nie na to pokazywał chłopiec i nie dlatego krzyknął, choć tak się mogło wydawać.

Zawołał jeszcze raz.

Jeszcze jeden okrzyk i stojący w pobliżu i dyskretnie odwracający wzrok starsi nagle zaczynają się im przyglądać, może nawet ich sobie zapamiętają. Jasper gwałtownie zawrócił wózek i szybko odjechał z przystanku w mniej oświetlone miejsce.

17:48.

Czekali, zezując na wjazd. Samochody osobowe, rowery, piesi. Jedni kierowali się do środka, inni na zewnątrz.

17:49.

Zostało kilka minut.

17:50.

Może jeszcze dwie.

17:51.

Zaraz.

17:52.

– Co się, kurde, dzieje?

– Przyjadą.

– Przecież już jest, kurde, ta godzina...

– Przyjadą.

17:53.

Powoli zaczęli podchodzić bliżej – zostało nie więcej niż dziesięć kroków do muru osłaniającego wjazd do oddziału banku. Chodziło o to, żeby podjeżdżając tutaj, kierowca białego furgonu nie zauważył dwóch osobników w dużym skupisku ludzi, niepełnosprawnego na wózku i jego osobistego asystenta.

17:54.

Jasper przykucnął, nie był w stanie ustać spokojnie w miejscu. Musiał coś zrobić – żeby to wyglądało na zwyczajne czekanie. Nie widział innego sposobu i związał sobie sznurowadła, a potem zaczął wiązać je na nowo.

– Hej!

Nie widzieli go.

– Hej! Hej! Hej!

Nie słyszeli go.

– Jak się nazywasz? Halo!

Chłopiec, ten pięcio- czy sześciolatek, pokazywał na nich palcem i wołał.

– Dlaczego siedzisz na czymś takim? Boli cię coś?

Wyrwał rękę z dłoni swojej mamy i podbiegł do ludzi, którzy mieli taki dziwny fotel na kółkach.

– *You go back.*

– Jak masz na imię? I co ci się stało w nogę?

Jasper wsunął rękę do dziury w kieszeni kurtki i objął palcami pistolet maszynowy zawieszony na szyi.

– *Go back.*

– Gobak?

– *Go back!*

– On się tak nazywa? Gobak! To ładne imię.

Jasper raz po raz odbezpieczał i zabezpieczał broń. Irytujący odgłos. Aż w końcu Leo odepchnął go łokciem.

Właśnie nadjeżdżał. Samochód, który mieli obrabować.

– *To your mama! You go back!*

Chłopak raczej się nie przestraszył, ale chyba zrobiło mu się nieswojo, kiedy stojący mężczyzna pochylił się nad nim i syknął mu do ucha. Zrezygnował więc z dalszych pytań i zrobił, co mu kazano – powlókł się z powrotem do mamy, na przystanek.

17:54:30.

Ruszyli znowu, nie wolno i nie szybko.

Furgetka objedzie parking i skieruje się w stronę zjazdu do banku Forex, co zajmie jej od ośmiu do dwunastu sekund. Leo zerkał do przodu, do tyłu, na białe auto i na sześciolatek, który ciągle stał

w miejscu, a mama malca podbiegła, aby go pouczyć, że nie należy zwracać się w ten sposób do upośledzonych.

Dobre miejsce na napad z bronią w rękę.

Ciemno i niezbyt dużo ludzi, mimo że znajdują się zaledwie kilka kroków od tłumu i zgłębku. Kilka metrów, żeby doskoczyć do samochodu, który zjeżdżał teraz tyłem, pod drzwi. Zaraz otworzy je umundurowany strażnik, żeby przekazać ostatni utarg dnia, który zostanie dołożony do innych utargów w samochodowym sejfie – w sumie przypuszczalnie od siedmiu do dziesięciu milionów koron.

Piątek wieczór. Jeszcze dwie godziny. Samuelson zerkał na Lindéna, z którym jeździł już niemal od siedmiu lat, a właściwie w ogóle go nie znał. Dwaj ochroniarze na przednim siedzeniu furgonetki do przewozu pieniędzy, Lindén, który chciał prowadzić, i on; wolał wyjść na chwilę z samochodu, rozprostować kości i pogadać z pierwszym lepszym strażnikiem na tyłach sennego banku o pogodzie i o niczym, podczas gdy worek z pieniędzmi, który mieli pilnować, przechodził z jednych rąk do drugich. Nigdy nie wypili razem kawy po służbie ani nie umówili się na piwo. Czasami tak po prostu bywa – dwaj koledzy czują, że chcą pozostać tylko kolegami. Nie mogli też rozmawiać ze sobą o dzieciach. Samuelson wiedział co prawda, że Lindén ma tyle samo dzieci co on, lecz teraz co drugi tydzień mieszkają gdzie indziej, a rozmowa o czymś, co jeden ma, a drugi już nie, rzadko się udawała.

Reflektory samochodowe musnęły latarnie, kiedy furgonetka okrążyła parking. Minęła ludzi czekających w długich ogonkach do autobusów albo zjeżdżających ruchomymi schodami do wieczornej kolejki metra. Obaj ochroniarze rutynowo omiatali spojrzeniem okolice. Widzieli budkę z kielbaskami przy stojaku na rowery i jej właściciela robiącego własne chorizo, który z uśmiechem na twarzy sterczał w fartuchu co wieczór w okienku. Trzy kobiety siedzące na jednej z ławek z wyładowanymi reklamówkami ze spożywczego, identycznie ubrane i uczesane, gestykułowały z ożywieniem, mówiąc o czymś ważnym. Obok mężczyzny na wózku stał jego asystent i rozmawiał z chłopcem w wieku zbliżonym do jego syna; w tym momencie mama pociągnęła mocno małego za rękę. Spora grupa poszturchujących się czternastolatków czekała kawalek dalej i nie bardzo wiedziała, co ze sobą zrobić. Zwyczajna twarz tłumu.

Już prawie siedem lat. W każdy dzień powszedni. Sektor określany jako K9 na schemacie planisty, obejmująca oddziały Cityterminalen, Centralstation, Stureplan, Gamla Stan, Skanstull, Nacka, Sickla i na końcu tutaj, Farsta Centrum.

Ostry zakręt na pętli autobusowej, potem lekki łuk i monotonne pikanie, kiedy duży furgon zjeżdżał tyłem po pochylonej rampie w kierunku zamkniętych drzwi na zapleczu.

Lindén wyłączył silnik, spojrzeli na siebie i porozumiewawczo skinęli głowami – mimo wieczornych godzin szczytu panował względny spokój. Samuelson otworzył drzwi pasażera i zrobiwszy jeden krok, znalazł się przy tylnym wejściu. Utarg dzienny przechowywano dwa korytarze dalej, w biurze szefa ochrony, gdzie znajdowały się ekrany z czarno-białymi obrazami z czterech kamer skierowanych na kasy i ostatnich klientów. Dwa płócienne worki czekały na poza tym pustym blacie biurka – banknoty, monety i wypisane ręcznie czerwonym tuszem pokwitowanie: 1 324 735 koron.

Leo siedział na wózku i nasłuchiwał serca, które powinno walić jak oszalałe. Tymczasem w jego piersi i myślach panowała cisza. Wiedział, że odwracające się z odrazą oczy o niczym nie zaświadczą. I że dlatego wózek inwalidzki jest najlepszym środkiem lokomocji, aby dostać się jak najbliżej tych, którzy są czujni i umieją rozpoznać zagrożenie, zbliżyć się na tyle, by wedrzeć się do środka, napaść, ograbić i zniknąć.

Radiotelefon wisiał w prawej kieszeni kurtki, zaczepiony na czarnym plastikowym haczyku. Samuelson powinien zaraz opuścić pokój szefa ochrony z dziennym utargiem w zabezpieczonej walizeczce, podejść do zamkniętych tylnych drzwi i nacisnąć w swoim radiotelefonie odpowiedni guzik dwa razy.

Lindén rozejrzał się dookoła ze swojego siedzenia za kierownicą, otaksował otoczenie.

Lusterko wsteczne – pusto. Szyby boczne – pusto. Szyba przednia – pusto, nawet wózek inwalidzki zniknął.

Był zadowolony ze swojej pracy. W końcu nie była taka zła. To dobra robota. Prosta, jasna. Lubił ją, bo lubił schematy, rutynę. Odebrać torbę z pieniędzmi. Pojechać w kolejne miejsce. Odebrać kilka innych toreb z pieniędzmi.

Ostatni przystanek tego dnia. Stąd już prosta droga do skarbcia i cywilnych ciuchów, a potem sobota i niedziela.

Dwa piknięcia w kieszeni kurtki. Samuelson jest na miejscu.

Lindén sprawdził jeszcze raz, lusterko za lusterkiem, okno za oknem. I odpowiedział, naciśnawszy dwa razy czerwony guzik w swoim radiotelefonie.

Jasny sygnał.

Możesz wyjść, teraz.

W piątki szwedzkie kantory wymiany walut odnotowywały zawsze najwyższe obroty, a Farsta Centrum było ostatnim przystankiem na trasie furgonetki przewożącej pieniądze. Po obsłużeniu tego punktu było w niej najwięcej pieniędzy.

17:56.

Leo wybrał obiekt, godzinę i miejsce napadu z bronią w ręku. Miał świadomość, że wózek inwalidzki pomoże im w przemieszczeniu się tylko do rampy. Ponieważ w tym miejscu nie było gdzie się ukryć, będą musieli obezwładnić ochroniarza na odcinku mierzącym dwa kroki, między tylnym wejściem do budynku a drzwiami pasażera w furgonetce. I to tak niepostrzeżenie, żeby nikt nie zdążył podnieść alarmu.

17:57.

Czekali. Zerkali na stalowe drzwi w dół.

Teraz.

Krótki, buczący odgłos otwieranego zamka.

Teraz. Już.

Nic nie mówili. Nawet na siebie nie patrzyli. Wiedzieli, że to ten moment.

Obaj chwycili swoje przedłużone golfy, naciągnęli je na brody i nosy, pod same oczy.

Odsłonił AK 4 ukryty pod żółtym kocem i pistolet maszynowy zwisający pod długą kurtką.

Wspięli się na mur, żeby zeskoczyć po jego drugiej stronie, tam, gdzie stała furgonetka.

Samuelson oparł się o stalowe drzwi. Zielona pancerna walizeczka w jego ręce, widział, jak ją ładowano i zamykano, teraz zawierała dwa brązowe płócienne worki opatrzone numerami identyfikacyjnymi, zapieczetowane plastikowym sznurem.

Dwa piknięcia radiotelefonu.

Sygnał, że wszystko w porządku.

Otworzył, wyszedł na rampę i usłyszał znajome kliknięcie, znak, że Lindén otworzył od środka drzwi do komory sejfowej.

Lindén z fotela za kierownicą widział, jak Samuelson wychodzi z pancerną walizeczką. Naciśnął guzik, żeby otworzyć wewnętrzną szluzę i właśnie miał obrócić się do kolegi, gdy coś zwróciło jego uwagę. Najpierw odniósł wrażenie – chyba gdy rzucił okiem przez przednią szybę – że wózek inwalidzki, który zauważył w ludzkim tłumie, kiedy nadjeżdżali, leży teraz przewrócony na chodniku, pusty. A potem – w jednym z bocznych lusterek – dostrzegł jakiś ruch, jakby z muru spadł ktoś, kto miał do połowy czarną twarz, chociaż ludziom coś takiego się raczej nie zdarza. I na koniec Samuelson szarpnął boczne drzwi i krzyknął: „Jedź!”, a potem rzucił się do środka, wrzeszcząc: „Jedź, do jasnej cholery!”, i padł na podłogę samochodu, żeby się zasłonić.

– *Open door!*

Wystarczyła sekunda, żeby zrozumiał.

To wszystko naprawdę składało się w całość.

Wbił pierwszy kod – cztery cyfry i drzwi do tylnej komory zamknęły się z powrotem, zablokowały dostęp do pieniędzy. Potrzebował jeszcze dwóch sekund, żeby wstukać drugi kod – cztery cyfry na tablicy rozdzielczej, żeby móc przekręcić kluczyk w stacyjce.

– *Jalla jalla, open door!*

Za późno. Ktoś wyłączył na klapie silnika. Czarna maska, wlepione w niego oczy i automat – również wymierzony w niego.

Lindén nie podniósł rąk, nie odwrócił się w stronę drzwi.

Nic nie zrobił.

A ta wielka metalowa faja rosla, była coraz bliżej.

Każdego dnia przez całe siedem lat wyobrażał sobie taką chwilę, za każdym razem, kiedy skanował wzrokiem zbiorowisko ludzi, przygotowywał się na coś takiego, a teraz, gdy do tego wreszcie doszło, przebiegało całkiem inaczej, niż myślał. Nie mógł przecież wiedzieć, że wszystko zacznie się właśnie w klatce piersiowej, tam w środku, a potem będzie podnosić się coraz wyżej, do samego gardła. I że nie pozbędzie się tego nawet, gdy zacznie krzyczeć.

– *You open fucking door!*

I wtedy zrozumiał. Nie pozbył się tego, bo to nie on krzyczał. To ktoś inny. Obok niego. Jeszcze jeden. Stał za boczną szybą. Druga twarz zamaskowana w ten sam sposób, czarny materiał na brodzie, nosie, policzkach aż po same oczy. Ale całkiem inny głos. Zdesperowany. Nie brutalniejszy i nie mocniejszy, tylko bardziej zdesperowany.

Ktoś tu umrze. Właśnie to czuł w piersi. Śmierć.

Szyba popękala, okropny hałas, przez myśl przemknęło mu jedynie, że to taki hałas, jakby ktoś stał obok i do niego strzelał. Odnotował dwa strzały i rzucił się do tyłu, plecy i głowa wciśnięte w oparcie, trzecia kula musnęła mu brodę i krtań, czwarta trafiła w tablicę rozdzielczą, a piąta w drzwi pasażera, podczas gdy on odruchowo uruchomił połączenie alarmowe z centralą.

– *You open door!*

Opróżnienie magazynku z trzydziestu sześciu nabojuw zajmowało trzy sekundy. Aby oddać pięć strzałów w szybę samochodu, wystarczyło nacisnąć spust na pół sekundy, ale Jasperowi wydawało się, że trwa to wieczność.

– *You open or you die!*

Leo stał dalej na masce furgonetki z bronią wymierzoną w ochroniarza wciśniętego w fotel kierowcy, podczas gdy Jasper łufą swojego automatu uderzał w częściowo roztrzaskaną pancerną szybę, dopóki drugi ochroniarz, ten, który leżał na podłodze, nie podniósł rąk nad głowę.

Samuelson patrzył na Lindéna. Z jego szyi lała się krew. Nigdy by nie pomyślał, że krew może być taka czerwona, kiedy jest zupełnie świeża. Podniósł się, z rękami w górze, otworzył drzwi po stronie pasażera i wpuścił tego z maski do środka. Napastnik natychmiast przyłożył automat do jego skroni i łamanym angielskim zażądał, żeby otworzyć służbę do komory sejfowej. Samuelson usiłował wyjaśnić. Ale nie znajdował słów. Angielskich. Naprawdę chciał wytłumaczyć, że od tej chwili służa jest zablokowana kodem i dlatego można ją otworzyć tylko z centrali. Szukał słów, których nie miał, podczas gdy człowiek w masce słuchał i czekał, patrzył spokojnie, z opanowaniem, nie tak jak tamten z desperackim głosem, który strzelał w okno. Ta twarz należała do kogoś, kto decydował, co do tego Samuelson nie miał wątpliwości, zwłaszcza gdy poczuł, że lufa coraz mocniej wbija mu się w skroń.

Lindén siedział skulony na fotelu kierowcy, krew ciekła mu po szyi.

Samuelson głośno płakał na podłodze gdzieś obok.

Dłoń opanowanego mężczyzny w masce obmacywała mu kieszenie – spodni, kurtki, koszuli. Szukała i wreszcie znalazła pęk kluczy.

Zdesperowany wrzeszczał i szturchał go łufą w pierś, kiedy nie ruszał się wystarczająco szybko.

– *Start engine!*

Lufa pistoletu przesunęła się do ust. Wcisnęła się między wargi.

– *You start! Or I shoot!*

Czuł zimny metal między wargami i na języku, kiedy pochylił się nad tablicą rozdzielczą, cztery cyfry, warunek, żeby móc uruchomić silnik.

– *I kill! I kill!*

Dłoń pozbawiona wszelkiego czucia, palce nieposłuszne woli. Wbił kod jeszcze raz, przekreślił kluczyk i samochód zapalił.

Jasper przejechał powoli w górę po stromej rampie i przez chodnik skierował się w stronę pętli autobusowej i wyjazdu do parkingu. Nikt nie odnotował pięciu strzałów; po pierwsze, ich odgłosy stłumił mur otaczający zjazd, po drugie, huk rozplynął się w wielkomięjskim zgielku. Ktoś z głośnym śmiechem odszedł od budki z kiełbaskami z chorizo w ręce, ktoś inny rozłożył futerał gitary na asfalcie i zaczął śpiewać – ludzie stali, siedzieli i chodzili pod parasolkami w słabym deszczu.

Zaledwie kilka metrów od rampy życie toczyło się tak, jakby nic się nie stało.

Jeśli będą jechać z normalną prędkością, jeśli nie będą zwracać na siebie uwagi, wtedy w spokoju zdołają opróżnić komorę i zniknąć.

– *Open inner door.*

Leo podniósł pęk kluczy i podał go jednemu z ochroniarzy. Przecież na pewno jest w tym pęku klucz do seifu za zamkniętymi drzwiami śluzy.

– *The door, please, believe me, please...*

W sefście kryło się siedem innych kluczy do siedmiu kaset z utargiem z siedmiu punktów, w każdym po dobrym milionie.

– *...please, the door is locked. With code. Special code! Can only be opened from head quarter... please, please...*

– *You open. Or I shoot.*

Szybki rzut oka przez okno.

Leo rozpoznawał domy przy Larsbodavägen, ścieżkę rowerową pod Farstavägen, estakadę nad Nynäsvägen.

Za szybą sztokholmskie przedmieścia. A tutaj – jeden ochroniarz na podłodze, jakby pogrążony we własnym świecie, żeby nie brać w tym wszystkim udziału, i drugi, z zakrwawioną brodą i szycją, ciągle paplający:

– *Understand? Please! Only... only open at head quarter.*

Zostało kilka minut, nie więcej.

Nynäsvägen, Örbyleden, Sköndalsvägen. Kolejne domy, boisko do piłki nożnej, szkoła.

A tam, na samym szczycie stromego wzgórza, które za chwilę mieli minąć, jakby coś błysnęło, kiedy omiotły je reflektory samochodu.

Czy ktoś za nimi jechał? Jeśli tak, to nie może dotrzeć dalej niż do tego miejsca.

Felix oddychał powoli.

Wdech. Wydech.

Leżał już od dwudziestu czterech minut w wysokiej, mokrej trawie na czubku wzgórza, na które często wbiegali jako dzieci, by potem się z niego sturlać, tuż przy wjeździe do Sköndal i całkiem blisko białego i niedużego domku, w którym kiedyś mieszkali babcia i dziadek.

Broń drżała, wdech, wydech, każde zaczerpnięcie powietrza oznaczało zgubienie rytmu i rozpoczynanie od nowa, wdech, wydech, jedna dłoń na kolbie z palcem wskazującym na spuście, druga w połowie lufy, a oko wpatrzone w celownik.

Nynäsvägen leżała daleko w dole, a miał wrażenie, że mimo odległości może jej niemal dotknąć. Rozmyta smuga światła z samochodowych reflektorów. Auta na jednej z najbardziej ruchliwych sztokholmskich tras szybkiego ruchu. A dalej Farsta Centrum, fasady domów rozświetlone blaskiem neonów. To w tamtą stronę kierował niespokojną lufę automatu, bo właśnie stamtąd miał nadjechać Leo.

Zaparkował samochód za terenem domków letniskowych i przeciął go spacerem z torbą zarzuconą na ramię, pozdrawiając skinięciem głowy ludzi grabiących liście i przycinających krzewy na małych działkach. Potem przeszedł przez gęsty las, aż do wzgórza, i położył się na nim dokładnie o 17:40, tak jak uzgodnili, kilka minut przed napadem i przejściem obiektu.

Wszystko zgodnie z instrukcjami Leo, które kotłowały się w jego głowie.

„Felix – najpierw odbezpieczasz. Mierzysz”. Nabierał głęboko powietrza i je wydychał. Gotowy. „I strzelasz. To bardzo proste, bracie”. Jeśli są śledzeni, jeśli tak by się stało, Leo nigdy nie dopuściłby do tego, żeby ogon dotarł dalej niż do estakady nad drogą. „Przecież ja, do cholery, nie mogę ich zastrzelić, chyba to kapujesz, ja nie mogę ich... zabić”. Kiedyś trzymał inną broń w ręce, owszem, trzymał, na jakimś szkoleniowym strzelaniu w skradzionych ciuchach obrony cywilnej, ale to była tylko zabawa. „Felix, posłuchaj mnie, sam ci ją ustawiłem i nie możesz spudłować. Poza tym tutaj

nikt nie przyjdzie i nikomu nic się nie stanie. Właduj kulkę w silnik i już". Tamto to była zabawa. A tu jest na poważnie. „A jeśli będę musiał strzelać, Leo, jeśli trafię w szybę, jeśli...” Wdech, wydech. Trząsał się chyba jeszcze bardziej, lufa też mocniej drżała. „Widzisz tamto drzewo? I estakadę nad drogą? Będziesz trzymał broń o tak, w celowniku musisz widzieć balustradę, i kiedy samochód pokaże ci się... tutaj, na muszce, naciśniesz spust. To amunicja smugowa. A oni będą myśleli, że ostra”. Przekreślił zegarek, który zajmował strasznie dużo miejsca na ręce, normalnie nie nosił zegarka, bo to Leo zawsze pilnował czasu. „Żadnego myślenia, Felix. Strzelec trafiający do celu nie myśli. Koncentruje się. Koncentracja, Felix!” 18:04. 18:05. Powinni już tu być. Jeśli porwali samochód. „Dasz radę?” Jeśli udało im się obezwładnić ochroniarzy. „Tak, dam radę”. Jeśli są w drodze. „Jesteś pewien, Felix? Chyba wiesz, że liczę na ciebie?”

Tam. Biała furgonetka.

Nie.

To nie ta. Była biała i duża, ale to nie furgon do przewożenia pieniędzy.

18:06. Dwie minuty spóźnienia. Dwie i pół.

Przekłęta broń, ślizgała mu się w dłoniach, drżała.

Trzy minuty. Trzy i pół.

Jest. Jest!

Dostrzegł dach białej furgonetki, na estakadzie, na wysokości ostrego skrzyżowania w lewo, wpatrzył się w wizjer i za kierownicą zobaczył twarz zakrytą identycznym czarnym golfem, jaki miał na sobie, potem przeniósł spojrzenie na przestrzeń za oboma siedzeniami: Leo przycupnął przed dwoma postaciami na podłodze, jedna z nich trzymała ręce w górze.

A potem zobaczył coś jeszcze. Za furgonetką. Auto osobowe, dwie osoby z przodu.

„Jeżeli będą za nami jechać, to albo policyjnym oznakowanym radiowozem, albo jakimś cywilnym autem, zawsze czarnym – saabem 9 albo volvo V70”. Ten był czarny. Upewnił się, kiedy przesunął łufę na bok. Tylko nie wiadomo, jaki to model. „Musisz poszukać po prawej stronie. Jak zobaczysz takie dodatkowe boczne lusterko, na pewno od razu je rozpoznasz, to będziesz wiedział, że to psy po cywilnemu, i wtedy wypalisz całkiem spokojnie”.

Szukał przez wizjer.

Nie miał pewności. Jest dodatkowe lusterko czy nie? Nie mógł tego dostrzec.

Skierował łufę na maskę czarnego samochodu.

Leo spojrzął na ochroniarzy, na Jaspera, który prowadził, i na zewnątrz przez okno, kiedy mijali wzgórze. Szczyt był świetnym miejscem do oddania strzału – z samej góry aż do estakady. A AK 4 miał specjalny celownik, który zamówił i który był tak inteligentnie skonstruowany, że z odległości trzystu metrów mógł trafić dosłownie w każdy cel.

Jeśli ktoś za nimi jedzie, wystarczy jeden jedyny strzał.

Felix drżał. Czarny samochód był wciąż blisko. Za blisko.

„Potem czekasz i nie odchodzisz z miejsca ani nie opuszczasz broni, zanim cię nie minimy, a ty się nie upewnisz, że nie mamy ogona”.

Biała furgon do przewożenia pieniędzy skrzyżował w lewo na skrzyżowaniu Ågesta Brovåg z Perstorpsvägen. Zgodnie z planem. Trzydzieści metrów za nią wciąż jechał ten sam samochód.

Wdech, wydech.

Celował w przód, w maskę, coraz mocniej naciskając spust.

Aż wreszcie czarne auto osobowe, które być może miało dodatkowe lusterko boczne, odbiło w prawo. Przyspieszyło. I zniknęło.

Felix już się nie trząsał, tylko dostał dreszczy.

Dwie osoby w drodze do domu. Jeden ruch palca wskazującego dzielił je od śmierci, ponieważ znalazły się na niewłaściwej drodze w niewłaściwym czasie.

Podniósł się z mokrej trawy, włożył broń do torby i ściągnął zakrywającą mu twarz maskę, która znowu stała się zwykłym golfem. Pobiegł w dół wzgórza, potem przez las i teren z działkami, było ciemno, przewrócił się, zawadzając o niski i ostry plot, upuścił torbę, ale szybko wstał i popędził w stronę samochodu zaparkowanego u podnóża wzniesienia.

Minęli wzgórze. Felix nie strzelił.

Nie są śledzeni.

Leo spojrzął na zamknięte drzwi komory sejfowej. W środku czekało kolejnych siedem utargów – osiem, dziewięć, a może dziesięć milionów koron.

Spóźnili się o sekundę.

Ochroniarz zdążył wbić kod, stalowe drzwi się zasunęły i odcięły sejf z zawartością. Powinni byli otworzyć i opróżnić wszystkie skrytki przed dotarciem na miejsce zbiórki. Teraz było to już niemożliwe. Ale wciąż jeszcze mieli czas, żeby odstać od planu.

– *Where... please, please, do you take us?*

Na miejscu zbiórki mogliby ewentualnie spróbować przestrzelić zamek w drzwiach – powstałby za duży hałas.

– *What... please, I beg you, please... will you do with us?*

Mogliby zmusić kogoś w centrali do otworzenia na odległość – to zajęłoby za dużo czasu.

– *I have... please please please please... I have children.*

Ochroniarz, który leżał na podłodze i trochę krwawił, sięgnął jedną ręką do wewnętrznej kieszeni munduru i Leo uderzył go z całej siły kolbą w ramię.

– *You stay put!*

Mężczyzna zamarł, ale tylko na chwilę. Jego dłoń znowu sięgnęła pod górną część munduru, wyjęła coś ze środka.

– *My children! Look! Pictures. Please. Please!*

Dwa zdjęcia wyciągnięte z portfela.

– *My oldest. He is eleven. Look!*

Chłopiec na zwirowym boisku. Szczupły, blade. Piłka pod jednym ramieniem. Włosy miał mokre od potu, a na nogach zsunięte nisko biało-niebieskie podkolanówki. Uśmiechał się nieśmiało.

– *And this... please, please look... this is... he is seven. Seven!*

Stół w jadalni albo w jakimś pokoju, wszystkie krzesła zajęte, chyba przyjęcie urodzinowe, goście odświeżni ubrani, biały obrus i duży tort. Chłopiec z brakującymi z przodu zębami pochyła się nad świeczkami i za chwilę je zdmuchnie.

– *My boys... please, please, two sons, look, brothers...*

– *Turn around.*

Wyrwał mu oba zdjęcia i cisnął na podłogę.

– *Two boys, my boys... please!*

– *Turn around! On stomach! And stay!*

Ponton z miejscami dla czterech osób.

Ostatni odcinek po lśniącej tafli jeziora Drevviken. Jeszcze jeden duży łuk, dłoń na rumplu dwutaktowego silnika, kiedy po lewej stronie zobaczył światła za pasmem lasu – Farsta Centrum. Przed nim na wprost rozciągała się w ciemności plaża kąpieliska Sköndalsbadet.

Vincent wyłączył sinik, sunął bezgłośnie w stronę pomostu i brzegu. Pusto. Przez ostatnie dwa kilometry bał się, że dopłynie za późno.

Dobitł do pomostu, wysiadł z pontonu i wciągnął go między sitowie.

Teraz zrozumiał, dlaczego Leo wybrał to miejsce. Osłaniała je zatoka z kąpieliskiem, które o tej porze roku już od dawna było zamknięte. Tutaj mama często bywała w dzieciństwie w jego wieku, ale na wózkach.

Stał na długim drewnianym pomoście, który lekko się kołysał. Nieco dalej znajdował się drugi pomost, znacznie krótszy i znacznie starszy. Przypominał sobie lato, kiedy uczył się pływać. Leo dyrygował w wodzie i dyrygował na lądzie, i wymyślił nowe odznaczenie pływackie. Nazwał je Pomost, a on miał je dostać, kiedy będzie umiał przepłynąć dziesięć metrów dzielących stary pomost od nowego. Wymachiwał dziko rękami i wierzgał nogami i pewnego wieczoru, kiedy pozostali poszli do domu, pokonał cały odcinek, nie opierając ani razu stopy o dno, a Leo bił mu brawo i wręczył odznaczenie – spory kawałek drewna z wyrytym napisem.

Jedna z desek obluzowała się zbyt mocno – również nowy pomost zaczynał się starzeć. To ta sama deska, której chwycił się po ostatnim pływaniu, a potem trzymał się ręki Leo, żeby nie utonąć w zimnej

wodzie. Jego głos towarzyszył mu cały czas i nawoływał do skupienia. Nie rozglądał się, tylko myślał o kolejnym ruchu. Do przodu i następny zamach rąk.

Właściwie powinni już tu być. Albo on powinien być przy nich. Wszystko byłoby lepsze niż ta niepewność.

Zły zapach. Przytknął nos do dłoni, ręki, barku. Czuł wyraźnie, jak z jego porów wydobywa się woń, której nigdy dotąd nie czuł, silna, intensywna, dławiąca – woń niepokoju, a właściwie strachu, który nie mógł pomieścić się w środku.

Przyklęknął nad lśniąca lustrzaną taflą i optukał sobie twarz lodowatą wodą.

Automat wbił mu się w plecy, poprawił go więc trochę. Dostał go od Leo w przedpokoj, zanim się rozdzielili. „Lufa zawsze do dołu, jeśli go nie używasz – wbił mu do głowy starszy brat, udzielając ostatnich instrukcji. – Odbezpieczyć, zabezpieczyć, odbezpieczyć”. Na koniec chwycił go mocno za ramiona. „Pamiętaj, Vincent, że to ty decydujesz, a nie broń”. Wziął ją od niego i włożył do sportowej torby, a potem patrzył, jak odjeżdżają dwoma samochodami firmy budowlanej. Później poszedł sam przez Skogås obok szkoły do dróżki nad brzegiem Drevviken i dotarł do niewielkiego obniżenia terenu między dwiema skałami. W nieprzeniknionej ciemności rozgarniał suche gałęzie i świeże igły, aż w końcu zobaczył coś żółtego i niebieskiego. Zaciągnął ponton na sam brzeg i zepchnął go na wodę, szarpnął linkę silnika, wiedząc, że dopłynięcie do Skøndalsbadet zajmie mu czterdzieści pięć minut.

Wciąż cicho. Wciąż ciemno.

18:11.

Powinni już tu być.

Felix biegł ze wzgórza przez las i teren działek ku samochodowi. Najpierw wąską żwirową ścieżką, a potem trochę szerszą asfaltową dróżką, aż w końcu znalazł się przy estakadzie, którą jeszcze nie tak dawno miał na celowniku. Serce zaczęło bić mu nieco równiej, może trochę łatwiej było mu utrzymać stabilnie kierownicę – kiedy usłyszał syrenę.

I zobaczył pulsujące niebieskie światło.

– Vincent, gdzie jesteście?

– Wciąż tu stoję. Przy pomocy. I czekam.

„Komórki można użyć wyłącznie w sytuacji ostatecznej”.

– Wciąż... stoisz?

To jest sytuacja ostateczna.

Słaby głos Vincenta.

– Tak. Nadal sam. Jeszcze nie przyjechali.

– Kurwa... kurwa.

– Felix?

– Kurwa!

– Felix, co się...

– Właśnie mijają mnie pieprzone psy! Za kilka minut będą u ciebie!

Vincent wpatrywał się w komórkę, z której dobiegał głos Feliksa. Strach jeszcze intensywniej wydobywał się z jego porów.

I wtedy go zobaczył, usłyszał.

Samochód zatrzymał się i światło reflektorów padło na okna kąpieliskowej przebieralni w baraku przy plaży.

A potem – głosy.

Głośnie. Prawie krzyk.

Leo sprawdził godzinę.

18:12.

Nie mieli za sobą ogona w punkcie kontrolnym. Wciąż mieli czas, żeby sforsować zamknięte drzwi służące im od kolejnych dziewięciu milionów koron zapakowanych w płócienne worki. Właśnie miał wysiąść – pusty dwudziestopięciometrowy basen, kilka samotnych huśtawek i plaża jeziora Drevviken – kiedy Jasper wyciągnął ochroniarza.

– Open! Or I shoot!

Widział to już w samochodzie. Dwóch facetów doprowadzonych do ostateczności.

– *I... can't. I can't.*

Jasper wyprostował się i wcisnął lufę automatycznego karabinu ochroniarzowi w usta.

– *I shoot!*

A ochroniarz klęczał i płakał.

– *Please! Please, please, please, please!*

Jasper wyciągnął lufę i zrobił dwa kroki do tyłu, uniósł broń. Kiedy się pochylił i przeniósł cały swój ciężar na lewą nogę, przyciskając mocno kolbę do ramienia, czarny ciężki but zapadł się w trawie. Palec na spuście, oczy bez kontaktu.

Vincent usłyszał strzały.

Nie jeden. Nie pięć. Dwadzieścia, może trzydzieści.

Wiedział, że nie wolno mu dopuścić, aby ktoś go zobaczył. Miało być tylko dwóch napastników.

Tylko ich mieli widzieć ochroniarze z furgonetki i potem tak zeznać.

Ale Felix zadzwonił. Ci, którzy jechali za nimi, byli blisko. Nie miał wyboru.

Ból głęboko przeszył prawe ramię. Jasper opróżnił cały magazynek i podbiegł do drzwi, poruszył nimi.

Ani drgnęły.

Sięgnął ręką pod kurtkę, do kamizelki. Po nowy magazynek.

Wtedy usłyszał kroki.

W ciemności, coraz bliżej.

Odrzucił się w tamtą stronę, broń przed sobą, gotowa do strzału.

Vincent nie miał wyboru – musiał ich ostrzec. Pędził po delikatnym piasku i trawniku, na którym w innym czasie kładli swoje ręczniki kąpielowe, biegł, dopóki nie zobaczył zarysów samochodu, a obok niego Leo i Jaspera.

Jasper skierował broń w stronę, skąd dochodziły kroki. Zbliżały się.

Czyjaś twarz. Był tego pewien. Tam, w ciemności.

Zaraz strzeli.

Leo usłyszał kroki. I zobaczył, że Jasper zwraca broń w tamtym kierunku. Widział, jak przyciska spust, a potem odniósł wrażenie, że skądś zna ten odgłos, ten sposób poruszania się, stawiania stóp. Już wiedział – rzucił się do przodu, chwycił lufę i ją uniósł.

– Felix dzwonił, powiedział, że...

To ktoś, kogo Leo rozpoznał, kto nie powinien tu być, kto właśnie mógł zginąć, gdyby Jasper wystrzelił, i kto przyciskając usta do jego ucha, szeptał mu coś teraz.

– ...psy są w drodze, minęły punkt kontrolny!

Leo mocno chwycił swojego najmłodszego brata.

„Miałeś zostać przy pomocy”.

– Wracaj.

„Mogłem cię stracić”.

– I przygotuj łódź do odpłynięcia.

Leo spojrział na Jaspera i na nienaruszone stalowe drzwi. Muszą się pospieszyć. Jeśli nie było to konieczne, Vincent nie powinien robić nic wbrew rozkazom.

– *Leave, now.*

Wykorzystali już swoje dziewięć minut z Farsta Centrum na brzeg Drevviken. Dał im jeszcze kolejne cztery. Nie mieli więcej czasu.

– *Now.*

Jasper zobaczył niebieskawe światło przebijające przez korony drzew. Pozycja strzelecka. Nadal miał pełny magazynek, trzydzieści sześć strzałów. Leo będzie musiał poczekać. Chciał tu zostać, spotkać tych drani.

– *Now!*

Światło i syrena. I Leo, który krzyczał.

Jasper zaczął biec, ale nie w stronę łodzi – popędził jeszcze do ochroniarzy.

– *Sharmuta, we know your names.*

Nie spuszczać z nich wzroku, zerwał im plakietki identyfikacyjne przypięte do kieszeni na piersi. Nazwiska, numery służbowe.

– *If you ever talk.*

Trzymetrowej długości ponton sunął przez sitowie. Leo z przodu, Jasper pośrodku i Vincent z tyłu, z linką startową w dłoni.

Pociągnął. Nic. Pociągnął znowu.

Nic się nie wydarzyło.

– No dawaj, kurwa mać!

Miał zdrętwiałe i mokre palce, wciąż się ześlizgiwały. Szarpnął kilka razy, ale bez skutku.

– Ssanie, Vincent, ssanie!

Czworokątny guzik cały wyciągnięty. Mocne szarpnięcie za linkę.

I silnik ożył.

Leo spojrział na swojego młodszego brata, tego, który zawsze był taki mały; właśnie przed chwilą podjął decyzję wbrew rozkazowi, opuścił posterunek i ich ostrzegł. Widział niebieską poświatę za nim, wydawała się niemal ładna na czarnym tle; kiedy tylko wypłyną na otwartą wodę i znikną w ciemności, stracą ją z oczu.

John Broncks oparł głowę o szybę dużego okna. Poczul na czole chłód, niemal zimno. Nowo zasadzone drzewa stały w szeregu na wewnętrznym dziedzińcu komendy policji Kronoberg. Ich liście niedawno zrobiły się żółte i czerwone, a potem zbrązowiały i spadły na ziemię, gdzie leżały zdeptane.

Za dziesięć siódma, piątek wieczór.

Na zewnątrz niewiele się dzieje. Tutaj też niespecjalnie dużo.

Powinien iść do domu.

Może pójdzie, niedługo.

Korytarz wydziału dochodzeniowego. Wszedł do małej kuchenki i zagotował wodę. Wlał wrzątek do jednego z głębokich porcelanowych kubków, które ktoś kupił i zostawił. Dodał łyk mleka. To jego ulubiony napój. W dwóch pokojach paliło się światło. Cztery drzwi dalej, u Karlströma, i na samym końcu korytarza, u komisarza kryminalnego, który zbliżał się do emerytury, słuchał muzyki z lat sześćdziesiątych i regularnie sypiał na brązowej sztruksowej kanapie. Broncks nigdy nie zmieni się w kogoś takiego, kto spędza noc na komendzie, żeby uciec przed samotnością i nie wpaść w wielką czarną dziurę – nie musiał się tutaj zaszywać, wręcz przeciwnie, bardzo lubił wracać do domu, kiedy miał poczucie, że w pełni zasłużył sobie na wolny wieczór.

Ciepła woda w kubku nie miała smaku, ale łatwo splywała gardłem. Biurko Broncksa wyglądało tak samo jak wszystkie. Stosy teczek z aktami równolegle prowadzonych śledztw; inni koledzy zdawali się w nich tonąć, ale na niego działały podobnie jak jesień – ułatwiały mu oddychanie.

Prowadzący przesłuchanie John Broncks (JB): Leżała na ziemi?

Ola Erixon (OE): Tak.

JB: I wtedy... pan ją uderzył?

OE: Tak.

JB: W jaki sposób?

OE: Usiadłem na niej, na jej klatce piersiowej, okrakiem. I uderzyłem prawą ręką. I znowu.

JB: Znowu? Czyli kilka razy?

OE: Ona normalnie tylko udaje.

JB: Udaje?

OE: Tak, normalnie... udaje, że traci przytomność.

I tak każdego wieczoru. Mniej więcej o tej porze, gdy miał już iść do domu. Męczyły go przesłuchania i nie pozwalały mu przejść do czegoś innego, do tego, co za oknem.

Tomas Sörensen (TS): Zaprowadziłem go do jego pokoju i spytałem, czy coś mu się rzuca w oczy.

Prowadzący przesłuchanie John Broncks (JB): To znaczy?

TS: Pieprzona lampa była włączona. Przez cały dzień. No to dałem mu nauczkę.

JB: Co pan ma na myśli?

TS: Walnąłem go książką. W tył głowy. Żeby zrozumiał, że to kosztuje! Bo to nie było pierwszy raz.

JB: Że pan go uderzył?

TS: Że zapomniał wyłączyć lampę.

JB: Pana syn ma dopiero osiem lat.

(Cisza).

JB: Osiem.

(Cisza).

JB: Bił pan go dalej? Książką... Ciężką, w twardej okładce?

TS: Hm.

JB: A potem... Chciałbym, żeby spojrzal pan na te zdjęcia trochę niżej: plecy, tułów, kark, kość ogonowa.

TS: Ale chyba pan rozumie, że na to zasłużył?

Wieczór w wieczór trawił przesłuchanie za przesłuchaniem, w większości tego rodzaju. Problem tkwił jednak nie w człowieku, który bił. Ani w tym, który był bity. To nie o nich mu chodziło. Nigdy wcześniej ich nie spotkał, nie znał ich. To nie z ich powodu tutaj siedział, kiedy korytarz już opustoszał. Chodziło o samo bicie. Teczka za teczką, protokół za protokołem.

Erik Linder (EL): Nie posłuchała mnie.

Prowadzący przesłuchanie John Broncks (JB): To znaczy?

EL: Po prostu.

JB: I co pan zrobił?

(Cisza).

JB: Proszę spojrzeć na to zdjęcie. Według lekarza sądowego najpierw spowodował pan u ekspedientki pęknięcie kości szczękowej.

(Cisza).

JB: A tutaj – pęknięcie kości policzka.

(Cisza).

JB: Tu widać jej klatkę piersiową, kopnął ją pan kilka razy.

(Cisza).

JB: I nie ma pan nic do powiedzenia na ten temat?

EL: Wie pan co?

JB: Tak?

EL: Gdybym chciał ją zabić... to bym to zrobił.

I choć nie zaprzętał sobie głowy ludźmi, których nigdy nie widział i nie znał, za każdym razem, kiedy prowadził śledztwo w sprawie o ciężkie uszkodzenie ciała, stawał się coraz ostrzejszy, coraz bardziej się angażował. Ta siła go wciągała, nie pozwalała mu odpuścić, dopóki sprawca nie trafił do aresztu cztery piętra wyżej.

– John?

Pukanie do drzwi. Ktoś stanął w progu. Wszedł do środka.

– Jeszcze jesteś?

To Karlström. Kierownik wydziału dochodzeniowego. Jego szef. W płaszczu, z wyładowanymi papierowymi torbami w rękach.

– Wiesz, Karlström, że tylko na moje biurko trafia rocznie średnio pięćdziesiąt jeden spraw dotyczących użycia przemocy?

– Jak co wieczór.

Dwie kartki ze zdjęciami ciała kobiety. Broncks je podniósł.

– Posłuchaj tego: „Gdybym chciał ją zabić... to bym to zrobił”.

– A w weekend, John? Zamierzasz też tu siedzieć?

Inne fotografie z innej teczki. Też je pokazał.

– Albo coś takiego: „Ale chyba pan rozumie, że na to zasłużył?”.

– Skoro już jesteś, to chciałbym, żebyś odłożył to wszystko na bok.

Kolejne zdjęcia, niezbyt ostre, prawdopodobnie zrobione przez tego samego technika w identycznym szpitalnym świetle.

– Albo to tutaj, to chyba najlepsze: „Normalnie... udaje, że traci przytomność”.

Karlström wziął do ręki kartkę i odłożył ją na stertę na biurku, w ogóle na nią nie patrząc.

– John, słyszałeś, co powiedziałem? – Wskazał na zegar na ścianie za lewym ramieniem Johna Broncksa. – Godzinę i siedem minut temu w Farsta Centrum napadnięto na furgon z pieniędzmi. Zrabowano okrągły milion. Oddano strzały z broni automatycznej. Samochód wprowadzono do Sköndalsbadet. Oddano kolejne strzały, kiedy dwóch zamaskowanych przestępców próbowało dostać się do komory sejfowej.

Karlström wziął znowu zdjęcia do ręki i machnął nimi w powietrzu.

– Zapomnij o tym. Dla ciebie to zamknięte sprawy. Chcę, żebyś tam pojechał. Zajął się tym. Teraz. Natychmiast. – Uśmiechnął się. – Jest piątkowy wieczór, John. Masz całą sobotę. Może całą niedzielę,

jeśli ci się poszczęści.

Karlström zamierzał sięgnąć znowu po obie swoje torby i wyjść, gdy nagle się rozmyślił i z jednej z nich wyjął cętkowanego homara, jeszcze żywego, z odnóżami związanymi gumką.

– To mój wieczór. Domowej roboty ravioli. Listek bazylii na każdym krążku ciasta. Potem kładziesz mięso świeżego homara, starte trufle, dodajesz trochę soli, oliwy z oliwek. Związasz krążek w półksiężyc, starannie sciskasz na brzegach, zamykasz. Dzieci to uwielbiają.

John uśmiechnął się do szefa, który w każdy piątek po południu wybierał się do hali targowej na Östermalm, żeby najpierw spróbować znaleźć dobry antrykot, a potem siedzieć w kawiarni i zamartwiać się, że kurczak z wolnego wybiegu karmiony kukurydzą został wycofany z handlu.

Dla jednego homar z gumką recepturką. Dla drugiego napad rabunkowy na furgonetkę z pieniędzmi.

Będziesz miał weekend, jaki chcesz. A ja taki, jaki też chciałem.

Felix nie czuł zimna. Mimo że był nagi. Nie marzył z tego samego powodu, z jakiego nie strzelił do czarnego samochodu, zanim ten skręcił. Z powodu właściwego tylko jemu spokoju.

Gdyby to trzy lata starszy Leo leżał na jego miejscu na wzgórzu i celował do jadącego za nimi samochodu, na pewno by strzelił – na wszelki wypadek. Vincent, cztery lata młodszy, który wyrastał w ciepłarnianych warunkach, też by wypalił – z powodu paniki. A gdyby znajdował się tam Jasper, który tak strasznie chciałby być ich czwartym bratem, także by strzelił – bo nadarzała się okazja.

Felix rozejrzył się po ciemnym lesie, popatrzył na ciemną wodę.

Siedział w samochodzie, kiedy zobaczył niebieskie światło, i zadzwonił do Vincenta, który wciąż czekał, sam. Potem, tak jak się umówili, przyjechał tutaj. Żeby też czekać, sam.

Teraz stał boso na wilgotnej skale.

Wciągnął na siebie obcisły kombinizon pletwonurka, cienki, z krótkimi rękawami i nogawkami, żeby zredukować siłę oporu, bo powinien przecież zanurzyć się głębiej, sprawdzić, czy łódź rzeczywiście pójdzie na dno.

Trzymał w dłoni zapaloną latarkę. Przeszukiwał wodę, na której widać było białe grzywy fal i nic poza tym.

Cicho. Za cicho.

Chyba że po prostu nie słyszał. Może wiatr tłumił odgłos pontonu z silnikiem Mercurya.

Błysnęła latarką – trzy razy zielonym światłem.

Sygnal.

Łagodnie wcięta zatoka, potem ostry cypel i linie wysokiego napięcia, które spinały oba brzegi jak grube sznury do prania ponad ich głowami, wreszcie wyloniły się strome skały.

Tam. Po drugiej stronie.

Nadal byli daleko, a drzewa przesłaniały widok, Leo dostrzegł jednak słabe światło, trzy niezbyt wyraźne zielone błyski.

– Vincent?

– Tak?

– Zamieńmy się miejscami.

Leo ćwiczył wcześniej nawigację w tej ciemności. Jeszcze kawałek i powinni znaleźć się blisko brzegu, między niewidocznymi ostrymi kamieniami. Sciskając rumpel, zmniejszył szybkość, a potem stanął w dryfie.

– Vincent, kurwa, udało się!

Najmłodszy z braci siedział najbliżej Jaspera, który otoczył go ramieniem.

– Słyszysz, Vincent! Jeszcze żaden cwaniak do tej pory tak sprytnie nie uprowadził furgonetki z pieniędzmi!

Czuł radość Jaspera, naprawdę czuł, ale nie miał siły, żeby odpowiedzieć mu takim samym entuzjazmem.

– Co z tobą, kurde? Żle się czujesz? Udało się!

– Co ze mną? Przecież, psiamać, prawie mnie zastrzelili!

– Miałeś być przy łodzi. Skąd mogłem wiedzieć, że będziesz latał po okolicy?

– Gdybym was nie ostrzegł, gdybym...

– Zamknijcie się, obaj! A ty, Jasper, zdejmij perukę, włóż ją do torby i umyj twarz.

Leo jeszcze zmniejszył obroty, śruba obracała się coraz wolniej w czarnej wodzie, gdy sporym łukiem najpierw opłynęli skałę, a potem niewielkie wzniesienie.

Trzy błysnięcia. Zielone światło z każdą sekundą stawało się intensywniejsze, wyraźniejsze.

Sterował w jego kierunku. Zmierzali w stronę skały z dwiema rachitycznymi sosnami. I Feliksa, który stał na niej w skafandrze nurka, na bosaka.

Dotarli na miejsce.

Zeskoczyli na łódź, trzymając trzy automaty i jedną pancerną walizeczkę, która nie tak dawno leżała w kantorze wymiany walut. Felix przyniósł cztery identyczne torby Adidasa, które stały kawałek dalej w wysokiej trawie; były w nich dzinsy, kurtki oraz kije do hokeja. Wciągnął pletwy i włożył okulary z fajką, a pozostali pomogli mu wypełnić łódź dużymi kamieniami, które wcześniej przytargał na brzeg. Wspólnie obwiązali je długim sznurem, którego koniec przymocowali do silnika.

Leo, Vincent i Jasper zepchnęli ponton do zimnej wody w kierunku Feliksa, który popłynął obok niego na otwartą przestrzęń. Kiedy dotarli na środek zatoki, wciągnął się na szeroką plastikową burtę i długim nożem zaczął robić dziury w dnie i po bokach, a na koniec – gdy większa część powietrza wyleciała z sykiem i łódź zaczęła tonąć – wbijał nóż wszędzie, gdzie jeszcze sięgał.

Powoli zanurzył się pod powierzchnię.

Widoczność była słaba, co najwyżej na długość ręki, ale wiedział, że zgodnie z mapą jezioro ma w tym miejscu dobre dziesięć metrów głębokości. Zszedł za łodzią trzy, może cztery metry, a potem zawrócił. Tyle razy kąpali się tutaj jako dzieci, pływali i nurkowali w poszukiwaniu skarbów, których nie było, nigdy jednak nie dotarli do gliniastego dna, gdzie na zawsze uwięźnię ponton.

Gdy dopłynął do brzegu, wszyscy się przebrali. Poprawili kije hokejowe wystające z identycznych sportowych toreb. Przed nimi osiemnaście minut marszu normalnym tempem. Wąską ścieżką z wysokimi skałami po jednej stronie i wodą Drevviken po drugiej, przez las i błonie, obok hali sportowej szkoły Sjötorp, gdzie mogli poganiać za białymi krążkami hokejowymi, a potem minąć grupę jarzębin, gdzie się rozdzielił, żeby zejść się z powrotem z dwóch stron przed wiaduktem.

John Broncks wziął raport o napadzie na furgonetkę z pieniędzmi, zszedł do swojego samochodu w podziemnym garażu komendy, ruszył Drottningholmsvägen i przejechał przez Västerbron, po czym zatrzymał się na hot doga w 7-Eleven przy Hornstull. Pochłonięcie czterystu kalorii zajęło mu tyle samo czasu co innym wyrecytowanie przepisu na ravioli z homarem. Skanstull, Gullmarsplan, Nynäsvägen – wszędzie pełno ludzi u progu weekendu, zamieniali jedno życie na inne, zgodnie z kolektywnym systemem nagradzania.

Minęła godzina i siedem minut od otrzymania informacji. Od dwudziestu dwóch minut siedział w samochodzie. Gdy miał nadzieję, dobrze wiedział, że dwaj zamaskowani osobnicy, którzy napadli na furgonetkę i porwali dwóch ochroniarzy, byli już gdzie indziej.

Przyspieszył na wysokości Tyresövägen, ale myślami wciąż tkwił w dokumentach leżących na jego biurku. Mąż, który śmiertelnie pobił swoją żonę, a potem siedział przy niej, czekając na policję, i nie potrafił poradzić sobie z własnym łękiem przed samotnością, coraz większym po każdym uderzeniu. Ojciec, który zabrał swojego synka do lekarza i kazał mu kłamać, że obrażenia odniesione wskutek uderzeń twardą książką były spowodowane upadkiem z deski przy nieudanym manewrze. I mężczyzna milcząco na widok zdjęć maltretowanej ekspedientki, przekonany, że miał nad wszystkim kontrolę i dlatego mógł przestać wtedy, kiedy chciał. Broncks przysłuchiwał ich wszystkich w ostatnim tygodniu. I wszyscy się przyznali.

Zjechał z trasy szybkiego ruchu i wziął kurs na podstokholmską dzielnicę Sköndal. Najpierw minął szeregi niedużych bloków, potem okolicę willową, która na koniec przeszła w kąpielisko nad zatoką. O tej porze roku powinno być puste, ale dziś stały tam trzy policyjne radiowozy, ambulans i otwarta furgonetka do przewozu pieniędzy.

Będziesz miał weekend, jaki chcesz. A ja taki, jaki też chciałem.

W górze huczał helikopter, w oddali ujadły psy. Porozmawia z ich opiekunami trochę później. Najpierw biała furgonetka. Podszedł bliżej: pięć dziur po kulach w bocznej szybie. Na ziemi leżał jeden z ochroniarzy, zajmował się już nim personel karetki. Na brodzie i na szyi widoczna zaschnięta krew – to nie były groźne obrażenia. Te prawdziwe i najgroźniejsze, które pozostaną, są niewidoczne dla oczu.

– Nie teraz.

Młoda kobieta w zielonym uniformie z czerwoną plakietką identyfikacyjną na piersi skinęła na Broncksa, a potem niemo wskazała głową na ochroniarza, który leżał i błędził gdzieś wzrokiem, nic nie widząc; jego mózg nie pracował, jakby wyłączył się w odruchu samoobrony.

– Okej. Kiedy?

– Jest w szoku.

– Kiedy?

– Na razie go pan nie przesłucha. Czy to jasne?

Broncks podszedł do drugiego ochroniarza, który raz za razem okrążał białą furgonetkę.

– Dzień dobry, nazywam się John Broncks i chciałbym...

– To ja. Rozumie pan? To ja wpuściłem ich do środka.

Jeszcze szybciej, jeszcze bardziej nerwowo zaczął krążyć dookoła samochodu.

– Inaczej już byśmy nie żyli. Rozumie pan? Strzelili przez okno. Ale potem śluza, Lindén ją zamknął, a oni chcieli się do niej dostać, chcieli... i znowu zaczęli strzelać.

– Co za śluza?

– Do komory sejfowej. Z resztą pieniędzy.

Przednie drzwi były otwarte. Broncks zajrzał do wnętrza pojazdu.

– Dobrze wiedzieli, że jest więcej kasy. I tamten strzelał. Ten zdesperowany, ten, co wygrażał i krzyczał. Magazynek w takim automacie mieści trzydzieści sześć nabojęw, słyszał pan?

John Broncks podszedł bliżej. Krew, szkło i łuski nabojęw na siedzeniach i na podłodze. Na tablicy rozdzielczej, pod warstwą odłamków, pokwitowanie: „Forex Dworzec Główny 3001”.

– Krzyczał, a potem... Chciał koniecznie dostać się do środka.

Ochroniarz przystanął za nim, gotowy znowu podjąć swoją wędrówkę.

– Ten zdesperowany. Jeden z tych Arabów.

– Arabów?

– No tak. *Jalla jalla. Sharmuta*. I takie tam. A reszta w lamany angielskim.

Plastikowa torba. Między siedzeniem kierowcy a fotelem pasażera. John widział już tego rodzaju torby wcześniej, w innych transportach bankowych.

– Ile?

Ochroniarz właśnie ruszył.

– Halo... Ile jest jeszcze w środku?

Złamany głos, ale wyraźny, mimo że mężczyzna był odwrócony plecami.

– Osiem utargów z ośmiu kantorów. Jakiś milion w każdym. Zabrali jeden.

Trzy patrole na miejscu. Dwa psy. Jeden helikopter. Blokady na drogach, technicy kryminalni. I dwóch mówiących po angielsku sprawców o arabskim wyglądzie, którzy napadli, uprowadzili furgonetkę z pieniędzmi i przyjechali na kąpielisko, żeby spróbować przestrzelić zamki i dostać się do sejfu. A potem zniknęli alejkami przecinającymi dzielnicę willową albo ścieżkami nad brzegiem jeziora.

Ochroniarz, który nazywał się Samuelson, wciąż krążył wokół niego i samochodu. Broncks wodził za nim wzrokiem – za kimś, kto nie wiedział, dokąd zmierza – gdy kobieta w zielonym uniformie zawołała:

– Jest lepiej. Pięć minut.

John Broncks zwrócił się w stronę noszy z drugim ochroniarzem; przywitali się – zimna, wilgotna i bezwładna dłoń.

– John Broncks, policja kryminalna, komenda śródmieście.

– Jan Lindén.

Ochroniarz o nazwisku Lindén usiłował się podnieść, ale zachwiał się i stracił równowagę, więc Broncks chwycił go i pomógł mu się znowu położyć.

– Może powinienem...

– Ten złodziej... on był... jakby pochylony.

– Pochylony?

– Ten, co wcisnął mi tę cholerną... co wcisnął mi do ust.

– Pochylony? Jak?

– No... Miał nisko położony punkt ciężkości, rozumie pan? Kiedy do mnie celował.

Mężczyzna wyciągnął nogi i ugiął je w kolanach, żeby to pokazać.

– O tak... jakby trzymał broń nad sobą. Na ugiętych nogach. I w bucie, który się zapadał.

– Zapadał?

Znowu podniósł się z noszy. Tym razem poszło mu lepiej.

– Powiedział pan coś o bucie, który się zapadał.

Ochroniarz zaczął iść.

– Muszę do domu.

Kobieta z ambulansu i Broncks ruszyli za nim i równocześnie ujęli go pod rękę.

– Zabrali mi identyfikator. Wiedzą, gdzie mieszkam.

Próbował im się wyrwać, nie starczyło mu jednak siły.

– Moje dzieci, rozumiecie? Muszę do domu!

I wybuchnął płaczem. Pielęgniarka ostrożnie zaprowadziła go do noszy, a przesłuchanie zostało przerwane; miało być kontynuowane dopiero następnego dnia.

Broncks znowu został sam.

Samochód stał przed nim jak oświetlony rekwizyt na trawniku, a w środku krzątał się jeden z techników kryminalnych. Na brzegu jeziora za jego plecami przesuwali się snopy światła, gdy pozostali technicy przemieszczali się z jednego pomostu na drugi.

Niejeden raz widział strach. Orientował się, jak wygląda, rozpoznawał go od razu. I nauczył się, że tego rodzaju strachu nie da się opanować.

Przemoc.

Kto wzbudza w innym człowieku przerażenie w tak świadomy sposób? Kto tak wykorzystuje strach?

Ktoś, kto sam go kiedyś przeżył.

Kto wie, jak on działa.

John ruszył w kierunku wody i błędzących światła. Mieli dobrze opracowany plan – miejsce, czas. Byli uzbrojeni po zęby. Nie cofnęli się przed użyciem przemocy. Zachowali zimną krew przy porwaniu. Wybrali odległy cel. To nie byli początkujący rabusie, żadni debiutanci – prawdopodobnie już wcześniej przeprowadzili podobne napady.

Podszedł do długiego pomostu otoczonego gęstym sitowiem.

Również tutaj pracował ktoś z latarką.

Czasami po prostu wie się od razu.

Poza snopem światła latarki wszędzie zalegała ciemność. Ale tylko jeden jedyny człowiek na całym świecie poruszał się w ten sposób. Broncks podszedł jeszcze bliżej. Wtedy jej postać stała się wyraźniejsza.

– Benzyna.

Nadal wyglądała młodo. W przeciwieństwie do niego, z czego zdawał sobie sprawę.

– A tutaj, na pierwszych deskach, trawa i ziemia.

Przykucnęła, kierując światło na taflę wody i lśniącej krople benzyny.

– Tędy uciekli.

To wszystko. Nie powiedziała ani słowa więcej, odwróciła się i go zostawiła. Poszła do furgonetki, żeby na kłęczkach razem z kolegą szukać w podczerwieni tego, czego nie dało się zobaczyć.

Spojrzała na niego, jakby w ogóle się nie znali.

Przez pierwsze lata myślał o niej codziennie, po kilka razy każdego dnia. Chciał znowu się z nią spotkać. Denerwował się, miał nadzieję i marzył. Potem zdarzało mu się to może już nie codziennie, ale prawie. No a teraz... Nawet głupiego „cześć” ani uśmiechu.

Dziwne uczucie. Jakby człowiek nie istniał.

John Broncks wszedł na pomost. Farsta leżała po drugiej stronie tej wody, za drzewami. A w przeciwnym kierunku jedna za drugą ciągnęły się podmiejskie miejscowości. Tysiące miejsc do zacumowania dla niewielkiej łodzi.

Miała rację.

Uciekli tędy. Przesłuchujący się przed brutalną przemocą, profesjonaliści robiący to nie po raz pierwszy.

I pewnie nie ostatni.

Anneli trzęsła się z zimna, mimo to nie chciała zejść z balkonu. Stąd było widać słabo oświetlony tunel dla pieszych, a właśnie z niego powinien niedługo wyjść Leo. A papierosy, mindeny w zielonym pudełku, które miały smak mentolu i poczucia bezpieczeństwa, ogrzewały ją trochę, kiedy paliła jeden za drugim.

Zaparkowała samochód, wbiegła po schodach na górę i otworzyła drzwi mieszkania, a potem, nie rozbiegając się, przeszła przez przedpokój i duży pokój prosto na balkon i usłyszała syreny.

Poczuła niepokój.

Przecież nie miała pojęcia, co się działo. Mogła ich dopaść policja i właśnie do nich strzelać, Leo mógł zostać trafiony i w tej chwili umierać.

Przez długie tygodnie słuchała, jak wysadza się betonowy magazyn z bronią i opróżnia furgon przewożący pieniądze. Nie odzywała się, a gdy parę razy coś powiedziała, i tak nie zwracali na nią uwagi. Także Leo. We czterech tworzyli swego rodzaju wspólnotę, której częścią nigdy się nie stanie. Przy niej Leo zawsze wydawał się jakby nieobecny, za to gdy siedział razem ze swoimi dwoma braćmi i tym trzecim, samozwańczym, był z nimi duszą i ciałem. Już nie jadali razem. „Posłuchaj, czy mogłabyś kupić nam paluszki rybne, chrupiące kawałki dorsza, takie trochę większe, no wiesz, prawda?” Schudła trzy kilo, a trzy kilo to dużo jak na kogoś, kto i tak jest bardzo drobny. Nawet tego nie zauważył.

Kolejny papieros. Zaciągnęła się, by wypełnić dymem wewnętrzną pustkę.

Syren przybywało. Były coraz głośniejsze. Ryczały w jej głowie, mimo że zakryła sobie uszy. Weszła do mieszkania, zamknęła drzwi balkonowe, wypila drugą połówkę butelki wina, włączyła telewizor. 19:30. Wiadomości. Nigdy nie lubiła programów informacyjnych. Nie dotyczyły jej, siedzącej tutaj, w mieszkaniu w Skogås. Ta muzyka na początku, sygnał czołówki, który miał brzmieć podniośle, a był jak te syreny na zewnątrz. I obrazy ludzi leżących na popękanej, wysuszonej ziemi z napuchniętymi brzuchami albo osób w garniturach na tle elektronicznych ekranów z giełdowymi notowaniami czy mężczyzn biegnących przed kamerami na jakiejś wojnie i strzelających do innych.

Lektorka z przyklepionym do twarzy uśmiechem.

„Półtorej godziny temu dwaj uzbrojeni mężczyźni zrabowali ponad milion koron w wyniku napadu na konwój bankowy w południowym Sztokholmie”.

Usta. Tylko tyle widziała. Wargi, które poruszały się powoli.

„Ochroniarze zostali uprowadzeni razem z furgonetką; jeden z nich został postrzelony”.

Postrzelony.

Kto?

Anneli podeszła do telewizora i kobiety, której wargi wciąż się poruszały. Nie słyszałam, nie kapujesz! Kto? Powtórz! Jeszcze raz! Kto został postrzelony? Chwyciła pilota ze stolika przy kanapie.

„Znaczny obszar został zablokowany, policja nie natrafiła jednak na razie na ślad obu napastników i ich ewentualnych współpracowników”.

Teraz już wiedziała. „Ponad milion”. Słyszała niemal wszystko od początku. „Ochroniarze zostali uprowadzeni przy użyciu broni”. I mimo że ściszyła, dalej słuchała programu informacyjnego, który po raz pierwszy jej dotyczył. „Nie natrafiła na ślad”. Widziała także obrazy. A właściwie jeden jedyny obraz pokazywany w telewizji – porzuconej furgonetki. Za niebieskimi i białymi taśmami drżącymi na wietrze. A obok niej ludzie, których trudno było odróżnić – ktoś nosił mundur policyjny, ktoś inny miał na sobie jakiś uniform i siedział na ziemi, a ktoś jeszcze rozglądał się wkoło, czegoś szukając.

I na tym koniec.

Po migawkach ze szwedzkiego parlamentu nastąpiła relacja z głównej siedziby ONZ w Nowym Jorku.

Nie miała pojęcia, jak długo to trwało. Trzydzieści sekund. Może czterdzieści pięć. Ale to był ten samochód, chodziło o nich, o nią.

Znowu wyszła na balkon, zapaliła papierosa i wychyliła się mocno poza barierkę, żeby lepiej widzieć wiadukt i tunel dla pieszych, jej stopy prawie oderwały się od zimnej posadzki.

Syrena ucichły. Teraz słyszała tylko wiatr. I cichą muzykę z otwartego okna piętro niżej.

Czuła się lekka jak piórko, wychyliła się jeszcze bardziej. A jeśli wypadnie? Mieszkała wysoko i mogłaby zrobić sobie krzywdę.

To ona powiedziała Leo, gdzie jest perukarnia. To ona, przynajmniej tak to pamiętała, zaproponowała, że może zrobić z nich imigrantów. Umalowała ich i uczesała na próbę, najpierw za każdym razem tylko śmiali się do rozpuku. I to ona zaprojektowała i uszyła im golfy, które naciągnęli sobie na twarze, a Leo powiedział, że są tak dobre, że mogłyby je sprzedawać innym złodziejom.

Wreszcie się pokazali.

W świetle małych niskich latarni wyglądali jak białe piłki. Stała na balkonie, widziała ich z góry pod kątem i to dlatego najpierw dostrzegła buty, wynurzające się z tunelu buty Leo. Po chwili pokazały się kolana, uda, tułów i głowa, a krok za nim szli trzej pozostali. Każdy miał przewieszoną przez ramię torbę ze sterzczącymi kijami hokejowymi. Broń automatyczna i ponad milion koron leżały na spodzie.

Wreszcie byli.

Przepelniło ją takie samo ciepło jak wtedy, gdy się kochali i mocno obejmowali, i jak wtedy, kiedy pierwszy raz zobaczyła Sebastiana, lepkiego i dopiero co narodzonego, na swoim brzuchu.

Chciała pobiec do drzwi, ale się powstrzymała. Leo nie powinien widzieć, że jest niespokojna. Nie lubił tego.

Pierwszy wszedł Jasper. Można było odnieść wrażenie, że rozpadnie się na kawałki, jeśli zaraz nie wyrzuci z siebie tego, co i tak za chwilę zacznie opowiadać, raz za razem, na okrągło, w różnych wersjach, które będą się zmieniać w miarę upływu wieczoru, i na koniec spojrzy jej w oczy i wyszepta: „Czy rozumiesz, Anneli, w czym właściwie brałem udział?”. Zaniósł torbę do dużego pokoju, szedł bardziej wyprostowany niż do tej pory, wciąż w ciężkich butach, tak naprawdę maszerował, postawił torbę na parkiecie, włączył telewizor i zaczął zmieniać pilotem kanał za kanałem, dopóki nie dotarł do Telegazety. „Leo, chodź tu, do cholery, i zobacz”. A potem się roześmiał i wyśpiewał każde słowo oddzielnie, wciąż jeszcze – „We!” – pod wpływem adrenaliny, która kazała mu – „Made!” – wcisnąć lufę karabinu w usta – „The!” – drugiego człowieka, zdjął – „Front!” – kurtkę, sweter i T-shirt, zajechało mocno potem – „Page!” – rozpiął buty i ściągnął spodnie, wyraźna laska w slipach – „We Made The Front Page!” – kiedy tańczył – „We Made The Front Page!” – przed tekstem na ekranie niemego telewizora.

Potem przyszli Felix i Vincent. Ręce triumfalnie wyrzucone nad głowy, szerokie uśmiechy i przytłumione radosne pohukiwanie, kiedy na zmianę ścisłali ją mocno i tak samo jak Jasper ostro zajeżdżali potem, a później padli na fotele, odprężeni i dumni. Wreszcie usłyszała jego kroki. Leo. I zobaczyła to, czego nie mogła dojrzeć z balkonu – twarz, oczy. Ucałowała go i szepnęła:

– Wciąż nie natrafili na wasz ślad, właśnie słyszałam w wiadomościach.

– Zdążyli zablokować drzwi.

Minął ją i poszedł do kuchni z plastikową reklamówką pełną telefonów komórkowych, otworzył pierwszy z brzegu aparat.

– Jakie drzwi?

Wyjął kartę SIM i zniszczył ją obcawkami. Sięgnął po następną komórkę i zrobił to samo.

– Do sejfu.

Wypełnił acetonem do połowy jeden z małych garnków, wrzucił do niego kawałki kart SIM, żeby powoli się rozpuściły.

– A w telewizji powiedzieli... właśnie mówili, że zdobyliście milion.

– Ale przeszło nam koło nosa dziewięć.

– Przeszło koło nosa?

– Dziewięć milionów koron za zamkniętymi pieprzonymi stalowymi drzwiami. To mój błąd. To ja... Coś takiego nie może się powtórzyć.

Przełożył telefony bez kart do torby z materiału.

– A wszystko inne?

– Jakie „inne”?

Ciasno ściągnął torbę sznurem, żeby nic z niej nie wypadło.

– Golfy, które wam uszyłam?

– Były perfekcyjne.

– A makijaż, jak się...?

– Wszystko zadziało.

Wyjął młotek z szuflady kuchennej szafki, położył zawiązaną torbę na desce do krojenia i uderzył wielki razy, tak żeby cztery telefony komórkowe nigdy nie dały się złożyć w całość.

– Dobrze się spisalaś, mój skarbie. Pewnie byłaś z nami przez cały czas, tak?

Dotknął dłonią jej policzka. Spojrzała na niego. Myślała, że będzie inaczej. Że Leo będzie czuć dumę, szczęście. A był pusty, już ją zostawił, wiedziała o tym. Chociaż dopiero wrócił do domu, już przygotowywał się do następnego razu.

Potem w pokoju, gdy siedział tuż obok niej na kanapie, udawał równie uszczęśliwionego, jak pozostali. Po jego drugiej stronie zasiadł Jasper, a Felix i Vincent zostali na fotelach. Leo nawet nie mrugnął powieką, kiedy opowiadali piskliwymi głosami, kiedy Felix przewrócił wymyślony wózek inwalidzki i przeskoczył przez mur, kiedy Vincent przyniósł wielką szklaną misę, w której właściwie powinny być woda, piasek i złota rybka, i wypełnił ją do połowy banknotami o różnych nominałach, kiedy Jasper objął go i chciał zwrócić jego uwagę: „Leo, widziałeś, jak stałeś na masce, on spojrzał najpierw na ciebie, a potem na mnie, widziałeś wtedy te jego oczy”, a potem zmienił głos na wysoki i znowu był Arabem, „*we know your names*”, pokazał, jak zrywał identyfikatory, „*Sharmuta, I will come for you*”.

I właśnie w tamtej chwili uzmysłowiła sobie, co jej to wszystko przypominało. Miała wrażenie, że opowiadają jakiś film. Jakby wybrali się bez niej do miasta, do centrum, i obejrzeni razem całkiem nowy film w Rigoletto, a po seansie siedzieli w knajpie i przy piwie powtarzali najlepsze sceny, odgrywali je, próbując odtworzyć intonację i gesty aktorów i usiłując prześcignąć jeden drugiego. „Ta scena, kiedy jeden Arab strzela pięć razy w boczne okno i kula muska brodę ochroniarza, pamiętacie to? Albo jak tamten drugi siedzi jeszcze na wózku i podchodzi do niego mały dzieciak i zadaje mnóstwo pytań? Albo jak już na kąpielisku któryś ładuje cały magazynek w drzwi słuzy, a potem jest tak wkurwiony, że niewiele brakuje, a zaczęłyby strzelać do pierwszych zbliżających się psów? Albo jak ten najmłodszy zostawia łódź, chociaż mu nie wolno, albo jak tamten drugi, co leży na wzgórzu i celuje do samochodu, myśli, że jadą za nimi gliny po cywilnemu, albo jak wypływa na jezioro w kombinezonie, który jest za ciasny i uwiera go w jaja?” Dotarło do niej, że jednak tam nie była. Że nie widziała tego filmu. I że dlatego teraz siedzi i milczy, i ściska Leo za rękę, a gdy wreszcie do niego dociera, że czuje się wykluczona, wstaje, podchodzi do szklanego naczynia na złotą rybkę i czeka, aż wszyscy umilkną. Kiedy przestają mówić, wyjmuje garściami banknoty, dwudziesto-, stu- i pięciusetkoronowe, przelicza i kaźdemu wręcza po dziesięć tysięcy.

– Żarty sobie robisz?

Felix nie siedział już w knajpie i nie opowiadał scen z filmu. Podniósł się z fotela w byle jakim mieszkaniu na byle jakim przedmieściu i zaczął wyciągać więcej banknotów ze szkła.

– Przestań!

Jeszcze więcej banknotów.

– Przestań, Felix! Co ty, kurwa, wyprawiasz? Dziesięć tysięcy dla każdego.

– A ja cię pytam: żarty sobie robisz?

– Dziesięć tysięcy.

– Stary, przecież tu jest, kurde, ponad milion! Dziś wieczorem wychodzę. Chyba sobie zasłużyłem, żeby przepuścić pięć tysięcy, no nie? A jutro muszę zapłacić czynsz. I...

– Pogadamy jutro.

– Kurde, dziesięć tysięcy! Tyle to osiemnastolatek zarabia w McDonaldzie!

– Jutro.

Felix trzyma plik banknotów, rozgląda się, żeby zyskać na czasie, którego niekiedy potrzebuje, by podjąć decyzję, a potem demonstracyjnie odkłada jeden banknot za drugim do miski.

– Już?

Jeszcze jeden.

– Już?

Dopóki wszystkie nie znalazły się w środku, co do jednego.

Później Leo przynosi kartkę z kuchni i zaczyna coś pisać, podczas gdy pozostali siedzą i patrzą.

– No więc tak. Faktycznie tam leży milion. Ale liczyliśmy na dziesięć. Jasne, kurwa, że powinniście się zabawić i zaszaleć, w końcu robiliśmy to wszyscy razem i się udało! Tyle że musimy też jakoś przeżyć do następnego razu. I ja za to odpowiadam. A następnym razem musimy być w stu procentach skuteczni. I za to też odpowiadam.

Na środku stolika przed kanapą leży kartka, obok misa na złotą rybkę. Leo wskazał długopisem na kolumnę cyfr.

– Na parkingu przed domem stoją dwa samochody należące do naszej firmy. To jest ta cyfra. Felix? Widzisz? Mamy firmę budowlaną i ona powinna dalej wyglądać na firmę budowlaną, tak żeby każdy myślał, że chodzimy codziennie do roboty. Stroje robocze, narzędzia. Czyli bieżące koszty, których nie da się uniknąć. A ta kolumna... tutaj... to są peruki z naturalnych włosów, szkła kontaktowe, ubrania i buty, i kombinezon nurka, który trzeba spalić, kontener wynajęty na broń, łódź z silnikiem do zatopienia. Tego potrzebowaliśmy przy tej akcji. Następnym razem koszty będą jeszcze większe. Przecież wicie, jak funkcjonuje firma. Żeby móc zarobić więcej, trzeba więcej zainwestować, dopóki nie zdobędziemy tyle pieprzonych pieniędzy, że uznamy, że nam wystarczy. I wtedy zrobimy to samo co wszyscy przedsiębiorcy: sprzedamy całą spółkę z kosmicznym zyskiem.

Felix i Leo popatrzyli na siebie. Znowu byli małymi chłopcami, którzy ze sobą rywalizowali – każdy dążył do tego, żeby być górą.

Tyle że nigdy nie chodziło o szklaną misę pełną banknotów.

– Zgoda?

Brak odpowiedzi.

– Pytam: zgoda?

Felix zacisnął usta.

– Hm.

Leo przyciągnął go do siebie i objął.

– Ty upierdliwy pomyśleńcu.

Anneli siedziała blisko nich, a jednak daleko. Oni stanowili jedność. Nie dało się tego nie zauważyć. Tak bliska relacja między rodzeństwem była jej zupełnie obca. Ona też miała starszą siostrę i młodszego brata, ale między nimi nigdy tak nie było, nigdy w życiu, a teraz już prawie nie utrzymywali ze sobą kontaktu. A ci trzej bracia polegali na sobie, potrzebowali siebie nawzajem. Zupełnie szczerze. Wcale jednak nie była pewna, czy jej się to podoba, a właściwie wiedziała, że wcale jej się nie podoba, bo kiedy jedni ludzie są ze sobą tak blisko, innym zawsze jest trudno wbić się między nich i też przynależeć do tego grona.

Leo siedział na brzegu łóżka.

Po twarzy i po plecach ściekały mu strużki potu. Pięć po trzeciej. Intensywny deszcz bębnił o blaszany parapet za oknem i w jego głowie. Kiedy kładł się spać, dygotał z zimna, a teraz dusił się z gorąca. Na drugiej części łóżka leżała Anneli. Chrapała, a od czasu do czasu pojękiwała i mamrotała pojedyncze słowa. Jak zwykle.

„Jasper, tylko żadnego pieprzonego gadania na ten temat w knajpie, okej?” Leo wstał. „Co ty, do cholery, sobie myślisz?” „Ja nic nie myślę, chcę tylko, żebyście o tym pamiętali – jesteście tak napakowani adrenaliną, że najchętniej wykrzyczelibyście wszystko całemu światu”. Taksówka odjechała spod Kullstigen 14 z dwoma wstawionymi młodszymi braćmi i przyjacielem z dzieciństwa, który wciąż jeszcze był w białej furgonetce i wołał: „*Sharmuta*”. „Myślisz, że jestem tak rąbnięty, że ryzykowałbym, że cię stracę? Jesteście dla mnie jak rodzeni bracia! Leo, tak czy nie?” Trzydzieści tysięcy w trzech kieszeniach dżinsów, jechali do Crazy Horse, jedyne miejsce, gdzie na pewno wpuszczą Vincenta.

Kiedy tylko znalazł się w drzwiach, od razu zauważył, że jest strasznie spięta. Ale gdy wyciągnął do niej rękę, jej ciało stało się bezwładne, twarz się odprężyła, oddech uspokoił.

Podczas gdy tamci zjeżdżali windą, spiesząc się do nocnych rozrywek Sztokholmu, on zaniósł ją na rękach do łóżka, rozebrał, wziął w ramiona. A ona zasnęła. Dłonie straciły czucie, oczy się zamknęły, usta lekko rozchyliły.

Zwykle to on spał, a ona czuwała. Ale teraz, kiedy było już po wszystkim i nie mógł się powstrzymać, żeby planować dalej, ona spała mocno, a on wcale. Jakby istniało tylko jedno poczucie bezpieczeństwa i nie można go było podzielić.

Dziewięć milionów koron za stalową ścianą, przez którą się nie przebił. Myśli kotłowały mu się w głowie i nie pozwalały zasnąć.

Nic nie pomagało.

Mimo że robił to, co zawsze, kiedy nie mógł zmrużyć oka – brał rozżarzone do czerwoności żelazo i wbiwał je w podstawę czaszki, tam, gdzie było kiedyś ciemiączko, wciskał je powoli między obie półkule mózgu, między lewą i prawą, odpowiadającą za myślenie abstrakcyjne i konkretne, część męską i żeńską, ying i yang, między muzykę i hałas, wyobraźnię i logikę. Rozpalone żelazo nie mogło zboczyć w żadną stronę – żeby nie pobudzić myśli do życia. Ilekroć utknął, musiał zaczynać od nowa. Wyciągał pręt, przepychał go przez skorupę czaszki i uważał, bardzo uważał, żeby tylko, broń Boże, nie dotknąć żadnej z półkul. Musiał przedostać się dalej, minąć krtań i jabłko Adama, gdzie umiejscowiony był jego głos, i uciszyć go – gdyby poruszył jabłko Adama i więzadła głosowe, wtedy one zaczęłyby wibrować jak struny gitary i budzić myśli. W końcu udawało mu się po wielu próbach. A z krtani przeciskał pręt jeszcze niżej, przez klatkę piersiową i serce, które nie było źródłem myśli, tylko uczuć, równie maćących i sprzecznych jak myśli: to stamtąd brała się miłość i nienawiść, szczęście i smutek, podłość i czułość. Jeśli rozżarzone żelazo minęło prawą komorę serca, nie dotykając jej, to wszystko kończyło się dobrze, mógł zasnąć. Ale tej nocy się nie udało. Ominął bezpiecznie półkule mózgu, przeszedł przez krtani i klatkę piersiową, nie trącając ich, zawadził jednak o serce, choć cholernie się starał, i te pieprzone myśli zaczęły znowu trzepotać – powinien był wziąć ze sobą ładunek wybuchowy, gdyby to zrobił, otworzyłby też drzwi do tych dziewięciu milionów.

Podszedł do okna, postął przy nim chwilę, ogarnął spojrzeniem Skogås, dzielnicę, w której dorastał.

Te same wysokie bloki. Ten sam asfalt.

Ale on wybrał inne życie. Będzie napadać na banki. I będzie to robił lepiej niż ktokolwiek do tej pory. Bo jest zmuszony robić to lepiej niż wszyscy inni. Jemu nie mogło się nie udać, oni nie mogli wpaść – przecież razem z nim są jego bracia, i wszyscy razem muszą stać się niezależni finansowo.

To był mój błąd.

I dlatego nie mógł spać – powinien był zrobić to lepiej.

Coś takiego nie może się powtórzyć.

Ziewnął i opadł na kanapę przed wypełnioną pieniędzmi misą na złotą rybkę. Dwa banknoty pośrodku lekko wystawały, wyciągnął je – pomięte pięćsetki – położył na stoliku i trochę wygładził. Wiedział, że to dziecinna myśl. Jak jednak mało miejsca zajmują pieniądze. Ponad milion. W pieprzonej misce na rybki.

Plastikowa teczka leżała w komodzie między kanapą a narożną szafką. Wyjął ją i położył na stole obok dwóch rozprostowanych pięćsetek, otworzył.

Schemat banku.

Cztery drogi ucieczki kończące się czterema rondami z kolejnymi czterema drogami ucieczki z każdego z nich, czyli rejon poszukiwań obejmowałby w sumie sześćdziesiąt cztery potencjalne drogi ucieczki.

Wtedy rozległ się dzwonek u drzwi.

Zarzucił koc na szklaną misę i zamknął kłapę skrzyni na narzędzia z czterema automatami używanymi niedawno podczas napadu na konwój z pieniędzmi.

Dzwonek u drzwi odezwał się po raz drugi.

Wstał i wyrzwał na niewielki parking i drogę ze Skogås. Pusto. Podjazd przed domem – pusty. Przeszedł ostrożnie przez przedpokój, zamknął drzwi do sypialni i ruszył do drzwi wejściowych; spojrzął przez osadzonego trochę za nisko judasza.

Znajoma twarz. Dopiero teraz Leo zdał sobie sprawę, jak bardzo jest spięty.

– Felix? Przecież wybierałeś się do miasta, żeby przepuścić swoje pięć tysiaków. Sam mówiłeś, że sobie zasłużyłeś.

– Nic nie wyszło z tego pieprzonego Crazy Horse. Jasper zniknął w jakimś szemranym klubie w Handen, a Vincent odpłynął z jakąś laską. Mogę się u ciebie przekimać?

Leo wskazał głową drzwi sypialni, kładąc jednocześnie palec na ustach, potem zdjął koc ze szklanej misy i rzucił go Feliksowi, który zaraz klapnął na kanapie.

– Co to, kurde, jest?

Przysunął do siebie schemat leżący na stoliku.

– Następną akcja.

– Gdzie?

– Bank handlowy. Svedmyra. Spróbuj się teraz przespać.

– Przespać? Szacun, braciszku! Niech żyje ekonomiczna niezależność!

– Nie chodzi o pieniądze.

– No a ta pieprzona miska na złotą rybkę? Przecież jest, kurde, tak pełna, że mało nie pęknie!

– Chodzi o to... żeby już nikt nigdy nie mógł nam mówić, co mamy robić. Albo nie robić. Kiedy będziemy gotowi, wtedy i ty, i ja, i Vincent nie będziemy już od nikogo zależni.

Felix obserwował najstarszego brata. Wyraźnie nie mógł spać i dlatego zaczął planować następny skok. A żeby uniknąć dalszych pytań, podszedł teraz do okna, rozsunął nieco żaluzje i wyrzwał na zewnątrz.

– Leo?

– Tak?

– Nie rozumiem, jak możesz tu mieszkać.

Leo słyszał, że Felix jest lekko wstawiony. Mimo to brzmiał bardzo poważnie.

– Człowiek zna tu każdy krzak, każdą klatkę schodową.

– No właśnie o tym mówię!

– Dorastaliśmy tutaj.

– Dorastaliśmy tutaj i ty z własnej woli wróciłeś!

Jakiś samochód zawrócił na parkingu. Rowerzysta wjechał w tunel dla pieszych. Poza tym panował spokój, jaki zalega jedynie w godzinach między ostatnimi wiadomościami w telewizji a pierwszą poranną gazetą.

– Przeniesiemy się.

– Nie kapuję, dlaczego w ogóle tu wróciłeś.

– Czasami trzeba.

– Ale tutaj!

– A potem można się wyprowadzić. Znowu. Na dobre. Anneli chce mieć dom. A ja... ja już nawet jeden wybrałem.

– Dom?

– Tak.

– Trawniczek? Kosiareczka? Ty?

– Nie ma trawniczka. Nie ma piwnicy. I o to chodzi.

Amatorski napad czterech debutantów. Kod do stalowych drzwi, którego nie uwzględnił. Zamiast dziesięciu milionów – tylko jeden.

Następnym razem wszystko pójdzie perfekcyjnie.

Oddech Feliksa był głęboki i powolny, taki sam jak Anneli. Leo stał jeszcze chwilę przed szybą pokrytą zagubionymi kroplami deszczu – za oknem Skogås, południowe przedmieście Sztokholmu, z jednakowymi wysokimi blokami, podobnymi do wielu innych, jakie w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych zbudowano w Szwecji.

Asfalt, który był całym jego światem.

wtedy
część pierwsza

Chyba jest całkiem zimno.

Późny wieczór, ciemno, jak może być tylko zimą. Śnieg przykrywa asfalt białymi, brunatnymi i szarymi płatami, para wydobywa mu się z ust, kiedy liczy swoje głębokie oddechy.

Nie ma na sobie kurtki. Mimo to nie jest mu zimno. Już dosyć długo biegają po tych schodach, do góry i na dół, do góry i na dół, czoło i policzki ma pokryte błyszczącą warstwą potu, przesuwając ręką po twarzy, a potem wyciera wilgotną dłoń o spodnie.

Trzypiętrowy budynek podobny do innych. Loftvägen 15. Pięć kroków do wejścia. Obraca lekko głowę. Do następnych drzwi nie jest wcale daleko, Loftvägen 17. Patrzy na rywala, który tam stoi i go obserwuje.

Felix. Jego młodszy brat, który chodzi już do pierwszej klasy.

Leo unosi trochę rękę, żeby osłonić oczy przed blaskiem latarni. Jasnobrązowy skórzany pasek zegarka i cyferblat z brzydkimi czerwonymi wskazówkami. Kiedy będzie miał dużo pieniędzy, kupi sobie nowy, na który wszyscy będą zerkać z zazdrością.

Czeka. Sekundnik przesuwając się jak zawsze w równym, ale jednak nierównym tempie. Mija dziewczynkę. Dziesiątkę. Jedenastkę. Podnosi wysoko rękę.

– Już!

Rusza dokładnie na dwunastce. Otwiera drzwi pod numerem piętnaście w tej samej sekundzie co Felix pod siedemnastką.

Po dwa stopnie naraz, poza ostatnim, który w każdym nowych schodach jest jakby ponadliczbowy. Plik reklamowych ulotek w ręce – siedem różnych rodzajów z siedmiu różnych firm – które wcześniej posortowali i porozdzielali na podłozie w dużym pokoju.

Drzwi najbliższe, drzwi w głębi.

Otwiera pierwszą szczelinę na listy i sprawdza czerwoną wskazówkę. Potrzebował dwudziestu czterech sekund, by wbiec na samą górę i wrzucić pierwszy plik ulotek. Na każdej klatce są w drzwiach cztery identyczne otwory, które musi nacisnąć grzbietem dłoni do dołu, żeby szczelina zrobiła się wystarczająco duża. Robi to jednym ruchem i najszybciej jak potrafi. Metaliczny łoskot, kiedy puszcza klapkę, a potem dudnienie jego czarnych sznurowanych butów, gdy podbiega do następnych drzwi.

Mieszka tutaj przez całe życie. Dziesięć lat. Na południe od Sztokholmu, na przedmieściu, które nazywa się Skogås. Setki identycznych bloków stojących jeden przy drugim.

Każde drzwi wyglądają tak samo, ale nie do końca. Różne nazwiska, zapachy, dźwięki. Często ktoś ogląda telewizję. Czasami ktoś słucha muzyki, która przez otwartą szczelinę na listy dochodzi w formie basów i dyszkantu. Z rzadka ktoś wierci w ścianie wiertarką, za to dosyć często ktoś na kogoś wrzeszczy. A najgorsze są psy. Na tej klatce jest jeden na drugim piętrze. Skacze i rzuca się do skrzynki, kiedy Leo wtyka ulotki do środka, tak żeby nie było ich widać od zewnątrz, w razie gdyby zleceniodawcy zrobili kontrolę. Płacą siedem öre za każdy mały prospekt i dziewięć za duży, czterdzieści osiem za każde drzwi, pięć koron i siedemdziesiąt sześć öre za jedną klatkę schodową.

Pies ujada, gdy tylko słyszy jego kroki, ciężkie psie cielsko po drugiej stronie drzwi. Uchyła klapkę i widzi w szczelinie długi język i szereg ostrych zębów. Traci sześć sekund przez ten ociekający śliną pisk, przez który musi wrzucać ulotki pojedynczo.

A potem jeszcze jedyne mieszkanie na samym dole, to, które zawsze zajmuje mu dwanaście dodatkowych sekund, i którego nie ma pod siedemnastką.

Ciekawe, jak szybko uwinie się Felix.

Zbiega po trzy stopnie naraz, ale wie, że najpierw przez tego cholernego psa, a potem przez tamte dodatkowe drzwi jego czas to prawie półtorej minuty na całą klatkę. Felix pewnie będzie już stał na ulicy, uśmiechnięty od ucha do ucha i ważny – piętnaście sekund wcześniej.

I faktycznie. Kiedy Leo otwiera drzwi wejściowe, brat stoi przy linii, która oznaczała start i metę. Jego młodszy brat wygrał w ostatniej klatce i będzie trąkotał o tym przez cały wieczór.

Leo pochyla się, opiera dłonie na kolanach, oddycha głęboko, serce wali mu szybko, powinno się zaraz uspokoić. Spogląda na Feliksa, szuka w jego twarzy uśmiechu.

Ale go nie dostrzega. Jego młodszy brat zwyciężył i się nie uśmiecha.

Leo prostuje się i zaczyna iść w jego stronę, nagle jednak się zatrzymuje. Felix nie jest sam. Ktoś stoi obok, przed nim. Brzydka, gruba niebieska puchówka. Hasse. Chodzi do siódmej klasy i należy do tych, co to nawet po dzwonku nigdy specjalnie się nie spieszą z kąta dla palaczy na dziedzińcu starszych klas. I nigdy nie bywa sam, zawsze jest z nim jeszcze jeden niższy chłopak, który nawet zimą chodzi tylko w kurtce džinsowej: Kekkonen, Fin, który nigdy nie marznie.

Ale teraz jest solo. Bez towarzystwa. Wyciągnął ręce przed siebie i nie pozwala Feliksowi się ruszyć.

– Co to ma być, do cholery! – krzyczy Leo, bo to przecież jego młodszy brat. – Puszczaj go!

Na ustach Hassego pojawia się uśmiech zwycięzcy, którym powinien być Felix.

– O, jeszcze jeden mały pedałek.

– Puszczaj go, mówię!

– Jak to się wydziera, mały parszywy pedzio! Mały parszywy pedzio ma za mały rozumek, żeby skumać! Już ci mówiłem poprzednim razem. Tak czy nie? Powiedziałem, że jak jeszcze raz zobaczę tu ciebie i twojego ciotowego braciszka, to... was zamorduję.

Leo znowu dyszy ciężko, ale nie dlatego, że brał trzy stopnie naraz. Boi się. I jest wściekły. A jedno i drugie odczuwa się tak samo. Strach i furia rozpierają mu pierś od środka.

– Przecież to nie my decydujemy, gdzie trzeba roznosić te cholerne ulotki!

Furia i strach każą mu iść szybko w stronę Hassego, który wciąż nie pozwala się ruszyć Feliksowi, a im bliżej do niego podchodzi, tym mocniej szczyrzy się ta szatańska gęba. Ale idzie dalej, trochę zwalnia. Coś jest nie tak. Hasse nie powinien się uśmiechać, jest wysoki, ale nie silny, i powinien być jak on – zestrachany i zły, powinien stać w inny sposób, w gotowości.

Mimo to wciąż się szczyrzy, bez przerwy, i zezuje na coś, jakby tak... z tyłu.

I wtedy jest już za późno.

Leo czuje ten stęchły, niemal zapomniany zapach gdzieś za swoimi plecami. Zastranej džinsowej kurtki, zdejmowanej z karku tylko wtedy, kiedy zażąda tego nauczyciel. Czuje zapach, lecz nie widzi pięści, która celuje od tyłu i trafia go mocno w szyję i trochę w policzek, a on ma wrażenie, że powoli się przewraca i pokryty płatami śniegu asfalt jest coraz bliżej jego drugiego policzka i czoła. Leży i jak przez mgłę widzi kogoś, kto stoi tuż przy jego twarzy, jest niższy od Hassego i niemal kwadratowy, widzi Kekkonena, Fina, któremu nigdy nie jest zimno i który ukrył się za jednym z wysokich krzaków, by potem zza niego wyjść, podczas gdy Hasse tylko stał, uśmiechał się i wiedział.

Na ziemi jest lodowato zimno. Tyle jeszcze zdążył pomyśleć. Ale podnieść się już nie zdążył.

Pierwszy kopniak trafia go w policzek. Drugi – niżej, w brodę. A na sam koniec pomyślał, że ciemność wieczoru dziwnie wygląda, kiedy rozlewa się w świetle ulicznej latarni, rozplywa się w niej, robi się biała, zanim stanie się całkiem czarna.

Najbardziej go łupie po lewej stronie, w okolicy żeber. Kiedy podciąga cienki sweter i obmacuje palcami skórę, czuje obrzęk.

Leo leży na swoim wąskim łóżku, które jest tak krótkie, że stopy trzyma na oparciu. Za oknem nie jest jeszcze jasno, ale jaśniej niż wtedy, kiedy się położył. Stara się nie ruszać. Wtedy mniej boli.

Dudni mu w głowie, kiedy chwyta się rękami ramy i podciąga. Nad biurkiem wisi lustro. Nabrzmiąta połowa twarzy nie jest już tak czerwona, tylko raczej sina, a miejscami żółtawa i tak samo opuchnięta jak żebra. Dotyka jej. Boli jeszcze bardziej. Opuszki palców nie chcą przesuwac się płynnie po nierównościach i garbach, których zwykle tam nie ma.

Ostrożnie przemierza pokój gołymi stopami. Felix w ogóle się nie rusza, leży na brzuchu w swoim łóżku, z obiema rękami wsuniętymi pod poduszkę, i mamrocze coś przez sen; często mu się to zdarza. Leo wychodzi do przedpokoju, do którego wczoraj wieczorem wśliznął się niepostrzeżenie. Wrócił do domu najpóźniej jak to możliwe, żeby nie było już czasu na gadanie czy przyglądanie się sobie nawzajem. A kiedy tata po chwili zajrzał do jego pokoju, leżał odwrócony twarzą do ściany i udawał, że śpi.

Zamyka drzwi do pokoju Vincenta. Małe łóżeczko, w którym kiedyś sypiał on sam, a teraz śpi w nim wiercący się trzylatek z nogami na poduszce; podchodzi do sypialni mamy i taty, ich drzwi też zamyka. I stoi tam przez chwilę, jak zwykle, aby wchłonąć znajome zapachy: przesycony winem oddech taty i mentolową woń oddechu mamy, ale przede wszystkim zapach pochodzący z wielkich roboczych spodni taty zawieszonych na żelaznym haku, noża marki Mora i złożonej całówki w podłużnej kieszeni. Ten zapach jest tu od zawsze, jak zaschnięta farba malarska albo jak nagrzana słońcem skóra na ramieniu – a teraz przypomina mu o dzinsowej kurtce Kekkonena. Leo wyciąga ostrożnie rękę. Po spodnie robocze, które wiszą tu już prawie od dwóch tygodni, nietknięte. Wymię czasami tak bywa, kiedy przerwy między zleceniami się wydłużają.

Jakiś odgłos.

Za zamkniętymi drzwiami.

Leo czeka nieruchomo, zamyka oczy, ma nadzieję, że zniknie. I znika. Jedno ucho przy lakierowanej powierzchni. Znowu jest cicho. To chyba mama. Czasami wydaje takie odgłosy, gdy wróci do domu i ledwie zdąży zasnąć po paru nocach z rzędu spędzonych w pracy w domu opieki, pośród tych, co nie umieją się poruszać bez wózków. Nauczył się już tych porannych dźwięków. Oddech taty – nie trzeba się bać, kiedy jest ciężki i go slychać, za to warto mieć się na bacności, gdy go nie slychać. Odczekuje chwilę, a potem wchodzi do kuchni, wyjmuję biały chleb pachnący melasą, żółty ser z dużymi dziurami i dżem pomarańczowy jakiejś nowej marki. Nie włącza opiekacza do tostów, bo robi za dużo hałasu, wlewa trochę soku pomarańczowego do trzech szklanek, dodaje zimnej wody z kranu i miesza. Za każdym razem, kiedy podchodzi do zlewu, uważa, żeby nie potrącić rondla z trudnym do usunięcia czarnym skamieniałym nalotem po winie. Na szafce obok leży kilka stosików kuponów totka – na pierwszym przekreślone są cyfry od jeden do piętnastu, na drugim – od piętnastu do trzydziestu, reszty nie jest pewien; tata wymyślił sobie różne wzory i zamienił je w system, którego od dawna się trzyma. Liczy pety w popielnicze. Tata musiał długo siedzieć w nocy, więc chyba jeszcze prędko nie wstanie. Leo wraca do pokoju i szarpie Feliksa za ramię, a później budzi Vincenta, z palcem na ustach, żeby byli cicho. Wskazuje na pokój mamy i taty, a bracia jak zawsze potakują głowami.

Jedzą w milczeniu. Słodkawy chleb, dżem pomarańczowy na żółtym serze, pełne szklanki z sokiem. Odsuwa trochę krzesło, nasłuchuje, co się dzieje w sypialni. Ciężki oddech ucichł. Może tata tylko przekreślił się na drugi bok? Czy za bardzo chrupią, kiedy przeżuwiają, i dlatego się obudził? Leo wyjmuje ostatnią kromkę krojonego chleba z plastikowej torebki, smaruje ją, podaje Vincentowi, który ma dżem na palcach, policzkach i we włosach.

Drzwi. Jest pewny. Parszywe, przekłete drzwi.

To kroki taty, powolne, między sypialnią a toaletą – slychać głośnie chlupotanie, kiedy sika, chociaż drzwi są zamknięte.

Jeszcze pół kanapki. Dwa łyki soku. A potem się pojawia. Długi, blady tułów, mocne przedramiona, niedopięte w pasie dżinsy, niemające końca gołe stopy. I kiedy tak stoi w progu jak w tej chwili i ogarnia wzrokiem kuchnię, wypełnia sobą całe wejście, staje się jego częścią.

Przesuwa dłonią jak grzebieniem po ciemnych włosach, odgarnia je do tyłu. Tata zawsze tak wyglądał.

– Dzień dobry.

Leo przeżuwa. Kiedy ktoś przeżuwa, nie ma jak odpowiedzieć. A kiedy się przeżuwa i nie ma jak odpowiedzieć, można obrócić się do Feliksa, tak żeby z drzwi, z których dobiega głos, była widoczna tylko lewa połowa twarzy.

– Powiedziałem dzień dobry, chłopcy.

– Dzień dobry.

Trzej bracia odpowiadają prawie chórem, jakby chcieli mieć to szybko za sobą – tak szybko, żeby zaraz móc wstać i opuścić kuchnię, i nie musieć specjalnie przyglądać się sobie nawzajem. Tata przechodzi za plecami Leo, otwiera szafkę, wyjmuje szklankę i nalewa do niej wody. Słychać, jak wypija ją chyba do połowy.

– Coś się stało?

Leo nie patrzy na niego, jedynie zezuje odrobinę okiem, które jest normalne.

– Leo? Spójrz na mnie.

Odwraca trochę głowę, ale stara się za wiele nie pokazać.

– Pokaż mi twarz.

Nie zdąża. Felix jest szybszy. Kanapka na stole i piskliwy głos:

– Było ich dwóch na jednego, tato. Oni...

Tata nie stoi już przy zlewie. Nagi tors jest tuż przy jego ramieniu.

– Co to jest?

Leo odwraca się jeszcze bardziej w bok.

– Nic.

Tata ujmuje jego twarz. Nie mocno, ale wystarczająco zdecydowanie, żeby obrócić mu głowę. Przekłety napuchnięty policzek jest siny i żółty i całkiem złał się z okiem.

– Co to, do cholery, ma być?

– Leo... się bronił. Naprawdę... tato! On...

Felix znowu odpowiedział zamiast niego. A przecież to on ma zawsze mnóstwo słów na zawołanie, to jemu zawsze same pchają się do ust. Ale teraz mu ich zabrakło. A jeśli się pojawiały, polykał je.

– Zrobiłeś to?

Tata wciąż stoi, nadal na niego patrzy, potem spogląda na Feliksa i znowu na niego, szuka jego wzroku.

– Leo?

– On to zrobił, tato, widziałem, strasznie dużo razy, on...

– Pytałem Leo.

Oczy patrzą i patrzą. A usta pytają i pytają.

– Nie, nie oddałem im.

– Ich było dwóch, tatusiu... I byli starsi, mieli trzynaście albo czternaście lat, i...

– Okej, wystarczy.

Wielkie dłonie wykręcają obolałą połowę twarzy jeszcze bardziej na bok i ostrożnie ją obmacują.

– No dobrze. Pójdiesz teraz do szkoły, Leo. A jak wrócisz do domu, zajmiemy się tym.

Stąd, z góry, nie wyglądają jakoś wyjątkowo. Jeden trochę wyższy, z jasnymi włosami i plecakiem, i jeden trochę niższy, z ciemnymi włosami i torbą gimnastyczną na ramieniu.

Chyba nigdy dotąd nie widział, jak idą razem do szkoły. Odprowadzał Leo przez pierwszy tydzień w pierwszej klasie, tak, szedł obok niego i bez przerwy ostrzegał, upominał i dawał wskazówki – „To jest cholerna dżungla: albo ty polujesz, albo polują na ciebie, a to, co ci się należy, będzie twoje tylko wtedy, jeśli sobie wywalczysz. Nazywasz się Duvnjac i nikt nie ma prawa usiąść tam, gdzie ty chcesz siedzieć” – aż w końcu w następnym tygodniu Leo poprosił, żeby szedł kilka metrów za nim, a tydzień później nie chciał, żeby w ogóle go odprowadzał. Potem, przy Feliksie, nawet już o tym nie myślał, przecież Leo szedł z nim, i to wystarczyło.

Nie wystarczyło.

Jego najstarszy syn nie potrafił obronić nawet siebie.

Ivan przesuwa dwie doniczki i opiera się dłońmi o parapet. Kuchnia nie jest imponująca: wąska jak przedział, z miejscem do jedzenia i oknem, z którego z wysokości siódmego piętra zarówno Skogås, jak i dwie głowy na dole wyglądają na mniejsze. Ale należy do niego. M5 na sztokholmskim przedmieściu, którego niedawno jeszcze wcale nie było, a potem – gdy garniturowcy za pomocą kilku kresek na papierze spróbowali rozwiązać palący problem mieszkaniowy, projektując milion identycznych mieszkań – nagle się pojawiło. Linoleum na podłodze i prostokątny stół. Niech to szlag. Przez całe życie odnawiał kuchnie i łączyło je tylko to, że n i e przypominały tej.

Rozbija pierwsze jajko, drugie, trzecie i czwarte, zawsze solidnie soli i smaży na chrupiąco – powinno być słychać, kiedy dorosły mężczyzna przeżuwa. Stoi przy kuchni i miesza widelcem na patelni, ale wciąż widzi jego twarz. Opuchniętą. Siną. Żółtawą. Twarz, która nie znika.

Próbuje skupić się na wysokim krześle, na Vincencie, który na nim siedzi i macha do taty robiącego jedzenie. Nalewa sobie jeszcze całą dużą szklankę wody i wypija. Zagotowuje wodę w czajniku i wysypuje do niej kawę, sporo czubatych łyżek, żeby była mocna.

Wszystko jednak na nic. Ciągle ma ją przed oczami.

Obrzmiały policzek, zapuchnięte oko, rozbita twarz.

– Oj, nie!

Vincent pochyla się, chwyta długopis i stosiki kuponów totka i na jednym z nich zaczyna stawiać swoje krzyżyki tam, gdzie są już inne krzyżyki.

– Nie ruszaj tego... To tatusia. Nie bazgrz po tym.

– Rysuję takie same.

– Ale więcej nie trzeba. Oj!

Patrzy na syna, którego małe rączki są o wiele silniejsze, niż można by przypuszczać. Ma dopiero trzy lata, ale jego twarz zmienia się w twarz dziesięciolatka i nie chce zniknąć. Ivan odwraca oczy, zamyka, a potem otwiera, lecz opuchlizna rośnie jeszcze bardziej. Widzi, jak Leo dostaje łomot, upada na ziemię, kuli się, przyjmuje ciosy i nie oddaje.

Kolejny kubek czarnej kawy rozpuszczalnej. Wciąż siedzi, chociaż już dawno skończył jeść, patrzy przez okno w kuchni, wiedzie wzrokiem po asfaltowej alejce prowadzącej w stronę szkoły z białej cegły, w której dwaj jego synowie spędzają długie dni, patrzy na niski budynek mieszczący sześć najmłodszych klas, opuchniętą twarz w ławce, Leo odpowiada na pytania i niespokojnie zerka na boisko, szuka tego, który go bił. I może czeka na zewnątrz, żeby pobić znowu.

Nagle zaczyna mu się spieszyć.

Stawia Vincenta na podłodze i mówi mu, że ma iść do swojego pokoju i poczekać, ale nie wolno mu obudzić mamy. Brązowe półbuty, w których brakuje sznurowadeł i które kiedyś były ładnymi butami wyjściowymi, a teraz są schodzone i wytarte, stoją najbliżej i to w nie wsuwa bose stopy. Wybiega na klatkę schodową, windą zjeżdża do piwnicy, idzie przez wąski korytarz, gdzie nie działa światło, mija nowe komórki z solidnymi kratami i te trochę starsze, o ścianach z cienkiej siatki i ze zwyczajnymi drewnianymi drzwiami, w których niepotrzebny jest już żaden zamek.

Widzi materac już z daleka. Niebieski materiał z wierzchu i twarde włosie w środku. Coś takiego dzisiaj jest już prawie nie do dostania, bo wszyscy chcą leżeć na puchu i powietrzu. To materac, na którym spali przez pierwsze lata w mieszkaniu w centrum miasta.

Jest ciężki i wypełnia całą windę. Niosąc go do kuchni, Ivan niechcący strąca ozdoby ze ściany w przedpokoju i zrzuca ubrania z wieszaka. Dwudziestoletni materac z włosia zakrywa całą podłogę między lodówką a stołem. Ivan przyciska go lewym kolaniem i zaczyna zwijać, potem ściska mocno i związuje sznurkiem na obu końcach, zabiera go z kuchni i zanoszi do pokoju, w którym pracuje, tam opiera o ścianę, a na środek przesuwając krzesło. Jest co prawda wysoki, ale znowu nie aż tak. Staje na krzesło, zdejmując dużą lampę z papieru ryżowego, podnosi materac do haka w suficie i po kilku nieudanych próbach w końcu go na nim zawiesza.

Dopiero teraz zauważa, że ktoś go obserwuje. Pełne ciekawości oczy, które nie mogły wytrzymać w swoim pokoju.

– Co to jest?

Ivan się uśmiecha, wzdycha, bierze najmłodszego syna na ręce.

– Nowa lampa.

Ciekawskie oczy długo mu się przyglądają.

– Nie, tatusiu. To nie lampa.

– Masz rację.

– No to co to jest, tatusiu?

– Tajemnica.

– Tajemnica?

– Moja i Leo.

Idzie do kuchni. Za nim maszeruje Vincent. Ivan zbiera resztki pociętego sznurka ze stołu i sadza małe ciałko w stojącym obok wysokim foteliku. Wyjmuje nową butelkę czerwonego wina ze stojaka na dziewięć flaszek pod zlewem, Vranac, z jego ulubioną etykietą – niepokonany czarny ogier staje dęba, nie daje się okiełznać. Wlewa połowę butelki do rondła, dodaje dwie łyżki cukru, podgrzewa i miesza, dopóki cukier się nie rozpuści, przelewa do szklanki do piwa.

– To jest piorunujący miód⁴, Vincent.

Unosi szklankę w stronę synka, który dotyka jej z uśmiechem; na szkle zostaje wyraźny ślad małego paluszka.

– Piorunujący miód, tatusiu.

Ivan podnosi szklankę do ust, przymyka powieki. Gdy przełyka, ma przed oczami wciąż tę samą twarz – opuchniętą, siną, żółtawą.

Długi dzień, ale niewystarczająco długi. Leo czekał na jednej z niskich ławek na dziedzińcu klas początkowych na swojego młodszego brata, który akurat tego dnia kończył lekcje później od niego. Potem siedzieli we dwóch, gadali, milczeli i znowu gadali. O niczym. Obaj wiedzieli, że chodzi tylko o przeczekanie. Im dłużej tu zostaną, tym większa szansa, że tata zdąży zasnąć po winie.

Po jednym stopniu siedem pięter w górę.

Ostatnie stopnie pokonują powoli.

Bardzo powoli.

Drzwi wyglądają identycznie jak wszystkie inne. Klapka w wąskim otworze na listy uchyla się po lekkim pchnięciu samymi opuszkami palców. Czarny przycisk dzwonka wydającego głuchy, długo rozbrzmiewający sygnał. Nad nim metalowa tabliczka „Zebraków i domokrażców nie wpuszczamy”, na którą tata pokazuje zirytowany za każdym razem, kiedy ci, co mają nie dzwonić, mimo wszystko dzwonią.

Leo spogląda na Feliksa, a ten na niego.

Nie ma najmniejszej ochoty wejść do środka. Pochyla się i nasłuchuje kroków taty, nie mając odwagi nawet porządnie przyłożyć ucha do drzwi.

Patrzą na wizytówkę. DUVNJAC. Trzy głębokie wdechy.

Potem otwierają i wchodzą.

– Leo!

Jeden jedyny krok i już go słyszą. Nogi nie chcą iść dalej w ciasnym przedpokoju, więc obaj tkwią w miejscu.

– Leo, chodź tutaj!

Tata siedzi w kuchni. Nadal w dżinsach i z nagim torsem, pusta szklanka stoi przy stosie kuponów totka, a na płycie kuchennej rondel, też pusty. Łatwiej jest patrzeć w dół, na podłogę, skupić się na żółtym linoleum, nie widzieć oczu, które się w ciebie wpatrują, ani brody i dolnej wargi wysuniętej już do przodu.

– Bliżej.

Leo podchodzi, Felix tuż obok niego, ale Leo go szturcha: „Idź do Vincenta”. A kiedy brat nie rusza się z miejsca, powtarza: „Idź do Vincenta i zamknij drzwi”; robi jeszcze jeden krok, wciąż nie odrywając wzroku od podłogi.

– Tak?

– Twarz.

Przenosi spojrzenie na nogi taty.

– Chcę widzieć całą twoją twarz.

Nogi taty zmieniają się w brzuch, klatkę piersiową, oczy. Trudno poznać, co myśli.

– Boli cię?

– Nie.

Dłoń dotyka nabrzmiałej, obolałej skóry.

– Nie kłam.

– Trochę.

– Trochę?

– Trochę więcej niż trochę.

– Oni chodzą do tej samej szkoły co ty?

– Tak.

– I wiesz, jak się nazywają?

– Tak.

– I nie oddałeś im?

– Ja...

– Chodźcie do tej samej szkoły? Wiesz, jak się nazywają? I nic... nie zamierzasz z tym zrobić?

Tata staje nad nim.

– Boisz się. Mój syn... się boi? Duvnjac? Każdy się boi! Nawet ja. Ale nie każdy ucieka. Zostajesz. I panujesz nad strachem. I rośniesz.

Ogromne ciało drży. Potem tata pokazuje na wyjście do przedpokoju i w stronę swojego pokoju do pracy.

– Idziemy.

– Tam?

– Natychmiast.

I znowu to samo. Dokładnie to samo co przed chwilą w przedpokoju – nogi tkwią w miejscu i nie mogą oderwać się od podłogi.

– Już.

Leo słyszy. Właśnie się poruszył, powoli, gdy otwierają się drzwi sypialni. Mama. Ma potargane włosy, a na sobie żółtą nocną koszulę, która nie za dobrze już na niej wygląda.

– Co tak... krzyczycie?

Tata odzywa się szeptem:

– Wracaj do łóżka spać.

– Co tu się dzieje, Ivan? Co chcesz zrobić?

– Nie wtrącaj się.

– Co wy tutaj... Matko święta, Leo, co z twoją twarzą, co...

– To sprawa między mną a Leo. Ja za to odpowiadam.

I znowu zalega cisza.

A potem tata kładzie rękę na ramieniu Leo, popycha go trochę, nie za mocno, lecz zdecydowanie, w kierunku pokoju.

– Do środka.

Felix stoi za zamkniętymi drzwiami i nasłuchuje. Przyciska do nich ucho i słyszy, jak mama pyta, co tata zamierza, a tata odpowiada, żeby się nie wtrącała.

Głosu Leo w ogóle nie słyszy, choć bardzo nadstawia ucha. Wie, że nie zanosi się na nic dobrego. Czuje się dokładnie tak samo jak wtedy, gdy ten parszywy Hasse wyciąga ręce i nie pozwala mu przejść. Albo jeszcze gorzej, jak wczoraj, kiedy nie mógł ostrzec Leo przed pięścią Kekkonena, która wyładowała bratu na karku.

Otwiera drzwi i wychodzi do przedpokoju. Nie może inaczej. Nie sposób stać w miejscu.

I wpada prosto na mamę.

Ona go słyszy, ale nie patrzy na syna, utkwiała wzrok w innych zamkniętych drzwiach, tych do pokoju taty. Felix staje przy niej i zaczyna nasłuchiwać razem z nią.

To brzmi jak... jakieś pacnięcie.

I kolejne.

A może bardziej jak... uderzenie. Kiedy ktoś kogoś bije. I jeszcze raz, i znowu, i kolejny raz.

Identycznie jak wczoraj. Kiedy nie mógł nic zrobić. Kiedy płakał i krzyczał, unieruchomiony przez Hassego.

Otwiera gwałtownie drzwi, zanim mama zdąży go powstrzymać.

Widzi coś dziwnego.

Nigdy nie widział taty w takiej pozycji. Na kolanach, na podłodze. Ma goły tors i zapiera się o duży niebieski materac, zrolowany i związany, tata trzyma go obiema rękami, właściwie obejmuje.

On, który nigdy nikogo nie obejmuje.

– Całe ciało do tyłu, tak.

Leo też nie ma na sobie swetra. Jest jak tata w samych dzinsach.

– Uderzaj całym ciężarem.

Felix dopiero teraz zauważa, że niebieski materac jest zawieszony pod sufitem na miejscu abażuru z ryżowego papieru.

– Atakuj ciałem, nie rękami, masz wykorzystać cały swój ciężar.

I że to Leo wymierza ciosy. W materac, który obejmuje tata.

Znowu. I znowu. I jeszcze raz.

– Jeśli ktoś próbuje cię zaatakować... – teraz tata wstaje, podskakuje w miejscu, nisko i szybko, i wali mocno, bardzo mocno w zawieszony materac – ...celuj w nos. Wystarczy jeden cios. I na początek wybieraj największego. Jedno mocne trafienie i oczy zaraz zaczną mu łzawić.

Przestaje uderzać, kiwa głową ku Leo, który rozciera sobie kostki prawej dłoni. Są już zaczerwienione i lekko otarte.

– Jak trafisz w nos, to delikwent się skuli, ci kretyni się zginają, jak tylko poczują lzy w oczach. Możesz być pewny, że zawsze tak będzie, jeśli przyłożysz w nos jak trzeba. Będziesz miał ich o tak, na wyciągnięcie ręki, spójrz na mnie Leo, naprzeciw siebie, czoło w czoło.

Tata się pochyla, prawie dotyka klatki piersiowej Leo, jak koza z rogami, która chce ubość drugą kozę. I dopiero w tej chwili dostrzega ich dwoje. Spogląda na mamę, napotyka jej spojrzenie, które domaga się odpowiedzi i jej nie otrzymuje, ponieważ tata przenosi wzrok na Feliksa.

– Przynies wody. W dużej szklance. Twojemu bratu na pewno chce się już pić.

Potem trąca i poszturchuje Leo, trafiając go głową w klatkę piersiową.

– Teraz twoja kolej. Ale nie uderzaj nigdy na wprost. Bo możesz trafić w czoło czy czaszkę, to najtwardsze kości człowieka, a ty powinienes chronić ręce. Najlepiej wymierzyć cios tutaj.

Tata wskazuje na swoją brodę i trochę na policzek.

– Kość policzkowa. Lekko zegnij rękę i uderz na ukos, z boku i jednocześnie od dołu.

Zaciska własną dłoń i przykłada sobie samemu w brodę i policzek.

– Trafiaj tutaj, dokładnie we wrażliwą kość policzkową. Tułów lekko do przodu, krótkie wyprowadzenie po przekątnej od dołu.

Leo uderza. Jeszcze raz. I znowu. Próbuje zatoczyć łuk ramieniem, trafić dokładnie tak, jak chce tata.

– Gdzie woda? Felix, miałeś przynieść wodę. Nie słyszałeś? Pospiesz się!

Felix wykonuje polecenie. Biegnie do kuchni, dopada kranu, w którym zawsze najpierw leci ciepła woda i trzeba długo czekać na zimną, napełnia dużą szklankę i powoli idzie z powrotem, trzymając ją w obu dłoniach.

– Dobrze. To twój nowy obowiązek. Co pół godziny masz przynieść bratu wodę. A teraz... zamknij drzwi.

Tata odwraca się do nich gołymi plecami i otacza ramieniem Leo.

– Trafiłeś go w nos. On się pochylił. Walisz dalej. Dopóki się nie przewróci. Nawet jak jest ich więcej, wsio ryba, dwóch czy trzech, to nie ma żadnego znaczenia. To jest, Leo, jak... taniec niedźwiedzia. Wybierasz sobie największego niedźwiedzia ze wszystkich i walisz go w nos, a inni wtedy uciekną. Podskakujesz i bach, podskakujesz i bach! Musisz wciąż płaść dookoła niego i mu dowalać, to może wyglądać jak małe prztyczki, ale w ten sposób go wykończysz, będzie skolowany i wystraszony, a ty ciągle będziesz mu dosuwał. Jesteś w stanie pokonać niedźwiedzia, jeśli tylko będziesz bez przerwy tańczył i celnie trafiał!

Felix czeka na mamę, która jednak wciąż stoi w ciepłym, dusznym pokoju.

– Ivan, co to ma być?

– Powiedziałem, żebyście stąd poszli.

– Przecież widzę, jak wygląda jego twarz. Coś takiego...

– Musi nauczyć się bić.

Mama ma zupełnie inny rodzaj głosu niż tata. Kiedy krzyczy, prześwidrowuje głowę.

– Nie możesz robić czegoś takiego, Ivan! Leo to nie ty. Chyba najlepiej wiesz, do czego to może doprowadzić!

– Musi, do cholery, nauczyć się bronić!

– Chodźmy do sypialni! Ty i ja! Zaraz, Ivan! Musimy porozmawiać!

Tata milczy przez chwilę. Choć wygląda tak, jakby chciał krzyknąć.

Podchodzi do mamy i wypycha ją z pokoju.

– O czym mamy rozmawiać, Britt-Marie? Jak ma się najlepiej położyć, kiedy następnym razem się na niego rzucą? Jak ma się odwrócić, żeby skopali go jeszcze mocniej? Musi umieć się bronić! Czy też ma być jakimś pieprzonym... Axelssonem?

Mama nie odpowiada.

A kiedy tata zamyka drzwi, Felix ścisną ją za rękę.

Feliksowi drżą lekko stopy, kiedy wyciąga się na palcach, żeby sięgnąć po zielony kuferek stojący na szafce łazienkowej, taki z rączką i białym krzyżem z przodu. Mama przyniosła go z pracy, coś takiego ma chyba każda pielęgniarka. Przyciska go do siebie i siada na wypukłej klapie sedesu, potem otwiera, wyjmując coś podobnego do bandaża, co da się rozciągnąć bez porwania, i białą taśmę, która wprost przeciwnie, rwie się bardzo łatwo i chyba nazywa się plasterem chirurgicznym. Z bandażem i plasterem w dłoniach pędzi po brązowej wykładzinie zakrywającej całą podłogę w przedpokoju, wpada do dużego pokoju i po parkiecie, który jest chłodny i skrzypi, kiedy chodzi po nim tata, wybiega na balkon, na który można dostać się i z dużego pokoju, i z kuchni.

Ten obrzydliwy Fin w swojej obrzydliwej dżinsowej kurtce.

Widział przecież, kiedy to kłocowate cielsko zważyło się nagłe na Leo, rzuciło się od tyłu, zupełnie tak, jakby to był napad Indian na nowych osadników, czyli na niego i na Leo, którzy nie orientują się w okolicy i zblądzili, i trafili prosto między przyczajonych, atakujących zniecacka wrogów. Nie raz słyszał, co Hasse i Kekkonen robią potem ze swoimi więźniami: ostrymi kamieniami szorują im mocno, aż do krwi, po przedramionach, a potem posypują rany solą. Buddę z trzeciego piętra, tego, co śmiertelnie boi się pajaków, związali, a w piwnicy nazbierali wszystko, co się ruszało i miało długie nogi, pająki i wielkie muchówki, włożyli je do kartonu, a potem Hasse wcisnął to pudło Buddzie na głowę, Kekkonen taśmą przykleił połówki dna do szyi Buddhy, a pająki i muchówki zaczęły pełzać mu po twarzy i po włosach, długimi nogami włożyły mu do oczu, uszu i ust. Felix widział go już po wszystkim, jak włókł się noga za nogą do domu, jeniec wojenny, który nie wiedział, gdzie jest i kim jest.

On i Leo mieli szczęście.

Felix wychodzi na balkon, zimne powietrze uderza go w twarz. Nie boi się, chociaż jest wysoko. Daje tacie bandaż elastyczny i plaster. Tata stoi jak zwykle przechylony przez barierkę i patrzy na wszechobecny w Skogås asfalt.

– Musisz ćwiczyć. Twoje palce muszą stwardnieć.

Tata odwraca się w stronę krzeseł kempingowych w pasy i siedzącego na jednym z nich Leo, który wciąż ma czerwone policzki. Ujmuje go za dłonie, rozprostowuje i owija kostki bandażem elastycznym.

– Ale na początku... zrobimy coś takiego, osłonimy je, tak żebyś mógł trenować coraz częściej i coraz dłużej.

Prawa ręka. Lewa ręka.

– Kiedy trafisz knykciami, musisz od razu całym ciałem pójść za ciosem, właśnie o to chodzi, wtedy go przygwoździsz.

Brązowawy bandaż najpierw na knykciach, potem niżej, między kciukiem a palcem wskazującym, i w końcu na ukos, przez grzbiet dłoni, warstwa za warstwą.

– Zaciśnij pięści.

Leo ścisną obandażowaną prawą dłoń i czeka, aż tata uderzy w nią swoją płaską dłonią.

– I jak?

– Dobrze.

Potem to samo robi z lewą ręką, następnie Leo wymierza kilka ciosów w powietrze, tuż przed Feliksem, podskakując. Biegnie przez duży pokój i przedpokój, cały czas uderza i uderza w powietrze. Tata idzie za nim, wraca do swojego pokoju, znowu przykłęka przy materacu i boksuje w niego, żeby go rozhuścić.

– Jak oni się nazywali?

– Hasse.

– I?

– Kekkonen.

Tata wali w kołyszący się materac, a potem we własne ramiona.

– Ci parszywi Hasse i Kekkonen robią właśnie tak. Ich ciosy zatrzymują się dokładnie... tutaj. Na ramionach! Tu kończy się ich ruch.

Prowadzi prawe ramię w kierunku materaca, wykręca nieco górną część tułowia i kontynuuje ruch, idzie za nim.

– A ty będziesz uderzał w ten sposób. Ty uderzysz ich na wskroś. Przebijesz się przez nich.

Tata przesuwa się drobnym krokiem w stronę Leo i staje za nim. Felix widzi tylko ich plecy, ale nie śmie wejść głębiej do pokoju. Wyciąga szyję, wspina się na palce na progu. Zdaje się, że tata chwytą Leo za ramiona i obraca jego tułów tak, jak przed chwilą zrobił to ze swoim.

– Celujesz w nos. Jak dobrze trafisz, to wybuchnie! Jak wielki pieprzony balon z wodą! A z tyłu, w środku, jest mózg, unosi się zupełnie luźno w płynie. Jak złota rybka w szklanej kuli. Dlatego jeżeli najpierw trafisz w nos, a potem w brodę... mózg zawsze podskoczy. Te parszywe mózdzki Hassego i Kekkonena rąbną w ścianę.

Leo wyprowadza kolejny cios.

– Nos! Broda!

Jeszcze raz.

– Nos! Broda!

I znowu.

– Nos! I całym ciałem do przodu! Broda! Przejdź przez nią! Nos! Ich parszywe małe mózdzki! Broda! Mają się poobijać i rozchlupotać!

Po kilku minutach stania na palcach Feliksa zaczynają boleć nogi. Wysoki próg jest kanciasty i ostry i trudno utrzymać na nim równowagę, a i tak niewiele widać. Kładzie się więc na podłodze. I kiedy od dołu obserwuje walącego w materac Leo, wygląda to śmiesznie, jakby nie działo się naprawdę.

Leży wciąż w miejscu, kiedy tata po serii ciosów w nos i brodę robi nad nim krok i idzie do kuchni, sięga po rondel i nalewa sobie jeszcze jedną szklankę piorunującego miodu. Zanim będzie mógł się przebrać w robocze ubranie, które wisi już trochę za długo w przedpokoju nieużywane, musi przygotować kosztorys i przedstawić go komuś, kto może da mu jakieś zlecenie. Felix leży i patrzy na stopy wychodzące przez drzwi na korytarz, potem słyszy dwa krótkie trzaśnięcia, kiedy winda otwiera się i zamyka. A później czuć w całym mieszkaniu spokój, jak zawsze kiedy tata wychodzi i robi się więcej miejsca.

Leo wali i wali w niebieski materac. Podskakuje. Nos, broda, nos, broda. Ręce do przodu i głuche dudnienie, kiedy trafiają w cel, obandażował sobie dłonie sam, identycznie jak tata, który całymi dniami maluje teraz czyjaś kuchnię w okolicy willowej. Leo już wie, jak ma uderzać mocniej i częściej bez irytującego bólu. Co rano zaczyna od serii przed śniadaniem i szkołą, w przerwie na lunch wpada do domu i nic nie je, tylko trenuje, potem powtórka po południu i wieczorem, i czasami w nocy, jeśli się obudzi i nie może zasnąć.

Już drugi raz słyszy tego popołudnia odkurzacza.

Przestaje walić.

Mama wstała. Przechodząc, zajrzała do niego kilka razy; dobrze zna to spojrzenie i widzi, że nie podoba jej się to jego trenowanie.

Uderza znowu. Nos i broda. Hasse i ta fińska świnią. To ich unika, a może nawet ukrywa się przed nimi, bo mogą stać wszędzie i o każdej porze czyhać na niego, zanim odpowiednio się wyszkoli. Nos i broda, Hasse i fińska świnią. Teraz idzie mu jak po maśle. Ciało jest mu posłuszne. Ramiona się obracają, ręka wystrzela do przodu, wymierza cios i przebija ich na wylot.

– Najwyższa pora to zdjąć. – Mama wyłączyła odkurzacza. – To hak na lampę. Więc powinna tu wisieć lampa.

Przynosi trójnożny taboret, wdrapuje się na niego, wyciąga ręce w stronę sufitu i haka, podczas gdy jej syn bębni w materac dalej, nie patrząc na nią.

– Mógłbyś przestać?

Uderzenia są mocne, znacznie mocniejsze, niż sobie wyobrażała, materac podskakuje.

– Nie słyszysz, co do ciebie mówię? Przestań walić.

Jeszcze mocniej.

– Leo?

– Nos i broda, ma-mo.

Uderza i jednocześnie mówi; co sylaba jedno uderzenie. W końcu ona chwytą materac, mocno go trzyma.

– Posłuchaj mnie, Leo! Jak nazywają się chłopcy, którzy cię tak urządzili?

Mama obejmuje materac i uniemożliwia mu boksowanie.

– Hasse i Kekkonen.

– Potrzebuję ich pełne nazwiska.

– Po co?

– Bo zamierzam zadzwonić do ich rodziców.

– Nie rób tego! Jeżeli do nich zadzwonisz... Nie rozumiesz, co się stanie?

Siada na taborecie, akurat starcza mu miejsca obok obszytych puszystym futerkiem kapci mamy.

– Synku, ja to załatwię.

– Będzie jeszcze gorzej! Nie kapujesz!

Mama schodzi ze stołka i nie ściska już materaca, tylko ściska jego.

– Ich pełne nazwiska.

Leo kręci głową, czołem trze o jej biust.

Mama znowu wdrapuje się na taboret, trochę unosi zwinięty materac i upuszcza go na podłogę.

– Sam to załatwię! Nie wtrącaj się!

– I zdejmij wreszcie te idiotyczne bandaże.

– Muszę trenować!

– Natychmiast, Leo.

– Tata powiedział, że mam trenować!

– A ja ci mówię, że masz z tym skończyć.

Nie odzywa się do niej. Ani słowem. Milczy, kiedy ona dalej odkurza i kiedy Felix wraca do domu, i kiedy jedzą podwieczorek przy stole w kuchni, i kiedy mama prosi ich wszystkich, żeby się ubrali, bo mają pojechać po tatę, jak zawsze, gdy kończy robotę, a potem jak zwykle wybiorą się na zakupy.

Milczy też w samochodzie.

On na fotelu pasażera, Felix i Vincent na długim siedzeniu środkowym, a sprzęt taty do malowania całkiem z tyłu. Mama prowadzi, często to robi – przywozi, zawozi, podrzuca. Normalnie Leo bardzo lubi, kiedy wszyscy razem jadą gdzieś samochodem, to najlepsze, co może być.

Jazda z ich osiedla do okolicy z domami jednorodzinnymi zajmuje tylko kilka minut. Zatrzymują się przed jednym z nich i załadowują do środka rzeczy wystawione przez tatę przed furtkę. Wkładają umyte do czysta i silnie pachnące rozpuszczalnikiem pędzle, wałki zawinięte w foliowe torby i puszki z farbami i klejem do tapet, podczas gdy tata kończy rozmawiać ze starszą panią i bierze od niej kopertę.

Nie odzywa się. Ani słowem. Fajnie jest być tak cicho.

Leo także milczy, gdy przenosi się na tylne siedzenie, bo tata siada blisko mamy i całuje ją w policzki. Widać, że jest bardzo zadowolony, śmieje się tak samo jak przed chwilą do klientki, kiedy powiedziała mu, że w maju będzie miał więcej roboty, bo ona chce przemaalować cały dom. Wtedy tata spojrział na Leo, a Leo wie dlaczego – to poważne zlecenie i przysła się więcej rąk i nóg.

– No, mój synu? Jak tam twoje palce? – Zupełnie jakby tata widział, mimo że siedzi z przodu i patrzy przed siebie. – Nos i broda, tak? Jak ci idzie?

Leo dotyka knykci, które nie są zabandażowane.

– Leo? Zadałem ci pytanie.

– Są...

Nie zdążył nawet porządnie zacząć. Mama przerywa mu i odpowiada za niego:

– Zdjęłam go dzisiaj.

Tata odwraca się do niej, ale jego twarz jeszcze się nie zmieniła.

– Co?

– Zdjęłam materac. Ten, na którym spaliśmy, kiedy się poznaliśmy.

Teraz. Teraz się zmieniła.

Policzki taty się napięły, usta stały się węższe. Najbardziej jednak widać to w oczach.

– Mówisz, że co zrobiłaś?

– Chyba nie będziemy rozmawiać o tym w samochodzie, Ivan.

– O czym nie będziemy rozmawiać w samochodzie? O tym, że nasz syn ma obitą twarz i musi nauczyć się bronić?

– Kochanie, czy nie możemy pomówić o tym później? Teraz po prostu zrobmy zakupy, pojedźmy do domu i posiedzmy sobie jak w piątkowy wieczór. A porozmawiamy jutro.

Milczenie taty każe im przysunąć się do siebie na tylnym siedzeniu. Czuć już od niego czarnym winem, na które pozwolił sobie tuż przed zakończeniem roboty.

– Ale i tak trenowałem tyle, ile trzeba. Tato, wiesz...

– Pokaż mi ręce.

Leo podaje mu prawą dłoń.

– Miękką.

Tata uciska ją, nagniatą.

– Kompletnie miękką.

Leo nie patrzy na tatę, widzi mamę we wstecznym lusterku, jej oczy zwrócone są na samochody wyjeżdżające stamtąd, dokąd oni jadą, z parkingu przed Skogås Centrum.

– Ale ja już umiem, tato. Nos i broda, i całe ciało, i...

– Będziesz gotowy, kiedy uznam, że jesteś gotowy.

Wszyscy wysiadają. Nie jest przyjemnie. Leo słyszy podniesione krzykliwe głosy przed wejściem do centrum handlowego i zerkna na tatę. Wie, że ich nie znosi. Dlatego zostaje trochę w tyle. Nie chce iść obok niego, nie teraz, kiedy mijają tamtych.

Siedzą w tym samym miejscu co poprzednio. Ci najgłośniejsi na ławkach, a trochę cichsi – na niskiej żelaznej balustradzie. Siedzą rzędem z zielonymi puszkami piwa w dłoniach, są dorośli, ale nie tak starzy jak mama i tata. Zdarza się, że tata zatrzymuje się dokładnie naprzeciw nich i pyta, dlaczego przesiadują tutaj beczynnie i nie pracują jak wszyscy inni. Potem nazywa ich pasożytami i przygląda im się przez chwilę, a najbardziej temu z jasnymi kręconymi włosami, w czarnej puchówce z kapturem, i jeszcze jednemu obok, z długimi ciemnoblon włosami i w błyszczących księżycowych butach. Ale tym razem tata nie mówi nic. I Leo oddycha z ulgą. Ten kędzierzawy krzyczy coś z nimi,

kiedy tata odbija w lewo w stronę sklepu monopolowego, a on, Felix i Vincent wchodzą z mamą do supermarketu ICA. Potem mama płaci za siedem wyladowanych reklamówek pieniędzmi z koperty taty, a oni pomagają zanieść je do samochodu. Nawet Vincent ścisza w objęciach wielkie opakowanie papieru toaletowego.

Kładą zakupy przy sprzęcie do malowania. Tata siedzi już na miejscu z opróżnioną do połowy butelką z czarnym koniem na etykiecie i wygląda przez boczną szybę na tamtych siedmiu na ławkach i ogrodzeniu, na tych pasożytów.

Mama właśnie zamierza wycofać się z miejsca parkingowego, kiedy tata chwyta za kluczyk i włącza silnik.

– Leo. Wyskakuj z samochodu. Pójdiesz ze mną.

Mama z powrotem przekręca kluczyk w stacyjce.

– Jedziemy do domu.

– Nie sprzeciwiaj mi się!

Tata przekręca go w drugą stronę.

– T y jedź do domu. I zabierz ze sobą Feliksa i Vincenta.

Otwiera drzwi i wyskakuje, staje obok auta i czeka, aż Leo też wysiądzie, a potem przez boczną szybę wkłada głowę do środka samochodu i powtarza:

– Rób, co ci mówię. Jedź do domu. I weź ze sobą chłopców.

Potem zaczyna iść. Ruszają obaj razem. Z powrotem w stronę centrum handlowego. Leo ostatni raz szuka wzrokiem mamy, ale ona na niego nie patrzy. Uruchamia silnik i wyjeżdża z ciasnego miejsca parkingowego.

– Tamten pośrodku, widzisz go? To ich szef. Szef pasożytów.

Tata wskazuje na chłopaka z jasnymi kręconymi włosami w czarnej puchówce, tego najgłośniejszego, który nie odgania sobie tyłka na twardym ogrodzeniu.

– Chyba muszę sobie... z nim trochę porozmawiać. Co ty na to, Leo?

Przystają dokładnie naprzeciw niego. Przed nim.

– Chłopaki, chciałbym, żebyście mnie posłuchali.

Gdyby tak się nie zatrzymali, tylko poszli dalej w stronę sklepów. Albo gdyby tak te zapchane ławki nagle się zaważyły. Albo gdyby w tym momencie spadła bomba atomowa. Wtedy nie musieliby tutaj sterczeć.

Leo wtula głowę w ramiona, przymyka oczy. Niestety, nie spada żadna bomba.

– Widzicie tamtą pizzerię? Pójdę tam teraz z moim synem coś zjeść. Zajmie nam to... jakieś czterdzieści pięć minut. Kiedy stamtąd wyjdziemy, ma was tu nie być.

– Jaja sobie robisz?

– Nie chcę dłużej słuchać tych waszych jazgotliwych głosów. I nie chcę was widzieć.

Jasnowłószy z lokami wymachuje puszką z piwem w dłoni.

– Jaja sobie robisz? Słyszeliście? Staje tu taki bambus i żarty sobie robi. A co my robimy, jak ktoś blaznuje? Nabijamy się z niego.

Blondyn mówi, wciąż poruszając rękami. Jak dyrygent, który dyryguje zgodnym śmiechem całego zespołu.

– Myślisz, że żartuję? Taki mały, wszawy pasożyt, taki nierób jak ty będzie tu decydował? Nie sądzę. Umówmy się tak: jeśli ty i twoi kumple darmozjady nie zabierzecie się stąd ze swoim piwskim, gdy wyjdę z powrotem, złapię was za te zarośnięte łby i wrzucę w krzaki.

Leo przesuwa się trochę, stoi obok taty, zwrócony całym ciałem w stronę pizzerii, jakby tu był, ale tak nie do końca. Jest ich siedmiu. W puchowych i dzinsowych kurtkach. Mogliby być starszymi braćmi Hassego i Kekkonena, wrzeszczą teraz, najbardziej ten z jasnymi kręconymi włosami, „pieprzony turas”, a drugi, obok niego, ten w księżycowych butach, pokazuje im środkowe palce obu dłoni i pluje daleko, „czyli chcesz oberwać, durny Greku, na oczach własnego dzieciaka?”, potem bierze sporą grudę ziemi z rabatki i w nich rzuca.

– Tata nie jest Turkiem.

Leo robi krok do przodu, teraz widać go trochę bardziej. Wydaje mu się ważne, żeby to powiedzieć.

– Ani Grekiem. Jest w połowie Serbem, w połowie Chorwatem. A mama jest Szwedką. No więc ja... ja jestem w jednej trzeciej Szwedem.

Ten, który splunął i rzucił ziemią, stawia puszkę na ławce i zanosi się śmiechem, tym razem szczerze.

– Kurde, w jednej trzeciej Szwedem! Zabieraj tego swojego niedorozwiniętego bękarta i spadaj stąd!

Restauracja nie jest duża. Dziewięć stolików. Nad każdym obrusem w czerwono-białą kratkę wiszą niewielkie lampki, które nie dają wiele światła. Przy trzech stolikach siedzą samotni mężczyźni i popijają piwo, a przy dwóch młode parki, które jedzą pizzę większe niż talerze. Tata podchodzi do baru i zamawia u Mahmuda piwo i setkę fińskiej wódki, i dużą szklankę pomarańczowej oranżady, a potem wybiera stolik przy oknie.

Byli tu już wiele razy. I Leo bardzo lubi pić oranżadę w wieczornym mroku razem z tatą. Ale nie teraz. Nie chce tych bąbelków o smaku pomarańczy. Choć ma suche gardło, oranżada nie splywa mu po przeflyku, jakby między klatką piersiową a żołądkiem była jakaś przeszkoda.

– Nie napijesz się? – Duże dłonie unoszą pełną szklankę. – Nie chce ci się pić?

Leo kręci głową.

– Nie smakuje ci?

– Smakuje.

Jeden łyk. I znowu zatrzymuje się tam, gdzie pozostałe. Mniej więcej na wysokości serca.

– Wiesz, Leo, ile tu jest?

Koperta taty z grubym plikiem banknotów w środku.

– Osiem tysięcy koron. Ja muszę pracować. Mama musi pracować. Wszyscy potrzebują pieniędzy. A kiedy jestem w pracy, Leo... wtedy nie mogę cię bronić, dlatego musisz umieć bronić się sam. I w razie czego musisz umieć obronić swoich braci.

Tata wypił pół piwa i całą wódkę.

– Mama nie rozumie, że trzeba się bronić. A te nieroby przed wejściem nie rozumieją, że trzeba pracować.

Tata wskazuje na okno. Ci na ławce wydają się wkurzeni, jeden z nich, ten z długimi ciemnymi włosami, który nazwał tatę „durnym Grekiem”, wstaje.

– Tłoczą się na tej cholernej balustradzie i gapią tępo, bo nie mają nic innego. Myślą, że są kumplami, bo piją piwo z jednej pieprzonej puszkki. Bracia, Leo! Rodzina. To jest coś! To jest coś dużo ważniejszego! Jeden chroni drugiego. Niezależnie od tego, co się dzieje, wszyscy trzymają się razem. A ci tutaj? Niech ich szlag! Dasz jednemu w nos, to reszta też od razu się przewróci.

Po drugiej stronie szyby gość z długimi włosami skończył wrzeszczeć i zdecydowanym krokiem ruszył w stronę wejścia do restauracji.

– Coś się będzie działo.

Tata też go zauważył. Wysunął brodę i dolną wargę, zmarszczył czoło i spoglądał spod brwi, jak zawsze, kiedy już ułożył sobie w głowie, co ma zrobić, niezależnie od tego, co by się działo.

– Uwważaj, Leo. Tata to załatwi. Jesteśmy rodziną. Chronimy się nawzajem.

Otwierają się drzwi.

Staje w nich typ w księżycowych butach. Teraz jest znacznie większy – kiedy siedział, trudno było zobaczyć, że jest wyższy i silniejszy od taty.

Długie włosy falują, kiedy podchodzi bliżej. Opadają raz na jedno, raz na drugie ramię. Wreszcie zatrzymuje się i patrzy na tatę, który odstawia szklankę z piwem.

– Masz ogień?

Stoi przy stoliku. Papieros w kąciку ust. Tata siedzi i nie reaguje.

– Słyszysz, kebabie? Ogień?

Długie włosy sięgają do szklanki taty, a kiedy chłopak pochyla się jeszcze bardziej, zanurza je w niej, kręci powoli głową, moczy je w piwie. A potem wszystko dzieje się błyskawicznie. Już później, kiedy Leo wraca do tego myślami i próbuje przypomnieć sobie sekundę po sekundzie całą akcję, nie jest pewny, czy to się w ogóle zdarzyło.

Włosy w szklance.

I tata, który z kieszeni roboczych spodni wyciąga nóż Mora z czerwoną rękojeścią, chwytą tamtego mocno za włosy i ucina je jednym ruchem.

– Ty g n o j k u!

Typek, który zamoczył włosy w szklance z piwem, zatacza się do tyłu, z jedną ręką na głowie, na której niewiele mu zostało.

– Ty łajz o!

I znowu otwierają się drzwi. Wchodzi do środka trzech kolejnych, blondyn z lokami i dwaj z tych, którzy siedzieli przy nim. Tata upuszcza obcięte włosy na podłogę, spadają jak płatki róży i układają się przy jednej z nóg krzesła. Potem wstaje. I robi to. Leo widział już wcześniej, jak tata rozmawiał z innymi w taki sam sposób – ale nigdy nie potrafił tego do końca zrozumieć. A teraz nagle rozumie. Prawa ręka trafia w nos, a lewa w brodę, ramię obraca się i tułów atakuje całym swoim ciężarem. Rozlega się trzask, kiedy pęka kość policzkowa, i jeszcze ten drugi odgłos, który zawsze tak go dziwił, bo nie mógł uwierzyć, że powstaje aż taki hałas, kiedy dorosły człowiek wali się bezwładnie na ziemię.

Za drugim razem wszystko odbywa się tak samo szybko. Jeden cios w środek nosa i gość, co siedział na ogrodzeniu, pada na stolik blisko toalety, który często jest wolny.

Trzeci, blondyn z lokami, ciągle jeszcze stoi. Jakby czekał. I kiedy tata robi kolejny krok, odwraca twarz i podnosi ręce.

– Nie!

Po prostu stoi.

– Nie będziemy... już nigdy tam... my...

– Chodź. Tutaj.

Tata odsuwa krzesło, na którym do tej pory siedział. A ci, co zostali jeszcze na zewnątrz i zamierzali wejść do pizzerii, zwiewają.

– Klękaj tutaj. Przy moim synu.

Blondyn się ociąga.

– Słyszysz?!

Tamten osuwa się na kolana.

Tuż za nim staje barman, Mahmud, któremu jakby bardzo się spieszy.

– Ivan?

– Zaraz kończę.

Mahmud kładzie jedną rękę na ramieniu taty.

– Ivan, chyba nie myślisz, do diabła...

– Jeśli coś się zniszczy, zapłacę. Spokojnie. OK?

Tata pokazuje mu kopertę, przez chwilę patrzą na siebie, a potem Mahmud kiwa głową i cofa rękę. Tata zaś odwraca się do tego na klęczkach.

– Żaden z ciebie szef.

Nóż Mora. Tata podtyka go blondynowi tuż pod nos.

– Prawdziwy szef nie wysyła swojego ulubionego wycierucha i nie każe mu moczyć włosów w moim piwie.

Przysuwa nóż jeszcze bliżej.

– Prawdziwy szef nie wysyła swoich lokajów. Idzie pierwszy. Przewodzi.

Ostrze noża ociera się o usta i nos, kędzierzawy płacze. Nie jakoś bardzo, ale jednak chlipie.

– Słyszysz, Leo?

Tata trzyma nóż przy twarzy tamtego i patrzy na swojego syna.

– Co?

– Masz mnie słuchać!

– Ale o co chodzi, tato?

– Prawdziwy przywódca przewodzi.

Blondyn cofa lekko głowę, odsuwa się od noża, na którego ostrzu są resztki białej farby.

– Nie ruszaj się! Klęcz!

Ręka taty chwytą za kręcone włosy, odsłania spocony kark tamtego.

– Leo?

– Tak?

– Widziałeś? Pierwsze uderzenie zawsze prosto w sam nos. I zawsze całe ciało za nim.

– Widziałem.

Tata ciągnie za kędzierzawe włosy tak mocno, że aż bieleją mu kostki na dłoniach.

– Dobry przywódca uderza porządnie. Jest sprawiedliwy. Nigdy nie pozwala, żeby jego bracia oberwali. Jest za nich odpowiedzialny i im przewodzi. A ten oberwaniec przysłał tu kogoś innego! Nie rozumie, że szef zawsze idzie pierwszy.

Szklanka z piwem stoi wciąż na stole, pełna do połowy. Tata wskazuje głową na drugą, też jeszcze niedopitą, ale z pomarańczowym płynem.

– Wypij do końca. Musimy już iść.

Leo kręci głową, jeszcze wyraźniej czuje ten węzeł między klatką piersiową a żołądkiem.

– Ty zostajesz na ziemi!

Kiedy obaj wstali od stołu, blondyn też lekko się ruszył.

– Słyszysz, co mówię?! Masz klęczeć, dopóki ja i mój syn nie wyjdziemy za drzwi i nie znikniemy ci z pola widzenia!

Na dworze jest cieplej. Albo przynajmniej tak się wydaje.

Wejście do Skogås Centrum wygląda, jak wyglądało. Ale ławki i balustrada są puste, a zielone puszki po piwie turlają się po ziemi w lekkim wietrze, tu i ówdzie tli się kilka niedopałków.

Leo wciąga powietrze i je wydycha. Teraz idzie mu to łatwiej.

Idą wyasfaltowaną alejką, która przecina osiedle bloków, mijają ciemną szkołę i opustoszały plac parkingowy. Już na ostatnim wzniesieniu przed Vallhornsvägen 8 tata się zatrzymuje i odwraca.

– Słyszysz, Leo?

Wiatr. Tylko wiatr.

– Co takiego?

– Nie słyszysz?

– Nie.

– Cisza.

Tata wskazuje głową w kierunku centrum handlowego.

– Lawki, Leo. Balustrada. Jeszcze pół godziny temu siedziały tam te nieroby i tylko się gapiły. A teraz ich nie ma. Bo tak postanowiłem.

Stoją w miejscu przypominającym to, gdzie Leo leżał zaledwie kilka dni wcześniej. Krzaki, latarnie, asfaltowy chodnik do klatki schodowej.

Ciekawe, czy tata o tym wie? Czy to jedynie przypadek?

– Siła woli, rozumiesz, Leo? To o nią chodzi. Wystarczy mieć odpowiednio silną wolę, a zmienisz, co tylko chcesz. Wszystko zawsze zależy wyłącznie od ciebie. Od nikogo innego! Ty decydujesz i potem idziesz prosto do celu.

Wchodzi na siódme piętro po schodach, podczas gdy tata jedzie windą. Ścigają się – jeśli będzie brał po dwa stopnie naraz, a na każdym półpiętrze zrobi tylko dwa kroki, otworzy brązowe drzwi do mieszkania tuż przed wyjściem taty z windy. Mija kuchnię i pochylone nad blatem plecy mamy, która zanurza ręce w głębokiej aluminiowej misce, robi pulpety mięsne albo kotlety. Przechodzi obok pokoju Vincenta; jego dwaj młodszy bracia siedzą na dywanie z widokiem miasta, Vincent między Feliksem i dokładnie siedemdziesięcioma siedmioma żołnierzami. Obaj mozolnie rozstawiają brytyjskich żołnierzy naprzeciw amerykańskich marines, a Leo szepcze, że to błąd, że oni nie walczyli przeciwko sobie, na co Felix odpowiada mu też szeptem, że wie, że to błąd, ale Vincent tak chce.

Potem słyszy, jak tata wchodzi za nim i szybko idzie prosto do pokoju, bierze materac oparty o ścianę i trzymając go w jednej ręce, wskakuje na taboret, a drugą ręką zdejmuje lampę z haka.

– Ivan?

Mama staje w drzwiach.

– Już ci mówiłam. Nie chcę, żeby ten...

Na obu dłoniach ma tłuszcz i odrobinę mięsa na jednym przedramieniu.

– ...materac tam wisiał.

– To nie jest, do cholery, żaden materac, to worek treningowy. Ma tu wisieć, dopóki nasz syn nie będzie gotowy.

Mama pociera sobie czoło dłonią i nie zauważa, że ubrudziła się mięsem.

– Hans Åkerberg, Jari Kekkonen. To ich nazwiska. Chodzą do siódmej klasy, tutaj, w Skogås. Możemy porozmawiać z ich rodzicami. Porozmawiać, Ivan. Rozwiązać to.

– Porozmawiać? Nie będziemy rozmawiać z żadnymi cholernymi rodzicami.

– Dlaczego nie?

– Bo oni będą dalej chuliganić! Tacy jak oni nigdy nie przestaną, jeśli ich do tego nie zmusisz. Tak to już jest, Britt-Marie, ale ty tego nie zrozumiesz.

Mama znowu przyciska dłoń do czoła. Pozostaje na nim jeszcze większy czerwony ślad. Leo widzi, że się zorientowała, w tym momencie jest to jej jednak obojętne.

– Nie masz w ogóle pojęcia o relacjach między dziećmi. Nigdy cię to nie interesowało, Ivan. Nigdy nie chciałeś poznać nikogo, kto jest mi bliski. Mojej mamy i mojego taty. Erika i Anity. Moich przyjaciół. Interesuje cię tylko wywoływanie konfliktów! Żebyśmy się odizolowali. Byli rodziną. Wciąż tylko tą piekielną rodziną!

– Oni napadli na mojego syna.

– My przeciwko wszystkim.

– Przewrócili go, skopali, a ty chcesz, żebyśmy r o z m a w i a ł z jego ojcem?! Może jeszcze zaprosimy go na kolację?

Tata wymierza cios w materac, który zaczyna kołysać się między nimi.

– Lepiej, żeby załatwili to między sobą. Bez naszego udziału.

Leo woli na razie nie wchodzić do środka, zagląda za to do pokoju Vincenta. Siedemdziesięciu siedmiu żołnierzyków jest właściwie po jednej stronie, mimo to się ostrzeliwiają. Dopiero kiedy wszystkie się poprzewracają, zostaną ustawione na nowo.

Tata jest w pokoju. Mama wróciła do kuchni.

Leo podchodzi do worka, zdejmuje sweter i przyjmuje pozycję. Przenosząc ciężar ciała na lewą nogę, uderza po raz pierwszy.

– Prawa ręka osłania prawy policzek.

Nie trzyma prawej ręki wystarczająco wysoko i tata ze zwinnością pantery podskakuje do przodu, i dłonią na płask uderza go lekko w twarz.

– Prawa ręka osłania prawy policzek, Leo.

Leo spogląda na tatę i zaciskając prawą pięść, uderza lewą, a w tym samym momencie tata znowu trafia go w policzek. Tym razem trochę pali – wciąż jeszcze za bardzo opuszcza prawą rękę.

Znowu przyjmuje pozycję.

Gołe stopy na zimnej podłodze. Siedzi na brzegu łóżka w cienkich majtkach, ziewa. Halaśliwy budzik w barwach New York Rangers ma dwie wskazówki, które wyglądają jak kije do hokeja. Za piętnaście piąta. Jeszcze ciemno za nieszczelnymi żaluzjami.

W ostatnim tygodniu trenował każdego dnia sam, a potem wieczorem z tatą. I codziennie wstawał tak wcześnie jak dzisiaj.

Robi to ostatni raz.

Idzie do pokoju i wali w nos i w brodę. Dzisiaj. Czuje ten cios, począwszy od ramienia przez klatkę piersiową i żołądek, nawet w kutasie.

Naprawdę. Czuje go nawet tam.

Potem odpoczywa przez chwilę na balkonie i patrzy na dach szkoły w oddali, myje się nad umywalką i robi śniadanie, budzi Feliksa, budzi Vincenta.

– Leo, co z tobą?

– Nic.

Jogurt. Grzanki. Sok pomarańczowy.

– Przecież widzę.

– Nic mi nie jest.

– Jesteś jakiś dziwny. Inny niż zawsze. Już nie trajkoczesz jak kiedyś.

Felix grzebie łyżką w jogurcie.

– Tak jakbyś... tu siedział, ale nie ze mną. Jesteś tutaj tylko ze sobą.

– Dopadnę ich dzisiaj.

– Kogo?

– Hassego i Kekkonena.

Felix miesza i miesza w cholernym jogurcie, ma go w dupie, nie chce go jeść.

– Leo?

Idzie za starszym bratem, który wyszedł do przedpokoju i stanął przed lustrem, a teraz przeniósł ciężar ciała na lewą nogę i wali prawą ręką.

– Leo?

A potem wyciąga wysoko rękę i ostrożnie zdejmuje z haka robocze ubranie taty. Prawie nigdy nie widywali go w niczym innym, z wyjątkiem kilku razy, kiedy odwiedzali go w więzieniu, gdzie trafił za pobicie. Koszula w kratę i spodnie ogrodniczki z jakimś narzędziem w każdej kieszeni.

– Leo?

Obaj wiedzą, gdzie jest nóż. W podłużnej kieszeni na nogawce. Leo ją rozpina. Bierze do ręki nóż Mora, broń, którą da się odciąć włosy, i wkłada do kieszeni kurtki.

– Co ty robisz?

Starszy brat za bardzo zamknął się w sobie. I nie można do niego dotrzeć.

– Leo! Nóż!

– Powiedziałem przecież. D z i s i a j. Dopadnę ich dzisiaj.

Idą potem razem tą samą drogą, którą jeden z nich pokonuje już prawie od czterech lat, a drugi niemal od roku. To zaledwie kilkaset metrów, jeśli decydują się na skrót przez parking i zarośla, i już są na drodze prowadzącej na szkolny dziedziniec.

Nie odzywają się do siebie. Bo jak właściwie rozmawiać z bratem, który zapadł się w siebie? Stoją na boisku i czekają.

Również wtedy, gdy odzywa się dzwonek na lekcje. W końcu Felix nie wytrzymuje:

– Leo. Nóż. Tobie...

– Dzwonek.

– ...nie wolno...

– Dokładnie za czterdzieści minut będzie drugi. Wtedy popędzisz do domu. Powiesz tacie i razem z nim staniesz na balkonie.

– Nie rozumiem.

– Dom. Tata. Balkon. Kiedy zadzwoni dzwonek na koniec lekcji. Okej?

Leo patrzy na młodszego brata, który ani drgnie.

– Okej?

I który kiwa niechętnie głową.

– Kiedy zadzwoni jak teraz. Tylko na koniec.

Długi, brzydki, irytujący dźwięk.

Leo się rozgląda.

Boisko sześciu pierwszych klas, jeszcze przed chwilą pełne życia, jest teraz martwe. Ci, co biegali jak szaleni, skakali, popychali się i śmiali, zniknęli. Sześć oddzielnych wejść dla sześciu różnych roczników wesoło ich jak odkurzacz, połknęło, żeby wypluć znowu za czterdzieści minut.

Staje pod ceglany murem i spogląda na boisko najstarszych klas u podnóża wzniesienia. Ono nie jest puste, jeszcze nie. Tam nikt nie spieszy się z powrotem na lekcje. A najbardziej ociąga się dwóch z siódmej, jeden w niebieskiej puchówce, a drugi w dżinsowej kurtce, nazywają się Hasse i Kekkonen. Leo trzęsie się tak, że cegły szorują mu po plecach – ze strachu, z napięcia. Hasse i Kekkonen stoją pośrodku boiska w zaznaczonym białymi liniami kwadracie blisko masztu na flagę, palą i gapią się na innych, którzy zmierzają do wejścia, uderzają pięściami w plecy mijających ich uczniów. Są duzi, nawet z daleka. Hasse jest wysoki i ma zmęczone oczy, niebezpieczne, Kekkonen za to jest kłocowaty, a jego oczy wwiercają się we wszystko, na co patrzą. Ale tym razem Leo wie. Wie dokładnie, co i jak ma zrobić. Tym razem to przecież on czyha na nich.

Stoi wciąż przyciśnięty do muru, dopóki tamci nie ruszają w stronę wejścia. Oblicza czas. Powinni zdążyć dojść do klasy. Leo nie potrzebuje zegarka, wie, kiedy minie pięć minut. I potem biegnie szybko na sam dół pochyłości, przecina boisko i wchodzi do budynku klas siedem–dziewięć, w którym był kilka razy wcześniej, i nauczył się, że tutaj zawsze trzeba trzymać się blisko ścian.

Idzie wzdłuż rzędu uczniowskich szafek, palce ma zaciśnięte na nożu w wewnętrznej kieszeni kurtki, idealnie leży mu w dłoni, drewniana rękojeść jest gładka, jakby codziennie stopniowo wyrabiała się w rękę taty.

Idzie w głąb pierwszego korytarza, mija po drodze zamknięte drzwi, obok których wiszą kurtki. Z pierwszej klasy słychać jakiś instrument, w drugiej ktoś gwizdze na palcach. Kolejny korytarz i kolejne drzwi. Dociera do piątego i widzi wreszcie to, czego szuka. Drzwi do pracowni fizycznej. I kurtki na wieszakach. Zatrzymuje się przy puchówce z tłustą plamą na piersi i dziurą po papierosie na jednym ramieniu, przy kurtce dżinsowej z naszywką przedstawiającą język wywalony daleko z ust.

Już się nie trzęsie. Jest zupełnie spokojny.

Noż dobrze leży mu w dłoni, kiedy wbija ostrze, przeciąga po plecach obu kurtek, kilka razy, pionowo.

Potem odchodzi dwadzieścia kroków. Wystarczy. Siada i czeka.

Lekcja trwa czterdzieści minut. Jeśli się nie myli, zostało jeszcze dwadzieścia pięć.

Zaczyna liczyć. Po sekundzie. Do sześćdziesięciu. I od początku.

Zdążył zrobić to prawie dwadzieścia pięć razy, kiedy ten długi, ohydny i irytujący dźwięk zalewa korytarz. Wstaje, szeroko rozstawia stopy, zwrócony w stronę kurtek z pociętymi plecami.

Zaraz. Już.

Otwierają się drzwi.

Uczniowie opuszczają po kolei klasę. Ma miękkie kolana. Jeden za drugim przechodzą obok niego. Tułów lekko pochylony.

Wychodzą na samym końcu. Równocześnie pokazują się w ciasnych drzwiach. Hasse. Kekkonen.

I widzą swoje kurtki.

Widzą pocięte plecy.

I widzą jego.

Leo podnosi rękę, macha. Puszczają się pędem. On też. Korytarz, szafki, drzwi wejściowe, boisko.

Ogląda się. Są coraz bliżej.

Pod górę. Dziedziniec klas średnich. Boisko dla najmłodszych. Przez drogę i kamienie, przez zarośla i parking.

Słyszysz, jak za nim wrzeszczą.

Felix nawet nie myślał, że może tak szybko przebierać nogami. Schodami na siódme piętro, zamiast windą, która nigdy nie przyjeżdża na czas.

Leo przecież wyraźnie mu powiedział: „Kiedy zadzwoni dzwonek na koniec lekcji”.

Wpada do mieszkania, pędzi przez przedpokój do kuchni i do taty, który siedzi przy stole.

„Dokładnie za czterdzieści minut”.

Tata wygląda na zmęczonego, trzyma czajnik, nalewa kawę do kubka.

„Popędzisz do domu. Powiesz tacie i razem z nim staniesz na balkonie”.

– Co ty... tu robisz, synu? O tej porze?

Felix nie odpowiada. Nie słyszy pytania. Rzuca się do drzwi balkonowych, które nie dają się otworzyć, obraca i obraca gałką, niech to szlag... W końcu się uchylają, a on wspina się na palce, żeby móc spojrzeć ponad balustradą.

Krzyczą za nim.

Ale zagłuszają ich stopy uderzające o ziemię.

Oddech zaczyna się gdzieś nisko w żołądku, wypełnia mu płuca i rośnie. Nigdy nie wyobrażał sobie, że tak właśnie czuje się człowiek, gdy się lata. Frunie nad parkingiem i asfaltową alejką w stronę wejścia do domu.

Zatrzymuje się i zerka w górę.

Widzi, jest tego pewien, wystającą zza balustrady głowę Feliksa.

Potem się odwraca i czeka na tych, co go ścigają. Ugina kolana, lekko przykuca.

Wyciąga ręce przed siebie, prawa dłoń osłania prawy policzek.

Felix widzi, jak Leo biegnie. Jak przystaje przed wejściem. Jak się odwraca.

A potem.

Widzi tamtych dwóch. Gonią go. Tym razem nie mają na sobie kurtek. Ale on wie, kim są.

– Tato!

Felix pędzi z powrotem do kuchni. Tata siedzi przy stole z porcelanowym kubkiem w ręce.

– Tato, chodź! Szybko! Na balkon!

Duży łyk ciepłej kawy.

– Pospiesz się, tato!

Ale tata nie rusza się z miejsca, a Hasse i Kekkonen, przeklęty Hasse i przeklęty Kekkonen są na dole, blisko Leo.

– Tato!

Mocno chwyta go za rękę, ciągnie i ciągnie za rękaw.

– Tato! Tato!

W końcu tata wstaje, wychodzi boso i swoim zwyczajem przechyla się przez balustradę.

I wtedy widzi to samo co Felix.

– Tato! Leo jest na dole!

– No tak. Leo jest na dole.

– I oni! Tamci dwaj! Musimy...

– Nic nie musimy.

– Ale tato! To Hasse! I...

– Leo to załatwi. I da sobie radę całkiem sam.

Leo wybrał miejsce, które dobrze widać z balkonu, blisko krzaków i latarni. Pierwszy dobiega Hasse i jest tak samo zdyszany jak Leo. Gapią się na siebie. Hasse bez kurtki, wysoki Hasse patrzy z góry i ich oczy się spotykają.

Nogi szeroko rozstawione. Ręce w górze.

Ostatni rzut oka na balkon na siódmym piętrze. Felix podskakuje, szarpie i ciągnie za rękaw, dopóki cały tułów nie wychyla się za balustradę. Obok niego tata.

Jeden jedyny cios. Prawą ręką. W sam środek nosa.

Hasse nie ma pojęcia, co się dzieje. Zgina się wpół, osuwa na kolana, lzy płyną mu po policzkach, krew cieknie po wargach, brodzie i szyi.

I leży tak w miejscu, które przypomina to, na którym leżał Leo.

Nadbiega Kekkonen, głośno dysząc.

Jest sporo niższy od Hassego, ale potężniejszy i silniejszy. Za pierwszym razem prawie trafia Leo w policzek, ale kiedy wyprowadza drugi i trzeci cios – chybia.

Leo trafia od razu. Jednak nie w nos, tylko bardziej w policzek i w brodę. Kłocowate ciało stoi nieporuszone.

I oddaje.

Nogi i stopy wciąż tańczą, są sprężyste i szybkie, Leo trafia tamtego w skroń, potem w ramię i w drugi policzek, aż w końcu Kekkonen się chwieje i upada. Oczy fińskiej świni się zmieniają – jeszcze przed chwilą były pełne wściekłości, a teraz stają się nieobecne i wystraszone.

Leo właśnie ma się odwrócić i spojrzeć na balkon, na tatę, który stoi z Feliksem i patrzy w dół, kiedy znowu wszystko się zmienia. Nie za bardzo wie, jak ani co, widzi tylko, że tata nagle krzyczy i coś pokazuje, jakby chciał go ostrzec.

Przed kimś, kto chwytą go od tyłu.

Przed kimś, kto się podniósł i trzyma go mocno za kurtkę.

Leo się szarpie. Wywija. Ciągnie. Musi się wyrwać! I już prawie mu się udaje.

I wtedy nóż wyslizguje się z kieszeni kurtki.

Nóż Mora taty.

Nie zdąża. Pochyla się ku ziemi, żeby go podnieść, ale już go tam nie ma. Kekkonen był szybszy i wywija nim przed sobą.

Kiedy nóż przybliży się powoli do twarzy Leo, jest najostrzejszym metalem na świecie. Także wtedy, gdy trafia.

– Dziabnij pęta!ka!

Hasse leży na brudnym asfalcie i krzyczy do Kekkonena, z obiema rękami przy nosie, jakby chciał utrzymać go na miejscu.

– Dziabnij go, do cholery!

Pierwsze dźgnięcie trafia Leo głęboko w lewe ramię. Albo właściwie w grube lewe ramię puchowej kurtki. Nóż robi dużą dziurę i na wierzch wystaje się białe wypełnienie.

Przy drugim ciosie Leo odchyła tułów, skręca go na bok i ostrze przecina powietrze tuż obok niego. Trzeci jest szybszy i prostszy, znowu trafia w kurtkę, w rękaw, ale rozdarcie jest chyba mniejsze.

Hasse wrzeszczy: „Dziabnij go! Dziabnij”, a Kekkonen wgapia się w Leo tymi swoimi diabelskimi oczkami i szczyrzy się szyderczo za każdym razem, kiedy wyrzuca ostrze noża do przodu. Celuje w twarz i udaje mu się trafić dwa razy, zanim za ich plecami otwierają się drzwi do domu.

Leo się nie odwraca, czubek noża jest tak blisko, że gdyby to zrobił, nie zdążyłby się uchylić następnym razem.

Słyszysz. Wie.

Kroki na asfalcie, kroki gołych stóp.

Kroki taty.

I jego oddech.

I głos.

– Rzuć ten nóż, ty gnoju!

Kekkonen puszcza. Nóż upada na ziemię, podskakuje. A oni dwaj natychmiast uciekają. Hasse z rękami przy nosie, a Kekkonen, pochylając kłocowaty tułów. Zwiewają przez parking i przez zarośla, a kiedy są mniej więcej po drugiej stronie drogi, rozlega się dzwonek na kolejną lekcję.

Stoją blisko siebie i patrzą w pokryte bągrolami lustro.

Jeden ma metr dziewięćdziesiąt trzy i zaczesane do tyłu ciemne włosy, drugi – metr pięćdziesiąt dwa i włosy jasne, kręcone.

– Nóż.

Tata wyciąga dłoń zwróconą grzbietem do dołu, spoczywa na niej czerwona drewniana rękojeść i ostrze ze stali węglowej z plamami po farbie malarskiej. Ten nóż powinien znajdować się w roboczych spodniach, w podłużnej kieszeni obok składanej calówki.

– Leonard, nóż!

Stoją w windzie, która mija drugie piętro, trzecie, a Leo próbuje wyczytać coś z miny taty widocznej w lustrze. Widzi, że tata się trzęsie. Zawsze tak jest, jeśli nie wypije swojego posłodzonego wina albo kiedy denerwuje się na obiboków i pasożytów. Ale wtedy trzęsie się na zewnątrz. A nie w środku. Jak teraz.

– Przecież uczyłem cię, jak masz się bić. Rękami! A ty... ty bierzesz mój nóż!

– Nie po to, żeby się nim bić.

– Nie potrzebujesz żadnego cholernego noża!

– Potrzebowałem go, żeby ich zmusić do bójki. I tu ściągnąć. Żebyś mógł to zobaczyć.

Tata ściska nóż. Jest zły. Boi się.

Kiedy jest zły, boi się, więc jest zły.

– Nie rozumiesz, smarkaczu, że...

– Przecież go użyłeś. Sam widziałem, jak odciąłeś...

– Najpierw nauczyłem się bić gołymi rękami!

Szóste piętro, siódme. Są na miejscu. Ale wciąż stoją w ciasnej windzie.

Tak długo, jak nie otwierają drzwi, jak nie przestają patrzeć na siebie w pomazanym lustrze, są w tym małym zamkniętym świetle.

– Mój ty zasmarkańcu.

Głos taty też drży, a Leo patrzy na odbicie jego twarzy w górnej części lustra, gdzie warstwa nasprejowanej farby jest trochę cieńsza.

– Ale przyłożyłem mu, tato. Prosto w nos. Nieźle, co?

I tata się uśmiecha. Śmieje się, kiedy dostaje kopertę z pieniędzmi, i czasami, kiedy pije swoje czarne wino, uśmiecha się natomiast rzadko. A teraz to robi.

teraz
część druga

Padalo.

Dzień w dzień, przez kilka tygodni. Nieustający deszcz mógł wypluwać zasypany podkop przed szarym betonowym sześcianem. Leo starał się o tym nie myśleć, ale i tak nie mógł znaleźć spokoju.

Czekał na siedzeniu kierowcy przed Skogås Centrum. Przednia szyba zamieniła się w mokrą taflę, przez którą nie sposób było cokolwiek dojrzeć. To, co kiedyś było otwartym miejscem spotkań pod gołym niebem, teraz zostało połączone w zamkniętą galerię handlową. Z tymi samymi sklepami w tych samych lokalach. ICA sąsiadowała z konsumem i sklepem monopolowym, a tuż przy wejściu po lewej stronie była pizzeria Mahmuda; czerwono-białe obrusy miały może trochę większe plamy i o ile Leo się nie mylił, na półce za barem stało teraz więcej gatunków piwa, ale właściciel się nie zmienił i za każdym razem witał go porozumiewawczym skinięciem głowy. Zamiast nieba nad całością rozciągał się szklany dach, nierówne kamienne płyty posadzki zastąpiono lśniącem klinkierem, a ławki i żelazny płotek dla obiboków zniknęły; pojawiły się za to rozsuwane drzwi, które otwierały się automatycznie, gdy tylko ktoś się do nich zbliżył, tak jak w tej chwili Anneli.

Zatrzymała się po kilku krokach, zdjawszy foliową osłonkę z paczki, przypaliła papierosa pod daszkiem nad wejściem, zaciągnęła się głęboko, jak zawsze, kiedy się denerwowała. Była taka ładna. Choć starsza od niego, najczęściej to ona z nich dwojga musiała szukać dowodu i podtykać go pod nos bramkarzom w knajpach. Kiedy się teraz zbliżała, kierując się w stronę samochodu, nie tyle szła, co płynęła w powietrzu. Gdy spacerowali tak oboje ulicą, musieli chyba wyglądać na bardzo ładną parę. Przynajmniej tak mu się wydawało.

– Na południe? – spytała, wsiadając.

– Nie.

– Na zachód?

– Ciepło.

– Na północ?

– Zobaczysz, domy do kupienia są wszędzie.

Najpierw ruszył na północ, w kierunku Trångsund i Farsta – Anneli pełna oczekiwania wyglądała przez boczną szybę. Potem odbił na zachód, na Huddinge i Tullinge – od czasu do czasu pokazywała na jeden z dużych domów, podobny do tego, jaki sobie wymarzyła i o jakim często mówiła. Następnie skierował się na południe, na Tumbö – siedziała wciąż pełna nadziei, z dłonią na jego dłoni na drążku zmiany biegów. Jechali powoli przez bardzo dobrze im znaną okolicę, z mniejszymi domami jednorodzinnymi i blokami, z asfaltem i zakładami przemysłowymi, a później znowu z willami. Teren graniczny. Świat na skraju Sztokholmu, niebędący jeszcze Sztokholmem.

To jego świat. Przecież to tutaj mieli swoje firmy ludzie, z którymi robi interesy: Gabbe, Roffe produkujący rury i El-Lasse oraz Benke dający mu trzydzieści procent rabatu na cały asortyment kafelków. Ludzie, którzy nie znajdowali miejsca na idealnym świecie Anneli, gdy płynęła łodzią wzdłuż brzegu Drevviken i patrzyła na okolicę, wypatrując wystających między drzewami dachów pięknych domów, domów podobnych do tego, jaki sobie wyśniła. Była przekonana, że właśnie takiego teraz szukają.

Jej dłoń na jego dłoni. Trzymała ją mocno, z ciepłej i miękkiej skóry biło oczekiwanie.

– Ten?

Ogarnęła spojrzeniem ładny budynek z przelomu wieków, z dużym trawnikiem, jabłoniami i gruszami od frontu, ścisnęła jego dłoń, pocałowała go w policzek, w usta. Ale się nie zatrzymał. Nie tam. Podjechał do działki obok, przed wjazd z wysoką żelazną bramą, z garażem na co najmniej pięć pojazdów i małym, małym domem o szarej, smutnej fasadzie.

– Tutaj?

Powieki paliły ją od środka, kiedy patrząc przed siebie, próbowała nie zauważać wielkich kałuż na nierównym wyasfaltowanym dziedzińcu nieruchomości wciśniętej między dwie ruchliwe drogi wylotowe.

Mają zamienić mieszkanie na trzecim piętrze czynszowej kamienicy na ten bunkier wbity w ziemię?

– Nie ma ogrodzenia.

Leo ruszył przez asfaltowe podwórze, a ona za nim.

– Leo?

Chwyliła go za ramię, pociągnęła.

– Tu nie ma ogrodzenia. Słyszysz?

– Jest.

Leo szedł zygakiem między głębokimi kałużami w kierunku wysokiego na trzy metry płotu z siatki zakończonego zwiniętym drutem kolczastym.

– Tu była firma samochodowa. Stąd ta wysoka siatka. Żeby nikt nie mógł się dostać. Rozumiesz? Nieupoważnionym wstęp wzbroniony.

– Czy to znaczy... że my... mamy się tu przenieść? Zbudować tu wspólne życie?

– Anneli, posłuchaj...

– To ma być nasz dom? Z tym obrzydliwym gigantycznym garażem? I tym ohydny asfaltem naokoło? I pieprzonym ogrodzeniem z drutu kolczastego? Nie chcę mieszkać w czymś takim! Chcę mieć płot z drewnianych sztachet pomalowanych na biało, z okrągłym wycięciem pośrodku każdej, chcę mieć prawdziwe drzewa, rabatki, trawę, rabarbar i... Słyszysz, Leo? Jak... przy tamtym domu! Drzewa, żwirowy podjazd i elegancki chodnik. Tak jak u sąsiadów.

Gdy tylko wskazała na piękną dużą willę tuż obok, za ich plecami otworzyły się drzwi do małego domku. Stał u nich mężczyzna w garniturze w szare prążki, białej koszuli i krawacie w cętki.

– Umówiłeś się z... pośrednikiem?

– Chodź.

Nie ruszała się z miejsca. Miała całkiem mokre włosy, kurtka, spodnie i buty też nasiąkły wodą.

– Przez tyle tygodni opowiadałeś mi o przeprowadzce do prawdziwego domu i teraz przywlokłeś mnie... tutaj?

Wziął ją za rękę.

– Skoro już tu jesteśmy, to obejrzyjmy...

– Leo?

– Tak?

– Nie chcę mieszkać w czymś takim. Nie rozumiesz?

I za drugą.

– Anneli, akurat w tym momencie to idealne miejsce dla nas.

– Ale ja nie chcę mieszkać w czymś takim! Słyszysz? Chcę...

– To z panem rozmawiałem przez telefon, tak?

Człowiek w garniturze i z przyklejonym uśmiechem przywitał się z nimi. Należał do tych, co ściskają dłoń zdecydowanie za mocno w przekonaniu, że to w zupełności wystarczy, by zyskać zaufanie. Leo się uśmiechnął, Anneli zaś usiłowała zatrzymać jego spojrzenie – „Umówiłeś się na spotkanie z pośrednikiem bez mojej wiedzy” – na co on zdawał się mówić: „Skoro już tu jesteśmy, obejrzyjmy”. Następnie wziął błyszczącą kolorową broszurę od mężczyzny, który bezbłędnie wyczuł, kto może utrudnić mu transakcję, i dlatego zwrócił się wprost do Anneli:

– Nie jest to może malowniczy domek letniskowy na wsi ani stylowa willa z przełomu wieków. – Pośrednik wskazał na samochód, a potem na logo firmy budowlanej na kurtce Leo. – Ale to idealna nieruchomość, jeśli chce się mieć interes blisko domu, no i cena jest przystępna.

Pokazywał nieruchomość dalej, i od przodu, i od tyłu, ale nagle opuścił rękę, jakby zamierzał zaprezentować także dalsze otoczenie, ale się rozmyślił, skoro widać stąd było jedynie wielką obłożoną blachą budowlę po drugiej stronie drogi.

– Moja firma to przebudowała. – Leo wskazał głową w jego kierunku. – Solbo Centrum, Niebieski Dom.

Sklep z oponami, restauracja hinduska, kwaciarnia, solarium i Pizzeria Robana. A tuż obok zamknięty kontener.

Pośrednik nieruchomości go widział, podobnie jak każdy, kto tędy przejeżdżał.

I nie miał o niczym pojęcia.

Dwieście dwadzieścia jeden karabinów maszynowych – uzbrojenie dla dwóch kompanii piechoty.

– Czyli jesteście w domu.

Mokry od deszczu rękaw garnituru zatoczył łuk nad asfaltem.

– Teren ma w sumie tysiąc sto metrów kwadratowych, garaż i inne budynki gospodarcze łącznie trzysta metrów, a dom mieszkalny dziewięćdziesiąt metrów kwadratowych.

Mężczyzna spojrzął na Leo, który skinął głową, i na Anneli, która nie reagowała.

– Cztery miesiące temu była tu firma samochodowa. A wcześniej jakaś firma produkująca rury.

Gdy zostawili za sobą kałuże i ogrodzenie z drutu kolczastego i weszli do kuchni na parterze domu mieszkalnego, usłyszeli głos pośrednika zachwalający „prawie nowy sprzęt kuchenny”, „ogromny potencjał i doskonale rozplanowanie pomieszczeń” oraz „ekonomiczny system ogrzewania”. Słyszeli go, ale nie słuchali. Anneli – bo nie chciała tutaj mieszkać. Leo – bo już się zdecydował.

Z pustej kuchni przeszli do pustego przedpokoju, a potem schodami na pustą górną kondygnację. Na dole po lewej były jeszcze jedne zamknięte drzwi.

Pośrednik otworzył je na oścież.

– Dobudówka. Dodatkowy pokój.

Zniszczone ściany, zniszczona podłoga, w sumie jakieś dziesięć metrów kwadratowych.

– Tu było biuro.

Leo ostukał w kilku miejscach gipsowe ściany i próbował sprawdzić podłogę z płytek PCV, ale oględziny przerwały mu kroki Anneli, która właśnie zmierzała do wyjścia. Przeprosił pośrednika i pospieszył za nią. Stała na dworze w deszczu, który zamienił się teraz w mżawkę, z papierosem między palcami, zaciągała się krótko i nerwowo, jak zawsze, kiedy była zawiedziona.

– Za rok.

Objął ją.

– Wybierzesz sobie wtedy taki dom, jaki będziesz chciała. Jaki sobie wymarzysz. Za każdą cenę. – Dotknął jej policzka. – Ale teraz musimy wziąć ten. Rozumiesz? Żeby dojść do tamtego, do tego drugiego. To idealne miejsce dla firmy budowlanej. Główna siedziba firmy, miejsce ćwiczeń i magazyn. W dzielnicy willowej zbudowanej na dnie dawnego jeziora, dom bez piwnicy. To będzie moja grota Fantoma.

Miała mokrą grzywkę, mokre czoło i policzki, otarł je ostrożnie rękawem koszuli.

Kolejny papieros.

– Piekielne ćwiczenia. – Zaciągnęła się trochę dłużej, spokojniej. – Tu jest więcej miejsca niż w mieszkaniu, więc twój bracia będą tu bez przerwy.

Wciąż otaczał ją ramieniem, oboje mogli zajrzeć do pustego domu. A potem delikatnie obrócił ją ku sobie.

– Domyślam się, że nie o czymś takim myślałaś. Ale tylko rok, Anneli.

– Rok?

– Rok.

– I kupimy dom, gdzie będę chciała?

– Wszystko jedno za ile.

Wziął ją za rękę, po czym weszli znowu do środka, przez przedpokój do dobudowanego pokoju.

– Tutaj.

– Co?

– To pomieszczenie jest do twojej dyspozycji. Możesz je przeznaczyć, na co chcesz.

– A mój pokój?

– Twój będzie na górze. A mój na samym dole.

Weszli znowu na piętro, gdzie czekał na nich pośrednik. Minąwszy go, przeszli do pomieszczenia, które miało być ich sypialnią, i przez okno spojrzeli na dom sąsiadów.

– Za rok?

Popatrzył na nią i objął.

– Za rok. Obiecuję.

Anneli odwróciła się, pomachała i wsiadła do podmiejskiej kolejki, która miała ją zawieźć do centrum. Powiedziała mu, dlaczego musi wybrać się do miasta, ale nie pamiętał, nie słuchał jej, bo był już w drodze dokądś indziej. Choć poprzysiął sobie, że już nigdy tam nie wróci.

Leo opuścił stację w Tumba jakieś pół godziny wcześniej i od tamtej pory jechał bocznymi drogami przez las i pola, prosto na południe. Okłamał ją. Nie miał zwyczaju kłamać. Zwłaszcza wobec niej, ale i wobec innych. Po prostu nie lubił kłamstwa, choć jako dziecko często się do niego uciekał; wtedy jednak nie miał wyboru, ponieważ powiedzenie prawdy zawsze przynosiło gorsze skutki. A teraz skłamał, bo nie potrafiłby wyjaśnić. No bo jak wyjaśnić coś, czego samemu się nie rozumie? Stał przed domem, na którego kupno właśnie oboje się zgodzili, objął ją i powiedział, że nie może pojechać z nią do miasta, bo jest umówiony z Gabbem na ostatnią inspekcję; skłamał, bo nie pojmował prawdy – polegającej na tym, że zamierza spłacić dług komuś, komu nic nie jest winien.

Leżała schowana w kieszeni koszuli na piersi. Koperta. To dlatego musiał tam pojechać.

Tylko dlatego.

Tamtym razem miał pewność. Cztery i pół roku temu, kiedy ojciec i syn pracowali jeszcze w jednej firmie budowlanej, cisnął pas z narzędziami i odszedł. „Leo, przecież wzięłeś trzydzieści pięć tysięcy zaliczki”. Chodziło o pieniądze. „Musisz mi je odrobić, zanim odejdziesz”. Wcale nie chodziło o pieniądze. „Jesteś mi je winien, Leo! Nie możesz tak po prostu odejść!” Nie o to chodziło ani Leo, ani jego ojcu, tylko o odłączenie się, uwolnienie.

Nie jechał szybko, mijał krajobraz w smętnej jesiennej szacie, nie było zbyt jasno, mimo że to jeszcze dzień. Po lewej jezioro Malmsjön i cienki welon mgły nad spokojną taflą, pola z czarno-białymi krowami i cztery uganiające się po łące konie, potem kolejne jezioro, o nazwie Axaren, równie spokojne jak poprzednie.

„Leo, jak odejdziesz, będziesz harował za marne trzy tysiące tygodniowo. Kim będziesz, do cholery, beze mnie i bez moich genów?” To ja leżałem nocami na podłodze i przycinałem płytki, żebyśmy skończyli na czas i żeby klienci byli zadowoleni. „Co takiego? Chcesz powiedzieć, że mam ci dziękować za to, że dla mnie pracowałeś? To ty, do cholery, powinienes być mi wdzięczny, że w o l n o ci pracować dla mnie!” To ja w pojedynkę kładłem tapety przez całe weekendy, żeby dwie butelki wina stały się trzema butelkami wina w piątkowe popołudnie. „Jeszcze przyczołgasz się z powrotem”. Odszedłem. „Przyczołgasz się, jak będziesz potrzebował pieniędzy!” Splunałem na pas z narzędziami i odszedłem. „Jesteś niczym beze mnie, Leo, sam sobie nie poradzisz!”

Jeszcze dwa kilometry i zatrzymał samochód. Nieczynna od dawna stacja benzynowa i zardzewiały szyld Calteksu kołyszący się na wietrze, w oknach opuszczone poźółkłe rolety, a na samym środku placu dystrybutor z cyferkami automatycznego licznika, który zatrzymał się na kwocie 76,40 korony.

Opuścił szybę, wciągnął w płuca wilgotne powietrze.

Odchodził, za każdym razem jednak wracał. Choć brzydził się tym, że jest jedynie narzędziem, dodatkowym instrumentem, marionetką w domku dla lalek na właściwym krześle, rekwizytem na fotografii pewnej rodziny – rodziny według wyobrażeń ojca. Tamtego dnia odszedł naprawdę. Rok później dołączył do niego Felix. A w następnym roku Vincent rzucił gimnazjum, trzej bracia stali się zespołem i pracowali razem.

Rodzina. Wspólnota. Ty próbowałeś. Mnie się udało.

Ostatni odcinek. Więcej pół, więcej wody, wąskie drogi. Potem pojedyncze gospodarstwa ustąpiły miejsca skupiskom domków jednorodzinnych, ze szkołą i paroma sklepami. Ösmo. Pół godziny jazdy od serca Sztokholmu, a mimo to inny świat.

Leo powoli podjechał bliżej.

Duża willa z cegły, zadbany ogród z liśćmi zgrabionymi na regularne kupki. Zaparkował przed skrzynką na listy i spojrzął na jasne okna parteru. O tej porze dnia jegoojciec zwykle był w domu.

Ostatni kawałek cebuli w jednej ręce, ostatni kęs boczku w drugiej, przełknął, popił. Na stoliku przed kanapą stosy wypełnionych i nadanych kuponów loterii Keno. Losowanie każdego dnia, godzina 18:55.

Ivan się pochylił, podniósł pilota, podgłośnił telewizor.

Pierwsza żółta kula. 30.

Druga żółta kula. 40. Na kuponie dokładnie pod 30.

Trzecia kula. 39. Na lewo od 40 i na ukos po lewej pod 30.

Na razie całkiem nieźle.

Czwarta kula. 61. Na samym dole w lewym rogu. Piąta kula. 51. Kwadrat dokładnie powyżej. Zła strona. Zła kratka.

Sciszył dźwięk, oparł się z powrotem w fotelu. Nie musiał już czekać na kolejne żółte kule. Dla niego losowanie się skończyło. 61 nigdy nie było częścią jego systemu, bo ta liczba według jego wyliczeń padała najrzadziej. W przeciwieństwie do 39. I 40. Te dwie trafiał zawsze, bo one najczęściej się powtarzały.

Większość ludzi nie rozumiała, że w tym wszystkim właśnie o to chodzi – o dostrzeżenie wzoru. O powtarzające się schematy kombinacji liczb. Większość w ogóle tego nie widziała i dlatego rozsiewała swoje krzyżyki po całym kuponie, gdzie popadło, na chybił trafił. A tu nie było żadnego chybił trafił, żadnego przypadku. Wzory zawsze powracały. Odnawiały się cyklicznie i stanowiły całość.

Czterdzieści kuponów, które Ivan wypełnił, właśnie stało się bezużytecznych. Jego bilet ku przyszłości. Z jedenastoma krzyżykami oznaczającymi drogę do niej. Zmiał je wszystkie razem i stracił na podłogę.

Jutro, godzina 18:55. Kolejne losowanie.

Całkowicie wyłączył głos telewizora i właśnie zamierzał się podnieść, gdy usłyszał inny dźwięk. Zza okna. Przed domem zatrzymał się jakiś samochód i trzasnęły drzwi. Odchylił firankę, wciąż tę samą od czasu, kiedy się tu wprowadził.

Całkiem spory pick-up z logo jakiejś firmy budowlanej z boku.

Stał dokładnie naprzeciwko domu.

Czyjaś twarz w oknie.

Leo przypuszczał, że ojciec właśnie przysuwa się do szyby i próbuje wyjrzeć na zewnątrz, żeby go zobaczyć. Że właśnie upuszcza długopis albo kieliszek z winem, albo kawałek boczką, lekko pochyla głowę, ściera brwi, zsuwa nieco okulary do czytania i patrzy spodał nich bykiem.

I chyba właśnie dlatego Leo szedł teraz żwirową ścieżką w taki sposób, jak zwykle robią to ludzie, gdy są obserwowani, jakby każdy ich ruch zajmował trochę więcej czasu – najpierw nieco wolniej zamknął przednie drzwi samochodu, potem nieco wolniej stawił stopy i wolniej sięgnął ręką do kieszeni na piersi, żeby sprawdzić, czy jest w niej koperta. Jakby temu, kto go obserwuje, chciał dać czas na uświadomienie sobie, że człowiek za oknem sam kieruje swoimi działaniami, na zrozumienie, że ktoś, kto wraca, czyni to tylko dlatego, że sam tak postanowił.

Przeszkadzała mu doniczka, więc Ivan przesunął ją na bok, żeby lepiej widzieć.

Szedł do niego jakiś młody mężczyzna. Dosyć wysoki. Zdecydowanym krokiem.

Rozpoznał go dopiero, gdy tamten był w połowie drogi do schodków i drzwi wejściowych. Miał krótsze włosy. Bardziej kanciastą twarz. Szersze ramiona. Sylwetka nie była już chłopięca.

Leo.

Ivan rozejrzał się po kuchni, która łączyła się z przedpokojem; najpierw usunął ze stołu puste butelki po winie i wrzucił je do worka na śmieci pod zlewem, potem cisnął zmięte kupony Keno do kosza na papiery.

Na kilka sekund przed tym, nim rozległ się dzwonek.

Ruszył do drzwi, gołe stopy w brązowych półbutach, szara marynarka na roboczej koszuli w kratę. Nie udało mu się uprzątnąć śladów życia, które nic a nic się nie zmieniło.

Stali naprzeciw siebie, obserwując się nawzajem.

– Nowy samochód?

– Tak.

– Taki wypucowany. Marnie z robotą, co?

Ojciec na szarej wycieraczkę przed zamkniętymi drzwiami. Syn na dole schodków, które trochę straciły kolor. Siedem stopni i cztery i pół roku między nimi.

– W przeciwieństwie do ciebie dbam o swoje rzeczy.

– Taki samochód powinien być zakurzony, Leo. Dużo kurzu, dużo roboty.

Ivan patrzył na kogoś, kim być może nie tak dawno był on sam. Leo patrzył na kogoś, kim nigdy nie będzie. Syn w butach roboczych na specjalnych zelówkach i w grubej koszuli z zapinanymi na napy kieszeniami na piersi, z miejscem na logo, starannie dobranej i kupionej w specjalistycznym sklepie z odzieżą roboczą. Ojciec w schodzonych półbutach, które kiedyś błyszczały, i w letniej koszuli z krótkimi rękawami za czterdzieści dziewięć koron, kupionej razem z czterema identycznymi w tanim sklepie kawałek za miastem.

– Zakurzony? Nie jestem taki jak ty. Nigdy nie jeżdżę zafajdany do klientów.

– Ale co to za samochód... Nie ma nawet miejsca dla dodatkowych robotników. Pewnie szukasz pomocników. A może chcesz zatrudnić karły? No jak, Leo?

– Mam jeszcze dwa takie samochody. A właściwie – my mamy dwa takie auta. W n a s z e j firmie.

Niby nic. Zaledwie lekki błysk, niezauważalne drgnięcie policzka, minimalne wysunięcie dolnej wargi. Ale Leo to zauważył.

– To ty masz... pracowników?

– Tak.

Przecież tak dobrze znał tę twarz.

– Ilu?

– Trzech.

– Trzech? To... musisz uważać na związki zawodowe. Oni wtrącają się dosłownie we wszystko. Jak gestapo. Mówię ci, Leo, że pracownicy to tylko problem.

– Nie ma obawy. Wiesz, tato, właśnie skończyłem spore zlecenie w Tumba. Solbo Center. Siedemset metrów kwadratowych. Lokale na sklepy, restauracje. Dobre pieniądze. A właściwie... m y skończyliśmy.

– N a s z a firma? My to zrobiliśmy?

– No.

Zaraz znajdzie odpowiedź.

– Nie przyjechałem tutaj, żeby szukać... jak to powiedziałaś... pomocników. Przyjechałem, żeby ci to dać.

Leo wyjął kopertę z kieszeni na piersi; tyle razy się upewniał, czy na pewno tam jest. Podał ją ojcu.

– Czterdzieści trzy tysiące.

Ivan wziął ją od niego, białą i trochę pogniecioną, otworzył.

– Trzydzieści pięć tysięcy, które według ciebie jestem ci winien. I pięć tysięcy procentu.

Same pięćsetki. Używane. Takie, jakie przewozi się w specjalnych zabezpieczonych furgonkach.

Palce pachnące cebulą brały po kolei każdy banknot, liczyły.

Osiemdziesiąt sześć sztuk.

– I jeszcze... trzy tysiące ekstra.

– Za co?

– Po tysiąc za każde zebro.

Leo spojrział na ojca, który mimo woli przycisnął rękę z plikiem banknotów pięciusetkoronowych do lewej strony tułowia. Ponad cztery lata temu rzucił pas z narzędziami na ziemię i ruszył do wyjścia, podczas gdy stary wrzeszczał coś o wdzięczności i o przyzwołaniu się z powrotem. Leo nie pamiętał reszty, kiedy zaczęli na siebie krzyczeć i kiedy ojciec chwycił go, a on tylko się odwrócił i uderzył tak, jak był szkolony, ale nie w nos, tylko w tułów.

– Stać mnie na to, tato.

Wtedy, cztery lata temu, spojrział swojemu ojcu w oczy i wyprowadził cios z ramienia, przez rękę i pięść.

– Weź je. Przydadzą ci się.

I już w momencie kiedy trafił, poczuł, że coś pękło.

Potem stali w milczeniu, ojciec lekko pochylony, z uniesioną prawą ręką, jakby nie docierało do niego, że jego syn naprawdę uderzył pierwszy, a Leo z opuszczoną prawą ręką, jakby nie docierało do niego, że naprawdę uderzył pierwszy.

– A poza tym... co słyhać?

– Nie narzekam na brak pracy. Złamałeś mi trzy zebra, ale mnie nie złamałeś.

W jednej ręce Ivan trzymał kopertę z pięćsetkami, drugą opierał się o zamknięte drzwi wejściowe, starając się nie dygotać z zimna. Miał na sobie cienką marynarkę na letniej koszuli z krótkimi rękawami, a na dworze były zaledwie dwa stopnie.

– Jeśli dobrze rozumiem, wciąż uważasz, że to było w porządku, tak po prostu się zmyć? Te pieniądze, Leo, moje pieniądze, to zaliczka, której nigdy nie odpracowałeś.

– Pracowałem z tobą przez cztery lata i co tydzień dostawałem gównianą zapłatę.

– Dostawałeś tyle, ile się należało. Ni mniej, ni więcej.

– Nie przyjechałem, żeby się klócić. Przyjechałem, żeby dać ci te pieprzone pieniądze. Teraz jesteście kwita.

Leo ruszył z powrotem do samochodu. Ojciec zawołał za nim:

– A co tam u... twoich braci?

Leo zatrzymał się, obrócił.

– Wszystko w porządku.

Posypały się pytania.

– Czyli się... widujecie?

– Tak.

– I oni wciąż mieszkają tam... u niej, w... Falun?

– Mieszkają w Sztokholmie.

– W Sztokholmie?

– Tak.

– Uczą się?

– Pracują.

– Pracują?

– Tak.

– Gdzie?

– U mnie.

– U ciebie?

– No tak.

– I Vincent... też?

Mężczyzna, który miał pięćdziesiąt jeden lat i stał z bosymi nogami w półbutach, nagle wydał się o wiele starszy. Broda i dolna warga wysunięte jeszcze bardziej, sina twarz, było mu wyraźnie zimno.

– Tak. Vincent też.

Chwycił się mocno mokrej żelaznej balustrady przy schodkach, jakby nogi odmówiły mu posłuszeństwa.

– Ale on ma dopiero szesnaście, siedemnaście lat?

– Tak jak ja, kiedy zacząłem pracować z tobą.

– Myślałem... że on wciąż mieszka... u niej.

Koperta zawadzała mu w dłoni, wetknął ją więc do kieszeni na piersi.

– Wysoki jest?

– Mniej więcej taki jak ty. I ja.

Ojciec jakby się wyprostował, chociaż dalej trzymał się barierki.

– Taki wysoki?

– Tak.

– Dobre geny.

– Za jakiś rok będzie jeszcze wyższy.

– Bardzo dobre geny.

Skostniałe ciało się ożywiło, nabrało energii i puściło barierkę, podeszło do Leo.

– A Felix?

– Co Felix?

– Co z nim?

– Świetnie.

Ivan zrobił nieokreślony ruch rękami.

– Tyle lat minęło.

Leo już wiedział, co teraz nastąpi.

– Od czasu, kiedy ich widziałem.

Doskonale wiedział.

– Posłuchaj, Leo, nie mógłbyś tak, do cholery, z nimi pogadać?

– Nie sądzę, by Felix...

– Żebyśmy się spotkali! Razem. Wszyscy czterej!

– ...chciał się z tobą zobaczyć. W ogóle. Kiedykolwiek.

Ojciec podszedł bliżej, stał co najwyżej metr przed nim, w jego oddechu dało się wyraźnie wyczuć resztki wczorajszego wranacu.

– A gdybyś tak...?

– Nie. Przecież wiesz, jaki on jest. Jeśli Felix tak postanowił, to nie ma zmiłuj.

– Cholera jasna, przecież to było czternaście lat temu!

– Czternaście lat... a ty wciąż nie poprosiłeś o wybaczenie?

Stali blisko siebie. Do odoru po czerwonym winie dołączył jeszcze zapach czarnej kawy i surowej cebuli.

– Jak można być tak piekielnie pamiętliwym?! Czy nie mógłby wreszcie przejść nad tym do porządku dziennego?

– To jest jak splunięcie komuś w twarz. Tego się nie zapomina.

– Może jednak z nim porozmawiaj. Tak, żebyśmy się spotkali. Okej?

Te oczy. Pełne pewności.

– Właśnie też dostałem zlecenie. I to spore. Hotel, pięćdziesiąt pięć pokoiów do wytapetowania, poza tym sztukaterie do pomalowania, wszystkie okna, mówię ci, co najmniej trzynaście tysięcy za pokój. Ostatnio dużo o tobie myślałem. I o tym, że powinniśmy zrobić to razem. Ty i ja. No i w takiej sytuacji również twój bracia.

Te pieprzone czarne oczy, które zawsze go onieśmiały i przerażały, pod których spojrzeniem dorastał i od których uciekł.

– Posłuchaj... tato...

– Tak?

– Nie rzucę własnych interesów dla ciebie.

Tym razem te oczy nie mogły mu już nic zrobić.

– Interesów?

– Tak.

– Do jasnej cholery, myślisz tylko o sobie! Słyszysz, Leo?

Leo spojrział na człowieka, który się skurczył, który kiedyś był kimś, ale już nie jest i chyba się poddał. Brwi sterzące dziko niczym anteny i ubranie niewyglądające na czyste – nawet z daleka dało się wyczuć świeży pot, który obudził do życia stary.

– Zawsze tak było. Dłaczego więc akurat teraz przyjeżdżasz z czterdziestoma trzema kawalkami?

Leo nic nie powiedział, bo postanowił, że nie da się sprowokować.

– Byle zadbać o własny tyłek. Tak robi tylko zdrajca.

A jednak zmienił zdanie. I się odezwał:

– O czym ty, u diabła, mówisz?

– Nie odzywasz się ani słowem przez lata. A teraz zjawiasz się tu i zgrywasz waźniaka. A przecież nic mi się nie należy. Dlaczego więc akurat teraz przyjeżdżasz z czterdziestoma trzema kawalkami? Czterdzieści trzy tysiące! Wytrząsnąłeś je z rękawa czy co? Mam uwierzyć, że je zarobiłeś? Nie, nie. Beze mnie? Za jaką to pieprzoną robotę płacą taką kasę? – Z drugiej kieszeni na piersi wyjął własnoręcznie skręconego papierosa. Zapalił go. – Myślisz, że nie widzę, co zamierzasz? Z tymi swoimi pieprzonymi samochodami? Przyjeżdżasz i opowiadasz mi o swoich braciach, którzy nie chcą się widzieć z ojcem. Chcesz mi tym zamknąć usta i udawać kogoś lepszego ode mnie? Tak właśnie robią zdrajcy, kapusie! *Potkazivanje!*

– Nie powiedziałem wtedy, do cholery, ani jednego słowa! Dobrze wiesz!

– Wydałeś mnie.

Zawsze to samo. Nieważne, czy będzie dalej krzyczał, czy złamie mu kolejne trzy żebra. To nigdy się nie zmieni. Oddychając spokojnie, tak jak sobie postanowił, Leo wyprostował się i końcami palców lekko stuknął w kieszeni w piersi taniej koszuli.

– Jesteśmy kwita.

Pędził przez dzielnicę willową. K a p u ś. Mignęła mu szkoła, pływalnia i biblioteka. K a p u ś. W końcu raptownie zahamował. Głos ojca, k a p u ś, nie zniknął tak jak zwykle.

Puste miejsca parkingowe przed czerwonymi niskimi budynkami kompleksu handlowego Ösmo Centrum. Zatrzymał się na chwilę i wyłączył silnik, patrzył na sklepy spożywcze, banki, kawiarnię, zakład szewski, pralnię chemiczną, kwaciarnię.

Nic nie powiedziałem. Miałem dziesięć lat i siedziałem przed tym pieprzonym tłustym gliną, i nie puściłem pary z ust, tak jak mi kazałeś.

Kiedy spojrzął dalej, za róg z niewielkim kioskiem, mógł dostrzec ceglany komin domu, w którym siedział teraz jego ojciec i gdzie mieszkali wszyscy razem, gdy jeszcze ze sobą pracowali.

Bo żaden kapuś nie potrafiłby obrabować furgonu z pieniędzmi.

Nie pamiętał wiele z tamtego okresu, nawet kiedy bardzo się wysilał. Niedługo po tym, jak cisnął ojcu pas z narzędziami, poznał o pięć lat starszą kobietę, samotną matkę, i zamieszkał razem z nią w jednopokojowym mieszkaniu w Hagsätra.

Zaden kapuś nie umiałby obrabować furgonu z pieniędzmi.

Trzy miesiące później on i Anneli podpisali wspólną umowę najmu, tym razem na czteropokojowe mieszkanie w Skogås, które było wtedy całym jego światem. Do teraz.

Zrobiłeś to kiedyś, tato, obrabowałeś furgon z pieniędzmi?

Leo otworzył drzwi samochodu i ruszył w stronę kiosku. Położył paczkę cameli na ladzie, próbując uniknąć kontaktu wzrokowego z Jönssonem, kioskarzem. Po jego nędznych włosach została mu na głowie tylko mnisia tonsura.

– Coś jeszcze?

– Tylko to.

– A dla ojca? Paczka tytoniu Rolling i opakowanie bibułki Rizla?

– Nie dzisiaj.

Czy policja trafiła na jakiś mój ślad?

Grzebał w bocznej kieszeni roboczych spodni w poszukiwaniu banknotów, używanych pięćdziesiątek z napadu, miał gipsowy pył na dłoniach, kiedy podał je kioskarzowi, a on wziął je od niego i się uśmiechnął, patrząc na kasę, której szuflada zawsze była trochę otwarta – brzdęknięcie sprężynowego mechanizmu, gdy szuflada na banknoty się wysunęła, zdradzało, że nie będzie paragonu.

Nie, nie mają żadnego śladu. Nic a nic.

– I jak poszło?

– Co?

– Losowanie. W Keno. Twój ojciec sporo dziś obstawił.

Leo nie odpowiedział, z paczką papierosów i resztą w dłoni skinął głową i wyszedł.

– Minęło trochę czasu, kiedy byłeś tu ostatnio, chłopaku.

Zdążył dojść do gazet przy drzwiach.

– No, trochę minęło.

Kioskarz się uśmiechnął.

– Poczekaj.

– Tak?

– Pozdrów ode mnie ojca.

Zawsze zostawiałeś ślady. A ja? Może ja też jakieś zostawiłem.

Leo palił nerwowo i równie nerwowo przechadzał się pod wystawami sklepów. Ten skurwiel wciąż potrafił wyprowadzić go z równowagi. Bo mu na to pozwalał. A przecież, do jasnej cholery, nie powiedział wtedy ani słowa! Miał dziesięć lat i milczał jak zakłęty przed pieprzonym gliniarzem.

Chodził tam i z powrotem z papierosem w dłoni.

Tam i z powrotem. Tam i z powrotem.

Aż w końcu przystanął.

Miejsce, w którym już był, a mimo to miał wrażenie, jakby widział je po raz pierwszy.

Dwa banki. Jeden tuż obok drugiego. Jak zakochana para.

Leżały ściana w ścianę między konsumem a kwaciarnią. Można było podjechać prawie pod samo wejście, mieć oko na cały plac i parking i obserwować wszystko, co robi przeciwnik.

Dwa obiekty.

To samo miejsce. Ten sam czas. To samo ryzyko.

Nie palił już gorączkowo – poczuł spokój, który niekiedy go ogarniał, rodzaj spokoju, którego nawet ojciec nie byłby w stanie zakłócić, nazywając go „kapusiem”.

John Broncks próbował liczyć krople deszczu. Na początku mu się udawało, ale potem krople zaczęły się zlewać i świat za oknem całkiem się rozmył, a koledzy spieszący przez wewnętrzny dziedziniec komendy wydawali się nienaturalnie wielcy i nieporadni. Za jego plecami, na biurku, leżały teczki w różnych kolorach z aktami osiemnastu równoległych śledztw. Padało bez przerwy od dnia, kiedy przejął sprawę z teczki na samym wierzchu, ona przesłoniła mu wszystko inne – jak krople deszczu na okiennej szybie.

MAX VAKKILA (MV): On mówił tak samo jak pan z naszego małego sklepu.

PROWADZĄCY PRZESŁUCHANIE JOHN BRONCKS (JB): To znaczy jak?

MV: Jak Ali. To nie był Ali. Ale mówił jak on.

Zeznanie jedynego świadka znajdującego się w pobliżu – pomijając dwóch ochroniarzy.

Chłopiec. Sześć lat.

Znajdował się wystarczająco blisko, żeby móc widzieć twarz i słyszeć głos.

JB: A jak wyglądał mężczyzna, który siedział?

MV: Był zaśliniony.

JB: To znaczy...

MV: Ten, który nazywał się Goback, miał mokrą całą brodę.

JB: Goback?

MV: Tak się nazywał.

Dziecko zobaczyło to, czego nie widzieli dorośli.

JB: A reszta twarzy?

MV: Opalona.

JB: Był trochę... czerwony?

MV: Brązowy. Jak w lecie.

JB: W porządku. Jesteś bardzo spostrzegawczy. Przypominasz sobie coś jeszcze?

MV: Jego nogę.

JB: Tak?

MV: On nie miał jednej nogi. Albo... była wyprostowana. Pod kocem.

JB: Widziałeś to?

MV: Hm. I tylko jeden but na dole.

Dziecko widzi czasami coś, co nie jest rzeczywiste. Bajkę.

JB: A ten, co stał?

MV: Jego mało widziałem.

JB: Ale coś jednak widziałeś?

MV: On był zły.

JB: Zły?

MV: Mówił szybko.

JB: I co jeszcze?

MV: Jego oczy. Wyglądały groźnie.

JB: Co masz na myśli?

MV: Były ciemne. Strasznie ciemne. Jak Dżafara w *Aladynie*.

Dwóch uzbrojonych po zęby złodziei o arabskim wyglądzie i mówiących po angielsku jak Arabowie. Rzeczywiście nimi byli? Czy chcieli wywołać takie wrażenie? Ich silny akcent. Używanie arabskich

słów, takich jak *jalla, jalla, sharmuta, Allahu Akbar*. On też by ich użył, gdyby chciał brzmieć jak Arab.

Ziewnął, wstał i poszedł do automatu z napojami na korytarzu po kubek gorącej wody i mleko. W automacie z przekąskami przycisnął jak zawsze guzik z numerem siedemnastym: okrągła bułka z margaryną, żółtym serem i krążkiem pomidora w środku, od którego bułka robiła się gąbczasta. Wyrzucił go od razu.

Przemoc dla wymuszenia posłuszeństwa.

Groźenie śmiercią.

Kontrolowana przemoc to środek służący osiągnięciu celu, wiedział to aż nazbyt dobrze. Dłoń dorosłego wymierza cios za ciosem, by zmusić do posłuszeństwa. Odpowiednio użyta przemoc zapewnia pożądany skutek.

John Broncks odwrócił się od automatu z przekąskami, wyrzucił do kosza nie tylko plasterki pomidora, ale także całą bułkę, i czworo drzwi dalej, przed pokojem szefa wydziału dochodzeniowego, jak zawsze zapukał w futrynę.

– Masz minutę?

Karlström zamknął książkę – w każdym razie coś, co wyglądało jak książka – i odsunął ją na bok. John wszedł do środka, usiadł naprzeciwko, próbując z ciekawości odcyfrować tytuł, lecz dojrzał jedynie grzbiet. Jakiś francuski autor. Bocene.

– Tak?

– Napad na furgon z pieniędzmi.

Broncks położył na biurku Karlströma raport techników kryminalistyki.

– Chcę, żeby ta sprawa otrzymała najwyższy priorytet.

– To znaczy?

– Chciałbym zajmować się wyłącznie nią co najmniej przez kilka tygodni.

Karlström wyjął z regału za swoimi plecami segregator, przewrócił kilka kartek i pokazał Bronckowski:

– Masz jeszcze osiemnaście innych spraw. Innych dochodzeń. Innych sprawców.

– Zgadza się.

– Ciężkie uszkodzenie ciała i groźby karalne w garderobie Café Opera, napad rabunkowy na jubilera przy Odengatan, podpalenie w Ming Garden, Medborgarplatsen.

– Zgadza się.

– Próba gwałtu w Vitabergsparken. Handel narkotykami na szeroka skalę na Regeringsgatan. Pomoc w sutenerstwie, Karlaplan. Podjudzanie do zabójstwa, Lilla Nygatan. Ciężkie...

Karlström zamknął segregator.

– Kontynuować? Komu twoim zdaniem mam przekazać twoje pozostałe sprawy?

– To nie są debiutanci. Zrobili to nie pierwszy raz.

– Któremu z twoich kolegów? Każdy z nich ma też osiemnaście równoległych spraw na swoim biurku.

– I zrobią to znowu.

– Może mi...

– Zrobią to samo ponownie, tyle że będą dużo brutalniejsi niż w Farsta. A potem znowu i nie cofną się przed jeszcze większą przemocą.

John patrzył na swojego szefa – mężczyznę tak innego niż on. W tym pokoju nie panowała atmosfera typowa dla komendy policji. Siedział tu człowiek, którego życie napełniało dumą i dawało mu poczucie bezpieczeństwa. Na ścianie za Karlströmem widniała dokumentacja jego policyjnej kariery: po lewej egzamin prawniczy, pośrodku dyplom z policyjnego klubu strzeleckiego, a po prawej oprawiona w ramki nominacja na szefa wydziału dochodzeniowego policji kryminalnej Sztokholm Śródmieście. Na biurku znajdowała się innego rodzaju dokumentacja – sukcesów prywatnych. John spojrzął na tył fotografii, które jak wiedział, przedstawiały dwie pięcio- albo sześćioletnie bliźniaczki, adoptowane z Kolumbii córki Karlströma, oraz żonę, o której z ust szefa nie padło nigdy ani jedno złe słowo. Tuż obok zdjęć leżał ergonomiczny plastikowy delfin, którym szef dokładnie co dwadzieścia minut masował sobie ramiona, nóż do rozcinania listów od związków zawodowych oraz książka Paula Bocuse'a. John dojrzał teraz, że jej tytuł brzmi *French Cooking*.

– Sprawy mieli karabin maszynowy AK 4 i pistolet maszynowy. To broń pochodząca z magazynów wojskowych. Sprawdziłem wszystkie bieżące sprawy dotyczące kradzieży broni prywatnej, a także

w klubach strzeleckich w koszarach. Sprawdziłem też wszystkich skazanych za kradzież broni, i tych już na wolności, i tych na przepustce, ale nic z tego. Z niemal stuprocentową pewnością można wykluczyć każdego z nich.

Odnosił wrażenie, że szef w ogóle go nie słucha. Znajdowali się po dwóch stronach barykady – Karlström zetknął się z przemocą dopiero za pośrednictwem swojej pracy, on zaś wyrastał wśród niej, żył z nią i postanowił zostać policjantem, aby się jej przeciwstawić.

– Mamy do czynienia z dwoma facetami, którzy konsekwentnie dążą do celu i systematycznie realizują swój plan. Uprowadzają furgonetkę z transportem pieniędzy, jadą nią w całkiem normalnym tempie z Farsta Centrum na brzeg Drevviken, a kiedy okazuje się, że reszta pieniędzy jest zamknięta za pancernymi drzwiami, bez wahania wystrzelują całą magazynkę.

Karlström jednak słuchał, teraz John nie miał co do tego wątpliwości.

– Są wyjątkowo skoncentrowani. W ciągu dwudziestominutowej akcji żaden z nich ani na chwilę nie wypadł ze swojej roli.

– Z jakiej znowu roli?

– Mnie nie przekonali. W przeciwieństwie do ochroniarzy nie do końca wierzę w to, że są Arabami i że na wózku inwalidzkim faktycznie siedział niepełnosprawny. To mogą być rodowici Szwedzi, którzy odstawiają przedstawienie, a bronią posługują się równie sprawnie jak nożem i widelcem, bo przemoc to ich rzemiosło, w którym szkolili się od najmłodszych lat.

John miał wrażenie, że dobrze zna żonę i córki Karlströma, których zdjęcia stały rządkiem między nimi dwoma. Jego szef należał bowiem do ludzi chętnie opowiadających o swoich bliskich. John natomiast nigdy nie mówił o własnej rodzinie. Z nikim.

– Poza tym nie sądzę, żeby było ich tylko dwóch. Musieli mieć pomocników. Dziewięć milionów za stalowymi drzwiami, które próbowali staranować. Ale się nie udało. I nie dostali tego, co zamierzali zdobyć. Nie tym razem.

– Powiedziałaś, że... szkolili się od dawna.

– Nie, powiedziałem: od najmłodszych lat.

– Co masz na myśli?

– Oni wyrastali w otoczeniu przemocy. Byli jej uczeni.

John Broncks szybkim krokiem przemierzał korytarz. Sprawa otrzymała status priorytetowej. Teraz przez cały miesiąc będzie mógł zajmować się tylko nią. Nie miał czasu czekać na windę, zszedł więc trzy piętra po schodach, po czym wąskim przejściem ruszył do działu techników – najpierw zajrzał do ciemni, potem do laboratoriów badających włókna z ubrań sprawców i ofiar. Nigdzie nie było widać Sanny.

Nad Drevviken stała przy pomocy i wskazywała ręką na wodę, sugerując, że rabusie uciekli pewnie tą drogą, a potem odwróciła się i oddaliła, jakby w ogóle go nie poznała. Wróciła do pracy na komendzie również nieoczekiwanie, jak odeszła. Kilka lat temu udał, że jej nie widzi, gdy przypadkiem natknął się na nią na Kungsgatan – zauważył ją już z daleka, poznał po charakterystycznym sposobie poruszania, nie zdążył jednak przejść na drugą stronę ulicy, szedł więc dalej przed siebie, a gdy się mijali, spojrzął w bok.

Jej czarna torba leżała na blacie roboczym obok rolki folii żelatynowej, pudełka z wymazówkami, plastikowych pojemników, probówek, pincet i mikroskopu. Ona sama stała w drugiej części dużego laboratorium przed metalową szafką, która powoli wypełniała się oparami cyjanoakrylu, aby odsonić odciski palców w jakimś innym dochodzeniu.

Zapisywała coś długopisem w krzywo trzymanym notesie. Z kartkami w linie. Jak kiedyś.

– Cześć.

Odwróciła się i spojrzała na niego z obojętną miną.

– Cześć.

– Przeczytałem twój raport. Kilka razy.

Właśnie tego się obawiał. Nie chciał stać naprzeciw niej i patrzeć w jej nieprzeniknioną twarz.

– Na razie do niczego nie doszłam. Ale rozmawiałam już z Karlströmem i dostałam więcej czasu.

Znowu coś zanotowała, potem wsunęła notes do kieszeni fartucha i otworzyła drzwiczki szafki, żeby wypuścić resztki pary.

– Wszystko, co miałam do powiedzenia, jest w raporcie.

– Chciałbym prześledzić go jeszcze raz. Razem z tobą.

Zeszli schodami do garażu rozciągającego się pod całym budynkiem komendy.

Broncks zastanawiał się, czy ona też zauważyła go wtedy na Kungsgatan i czy dostrzegła, że specjalnie uniknął jej spojrzenia. Czy tak samo jak on umiała rozpoznać kogoś, nie widząc twarzy. Oboje pracowali przy programie ochrony świadków i wiedzieli, że w przypadku zmiany tożsamości w pierwszej kolejności należy zmienić sposób poruszania się danej osoby, ponieważ to wyróżnik pozwalający rozpoznać człowieka nawet w tłumie. Nie nos, nie usta, nie ręce, nie włosy i nie ubranie – tylko ruchy rzucają się w oczy. Czyli powinien był iść inaczej, robić krótsze kroki, inaczej stawiać stopy, opuścić głowę.

W jednym z rogów podziemnego garażu znajdował się nieduży domek zajmujący cztery miejsca parkingowe. Garaż w garażu, w którym technicy kryminalni trzymali zatrzymane pojazdy. Sanna otworzyła drzwi. Na samym środku stał biały furgon do przewozu pieniędzy. Broncks podszedł bliżej i wsiadł do niego. Siedzenia były pokryte folią, odłamki szkła, papiery i torby na pieniądze zniknęły. Sprawdził wszystkie przypadki kradzieży samochodów i łodzi na obszarze wokół Farsta Centrum i Gamla Sköndal w okresie poprzedzającym napad na furgon i doszedł do wniosku, że obaj sprawcy musieli zostać podwiezieni na pierwsze miejsce przestępstwa przez pomocnika jego własnym samochodem i zabrani z drugiego miejsca przez kolejnego jego łodzia.

Pochyliwszy głowę, wszedł do otwartego już sejfu w tylnej części samochodu. W raporcie techników opisano ślady krwi, resztki włókien z ubrań i odciski palców obu obezwładnionych ochroniarzy i innych pracowników firmy ochroniarskiej. I nic więcej. Żadnych śladów podejrzanych.

Sanna otworzyła nieodłączny czarny kuferek i położyła przed sobą pięć fusów po nabojach.

– Kąt strzału: dziewięćdziesiąt stopni.

Następnie pokazała dziury po kulach w szybie po lewej stronie i ręką zarysowała trajektorię strzału w kierunku drzwi pasażera.

– Poza tym pięć zdeformowanych kul trafiło w drzwi samochodu. To pociski pełnopłaszczkowe, kaliber dziewięć milimetrów.

Podniosła każdą z nich.

– Kiedy je porównałam... Widzisz tutaj? Wszystkie pięć wystrzelono z lufy o gwincie prawoskrętnym, z tej samej broni. Ze szwedzkiego pistoletu maszynowego m/45.

Mechanicznie. W pierwszej chwili John nie mógł znaleźć tego słowa. Właśnie „mechanicznie” Sanna opowiadała o swojej pracy. Zastanawiał się, czy prowadzone przez nią odprawy wyglądały podobnie, czy też starała się być taka nieporuszona jedynie w jego obecności.

Wózek inwalidzki stał za furgonetką. Przed napadem jeden z podejrzanych siedział na nim i miał nogi przykryte kocem. Wózek został skradziony ze szpitala w Huddinge i był pokryty odciskami palców siedmiu osobników. Wszystkie porównano ze 120 tysiącami odcisków przechowywanymi w policyjnym rejestrze. Bez skutku.

– Prawdopodobnie nosili rękawiczki. Albo nigdy nie byli o nic podejrzani.

Służbowa koszula ochroniarza była zielona, co nie wynikało ze zdjęć. Sanna ostrożnie włożyła palec w gumowej rękawiczce w otwór po kuli w prawej części kołnierza.

– Facet miał szczęście. Gdyby choć odrobinę się jeszcze pochylił, pocisk przebiłby mu kość policzkową.

To pierwsze słowa z jej ust, które nie przecięły mechanicznie powietrza. Może dlatego, że teraz stał kawałek dalej i można było zaznaczyć dystans także w inny sposób niż przez słowa i ton głosu.

– Nie zdobyli tego, o co im chodziło.

– Nie zdobyli?

Odsunął się jeszcze trochę, aby objąć wzrokiem cały samochód z otwartymi bocznymi i tylnymi drzwiami.

– Dżafar z *Aladyna*. I niejaki Goback.

– Dżafar? Go...back?

– Nasz najlepszy świadek ma sześć lat. Ścigamy ludzi, którzy nie istnieją, których widział jedynie sześciolatek chłopiec i jeszcze kilka osób, bo tak chcieli podejrzani. Nie wierzę w to. Nie wierzę ani w Dżafara, ani w Gobacka.

Znał jej sposób poruszania się, wiedział, jak trzyma notes, gdy pisze, wiedział też, jakiego zapachu szuka nieświadomie w każdym pokoju, i potrafił również wyobrazić sobie jej uśmiech, nawet teraz,

z tej odległości.

– Posłuchaj, John, zajmuję się śladami krwi, włóknami, odciskami palców. Faktami. Rzeczami, które istnieją i dadzą się dowieść. A jak sam powiedziałeś: Dżafar i Goback nie istnieją. Nie są realni. Tak samo jak nie ma już ciebie i mnie. Rozumiesz?

John Broncks stał jeszcze przez chwilę, gdy Sanna wyszła i zostawiła go w zimnym, przesyconym zapachem benzyny i wypełnionym kurzem garażu. Kiedy raz za razem obchodził naokoło pusty furgon, odtwarzał w pamięci przesłuchanie ochroniarzy. Obaj mówili o opanowanym i skoncentrowanym napastniku, który potrafił słuchać i coraz mocniej przyciskał lufę do skroni.

Broń jak widelec i nóż. Przemoc jako rzemiosło.

Dżafar nie istnieje. Goback też nie.

Wyszkoleni w przemocy.

Ale ty istniejesz.

Jak zwykle po otwarciu oczu Leo leżał jeszcze przez chwilę na plecach, przysłuchując się ciężkiemu oddechowi Anneli. Ona sypiała jak suseł, on zaś miał lekki sen i budził go najmniejszy szmer. Zawsze tak było, od najmłodszych lat. Wymykał się wtedy po cichu z pokoju, ostrożnie mijając chrapiącego tatę i mamę, która pracowała nocami i musiała się wyspać, szedł bosy do kuchni i przygotowywał śniadanie dla Vincenta i Feliksa.

Teraz też wstawał z łóżka przed nią i przygotowywał dla niej śniadanie.

Anneli chrapała – zawsze kiedy się tak uśmiechała. Leo chwycił ją wówczas za ramiona, obracał na bok i całował w policzki, po czym regularne pochrapywanie ustawało.

Spał. Mimo „kapusia”. Mimo że spłacił dług komuś, komu nic nie był winny.

Kapuś.

Słowo, które wwierciło się w jego mózg ostro, nieznośnie. Jak to często bywa ze słowami. Tym razem jednak nie tak głęboko.

Obok łóżka stały kartony do przeprowadzki. Doliczyl się siedmiu. Tyle samo czekało w dużym pokoju i w przedpokoju.

Przenosili się. Do brzydkiego małego domu w sąsiedztwie gigantycznego garażu – do grotty Fantoma, która jednocześnie rozwiąże ich problem z magazynowaniem.

Wieczorem, w nocy i nad ranem nie padało. Teraz znowu lało. Godzina za godziną woda wsiąkała w żwir, który podsypali pod stalowe drzwi i który mógł się zapaść i zwrócić uwagę kontrolującego teren strażnika z papierosem w ustach.

Anneli obróciła się i wymamrotała pod nosem coś niezrozumiałego. Z powrotem leżała na plecach i od nowa chrapała.

Będzie musiał z nią porozmawiać. Poinstruować ją. I kazać jej tam jechać. Ona jako jedyna może to zrobić, nie wzbudzając podejrzeń.

Leo był akurat w przedpokoju, kiedy za drzwiami mieszkania usłyszał głosy. Ktoś brał po dwa stopnie naraz, a ktoś inny stawił całą stopę na każdym schodku, mimo to wchodził tak samo szybko, a potem, po krótkiej chwili, odezwał się dzwonek przy drzwiach. To musiał być jego zwykle tak rozsądny młodszy brat.

– Co wy, do cholery, macie na sobie?

Felix był ubrany w czerwoną flanelową koszulę w kratkę, wytarte i za luźne džinsy i beżowe timberlandy, Jasper – w skórzaną kurtkę, nowe, jeszcze ciemnogrnatowe džinsy i czarne reeboki.

Drwal i glina w cywilu.

Mijały dni i tygodnie i stopniowo zaczęli pozwalać sobie na to, na co nie powinni – zaczęli czuć się pewnie. Jasper zamienił firmową ortalionową kurtkę na skórzaną, która kosztowała pewnie dobre pięć tysięcy, a Felix wyglądał tak, jakby właśnie przeszedł przez cło po podróży dookoła świata zakończonej w Koki Beach.

– W dni powszednie macie tu przychodzić w niebieskich strojach roboczych i znoszonych, zabloconych butach!

Leo zamknął drzwi do sypialni, podczas gdy Felix i Jasper przeszli do kuchni, w której właśnie parzyła się kawa.

– Już zapomnieliście, barany, o naszym kamuflażu?! O tym, za kogo ludzie mają nas brać? Jasper, przecież wyglądasz jak pieprzony tajniak, co dorabia sobie jako ochroniarz! A ty, Felix, odłóż odkrywanie świata na później. Kto wie, może kiedyś będziesz mógł się wybrać do Sydney, wtedy kupisz sobie używanego mustanga albo będziesz surfował i popijał zimne piwko.

Leo postawił na stole talerze, kubki do kawy, wyjął chleb, masło, ser, sok i jogurt.

– Jesteśmy budowlańcami. I mamy wyglądać jak budowlańcy. Nie wolno nam dopuścić, żeby ktokolwiek pomyślał: „Przecież oni nic nie robią, skąd mają tyle hajsu?”. Choćby żaden z nas nie musiał nawet ruszyć palcem, to mimo wszystko mamy dalej wbijać gwoździe i machać pędzlem. Komuś odnowić kuchnię, innemu położyć dach. Firma jest nam potrzebna jako kamuflaż.

Znowu odezwał się dzwonek. Krótki, ostrożny sygnał. Potem otworzyły się drzwi.

– To ja – zawołał Vincent od progu.

– Jesteśmy w kuchni. Jemy śniadanie.

Stanął w wejściu. Niebieskie spodnie robocze, niebieska koszula, zniszczone buty. Wszyscy spojrzeli na niego w milczeniu.

– Co jest?

– Przynajmniej ten załapał.

– Załapał co?

Leo wyjął filtr z ekspresu i napełnił cztery kubki kawą, po czym odwrócił się do Jaspera i Feliksa.

– Jak już zjecie, wy dwaj pojedziecie pick-upem do domu i ubierzecie się tak samo jak młody.

A potem odbierzecie w Drewno-Kenta sto pięćdziesiąt metrów kwadratowych ośmiomilimetrowego dębowego parkietu, zawieziecie go do Kista pod adres Grönlandsgången 32 i poczekacie tam na mnie i na Vincenta. Zlecenie dla jakiejś firmy IT. Gabbe nam je skombinował.

Jasper odstawił kubek, który trzymał w ręce.

– Mówisz serio? Mamy naprawdę... kłaść parkiet?

– Od tej pory będziemy regularnie przyjmować takie drobniejsze roboty. Okej? Sto pięćdziesiąt metrów kwadratowych klepki, załatwimy to w dwa dni. I zawsze...

– Jak to, kurde, przecież my...

– ...umawiamy się na ryczałt. Tak żeby dało się przeciągnąć robotę na co najmniej tydzień. Będziemy przyjmować większe, ale proste zlecenia, z którymi szybko się uporamy, ale rozpiszemy je na dłuższej i wystawimy fakturę. Przyjdziemy, zrobimy swoje, a potem będziemy pokazywać się od czasu do czasu.

Leo i Vincent jechali przez Skogås. Od drugiej strony. Minęli szkołę i dom przy Vallhornsvägen, w którym spędzili dzieciństwo. Mieszkanie było duże, a jednak za ciasne. Butelki po winie, balkon, zamknięte drzwi.

Leo zaparkował i obaj ruszyli w dół po zboczach przez wysoką trawę między boiskiem a halą sportową. Po napadzie na bank przechodzili tędy z identycznymi torbami sportowymi, z których specjalnie wysoko wystawały kije do hokeja.

Ścieżką u podnóża stromego wzgórza dotarli do lasu. W ciągu ostatnich tygodni Leo często tu bywał, żeby sprawdzić, czy zatopiony ponton nie wypłynął na powierzchnię. Wyszli na półwysep, który za ich dzieciństwa był znacznie większy i do którego on dopływał z przeciwnego brzegu. Dwie samotne sosny wciąż były cienkie i wydawały się wyrastać prosto ze skały.

– Nie ma jej.

Minęli kilka dużych glazów, niskie kolczaste zarośla i trochę zwiedłych paproci. Dalej, za tymi samotnymi sosnami, ciągnęło się kilka metrów piasku. W tym miejscu wyszli na brzeg.

Szukali wzrokiem, wpatrywali się w taflę wody.

– Musi być na dnie. Głęboko.

Leo położył Vincentowi dłoń na ramieniu.

– Miałeś tam stać i czekać. Przy pomocy. Tak czy nie? Ale nie czekałeś.

– Bo...

– Mimo że się umówiliśmy.

Vincent poruszył się i strącił z ramienia dłoń brata.

– Kurczę... Słyszałem, że zbliżają się gliny. Przecież musiałem was ostrzec... Musiałem...

Leo się uśmiechnął.

– To było w tamtej sytuacji super, braciszku. Stałeś całkiem sam w ciemności i samodzielnie podjąłeś decyzję. Za nas. Zaufałem ci, a ty udowodniłeś, że się nie pomyliłem. Ale następnym razem wszystko będzie zupełnie inaczej. Nasz kolejny obiekt to nie furgon z pieniędzmi, tylko bank, a w banku zawsze są ludzie.

– Wiem.

– Chciałbym mieć całkowitą pewność, że rozumiesz, że możesz się jeszcze rozmyślić i wycofać. Teraz. Nie powiem ci złego słowa. Felix i Jasper też. Masz do tego prawo. A moim pieprzonym obowiązkiem jest ci to uświadomić.

Vincent wykrzywił usta w uśmiechu.

– Ale ja chcę być z wami.

– Jestem twoim starszym bratem. Odpowiadam za ciebie. I o wszystkim decyduję. Później nie będzie odwrotu. A teraz to jeszcze możliwe.

– Wiem. I nie chcę się wycofywać.

Powiał wiatr, niewielkie fale się spieniły, jakby było im dokądś spieszą.

Leo mocno otoczył ramieniem swojego o siedem lat młodszego brata. Zmierzała do celu. Razem.

– No dobra.

I zaczęli iść. Noga w nogę. Z powrotem krętą ścieżką przez las, w tym samym kierunku co wtedy w ciemności.

– Będziesz miał na sobie kevlarową kuloodporną kamizelkę. Lepszą od tych, które noszą gliny. I naładowany karabin maszynowy, cztery kilo wagi. Czarne ciężkie buty, granatowy kombinezon, osłona na twarz – będziesz wyglądał na potężniejszego i wyższego, nie będzie widać twoich chudych nóg nastolatka, ale zdradzi cię sposób, w jaki się poruszasz.

Leo przystanął i poczekał, aż Vincent też się zatrzyma.

– Ruszasz się jak typowy siedemnastolatek, wiesz o tym? Kiedy pędziłeś w stronę ochroniarzy i furgonu, kiedy pojawiłeś się za nami w ciemności i Jasper w ciebie wycelował... powstrzymałem go, bo rozpoznałem cię po ruchach.

Leo znowu zaczął iść, powoli, ścieżka między drzewami się rozszerzyła, wydłużył więc krok.

– Żeby wszystko się udało, musisz wyglądać na dorosłego. Kapujesz, braciszku? Tam, w banku, kiedy wtargniemy do środka, wszyscy kasjerzy i kasjerki w swoich szklanych boksach muszą być przekonani, że mają do czynienia z trzema dorosłymi facetami. Tak samo muszą pomyśleć gliny, gdy będą analizować tych kilka nędznych sekund nagrania z kamer monitoringu, gdy w końcu dostaną je w swoje łapy. Po ruchach można rozpoznać i zapamiętać każdego, Vincent. A oni mają zobaczyć w nas zgraną bandę, kompanię dorosłych profesjonalistów, którzy obrabiają banki tak, jakby nigdy w życiu nie zajmowali się niczym innym. Mają się zastanawiać: Skąd, u diabła, oni się wzięli? Kim są? Do czego jeszcze są zdolni? I mają... zacząć się nas bać. A nie stanie się tak, jeśli będziesz ruszał się jak nastolatek.

Ścieżka stała się za wąska dla nich dwóch.

– Idź za mną.

Leo ruszył po trawie na przełaj przez polaną.

– Masz chodzić bardziej zdecydowanie i mocno stawiać całe stopy. Palcami do przodu, a nie na boki, żeby nie zajmować całej szerokości chodnika.

Odwrocił się i przyjrzał bratu, który starał się iść jak dorosły mężczyzna.

– Dobrze, bardzo dobrze, Vincent! A teraz wyobraź sobie, że ważysz więcej, jesteś ciężki i wiesz, dokąd idziesz. Nastolatki zwykle nie mają o tym zielonego pojęcia.

Zatrzymał się, jego młodszy brat także. W pół kroku.

– Mieć cel i zapewnić sobie miejsce na drodze do niego to nie to samo.

– Rozumiem.

– I jeszcze obniż punkt ciężkości. Mniej więcej tak.

Leo jakby nieco ugiął kolana. Vincent obserwował go i naśladował. W końcu brat objął go za ramię i lekko nacisnął.

– Nie wyciągaj szyi jak sęp. Masz opuścić... fiuta kilka centymetrów do ziemi. Popatrz na mnie. Ogarbiasz? Od tej chwili, Vincent, twój fiutek jest twoim punktem ciężkości. To on cię stabilizuje. O, tak. Czujesz to?

Stali obok siebie na otwartym polanie i lekko uginali i prostowali nogi w kolanach.

– Czuję.

– Na pewno?

– Tak.

Leo pchnął Vincenta mocno w pierś, a jego młodszy brat się nie przewrócił, nawet się nie zachwiał.

– Widziałeś? Jesteś stabilny, no nie?

– Tak.

– No dobra. To jeszcze coś. Głos.

– Głos?

– Nie możesz brzmieć, jakbyś przechodził mutację. Musisz mówić niżej.

– Jak to niżej?

– Klucze. Powtórz.
– Co ty, kurde... pieprzysz?
– Vincent, powtórz: klucze.
– Klucze.
– Nie tak. Zniź głos. Mów z klatki piersiowej, z brzucha. Jakbyś... wydawał mi rozkaz. Powiedz jeszcze raz. D a j m i k l u c z e.
– Daj mi klucze.
– I jeszcze! Niżej.
– Daj mi klucze.
– Powtórz!
– Daj mi klucze! Daj mi klucze! Daj mi klucze! Daj mi...
– Musisz mówić z większym naciskiem. Masz całkiem dobry rejestr głosu, od tej pory masz go używać. Okej?

Ruszyli przez polaną w stronę samochodu. Vincent starał się iść zdecydowanym krokiem na lekko ugiętych kolanach. A za każdym razem, gdy stawał na ziemi prawą piętę, powtarzał: „Daj mi klucze!”.

Firma informatyczna w Kista. Leo zaparkował tuż obok identycznego samochodu z identycznym logo po obu stronach paki. FIRMA BUDOWLANA. Otworzył drzwi i wysiadł. Vincent przez całą drogę nie odezwał się ani słowem, a teraz wciąż tkwił na siedzeniu pasażera.

– Wylaż.
– To prawda?
– Co takiego?
– To, co będziemy robić w przyszłości?
– To znaczy co?
– Napadać na banki?

Leo przyjrzał się swojemu najmłodszemu bratu, który nadal nie ruszał się z miejsca.

Wsiadł więc z powrotem do środka.

– Vincent?

– Tak?

– W pobliżu ronda jest tylko j e d e n bank. I to będzie jedynie ćwiczenie.

Siedzieli obok siebie w jednakowych strojach roboczych. Za chwilę mieli wejść do budynku i razem z Feliksem i Jasperem, którzy już tam byli, porządnie położyć parkiet.

– Następnym razem obrabujemy dwa banki. Jednocześnie.

– To dlatego ćwiczymy? I potem będzie koniec?

– Potem, Vincent, weźmiemy na cel jednocześnie... trzy.

To samo miejsce, ten sam czas, to samo ryzyko.

– Nikt nigdy czegoś takiego nie zrobił. Nikt się więc nie spodziewa, że ktoś się na to poważy. A jeśli na dodatek wybierzemy odpowiedni moment, kiedy w obiegu będzie maksymalnie dużo pieniędzy... Nadążasz, Vincent?

– Trzy... jednocześnie?

– Trzy banki jednocześnie w odpowiednim momencie. Dziesięć milionów, a może piętnaście, albo i dwadzieścia. Potem sprzedamy broń, jaka nam zostanie, i dostaniemy za nią prawie tyle samo. I na tym koniec. Przystaniemy napadać na banki. Będziemy to robić, dopóki nie zgarniemy tyle, ile nam potrzeba.

– Nie bardzo zrozumiałem. Kto, do cholery, kupi od nas tę broń?

– Policja.

Otworzyły się drzwi biura. Stanęli w nich Felix i Jasper. We właściwych strojach. Ruszyli w kierunku samochodu, odwiązali plandekę znad paki i zaczęli niecierpliwie gestykulować.

– Może się w końcu ruszycie?!

Pierwsze paczki dębowych klepek znalazły się na asfalcie, a kiedy Leo i Vincent nadal nie wysiadali, Jasper zapukał w boczną szybę.

– Wylaż wreszcie! Ostatecznie to ty gardłowałeś, jakie to ważne, żebyśmy pracowali!

– Za chwilę.

– Trzeba było nie truć.

– Za chwilę.

Leo spojrzął na najmłodszego brata, który patrzył przed siebie i wyraźnie przetrwał to, co usłyszał. Analizował wszystko w ciszy. Zawsze tak robił.

– Posłuchaj, Vincent... Jest coś takiego jak taniec niedźwiedzia.

– Taniec... niedźwiedzia?

– Jeśli chcesz go pokonać, musisz tańczyć razem z nim. Nigdy nie wolno ci podchodzić do niego zbyt blisko, bo wtedy zginiesz. Przecież jest dużo większy od ciebie i rozszarpałby cię na kawałki. Ale możesz tańczyć dookoła niego. I czekać. Aż uda ci się go celnie trafić. Wtedy tańczysz dalej i przygotowujesz się do następnego ciosu. I dokładnie tak samo... jest z napadaniem na banki. Garstka ludzi, zaledwie kilku facetów, może trzymać w szachu całą komendę policji. Jeśli za każdym razem będą na nowo drażnić niedźwiedzia, wyprowadzać go w pole i nie zostawiać mu czasu, żeby się pozbięrał, wreszcie się wścieknie. Zaatakować, skołować i zniknąć. To właśnie jest niedźwiedzi taniec, Vincent. A potem zrobić to znowu, bank za bankiem.

Leo wsunął rękę pod siedzenie i wyciągnął postrzępioną foliową torbę.

– Masz. To lektura obowiązkowa.

Vincent wziął do ręki siatkę i zaczął wyjmować jedną książkę po drugiej.

Boobytraps – Department of the Army Field Manual. Książka o ładunkach pułapkach. Nigdy dotąd nie czytał czegoś takiego. *Explosives A – Kitchen Improvised Blasting Caps.* Ani nie słyszał. *The Anarchist Cookbook.* W większości były cienkie. *Homemade C-4 – A Recipe for Survival.* Ale niektóre grubsze. *How to Build Silencers – An Illustrated Manual.* Wszystkie po angielsku. *Explosives B – Kitchen Improvised Fertilizer Explosives.*

Przejrzał je od niechcienia. Pełno określeń, których nie rozumiał. Rysunki ilustrujące, jak zbudować niewielkie bomby. Po chwili Leo otworzył drzwi.

– To twoja praca domowa na najbliższy tydzień.

Vincent patrzył, jak Leo podszedł do stosu paczek; wydawało się, że ma zamiar rozciąć jedną z nich, ale zamiast tego mocno chwycił Jaspera za kark, jakby chciał się z nim mocować. Robił tak czasami, kiedy próbował rozluźnić atmosferę. W tym momencie Felix puścił swoją paczkę klepek i rzucił się na obu. Trudno było stwierdzić, czy naprawdę się bił, czy tylko udawał. Prawdopodobnie on sam też tego nie wiedział.

Dwaj starsi bracia i przyjaciel z dzieciństwa.

Vincent włożył książki z powrotem do torby, która miała już tylko jedno ucho, i się uśmiechnął.

Nie chciał się wycofać. Chciał być z nimi. Razem.

I obrabować bank. Jeden. Dwa. Trzy.

John Broncks stał na skraju pomostu. Wystarczyłby jeden krok, by znaleźć się w wodzie. Przypomnił mu się inny pomost, wakacje wiele lat temu na niewielkiej wysepce na jeziorze Mälaren – niemal słyszał tupot stóp na deskach i nawoływanie mamy, żeby wracali już do domu. Sam biegł pół kroku przed nim, w deszczu, który padał prawie bez przerwy. Pędzili z domku letniskowego na brzeg, a potem leżeli na plecach w wodzie i obserwowali, jak krople deszczu lądują na ich twarzach.

Przykucnął i zanurzył dłoń w listopadowo ciemnej toni, o wiele zimniejszej niż ta ze wspomnień; za jakiś miesiąc albo dwa jezioro pokryje się taflą kruchego lodu.

Za pierwszym razem był tutaj wieczorem, teraz zaś, w świetle dnia, widział jeszcze zieloną trawę i domki na łódzie z surowych desek.

– John? To ty?

Pomost zaczął się lekko kołysać. Broncks obejrzał się za siebie.

– Tak.

– Co tak naprawdę... mamy tu robić?

Sanna wskazała głową na zacumowaną łódź z aluminium z silnikiem o mocy ośmiu koni.

– John, zadałam ci pytanie.

– Już mówiłem. Tu urywa się ślad.

– No więc co zamierzasz?

– Musimy ustalić, dokąd uciekli. Gdzie zeszli na ląd. Przy jakim stole teraz siedzą i planują następny napad. O to mniej więcej chodzi.

Znowu obojętne spojrzenie. Nieporuszona twarz. Identyczne zachowanie jak niedawno w garażu komedy. Jej głos był też równie mechaniczny.

– I żeby to ustalić, musimy tkwić w rozchybotanej łódce na Drevviken, i to jeszcze w deszczu? Przecież byłeś tu już mnóstwo razy.

– Potrzebuję twojej pomocy, żeby móc zrozumieć ich sposób myślenia.

Postawił jedną nogę na pomoście, drugą miał już w łodzi, kiedy weszła do niej z dwiema pelerynami przeciwdeszczowymi w ręce.

Podawała mu jedną z nich.

– Przyda ci się, podobno ma padać jeszcze bardziej.

John pociągnął dwa razy za linkę przy silniku, żeby go uruchomić. Łopatki motoru zaczęły obracać się w wodzie, mieszając ją z tworzącymi na powierzchni oddzielne wysepki turkusowymi i fioletowymi plamami po benzynie. Odepchnął łódź od pomostu. Przebiła się bez trudu przez zmarniałe jesienne sitowie i wypłynęła na otwartą wodę.

Z mapką w plastikowej osłonie rozłożoną na kolanach sterował powoli, mijając wysepki Talludden, Kaninholmen i chyba Myrholmen, jak wynikało z nazw złożonych trudno czytelną czcionką. Trzymał swobodnie rumpel i prowadził łódź wzdłuż brzegu porośniętego lasem. Tu i ówdzie spoza sosen i jodeł wyłaniały się górne kondygnacje szarych bloków i czerwone dachy nielicznych jednorodzinnych willi pochodzących z czasów, gdy budowanie domów blisko brzegu było jeszcze dozwolone. Stopniowo jezioro zaczęło się zwązać i w końcu zamieniło się w cieśninę. Po lewej stronie rozciągał się Flaten – rezerwat przyrody o żywej ziemi, porośnięty lasem mieszanym z pojedynczymi domkami letniskowymi tu i ówdzie, po prawej zaś teren był gęsto zabudowany, poprzecinany drogami i usiany domami jednorodzinnymi i betonowymi blokami. Przesmyk w tym miejscu był tak wąski, że podczas ucieczki w ciemności wystarczyło tylko lekko zboczyć z kursu, żeby dobić do jednego albo do drugiego brzegu.

– Którą stronę byś wybrała?

Sanna najpierw spojrzała w mapę, potem rozejrzała się dookoła i w końcu wskazała na okolicę pełną zabudowań.

– Tę.

– Ja też.

John skierował łódź w tym kierunku. Uciekający przestępca zawsze chce mieć więcej dróg do wyboru, żeby móc się w razie potrzeby gdzieś zaszyć.

– Sprawdziłem. W tej okolicy ostatnio nie zgłoszono kradzieży żadnej łodzi.

– Może mieli własną?

Sanna spojrzała znowu na niebieskie, zielone i żółte plamy na swojej mapie, powiodła palcem po linii, gdzie wszystkie kolory się zbiegały.

– Tu jest... pięć, osiem, jedenaście... piętnaście przystani. Co najmniej. Jeśli płynęli swoją łodzią, mogli przybić do każdej.

– Tacy goście jak oni nie dobiliby do pierwszego lepszego pomostu, żeby zostawić przy nim łódź. To zupełnie inny kaliber. Przestępcy tego gatunku zawsze zacierają za sobą ślady i pozbywają się środka lokomocji, którym uciekają. W tym przypadku musieli go zatopić.

Mewy, które nagle nadleciały, przecięły ciszę swoim przeraźliwym skrzekiem. Po chwili odfrunęły, aby zawozić swoje skargi gdzie indziej.

– Zatokzki, cyple, pomosty, kąpieliska. Tutaj da się przybić do brzegu w każdym miejscu. Pewnie ktoś na nich czekał z innym środkiem transportu, żeby mogli uciekać dalej.

– Albo nie.

John się uśmiechnął. Wciąż myśleli podobnie. Przynajmniej jako policjanci.

– Może wcale nie musieli uciekać dalej. Bo to był ostatni etap. Ponieważ mieszkają gdzieś w okolicy.

Wskazał głową na wąski pas piasku za rozłożystym drzewem, którego gałęzie zanurzały się w wodzie.

– Była siódma albo wpół do ósmej wieczorem, czyli zapadła już ciemność. W tej sytuacji, niezależnie od tego, gdzie przybili, ktoś musiał dawać im znaki.

Po skale przemknęły dwa zające sploszone przez zbliżającą się łódź.

– Co wobec tego sugerujesz?

– Co sugeruję?

– No tak.

– Dobrze wiesz, John, że ktoś taki jak ja nigdy niczego nie sugeruje. Osoby mojego pokroju są tak cholernie nudne, że przelewają na papier jedynie to, co mogą ponad wszelką wątpliwość ustalić za pomocą technik kryminalistycznych.

– A jeśli pytam cię, jakie jest twoje zdanie? Co... przypuszczasz?

– Tobie wolno przypuszczać, a nawet musisz snuć domysły, John. Na tym polega twoja praca: oglądasz miejsce zbrodni, przesłuchujesz i interpretujesz. Ja nie interpretuję. Ja znajduję dowody i ustalę fakty. Rzeczywiście. To moja praca.

– A jeśli zależy mi na tym, aby usłyszeć, co uważa Sanna, a nie stwierdza technik kryminalistyki?

Popatrzyła na niego, a on na nią.

– No, powiedz.

– Sanna uważa... – Urwała. Pokręciła głową. – Nie lubię spekulować.

– Jesteśmy na jeziorze i tylko ja cię słyszę.

– No więc Sanna uważa, że ci dwaj, bo na razie wiemy tylko o dwóch podejrzanych, którzy napadli na konwój z pieniędzmi i go obrabowali, już wcześniej robili podobne rzeczy i byli za to karani. Według Sanny wskazuje na to ich sposób działania: strzały, brutalność, determinacja, gotowość podjęcia ryzyka.

Sunęli w kierunku brzegu; gdy na powierzchni wody pojawiły się kamienie, Broncks odbił znowu trochę w bok.

– I... Sanna wie, że o takich rzeczach zawsze się mówi. Tam. Za murami więzienia.

Spojrzała na niego wprost. Pierwszy raz od chwili, kiedy usiedli na drewnianych ławeczkach w przeciwnych końcach łodzi. Nie miała wątpliwości, że John wie, co ma na myśli.

– Tam mówi się o przestępstwach dokonanych, ale także o planowanych. A najchętniej o takich, które się udały, czyli kiedy przechytrzone system, a gliny wciąż drepczą w kółko jak pijany we mgle. Tak naprawdę nie powinieneś siedzieć tutaj i rozmawiać ze mną, tylko wybrać się do niego. Przecież dobrze wiesz. Jedź tam i pogadaj ze swoim bratem. Bo jeśli jest tak, jak oboje sądzimy, to znaczy, jeśli w tym przypadku chodzi o przestępców, którzy już kiedyś coś podobnego zrobili i zrobią znowu, to on wie znacznie więcej niż my dwoje.

– Nie.

- Dlaczego?
- To nic nie da.
- Ale musisz...
- Nie.

Mijali las, u którego podnóża brzegiem wiła się ścieżka. Za nim leżało Skogås ze swoimi wysokimi blokami. Kontrast był porażający: cisza, dzika przyroda i ulotne piękno sąsiadowały z brzydotą, niepokojem i surowością.

- Nic się nie zmieniłeś, John.

- Ty też.

Wciąż zaprzętała mu myśli i serce, niezależnie od tego, jak bardzo starał się otrząsnąć i wyrzucić ją z pamięci. Nie potrafił o niej zapomnieć. Minęło dziesięć lat. Byli ze sobą dwa lata, a mieszkali razem tylko rok, tyle że wtedy byli tak młodzi, że czas liczył się inaczej.

- Bardzo się ucieszyłem, kiedy po przesłuchaniu jednego z ochroniarzy szedłem na pomost i cię zobaczyłem. A właściwie nie zobaczyłem, bo przecież było ciemno, tylko poznałem cię po ruchach.

Próbował nowych związków, zwłaszcza w pierwszych latach po rozstaniu, ale ona zawsze stała mu na drodze, a kobiety, z którymi usiłował być, bezbłędnie wyczuwały, że muszą zмагаć się z czymś cieniem.

- Naprawdę nic się nie zmieniłeś, John. Niech to szlag... Czy to dlatego wyciągnąłeś mnie na deszcz w tej idiotycznej łódce? - Obróciła się gwałtownie, łódź mocno się zakołysała. - Przecież wiesz, że nie chcę o tym mówić. I dobrze wiesz, że moje życie się zmieniło. Więc o co ci, do cholery, chodzi?

I znowu poczuł się rozdwojony. Z jednej strony był dorosłym mężczyzną, kompetentnym detektywem umiejącym wyciągać wnioski i zdolnym do przenikliwych analiz, a z drugiej - małym chłopcem, który nie ma pojęcia, jak rozmawiać z ludźmi.

- Myślę o tobie każdego dnia.

- A ja nie myślę o tobie nigdy.

To on zerwał i od niej odszedł. A ona płakała. Ale kiedy się już wyplakała, wyrzuciła go ze swoich myśli.

Wiedział o tym. Bo skontaktował się z nią po kilku latach i właśnie to od niej usłyszał: że postanowiła już nigdy o nim nie myśleć. Przenigdy. Jakby w ogóle nie istniał.

I teraz powtórzyła mu to znowu.

- Czy to wszystko, John?

Siedział, nic nie mówiąc. Jak mały chłopiec.

- Może moglibyśmy zachowywać się znowu jak zwyczajni koledzy z pracy? Proponuję przyjąć, że całą tę wyprawę łódką wymyśliłeś po to, żeby posunąć się dalej w śledztwie. Okej?

Skinął nieznacznie głową.

- W takim razie - podniosła mapę z dna łodzi - wiemy, że mimo wywiadów, pukania do każdych drzwi, węszenia dziesiątków śledczych nie masz ani jednego świadka, który widziałby, jak schodzili na ład. - Wytarła krople deszczu z folii. - Mimo psów tropiących, helikopterów, blokad dróg i wysiłków techników nie masz też żadnych innych śladów. Na pewno wiadomo tylko, że dwóch zamaskowanych mężczyzn uprowadziło furgon przewożący pieniądze i porzuciło go na kąpielisku nad jeziorem. Sprawcy, którzy wybierają tak odległe i wymarłe miejsce, muszą raczej orientować się w okolicy. Należy przypuszczać, że dobrze je znali. Tylko na to liczyli.

Oderwał od niej wzrok, pierwszy raz podczas całej podróży. Przesmyk rozszerzył się wyraźnie i wypłynęli z powrotem na otwartą wodę. Broncks dodał gazu. Do pomostu mieli czterdzieści pięć minut.

- Musisz tu wrócić i szukać dalej, John.

Anneli zatrzymała wypożyczony samochód tuż przed szlabanem z potężną kłódką, niedaleko od szosy. Volvo 240. Czerwone. Zależało im na tym kolorze. To najbardziej popularne auto w Szwecji. Leo wynajął je razem z dużą ciężarówką, którą mieli przewieźć swój dobytek z mieszkania do domu. I od razu za nie zapłacił.

Mocniej zaciągnęła ręczny hamulec. Teren był lekko pochyły, wołała więc mieć pewność.

Spakowała ostatnie rzeczy z szafek kuchennych i chodziła z pokoju do pokoju między stosami kartonów. Przenosili się, nie była to jednak taka przeprowadzka, na jaką czekała. Ale Leo jej obiecał, że to tylko na rok. Aż skończą. Wtedy będzie mogła wybrać dowolny dom, jaki sobie tylko wymarzy, gdzie jej się spodoba, niezależnie od ceny. Nic mu nie mówiąc, kilka razy pojechała autobusem do Slussen, a stamtąd kolejką do Saltsjöbaden. Wysiadła na ostatniej stacji i spacerowała wśród ogromnych willi otoczonych ogromnymi ogrodami. Czasami wybierała się też promem w przeciwnym kierunku i wędrowała między wielkimi domami liczącymi tyle pokoi, ile oni mieli pudeł do przeprowadzki. Przechadzając się tak, nie miała wątpliwości, że w dniu, gdy oni też tak zamieszkają, Sebastian będzie wołał być razem z nią.

Zapięła płaszcz przeciwdeszczowy i wcisnęła nogawki spodni w kalosze, po czym ruszyła po mchu i mokrych liściach, trzymając koszyk na grzyby w prawej ręce. Leo poinstruował ją szczegółowo. Bardzo jej się podobało, kiedy instruował ją jak swoich braci; słuchała go uważnie, żeby wszystko zapamiętać i zrobić dokładnie to, co chciał. Anneli nigdy dotąd nie zbierała grzybów. Pochylała się regularnie, żeby przyjrzeć się bliżej. Zauważyła matowy brązowy kapelusz. To chyba prawdziwek. Co za głupia nazwa. I jeszcze jeden, żółty. To pewnie kurka. Ten gatunek nawet znała.

Nagle usłyszała szczerkanie.

Pies. Może nie jeden. Niedaleko. Nie była tu sama.

Zebrała jeszcze kilka grzybów, jak popadło, pierwszych lepszych – kilka białych i kilka niemal całkiem czarnych. Musiała zapełnić przynajmniej dno koszyka, jeśli chciała wyglądać na prawdziwą grzybiarkę. Leo podkreślał to wiele razy.

Nie lubiła grzybów ani żadnych owoców leśnych. W ogóle nie przepadała za lasem. Wydawał się jej zbyt wymarły, mroczny, na dodatek nigdy nie wiadomo, skąd dochodzą w nim różne odgłosy.

Znowu ujadanie. Tym razem gdzieś bliżej. Dużego psa, może owczarka niemieckiego.

– Co robiłeś dzisiaj?

– Jeździłem na rowerze.

– W deszczu?

– Nie padało tak bardzo. Przynajmniej u nas.

Czasami, kiedy ogarniała ją melancholia, dzwoniła do Sebastiana. Potem zawsze czuła się lepiej.

– U mnie trochę pada.

– Aha.

– Jestem w lesie i... zbieram grzyby. I myślę o tobie, o moim skarbie.

– Muszę już skończyć.

– Wiesz co...

– Tata ma już buty na nogach. Na razie.

– Całusy, niedługo się...

Odłożył słuchawkę. Słyszać było tylko cichy szum. Nie znosiła tego.

– ...zobaczymy.

Tym razem niewiele jej to pomogło, czuła się tak samo samotna jak przed telefonem, a las wydawał się nie mniej mroczny i ponury. Niemająca końca drewniana trumna zajeżdżająca zgnilizną i ziemią.

Psów było więcej. Słyszała ich ujadanie. Kogoś ostrzegały.

Nawet nie spostrzegła, że doszła do rozległego placu wysypanego żwirem. Mniej drzew, a więcej światła i powietrza. To tutaj zmierzała. Chodziła po lesie z koszykiem i udawała, że zbiera grzyby, żeby dotrzeć do opróżnionego magazynu broni.

Ale patrząc pomiędzy drzewami i zaroślami, zauważyła jakiś ruch. Zobaczyła mężczyzn w zielonych mundurach, usłyszała niesione wiatrem głosy.

Odkryli to.

Strach, który od tygodni nie pozwalał Leo spać nocami i sprawiał, że zlany potem przewracał się z boku na bok, przekonany, że ona śpi, okazał się uzasadniony.

Anneli szybko cofnęła się kilka kroków w kierunku, z którego przyszła. Musi mu to zaraz zakomunikować, Leo powinien się dowiedzieć. Nagle zatrzymała się raptownie. Przecież nic nie wie. Zobaczyła jedynie, że ktoś tam jest, konkretnie kilku mężczyzn, i że mają psy i kręcą się dokładnie w tym samym miejscu, gdzie Leo, Jasper, Felix i Vincent wysadzili posadzkę w jakimś magazynie i wykradli broń. Jedynie tyle wiedziała. Po otrzymaniu instrukcji od Leo wzięła na siebie ważne zadanie, stała się częścią planu.

Zawróciła więc i powoli znowu podeszła bliżej.

Psy wciąż ujadają i szczyrzyły ostre zęby. Pamiętała ugryzienie w lewy policzek, kiedy jakiś bokser skoczył na pięcioletnią dziewczynkę, a właściciel krzyknął, że on tylko się tak bawi. Toteż gdy teraz widziała w pobliżu większego psa, szybko przechodziła na drugą stronę ulicy. Zdawała sobie sprawę, że zwierzęta mogą wyczuć jej lęk.

Widziała je teraz.

Przez las, który z każdym jej krokiem stawał się coraz rzadszy. Dwa psy, może trzy. I pięciu... sześciu... siedmiu mężczyzn ubranych na zielono. Jeśli pójdzie dalej i wejdzie na plac, psy na pewno wyczują jej strach. Nie miała jednak wyboru. Jeśli ci ludzie odkryli podkop i magazyn opróżniony z broni, Leo musi się o tym dowiedzieć.

Na samym skraju placu rosło rozłożyste drzewo. Ukryła się między gałęziami i stojąc pod ich osłoną, widziała wyraźnie betonowy keson.

Drzwi były zamknięte. Z całą pewnością.

Były nadal zamknięte!

Już miała się wycofać, równie ostrożnie, jak tutaj podeszła, gdy nagle zaczęła się osuwać. Powoli. Po mokrej i śliskiej ziemi prosto do rowu oddzielającego mech od żwiru, las od terenu wojskowego. Przenikliwy pisk gumowych podeszew ślizgających się po drobnych kamyczkach przeciął powietrze.

Psy zaczęły ujadać jeszcze zajadziej. Wyrwać się swoim opiekunom trzymającym ich na smyczach.

Usłyszały ją.

Gdy Anneli już niemal wy dostała się z rowu, znowu osunęła się niżej.

– Pomóc pani?

Było ich nie siedmiu, tylko ośmiu. W mundurach i białych hełmach z literami ŻW z przodu. Psy zgodnie z jej przypuszczeniami okazały się owczarkami niemieckimi i pilnie śledziły każdy jej ruch.

– Czy one są... dobrze przypięte?

– To teren wojskowy.

– Trochę boję się psów. Jestem...

Wysoki żołnierz ze szpakowatym podkreślonym wąsem, który jak się wydawało, dowodził grupą, odwrócił się do stojącego najdalej psa o niewielkich wlepionych w nią ślepiach.

– Kaliber, noga. Siad.

Mężczyzna miał przewieszony przez ramię karabin na brązowym rzemieniu i sprawiał sympatyczne wrażenie.

– Może się pani... z nim przywitać.

„Anneli, pamiętaj, musisz podejść do betonowego bunkra”.

– Niech pani wyciągnie do niego rękę, żeby mógł ją obwąchać.

„Musisz podejść pod same drzwi. Zrobiliśmy pod nimi podkop i zasypaliśmy. Chcę wiedzieć, czy ziemia się trzyma, czy zaczęła się zapadać”.

– No widzi pani! Jak pani jest dla niego miła, to on też jest grzeczny.

Żołnierz uśmiechnął się do niej. Anneli spojrzała na jego hełm. ŻW. Żandarmeria wojskowa. Potem znowu popatrzyła na psa i zadała sobie pytanie, czy to zwierzę potrafi wyczuć różne rodzaje strachu: podświadomy instynktowny lęk i całkiem świadomy, mający uzasadnione podstawy, taki, jaki ogarnął ją w tej chwili, ponieważ być może już nie tylko ona wie, że betonowy bunkier opodal jest pusty.

– Czy... czy mogę przejść tędy dalej? Na drugą stronę żwirowiska?

– Nie za bardzo. Już mówiłem, to teren wojskowy.

– Aha.

– Jesteśmy z żandarmerii wojskowej i mamy tu ćwiczenia. Muszę panią prosić o opuszczenie tego miejsca.

– Nie wiedziałam...

– Na skraju lasu, przy szlabanie, jest tablica z zakazem wstępu.

– Widocznie jej nie zauważyłam. Szłam przez las, a samochód...

– Co pani tu robi?

– Ja...

Zauważył jej wahanie. Pozostała siódemka w zielonych mundurach też.

Koszyk. Stał na ziemi. Sięgnęła szybko po niego.

– Grzyby.

Zajrzał do środka. Na dnie leżało kilka grzybów.

– Trzeba przyznać, że nie za wiele pani nazbierała.

– No nie...

– Ten tutaj to pieprznik żółtawy. Jest bardzo rzadki. Gdzie go pani znalazła?

Roześmiała się nerwowo i trochę sztucznie, miała jednak nadzieję, że tego nie zauważył.

– Grzybiarze nie zdradzają swoich najlepszych miejsc, prawda? W tym roku za dużo pada i grzybów jest niewiele.

– Nie wolno tu pani być.

Anneli uśmiechnęła się, lekko przekrzywiając głowę.

– Gdyby pozwolił mi pan przeciąć ten plac, szybciej bym stąd zniknęła.

Spojrzał na nią. Anneli wciąż się uśmiechała, mając nadzieję, że to zadziała.

– No dobrze. Tylko szybko.

Patrzyli za nią i obserwowali każdy jej krok. Nie spuszczała jej z oka, zwłaszcza gdy zatrzymała się przy magazynie i odwróciła się do nich.

– A to... co to jest? Ta mała chałupka? Buda dla psa? – Podeszła nieco bliżej, jakby chciała przyjrzeć się dokładniej.

– Nie.

– Nie? Chybaby się nadawała...

– To jest magazyn broni. W razie mobilizacji.

Dzieliło ją zaledwie kilkadziesiąt centymetrów od drzwi. Zdaje się, że stała w miejscu, w którym nie tak dawno temu znajdował się dół. Mogła niemal dotknąć szarych ścian, za którymi już nic nie ma. Pusta skorupa. Tak powiedział Leo: pusta betonowa skorupa.

– Mobilizacji? – powtórzyła.

Wbiła prawą stopę w żwir. Wcisnęła ją mocniej.

– No w razie wojny. Tu jest rezerwa dla uzbrojenia całego oddziału.

Podłoże nie było ani miękkie, ani rozmokłe. Podkopu, który zrobili, a potem zasypali, nie dało się ani zauważyć, ani wyczuć.

Anneli ruszyła dalej. Znowu śledzili ją wzrokiem.

Ostre, przenikliwe spojrzenia utkwione w jej plecach.

Zrobiła, co miała zrobić. Mimo ociekających śliną psich pysków, mimo ściśniętego strachem gardła i mimo potu, który płynął jej po plecach cienką strużką.

– Chwileczkę! – Żołnierz krzyknął głośniejszym głosem niż przedtem.

A była już tak blisko.

Zawahała się. Przystanęła. Przymknęła powieki. Słyszała odgłos jego wysokich butów. Szedł do niej.

– Słucham?

– Pani zbiera grzyby, tak?

– No tak. To znaczy, chyba bardziej szukam...

Odwróciła głowę. Spojrzała w pełną powagę twarzy.

On wie.

– I jest pani pewna, że tamten mały nie jest trujący?

Oni wiedzą.

– Trujący?

Wiedzieli cały czas.

– Ten żółtobrazowy. Niech pani jeszcze sprawdzi.

– To znaczy...

– Ten pieprznik trąbkowy. To może być patyczka lepka. Ludzie często je mylą. A to jest grzyb niejadalny. – Uśmiechnął się. – Lepiej nie ryzykować.

Uśmiechnął się znowu, szczerze. Nie kazał jej zawrócić. Nie zadawał żadnych pytań o podpok i splądrowany magazyn.

Po krótkiej chwili skinęła głową i pomachała na pożegnanie. Gdy przecinała rozległy plac, korsiło ją, aby obejrzeć się za siebie i zobaczyć, że dzieli ją od nich coraz większy dystans. Oparła się jednak pokusie.

Potem pobiegła przez las, przeskakując przez korzenie i gałęzy, po czym pojechała w kierunku Tumba szybciej, niż wydawało jej się to możliwe.

Leo, sprawdziłam ten dół, ziemia jest wciąż ubita. Byłam sparaliżowana strachem. Podeszłam do nich. Rozmawiałam z nimi. Mieli prawdziwe policyjne psy, owczarki niemieckie, największe, jakie mogą być. Podniosłam koszyk i lekko go przechyliłam, żeby mogli zobaczyć grzyby, które znalazłam. Stałam między ośmioma żołnierzami, a oni patrzyli na mnie, ale się nie domyślali, że ich oszukałam.

Anneli roześmiała się sama do siebie. Czuła się wspaniale. Szła przez las wypełniona świadomym i nieświadomym lękiem, obawiając się, że psy wyczują je oba. Teraz jednak zrozumiała, że przez cały czas, każdego dnia przez ostatnie tygodnie, tkwił w niej jeszcze inny lęk, znacznie większy. Lęk przed tym, że coś złego może stać się człowiekowi, którego się kocha. Teraz już wie, że ten lęk można pokonać jedynie, przyłączając się do niego. Przez współuczestnictwo. I właśnie to zrobiła. Dostała zadanie, którego żaden z nich nie mógłby się podjąć, i wykonała je lepiej, niż którykolwiek z nich był w stanie sobie wyobrazić.

Minęła Niebieski Dom i skręciła w drugą stronę. Przejechała przez bramę do ich nowego domu wciśniętego między drogę a garaż przemysłowy, oblanego naokoło asfaltem i otoczonego drutem kolczastym. Ale to dom tylko na rok. Już ona się postara, aby tak było. Na pewno jej się uda, tak jak udało się wykonać zadanie w lesie.

Na podejździe stała ciężarówka z otwartymi tylnymi drzwiami. Była opróżniona. Wszystkie rzeczy i kartony zostały już wniesione do środka. Miała nadzieję, że Vincent, Felix i Jasper są jak zwykle u nich i usłyszą to wszystko, co ona ma do opowiedzenia Leo.

Podeszła do domu. Gdy nacisnęła klamkę drzwi wejściowych, zobaczyła, że Leo wychodzi z ogromnego garażu, i puściła się pędem w jego stronę.

– Leo...

Zaczęła mówić, zanim znalazła się przy nim.

– ...wróciłam!

Jednak pozostali też powinni jej wysłuchać. Felix, Vincent, Jasper. Koniecznie.

– Jestem twoją królową rabusiów!

Objęła go mocno, ucałowała w policzek, potem w usta.

– Tam byli ludzie.

– Ludzie?

– Żandarmeria wojskowa. Ośmiu żołnierzy. Z psami – mówiła szeptem, choć nie bardzo wiedziała dlaczego. – Mieli jakieś ćwiczenia. A ja zrobiłam dokładnie to, co chciałeś.

Wyraz jego twarzy nagle się zmienił.

– To znaczy... co?

– Podeszłam i sprawdziłam ziemię przed drzwiami. Stopą. Ja...

Zawsze gdy Leo zatapiał się w swoich niezgłębionych myślach, odgradzał się, robił się odpychający. Dokładnie jak teraz.

– O czym ty, do cholery, mówisz?

– No tak, sprawdziłam, ale oni niczego nie podejrzewali.

– Chcesz mi powiedzieć, że stałaś tam, metr przed magazynem, i grzebałaś nogą w ziemi, a ośmiu wojskowych żandarmów z psami patrzyło na ciebie?

Pocałowała go znowu. Rozpierała ją duma.

– Tak, i oni...

Leo potoczył wzrokiem dookoła. Najpierw spojrzał na dom sąsiadów, który tak jej się podobał, a potem na drogę, gdzie na jednym pasie przystanął jakiś samochód i od razu powstał korek.

– Wejdźmy do środka.

Chwyił ją za ramię, wprawdzie niezbyt mocno, jednak wystarczająco stanowczo, aby nie mogła mu się wyrwać, i od razu zamknął drzwi wejściowe. W sieni zwisiała na długim kablu spod sufitu goła żarówka, która zakołysała się tam i z powrotem, gdy Leo niechcący trącił ją głową.

– Żołnierze żandarmerii wojskowej, specjalnie szkoleni w tym, żeby widzieć to, czego ty nie widzisz. A ty stoisz sobie przed nimi i ryjesz nogą w piasku jak kot w kuwecie!

Niemile, jaskrawe światło.

– Przecież zrobiłam tylko to, o co prosiłeś.

– Zapisali twoje nazwisko? Powiedziałaś im, jak się nazywałeś?

– Nie, ja...

– Widzieli twój samochód?

– Ja...

– Jeśli go widzieli, to dojdą po nitce do kłębka!

Zawsze tak się starał, żeby nie tracić panowania nad sobą, nie wpaść w furję, kontrolować emocje. Nie poznawała go teraz.

– Powtarzam ci, oni niczego nie podejrzewali.

– Jesteś pewna?

– Przysięgam, Leo.

Co prawda widywała go w takim stanie, ale zachowywał się tak wyłącznie w stosunku do innych mężczyzn, gdy go sprowokowali. I to się jej nawet podobało, bo czuła się przy nim bezpieczna. Nigdy jednak nie wyładowywał swojej wściekłości na niej ani na swoich braciach czy kimkolwiek mu bliskim.

– Jeśli odkryją, że magazyn jest pusty, a potem cię wywęszą, to wezmą cię na przesłuchanie. Zdajesz sobie z tego sprawę? Naprzeciw ciebie usiądzie jakiś tłusty glina i będzie tak kombinował i sprytnie pogrywał, aż w końcu powiesz mu dokładnie to, co będzie chciał usłyszeć. I co wtedy zrobisz? Wciąż będziesz... moją królową rabusiów?

– Do cholery, Leo, o co ci chodzi? Przestań wreszcie!

– Jeśli nawet tyle nie możesz znieść, to przypadniesz na pierwszym lepszym przesłuchaniu.

Naokoło było ciasno. Góry kartonów, krzesła, stół, lampy, półki stały wszędzie jak popadło.

– Nigdy bym cię nie zdradziła, Leo.

Wziął ją za rękę i odsunawszy kilka pudeł, przecisnął się razem z nią pod ścianą do kuchni.

– Na żadnym przesłuchaniu, ktokolwiek by pytał. Spójrz na mnie, Leo... Przecież o tym wiesz, prawda? Ja nigdy bym cię nie wydała.

– Nie trafisz na żadne przesłuchanie, jeśli tylko dobrze będziesz grała swoją rolę.

Leo przestawił znowu dwa kartony i ekspres do kawy i utorował sobie wąską ścieżkę do zamrażarki. Otworzył ją.

– Od tej pory, Anneli, będziesz miała dwa życia. Jedno oficjalne i drugie nieoficjalne.

Poza pojemnikiem z kostkami lodu zamrażarka świeciła pustkami.

– Sześć tygodni temu byłem po prostu właścicielem firmy budowlanej. Felix, Vincent i Jasper byli moimi pracownikami, a ty kobietą, którą kocham, narzeczoną, partnerką.

Z pudła na samym czubku stosu wyjął kubek na lód, a z kartonu pod spodem – ręczniczek.

– Potem ukradliśmy broń.

Wycisnął kostki lodu z pojemnika i wrzucił je do kubeczka.

– Później był napad na furgon z pieniędzmi.

Otworzył drzwi lodówki i wyjął jedyną rzecz, jaka się w niej znajdowała – butelkę.

– Jesteśmy ścigani, Anneli, rozumiesz? Szuka nas policja.

Zawiązał biały frotowy ręczniczek wokół szyjki okazałej butelki z elegancką etykietą, po czym wstał ją do kubeczka.

– Nie wolno ci nigdzie zostawiać żadnych śladów. Ani ryzykować, że ktoś cię zobaczy. Policja nic nie wie i nic na nas nie ma. Co najwyżej znajdzie tylko takie ślady, jakie im z premedytacją zostawimy. I żadnych innych. Jest nas pięcioro, wcześniej nie byliśmy karani i ze sobą współpracujemy. To dla policji coś nowego. Bez względu na przestępcy popełniający poważne przestępstwa, a nieodnotowani w żadnych policyjnych rejestrach. Jesteśmy jak zjawą z najgorszych snów: dręczymy, a nie dajemy się złapać!

Chwyił ją znowu, tym razem delikatniej, i przyciągnął do siebie.

– Dwa życia, Anneli. Jedno na użytek naszych sąsiadów z pięknego domu obok, a drugie, to prawdziwe: życie bandytów napadających na banki, o których piszą gazety.

W jednej z dwóch pustych kuchennych szafek stały dwa kieliszki do szampana, całkiem nowe, nie mieli ich wcześniej. Leo ustawił jeden przy drugim na zlewie i wyciągnął z butelki korek z takim samym odgłosem jak w filmach, a potem nalał do nich szampana, który trochę się pienił.

– Wypijmy, Anneli, za nasz nowy dom.

Odesłał braci do domu, bo wie, że nie chcą ich tutaj.

Schowal drogą butelkę Dom Pérignonna w lodówce, bo myśli, że bąbelki pachnące złotymi jabłkami to coś romantycznego.

– Na zdrowie.

Uniosła kieliszek, spojrzała na Leo i wypila. Nic nie poczuła, jakby ten cenny trunek nie sływał jej po przełyku, tylko rozlał się gdzieś na zewnątrz. Nie mogła zrozumieć. Przecież nie tak dawno śmiała się sama do siebie w wynajętym samochodzie. Ale teraz uświadomiła sobie, co ją gnębi – obawa, że jest jednak poza tym wszystkim. Wróciła z lasu z poczuciem przynależności, a on jej właśnie przed chwilą je odebrał. I już go nie odzyska, choćby nie wiadomo jak się uśmiechała.

Zawsze paradowała nago po lśniącem parkiecie. I to ona nauczyła go spać bez niczego i na golasa myć zęby. Przekonała go, że jego żyłaste i blade ciało też może być nagie. Siedzieli wtedy naprzeciw siebie przy tym samym starym kuchennym stole, przy którym stał w tej chwili. Pierwszego ranka, gdy nieśmiałość zmusiła ich do milczenia, a potem mówili o byle czym, żeby tylko uniknąć wzajemnych spojrzeń, ich stopy zetknęły się nagle przypadkiem. I to wystarczyło, aby powróciła bliskość i ufność z minionej nocy. A tak długo był przekonany, że nie ma kogoś takiego, komu odważyłby się pokazać nago.

John Broncks dołał mleka do czarnej herbaty.

„Wiesz, że nie chcę o tym mówić. Że mam to już... za sobą. Prawda, John?”

Odstawił pusty kubek do zlewu, ubrał się i wyszedł ze swojego dwupokojowego mieszkania w oficynie sztokholmskiej dzielnicy Södermalm. Poranek był zadziwiająco ciepły, jakby jesień i zima zaspaly, a późne lato zgodziło się dać jeszcze gościnny występ. Przeciął wewnętrzny dziedziniec kamienicy z przełomu wieków przy Högalidsgratan. Przy tej samej ulicy stał też okazały kościół o dwóch wieżach, których cień zawsze strzegł wejścia do domu. Kościelne dzwony co kwadrans oznajmiały swym głuchym biciem upływ czasu i przez pierwsze lata bardzo go irytowały, teraz zaś nie był nawet pewny, czy wciąż jeszcze dzwonią. Minął zawsze otwarte okno, z którego dobiegał głos Radia Sztokholm nadającego lokalne wiadomości drogowe, przeszedł na drugą stronę Pålsgatan i wstąpił do pachnącej świeżym chlebem małej piekarni z dwoma niedużymi stolikami. Piekarz przygotowywał mu na poczekaniu panini, nucąc przy tym motyw z jakiejś włoskiej opery. Wiedział, jaką kanapkę John najbardziej lubi: z pełnoziarnistego pieczywa i bez pomidorów.

Do tego filiżanka herbaty.

Pewnego popołudnia, po dwóch latach znajomości, spakował jej rzeczy z szafy, nieperfumowany żel intymny i pastę do zębów Denivit, *Drugą pięć* i album *Purple Rain*, drobiazgi, które ludzie wloką ze sobą, kiedy się do kogoś sprowadzają. Postawił dużą żółtą torbę IKEA na dywanie w przedpokoju i poprosił ją, żeby się wyniosła. I podczas gdy ona usiłowała zrozumieć, o co chodzi, on siedział właśnie tutaj, kilka domów dalej, i tak długo pił herbatę owocową, dopóki nie był absolutnie pewny, że już jej nie zastanie w swoim mieszkaniu.

Broncks przyniósł sobie szklankę soku pomarańczowego i kruche ciastko leżące jeszcze na szerokiej blasze do pieczenia.

„Myślę o tobie każdego dnia”.

Poprosił ją, żeby się wyprowadziła. Uznał, że jest mu zbyt bliska, a wtedy był silny. Nie spodziewał się, że po dziesięciu latach w pewnej aluminiowej łodzi na Drevviken role się odwrócą – ona będzie silna, a on poczuje pustkę.

„A ja nie myślę o tobie nigdy”.

Wypowiedziała te słowa takim tonem i tak obojętnie, jakby sporządzała protokół z oględzin albo analizowała ewentualne miejsca przybicia do brzegu przestępców.

Wypił herbatę i sok, zjadł kanapkę i nawet ciastko, a mimo to był jeszcze głodny i opuszką palca zaczął zbierać ostatnie okruchy z talerzyka.

Brzeg jeziora Drevviken.

Wracał tam nieustannie. „Szukałeś tam”. Przez moment nie brzmiała oficjalnie. „Musisz tam wrócić i szukać dalej. Podejrzani znali pewnie dobrze to miejsce i oglądali je wiele razy”.

Skinął głową na pożegnanie właścicielowi piekarni z białym fartuchem na brzuchu i ruszył powoli Långholmsgatan, pełnej ścigających się samochodów. Lawirując między kałużami po nocnym deszczu, wszedł na most Västerbron, żeby nasycić się niepowtarzalnym widokiem – miasto było tak piękne, gdy patrzył na nie, stojąc jak zwykle spory krok od balustrady, aby nie ulec naglej pokusie i nie zeskoczyć.

Dżafar. I Goback.

Było ich więcej.

Ktoś musiał czekać na nich z łodzią przy pomoście, gdzie psy straciły trop. Ktoś czekał na brzegu i pokazywał im drogę w ciemności.

W drugiej części mostu, w kierunku Kungsholmen, balustrada była wyższa, a w dole rozciągała się twarda ziemia, podszedł więc bliżej do barierki.

Prawdopodobnie było ich jeszcze więcej.

Ktoś zawiózł ich do Farsta Centrum. Nie zgłoszono kradzieży żadnego samochodu, nie znaleziono też żadnego porzuconego pojazdu, a przecież nikt nie jechałby na wózku inwalidzkim i w przebraniu metrem albo autobusem przez miasto, żeby za chwilę napaść na furgon z pieniędzmi.

Było was co najmniej czterech, może pięciu. Każda szajka ma swojego przywódcę, który kieruje pozostającymi członkami grupy. To zwykłe facet z przeszłością i doświadczeniem, bo przecież nie przeprowadza się takiego napadu jak ten tak po prostu. Każdy jest sumą swoich wcześniejszych doświadczeń. Dżafar i Goback – kim jesteście? Jakie naprawdę nosicie nazwiska w naszych rejestrach? Która z waszych poprzednich akcji jest w nich już odnotowana? I jak to wszystko powiązać z ostatnimi tropami?

Leo z kubkiem kawy w ręce patrzył przez brudną szybę okna w kuchni. Był wczesny rano, odrobina słonecznego światła próbowała dostać się do środka. Miał poczucie, że coś jest nie tak. Deszcz padał od tak dawna, że zdążył się już przyzwycząić do nieprzerwanego monotonnego dudnienia o blachę parapetu. Na podłodze stały kartony pełne różnych rzeczy, pod sufitem wisiały gole żarówki. Uchylił okno. Świeże powietrze nieco złagodziło zapach dochodzący z kanalizacji domu, który mieszkającami czekał na to, aby kolejny właściciel splukał wodę w toalecie, wziął prysznic czy zmył naczynta.

Przetawił dwa kieliszki po szampanie z zamkniętego kartonu do zlewu.

Anneli nie wyglądała na szczęśliwą. Ale nie miał wyboru.

Trzy szkice leżały na samym wierzchu stosu pudeł. Leo wziął jeden z nich do ręki i zaczął go studiować. „Przeñośnik taśmowy”. „Pompa drenazowa”. „Betoniarzka”. Sam zaprojektował i narysował każdy detal, i wiedział, że wszystko razem złoży się na ukrytą grocę Fantoma.

Z kartką w ręce wyszedł z kuchni i minąwszy przedpokój, znalazł się w jedynym pomieszczeniu niezastawionym kartonami, zaraz po lewej od wejścia, w przybudówce wykorzystywanej przez wcześniejszych właścicieli jako biuro.

Kiedy był uczniem, całe przerwy spędzał na rysowaniu szkiców nowych parkomatów, które mijal po drodze do szkoły. Kombinował, jak najprościej przy użyciu młotka i dłuta poluzować dwa nity w tylnej ścianie urządzenia, a potem, kiedy nikt nie będzie widział, przesunąć trochę na bok odkręconą osłonę i wyjąć ze środka monety. Pewnego razu zaś na ostatniej lekcji, udając, że ostrzy ołówek, dyskretnie uchylił okno w klasie. Potem w domu nastawił budzik i w środku nocy przyszedł do szkoły z nieprzytomnym Feliksem, którego zostawił na dole z szeroko otwartym czarnym workiem na śmieci, podczas gdy on wdrapał się przez uchylone okno do klasy i zaczął wrzucać przez nie do worka modele do składania, które nauczycielka zamówiła na lekcje prac ręcznych: samoloty z drugiej wojny światowej firmy Airfix i samochodziki Revell, dokładne kopie aut z filmu *Amerykańskie graffiti*.

Dopiero dużo później zrozumiał, że to wszystko miało swoje znaczenie.

Że robił coś, czego inni się po nim nie spodziewali.

Że niezauważalnie dla świata zewnętrznego przesuwał granice swoich możliwości.

Że tworzył własne reguły postępowania.

Drobniaki z parkomatu czy modele do składania wykradzione z klasy. To był świat, który kontrolował. Postanowił, że nigdy nie będzie robił tyle zamieszania wokół siebie, co tata, i w przeciwieństwie do niego nigdy nie da się złapać. Tak jak on będzie stosował własne reguły, tyle że zachowa je dla siebie, nikt nie będzie ich znał.

John Broncks zawsze wchodził do budynku komendy od strony Bergsgatan, każdego ranka jak rok okrągły wstępując uprzednio do niewielkiej włoskiej piekarni, a potem przechadzając się po Våsterbron. Dwadzieścia minut spokoju i rozmyślań. Wciąż zajmował ten sam pokój, również gdy zamienił mundur na cywilne ubranie i przestał być gliną, który z gotową do strzału bronią musi być pierwszy na miejscu przestępstwa. Został detektywem i teraz pojawia się tam znacznie później, aby krok po kroku odtworzyć to, czego już nie ma – echo groźnych głosów, rozgorączkowanie ciał gotowych do ucieczki – czyli naszkicować mapę zbrodni.

Otworzył teczkę z dokumentami i zaczął przeglądać protokoły z przesłuchania świadków, raporty z dochodzenia i ekspertyzy techników. Brązowa koperta leżała na samym spodzie i zawierała

powiększone zdjęcia odłamków szyby na siedzeniu samochodu i otworów po kulach w drzwiach auta. Broncks obracał je na wszystkie strony, przyglądał się im z bliska i z daleka, aż w końcu odłożył na bok. Następnie otworzył rutynowy rejestr zgłoszeń. Zgodnie z sugestią Sanny chciał cofnąć się do miejsca, w którym po raz ostatni widziano Dżafara i Gobacka. Szukał osób związanych kiedyś w jakiś sposób z opuszczonym kąpieliskiem Sköndalsbadet, osób, które co prawda starały się zatrzeć ślady fizyczne, pozostawiły jednak wyraźny wzór postępowania: użycie przemocy.

Duża mapa leżała w drugiej szufladzie biurka. Rozłożył ją na blacie i czerwonym flamastrem zaznaczył brzeg Drevviken. Potem poprowadził linię dalej, do grubej czarnej kreski oznaczającej Nynäsvägen, a następnie połączył ją z Tyresövägen, od której pociągnął linię do Orhemsvägen i w końcu wrócił do punktu wyjścia, na brzeg jeziora. Zaznaczony na czerwono kwadrat zajmował w rzeczywistości trzy kilometry kwadratowe.

Nazwy wszystkich ulic znajdujących się na tym obszarze wpisał do komputera, aby znaleźć osoby z tego rejonu karane wcześniej za ciężkie przestępstwa z użyciem przemocy.

– Cześć.

Drugi krok: skazani mieszkający gdzie indziej, ale wsadzeni do więzienia za przestępstwa popełnione właśnie tutaj.

– John? Halo.

Spojrzał znad ekranu komputera. Nie słyszał, jak weszła.

– Obudziłam cię?

Sanna stała oparta o framugę drzwi, w ręce trzymała plik papierów.

– Na wszystkich łuskach po nabojach jest liczba 80 700. – Podchodząc do niego bliżej, rozejrzała się po pokoju. Być może był to odruch czysto zawodowy, a może po prostu zwyczajna ludzka ciekawość. – Czyli potwierdziło się to, co wiedzieliśmy wcześniej: amunicja wyprodukowana w Szwecji, na użytek armii.

Podawał mu dokumenty, rozglądając się dalej. Pokój służbowy. Pod ścianami piramidami kartonów, jakby zajmująca go osoba jeszcze do końca się tu nie zadowoliła.

– Od jak dawna tutaj urzędujesz?

– Od samego początku.

– Czyli prawie od dziesięciu lat? A mimo to ciebie tu nie ma. Nie widzę ani jednej twojej osobistej rzeczy, żadnego zdjęcia. Czegokolwiek.

– Zgadza się.

– John... Tu nawet tobą nie pachnie.

– To mi właśnie odpowiada.

Przekartkował papiery, nie podnosząc na nią wzroku.

– To wszystko, Sanna?

Nie spojrział też, kiedy się odwróciła i ruszyła w stronę drzwi.

– To wszystko, John.

Przysłuchiwał się jednak jej krokom, które po chwili rozległy się na korytarzu.

Następnie popatrzył na ekran komputera, aby sprawdzić wyniki swoich dwóch pierwszych przeszukiwań.

W sumie siedemnaście trafień.

Przybudówka miała 11,4 metra kwadratowego powierzchni. Leo zmierzył ją dokładnie.

Wyjrzał przez jedyne okno w tym pomieszczeniu. Właśnie wjechali na podjazd. Siedzieli wszyscy razem z przodu.

Trzymał w ręce pierwszą stronę szkicu. Grota Fantoma i rozwiązanie problemu magazynowania.

Zaparkowali tuż przed wejściem do domu, obok kilku schodków prowadzących na nędną werandę. Przyjechali punktualnie. Ubrani jak trzeba. Felix otworzył klapę i Jasper z Vincentem zdjęli trzydziestokilogramowy młot pneumatyczny, cztery łopaty, cztery szufle, drewnianą skrzynkę z narzędziami, torbę z maseczkami na twarz i z rękawiczkami oraz zgrzewki coca-coli.

Podczas gdy oni znosili to wszystko do przybudówki, Leo wyjaśniał:

– To my przesuńliśmy granice i zmieniliśmy reguły. Ale te reguły obowiązują jedynie, dopóki nie otworzą magazynu z bronią i nie odkryją, że dwieście dwadzieścia jeden automatów zniknęło.

Wyjął ze skrzynki dłuższy łom i podał go Feliksowi, krótszy wziął sam. Najpierw usunęli cienki próg, potem zerwali żółte płytki PCV, a na koniec płyty pilśniowe i preszpan. Jasper i Vincent wynieśli to wszystko na dwór i ułożyli na stosie obok pick-upa.

– A teraz przesuniemy granice jeszcze trochę dalej. – Po kilku minutach po podłodze nie zostało ani śladu. – I ustanowimy nowe reguły, żebyśmy mieli własny magazyn broni, kiedy uda im się już odkryć kradzież.

Przykleknął i za pomocą całówki i stolarskiego ołówka zaznaczył na ziemi prostokąt – długi na dwa metry i dwa centymetry i szeroki na metr siedemdziesiąt.

– Mamy nad nimi przewagę i ją wykorzystamy. Niedługo uderzymy znowu. Za trzydzieście dni napadniemy na bank. Ten przy rondzie.

Teraz przyszła kolej na młot pneumatyczny. Szerokie i ostre wiertło stopniowo rozrywało beton.

Przełożnik taśmowy stał wciąż na pace pick-upa. Jasper i Vincent zdjęli go i wsadzili przez okno do środka, żeby z jego pomocą przetransportować potem na samochód ziemię i gruz.

Pick-up, którego wynajęli na cały dzień, musiał stać na przedłużeniu taśmy przełożnika, aby materiał do wywiezienia od razu trafiał na pakę. Felix cofał kilka razy, zanim udało mu się odpowiednio ustawić pojazd.

Odór wielu setek lat – sprasowane, zbutwiałe resztki roślin. Łopata za łopatą gliny i szlamu, dwa i pół metra głębokości, żeby usunąć to, co kiedyś należało do jeziora. Dziesiątki, setki, tysiące razy wbity w ziemię szpadel. Każdy z nich pracował inaczej. Leo spoglądał na Feliksa, kopali w równym tempie. Jeśli nawet Felix się zmęczył, to nie pokazywał tego po sobie; wykonywał jednostajne, opanowane ruchy, kopał ergonomicznie. Jasper, w drugim rogu prostokąta, miał już umazane gliną włosy i twarz, dyszał, kopał całym sobą i pewnie dlatego niedługo opadnie z sił, zacznie gadać i żartować, żeby wymigać się od roboty. Vincent, najbliżej taśmy, nabierał coraz mniej gliny i zezował ukradkiem to na Leo, to na Feliksa, żeby zobaczyć, jak oni pracują, i spróbować ich naśladować.

Trzydzieści dwa centymetry.

– Kiedy dostaniemy się do banku i rozbijemy kamery, ktoś z personelu na pewno wciśnie guzik alarmowy. I jeśli akurat gdzieś w pobliżu będą gliny w radiowozie, to raczej od razu się domyślą, że nie zawahamy się być bardziej brutalni, niż to konieczne.

Przekopywali się przez wieki. Sto lat temu rósł w tym miejscu rzadki las, dwieście lat temu było niewielkie jezioro, a trzy stulecia wcześniej rozlewało się jezioro pełne różnych stworzeń: kijanek, raków, ryb.

– To tak działa. Gliny nie będą mogły, nie będą chciały, nie będzie im wolno interweniować, jeśli będziemy uzbrojeni lepiej od nich.

Osiemdziesiąt centymetrów.

– Wystarczy tylko pomyśleć, podejść do tego czysto psychologicznie: żaden patrol policji nie odważy się nas tknąć, jeśli damy im do zrozumienia, że jesteśmy lepiej uzbrojeni, zdeterminowani i dobrze zgrani. I że będziemy strzelać.

Nie dało się już balansować pod ścianami i kopać z brzegu wokół wypełnionego gliną basenu. Leo stał razem z Feliksem na dole w brunatnym bloku i podawał pełne wiadra Vincentowi, który na kolanach brał je od niego i wyrzucał ich zawartość na taśmę, a ta transportowała tę breję przez okno dalej, na pakę pick-upa, gdzie Jasper rozdzielał ją równo szpadlem.

– No więc gliny wezwą posiłki, będą czekać, czas będzie płynął... i kiedy zaczną nas szukać, my będziemy już daleko.

Metr i dwanaście centymetrów.

Po jednej capricciosie dla każdego z pizzerii w nowo otwartym niebieskim centrum handlowym po drugiej stronie drogi. Vincent opuścił wiadro z ciepłą wodą, ale niezależnie od tego, jak dokładnie Leo szorował sobie brudne ręce, gdy unosił kawałki pizzy do ust, wciąż zajeżdżały mułem.

Metr i pięćdziesiąt siedem centymetrów.

– A kiedy w końcu się doczekają i zwołają wszystkie siły, zorientują się, że mieliśmy sześćdziesiąt cztery różne drogi ucieczki. I wtedy już całkiem zrzędnie im mina.

Leo postawił wiadro w linii i wyprostował plecy.

Czterdzieści dwa dni wcześniej zrobili podkop pod betonowym magazynem przypominający tunel z czasów wojny. Teraz wykopali coś, co przypominało masowy grób z tej samej wojny.

– Poddadzą się i pomyślą z utęsknieniem o kanapie przed telewizorem. Ostatecznie policjanci też mają rodziny: dzieci, żony, mężów, piątkowe piwko. A my tymczasem zmienimy ubrania i samochód i pojedziemy do domu na n a s z ą sofę i n a s z e piwko.

Dwa metry i dwa centymetry.

Zbliżyli się do końca. Byli wyczerpani. W przypadku Jaspera zmęczenie przejawiało się ciągłym trajkotaniem, bezsensownym paplaniem o prędkości pocisku w AK 47 i o tym, że kiedyś chętnie by sobie sprawił do swojego samochodu tablicę rejestracyjną UZI 600. „Ogarniasz, Felix, sześćset pocisków na minutę?” Felix kopał już jak automat – nie myślał, nie mówił i nic nie czuł, tylko mechanicznie wbijał szpadel w lepką, cuchnącą glinę. Vincent siedział na brzegu wykopanego basenu i machał nogami, ziewał jak dziecko. „Jesteś zmęczony?” „Nie, nie jestem, tylko chcę, żeby odpoczęły mi powieki”. I znowu ziewnął szeroko. A potem przyszedł do nich Anneli ze zwykłym instamatikiem i wszyscy ze śmiechem zaczęli ustawiać się do zdjęcia, pozowali jak piłkarze po zwycięskim meczu przeciw blocku w głębokim dole. Leo pośrodku, trzymając braci za ramiona, Jasper przykucnął przed nimi z palcami obu rąk uniesionymi w znaku zwycięstwa. A przy każdym kolejnym ujęciu śmiali się coraz głośniej – „No, chłopaki, liga latrynowa po wlamie do największego toi toia” – aż w końcu zaschnięta na ich twarzach glina zaczęła się kruszyć i odpadać grudkami.

Dwa metry i sześćdziesiąt dziewięć centymetrów

Leo złożył całówkę i po raz ostatni sprawdził poziomnicą, czy dno i ściany boczne są proste. Do środka powoli sączyła się woda, identycznie jak do dołków, które w dzieciństwie mozolnie wykopywali w nadmorskim piasku, by po kilku chwilach znowu zalało je morze. Zdawał sobie sprawę, że tak będzie i że dlatego trzeba przygotować odpowiednią konstrukcję. Każdy projekt ma swój moment kluczowy, newralgiczny punkt, od którego wszystko zależy. Wysadzona posadzka pod magazynem z bronią. Łódź pochłonięta przez ciemności po napadzie na furgon z pieniędzmi. Kiedy za dwa tygodnie wtargną do banku w Svedmyra³ i zniszczą kamery, wtedy wszystko może się zdarzyć. Nie sposób przewidzieć reakcji kasjerów i klientów. Dopiero potem, już po wszystkim, skorzystają z chaosu, żeby przestać istnieć; z przestępców napadających na bank zmieniają się w budowlanów i wówczas zyskują przewagę. Amatorzy, dyletanci tak nie robią, oni nie planują momentu kluczowego, nie kontrolują newralgicznego punktu i dlatego przegrywają z glinami.

– Leo?

Amatorzy, którzy nie zastanawiają się nad każdym swoim krokiem – zostawiają za sobą płonący ogień, a wciąż zajeżdżają dymem – nigdy nie wykołują policyj.

– Leo?

Moment kluczowy. Punkt newralgiczny.

Jak teraz, kiedy wykopali dół, który powinien być tak szczelny, aby nie odebrały go im z powrotem minione stulecia. Muszą zbudować taki system, żeby to on, a nie czas kontrolował ilość przeciekającej do niego wody.

– Leo? Braciszku, jesteś zmęczony?

To jego najmłodszy brat. Nie słyszał, jak wrócił. Odpowiedział mu z uśmiechem tak samo, jak on zrobił to przed chwilą:

– Nie, nie jestem. Tylko chcę, żeby powieki mi trochę odpoczęły.

Vincent czekał w sieni z pierwszą taczką grubego żwiru, gumowe kółko przetoczyło się z syknięciem przez próg, a potem na skraj wykopu. Podniósł rączki i wysypał ciężki ładunek do dołu. Jasper przywiózł następną taczkę, potem Felix kolejną – w sumie potrzebowali dwanaście takich porcji, żeby pokryć dno cienką warstwą. Później cztery mocne ramiona ustawiły pośrodku betonowy dren o średnicy metra i wysokości sześćdziesięciu centymetrów. Kolejne pięćdziesiąt dwie taczki żwiru, wysypywane warstwą po warstwie dookoła drenu, aż po jego kant. Gdy stare jezioro będzie próbowało wtargnąć z powrotem na dawne miejsce, podnoszenie się poziomu wody będzie widoczne w drenie i odpowiednie urządzenie automatycznie uruchomi pompę drenazową.

Leo zajął do środka. Czysta woda przesączała się przez kamyki żwiru, tworząc błyszczącą tafłę wody, w której odbijała się jego twarz. Wiedział, że od tej chwili problem magazynowania mają

rozwiązany. Po kilku chwilach twarz się rozmyła, zmieniła się najpierw w niewielkie, a potem w coraz większe kręgi, które przestały się tworzyć, gdy dosięgły górnego brzegu drenu.

– Nasza własna studnia szczęścia.

Coś srebrnego leżało na dnie drenu. Leo włożył rękę do środka. To jednokoronówka.

– Zostaw ją tam, Leo. Żeby wszystko się udało. No wiesz...

Felix stał na brzegu basenu. Sięgnął do kieszeni spodni, wyjął drugą monetę i rzucił w kierunku drenu, ale Leo chwycił ją w powietrzu, zanim zdążyła wylądować w wodzie.

– Jeśli tylko odpowiednio kierujesz, nie ma miejsca na żaden przypadek. Wszystko zaplanowałem. Nie potrzebujemy żadnej studni szczęścia.

John Broncks nie miał pewności, czy był tu kiedykolwiek wcześniej. Kościół, stacja kolejki podmiejskiej, kryta pływalnia, biblioteka. Miejsowość, którą mija się szybko, niemal jej nie zauważając.

Opuścił szybę. Zrobiło się cieplej, a deszcz pozostawił mgłę utrudniającą trochę widoczność. W zaznaczonym na czerwono na mapie kwadracie obejmującym trzy kilometry kwadratowe szukał „ciężkich przestępstw z użyciem przemocy” – i znalazł siedemnaście takich przypadków.

Otoczone parkingami niskie budynki Ösmo Centrum, a tuż za nimi piętrowy dom jednorodzinny z cegły. Jego cel.

Siedemnaście pozycji na monitorze komputera, siedemnaście zbrodni, których akta od dawna spoczywały w piwnicznym archiwum komendy Kronoberg. Sprawy dawno zamknięte i rozpatrzone przez sąd. John przyniósł wszystkie segregatory na górę, posortował je, ułożył w stosach na podłodze swojego pokoju.

Dwóch sprawców nie żyło. Trzech nie mieszkało już w Sztokholmie, tylko w Göteborgu, Berlinie i na hiszpańskim wybrzeżu i miało alibi potwierdzone przez tamtejszą policję. Czterech w momencie napadu siedziało w więzieniu i nie korzystało z przepustki. Pięciu dostało wyrok za gwałt, gwałt z użyciem przemocy i seksualne wykorzystywanie dzieci, czyli za czyny w małym stopniu przypominające sporządzony profil deliktu.

Zwolnił i zatrzymał się przy skrzynce pocztowej, która sprawiała wrażenie, jakby pomalował ją sam właściciel. Ktoś siedział w oknie i go obserwował.

Zostały trzy sprawy, które wymagały weryfikacji. Miał w samochodzie ich akta, a przyjechał tutaj, żeby porozmawiać ze sprawcami wcześniejszych przestępstw w okręgu Sköndal, którzy mogliby ewentualnie wchodzić w rachubę.

Pierwszy mieszkał zaledwie dwie przecznice od komisariatu policji, przy Sankt Eriksgatan, i był wcześniej karany za poważne przestępstwa narkotykowe. Miał około czterdziestu lat, a wyglądał jak osiemdziesięciolatek – był przygarbiony, miał zapadnięte policzki, przerzedzone włosy i zamglone oczy. Bronckowski wystarczyło jedno spojrzenie, żeby wykluczyć go jako ewentualnego współsprawcę napadu trwającego co najwyżej dwadzieścia minut. Bardzo szybko opuścił jego zapuszczone mieszkanie z widokiem na Karlbergskanalen i dopiero potem uzmysłowił sobie, że obaj są w jednakowym wieku i że gdyby zamienili się rolami, być może wyglądaliby tak samo. Czasu nie można mierzyć wyłącznie godzinami i sekundami.

Dom z cegły z dużym ogrodem. Sądząc po werandzie i oknach, prawdopodobnie pochodził z lat dwudziestych ubiegłego wieku. I teraz Broncks nie miał już żadnych wątpliwości – w oknie rzeczywiście ktoś siedział.

Z Sankt Eriksgatan pojechał w kierunku Jakobsberg, gdzie mieszkał drugi człowiek z jego listy. Krótka rozmowa i John Broncks wykluczył także tego delikwenta. Czterdziestosiedmiolatek skazany za zabójstwo. Wtedy miał jeszcze całe obie nogi. Ten wyróżniający się dużą nadwagą przedwczesny rencista pozbawiony włosów i mówiący niskim głosem, niemal szeptem, popijał kawę w kuchni swojego szeregowca. W wyniku aktu domniemanej zemsty stracił obie nogi od kolan w dół i nosił teraz protezy. Dochodzenie w tej sprawie zawieszono, gdy wszyscy świadkowie wycofali swoje zeznania.

Został jeszcze jeden. Ten za firanką wiszącą w oknie już zdecydowanie za długo.

Broncks wyjął teczkę, która przeleżała w policyjnym archiwum ładnych kilka lat. Kartki maszynopisu z informacjami na temat pięćdziesięcioletniego imigranta z Jugosławii z lat sześćdziesiątych. W więzieniu siedział nie raz, ostatnio spędził osiemnaście miesięcy w Norrtälje z powodu ciężkiego pobicia – w teczce znajdowały się fotografie kobiety stojącej jak na zdjęciu szkolnym na niebieskim tle. Miała jasne włosy zebrane w koński ogon, aby odsłonić obrażenia: jedno oko było prawie niewidoczne z powodu opuchlizny, a kość czołowa, na której głęboka rana cięta została oczyszczona z krwi, uległa pęknięciu. Reszta twarzy wyglądała chyba jeszcze gorzej: skóra zamieniła się w jeden wielki krwaki, pęknięte naczynia krwionośne zabarwiły się na żółto i niebiesko. Ostatnie zdjęcia pokazywały prawą stronę tułowia, na której wykwił gigantyczny siniec sięgający od pachy po biodro. Sprawca działał metodycznie.

Broncks odwrócił plik fotografii, nie chciał na nie patrzeć. Ale było już za późno. Nagle, jak to często mu się zdarzało, stanęła mu przed oczami inna matka i zadał sobie pytanie, czy ona też – co prawda z ciemnym końskim ogonem i z krwiakami oraz sińcami w innych miejscach – stanęłaby przed czułym obiektywem fotografa kryminalnego, gdyby tylko zdecydowała się to zgłosić.

Znowu padało, na szczęście nie mocno, ale dom przed nim przesłoniła firana wilgoci. Miał ochotę włączyć wycieraczkę, doszedł jednak do wniosku, że skoro on kiepsko widzi, to człowiek w oknie na parterze tym bardziej nie jest w stanie dojrzeć, co on robi w samochodzie.

Kolejne sprawy, kolejne wyroki. W każdej uszkodzenie ciała albo ciężkie uszkodzenie ciała. Odsiadki w zakładach w Aspturnie, Österåker, Gävle. Pobicie brygadzysty na budowie w Huddinge, poważne pobicie kontrolera biletów na promie kursującym między Slussen a Djurgården, poważne pobicie dwóch mężczyzn na dansingu przy Regeringsgatan, a potem zaatakowanie dwóch policjantów, którzy zostali wezwani, by go zatrzymać. Tak więc, mimo zdjęć potwornie zmaltretowanego ciała kobiety, facet nie ograniczał się tylko do przemocy domowej – bił wszystkich jak popadnie.

W teście znajdował się jeszcze jeden dokument. Komputer zakwalifikował odnotowaną w nim sprawę jako interesującą z punktu widzenia kryteriów wyszukiwania.

Sąd rejonowy Handen, orzeczenie w sprawie 301-1

OSKARŻONY Duvnjac, Ivan

ZARZUT umyślne podpalenie z zagrożeniem życia osób trzecich

KWALIFIKACJA ustęp 8 § 6 k.k.

ORZECZENIE kara pozbawienia wolności na 4 (cztery) lata

John Broncks przejrzał gęsto zapisane kartki przedstawiające zupełnie inny rodzaj przestępstwa. Umyślne podpalenie z zagrożeniem życia osób trzecich. W niewielkim domu jednorodzinny w Sköndal, zaledwie kilkaset metrów od kąpieliska i pomostu, na którym urywał się ślad. Kara odbyta w więzieniu w Österåker.

Przestępca stosujący przemoc jako metodę działania, mający na dodatek powiązania z rejonem zaznaczonym na mapie, mógł być Dżafarem albo Gobackiem.

Broncks wysiadł z samochodu, otworzył furtkę.

Mężczyzna wciąż nie zniknął zza firanki.

Po położeniu uzbrojenia wylali posadzkę wokół drewna. Ściany od podłogi po sufit obłożyli bloczkami keramzytobetonowymi i otynkowali cementem. Zainstalowali pompę drenażową na dnie drewna, której automatyczny miernik miał natychmiast sygnalizować, gdyby poziom wody podniósł się zbyt wysoko.

Pierwszy etap projektu, czyli wykonanie podłogi i ścian groty Fantoma, dobiegł końca.

Leo złożył szkic i schował go do skrzynki z narzędziami, po czym wyjął następną. „Zawiasy”. „Czarny aksamit”. „Skarbiec Hadak”. Jego autorski projekt ukrytego wejścia przez całkiem zwykły sejf. Opuścił pomieszczenie, pośrodku którego znajdował się teraz dwumetrowy dół, i ruszył przez podwórze do garażu.

Mniej więcej w połowie drogi usłyszał przeraźliwy wizg pily mechanicznej, której zęby stopniowo przegryzały się przez obudowę sejfu. A kiedy otworzył drzwi, zobaczył fajerwerki zimnych ogniw wznoszących się nad stalową powierzchnią. Felix, z ochronną maską na twarzy, pochylał się nad masywną kasą pancerną leżącą na długim blacie roboczym.

– Felix, ustaliłem już datę, dokładną godzinę i miejsce.

Ostatni deszcz iskier, po czym tylna ściana sejfu została całkowicie oddzielona.

– Bank w Svedmyra, jedenasty grudnia. To będzie środa.

Całkiem zwyczajny sejf. Wyprodukowany w fabryce Hansa Dahlkvista w Mora. Leo stanął przed nim, przekręcił zamek szyfrowy i otworzył drzwi. I po drugiej stronie zobaczył Feliksa, bo dzięki usuniętej tylnej ścianie mógł spojrzeć na wylot.

– A potem dwa jednocześnie, drugiego stycznia, w czwartek.

Leo rozłożył na drugiej części blatu roboczego kawałek aksamitu. Odmierzył tyle, ile chciał, i białą kredą zaznaczył linie na odwrocie. Świeżo naostrzonymi nożyczkami pociął materiał na kawałki.

– Znalazłem dwa banki oddzielone tylko ścianą. Niewielka miejscowość z rynkiem pośrodku; samochodem można podjechać dosłownie pod same drzwi.

– A droga ucieczki?

– Do wyboru. Albo autostrada, albo mnóstwo dróg lokalnych, z których każda prowadzi prosto tutaj.

Klej przy ujęciu z tuby zasechl całkowicie, dlatego Leo najpierw usunął twardą skorupę, a dopiero potem zaczął za pomocą niewielkiego wałka rozprowadzać lepka mleczną masę po wewnętrznych ścianach sejfu.

– Gdzie?

– Ösmo.

– Ösmo?

– Tak.

– Wobec tego wybrałbym jedną z dróg lokalnych. Przez Väggarö i Sunnerby albo przez Sorundę do Tumbby.

Razem zabrali się do przyklejania we wnętrzu sejfu prostokątnych kawałków aksamitu. Na koniec wyglądali je dłońmi, aby nigdzie nie odstawały ani się nie marszczyły.

– Ösmo?

– Mm?

– Ösmo, powiadasz? A co ty, Leo... do jasnej cholery, tam robiłeś?

Siedzieli po przeciwnych stronach sejfu pozbawionego pleców. W tej sytuacji trudno było uciec przed spojrzaniem drugiego.

– Słyszysz?

– Tak się rozglądałem.

– Byłeś tam.

Felix spojrzął głęboko w oczy, które dobrze znał.

– Leo?

Ale brat próbował robić uniki.

– Byłeś... u niego? U starego?

– Tak.

– Dlaczego?

– Kasa. Byłem mu winny kasę. Przecież chyba wiesz? Oddałem mu ją. Żeby mieć to z głowy raz na zawsze.

– Nie jesteśmy mu winni złamanego grosza, Leo! Kiedy to wreszcie do ciebie dotrze?! Poza tym mogłeś go spłacić kiedy indziej, a nie akurat teraz!

Ostatni kawałek aksamitu. Leo przykleił go do odpiłowanych pleców sejfu – wejścia do grotty Fantoma.

– No, powiedz, dlaczego akurat teraz zdecydowałeś się do niego wybrać? Słyszysz, Leo, dlaczego, do cholery?! Akurat kiedy napadliśmy na furgon i planujemy obrobić trzy banki!

– To przypadek.

– Żaden pieprzony przypadek! Chciałeś mu powiedzieć o naszych planach!

– Nie.

– Zażę się, że tak!

– Po co miałbym mu o nich opowiadać?

– Po co? Pytasz po co? Przecież cię znam, Leo! I dobrze wiem, że on ciągle siedzi ci w głowie.

– Rany boskie, nie podniecaj się tak, Felix! Zapomnij, okej?

– Bardzo proszę. Jasne. Mam wszystko w dupie! Sram na Svedmyra, sram na Ösmo. Wycofuję się.

I to z miejsca.

Felix był już w połowie drogi do wyjścia z garażu, gdy Leo chwycił go za ramię.

– Człowieku, uspokój się, do cholery.

– Leo, obiecaj mi!

Popatrzyli długo na siebie.

– Co mam ci obiecać?

– Obiecaj, że dopóki to ja będę prowadził samochód w naszych akcjach, już nigdy się z nim nie spotkasz!

– No...

– Obiecaj! Słyszysz?

Leo położył ręce na ramionach brata.

– Okej. Obiecuję, że już nigdy nie skontaktuję się z ojcem. – Felix uśmiechnął się nieznacznie, gdy brat lekko nim potrząsnął. – No, w porządku? – Młodszy brat wciąż milczał, nie spodziewał się czegoś takiego. – No, Felix? Zadowolony? Nigdy więcej, obiecuję.

Broncks przycisnął nieduży zabawny przycisk dzwonka w kształcie kwiatka.

Jeśli mężczyzna zza firanki zdecyduje się podnieść i otworzyć mu drzwi, John zamierzał zachować się tak samo jak u beznogiego w Jakobsbergu i u ćpuna przy Sankt Eriksgatan, czyli zadać pytania zupełnie niemające związku z właściwą sprawą i mimo to uzyskać informacje, na których mu zależy: Kim jest pan dzisiaj? Do czego byłby pan obecnie zdolny? Gdzie się pan znajdował 19 października między 17:54 a 18:14?

Ciężkie kroki. Cień za chropowatą szybą w drzwiach. Klucz przekręca się w zamku.

– Dzień dobry, ja...

– Steve'a nie ma w domu.

Mężczyzna okazał się o wiele potężniejszy, niż Broncks sobie wyobrażał. Nie wyższy czy silniejszy, tylko po prostu masywniejszy, jak to bywa z niektórymi ludźmi, gdy stanie się z nimi twarzą w twarz.

– Jest właścicielem tej budy. Ja tylko wynajmuję tu mieszkanie.

Miał zaczesane do tyłu ciemne tłuste włosy i bujne bokobrody. Długowłosey Elvis Presley.

– Niech pan przyjdzie później.

Surowa dłoń zacisnęła się na mosiężnej klamce, jakby dla zaznaczenia, że rozmowa jest skończona. Dwie wyraźnie zapadnięte nierówne kostki – u nasady palców wskazującego i środkowego – świadczyły o tym, że ten człowiek często się bił.

– Ja nie szukam Steve'a, tylko Ivana Duvnjaca. – Broncks pokazał swoją legitymację służbową. Mężczyzna spojrzal na nią przelotnie. – John Broncks, policja kryminalna.

Popatrzył na niego, a potem odwrócił się najpierw w stronę domu po prawej, następnie w kierunku domu po lewej i otaczających je dużych ogrodów.

– W ostatnich tygodniach mieliśmy sporo zgłoszeń o włamaniach w tej okolicy. Zauważył pan może coś nietypowego?

– To gliny znowu chodzą od drzwi do drzwi?

Identyczny ton jak u ćpuna i beznogiego. Ci ludzie byli oswojeni z tym, że policja przychodziła do ich domów, że musieli bronić się przed sądem i że nieraz trafiali za kratki. Zawsze nieufni i zawsze przygotowani na zarzuty.

– Można by tak powiedzieć.

– A czego pan chce?

Taka reakcja nie była dla Broncksa zaskoczeniem. Nie spodziewał się uprzejmej konwersacji o włamaniach do idyllicznych willi.

– Pokazałem panu legitymację. Teraz chętnie zobaczyłbym pański dowód tożsamości.

– Nie mam żadnego cholernego dowodu tożsamości.

– Nie ma pan?

– Nie.

– Nawet paszportu? Nic w ogóle?

– A niby po co? Czy mam obowiązek pokazywać dowód pierwszemu lepszemu glinie, który mnie nachodzi?

Stali naprzeciw siebie na ciasnej werandzie. Mniej więcej w tym punkcie rozmowy ćpun i beznogi zaczęli odpowiadać na pytania i wyciągnęli jakiś dokument. Chociaż oni też czuli się niesłusznie posądzeni, woleli nie być na liście podejrzanych.

– Może, żeby być członkiem społeczeństwa.

– Posłuchaj pan. Co prawda wynajmuję tu parter, ale nie zamierzam być żadnym członkiem społeczeństwa.

Ta jego nieuzasadniona przekora potwierdzała tylko, że facet mógłby tak stać i handryczyć się jeszcze Bóg wie jak długo, bo każda taka sytuacja była dla niego wyzwaniem.

– A tamten samochód? – Broncks wskazał głową na starego przerdzewiałego saaba na podjeździe, na którego tylnym siedzeniu leżały składana drabina i walek malarski. – To pański? Jeśli tak, to musi pan mieć prawo jazdy.

Mężczyzna przejechał dłonią po czuprynie Elvisa.

– Poważnie pan myśli, że jestem jakimś włamywaczem? Tak? Przecież na pewno już mnie pan prześwietlił w swoich cholernych papierach w tym swoim cholernym społeczeństwie.

– Chciałbym wiedzieć, gdzie przebywał pan dziewiętnastego października między godziną siedemnastą trzydzieści a osiemnastą trzydzieści.

Krótki śmiech.

– Słyszał pan o włamywaczu, który działałby między piątą a siódmą po południu?

Potężny mężczyzna, zajmujący swoją postacią sporo miejsca, zrobił pół kroku do przodu.

– Święty nie byłem, nie powiem. Bywało, że traciłem nad sobą kontrolę. Ale pospolity włamywacz... Szlag by to trafił, naprawdę pan myśli, że zakradam się do domów innych ludzi i podprowadzam im rzeczy? Ja się do nikogo nie zakradam. Ja biję. Może pan to sprawdzić w swoich zakichanych papierach.

John Broncks nie ruszał się z miejsca. Uparł się, że musi zobaczyć jakiś jego dokument.

Pobiles swoją żonę. Podпалиł dom jej rodziców. Uciekałeś się do przemocy, żeby mieć kontrolę nad innymi. Nie potrzebuję żadnych zakichanych papierów, wszystko już wiem.

– No dobra. Niech będzie. Ale pod warunkiem, że wróci pan od razu do swojego samochodu.

Mężczyzna zostawił otwarte drzwi, po czym zniknął w przedpokoju, a potem wszedł do pomieszczenia wyglądającego na kuchnię. Na stole leżał stos kuponów totka, obok stały dwie butelki wina. Na oparciu jednego z krzesel wisiała szara marynarka. Z jej wewnętrznej kieszeni mężczyzna wyściągając sftygowany portfel.

– Dziękuję.

Broncks wziął do ręki plastikowy kartonik, który był schowany w jednej z przegródek razem z paragonami i dwoma banknotami dwudziestokoronowymi. Prawo jazdy. Wystawione na Ivana Zorana Duvnjaca siedem lat temu i ważne jeszcze trzy lata.

Oddał je właścicielowi.

– Mógł mi pan pokazać je od razu.

– A niby dlaczego? Przychodzi pan tutaj, do mojego domu, pełen podejrzeń, choć dobrze pan wie, że od dziesięciu lat nic nie zrobiłem i że nigdy nie weszylem po obcych domach jak jakiś śmierdzący szczur.

– Czy jest ktoś, kto mógłby to potwierdzić?

Stali blisko siebie, ale Ivan Duvnjac zrobił jeszcze krok do przodu, odchylił głowę, wysunął brodę i wbił wzrok w policjanta. Już dawno nie zdarzyło się Johnowi Bronckowskiemu, aby na służbie wdawał się w takie gierki.

– Przychodzi pan tutaj i próbuje wyprowadzić mnie z równowagi. Jeszcze trochę i może się panu udać.

Broncks nie zamierzał ustępować.

– Pan mi grozi?

– Może pan sobie myśleć, co pan chce.

– Czy ktoś może potwierdzić, co pan robił albo nie robił po południu i wieczorem dziewiętnastego października?

– Tak, Steve.

– Steve?

– Właściciel tej budy. Mieszka na piętrze. On potwierdzi. Niech pan do niego zadzwoni. Pracuje na promie pływającym na Gotlandię.

Schodząc po kilku stopniach i idąc chodniczkiem do furtki i samochodu, nie musiał się oglądać. Czuł na swoich plecach spojrzenie zza firanki.

Miał siedemnaście osób na liście. Skazanych i zwolnionych, kryminalistów i byłych kryminalistów. Sprawdził ich jednego za drugim i wyeliminował jednego za drugim. Ten był ostatni. I jemu uwierzył. Ivan Duvnjac bił, ale się nie włamywał.

Dżafara i Gobacka musiał szukać gdzie indziej.

Pierwszy szkielet dotyczył wykopania głębokiego dołu pod podłogą pokoju, drugi – usunięcia tylnej ściany sejfu i zespawania jej z powrotem. Leo trzymał teraz w ręce trzeci projekt, w połowie już zrealizowany, przedstawiający dach i wejście do grotty Fantoma.

„Drzwiczki rewizyjne, metalowe kółka”.

Nad wykopaną sekretną przestrzenią zamontowali uzbrojenie – stalowy szkielet, który zostanie na koniec zalany świeżym betonem i stanie się widoczną dla wszystkich podłogą w pomieszczeniu górnym i niewidocznym sufitem pomieszczenia dolnego. Następnie przydźwigali z garażu sejf i umieścili go dokładnie pośrodku tej sieci ze stalowych drutów, zamkiem szyfrowym do góry, a plecami z przyspawanymi zawiasami do dołu. Dopóki nie umocowali na metalowym szkielecie drewnianego szalunku i nie wypełnili go cementem, sejf wyglądał tak, jakby swobodnie wisiał – czterysta kilogramów kasy pancernej zawieszony w powietrzu.

– Chcę usłyszeć to jeszcze raz.

Leo złożył szkic, wyciągnął się pod ścianą na skraju basenu i chwycił długą deskę, której drugi koniec trzymał leżący po przeciwnej stronie Felix.

– Ale co?

Płynna, lekko ziarnista masa pokryła już niemal w całości szkielet uzbrojenia i teraz oni dwaj, przesuując powoli deskę od brzegu do brzegu, wyrównywali jej powierzchnię.

– Że przyrzekasz.

– Ale co?

Przez te wszystkie lata często zdarzało mu się, że słyszał tamto dobijanie się do drzwi, które powinny były pozostać zamknięte. To on popełnił błąd, to on je otworzył i wpuścił ojca, który rzucił się od razu do kuchni, żeby bić i kopać na oślep.

– Że już nigdy go nie odwiedzisz.

– Rany boskie, daj wreszcie spokój. Zrobił, co zrobił, ale zapłacili za to, więc jeżdż już z niego!

– Jeszcze go bronisz? Przysięgnij mi, do cholery!

– Okej, przysięgam.

Betonowa powierzchnia była wyrównana. Zalali w posadzce leżący na plecach sejf – po długich wysiłkach kryjówka była w końcu gotowa. Leo wstał, rozprostował się i wyszedł na dwór.

– Czy ty nic nie rozumiesz? – Felix dogonił go i zatrzymał się tuż przed nim. – Leo, do jasnej cholery!

– Okej, mieliśmy pochrzanionego ojca. No i?

Leo wziął do ręki koniec leżącego na ziemi gumowego węża i napełnił do połowy wodą stojącą obok małą betoniarkę, która obracała się jak bęben pralki.

– Naprawdę nie rozumiesz?

– Felix, jesteśmy dorośli, pora o tym zapomnieć.

– Nie przyszło ci nigdy do głowy, że... to by się nie stało, gdybym wtedy nie otworzył?

– Czego?

– Drzwi! To ja je otworzyłem! Kiedy nasz przekłety ojciec próbował zakatować mamę. To ja go wpuściłem.

– Bzdura.

– Otworzyłem, a potem...

– Nieprawda, to ja mu otworzyłem.

– Leo, mówię poważnie!

– Ja też. Dlaczego, u diabła, akurat ty miałbyś mu otworzyć?

– Może nie wiedziałem, że to... on.

– Ty nigdy byś mu nie otworzył. Przecież zawsze się bałeś, że coś może się stać. Pokręciło ci się. To ja go wpuściłem.

– Ty?

– Mówię ci, że źle pamiętasz. Przestań już zwracać sobie tym głowę.

– Ty wskoczyłeś mu na plecy jak małpa. Potem wcisnąłeś się między nich, żeby ich rozdzielić, ale to ja otworzyłem drzwi i go wpuściłem!

Otaczał ich monotonna odgłos obracającej się betoniarki, woda przelewała się i czyściła metalowe ściany.

– I dokładnie w tamtym momencie postanowiłem, że nigdy więcej! Słyszysz? Wszystko, czego ten staruch się dotknie, zawsze od razu się pieprzy. Kiedy wreszcie to do ciebie dotrze?

Betoniarka była już czysta. Leo wyłączył ją i wylał brunatną wodę, ostatni raz oplukał urządzenie.

– Jeśli znowu dopuścimy go do naszego życia, to wiesz tak samo jak ja, że on wszystko zniszczy, wszystko, co do tej pory zbudowaliśmy.

O dziwo, schody skrzywiały tylko wtedy, kiedy szedł po nich do góry, nigdy w dół. Szesnaście drewnianych wąskich stopni. Kuchnia Steve'a leżała bezpośrednio nad jego. Była czystsza, wkoło stołu stało więcej krzeseł, a na parapecie doniczki z kwiatami. Na taborecie w kącie leżały gazety sprzed kilku dni. Ivan sięgnął po nie i otworzył szafkę pod zlewem, gdzie też zwykle piętrzył się stos przeznaczonych do wyrzucenia dzienników.

Ubrany w dżinsy i czarną skórzaną kurtkę glina stanął dziś przed jego drzwiami i mendził coś o drobnych złodziejaskach obrabiających jak szczury okoliczne domy.

Ivan wrócił na dół. Odsunął na bok kupony totka i butelki wina, a potem zaczął przeglądać po kolei wydania „Dagens Nyheter”, „Svenska Dagbladet” i lokalnej „Nynäshamns Posten”. Nigdzie nie znalazł choćby najmniejszej wzmianki o fali włamań w pobliżu.

Normalnie dałby w mordę temu parszywemu piździelcowi, ale obiecał sobie, że już nigdy na nikogo nie podniesie ręki. Bo znalazł inny sposób zastraszenia, za który nie idzie się za kratki. Wystarczyło podnieść głos i uporczywie patrzeć komuś w oczy – wtedy ludzie w tym pieprzonym kraju od razu robią się malutcy. Skutek był taki sam, jakby się komuś przyłożyło w zęby. Każdy spuszczał wzrok i wyمیękał.

Nie sprzedał nikomu fangi od dziesięciu lat.

A ten glina potraktował go tak, jakby czas zatrzymał się w miejscu i człowiek nie mógł się zmienić.

Ubrał się i w deszczu ruszył w dół, do centrum, wytarte podeszwy jego butów z cholewkami ślizgały się na gliniastej i mokrej drodze. Mijał sklepy, banki i knajpy. Dzwonek nad drzwiami do kiosku Jönssona zadzwonił przeraźliwie przy otwarciu drzwi. Jak można wytrzymać ten świdrujący dźwięk przez cały dzień, gdy tylko ktoś wchodzi po byle co?

Ivan się rozejrzył. Półki wypełnione papierosami, słodyczami, gazetami, a obok miejsce z kuponami totka i długopisem. Nikogo za ladą. Z głębi doszedł odgłos spuszczonej w toalecie wody. Latem pomógł właścicielowi wymienić przeciekający sedes na nowy w zamian za spory zapas tytoniu.

– Dzień dobry, Ivan.

Jönsson odsłonił kotarę i przejechał dłońmi przez swoje przerzedzone włosy, jakby próbował je o nie wytrzeć.

– Wieczne gazety. Obie.

– Dzisiaj nie ma żadnego dodatku z szaradami. Jest tylko we wtorki.

– „Expressen” i „Aftonbladet”.

Z kieszeni koszułi Ivan wyjął złożoną na pół pogniecioną kopertę, przerzucił kilka pięćsetkoronowych banknotów i jeden położył na ladzie.

– Nie mam drobnych.

Właściciel kiosku wyczyścił sobie okulary, które rzadko nosił, wziął banknot i uniósł go pod światło.

– No, widzę, że komuś dobrze się powodzi.

– Akurat jest sporo roboty.

– To można tyle zarobić na samym malowaniu i stolarce? Chyba wybrałem zły fach. Ty chodzisz sobie z wypchaną kopertą, a ja nie wiem, czy nawet będę miał ci wydać. Kogo stać na to, żeby tyle płacić?

– Też się temu dziwię.

Jönsson położył resztę na wysłużonym blacie – stukoronówki, pięćdziesiątki i dwudziestki. Ivan przeliczył banknoty, a następnie stanął przy stoisku z kuponami i zaczął przeglądać obie gazety.

– Ani słowa.

– O czym?

– O włamaniach.

– O włamaniach?

– Podobno w naszej okolicy.

– Nic nie słyszałem. A przecież do mnie każdy zagłada i zawsze pogada. Musiałbym o tym wiedzieć.

Ivan zwinął gazety i włożył po jednej do kieszeni kurtki.

Siedział w oknie, kiedy tamten facet otworzył furtkę i zaczął iść w stronę jego drzwi, jakby dobrze się orientował, do kogo zmierza. Ten cholerny glina nie zapukał wcześniej do sąsiadów i był sam. Gdyby rzeczywiście odpytywał wszystkich w okolicy, to zostawiłby samochód w centrum i ruszył na piechotę, a nie zaparkowałby akurat przed jego domem. Poza tym normalnie psy zjawiają się zawsze

w duecie, jak hieny, kiedy chcą pogadać z byłym kryminalistą, który w swoim życiu przetrzepał skórę już niejednemu policjantowi. Ten piekielnik musiał mieć inny powód, żeby złożyć mu wizytę.

– Już przeczytałeś?

– Nie ma nic ciekawego.

– To je odlóż. Nie musisz płacić. Weź sobie zamiast nich paczkę tytoniu.

Ivan wyjął obie gazety z kieszeni, rozprostował je, na ile się jeszcze dało, po czym wziął z najniższej półki opakowanie tytoniu i skierował się do wyjścia.

– Był tutaj twój syn. – Ivan przystanął. – Zmężniał. Podobny do ciebie, tyle że ma jasne włosy. Znowu pracujecie razem?

Mężczyzna za ladą czekał na odpowiedź. Ale jej nie usłyszy. Bo najstarszy syn miał teraz własną firmę, prowadził ją razem ze swoimi braćmi.

W kącikach ust Ivana błąkał się uśmiech.

Przynajmniej jednego nauczył swoich synów: że mają zawsze trzymać się razem przeciwko wszystkiemu, nawet przeciwko własnemu ojcu.

Kontener stał przez ponad miesiąc po drugiej stronie drogi. Teraz opuszczał okolice Niebieskiego Domu. Dwa wielkie stalowe ramiona przypominające kły słonia uniosły go i trzymały za traktorem, który wąską ulicą obok domu sąsiadów przewiózł go na dziedziniec obok wielkiego garażu. Dwutonowa skrzynia bez okien.

Czekali, aż beton zastygnie i sejf będzie tkwił w podłodze jak wmurowany. Pociągnęli dwa kable elektryczne – jeden do silniczka olejowego, drugi do zwykłego kontaktu w ścianie.

Czarny kontener stał w ciemności wieczoru. Chodziło o to, żeby mogli pracować, czyli przenieść jego zawartość do małego domu i niżej, do ukrytej groty Fantoma, tak by nikt ich nie zobaczył.

Jasper brał po dwa automaty naraz i podawał kolbami do przodu przez otwarte okno. Felix stał w domu, brał je od niego i przekazywał Vincentowi, który pochyłony nad podłogą i zabetonowaną w niej kasą pancerną z otwartymi drzwiami, wkładał do środka AK 4 za AK 4. Można było odnieść wrażenie, że metalowy pojemnik może połykać i wsysać je bez końca.

Leo powinien mieć sztywne i obolałe ręce i ramiona, lecz kiedy wyszedł po drabince z sejfu jak z brzucha jakiegoś podziemnego potwora, śmiał się głośno. Było tak pięknie – i tam, na dole, i tutaj, na górze. Biało-czarna podłoga, ściany pomalowane w ciepłym jasnoszarym kolorze, a listwy pod sufitem i przy podłodze błyszczwały jeszcze od farby olejnej, która powinna wyschnąć do następnego ranka.

Ruszył z parteru na piętro.

Anneli leżała na brzuchu w poprzek ich podwójnego łóżka i spała w ubraniu. Ostatnio dużo spała. Na każdego napięcie działa inaczej.

Pogłaskał ją lekko po policzku, żeby się ocknęła.

– Która godzina?

Broniąc się przed światłem, zacisnęła powieki.

– Wpół do siódmej.

– Tak wcześnie? To chcę jeszcze pospać.

– Wpół do siódmej wieczorem.

Wziął ją za rękę i delikatnie pociągnął.

– Chodź.

Spojrzała na niego, lecz nie ruszyła się z miejsca.

– No chodź, mamy spotkanie z Fantomem.

Anneli podniosła się, chociaż ręce i nogi niemal odmawiały jej posłuszeństwa. Niewiele rozumiejąc, zeszła za nim po schodach do pomieszczenia naprzeciwko kuchni, w którym Leo i reszta spędzali ostatnio tyle czasu.

– Wyobraź sobie, że ktoś musi uciekać.

– Uciekać? Kto?

– Nieważne. Po prostu wyobraź sobie, że ktoś uciekł i ukrył się tutaj, w tym domu, i pojawiają się gliny.

Zwykły pokój. Podłoga, ściany, sufit. Czekali wszyscy czterej, Leo, Felix, Vincent i Jasper, przyglądali się jej, wyraźnie rozbawieni.

– Nic nie rozumiem. O co wam chodzi?

Stali na grubo tkanym chodniku zakrywającym sporą część podłogi wyłożonej białymi i czarnymi kwadratowymi płytkami PCV o boku czterdziestu centymetrów. Leo puścił jej rękę i przykucnął. Spojrzał na nią, wciąż ucieszony, po czym zwinął chodnik i unosił cztery plastikowe kwadraty, dwa białe i dwa czarne, odsłaniając dwa metalowe kółka.

– No więc pojawiają się tutaj gliny i szukają. I jakimś paskudnym trafem odkrywają kilka lekko poluzowanych płytek w podłodze. I widzą te dwa kółka, chwytają je i pociągają. – Leo zrobił to samo i podniósł szarą poliuretanową płytę. – A potem widzą to. Leżący na plecach sejf. Zamurowany w podłodze. I mało nie narobią w portki z radości. Bo odkryli naszą kryjówkę! Zdemaskowali nas! – Dotknął ostrożnie zamka. – Założmy, że później udaje im się jakimś psim śwędem wykombinować, jaki jest szyfr zamka.

Leo zaczął obracać tarczą zamka szyfrowego, raz w lewo, raz w prawo, i w końcu otworzył stalowe drzwi. Zgodnie z oczekiwaniem ukazało się wnętrze pancерnej kasy. A w nim niewielka plastikowa torebka wypełniona pięćsetkami. Aparat fotograficzny. Kilka pojedynczych nabojęw. Plik papierów wyglądających na umowy i akty notarialne. Leo wyjął to wszystko i położył na podłodze obok otwartych drzwi.

– Tak więc, choć się tego nie spodziewali, znajdują sprytnie ukryty w podłodze sejf, zamontowany drzwiami do góry. I stoją tak jak my teraz, trzęsą się rozgorączkowany i pełni nadziei nie wiadomo na co, po czym otwierają i widzą w starannie wyłożonym aksamitem wnętrzu właśnie to. I nic poza tym. Koniec historii. Idą od razu dalej, zadowoleni, że natrafili na zamaskowaną skrytkę z marną kupką hajsu, dokumentami, które wydają się im obiecujące, i kilkoma nabojami, które będą potem badać.

Leo podszedł do jedyne go okna w pokoju. Ponad nim znajdowała się puszk a rozdzielcza. Po odkręceniu wieczka ukazały się dwa przewody elektryczne – czerwony i niebieski. Leo spojrział na Anneli i uśmiechnął się do niej, po czym zbliżył do siebie oba przewody i zamknął obwód.

– Podejdz do sejfu i spojrz w dół.

Ciche buczenie. A po chwili... tylna ściana kasy pancерnej powoli zniknęła.

– Gliny poszły sobie i nic nie znalazły, bo wszystko ukryte jest pod sejfem.

Pocałował ją przelotnie w policzek, po czym przykucnął nad otworem w podłodze i opuścił nogi na aluminiowe stopnie drabinki. Zszedł na sam dół i zapalił światło. Oczom wszystkich ukazało się pomieszczenie, którego jeszcze do niedawna nie było. Pod ścianami znajdowały się dwa drewniane regały. Na górnych półkach ustawione były pistolety maszynowe, a na dolnych – automaty AK 4.

– Fantom i jego ukryta grot a.

Pięć karabinów maszynowych leżało bezpośrednio na podłodze, pod drabinką.

– Pamiętasz? Kryjówka Fantoma, w której zostawiał wiadomości dla patroli chodzących po dżungli.

Ruszyła po wąskich szczeblach drabinki, zachwiała się, odzyskała równowagę i w końcu stanęła bosymi stopami na zimnej posadzce.

– Pamiętasz, Fantom miał tajny tunel prowadzący do kryjówki. Mógł się do niej dostać od dołu i zostawić wiadomości dla patrolu. Za każdym razem kiedy on albo szef policji tam przychodził, czekała na nich nowa informacja. W ten sposób komunikowali się ze sobą.

Pomieszczenie pełne broni automatycznej, niemal równie duże jak magazyn, z którego ją skradziono. Anneli spojrziała na drabinkę, po której przed chwilą zesła.

– Dotknij tutaj. – Leo ujął jej dłoń i przytknął ją do betonowej ściany. – Sucha, prawda? Zero wilgoci, ani kropli wody.

Przyklęknął, po czym otworzył klapę w posadzce. Poniżej ukazał się duży betonowy dren z zamontowaną w środku pompą.

– Ten dom stoi na dnie dawnego jeziora i nie powinien mieć piwnicy. Ale dzięki temu urządzeniu możemy kontrolować poziom wody. Jeśli tylko dojdzie do tej najwyższej kreski, automatycznie uruchomi się pompa.

Leo i Anneli stali objęci obok siebie w podziemnej kryjówce o zimnej podłodze, z otworem w suficie. Wokół nich ustawiona w dwóch rzędach broń automatyczna. Dwieście dwadzieścia jeden sztuk. Potrzebowali ich, by móc dokonać następnych napadów.

Miał wrażenie, że w czarnej kominiarce na głowie patrzy się tak samo jak przez lornetkę na starych filmach – ciemne krawędzie wycinają fragmenty rzeczywistości, która staje się przez to bardziej skoncentrowana, a jej kolory intensywniejsze.

– Jeszcze sześćdziesiąt sekund.

Widział przede wszystkim niebieskie rękawy własnego kombinezonu. I to bardzo wyraźnie. Dwa rękawy trzymają szary i ciężki karabin maszynowy.

– Pięćdziesiąt sekund.

Kiedy podnosi wyżej wzrok, czarne obramowanie pozostaje, ale wszystko staje się większe. Teraz widzi, że on, Blue One, siedzi w kucki na podłodze dużego samochodu, używanego wana marki Dodge, z którego zaraz po kupieniu wyjęli siedzenia. I widzi ciszę. Która może wyglądać bardzo różnie, ale akurat tutaj wygląda tak: wszyscy ściskają w rękach automaty, na plecach mają puste plecaki i są identycznie ubrani w niebieskie kombinezony, ciężkie buty i kominiarki zasłaniające twarze.

Ale nie wewnątrz.

– Czterdzieści sekund.

Blue Two za nim to kierowca, opanowany i przygotowany na każdą sytuację.

– Trzydzieści sekund.

Blue Three, naprzeciwko niego, ma przestrzelić tylną kamerę monitorującą. Entuzjazm i napięcie nie pozwalały mu zmrużyć oka już od kilku dni.

– Dwadzieścia sekund.

Patrzy na nich przez okrągłe otwory w czarnym materiale. Każdy nerwowo ściska broń i pewnie zadaje sobie pytanie, czy podczas tego napadu na bank ktoś zginie. Jeśli będą zmuszeni strzelać, to nieuchronna konsekwencja. Kwestia mechaniki – przyciśnięcie spustu wyzwoli energię, która wypchnie z lufy karabinu osiemset pięćdziesiąt kul na minutę. Mieli los w swoich rękach.

– Pięć sekund.

– Cztery, trzy, dwie, jedna... Już.

Otworzyły się boczne drzwi samochodu. Osiem kroków do banku. Nad wejściem, trochę z lewej, wisiała kamera. Obraca się lekko i strzela. Nic nie słychać. Więc wrzeszczy: „Bang! Bang! Bang!”.

Blue Three biegnie do środka budynku, unosi broń, pochyla się i celuje w drugą kamerę. Jego strzałów też nie słychać, więc on także krzyczy przeraźliwie głośno: „Bang! Bang! Bang!”. Blue Four przeskakuje przez dwie leżące na podłodze kobiety i pędzi zgodnie z planem do lady.

„Kasjer zamknął okienko”.

Blue Four zatrzymuje się jak wryty. Blue One wrzeszczy dalej do swojego mikrofonu:

„Blue Four, zrób coś! Na co czekasz! Okienko jest zamknięte!”

Blue Four patrzy, waha się.

„Jeśli jest zamknięte, strzel w nie!”

Złany potem Blue Four podnosi broń i kieruje ją w zasuniętą szybkę i kasjera, który siedzi za nią. Potem krzyczy „Bang! Bang! Bang!”, ale nie tak głośno i przekonująco jak pozostali.

„Okej, robimy kilka minut przerwy”.

Leo – Blue One – podnosi czarną kominiarkę na czoło. Już od czterech godzin biegają po fikcyjnym budynku banku zainscenizowanym w garażu i za każdym razem popełniają coraz mniej błędów. Odkłada swój automat i skórzane rękawiczki na blat roboczy, odpina mikrofon od kołnierzyka i chowa go do kieszeni spodni.

– Vincent, co miałeś zrobić, gdyby okienko było zamknięte? Jak brzmiało moje polecenie?

Blue Four ściąga z głowy kominiarkę.

– Przestrzelić.

– A potem?

– Wskoczyć przez nie.

– Nie możemy nawet na sekundę się zatrzymać, zawahać. Okej? Bo tracimy czas. I wtedy wszystko się spięrzy. To my musimy kontrolować czas, a nie oni.

Wielki prostokąt zaznaczony samoprzylepną srebrną taśmą na brudnej posadzce garażu odwzorowywał w skali 1 : 1 wnętrze banku handlowego w Svedmyra. Taśma oznaczała ściany zewnętrzne, a zwykła deska udawała wejście. Prowizoryczne kantory kasowe powstały ze sklejki i drewnianych żerdzi. Pięć manekinów raz stało, raz leżało po jednej stronie okienek, udając klientów, a trzy kolejne siedziały po drugiej stronie w roli kasjerów.

Zabawa w Indian i kowbojów w chłopcącym pokoju. Albo manekiny sklepowe w garażu jako rekwizyty podczas prób napadu na bank.

Wtedy stało się teraz, a zabawa przestała być zabawą.

– Vincent? – Felix opuścił fotel kierowcy w samochodzie zaparkowanym przed bankiem z taśmą klejącej i resztek drewna. – Co się stało?

– A nie mówiłem! – odezwał się Jasper, choć nikt go o nic nie pytał. Wciąż jeszcze miał kominiarkę na głowie. – Nie mówiłem, że on nie da rady! Przecież powinien przestrzelić tę cholerną szybę z pleksiglasu!

Felix przesunął jednego z klientów leżących na ziemi i stanął przy niemalowanej płycie ze sklejki imitującej front boksu kasowego.

– A może okienko było otwarte?

– Przecież Leo powiedział, że kasjer je zamknął!

Jasper krzyczał, Felix natomiast jedynie się uśmiechał. Nie lubił podnosić głosu i dlatego wskazał palcem na kawałek drewna z wymalowanym na niebiesko napisem „Kasa 3”.

– A to co? Nie widzisz, że to okienko jest otwarte?

– Ale mamy przeciwzyć, do cholery, każdą sytuację!

– A ty jesteś pieniaczem, który szuka dziury w całym. Prześń w końcu bez przerwy czepiać się Vincenta!

– Nie chodzi o czepianie! On musi działać instynktownie. Nie zastanawiać się! Jak ktoś nie wierzy własnej broni, waha się. Mam rację, Leo?

Jasper podbiegł do dwóch zawieszonych na sznurku pod sufitem tablic z napisami: „Kamera monitorująca 1” oraz „Kamera monitorująca 2” i stuknął je swoim automatem.

– Tu i tu są roztrzaskane kamery. Wiesz dlaczego?

– Widzę tylko dwa kawałki sklejki, na których coś nabazgrałeś.

Jasper uderzył łufą karabinu w obie tablice, które zakotyły się lekko.

– Strzał oddany na zewnątrz jest przerażający dla każdego, bo broń automatyczna straszliwie hałasuje. Ale w zamkniętym pomieszczeniu ten dźwięk jest zupełnie inny, przecina powietrze, jakby w ściany walił grad noży, wręcz pękają od niego bębni i przez ten dziki wizm ludzie tracą orientację i są jeszcze bardziej przerażeni. Rzucają się na ziemię nie tylko, żeby się osłonić. Zachowanie orientacji jest piekielnie ważne dla uratowania życia. Dlatego szukają czegoś stałego, jakiegoś stabilnego punktu oparcia, jak na przykład podłoga. To ich nowy punkt orientacyjny w przestrzeni. Wcześniej kierowali się obrazem z kamery, ale my je przestrzeliliśmy. – Jasper powiódł wzrokiem po wszystkich po kolei; Felix milczał, Vincent także, tylko Leo nieznacznie kiwnął głową. – I rzecz absolutnie najważniejsza: trzeba dać do zrozumienia glinom, że jeśli spróbują nam przeszkodzić w pracy, grozi im śmiertelne niebezpieczeństwo. Jeśli mimo wszystko zdecydują się to zrobić, muszą liczyć się z konsekwencjami.

Leo odwrócił się w stronę młodszych braci.

– Jasper ma rację. Jeśli w nas wycelują, my wycelujemy w nich. Jeżeli będą strzelać na ostro, odpowiemy im tym samym. Stawką jest życie, ich albo nasze. Rozumiecie?

Gdy spojrział im w oczy, nie miał wątpliwości, że mu ufają. Problem tylko w tym, czy on też może im zaufać. Po chwili wyciągnął się w kierunku drewnianych tablic imitujących kamery i rozwiązał dwa węzły, żeby opuścić je trochę niżej. Stojąc nieco z boku, łatwiej było mu dokonać oceny całości. Zerknął na Feliksa, który oparty o samochód sprawdzał swoje słuchawki, potem na Vincenta, który na klęczkach naprawiał ramię jednego z manekinów, i na Jaspera siedzącego na krześle kasjera w kasie numer 2 i raz za razem odbezpieczającego i zabezpieczającego naładowaną broń.

– Do samochodu. Wszyscy.

Siedemnastolatek, który nawet nie odbył jeszcze służby wojskowej, dwudziestojednolatek, który poszedł do wojska, ale został zwolniony, i dwudziestodwulatek, który zachowywał się, jakby musztrował jakiś oddział wyborowy.

– Powtarzamy! Odliczam czas! Trzy minuty od... teraz!

Leo pchnął drzwi i wyskoczył z auta, podbiegł osiem kroków do drewnianego progu i srebrnej taśmy. Za czterdzieści sześć godzin zabawa przestanie być zabawą.

Siedzieli w dodge'u, któremu przywrócili normalny wygląd, montując siedzenia w podłodze, i jechali E4 na północ przez Solnę, Kistę i Helenelund.

Napad na wymagowany bank ćwiczyli w sumie dwadzieścia osiem razy: z samochodu do wejścia, potem do kas i do skarbcza, i z powrotem. Blue One dwadzieścia osiem razy otwierał boczne drzwi, tyle samo razy grupka zamaskowanych mężczyzn wbiegała do środka, zajmowała ustalone pozycje i wykonywała przydzielone zadania. Wykreowany obraz banku wgrzył się im w świadomość, ale żaden z nich nie był ani razu w jego rzeczywistym odpowiedniku. Co prawda Leo wielokrotnie spacerował po niewielkim rynku, zaglądał do sklepów i nawet siadywał przy oknie w pizzerii w budynku przylegającym bezpośrednio do banku, nigdy jednak nie przekroczył jego drzwi. Nie było mowy o tym, aby którykolwiek z nich miał wejść do środka. Bo potem ktoś mógłby zauważyć, że wzrost, waga i sposób poruszania się czterech mężczyzn w niebieskich kombinezonach i czarnych maskach przypomina wzrost, wagę i sposób poruszania się klientów zarejestrowanych wcześniej okiem kamer. Dlatego jedynie Anneli mogła zrobić wizję lokalną i nie obawiając się kamer ani wzroku personelu, wchodziła się między zwykłych klientów. Przy okazji każdej krótkiej wizyty w hali kasowej szkicowała jej kolejny fragment na odwrocie pustych dowodów wpłaty, które składała potem na kuchennym stole jak puzzle w pełny rysunek.

Asfaltowa droga przeszła w zwirową. Już niedaleko.

W zewnętrznej kieszeni kurtki Leo odezwał się telefon.

– Halo?

– Leo... Ta koperta.

Jego głos.

– Nie mam teraz czasu.

– Ten niby twój dług, Leo. Pieniądze w kopercie. Przecież mówiłeś, że nie jesteś mi nic winien, tak?

– Nie mogę w tej chwili rozmawiać.

– Skoro pojawiaasz się tutaj po tylu latach i zostawiasz mi tyle hajsu, chociaż uważasz, że rzekomo nie jesteś mi nic winien... to znaczy, że masz tego dużo więcej. Bo przecież nigdy nie podzieliłbyś się ze mną swoim ostatnim groszem. Więc pytam: skąd masz tę kasę?

Leo się rozłączył.

– Kto to był?

Felix patrzył na niego i czekał na odpowiedź.

– To nic ważnego.

– Brzmiało inaczej.

– Skup się na drodze.

Felix jak zawsze za kółkiem. Zdążył już poznać ten samochód jak własną kieszeń: przyspieszenie, drogę hamowania, najmniejszy obrót kierownicy. Van marki Dodge. Nim dojadą na miejsce, a po akcji przesiądą się do drugiego, ale tego samego modelu. Felix nie tylko trenował prowadzenie, ale nawet dokładnie przestudiował konstrukcję wozu. Bo to on dostał zadanie, żeby w nocy przed napadem ukraść dwa identyczne wany, i dlatego godzinami ćwiczył wciskanie metalowej cienkiej szyny między szybę a gumową listwę, żeby otworzyć zamek w drzwiach. Pocił się i męczył tak długo, aż osiągnął zadowalający rezultat – sforsowanie mechanizmu zajmowało mu mniej niż dwadzieścia sekund. Oprócz tego kilka razy rozebrał na części stacyjkę, żeby wiedzieć, jak najszybciej uruchomić silnik bez kluczyka.

Na końcu zwirowej drogi leżała dawna strzelnica. Gdy zaparkowali, usłyszeli dobiegające z oddali strzały.

– Ktoś tam jest.

Vincent powiódł wzrokiem po wzgórkach usypanych pięćdziesiąt, dwieście, trzysta, sześćset i osiemset metrów od wału piasku, który tłumili strzały i zatrzymywał pociski.

– Nie słyszycie?

Z czterema opakowaniami amunicji, czterema matami izotermicznymi i czterema automatami ruszyli drogą, która po chwili przeszła w ścieżkę. Na stanowiskach oddalonych trzysta metrów od tarcz i piaskowego wału leżeli dwaj mężczyźni w mundurach.

Leo przystanął, nasłuchiwał.

– MP piątki. To muszą być gliny z jednostki specjalnej.

– Leo, zawracamy, przecież – Vincent pociągnął najstarszego brata za rękę – oni nas szukają!

Paradowali z bronią skradzioną z wojskowego magazynu, którą można było łatwo powiązać z automatami użytymi podczas napadu na furgon z pieniędzmi.

– Spadamy!

– Nie. Tu przynajmniej możesz się czegoś nauczyć.

– Leo, do cholery, my...

– Uspokój się. Gliny szukają dwóch Arabów.

Vincent wolnym krokiem powłókł się za bratem. Znał Leo w takim wydaniu, kiedy nie dawał sobie nic powiedzieć i bez potrzeby ryzykował, aby tylko pokazać, że on w każdej sytuacji potrafi wygrać. W tym momencie dwaj mężczyźni w czarnych mundurach wstali, spakowali swoje rzeczy i zaczęli iść.

W ich kierunku.

Gdy pokazali się na drugim końcu wąskiej ścieżki, wydali się więksi i bardziej dojrzały z tymi swoimi szerokimi barami i mocnymi karkami. Nawet Leo nie wyglądał tak jak oni i nawet on nie umiał się tak poruszać.

– No, panowie, pora czasami przewietrzyć dubeltówki, co? – Żwir chrzęścił pod ich stopami, gdy podszli całkiem blisko i spojrzeli na ich broń. – Jesteście z obrony cywilnej, tak?

Stali rękodem na ścieżce, ale nagle Jasper wyłamał się z szeregu i mijając Leo, wybiegł w bok na trawę, żeby z dumą zaprezentować swój automat.

– Zgadza się. Batalion obrony cywilnej z Järva.

Trzymał swoje AK 4 obiema rękami jak marmurową rzeźbę, z dumnym uśmiechem na twarzy. Vincent zrobił kolejny krok do tyłu, wcisnął głowę między ramiona. Jasper był jak Leo – lubił wyzwania i nie przegapił żadnej okazji, żeby się pokazać. A właściwie nie, różnił się od Leo. Bo Leo chciał rywalizować i zwyciężać, a Jasper chciał po prostu zaznaczyć swoją przynależność i obecność.

– MP piątki, tak? – spytał, kiedy tamci rzucili tylko okiem i właśnie zamierzali iść dalej. – Jesteście z oddziału specjalnego?

Vincent zamknął oczy. Nie dość, że zademonstrowali swoje skradzione automaty i bezmyślnie ryzykowali, to na dodatek Jasper posunął się do tego, żeby robić im inspekcję broni. Uwielbiał coś takiego – wymieniać pełne podziwu spojrzenia i bratać się z kim popadnie.

– Tak, należymy do oddziału interwencyjnego. Powodzenia na strzelnicy. Dzisiaj jest dobry dzień, zero wiatru. Można trafiać same dziesiątki.

Skinęli głowami na pożegnanie. Vincent z oczami wlepionymi we własne stopy odetchnął najciszej jak potrafił, kiedy go mijali.

– Hej, no! – Ten, który mówił najwięcej i pokazywał swoją broń, zatrzymał się przy Vincencie. – A ty nie jesteś trochę za młody na coś takiego?

– Ja?

Vincent próbował podnieść wzrok, oderwać spojrzenie od stóp, nie dał jednak rady.

– To MOC – wyjaśnił Leo. – Młodzieżowa Obrona Cywilna.

Policjant, który wydawał się dojrzały od Leo, nie spuszczał z Vincenta oczu.

– Kiedy byłem w twoim wieku, to uganiałem się za dziewczynkami, a nie bawiłem w wojnę.

Vincent z wielkim wysiłkiem zmusił się do nerwowego uśmiechu, starając się wstrzymać oddech, dopóki policjanci z MP 5 nie ruszyli dalej. I chociaż Jasper rozłożył już maty na żwirze, Leo przyniósł z baraku tarcze i ustawił je przed wałem z piasku, a Felix otworzył pudełka z nabojami i rozdzielił je między wszystkich, Vincent odprężył się dopiero wtedy, gdy tamci dwaj uruchomili samochód i odjechali drogą.

– Nawet nie sprawdzili numerów seryjnych – zauważył Leo.

Jego uśmiech był szczery, ani trochę wymuszony. Był zadowolony, dumny. Świadomie zdecydował się na tę konfrontację, przekonany, że ją wygra, i tak się stało. Teraz załadował magazynek dwudziestoma nabojami, okręcił rzemień wokół przedramienia i w pozycji stojącej przestawił przełącznik na salwę automatyczną, wycelował w jednego z kartonowych koleżków, nacisnął spust i rozerwał mu twarz na strzępy.

– Żeby umieć strzelać z AK czwórki, najpierw musisz nauczyć się stać w odpowiedni sposób. – Leo ponownie naładował magazynek i podał Vincentowi automat, nie puszczając go jednak. – Jeśli nie

zamortyzujesz siły odrzutu ciężarem własnego ciała, jeśli nie przyciśniesz karabinu porządnie ramieniem i lewą ręką, dosłownie nie zaprziesz się o niego, to wtedy podskoczy i trzeci strzał polecą pół metra nad celem.

Aby mu to zademonstrować, Leo lekko ugiął kolana, oparł ciężar ciała na lewej nodze i trzymając lewą rękę na lufie, wymierzył do celu i oddał całą serię, tym razem w serce manekina.

Następnie znowu podał broń najmłodszemu bratu, a sam się odsunął.

Vincent nie mógł normalnie oddychać. Mokrymi od potu dłońmi starał się trzymać karabin w identyczny sposób, jak pokazał mu Leo i tak jak Leo przeniósł ciężar ciała na lewą nogę i oparł dłoń na lufie. I strzelił. Kolba walnęła go w ramię, lufa podskoczyła, jakby pociągnięta niewidzialnym sznurkiem. Zachwiał się, ale zaraz odzyskał równowagę.

Dwadzieścia strzałów w wał z piasku. A tekturowy koleżka spoglądał na niego obojętnym wzrokiem.

– Bardziej obciąż przednią nogę, jeszcze raz, Vincent! Skup się!

Jasper ruszył zniemacka z miejsca, jak przed chwilą na ścieżce przy spotkaniu z policjantami, i lekko kopnął Vincenta w lewą stopę.

– Szerzej nogi, Vincent! A lewą rękę ciśnij do dołu, tak jak pokazał ci Leo! Mocniej, psiamać! Skoncentruj się!

– Nie drzyj się! – Między Vincentem a Jasperem nieoczekiwanie wyrósł Felix. – Jak rozmawiasz z moim bratem, to masz nie wrzeszczeć ani nie kopać.

– Zjeżdżajcie stąd! Obaj!

Leo odczekał, aż Jasper i Felix przestaną groźnie mierzyć się wzrokiem.

– Oddychaj, Vincent! – Delikatnie obrócił głowę brata w swoją stronę, spojrzał mu w oczy. – Oddech jest bardzo ważny. Wdech, wydech. Wdech, wydech. I potem... strzał.

Kolba mocno dociśnięta do ramienia. Lewa dłoń zaciśnięta jak imadło na lufie.

Vincent strzelił znowu i tym razem... trafił! W głowę, w szyję, w pierś.

Nowy magazynek. Kolejne serie. A wróg jeden za drugim walił się na ziemię, rozrywany na części, podczas gdy Leo biegł do baraku po nowe tarcze. Od czasu do czasu przystawał z boku, jak poprzedniego dnia w garażu, i przyglądał się swojemu małemu bratu, którego nierzadko wyjmował z łóżeczka ze szczebelkami, budował z nim miasta z czerwonych i niebieskich klocków Lego i robił mu kanapki z dżemem. *Jesteś jeszcze za młody, żeby głosować albo kupić VINO Tinto w monopolowym.* Uśmiechnął się rozpierany dumą. *Ale potrafiś strzelać z karabinu maszynowego i za trzydzieści trzy godziny obrobisz bank.*

Był już późny wieczór, kiedy zajechali przed dom. Leo od razu ruszył z pełnymi reklamówkami z ICA prosto do Anneli, a Jasper z Felixem i Vincentem zanieśli broń i wyposażenie do garażu. Gdy Vincent stawał torbę z magazynkami i resztą amunicji na posadzce, poczuł, że ramię drży mu mimo woli, jakby po mięśniach wędrowały robaki i pociągały je w różne strony.

Oddał setki strzałów. I doczekał się pochwał od Leo. Autentycznych. Jasper natomiast ciągle go krytykował, wytykał detale, które powinien poprawić. Lecz to nie miało już dla niego znaczenia – Vincent prawie pozbył się napięcia, ustępowało stopniowo wraz z każdym celnym strzałem w sam środek tarczy.

– Trzeba wyczyścić broń.

Vincent dobrze wiedział, na czym to polega. Z Jasperem zawsze tak było. Najświeższy przykład to dzisiejsze spotkanie na ścieżce w lesie i jego popisy przed policjantami – jakby nie było ważne, z kim ma do czynienia, bo liczyło się tylko to, żeby zaznaczyć swoją obecność, być.

– Felix, Vincent, do roboty!

Jasper położył karabin na stole warsztatowym i szybkimi ruchami rozmontował go na części.

– Halo, słyszycie? To też musicie umieć! Teraz wy. Rozłóżcie swoje automaty i wyczyśćcie każdy element.

Felix położył swoje AK 4, z którego strzelał do kartonowych manekinów, i ignorując polecenia Jaspera, pochylił się do jego ucha.

– Mam pytanie.

– Tak.

– Dlaczego zachowujesz się tak, jakby ktoś wetknął ci pistolet maszynowy w tyłek?

– Słucham?

– Ciskasz się jak opętany i udajesz dowódcę. Mnie i Vincentowi nie za bardzo się to podoba.

– Przecież to szkolenie!

– No i?

– A na każdym szkoleniu musi być jakiś szef. Ale ty tego nie ogarniesz! Bo nie byłeś w kamaszach!

– Mówię ci ostatni raz: wyluzuj.

– Z czym?

– Po prostu wyluzuj.

– Jak się zrobi niebezpiecznie, to jeszcze będziesz mi dziękował.

– Niebezpiecznie?

– Kto waha się w czasie strzelaniny, ten umiera. Proste.

– Posłuchaj mnie... Jeśli dojdzie do jakiegokolwiek strzelaniny, będzie to tylko twoja wina.

Jasper podszedł bliżej, wlepił w niego wzrok. Felix już kiedyś widział to spojrzenie – gdy Jasper kupił sobie gumową pałkę i specjalnie kręcił się po centrum, szukając zaczepki. W końcu padło na Dużego Steffego, który rzekomo za długo mu się przyglądał. Jasper przyłożył chłopakowi dwa razy pałką w nadgarstek, a gdy usłyszał chrzęst łamanych kości, miał dokładnie takie same oczy jak teraz. „Widzieliście, jakie to proste, pękają jak suche gałęzie”. Później wieczorem kajał się i nawijał jak nakręcony, ale nie z powodu Steffego, tylko z obawy o to, że mogą mu cofnąć powołanie do wojska. Teraz identycznie patrzył na Feliksa, ale ten nie uciekał wzrokiem. Nie miał takiego zwyczaju. W tym momencie otworzyły się drzwi i do garażu wszedł Leo z dużym kartonem w rękach.

– Co tu się dzieje?

Ani Felix, ani Jasper nie odezwali się słowem, tylko obaj zrobili krok do tyłu.

– Nic.

– Przecież widzę, że coś jest nie halo.

Jasper znowu położył swoją broń na stole.

– Oni dwaj kwestionują moje umiejętności i mówią szczerze, powoli mam tego dość!

– Nie twoje umiejętności, tylko twoje zachowanie! – wyjaśnił Felix.

– Zachowanie? Czy choć raz podważałem na budowie twoje kwalifikacje, kiedy mi mówiłeś, że źle trzymam młotek albo że odłożyłem go nie na swoje miejsce? Słuchałem cię i robiłem, co kazałeś! Więć ty też mógłbyś mnie posłuchać, kiedy próbuję nauczyć cię czegoś, w czym jestem dobry!

Leo wcisnął się między obu i delikatnie odsunął na boki.

– Jasper, przymknij się już!

– Powiedziałeś, że mam ich nauczyć wszystkiego, co umiem.

– Zamknij dziób i weź się do czyszczenia broni. A ty, Felix, słuchaj go w tych sprawach, bo on wie, o czym mówi. Wie, jak się bronić. I przecież cię obronił, jak dostałeś łomot od tamtych idiotów. Chociaż oberwał w głowę kijem bejsbolowym, został i się bił, dopóki nie przyszedłem. Nie pamiętasz?

Byli zmęczeni, Leo zdawał sobie z tego sprawę. I spięci. Ale już niedługo.

– Okej?

Spodziewał się, że któryś z nich zaraz zacznie na nowo pyskować, zawsze tak było. Tym razem jednak zaległa cisza, taka sama jak przed chwilą, kiedy wszedł do garażu.

– W porządku. W takim razie robimy ostatnią próbę. Już w kamizelkach. I z pełnym uzbrojeniem.

Karton stojący na posadzce był mocno oklejony taśmą i obwiązany długim zwykłym sznurkiem z włoskami na powierzchni. Amerykańskie znaczki i stemple – Auburn, Alabama. Zasada numer jeden: nigdy nie zamawiać jakiegokolwiek wyposażenia w szwedzkich firmach. Jeśli policja zacznie węszyć i firma oferująca różnego rodzaju zabezpieczenia zdecyduje się nawet przekazać posiadane przez nią informacje, akurat tym tropem nie będzie dysponować. American Body Armor, dostawca dla amerykańskiej armii, był partnerem stuprocentowo bezpiecznym.

Leo otworzył karton i podał każdemu kuloodporną kamizelkę. Ostatnim razem zamówił model z osłonami na szyję i ramiona. Okazał się mało praktyczny, bo ograniczał ruchy. Dlatego teraz, przedkładając swobodę poruszania się nad bezpieczeństwo, sprowadził inne, bez dodatkowych osłon.

Drugie pudło stało już jakiś czas pod stołem warsztatowym. Cztery nowe kombinezony, niebieskie, jak poprzednio. Identyczne.

– Kiedy wszyscy wyglądają identycznie, trudniej jest o podanie sensownego rysopisu.

Ostatni raz.

Próba generalna. Szturm na obiekt w pełnym wyposażeniu.

Z dodge'a do zainscenizowanego banku i z powrotem.

Dokładnie sto osiemdziesiąt sekund.

Potem wszystkie boksy kasowe zamienia się znowu w deski, sklejki i płyty pilśniowe, a ze ścian sali bankowej, okien i strefy kasowej zostanie tylko kłęb taśmy klejącej.

– Weź kanister i worek ze śmieciami i chodź ze mną – powiedział Leo, kiwając na Jaspera. Wyszli na tył garażu, gdzie od sąsiadów zasłaniał ich mur, a od ulicy odgradzał żywopłot. Leo wyspał zawartość worka do zardzewiałej beczki po ropie, Jasper zalał wszystko benzyną.

– Za dziesięć szósta. Dziesięć minut do zamknięcia. Każdy się spieszy, żeby zdążyć załatwić swoje sprawy.

Dwie zapalki. Szkice, rysunki, mapy powoli zaczynał trawić ogień.

– Jeszcze jedno, Jasper: pamiętaj, że nie możesz stracić głowy.

– Przecież, kurde, nie jestem początkujący.

Leo spojrzął na przyjaciela, który stał wpatrzony w płomienie.

– A kiedy wcisnąłeś ochroniarzowi lufę w gardło?

To istotne, żeby nie stracić nad sobą kontroli. Żeby nigdy nie poddać się przemocy, tylko nią sterować. Wiele lat temu widział to w oczach ojca, a teraz dostrzegał to samo także w spojrzeniu Jaspera – ci dwaj nią nie sterowali, tylko byli sterowani.

– Albo jak wywaliłeś cały magazynek w furgonetkę, chociaż już było widać niebieską lunę od radiowozów?

Złamać komuś nos czy podpalić dom – to dwie zupełnie różne rzeczy.

– Popatrz na mnie, Jasper. Chciałbym móc na ciebie liczyć. Mogę?

Miłe ciepło unosiło się znad beczki. Obaj wyciągnęli nad nią ręce, żeby się trochę ogrzać.

– Jasne, że możesz na mnie liczyć.

Zostało jeszcze dziewiętnaście godzin i dwanaście minut.

– A Jeśli utknę?

– Jak to utkniesz?

– No, w okienku.

– W jakim okienku?

– Kasowym. Jak będę się przez nie przeciskał.

Za cztery minuty i dwanaście sekund miał uczestniczyć w swoim pierwszym napadzie na bank.

– Nie utkniesz.

– A jeśli jednak utknę?

– Vincent?

– Tak?

– Spójrz na mnie.

– Patrę.

– Nie utkniesz. Jak nie będziesz o tym myślał, to nie utkniesz.

Leo przyglądał się najmłodszemu bratu, który rozluźnił swoją kamizelkę na wysokości pasa i zapiął ją o jedną dziurkę ciaśniej. Siedzieli na podłodze z tyłu jednego z vanów, które Felix ukradł poprzedniej nocy. Chociaż nie mogli wyglądać na zewnątrz, doskonale wiedzieli, gdzie się znajdują i jak długo jeszcze będą jechać.

Szukali samochodu ze znakami firmowymi jakiejś firmy usługowej po bokach i ten był po prostu doskonały. Miał ogromne logo pogotowia kanalizacyjnego po obu stronach, czyli nadawał się idealnie, żeby podjechać nim pod sam bank, nie wzbudzając niczyich podejrzeń i nie wywołując alarmu, a z drugiej strony każdy, kto go zobaczył, będzie potem umiał bez trudu go opisać.

Okrażali ostatnie rondo i Leo dla zachowania równowagi złapał za klamkę przy tylnych drzwiach. Vincent i Jasper, przycupnięci naprzeciwko niego, chwycili za śruby wystające z podłogi. Jeszcze dwadzieścia metrów – lekki podskok na garbie, gdy skręcili z Handelsvägen na chodnik i wjechali na plac Svedmyra Torg. Ostatni odcinek, w końcu opony zahamowały na wilgotnym asfalcie.

Leo poprawił sobie słuchawki na uszach, sprawdził mikrofon w kołnierzu kombinezonu, a potem poczekał, aż to samo zrobią Felix, Jasper i Vincent.

– Mickey Mouse.

Wszyscy naciągnęli czarne kominiarki na twarze. Z daleka wyglądało to tak, jakby ktoś wyciął trzy papierowe maski z jakiejś gazety i nakleił na materiał papierowe oczy i papierowe usta.

– Wszystko jasne?

Jasper uśmiechnął się, dotykając swoich słuchawek, które pod czarną dzianiną odstawały jak duże pilki.

– Mickey Mouse!

– Jasper, przestań – fuknął Leo.

– Mickey Mouse, Mickey Mouse, Mickey...

– Słyszysz!

Leo dopiero co zdołał uspokoić Vincenta, wystraszonego, że utknie w okienku kasowym. Zdenerwowanie Jaspera było trudniejsze do zniesienia – facet przygotowuje się do użycia całkiem dorosłej przemocy i jednocześnie zachowuje się jak dziecko.

Ale to ich pierwszy prawdziwy napad na bank. I każdy radził sobie z tym inaczej.

– Uwaga, robimy test.

Nadajnik był w prawej kieszeni jego kombinezonu. Palcem wskazującym przycisnął mały kanciasty guzik i powiedział cicho:

– Raz, dwa, raz, dwa.

Jego głos w ich uszach. Głos, który zaraz będzie nimi dowodził.

– Słyszycie mnie?

Zamaskowana twarz naprzeciw niego lekko skinęła. To Vincent. Zamaskowana twarz na fotelu kierowcy odwróciła się i też potwierdziła. To Felix. Zamaskowana twarz na ukos od niego nie

zareagowała. To Jasper.

– Halo, Jasper? Ochraniacze. Wyciszenie hałasu. Musisz przyciszyć.

Ten, który przed chwilą dziecinnym głosem śpiewał „Mickey Mouse, Mickey Mouse”, już przygotowywał się wewnętrznie do strzelania na ostro w tłumie ludzi.

– Felix, co z radiem policyjnym?

Felix zaparkował w taki sposób, aby w bocznym lusterku mieć widok na cały budynek banku. We wstecznym widział teraz trzech facetów przygotowujących się do wyskoczenia z dodge'a.

– Przelącz na odpowiednią częstotliwość. Żebyśmy dokładnie wiedzieli, gdzie są gliny.

– W porządku. Vincent?

– Tak?

– Rozjedziemy ich.

– Rozjedziemy.

W zamkniętym samochodzie rozległo się głośnie echo przeładowywania czterech automatów.

– Pięć...

Była za dziesięć szósta.

– Cztery...

Leo położył dłoń na klamce tylnych drzwi.

– Trzy, dwa...

– Czekaście!

Felix delikatnie przekręcił lusterko wsteczne.

– Jakiś dziadek wyjeżdża na wózku. Za nim starsza kobieta.

Leo opuścił broń. Czas uciekał. Vincent zachowywał spokój, Jasper był skoncentrowany. Powinni już ruszyć.

– Felix, do cholery!

– Zdążymy. Niech sobie spokojnie pójdą.

– Nie ma żadnych dziadków na wózkach! Ani żadnych starszych kobiet! Rozumiesz? Od tej pory nikt taki nie istnieje! Rozgnieciemy ich jak mrówki. Tam, w środku, są jedynie nasze pieniądze, i nic więcej!

– Skończyłeś?

– Felix, my...

– Dziadek na wózku. I starsza kobieta.

Felix jeszcze trochę przekręcił lusterko.

– Już poszli.

Osiem kroków do szklanych drzwi banku.

Leo pierwszy. Vincent krok za nim, Jasper dwa kroki z tyłu.

Lekko padało. Przez materiał kominiarek docierał do nich zapach ostatnich brązowych liści, przyklejonych mokrymi, śliskimi plamami do brukowej kostki na rynku. I wszędzie pełno oczu. Oczy ludzi siedzących przy oknach pizzerii i popijających piwo, oczy właściciela kwaciarni i jego żony stojącej za ladą, a także dwojga klientów przy jednym z okienek bankowych, którzy akurat się obejrżeli.

Widzieli nas. Wiedzą, że idziemy. Ale jeszcze nie ogarniają.

Prawdziwe liście i prawdziwe oczy. Prawdziwy deszcz. Prawdziwi ludzie. Prawdziwe niebo i prawdziwy wiatr.

Prawdziwe drzwi do banku.

Ćwiczyli to do upadłego. Teraz nie było odwrotu.

Vincent skoncentrował się na karku Leo. Jeśli nie będzie odrywał od niego wzroku i nie pozwoli sobie na patrzenie na boki, jeśli utrzyma tempo, wówczas być może da radę dotrzeć do banku i wejść z resztą do środka.

„Jeśli ma się nam udać, oni muszą widzieć w tobie dorosłego faceta. Rozumiesz, braciszku?”

Jeszcze sześć kroków. Pięć. Cztery.

„W okienkach siedzą kasjerzy i kasjerki i wszyscy mają być przekonani, że do banku wchodzi trzech dorosłych gości”.

Niezgrabna kamizelka kuloodporna wbijała się w kombinezon i utrudniała normalne ruchy.

„Masz trzymać się prosto. Stawiać na ziemi całe stopy”.

Pistolet maszynowy wisiał przerzucony przez ramię i uwierał jak zawsze.

„Wyobraź sobie, że ważysz więcej, że jesteś ciężki i że wiesz, dokąd idziesz”.

Choć uparcie wpatrywał się w kark Leo, to wcale nie miał poczucia, że zbliża się do banku, a przecież bardzo się starał stawiać całe stopy.

Nie zbliżał się...

Nie zbliżał...

– Vincent?

Leo przystanął. Jeden krok przed drzwiami. Odwrócił się, położył mu rękę na ramieniu i powiedział do mikrofonu, żeby wszyscy trzej mogli usłyszeć jego głos w słuchawkach.

– Po prostu ich rozjedziesz.

Głos starszego brata w głowie młodszego. Był w niej zawsze. A teraz Leo dłonią zasłonił mikrofon przy swoim kołnierzu, pochylił się nieco i zsunął mu słuchawkę z jednego ucha.

– Vincent?

Potem szepnął:

– Wiesz, że cię kocham.

Po czym odwrócił się w stronę budynku.

Leo otworzył szklane drzwi i Vincent wszedł za nim. „Wiesz, że cię kocham”. Poza mamą nikt dotąd mu tego nie powiedział. Gdy znaleźli się w ciasnym, zatrzymującym ciepłe powietrze przedsionku, zastanawiał się, co tak naprawdę Leo miał na myśli. Czy chciał sprawić, żeby jego najmłodszy brat przestał być spięty i wszedł jak prawdziwy mężczyzna między ludzi, którzy jeszcze niczego nie przeczuwają, czy też zdawał sobie sprawę, że grozi im śmierć, i nie wiedział, jak mu to powiedzieć.

A potem zrobiło się całkiem cicho.

Było cicho, kiedy Leo obrócił się i wypalił osiemnaście razy do kamery monitorującej, która otworzyła się jak kwiat pod sufitem, a jej długie niezgrabne liście otoczyły obiektyw – było cicho, gdy Jasper oddał piętnaście strzałów do drugiej kamery, której szczątki spadły na podłogę.

– Blue Four!

Leo wołał do niego, usta poruszały się za czarnym materiałem, ale on nic nie słyszał.

– Blue Four!

Vincent gapił się na ludzi leżących u jego stóp z rękami za głową.

– Blue Four! Okienko!

Poruszył się znowu.

W kierunku kas. Za późno zauważył kobietę w żółtej puchowej kurtce i nadepnął jej na rękę, a w tym czasie kasjerka zatrzasnęła okienko, zamknęła je na klucz, a potem rzuciła się na podłogę.

Jeśli okienko będzie zamknięte...

Jeśli nie będzie mógł wskoczyć i przecisnąć się przez nie.

Jeśli utknie...

– Sześćdziesiąt sekund!

Leo dopadł do niego z boku, wrzasnął coś i po chwili ten ruch, lekkie sprężynowanie w kolanach, kiedy znowu uniósł automat, lewa ręka na kolbie. Dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści, czterdzieści strzałów.

– Blue Four, teraz!

I nagle Vincent znowu wszystko słyszał. Wszystko było jasne jak słońce.

Przez kilka sekund szyba wisiała jeszcze w powietrzu, jakby do tysiąca odłamków na razie nie dotarło, że zaraz posypią się na ziemię, a on rzucił się do niezagradzającego mu już drogi okienka w kamizelce, która nie ograniczała już jego ruchów i nie była ciasna. Słyszał, jak podeszwa lewego buta zachrzęściła na szkle rozprysniętym na kamiennej posadzce, jak wziął zamach, wylądował na drewnianej ladzie i podeszwa jego prawego buta wgniotła z chrupotem w deskę kawałki rozbitej szyby, jakby miażdżyła kostki lodu. A potem oba jego buty wylądowały równocześnie na podłodze po drugiej stronie i wbiły drobne szkieleka w wykładzinę.

A gdy dopadł do wewnętrznych drzwi oddzielających strefę kasową od ogólnej sali, żeby wpuścić Blue Three, a potem wrócił do kasjerki i wrzasnął: „Klucz do skarbcza!”, jego głos brzmiał dokładnie tak, jak wcześniej ćwiczył. I zadziałał: dłoń z pomalowanymi na czerwono paznokciami wyciągnęła się ku niemu i podała pęk kluczy.

– Dziewięćdziesiąt sekund!

Stał pośrodku banku, sześć osób leżało u jego stóp: młoda kobieta w żółtej puchówce, która nawet nie pisnęła, kiedy Vincent nadepnął jej na rękę, mężczyzna w płaszczu i brązowych półbutach, który padł na ziemię dopiero wtedy, gdy Leo zmusił go kolbą, starsza pani przyciśnięta do ściany i śledząca wzrokiem każdy jego ruch, nie ze strachu, ale raczej jakby chciała zarejestrować w pamięci wszystko, co się dzieje, dwóch gościów w wieku Vincenta za wielką palmą pod oknem, którzy potem będą na pewno się przechwalać, że znaleźli się w samym środku napadu na bank, oraz kobieta z plastikową reklamówką ICA, z której wysypały się kornfleksy, chleb i opakowanie kaszki dla dzieci.

– Sto dwadzieścia sekund!

Ze swojego miejsca pośrodku sali Leo mógł obserwować, jak Blue Three otwiera drzwi do skarbcza i do torby na ramię zgarnia z trzech półek jeden plik banknotów za drugim, a potem przestrzela zamek w szafie pancерnej i opróżnia ją z pięciusetkoronowych banknotów – policzonych, posortowanych i powiązanych banderolami Banku Królewskiego. Widział też Blue Four, który przechodził od kasy do kasy, przewracając krzesła stojące mu na drodze, otwierał po kolei szuflady i przekładał pieniądze do torby.

Jasper działał bez zarzutu. Vincent też.

Został jeszcze Felix.

– Blue One do Blue Two.

Przysunął mikrofon bliżej ust, spojrzał przez okno na samochód, który z pracującym silnikiem stał na Svedmyra Torg.

– Widzisz coś?

– Tak. W lokalu obok banku, no wiesz?

– Posłuchaj...

– W pizzerii Myran. Ale idiotyczna nazwa⁴, no nie?

– Blue Two? Czy c o ś widzisz?

– Za oknem siedzi trzech facetów. Każdy ma piwko. Siedzą, gapią się na mnie, popijają i...

– Do jasnej cholery, Blue Two! Syreny, gliny, widzisz coś albo słyszysz?

– ...od czasu do czasu zezują na bank. A piwo zamówili chyba jasne. Tak mi się wydaje. Duże.

Niezrażony niczym opowiadał dalej:

– Zimne piwo z beczki, Leo. A jedzą, zdaje się, capriccioso z pieczarkami z puszkki i z szynką. Raczej dobrze się bawią.

Felix często narzekał i wiele rzeczy kwestionował, zawsze jednak można było na nim polegać, a akurat teraz bredził o piwie i pieczarkach oraz o trzech gościach z pizzerii, ponieważ chciał uspokoić starszego brata, który stał za szybą w sali bankowej pełnej przerażonych ludzi i odmierzał czas.

– Sto pięćdziesiąt sekund!

Jasper powinien zaraz wypaść ze skarbcza, a Vincent skończyć ogoławanie kas. Felix trzymał ręce na kierownicy, sprawdzał we wstecznym lusterku, żeby w momencie, kiedy wyjdą, ruszyć.

Leo zaś będzie dalej odliczał sekundy, opuści bank jako ostatni, zabezpieczając odcinek między wejściem a samochodem.

– Sto sześćdziesiąt sekund!

Skończyli.

Vincent przeskoczył przez ladę, zygakiem przemknął między leżącymi i stanął za nim. Felix dodawał gazu za oknem. Leo był opanowany, czuwał, odliczał. I nagle padł pojedynczy strzał. Jasper. Powinien był zjawić się zaraz za Vincentem, ale został w skarbcu i przestrzelił zamek w kolejnej szafie panczernej, żeby wepchnąć do torby jeszcze jedną porcję opasanych banderolami pakietów pięćsetek.

– Sto siedemdziesiąt sekund!

Następny zamek.

– Sto siedemdziesiąt pięć sekund!

I następny.

– Sto osiemdziesiąt sekund!

Stworzyli zespół i uzgodnili metodę działania, która miała pomóc im zmaksymalizować korzyści, nie zwiększając ryzyka. Jasper naruszył to porozumienie. Po raz kolejny.

– Wypad!

Leo skierował lufę w sufit.

– Wypad, wypad!

I strzelił.

– Wypad, wypad, wypad!

Dwa strzały w sufit nad skarbcem. Kawalki tynku i tumany pyłu spadały na leżących na podłodze i zasypywały im twarze. Do Jaspera chyba wreszcie dotarło – upuścił opróżnioną kasetę na ziemię, zasunął zamek błyskawiczny w torbie i puścił się pędem do drzwi wychodzących na Svedmyra Torg i do samochodu.

Siedzieli ściśnięci na podłodze. Nie mieli daleko.

Musieli wyjechać przez chodnik z rynku, a potem odbić w prawo w Handelsvägen. Później krótki odcinek do pierwszego ronda i Tussmötevägen, następnie znowu w lewo, pod potężnymi betonowymi podporami dźwigającymi tory kolejki metra. Leo słyszał pociąg sunący ponad ich głowami, gliny jeszcze nie zablokowały lokalnego ruchu.

W ciemności wieczoru było całkiem cicho i spokojnie.

Niemal pusty parking zaledwie sto pięćdziesiąt metrów od banku, który właśnie przed chwilą obrabowali, przed nimi wejście do naziemnej stacji metra, po prawej kiosk z kielbaskami, nieco dalej szpital Stureby, a po lewej osiedle niewielkich domków zbudowanych w latach trzydziestych.

Załadowali broń, ściągnęli kominiarki.

Leo znowu zaczął liczyć.

Mieli siedzieć w samochodzie tyle, ile zaplanował.

Na cmentarzu zawsze było zimno. Ale gdy pokrywała go – jak teraz – warstwa złotych liści, odnosiło się wrażenie, że bije z niego ciepło i poczucie bezpieczeństwa.

John Broncks wytarł krople z chybotałej ławki i usiadł.

Jedno z trzydziestu tysięcy miejsc spoczynku na jednym z największych cmentarzy w Szwecji. Część północna. Sektor 18 A. Kwaterna 575.

Długo wzbraniał się przed przychodzeniem tutaj, mimo że ręce, które kiedyś były, już nigdy na nikogo się nie zamierza.

Nagrobek był ładny, z czarnego gładkiego granitu, stał tu ze dwadzieścia lat – choć wyglądał na starszy – i dobrze komponował się z pochodzącymi z innej epoki sąsiednimi mogiłami.

Pochylił się nad nędzną poźółką roślinką przypominającą wrzos i podlał ją trochę. Ktoś regularnie stawiał tu kwiaty. Zastanawiało go, kto to może być. On nigdy nic nie przyniósł. Mama? Dlaczego miałyby ozdabiać grób ojca kwiatami?

Dotknął tablicy. Urodził się. Zmarł. George Broncks. Pożłaczane litery wykute z wysiłkiem przez kamieniarza. John miał szesnaście lat, gdy opuszczono brązową trumnę w ziemię. Pamiętał, że po jednej stronie była o wiele cięższa i o mało się nie przechyliła oraz że mama stała blisko niego i płakała. Wszyscy pozostali złączyli się w jego wspomnieniu w jedną czarną masę – krewni, przyjaciele, koledzy z pracy, ludzie, których imiona John często słyszał, ale których nigdy nie poznał. Biały krawat uwierał go w szyję. Później zdjął go szybko, od razu spał i poprzysiągł sobie, że nigdy nie będzie nosił żadnego krawata.

Mama chciała pójść na cmentarz już następnego dnia.

Poszedł razem z nią. Myślał, że zrobiła to dlatego, iż na pogrzebie nie była szczerą i obawiała się, że ta czarna masa mogła się domyślić, co naprawdę myśli o swoim mężu. Ale wcale nie o to chodziło. Nadal nie rozumiała, co tak naprawdę się działo – zaakceptowała to, że każdego dnia była bita, kontrolowana i nadzorowana. Kiedy John kilka razy próbował z nią o tym porozmawiać, zdawała się nic nie pamiętać – „O czym ty mówisz?” – jakby wszystko tak głęboko wyparła – „Dobrze wiesz, o czym” – że nie była zdolna już do tego dotrzeć – „Nie podoba mi się, John, kiedy opowiadasz takie rzeczy”.

Na grobie leżały wieńce ze standardowymi tekstami na szarfach. Broncks stał obok niej, a gdy patrzyła pustym wzrokiem na górę piasku, nagle zrozumiał, dlaczego tak naprawdę płakała. Nie z powodu ojca, tylko z powodu Sama, który w przeciwieństwie do niej nie zaakceptował tego, co robił ojciec – i chyba dlatego mama postanowiła o niczym nie pamiętać.

Jeszcze kilka kropli deszczu. Znicz stał trochę krzywo, więc poprawił go i wcisnął w miękką ziemię.

Samochód czekał za ogrodzeniem. Zostawił za sobą ciszę cmentarza i nie spiesząc się, ruszył w stronę komendy. Mniej więcej na wysokości Torsgatan usłyszał pierwszy meldunek: „Napał na bank w Svedmyra”. Drugi koniec miasta, za daleko. Jechał dalej w kierunku Kungsholmen i komendy, gdy znowu odezwała się krótkofalówka: „Ciężko uzbrojeni”. Brzmiało znajomo. „Broń używana przez armię”. Zdecydował się zmienić plan. „Oddano wiele strzałów”. Nie wiedział na razie dlaczego, ale przyspieszył.

„Zlokalizowano pojazd, którym uciekli sprawcy”.

Czyli znowu ktoś, kto robi dużo hałasu, żeby utrzymać innych na dystans, używa broni automatycznej, aby przerażać i paraliżować strachem, stosuje przemoc.

„Sto pięćdziesiąt metrów od miejsca przestępstwa”.

Dżafar. I Goback.

„Na parking przy stacji metra w Svedmyra”.

To akurat było dziwne.

Na tyle dziwne, że chyba wręcz nieprawdopodobne.

Goście obrabiający bank nie jadą sto pięćdziesiąt metrów dalej, żeby zaparkować samochód, którym uciekli, kupić bilet i wsiąść do najbliższej kolejki czy metra.

„Sprawcy nie opuścili pojazdu”.

John Broncks sięgnął po swoją krótkofalówkę i włączył mikrofon.

– Tu Broncks z policji kryminalnej Sztokholm Śródmieście. Proszę powtórzyć. Odbiór.
„Sprawcy NIE opuścili pojazdu”.

To, co uważał za nieprawdopodobne, teraz wydawało się jeszcze bardziej absurdalne. Po trwającej zaledwie kilka sekund ucieczce zaparkowali przy naziemnej stacji metra i zostali w samochodzie.

Tuż przed skrzyżowaniem przy Sockenplan policjant w żółtej odblaskowej kamizelce wskazał mu ręką na skraj jezdni. Zaraz za skrzyżowaniem, niedaleko miejsca przestępstwa, stały w poprzek ulicy dwa radiowozy z pulsującym niebieskim światłem na dachu.

– Niestety, nie może pan jechać dalej. Proszę zawrócić albo odbić w prawo lub w lewo.

Broncks wyciągnął z kieszeni kurtki czarny portfel i wyjął z niego dowód i policyjną odznakę.

– John Broncks, policja kryminalna.

Młody policjant sprawdzał w blasku latarki dokumenty, starając się upewnić, czy mężczyzna na zdjęciu z ciemnymi, krótko ostrzyżonymi włosami odpowiada temu w aucie. Broncks był do tego przyzwyczajony. W przypadku każdej tego rodzaju kontroli kilkakrotnie porównywano fotografie z żywą osobą, zanim wreszcie stwierdzono pewne podobieństwo.

W końcu również ten funkcjonariusz doszedł do tego samego wniosku, skinął głową i zmienił ton:

– Zdaje się, że wciąż jeszcze tutaj są.

– Słyszałem.

– Ciężko uzbrojeni.

– Też słyszałem.

Policjant odszedł na bok i krzyknął w stronę skrzyżowania:

– To jeden z naszych, przepuście go!

Broncks zasunął szybę i zostawiając za sobą pełnego niepokoju młodego funkcjonariusza, wyminął stojące w poprzek ulicy radiowozy i ruszył kompletnie wymarłą ulicą prosto przed siebie. Tory, po których o tej porze dnia co dwie minuty przetaczały się z hukiem wagony metra, były puste. I właśnie to dostrzegł przed chwilą w oczach młodego kolegi: zniknęła wszelka normalność, a wraz z nią także poczucie bezpieczeństwa.

Broncks zwolnił przed rondem. Niebiesko-białe taśmy odgradzające trzepotały na wieczornym wietrze przed bankiem przy Svedmyra Torg, nie pozwalając zbliżyć się ludziom, którzy nie do końca wiedzieli, czy to, co się niedawno zdarzyło, zdarzyło się naprawdę.

Zaparkował samochód na ścieżce rowerowej i ruszył przez mokrą trawę w cieniu szarych masywnych filarów dumnie dźwigających biegnące nad ulicą tory kolejki.

– Ilu ludzi jest na pozycjach?

Pierwsza grupa mundurowych czekała na skraju niepozornego parkingu, osłonięta przez masywne betonowe podpory wiaduktu. Broncks zwrócił się do jednego z nich – był mniej więcej w tym samym wieku co on, wysoki. Znal go z widzenia, choć nie przypominał sobie ani jego imienia, ani nazwiska. Pewnie jakiś inspektor kryminalny z Södertörn, jeden z wielu, jakich spotkał podczas dochodzeń prowadzonych przez dwa sąsiadujące rejony.

– Druga grupa znajduje się na peronie, kolejna za tamtym grillem, widzi pan? Trzecia jest na chodniku przy szpitalu. I jeszcze jedna na działce białego jednorodzinnego domu po drugiej stronie.

Bezimienny inspektor wskazywał ręką w różnych kierunkach, a Johnowi Broncksowi było wstyd. Powinien pamiętać, jak tamten się nazywa.

– A tam, przed nami, grupa operacyjna przygotowuje się do akcji.

Parking nie był duży. Dziesięć miejsc parkingowych wciśniętych między filary. Tak naprawdę nawet trudny do zauważenia, zwłaszcza że kiepsko oświetlony przez latarnie. Dwa zaparkowane samochody. Stary brązowy ford, którego sfatygowane podwozie na pewno objało się o każdą nierówność, i dodge, van, żółty, o ile Broncks dobrze rozpoznał kolor w ciemności. Wyraźnie widać było tylko ogromne litery wymalowane fluorescencyjną farbą na obu bokach: „Pogotowie kanalizacyjne”.

– Jakim trzeba być kretynem, żeby napaść na bank, a potem czekać w pobliżu? – Bezimienny wpatrywał się jak zahipnotyzowany w pojazd złodziei. – Rozumiesz coś z tego, John? Co to za bezczelność! Obrabować bank. Wsiąść do samochodu. Odjechać sto pięćdziesiąt metrów. Zaparkować. I czekać.

John. Zwrócił się do niego po imieniu. Teraz jego kolej, żeby też zagadnąć kolegę po imieniu i zasygnalizować, że go pamięta.

– Nie...

Poczucie winy. Niech to szlag! W samym środku pościgu za czterema groźnymi złodziejami on deliberyje nad tym, czy przypadkiem nie okazuje w ten sposób pogardy komuś, kto pamięta i jego samego, i jego imię.

– ...nie rozumiem ani trochę.

„Wszyscy na pozycje”.

Bezimienny miał mikrofon przy prawej części kołnierza. Musiał nieco zniżyć głos, aby jego komunikat nie dotarł też do żółtego samochodu.

„Przystępujemy do interwencji za pięć, cztery, trzy, dwie, jedną...”

Naprzód!”

Nagle z ciemności wylonili się na czarno ubrani mężczyźni w hełmach i kuloodpornych kamizelkach, z odbezpieczoną bronią – osiem postaci poruszających się synchronicznie. John Broncks już niejednokrotnie widział coś takiego i był w stanie sobie wyobrazić to uczucie pełnej gotowości przed brutalną konfrontacją. Nigdy nie przeżył na własnej skórze napadu na bank, ponieważ jednak często oglądał potem materiały z kamer monitorujących, nie ulegało dla niego wątpliwości, że uzbrojonych po zęby policjantów otaczających żółty pojazd napędzała ta sama siła co czekających w jego wnętrzu przestępców: stanąć oko w oko z przeciwnikiem, zmierzyć się z nim w walce i zweryfikować własne umiejętności i kwalifikacje, ponosząc jak najmniejsze straty.

Osiem cieni posuwało się systematycznie do przodu.

Jeden policjant zatrzymał się przy betonowym słupie i wycelował w miejsce za kierownicą. Dwaj przyklekli i skierowali broń na pozbawioną okien boczną ścianę dodge’a. Dwaj inni podbiegli skuleni od drugiej strony i wymierzili lufy w tylne drzwi.

Broncks nie czuł już nawet oddechu na plecach. Bezimienny przestał oddychać i stał nieruchomo jak posąg.

Dwóch policjantów z pozostałej trójki podeszło ostrożnie do samej kabiny kierowcy i zajrzało do środka. Pusto. Jeśli ktoś ukrywał się w aucie, siedział w tylnej części bagażowej, na którą skierowano teraz wszystkie karabiny.

Ósmy członek grupy zakradł się do bocznych drzwi i poświecił na nie latarką.

Dodge nie był zamknięty.

Delikatnie położył dłoń na klamce, szarpnął drzwi i padł na ziemię.

Ciemność nie rozbliżyła światłem pocisków.

Nie rozległo się echo wystrzałów.

Zadnych krzyków, żadnej dzikiej furii, jedynie głos w krótkofalówce:

„Samochód jest pusty”.

Leo potrząsnął elegancką butelką, korek wyskoczył z należytym hukiem, szampan o nazwie Pol Roger lał się do smukłych kieliszków. Wzniesli toast za ich pierwszy wspólny napad na bank, śpiewali i padali sobie w objęcia. Anneli szybko opróżniła kieliszek i nalała sobie znowu. Vincent, który nie odezwał się ani słowem od chwili, kiedy opuścili bank, uniósł wysoko szampana i dziko wrzeszcząc razem z Feliksem, zrzucił z siebie pancierz chłodnej samokontroli. Jasper monologował bez końca, jak to poprzestrzelał zamki wszystkich szaf pancernych w skarbcu, i raz za razem trącał się z każdym szampanem, nabuzowany jak on bąbelkami.

„Wszyscy na pozycje”.

Ucichli, pochylili się i zaczęli nasłuchiwać głosu z policyjnego radia. Odbiornik stał na stole w dużym pokoju wśród niedopitych puszek piwa i świeżo otwartych butelek whisky.

„Przystępujemy do interwencji za pięć...”

Trzeszczący głos zaczął odliczanie, podczas gdy ośmiu policjantów w pełnym rynsztunku zbliżało się do żółtego vana firmy kanalizacyjnej.

„...cztery, trzy, dwa, jedną...”

Potem głos umilkł, podobnie jak głosy w pokoju, a następnie do ich uszu dobiegły dźwięki, które także wiele im mówiły.

Szuranie stóp.

Przyspieszone oddechy.

Skrzypienie drzwi.

A potem.

Najpotężniejszy, najwięcej mówiący pogłos.

Cisza.

Cisza, jaka powstaje między bliskimi sobie ludźmi, gdy słuchają zwyciężonego wspólnego przeciwnika.

„Samochód jest pusty”.

A później gromki śmiech przechodzący w głośnie wiwaty i toasty przy uniesionych wysoko kieliszkach. W miarę jak rosła euforia, na stole pojawiały się kolejne butelki, które stopniowo opróżniano. Leo powiódł wzrokiem po kolei po twarzach wszystkich obecnych. Nie czuł potrzeby, by się śmiać, dobrze wiedział, dokąd zmierza, i chyba nawet był szczęśliwy. Wytrącił glinom wszelkie atuty z ręki i teraz sterczeli pewnie zbaraniałi jak debile przed ich pierwszym samochodem i nie potrafili pojąć, jakim sposobem czterem dorosłym facetom udało się dać stamtąd drapak.

Trafić niedźwiedzia prosto w nos, cały czas tańcząc wokół niego, przewidzieć strach przeciwnika, wycelować w sam jego środek, tam, gdzie jest najsilniejszy i najsłabszy, gdzie chaos graniczy z porządkiem. Użyć przemocy, aby zburzyć poczucie bezpieczeństwa i zastąpić je zamętem.

I zrobić swoje w tej próżni.

Nieustannie wmawiane sobie przez ludzi poczucie bezpieczeństwa jest jedynie iluzją. Chaos i porządek to dwa ciasno splecione ze sobą węże zamieniające się miejscami, jeśli tylko ktoś przekroczy granicę, której istnienia nikt nie jest świadomy. W ich wypadku przemoc rozdziła próżnię. I dla ludzi leżących w banku na podłodze, i dla policjantów przekazujących przez swoje radio, że złodzieje strzelają na oślep – dla nich wszystkich czas na kilka minut się zatrzymał. Wynikający z tego zamęt zdezorientował ich jeszcze bardziej, a jemu dał trzy dodatkowe minuty na działanie.

Stali tam w swoich mundurach i sądzili, że zabrali wszystko – poczucie bezpieczeństwa, porządek. Otworzyli boczne drzwi. Samochód okazał się pusty. Bo przestępcy siedzieli już tutaj.

– Vincent?

Podczas wiwatów i wzajemnego obściskiwania się Leo obserwował najmłodszego brata, który nie lubił głośno wyrażać swoich myśli i uczuć.

– Tak?

– Chodź ze mną.

– Dokąd?

– No chodź.

Zostawili za sobą radosny zgiełek podsycany drogim alkoholem i przeszli do kuchni z samotną butelką whisky i dwoma kieliszkami napelnionymi na wysokość kilku centymetrów. Na dworze zalegała ciemność. Kuchnia w dużym domu naprzeciwko była niczym oświetlona scena – młoda kobieta postawiła na okrągłym stole szklaną miskę, młody mężczyzna zaś zapiął na foteliku małe dziecko, zawiązał mu śliniak pod brodą i dał do rączki łyżeczkę, ponieważ maluch chyba koniecznie chciał jeść sam.

– Pamiętasz? Zawsze pluteś kaszką bananową.

– Do dziś to robię.

– Za to bardzo lubieś brzoskwinie z puszki. Kroilem ci je w kostkę.

Ty miałeś rok, ja – osiem lat. Tak niedawno, a jednak minęła już cała wieczność od tamtej pory.

– Odwaliłeś dziś kawał dobrej roboty, Vincent.

– Nie, przecież się zawahałem.

– Ale już potem. Nie popełniłeś ani jednego błędu. Wskoczyłeś na ladę, zabrałeś klucz do skarbcza, otworzyłeś Jasperowi, opróżniłeś kasy. W wyznaczonym czasie.

– Zatrzymałem się, miałem moment zawahania. Wszystko mogło się schrzanić.

– Ale dałeś radę. Tak czy nie? Przez całe trzy minuty mieliśmy władzę nad całym bankiem. I tak, Vincent, powinieneś na to patrzeć. W przeciwieństwie do innych czuliśmy się bezpiecznie. I dlatego zdążyliśmy skorygować nieoczekiwany błąd.

Rodzina w domu po sąsiedzku zaczęła jeść, chyba gulasz i sałatę. Leo uniósł kieliszek, poczekał na Vincenta i obaj wypili do dna.

– Zapomnij o tamtym, słyszysz? Wcale się nie zawahałeś. Od tej pory myśl tylko, jak dobrze się spisałeś, wyłącznie to powinieneś zachować w świadomości do następnego razu.

Przeszli z kuchni do pokoju nad grotą Fantoma. Stały w nim torby wypchane jeszcze godzinę temu przez Vincenta i Jaspera pieniędzmi wygarnianymi z szaf pancernych.

– Ponad milion. Może półtora.

W jednej grube paczki samych pięćsetek. W drugiej setki, pięćdziesiątki i dwudziestki w oddzielnych pakietach. Specyficzny zapach.

Vincent zanurzył rękę w torbie mieszczącej kilkaset tysięcy koron.

– No, jakie to uczucie?

– Nierzeczywiste.

Leo spojrzął na okno naprzeciwko. Dziecko nie jadło już samo. Ojciec wytarł mu jedzenie z włosów i sweterka, po czym cierpliwie zaczął karmić je łyżeczką.

– Masz rację. To nierzeczywiste, że obrabowaliśmy bank i że zniknęliśmy bez śladu, a oni nie mają bladego pojęcia, jak to możliwe.

Drobne odłamki szkła wyglądały inaczej w oślepiającym świetle. Blask reflektorów umieszczonych przez techników kryminalnych na niewielkim placu wdzierał się przez okno do środka banku i tworzył z maleńkich szklanych okruchów migoczący welon.

John Broncks szedł prosto do drzwi, nie rozglądając się dookoła. Gdyby tylko zwrócił spojrzenie w bok, natychmiast musiałby stawić czoło mikrofonom i kamerom oraz kolejnym pytaniom reporterów. Po drodze tutaj udało mu się umknąć siedmiu ekipom dziennikarskim i zamierzał robić tak dalej.

W samym środku sali kasowej tynk z sufitu spadł na czerwone opakowanie kaszki dla dzieci. Kobieta przywarła twarzą do zimnych płyt posadzki, a zawartość jej reklamówki z ICA wysypała się pod nogi jednego ze sprawców. Teraz siedziała na ławce w rogu i słuchała pytań Broncksa, nie była jednak zdolna na nie odpowiedzieć. John widział już niejedną osobę w podobnym stanie – błędne spojrzenie mówiące wyraźnie, że człowiek nie ogarnia rzeczywistości po tym, jak seria ogłuszających strzałów niemal rozerwała mu błonę w uszach. Po czymś takim w głowie jest tylko nieprzerwany intensywny gwizd.

Nie odwrócił się, mimo że biegło za nim dwóch kamerzystów i niez mordowanie wołało, gdy wszedł już na chodnik, przez który musiał przejechać także samochód sprawców. W końcu zrezygnowali i popędzili z powrotem w stronę banku i innych potencjalnych ofiar, dopiero gdy on dotarł do ronda, idąc cały czas śladem tamtego auta.

Podniósł pokryte pyłem opakowanie kaszki i podał kobiecie o popękanych bębenkach. Była jednym z dziewięciu świadków. Troje urzędników bankowych i sześcioro klientów leżało plackiem na podłodze przez trzy minuty tak długie, jak całe ich życie. Dwoje znajdowało się w głębokim szoku i nie było w stanie w ogóle nic powiedzieć. Szóstka w miarę przytomnych osób mówiła rozsądnie, tyle że ich wersje wydarzeń nie były zgodne, podobnie jak rysopisy świadków podane przez dwóch nastolatków, którzy w czasie napadu znajdowali się blisko okna.

Rickard Toresson (RT): Chyba mieli... niebieskie kombinezony, jak mechanicy samochodowi.

Lucas Berg (LB): Nie kombinezony, widziałem, tylko kurtki i spodnie z podłużnymi kieszeniami.

Nie było też zgodności co do tego, kto strzelił w szybę okienka kasowego, kto opróżnił skarbiec i kto liczył kasę.

RT: Wszyscy mieli maski, zakrywały im całe twarze poza oczami.

LB: Nie wszyscy mieli maski, tak mi się przynajmniej wydaje, bo wyraźnie widziałem co najmniej jedno usta.

Każdy człowiek w obliczu skrajnego zagrożenia interpretuje tego rodzaju wydarzenia bardzo różnie.

RT: Leżałem tuż przy jego butach. Facet miał ponad dwa metry wzrostu, na sto procent, wszyscy byli diabelnie wysocy.

LB: Leżałem tuż przy jego butach. Facet był całkiem niski, nie wyższy ode mnie, i chyba dosyć potężny.

Tylko jeden świadek okazał się zdolny w sposób wiarygodny opisać swoje spostrzeżenia. Była to blisko pięćdziesięcioletnia kobieta, która siedziała w kasie numer 3, gdy zamaskowany mężczyzna skierował swój karabin maszynowy w zbrojoną szybę jej okienka i oddał około czterdziestu strzałów. Miała zwężone i smutne oczy, kiedy pokazywała Bronckowskiemu, jak uniosła rękę z czerwono pomalowanymi paznokciami w stronę, skąd dochodził głos domagający się klucza do skarbcza, podczas gdy z jej włosów, ubrania i skóry posypały się odłamki szkła.

Inga-Lena Hermansson (IH): Szwed. Nie mówił dialektem. Bez akcentu. Niski, trochę spięty głos. A jego oczy jakby patrzyły nade mną, przeze mnie, ale ani razu na mnie.

Spięty głos i spłoszone spojrzenie – a potem ten ktoś rzucił pęk kluczy drugiemu.

IH: Ten drugi czekał trochę dalej i miał na sobie taką kamizelkę, jakie noszą żołnierze. Wszyscy mieli odstające uszy.

Jeden zabrał klucze, drugi otworzył skarboniec. A obaj – tego kobieta była absolutnie pewna – raz po raz zerkali na trzeciego, który stał po drugiej stronie okienek.

IH: Tamten odliczał czas. Po cichu. Dopiero na koniec krzyknął.

Odstające uszy – słuchawki. Cichy głos – mikrofon.

Przywódca.

Jeden rozkazywał, pozostali słuchali.

Na środku ronda Broncks rozejrzał się dookoła, aby się upewnić, czy nikt nie depcze mu po piętach, po czym przeszedł na drugą stronę ulicy i wrócił na parking ze stojącym na nim pustym samochodem sprawców. Na wiadukcie ponad jego głową przejechało metro, na torach, na których przywrócono już ruch, rozległo się miarowe dudnienie.

Profesjonalny sprzęt do komunikowania się. Kamizelki bojowe. Broń automatyczna.

Operacja wojskowa.

Według firmy kanalizacyjnej żółty van marki Dodge z odblaskowymi napisami na bocznych ścianach został skradziony poprzedniej nocy. Broncks policzył szybko: od trzynastu do osiemnastu godzin przed wykorzystaniem go do ucieczki. Technicy kryminalni krzatali się teraz wokół niego w świetle rozstawionych dookoła reflektorów.

Bezimienny inspektor z Huddinge krążył między szarymi filarami.

– Wejście na stację metra. Z każdej strony ruchliwe ulice z dziesiątkami samochodów, rzędy stojaków na rowery. Przecież to jest, do jasnej cholery, całkiem spory węzeł komunikacyjny! W tym miejscu tysiące ludzi przesiada się z metra do autobusu albo odwrotnie, inni idą stąd do domu na piechotę albo jadą rowerem. Bez przerwy przewijają się tłumy! I nikt nie widział, jak wysiedli z samochodu!

Broncks nie odpowiedział. Popatrzył na bank, rondo i parking. Tylko tutaj były cztery drogi ucieczki do wyboru. A każda z nich mniej więcej po kilometrze dochodziła do kolejnego ronda. Cztery razy cztery razy cztery. Sześćdziesiąt cztery możliwości. Tyle samo dróg ucieczki co pół na szachownicy.

– John?

Bezimienny znowu zwrócił się do niego po imieniu. A J o h n musiał po raz kolejny odpowiedzieć, udając, że on także pamięta jego imię.

– Do czasu, kiedy otworzyliśmy pierwszy samochód wykorzystany do ucieczki, minęło czterdzieści minut.

Postanowił, że będzie mówił dalej jak gdyby nic, mając nadzieję, że nagle przypomni mu się, jak tamten się nazywa.

– To idealne miejsce na napad.

Nie. Nie udało się.

– Obszar poszukiwań jest zbyt duży.

Kolega, z którym Broncks już kilka razy miał okazję współpracować, po każdej odpowiedzi usiłował choć na sekundę pochwycić jego spojrzenie.

– No przyznaj, nie pamiętasz, prawda?

– Nie rozumiem.

– Erik.

– Słucham?

– Mam na imię Erik. – Po czym zatoczył ręką szeroki łuk. – A może się rozdzielili? Jeden po drugim wyszli z dodge'a i każdy poszedł gdzie indziej? Pierwszy wsiadł na przykład do metra, zanim zdążyliśmy wstrzymać ruch, i wysiadł po paru stacjach? – Następnie zwrócił się w stronę przystanku autobusowego. – Drugi mógł pojechać linią 163 na zachód w kierunku Älvsjö albo na wschód na

Kärrtorp. Trzeci popedałował ścieżką rowerową do tamtych bloków, a czwarty całkiem zwyczajnie ruszył na piechotę chodnikiem i przepadł między ogródkami.

Metro. Autobus. Rower. *Per pedes*.

Albo do wyboru sześćdziesiąt cztery trasy samochodem.

Broncks zajął do pojazdu, który wczoraj był biurem na kółkach firmy kanalizacyjnej, a potem został skradziony i stał się przydatnym środkiem lokomocji dla przestępców, za kilka dni zaś, po przeszkucaniu i wykonaniu ekspertyz przez biuro kryminalistyczne, znowu będzie służył robotnikom.

– Posłuchaj, Erik. – Kolega wyglądał na wyraźnie zadowolonego, lecz Broncks poczuł się niezręcznie, zwracając się do niego po imieniu, które poznał dopiero teraz. – Przecież byli uzbrojeni i wyposażeni jak na wojnę. Trudno, żeby nikt nie zauważył gości z automatami, kamizelkami kuloodpornymi i ze sprzętem radiowym.

Nad ich głowami przetoczył się kolejny skład metra.

– Musi być jakiś świadek. – John Broncks uderzył otwartą dłońią w boczne drzwi świecącego pustkami złotego vana. – Ktoś musiał widzieć, jak ten samochód tu podjechał. Albo jak potem oni z niego wysiadali. Czterech dorosłych facetów w czarnych maskach nie mogło przepaść bez śladu.

Nierzeczywiste.

Vincent, odpowiedziawszy Leo na pytanie, jakie to uczucie, powtórzył to słowo jeszcze trzy razy. Kiedy policzyli paczki pięćsetek w jednej torbie. „Dziewięćset dwadzieścia cztery tysiące koron. Nierzeczywiste”. I gdy policzyli pliki banknotów w różnych kolorach i o różnych nominałach w drugiej torbie. „Osiećset dziesięć tysięcy i pięćset czterdzieści koron. Nierzeczywiste!” I gdy dodali zawartość obu toreb. „Milion siedemset trzydzieści cztery tysiące i pięćset czterdzieści koron. Totalnie nierzeczywiste!”

Leo z Vincentem siedzieli naprzeciw siebie na podłodze będącej sufitem grotty Fantoma. Z daleka od pieniać się szampana, od uszczęśliwionych i podpitych głosów Feliksa i Jaspера mieszających się z mechanicznymi meldunkami z policyjnego radia – „Szkoda, że tego nie widziałas, Anneli!” – Jasper odgrywał Leo i strzelał w szybę nad ladą z okienkami kasowymi. – „Tylko sobie wyobraź, Anneli!” – A potem ugiął trochę kolana, żeby zademonstrować, jak najlepiej trzymać karabin maszynowy. – „To jest wojna, Anneli, i za żadne skarby nie wolno ani na sekundę się zaważyć tak jak Vincent”. – Leo zauważył, że Vincent to usłyszał, spojrzał mu jednak w oczy, jakby mówił: „Sraj na to!”, po czym wstał i zamknął drzwi do pokoju.

Choć robili to już wiele razy, nadal był to dla nich podniosły moment: zwinąć chodniczek z podłogi, podważyć poluzowane płytki, chwycić za metalowe kółka i podnieść coś w rodzaju kłapy, a potem otworzyć leżący na plecach sejf.

– Wiesz co, Vincent?

– Tak?

– W czasie napadu jest jeden jedyny moment, którego nie wolno spieprzyć. I nie ma to nic wspólnego z tym, o czym mówi Jasper. Okej?

Leo zebrał z dna sejfu garść używanych pięćdziesięciokoronowych banknotów, skrzynkę na biżuterię obciążoną wężową skórą i dwa roleksy.

– To jest decydujący moment. Jeśli w tym punkcie nawalisz...

Następna podniosła chwila: zdjęć osłonę puszeki elektrycznej i zbliżyć do siebie dwa przewody, a potem patrzeć, jak plecy sejfu otwierają się do dołu, odsłaniając ukrytą za nim przestrzeń.

– ...wtedy musisz użyć tego.

Obok toreb z policzonymi pieniędzmi stały dwie walizki. Leo otworzył jedną z nich i wyjął automat, z którego strzelał, aby zdezorientować dziewięć osób.

– Ale póki ja wszystko planuję i każdy dokładnie wie, co ma robić, nic takiego się nie zdarzy.

Usiadł na skraju otwartego sejfu, a następnie zszedł na dół po chybotałej drabince i chwycił w luźny przewód zwisający z lampy na suficie, włożył go do kontaktu w ścianie. Zimne światło rozjaśniło podziemną kryjówkę.

– Jeden jedyny moment, Vincent, którego nie wolno spieprzyć – uniósł ręce, gotowy wziąć zawartość pierwszej torby – to zamiana pierwszego samochodu. Przeobrażenie.

Budka z przekąskami z grilla była schowana między filarami wiaduktu, po którym jeździło metro kursujące na tym odcinku nad ziemią. Broncks nie znosił zjełzalego zapachu starego oleju do smażenia, który wciskał się pod każdą listwę oraz za każdą szafkę i zostawał tam na amen. Gdy stał w środku i przez okno obserwował vana, starał się oddychać wyłącznie przez usta.

Jarkko Kolkka (JK): Przyjeżdżają rano i odjeżdżają wieczorem. Ale ten brązowy ford stoi tu dopiero od lunchu. A tamten duży żółty dodge – chyba od jakiejś godziny.

Kucharz i zarazem właściciel budki z widokiem na kiepsko oświetlony parking. Jedyne człowiek, który być może coś zauważył.

JB: A widział pan, jak ktoś wysiadał z tego żółtego?

JK: Z niego nikt nie wysiadał.

Broncks oceniał odległość od budki do samochodu na mniej więcej piętnaście metrów.

JK: Ale to normalne, bo czasami tylko tu stoją i na kogoś czekają. Ktoś przyjeżdża autobusem albo metrem i wtedy odjeżdżają.

Chudy mężczyzna w nieokreślonym wieku, który prawdopodobnie za każdym razem musiał w monopolowym pokazywać dowód, chociaż był ojcem czworga dzieci, miał zawiązany na brzuchu fartuch, który już dawno przestał być biały. To pewnie przez ten fartuch ohydny zapach oleju towarzyszył im także w ciasnym kącie dla klientów z trzema wysokimi stołkami za wąskim blatem.

JB: A dzisiaj? Widział pan wszystkich, którzy przyjechali i odjechali?

JK: Dzień w dzień widzę wszystkich. Tu jest zaledwie dziesięć miejsc parkingowych. A ja zawsze stoję w tym miejscu.

Broncks wziął dwie serwetki z metalowego serwetnika i z wewnętrznej kieszeni kurtki wyjął długopis. Następnie narysował dziesięć prostokątów i w czworokącie odpowiadającym miejscu zajętym przez starego forda napisał „brązowy”, a na miejscu dodge’a – „żółty”.

JB: To są te, które stoją tu teraz. Pamięta pan inne?

JK: Inne?

JB: Samochody, które stały na parkingu w ciągu ostatnich godzin.

JK: Owszem, tam na przykład był...

JB: Niech pan zaznaczy na prostokątach.

JK: No więc w tej kratce... stało kombi. Napiszę. K o m b i. Koloru nie pamiętam.

JB: Okej.

JK: A tutaj... granatowy dodge. Dokładnie taki jak ten żółty, zaraz obok. Napiszę: g r a n a t o w y i d e n t y c z n y.

JB: A na pozostałych miejscach?

JK: Nic nie stało. Przynajmniej pod koniec.

Mężczyzna w białym fartuchu przesunął serwetki po blacie i zamierzał wrócić do pracy.

JB: Jeszcze nie skończyliśmy. Chciałbym się dowiedzieć, jakie samochody stąd odjechały po tym, jak zaparkował tu żółty dodge.

JK: Zaraz po tym?

JB: No tak.

JK: Nie pamiętam, cholera.

JB: Niech pan spróbuje sobie przypomnieć.

Z długopisem w dłoni właściciel budki popatrzył najpierw na parking, potem na serwetkę i w końcu na Broncksa. Następnie zakreślił kółkiem środkowy prostokąt: kombi.

JK: Ten.

JB: Kiedy?

JK: Nie wiem... może jakieś dziesięć minut później.

JB: I tylko ten?

Długopis stukał mechanicznie w blat, robiąc irytujący hałas.

JK: Potem odjechał ten drugi dodge. Granatowy.

Kilka razy obrysował naokoło kratkę z napisem w środku „granatowy identyczny”.

JK: Tak mniej więcej... dwie minuty później. Albo pięć. A może... no tak, coś koło tego.

JB: Na pewno ten?

JK: Tak. Stał przy żółtym. Zaraz obok.

Broncks wziął serwetkę do ręki. Prostokąt obok żółtego vana. Podniósł wzrok znad rysunku na rzeczywiste miejsca parkingowe. Słabe światło ulicznych latarni padało na asfalt.

JB: Jest pan pewny? Ten granatowy odjechał właśnie wtedy?

JK: Jestem pewny. Bo on nie wycofał się tyłem.

JB: To znaczy?

JK: Wszyscy parkują tutaj przodem i potem muszą wyjeżdżać tyłem. A ten ustawił się odwrotnie.

John Broncks zmiął serwetkę i cisnął w kierunku kosza. Trafiał.

Dwa samochody zaparkowane na sąsiednich miejscach. Identyczne modele jednej marki. Jeden maską do przodu, drugi odwrotnie.

Jakie to piekielnie proste. Dwa różniące się tylko kolorem vany stoją tuż obok siebie zwrócone w przeciwne strony, żeby odległość między lewymi bokami z przesuwanymi drzwiami miała co najwyżej szerokość dłoni.

Na pożegnanie Broncks skinął głową właścicielowi budki, westchnął z rezygnacją i wyszedł w ciemność, która spowijała wciąż rosnący rejon poszukiwań.

Leo wyciągnął ręce nad głowę i chwycił podaną przez brata sportową torbę z pięćsetkami, po czym postawił ją na jednym z regałów pod ścianą. Drugą torbę, z różnymi walorami, umieścił obok pudełek z amunicją.

W samym środku popołudniowych godzin szczytu, gdy dojeżdżający do pracy wracali do swoich domów, oni we czwórkę, w ściągniętych kominarkach i z naładowaną bronią, siedzieli na parkingu. W całkowitym milczeniu. Na górze przejechały wagony metra. Zatrzymał się autobus i wypuścił pasażerów. Głosy dwóch chłopców przechodzących obok i niezdarzących sobie sprawy z tego, że za cienkimi ścianami furgonetki oddycha czterech złodziei uciekających przed policją.

– Vincent, teraz kamizelki.

Vincent przykleknął obok otworu w podłodze i odsunął zamek błyskawiczny w jednej z walizek: automaty, magazynki, amunicja, kamizelki bojowe.

– Nie te.

Zamek drugiej walizki zaciął się i Vincent musiał użyć trochę siły. Kamizelki kuloodporne, duże okrągłe słuchawki, mikroskopijny mikrofon. Każda rzecz po kolei trafiała przez sejf w ręce Leo, a potem ładowała na półkach powyżej toreb z pieniędzmi.

Na parkingu spędzili sześćdziesiąt sekund. Dopóki Felix nie odsunął bocznych drzwi, nie sięgnął klamki drugiego samochodu ustawionego tuż obok przodem w przeciwną stronę, nie nacisnął jej i nie otworzył sąsiednich drzwi. Dwa identyczne auta złączone niemal w jedno, dwa wejścia naprzeciw siebie osłonięte przed wzrokiem innych. Jeden krótki skok z jednego pojazdu do drugiego. Felix na miejscu kierowcy, Jasper i Vincent z torbami w rękach, i na końcu Leo, który zamknął drzwi obu samochodów, aby na powrót stały się oddzielnymi środkami lokomocji. Te same ruchy, jakie wykonali pięć minut i trzydzieści sekund wcześniej, kiedy zmierzali do banku. Tylko w odwrotnej kolejności.

– Vincent? Kominarki i kombinezony połóż osobno. Trzeba będzie je spalić.

Pierwsza ważna zamiana samochodów. Zaledwie sto kilkadziesiąt metrów od banku, który obrabowali. Przeobrażenie. Nikt nie zauważył, jak opuszczali żółtego vana, i nikt nie wiedział, że odjechali identycznym, tylko granatowym. A krąg poszukiwań się rozrastał. Matematyczna formuła stosowana przez policję podczas każdej akcji pościgowej: czas, jaki upłynął od momentu przestępstwa, mnożono przez odległość do ostatniego znalezionej pojazdu wykorzystanego do ucieczki. Na podstawie tej wielkości można było ocenić szanse ujęcia sprawców.

Dwa kilometry do następnej zmiany samochodu, w Stureby, kolejny parking w innej dzielnicy, wciśnięty między trzypiętrowy blok i niewielki lasek. Trzydzieści sekund na ściągnięcie kombinezonów i masek oraz przebranie się w robocze spodnie i koszule, kolejne trzydzieści sekund na przejście z torbami z łupem i walizkami z wyposażeniem przez lasek, aby wsiąść do ostatniego pojazdu, do ich własnego firmowego pick-upa, który po chwili zniknie w potoku wielu innych aut wracających po dniu pracy do domu. Felix i Leo siedzieli z przodu, Jasper i Vincent leżeli przykryci z tyłu. Dwadzieścia minut później byli już w pokoju i przysłuchiwali się przez policyjne radio, jak akcja jednostki interwencyjnej skończyła się niczym.

– Daj mi teraz to, co jest w drugiej walizce.

Leo wziął oba pistolety maszynowe w ręce, owinał ich lufy kilka razy czerwoną taśmą i odłożył broń na najniższą półkę.

– Leo?

– Tak?

Vincent też chciał to powiedzieć. Ale czuł się trochę dziwnie. Bo nigdy dotąd nikomu tego nie mówił.

– Tak, żebyś wiedział...

Leo wziął ostatnią sztukę broni, duży i ciężki karabin maszynowy; również jego lufę zaznaczył czerwoną taśmą i postawił go obok broni, z której już nigdy nie zostanie oddany ani jeden strzał. Rozejrzał się dookoła. Zostało jeszcze dwieście osiemnaście sztuk.

– Co takiego?

Czuł się potwornie niezręcznie, bo przecież to mogło zabrzmieć fałszywie albo sztucznie, mimo że było szczere.

– Ja też cię kocham.

John Broncks uruchomił komputer i kliknął w folder o nazwie Svedmyra. Zawierał dwa dokumenty. Otworzył pierwszy, zatytułowany „Kamera 1”, z nagraniem z monitoringu nad wejściem do banku. Przesunął kursor wzdłuż wąskiej osi czasu do 17:51, kiedy to trzech napastników w czarnych maskach weszło do środka.

W sumie pięć sekund nagrania. Bez dźwięku, obraz czarno-biały i jak to zwykle bywa w takich przypadkach – ruchy nienaturalnie kanciaste.

Pierwszą rzeczą, którą uchwyciła kamera, był tył głowy. Czarnej głowy o wielkich wypukłościach na wysokości uszu.

Broncks klikał dalej.

Czarna głowa obraca nieco tułów, szuka wzrokiem kamery, podnosi broń, celuje.

Jedno ujęcie za drugim. *Patrzysz na mnie. Spojrzanie przeciw spojrzeniu. A ja na ciebie.*

W twoich oczach nie ma furii, strachu, stresu.

Pia Lindhe (PL): Ich buty czuć było pastą do butów. No wie pan, rozpuszczalnikiem i karmelem. Jakby były świeżo wyczyszczone.

Kobieta podeszła właśnie do okienka. W prawej ręce trzymała plastikową reklamówkę, a w lewej karteczkę z numerkiem. W tym momencie uświadomiła sobie, że ktoś strzelił, i próbowała jakoś zrozumieć to, czego nigdy dotąd nie widziała; zarejestrowała zjawisko, lecz nie miała żadnych punktów odniesienia, dlatego w jej świadomości powstała próżnia, która najpierw ją sparaliżowała, a potem spowodowała, że znalazła się na ziemi, zwłaszcza gdy padł kolejny strzał i instynkt samozachowawczy wzięął górę.

PL: Te buty po prostu lśniły. Kiedy spojrzałam na nie, zobaczyłam w nich swoje odbicie.

Kobieta osunęła się na posadzkę jak worek, jakby nie miała ani kości, ani kończyn. W ułamku sekundy. I chociaż okropnie się bała i nie pojmowała, co się dzieje, spojrzała w górę ku twarzy w masce, bo po prostu chciała wiedzieć.

John Broncks kliknął w oś czasu, zatrzymując film.

Podczas przepytывania świadków napadu w sali bankowej ta sama kobieta siedziała oparta o okno z krwawiącym uchem. Prawdopodobnie było uszkodzone. W końcu nie wytrzymała i płacząc, zaczęła opowiadać, że wkroczyli do banku jak pluton egzekucyjny, któremu wszystko jedno, kto przed nim stoi z zawiązanymi oczami. Brutalną przemocą zmusili wszystkich do bezwzględного posłuszeństwa.

– John?

W progę stała Sanna, jak ostatnim razem. Mimo późnej godziny nie poszła jeszcze do domu.

– Skończyłam analizę. Do kamery numer jeden oddano osiemnaście strzałów. Kamera numer dwa runęła spod sufitu po siedmiu strzałach. Szyba zabezpieczająca okienka kasowe została trafiona czterdzieści dwa razy, szafy pancerne – dwanaście razy, a pod sam koniec, kiedy sprawcy już wychodzili, oddano dwa strzały w sufit. Dokładnie sprawdziłam i znalazłam potwierdzenie w liczbie łusek po nabojach znalezionych w banku: w sumie osiemdziesiąt jeden. Z czysto statystycznego punktu widzenia to jeden z najbrutalniejszych napadów na bank, jaki kiedykolwiek zdarzył się w Europie.

Przeniosła ciężar ciała na jedną nogę i oparła się o drzwi. Najwyraźniej nie zamierzała jeszcze odejść.

– Kaliber siedem sześćdziesiąt dwa, pocisk pełnopłaszczowy. Wyprodukowany dla szwedzkiej armii. Rok produkcji: tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty.

– I?

– Nie udało mi się ustalić, czy mamy tu do czynienia z tą samą bronią i z tymi samymi sprawcami co przy napadzie na furgon z pieniędzmi.

- Ale wykluczyć tego nie możesz?
 - Dochodzeniowiec być może dopatrzyłby się jakichś wspólnych cech w obu przypadkach, ale ja nie mam na nic takiego pokrycia w faktach.
 - Twoim zdaniem może chodzić o dwie szajki wyposażone w broń z zasobów szwedzkiej armii dokonujące napadów tej samej jesieni w tej samej okolicy?
 - Nic takiego nie powiedziałam. Ale biorąc pod uwagę przesłanki techniczne, nie da się tego wykluczyć.
 - W Farsta padło prawie czterdzieści strzałów. A tutaj... osiemdziesiąt jeden? Najpierw dziurawią furgonetkę, potem wystrzelują grad pocisków w sali kasowej banku. Któres z tych strzałów musiały paść z jednej i tej samej broni!
 - Nie.
 - Nie?
 - Żadna broń nie została użyta dwa razy. Wszystko bardzo dokładnie sprawdziłam.
 - Ale jest jeden wspólny motyw. Ich zachowanie.
 - Być może. Faktów jednak brak.
- Popatrzył na nią.
- A gdybym znowu chciał usłyszeć, jakie jest zdanie Sanny, a nie technika kryminalistyki skupionego na analizie dowodów?
 - Jest pewien... powtarzający się model sposobu poruszania się. Kamera numer dwa. Tuż przed jej przestrzeleniem. - Broncks odwrócił w stronę Sanny ekran komputera. - Ugięte kolana, punkt ciężkości bardzo nisko. Coś takiego powiedział ci też tamten ochroniarz, kiedy przesłuchiwałeś go po napadzie na furgonetkę. Popatrz, teraz! Ten facet dokładnie tak stoi, gdy strzela.
 - Brak dźwięku i mało płynne sekwencje obrazu, mimo to trudno było tego nie zauważyć.
 - I jeszcze jego palec, jeśli trochę przybliżysz: leży wyraźnie na kabłąku, równoległe do lufy, jakby wskazywał na nas.
 - Kilka ujęć dalej Broncks zatrzymał znowu nagranie i powiększył dłoń w rękawiczce. Sanna pochyliła się nad monitorem.
 - Dyscyplina, John. Nie wolno narażać swoich ludzi, nie wolno ani razu spudłować. Ten facet kładzie palec na spuście dopiero tuż przed strzałem, to jest podstawowa zasada bezpieczeństwa przy obchodzeniu się z bronią. A to znaczy, że nie jest amatorem. Jest dobrze wyszkolony, ćwiczył przyjmowanie właściwej pozycji strzeleckiej tysiące razy. To profesjonalista.
 - Oba miejsca przestępstwa dzieliły zaledwie cztery kilometry. Między napadami upłynęło zaledwie siedem tygodni.
 - Ale dowody techniczne sugerowały inny wniosek.
 - Mogło chodzić o różnych sprawców.

Dziesięć po piątej. Daleko do świtu. Kiedy wyteżył słuch, mógł usłyszeć ciche pochrapywanie Anneli na piętze. Wiedział, że będzie spała jeszcze wiele godzin, on natomiast wołał w ogóle nie zasypiać, aby dokładnie przetrwać i przeanalizować wydarzenia wczorajszego dnia i przygotować się do ostatniej fazy planu.

Z przewieszoną przez ramię torbą ważącą trzydzieści kilogramów przeciął dziedziniec przyprószony pierwszym śniegiem w tym roku. Buty od razu okleiły mu się białym puchem, ale nie przemokły. Gdy przystanął, ogarnęło go uczucie nieomal błogości. Oddychał głęboko, a z ust wydobywały mu się obłoki pary - to te atomy, które były ciepłe i poruszały się szybciej niż zimne, podobnie jak oni trzej, gdy wtargnęli do sali bankowej i przejęli nad nią kontrolę od tych, którzy nie byli przygotowani i dlatego w ogóle się nie ruszali. Kilkakrotnie wstawał w ciągu nocy, żeby przeczytać informacje w telegazecie i posłuchać najświeższych radiowych wiadomości. Policja nie natrafiła na żaden trop. Jego plan był perfekcyjny i wykonali go również perfekcyjnie.

Otworzył garaż i zapalił jarzeniówkę pod sufitem. Było zimno. Przysunął więc bliżej dwa termowentylatory, następnie sięgnął po piłę i zaczął ciąć szeroką płytę ze sklejki na równe części.

Na dziedzińcu pojawił się samochód. Po chwili drzwi do garażu się podniosły i do środka wjechał jeden z ich firmowych pick-upów ze spuszczoną boczną szybą.

- Co roku to samo! - wrzasnął Felix z szoferki. - Cholerni kretyni nie zmieniają opon na zimowe! To, co dzieje się w mieście, to istny armagedon!

Nie czekał na odpowiedź, nawet nie spojrzął na starszego brata, tylko wysiadłszy z samochodu, ruszył prosto do zszywacza pneumatycznego i zaczął łączyć po pięć kawałków sklejk w kwadratowe skrzynki.

Był w roboczym ubraniu, włosy miał potargane i mrużył oczy, broniąc się przed jaskrawym światłem.

– Felix?

Leo doskonale znał te pełne furii, dramatyczne gesty. Odczekał więc chwilę, jako że zwykle była to najlepsza strategia, i wyjął w tym czasie z torby trzy oznakowane czerwoną taśmą automaty – dwa ze Svedmyra, jeden z Farsta, po czym przystąpił do ich rozkładania na w sumie czterdzieści osiem części.

Trzy lufy i trzy kolby na jednym miejscu na brzegu stołu, blisko imadła. Leo zaczął od najdłuższej lufy – umocował ją w imadle i przeciął piłą na trzy części. Później odwrócił się w stronę milczącego brata.

– Jak tam, Felix? W końcu wczoraj obrabowaliśmy bank!

Felix napełnił betoniarkę w jednej trzeciej wodą, przyniósł nieforemny worek cementu i wysypał jego zawartość do wody, wzbijając przy tym obłok pyłu. Poruszał się zbyt gorączkowo, robił za wiele hałasu. Gdyby był spokojny, nie pracowałby tak nerwowo i nie psioczyłby na kierowców jeżdżących na letnich oponach.

– Leo, przecież widzę, do diabła, że coś jest nie tak.

Bęben betoniarki obracał się monotonicznie. W końcu Felix zatrzymał go, z hukiem postawił na ziemi metalowe wiadro i przelał do niego świeżo wymieszaną masę.

– On musi wreszcie się odwalić!

– Kto?

– Po prostu się od niego odwalić.

– Ale kto? I od kogo?

– Jasper.

Felix podniósł wiadro i zaczął nalewać cement do zbitych przed chwilą skrzynek.

– Musi przestać czepiać się Vincenta. Ciągłe po nim jeździ! Bez przerwy mu coś wytyka! A to, że źle stoi na strzelnicy, a to, że zatrzymał się na ułamek sekundy przed bankiem, albo kiedy ćwiczymy w garażu, wydziera się na niego jak pieprzony Ivan.

Gdy pojemniki ze sklejk zostały napełnione do połowy, Leo rozbił młotkiem wszystkie trzy magazynki, a następnie wcisnął zmiażdżone elementy w płynny cement razem z częściami luf i kolb.

– Naprawdę tego nie widzisz, Leo? Przecież tu chodzi o Vincenta, naszego młodszego brata!

– Jesteśmy zespołem. A ja próbuję trzymać go razem.

Felix uzupełnił cement w skrzynkach po samą górną krawędź.

– Poza tym bez przerwy kłapie dziobem i obnosi się w tej swojej skórzanej kurtce za pięć kawałków i buciorach Fly High czy jak one się tam zwą...

– Hi Tec Magnum.

– Wsio ryba! Tak czy siak, łązi w tych swoich ciuchach tajniaka i mendi, że jest z policji.

– Co takiego?

– Wystarczy, że łyknie trochę piwa w jakimś podłym barze, i zaraz zaczyna bajerować każdemu, kto chce słuchać, że należy do jednostki specjalnej i że...

– W tych samych butach?

Ostatnia skrzynka. Ostatnie części broni utonęły w cementcie.

– Pytam cię, Felix! W tych samych butach, które miał na sobie w banku i w furgonetce z pieniędzmi?

– W tych samych.

Leo zaniósł ciężkie pojemniki na pakę samochodu i zamknął kłapę. Potem popatrzył przez okno w dachu na ciemny poranek. Już nie czuł się tak błogo. Zaplanować wszystko precyzyjnie – każdą sekundę, przebranie, sposób poruszania się, ton głosu, samochody do ucieczki – to jeszcze nie wszystko. Kiedy wrócili do pozbawionej wskazówek i reguł normalności dnia powszedniego, przestał ich kontrolować. „Znajdą tylko te ślady, które świadomie zostawię”. Powinien wyrażać się dokładniej, więcej wyjaśniać, wymagać większego zaangażowania.

Rzeźkie powietrze. Z nieba leciały pojedyncze płatki.

Jednak dobre samopoczucie zniknęło. Leo postanowił, że musi je odzyskać.

Słaby cytrynowy zapach. I kurz. I odgłos mopa stukającego w równych odstępach czasu o listwę przypodłogową – prawdopodobnie na drugim piętrze.

Nieczęsto sprzątano klatkę schodową. I to wczesnym przedpołudniem? Powinien zacząć czytać ogłoszenia wywieszane regularnie na tablicy przy wejściu.

Broncks wyszedł szybkim krokiem z domu w zachodniej części dzielnicy Södermalm, w którym mieszkał już dosyć długo. Zajmował dwupokojowe mieszkanie na parterze. Znał twarze prawie wszystkich sąsiadów, lecz rzadko z nimi rozmawiał. Zimne, wilgotne poranne powietrze. Minął włoską kawiarnię i przez zaparowaną szybę jak zawsze skinął głową właścicielowi, który mełł za ladą ziarna kawy.

Siedem tygodni między dwoma napadami. Cztery kilometry między miejscami przestępstwa.

I w każdym przypadku broń wojskowa.

Po raz kolejny przejrzał wszystkie sprawy dotyczące kradzieży broni z arsenału armii, skupiając się głównie na cięższym uzbrojeniu, takim jak karabin maszynowy KSP 58, niezwykle rzadki na czarnym rynku. Policja zawsze była powiadamiana o kradzieży broni takiego kalibru.

Nie znalazł nic takiego w żadnej bazie danych.

Przejsie dla pieszych przy Långholmsgatan. Trzydzieści tysięcy samochodów dziennie. Przechodząc tędy, Broncks starał się nie oddychać, dopóki nie dotarł na drugą stronę ośnieżonego wzniesienia u stóp restauracji Lasse i Parken.

Spał zaledwie trzy godziny, a mimo to czuł się rześki.

Wrócił do domu około wpół do czwartej nad ranem i co prawda od razu się położył, nie zgasił jednak lampki nocnej, tylko porównywał oba, pięcio- i dwunastosekundowe nagrania z bankowych kamer monitoringu z opisem trwającego dwadzieścia minut uprowadzenia furgonu z pieniędzmi. Siedem tygodni temu sprawcy byli Arabami. Wczoraj natomiast akcję przeprowadziła zdyscyplinowana grupa o profilu wojskowym. Dopiero gdy wyłączył światło, uzmysłowił sobie, że istnieje tylko jeden świadek, który byłby w stanie ocenić, czy mają do czynienia z tymi samymi osobami, i że ów świadek spędza dni w mieszkaniu oddalonym od niego zaledwie o dziesięć minut piechotą.

Zbiegł ze wzniesienia, minął stałe czerwone światło i przez most ruszył w kierunku wysepki Reimersholme, sennego i zapomnianego zakątka Sztokholmu z domami z lat czterdziestych, graniczącego częściowo z Långholmskanalen, nad którym dwie starsze panie karmiły starym chlebem łabędzie. Tylko trzysta metrów od pełnej spalin ulicy, na której lepiej było nie oddychać, królowała czysta natura. Broncks lubił te różnorodne twarze miasta.

Po drugiej stronie mostu stał niewielki kiosk. Jego właściciel, zawsze uprzejmy i uśmiechnięty młody mężczyzna pochodzący z Kuwejtu, otwierał bardzo wcześnie rano. Broncks kupił sobie colę i baton czekoladowy zamiast śniadania, a do tego dwie poranne gazety.

Skreślił tuż za kioskiem i przeleciał wzrokiem największe tytuły: *Najbardziej brutalny napad rabunkowy w Europie* – a poniżej fakty podane przez niego rzeczniczkowi prasowemu policji – *Osiemdziesiąt jeden strzałów z ostrej broni* – zawsze trzeba coś sprzedać mediom, żeby móc większość zachować dla siebie – *Broń używana przez armię*. – Chodziło o znalezienie równowagi między koniecznym ze względu na efektywność śledztwa zachowaniem tajemnicy a transparentnością, której domagała się opinia publiczna. Ostatecznie to społeczeństwo finansowało pracę policji. W obu gazetach na stronach od ósmej do jedenastej przedstawiano najrozmaitsze teorie, powołując się przy tym na wiarygodne źródła z bezpośredniego otoczenia śledczych, co – jak Broncks już wiedział – oznaczało po prostu, że jeden dziennikarz z drugim dziennikarzem snuli dowolne spekulacje. Według jednych źródeł cztery przestępcy to byli żołnierze sił ONZ, według innych – najemnicy, a według kolejnych – byli wojskowi z dawnego bloku wschodniego.

Dom stał na samym końcu ulicy, za nim znajdował się niewielki lasek i teren rekreacyjny. Stelaże na kajaki i wysunięte daleko w głąb wody pomosty były pokryte pierwszym śniegiem.

Wszedł w drzwi wejściowe wielorodzinnego domu z lat czterdziestych, z typową dla tamtego okresu windą i balustradą przy schodach. Piąte piętro. Czworok drzwi po jednej stronie, ale żadne z nich nie były tymi, których szukał, i czworo po drugiej – na trzecich z kolei tabliczka z nazwiskiem Lindén.

Zadzwoił, czekał.

Nad otworem na listy wisiał rysunek zrobiony kredkami woskowymi i zieloną farbą: cztery kółka, a przy każdym po cztery kreski. Ludziki. Dwa większe i dwa mniejsze. Mama, tata, dzieci. Rodzina.

Zadzwoił jeszcze raz.

– Tak?

Starszy pan około siedemdziesiątki. Żaden z ludzików.

– Szukam Jana Lindéna.

Broncks pokazał legitymację.

– John Broncks, policja kryminalna, komenda śródmieście. Chodzi o...

– Wiem, o co chodzi. Ale mój syn nie czuje się dobrze.

Biorąc pod uwagę wiek, ten starszy mężczyzna mógłby być jego ojcem. Miły głos, sympatyczna twarz. Czyli to nie mógłby być jego ojciec.

– Zabiorę mu tylko dziesięć minut. I zaraz sobie pójdę. Obiecuję.

Staruszek wciąż się wahał.

– Zobaczę, czy będzie miał siłę rozmawiać.

Powinien być piątym ludzikiem, dziadkiem z brodą. Mężczyzna zniknął w pokoju będącym prawdopodobnie salonem, sądząc po stojącym w nim telewizorze i niskim szklanym stoliku, które Broncks dostrzegł kątem oka. Drzwi do sąsiedniego pomieszczenia były otwarte – pokój dziecięcy. Na plastikowym taborecie czuwał srebrny robot, na ścianach wisiały rysunki, a w rogu stało piętrowe sosnowe łóżko z pościelą w duże ryby. Jak wynikało z protokołu przesłuchania, Jan Lindén wyjął podczas napadu dwa zdjęcia ze swojego portfela. Wyblakłą kolorową fotografię zlanego potem chłopca z opuszczonej podkolanówkami piłkarskimi i zdjęcie dziecka z brakującymi zębami pośrodku w trakcie zdmuchiwania świeczek na urodzinowym torcie.

– Może pan wejść. Ale tylko na dziesięć minut.

John Broncks zdjął buty i gdy miał już przestąpić próg salonu, usłyszał za sobą głos:

– Chciałbym, żeby mi pan to jeszcze raz obiecał.

– Za dziesięć minut mnie nie będzie.

– No dobrze. A teraz niech pan wejdzie.

Kanapa była zbyt niska, by mógł siedzieć na niej prosto, a sztuczna skóra drapała go w plecy. Ozdoby znajdujące się w pokoju stanowiły przeciwieństwo tego, co sam miał w mieszkaniu. Pomarańczowe koniki z Dalarna obok afrykańskich masek *made in China*. Po chwili wstał, poczuł się bowiem niezręcznie. Uznał, że tylko mile widziani i zaproszeni goście powinni siedzieć na kanapie.

Powolne szuranie stóp po podłodze.

– Dzień dobry. Nazywam się John Broncks. Widzieliśmy się w Sköndal. Zaraz... po...

– Zaraz... po?

Miał przed sobą mężczyznę, który po dwóch miesiącach nadal jeszcze nie uporał się z traumą, płakał, krzyczał, zażywał lekarstwa. Broncks spotykał wcześniej takich jak on. Jedni wracali do zdrowia, inni już nigdy nie żyli pełnią życia.

– Rozmawialiśmy przy ambulansie. – Nieobecne oczy patrzyły na niego, nie poznając. – I bardzo chciałbym porozmawiać z panem znowu.

Stary ojciec wspierał swojego czterdziestoletniego syna. Szare skarpety miały dziury na palcach, a spodnie od dresu były wypchane na kolanach. Na brodzie widoczny ostry zarost, a rzadkie tłuste włosy spadały nieco na błędne oczy, jakby mężczyzna się wstydził i nie chciał, by ktoś widział go w takim stanie – pracownik firmy ochroniarskiej, który nie może sobie poradzić po przeżytych szoku.

– On... on to mówił.

Lindén opadł na kanapę, na której Broncks siedział przed chwilą.

– Cały czas. Kiedy wepchnął mi lufę w usta.

– Co mówił?

– *Shoot. Shoot him.*

Ciemność prowadziła do stanów lękowych, które wywoływały bezsenność, a ta rodziła jeszcze większą ciemność. John Broncks chyba potrafił to zrozumieć. Przecież on też tak kiedyś żył.

– Proszę.

Koperta z dwoma czarno-białymi zdjęciami, ujęcia zarejestrowane przez kamerę monitoringu. Broncks położył je na szklanym blacie stolika. Jedno było zrobione z góry, oczy i usta powiększone, na drugim, wykonanym z innej perspektywy, wyraźnie widoczna pozycja strzelca napastników.

– Czy mężczyźni, których pan widział, byli podobni do jednego z tych dwóch?

Lindén drżącą dłonią przysunął zdjęcia bliżej.

– Co to... jest?

– Wczoraj o siedemnastej pięćdziesiąt jeden napadnięto na bank w Svedmyra. Jeśli porówna pan tych dwóch z tamtymi z Farsta, czy zauważa pan jakieś podobieństwa?

Lindén chciał podnieść oba zdjęcia ze stolika, ale gładki papier wysliznął mu się z wilgotnych palców.

– Wczoraj?

– Tak.

– O siedemnastej pięćdziesiąt jeden?

– Tak.

Nie udało mu się też przysunąć ich jeszcze bliżej, ponieważ przykleiły się do szklanego blatu. Zrezygnował więc i skrzyżował ręce na piersi, jakby chciał się osłonić.

– Jak już skończyli... jeden jeszcze wrócił. Nie ten, który zabrał nam identyfikatory, tylko ten drugi, spokojny. W ogóle się nie spieszył. Podszedł do siedzenia kierowcy i...

– Jan?

– ...zrobił kilka ruchów ręką, a potem usłyszałem, jak na podłogę posypały się kawałki szkła. Żebyście się nie pocięli. Tak powiedział. *So you not cut yourself.*

– Jan, jeśli nie masz siły, nie musisz o tym mówić.

– Sprzątnął te odłamki, żebyśmy się nie pokaleczyli. Rozumie pan? Najpierw: *Shoot him*, a potem...

– Jan, minęło już dziesięć minut. Na tyle się zgodziliśmy.

– ...zmiata odłamki? Nie pojmuję. Nie pojmuję.

Stary ojciec nie mógł dotrzeć do syna, bo ten po prostu go nie słuchał. Dlatego pochylił się nad stolikiem i zrzucił oba zdjęcia na podłogę.

– Niech je pan zabiera i już sobie idzie!

– Jeszcze tylko jedno pytanie. Czy widzi pan tamtego napastnika, który usunął odłamki, na którymś z tych zdjęć?

– Dosyć! – krzyknął starszy pan. – To nie są obrazy z jakiegoś pierwszego lepszego filmu! Nie rozumie pan? To nie wideo, które można sobie wypożyczyć i zapłacić pięćdziesiąt koron kary, jeśli odda się po terminie. To prawdziwe życie!

– Jestem tego świadomy. Żyję tym dzień i noc. Ale pański syn jest jedyną osobą, która może mi pomóc posunąć się dalej, zatrzymać tych lajdaków, żeby już nikt nie doświadczył tego, czego on doświadczył.

Oba zdjęcia leżały przy nodze stolika na dywanie zakończonym długimi frędzlami – upadły wierzchem do góry i teraz patrzyli na nie wszyscy trzej.

Po chwili ojciec Jana Lindéna usiadł obok syna na kanapie.

– Proszę podnieść te zdjęcia.

– Tylko jedno pytanie.

– Proszę je podnieść.

Broncks przyklęknął i zebrał fotografie z dywanu.

Stary mężczyzna wyciągnął rękę.

– Niech mi je pan da.

– Jan?

Jan Lindén na chwilę przymknął oczy, gdzieś odpłynął. Teraz spojrzął na zdjęcia trzymane przez ojca.

– Przyjrzyj się im, Jan, spróbuj. Oni już nic ci nie zrobią.

Lindén utkwiał wzrok w fotografiach. Wpatrywał się w nie długo.

– Czy to był któryś z nich? Powiedz?

Wówczas Lindén uniósł drżący palec wskazujący i wskazał powoli na jedno ze zdjęć.

– Ten.

– Poznajesz go?

– To on do mnie celował. Na pewno. Nad jeziorem, przy samochodzie.

– Jest pan całkowicie pewny?

– Stał tak samo. Ciężko. I identycznie trzymał broń. Oczywiście miał takie.

Powiedziawszy to, były ochroniarz wstał i wspierany przez ojca ruszył do wyjścia, znowu szurając stopami.

John Broncks skinął głową starszuskowi w podziękowaniu, po czym opuścił mieszkanie, zostawiając w nim mężczyznę, który jeszcze całkiem niedawno był zdrowy i sprawny, a teraz bez odpowiednich lekarstw prawdopodobnie nie będzie mógł normalnie chodzić, mówić czy myśleć i który po długotrwałym zwolnieniu lekarskim zostanie zwolniony na wcześniejszą emeryturę i otrzyma jednorazowe odszkodowanie w wysokości śmiesznych dwudziestu dziewięciu tysięcy i dwustu koron. Tak to działało. Napastnicy ukradli nie tylko pieniądze ze skarbca, ale zabrali coś, co każdemu człowiekowi wydaje się oczywiste i dane na zawsze: poczucie bezpieczeństwa. To było właściwe przestępstwo, za które należało postawić ich przed sądem. A akt oskarżenia powinien brzmieć nie „brutalny napad”, tylko „brutalny rabunek poczucia bezpieczeństwa”.

Śnieg wciąż padał. Z Feliksem na siedzeniu pasażera Leo ruszył rano do miasta, kilkakrotnie próbując dozwonić się po drodze do Jaspera. Ruch na ulicach był nierównomierny, od czasu do czasu natrafiali na korek. Zatrzymali się przed kioskiem przy Mariatorget, gdzie Felix kupił cztery największe stołeczne gazety. Potem pojechali Hornsgatan do kawiarni naprzeciwko perukarni operowej i przy kawie i bułeczkach z żółtym serem zaczęli porównywać tytuły na pierwszych stronach. Mniej więcej przy drugiej filizance dołączył do nich Vincent, przynosząc „Sydsvenskan” i „Göteborgs-Posten” z kiosku na dworcu centralnym. Tytuły w nich były trochę mniejsze, ale też na pierwszych stronach. Jeszcze jedna kanapka i kolejna bułeczka cynamonowa. Po trzeciej kawie Leo wyszedł, płacąc zużyтыми dwudziestkami wyjętymi piętnaście godzin wcześniej z szuflad w pewnym banku. Zgodnie ze swoim zwyczajem uściślał braci na pożegnanie – byli rozluźnieni. Znowu ogarnęło go poczucie, że to najlepszy czas, jaki może być – po udanym napadzie, ale nadal kilka tygodni przed następnym.

Ruszył Ringvägen na południe, a przy każdym hamowaniu czy nierówności na jezdni pięć drewnianych skrzynek z częściami unieszkodliwionej broni obijało się o ściany paki. Gullmarsplan, Sockenplan, Svedmyra. Wiedział, że w ten sposób nadłoży drogi i straci dziesięć minut, nie potrafił sobie jednak odmówić. A gdy już dojechał na miejsce, aż dwa razy okrążył rondo.

W świetle dnia wszystko wyglądało zupełnie inaczej.

Parking był zagrodzony, a samochód, którym uciekli, zabrany. Policyjna taśma odgradzająca powiewała wokół rynku i banku. Ktoś szedł do pizzerii po sąsiedzku, poza tym było pusto i cicho. Przeciwnieństwo stu osiemdziesięciu sekund agresji, strachu, stresu. Można było wręcz odnieść wrażenie, że nic się tu nie zdarzyło.

Nieustannie próbował złapać Jaspera telefonicznie, lecz bez powodzenia, dlatego postanowił pojechać do niego i dzwonić do drzwi tak długo, dopóki mu nie otworzy.

Minąwszy nieduże wille przy Sockenvägen, dotarł do starszych bloków w Bagarmossen na skraju dużego rezerwatu przyrody.

Drugie piętro. Odgłos dzwonka był tak głuchy i bezdźwięczny, jakby specjalnie zdjęto z niego metalową osłonę. Zapukał mocno w drzwi, zagruchotał metalową klapką nad otworem na listy, w końcu zawołał głośno.

Upłynęło kilka minut, zanim zaspany Jasper w białych slipach wpuścił go do środka, szczęśliwy i dumny, jak przy każdej z rzadkich wizyt Leo w jego domu.

Wąski przedpokój. Ciężkie buty ustawione na dwóch półkach, ale nie było wśród nich tych, które Jasper miał na nogach podczas napadu na bank, a potem w barze. Gospodarz przeszedł do kuchni i zaczął robić kawę. Po chwili podał przyjacielowi parującą filizankę.

– Z odrobiną mleka, tak jak lubisz.

Wynajmowana kawalerka. Czarna kotara oddzielała salon z kanapą, stołem i telewizorem. I z regałem-ołtarzykiem.

Suppressors Vol One Ruger MK and Standard Model Auto Pistol.

Suppressors Vol Two Ruger 10/22.

Cienkie książki, broszury i instrukcje obsługi stały w równych rzędach na półkach.

Suppressors Vol Three AR 7 Survival Rifle obok *Suppressors Vol Four UZI SemiAuto & SMG, The Hayduke Silencer Book, Home Workshop Silencers I American Body Armor.*

Druga część literatury szkoleniowej, która nie trafiła jeszcze w ręce Vincenta. Obok książek leżał bagnet i zielony beret ze złotym znaczkiem, podobny do tego, jaki kiedyś miał Leo. To był jeden z powodów, dla których Jasper ubiegał się o przyjęcie do tej samej jednostki i właśnie w niej odbył służbę wojskową. Na półce stało też zdjęcie w złotej ramce przedstawiające go podczas ćwiczeń

w śnieżnobiałym kombinezonie maskującym na równie białym śniegu, z załadowanym automatem pod pachą.

Ołtarz Jaspera. Świat, który wciąż ogromnie dużo dla niego znaczył, chociaż on nie pozostawił w nim dobrego wrażenia. Całe jego przeszłe i obecne życie kręciło się wokół jednego marzenia: pragnął zostać oficerem. Ponieważ jednak uznano, że nie ma odpowiednich kompetencji, w wojsku wystawiono mu na koniec notę uniemożliwiającą dalszą karierę wojskową.

Jego zapał i żarliwość czasami były zbyt duże.

I tak też było w tym przypadku.

Na swoją pierwszą przepustkę z jednostki w Norrlandzie przyjechał do Sztokholmu i przez cały weekend ani na chwilę nie odpuścił: trzymał się wyprostowany jak struna, mundur miał starannie wyprasowany, buty wyglansowane na błysk, a kiedy szli gdzieś razem, on kroczył marszowym krokiem.

Przeszli z pokoju do kuchni, żeby dolać sobie kawy.

Na stole leżało poranne wydanie „Dagens Nyheter”. Napadowi w Svedmyra poświęcono całe dwie strony; duże zdjęcia przedstawiały przerażonych świadków na placu przed bankiem. Na skraju gazety po lewej stronie stały czarne buty ze skóry i goreteksu, z dłuższą cholewką prawie sięgającą łydki, z osiemnastoma dziurkami na sznurowadła. A po prawej leżały pudełka z pastą do butów i szmatki do czyszczenia ich do połysku.

– Siedziałem całą pieprzoną noc i czekałem. Ale nigdzie nie ma ani jednego zdjęcia zestrzelonej kamery. – Leo spojrzął na przyjaciela. Chyba powinien wyrazić się jaśniej, doprecyzować. – Jasper? Sukces osiągają tylko ci, którzy całkiem identyfikują się z tym, co robią.

Leo dotknął butów. Miękką skórą, solidna gumowa podeszwa. Elastyczniejsze od klasycznych butów wojskowych.

– Najlepsi artyści nie przestają być artystami, nawet kiedy przychodzą do domu i zajądają kolację. Najskuteczniejsi maklerzy giełdowi nie przestają być maklerami z wybicciem piątej po południu. A ty jesteś teraz kasjarzem obrabiającym banki. I to przez cały czas. Także po przejściu na drugą stronę blokady. Psy wciąż nas szukają, bez przerwy, teraz też siedzą w swoim pałacu na Kungsholmen i próbują ustalić, co z nas za jedni. Jeżeli popełnimy choćby jeden błąd, dopadną nas.

Odwrocił oba buty podeszwami do góry; ze środka wypadły silikonowe podkładki pod pięty.

– Na każdym kroku, w każdej sekundzie musisz myśleć i oddychać jak kasjarz.

– Uważaj, do cholery, moje podkładki!

– Posłuchaj, Jasper. Tych butów nie możesz już nosić, okej? Nigdy. Spalimy je. I kupimy nowe.

– Pogięło cię?

– Miałeś je w Farsta. Wczoraj też. A teraz ganiasz w nich po knajpach. Człowieku, chyba odjęło ci rozum! Przecież wiesz, że wszystko, czego używaliśmy, musi zostać zniszczone!

Jasper przykleknęła na podłogę, żeby podnieść spod stołu dwie silikonowe wkładki.

– A ty wiesz, że ja... że one... to są moje ulubione buty i zawsze w nich chodziłem! Przecież je wyczyściłem i wypuowałem... żadne inne nie są takie wygodne!

Leo stał przed człowiekiem, który kilkanaście godzin temu strzelał ostrą amunicją w pomieszczeniu pełnym ludzi. Przed człowiekiem, który chciał zostać kimś, kim nigdy nie będzie. I przywiązywał się do rzeczy, które mu się należały, jak wojskowy beret ze złotą odznaką. Hi Tec Magnum. Słynne buty taktyczne. Najpierw nosi je amerykańscy gliniarze i żołnierze sił specjalnych, a teraz także wszyscy szwedzcy policjanci kupowali je w tym samym miejscu, w centrum Sztokholmu, przy Sveavägen.

– Wiem, że je lubisz. Rozumiem cię. Ale jeśli oni zdejną gdzieś ślad, a potem natrafiają na twoje buty, będziemy załatwieni.

Leo trzymając je w jednej ręce, drugą zaczął otwierać szufladę za szufladą w kuchennej szafce.

– Wezmę je i spalę. Żeby ci tego oszczędzić. Masz jakąś foliową torbę?

– Sam to zrobię.

– Nie.

Jasper gniótł nerwowo w pięści silikonowe podkładki. Po chwili otworzył szufladę z używanymi reklamówkami, wyjął jedną i włożył do niej buty. Następnie podał torbę Leo.

– Okej.

Ołtarzyk z poradnikami na temat techniki wysadzania.

Z oddaniem pielęgnowane buty – bliższe mu niż niejeden człowiek.

– Jesteś naprawdę dobry, Jasper, piekielnie dobry!

– Co?

– Nigdy się nie wahasz. Bez ciebie nie dalibyśmy rady.

Jasper uśmiechnął się tak samo jak w chwili, gdy zobaczył Leo w drzwiach i gdy serwował mu kawę z idealną ilością mleka.

– Ale jest jedna rzecz.

Dumny uśmiech trochę przygasł.

– Spójrz na mnie, Jasper.

– No?

– Chciałbym, żebyś następnym razem o tym pamiętał. Już kiedyś o tym mówiliśmy.

– No, wal! Wiesz przecież, że zrobię, co tylko chcesz.

– Kiedy mówię „koniec”, to ma być koniec.

Jasper nie potrafił kontrolować agresji, tylko był w jej władaniu. Nadal snuł mrzonki o karierze wojskowej, mimo że nie sprostał wymaganiom i został odesłany do cywila. A zostając wbrew poleceniu dłużej w banku i strzelając, udowodnił, że rzeczywiście nie nadaje się na oficera. Nie potrafił wyhamować w odpowiedniej chwili i jeśli nikt go tego nie nauczy, przyjdzie taki moment, że będzie strzelał nie tylko do kas pancernych i kamer monitoringu, ale też w ludzkie głowy.

– Mieliśmy precyzyjnie wyliczony czas i kiedy minął, powinniśmy byli opuścić bank.

– Kurde, Leo, przecież to dla nas wszystkich przestrzelałem te kurewskie zamki! Tylko dzięki mnie zwinęliśmy tyle kasy, ile chcieliśmy, a nie byłoby żadnego problemu, gdyby Vincent nie zatrzymał się jak jełop. Przez niego miałem mniej czasu! – Jasper wyciągnął spod stołu jedno z dwóch krzeseł i usiadł. – Kurde, Leo, przecież ja bez przerwy łamię sobie głowę, co zrobić, żebyśmy byli jeszcze lepsi i skuteczniejsi, żeby mieć jeszcze więcej kasy. Słyszysz, Leo? – W jego oczach był żal i jednocześnie irytacja. – Przecież to jest teraz całe moje życie. Ty, Felix i Vincent. Dzielę z wami wszystko.

Leo usiadł na krześle naprzeciwko niego.

– Ty też jesteś nam potrzebny. Już ci to mówiłem. Dobrze wiesz, że bez ciebie nie dalibyśmy rady.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. W końcu Leo wstał, trzymając torbę z butami w ręku. Jasper znowu się uśmiechnął.

– Posłuchaj... Przyszło mi coś do głowy.

– Mianowicie?

– Następnym razem w Ösmo, tak? A w drodze do domu, po tamtych dwóch... moglibyśmy zaliczyć jeszcze jeden.

– Jeszcze jeden?

– W Sorundzie.

Sorunda. Leo znał bardzo dobrze lokalizację tamtego banku. Oddalony zaledwie dziewięć kilometrów od obu położonych po sąsiedzku w Ösmo. Jeden z rozważanych przez niego obiektów, zanim zdecydował się na Svedmyra. Tyle że wtedy brał go pod uwagę jako cel pojedynczy, a nie trzeci, załatwiony po drodze do domu po dokonaniu pierwszego w Szwecji podwójnego napadu na bank.

– To byłaby gruba rzecz, ale do zrobienia. – Jasper zauważył, że Leo słucha, dodał więc głośniejszym głosem: – Jestem pewny, że mogłoby się udać. Jeśli tylko się postaramy, żeby psy były gdzieś indziej. Na przykład... zagrozimy wysadzeniem bomby.

– Bomby?

– Na dworcu centralnym. Albo na lotnisku, na Arlandzie. Oba miejsca leżą wystarczająco daleko.

Leo zrobił krok do przodu.

– Posłuchaj, nie będziemy grozić żadnymi bombami na żadnych dworcach.

– Ale gdyby tak...

– Nie będziemy grozić bombami, których nie ma.

Leo postawił torbę z butami na podłodze.

– To jej zbudujemy.

Tyle ładnych domów. I nawet nazwa była ładna – Äppelviken, Zatoka Jabłkowa. John Broncks mieszkał przez całe życie w Sztokholmie, a nigdy tu nie był. Wystarczyło kilka minut jazdy i znalazł się w zupełnie innej rzeczywistości, w okolicy jakby odgradzonej niewidzialnym murem.

Główna ulica biegła wzdłuż wąskich torów szybkiego tramwaju Nockebybanan. Przy szkole odbił w lewo i niewielkimi uliczkami jechał powoli w stronę okolicy nad wodą, sprawdzając po drodze nazwiska i numery na skrzynkach pocztowych. W końcu zatrzymał się przed domem leżącym tuż nad jeziorem Målar. Cienka warstwa śniegu przykrywała trawnik. Wokół krasnała zdającego się stać na straży widać było świeże ślady butów jednego dorosłego i dwojga dzieci. Być może skrzat z zastygłym uśmiechem został postawiony w ogródku dopiero niedawno.

Broncks nacisnął dzwonek przy drzwiach, na których widniał napis: „Witamy”. Pachniało smakowitym jedzeniem.

– Dzień dobry.

Otworzyła mu dziewczynka, prawdopodobnie starsza, sześćoletnia córka. Jak w wielu szwedzkich domach w tym dniu roku, była ubrana w długą białą szatę, a na głowie miała wianek z zapalonymi świeczkami ku czci świętej Łucji.

– Dzień dobry, czy zastałem tatę?

Dziewczynka poprawiła sobie pasek z błyszczącego papieru.

– Jestem Łucja. A pan?

– Wobec tego ja jestem bożonarodzeniowym skrzatem. No więc, czy tata jest w domu?

– Wcale nie jest pan skrzatem. Bo ja nim jestem – powiedziała druga, młodsza, która nagle stanęła przed nim, zmierzwszy go od góry do dołu. – Pan w ogóle nie wygląda jak skrzat.

Po czym zniknęła, a za nią pospieszyła także Łucja. Po chwili Broncks usłyszał głos młodszej córki: „Tato, tato, na dworze stoi jakiś pan i kłamie”, a zaraz potem odgłos ciężkich kroków.

– John?

Jego przełożony, jeden z ważniejszych dyrektorów sztokholmskiej policji, miał zawiązany na brzuchu fartuch w kratkę i ścierkę wetkniętą za pasek.

– Możemy porozmawiać? Zajmę ci najwyżej dziesięć minut. I zaraz sobie pójdę. Ciebie też nie będę męczył.

– Też?

– Składam dzisiaj krótkie wizyty. Wpuścisz mnie czy jednak nie?

Przedpokój z dużymi i małymi płaszcami wiszącymi na wieszakach i haczykach. A na podłodze pary dużych i małych butów. Łucja i skrzat siedziały w salonie nad pudełkiem pierników.

Karlström poprowadził gościa na schody.

– Na górze będzie spokojniej.

W gabinecie Karlströma na piętrze stały stare biurko, uginające się od książek regały i fotel dla gości, w którym Broncks zapadł się głęboko.

– Osiem tygodni temu zrabowano ponad milion koron i oddano czterdzieści strzałów.

Za oknem rozciągał się piękny widok na zamrażnięte jezioro z panoramą Sztokholmu po drugiej stronie.

– Dwadzieścia dwie godziny temu zrabowano prawie dwa miliony koron i oddano osiemdziesiąt strzałów. W tej samej okolicy i z użyciem podobnej broni. Ta sama szajka pojawia się nagle nie wiadomo skąd i znika bez śladu.

Z dołu dochodziły dźwięki kołęd.

– Można przypuszczać, że na przygotowanie trzeciego napadu potrzebują równie mało czasu. Kilka tygodni? Może miesiąc? Tyle mamy, żeby ustalić, kim są. I capnąć ich w domu albo w drodze do pracy czy na siłowni albo przy wyjściu z supermarketu. A nie dopiero wtedy, kiedy popełnią jakiś błąd podczas następnego skoku. Biorąc pod uwagę ich dotychczasowe poczynania, nie ma wątpliwości, że w razie konfrontacji nie zawahają się użyć przeciwko nam broni.

– Tatusiu?

Mała rączka nacisnęła klamkę i do pokoju weszła Łucja.

– Słucham?

– Co wy tu robicie?

– Pracujemy.

– Jak to pracujecie?

– Ktoś zrobił coś... niedobrego.

– Czyli co?

– Takie rzeczy robią tylko dorośli.

– Czyli co?

– Idź z powrotem do mamy. Niedługo przyjdę.

Dzieci. Rodzina. Inny świat. Broncks nie miał pewności, odniósł jednak wrażenie, że Łucja, wychodząc, mrugnęła do niego porozumiewawczo.

– Dziś rano byłem u człowieka, którego pozbawiono ludzkiej godności. Nie chciałbym już nigdy spotkać kogoś takiego. – Spojrzał na Karlströma. – Ma czterdzieści lat, a nie jest w stanie nawet sam wstać z krzesła. Musiał go podtrzymywać jego stary ojciec. Dziury w skarpetach, tłuste włosy, puste oczy.

Potem zwrócił wzrok na piękne biurko.

– Mówiłem ci, że oni zrobią to jeszcze raz. I zrobili. Na pewno planują następny skok.

Zerknął za okno. Widok krasnali ogrodowych w świątecznej iluminacji stanowił diametralnie przeciwieństwo wszystkich decyzji, jakie jego szef musiał podejmować każdego dnia.

– To ta sama banda?

– Ta sama.

– Skąd to...

– Byłem tego pewien już wcześniej, a teraz zdobyłem jednoznaczne potwierdzenie.

Karlström nigdy nie wzdychał, to nie było w jego stylu.

– Od jutra, John, odkładasz na bok absolutnie wszystkie inne sprawy i zajmujesz się tylko tą tak długo, aż nie napadną już na żaden bank.

Kiwnawszy głową, Broncks wstał i ruszył w kierunku drzwi.

– Powiedziałem „od jutra”, John. – Jego szef zbyt dobrze go znał, by nie wiedzieć, że bezpośrednio od niego pojedzie na komendę i spędzi tam cały wieczór. – Skoro ja cię wysłuchałem i przychyliłem się do twojej prośby, chciałybyś żebym i ty zrobił coś dla mnie.

– To znaczy?

– Masz zostać. U nas. Na kolacji. Chyba czujesz, jak pięknie pachnie? Tymianek, szalotka, seler i ciężkie czerwone wino.

Kilka chwil później Broncks siedział w jadalni za stołem razem z bożonarodzeniowym skrzatem, świętą Łucją, swoim szefem i jego żoną, której dotąd nie miał okazji poznać. Dosyć szybko doszedł do wniosku, że należy do gatunku kobiet wyposażonych w swego rodzaju radar towarzyski, co oznacza, że na przyjęciu pełnym gości po zaledwie kilku minutach pamięta już ich imiona i sprawia, że każdy czuje się kimś ważnym. Jednak na niego to nie działało. Sporo wysiłku kosztowało go udawanie, że jest częścią tej rodziny, toteż nie bez wewnętrznej irytacji słuchał opowieści o orszaku świętej Łucji w przedszkolu i odpowiadał na pytania obu dziewczynek, jak długo zna ich tatę. Po kolacji, nie skorzystawszy z propozycji Karlströma, aby napił się jeszcze koniaku, z prawdziwą ulgą podziękował i ruszył do wyjścia.

– John!

Szef położył mu dłoń na ramieniu.

– Siedzisz w firmie do późna prawie co wieczór.

– Owszem.

– Wciąż przerzucasz te swoje papiery.

– No tak.

– Wszystkie prowadzone przez ciebie sprawy dotyczą brutalnej przemocy.

– Taki jest dzisiejszy świat.

– Kiedy ja kończę swój dzień pracy, zamykam teczkę z aktami, kładę je do szuflady i dopiero następnego dnia zastanawiam się, którą mam znowu wziąć do ręki. Ty natomiast otwierasz je jeszcze

raz przed samym wyjściem, wyjmujesz zdjęcia potrzaskanych kości i podbitych oczu. I czytasz. Godzinami.

– Taki jest świat.

Dłoń szefa wciąż spoczywała na ramieniu Broncksa; była ciężka, nie pozwalała mu się ruszyć.

– Wczytujesz się w te akta nie po to, żeby znaleźć rozwiązanie spraw.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Ty chcesz przybliżyć się do niego.

– Dziękuję za kolację. Było miło.

Broncks nacisnął klamkę, którą już tak długo ścisnął, i uchylił drzwi wyjściowe. Karlström go jednak nie puszczał.

– Jeszcze nie skończyłem.

Szef trzymał go mocno za ramię.

– Masz w nosie tych wszystkich ludzi z twoich kartotek. Guzik cię obchodzi, jak się nazywają, jak wygląda ich życie. Ty po prostu próbujesz... zrozumieć.

Otwarte drzwi między zimnem a ciepłem. Zimnem wpełzającym pod kurtkę i ciepłem płynącym z eleganckiego domu, którego mieszkańcy jedli francuską kolację.

– Ale nigdy ci się to nie uda... nie uda ci się zrozumieć, jeśli się z nim nie zobaczysz. Wcześniej czy później. Nie mam racji, John? Może to dobry moment. Masz kilka tygodni przewagi. Pojedź tam.

Zdjął rękę Karlströma ze swojego ramienia. Uznał, że to już lekka przesada. Przecież jest jego przełożonym, a nie żadnym kumplem.

– Rozumiem, że już skończyłeś.

John Broncks otworzył szeroko drzwi, wyszedł i szybko je za sobą zamknął. Śnieg padał coraz mocniej.

„Pojedź tam”.

Wiedział, że jego szef ma rację.

Śnieg zachrząścił pod oponami, kiedy Leo zatrzymał pick-upa. Wjechał w ciemny las rezerwatu w okolicach Nacka i zatrzymał się, gdy szeroka droga przeszła w wąską ścieżkę. Otworzył część bagażową i wyjął z niej pięć ciężkich skrzynek wypełnionych cementem, a następnie zaniósł je na skałę spadającą stromo do cichego, samotnego jeziora.

W słabym świetle samochodowych reflektorów zrzucił wszystkie po kolei na lód, który pękł pod ich ciężarem; wkrótce jednak zamarznie znowu, kryjąc pod swoją powierzchnią pociętą na części i zamurowaną w cemencie broń. Na wiosnę na twardej powierzchni wyrosną algi i te obce ciała staną się naturalną częścią dna jeziora. Pokryją się zielonym nalotem podobnym do tego, jaki zawsze pokrywał ścianki akwarium, które stało na wąskiej szafce między jego łóżkiem a łóżkiem Feliksa. Nigdy nie byli w stanie usunąć go ze szkła.

Następnie nogami odgarnął śnieg, rozłożył składany szpadel i wykopał dół. Wstawił do niego ciężkie buty z cholewkami, które jeszcze niedawno stały świeżo wypucowane na stole u Jaspera w kuchni. Połał je denaturatem i podpalił. Gdy błyszcząca skóra i solidne gumowe podeszwy zajęły się ogniem i zaczęły się topić, Leo poczuł gryzący dym w oczach i nosie.

Broń popiłowana na części. Buty spalone. Ale nawet Felix i Vincent nie wiedzieli, gdzie pozbył się tych rzeczy. Nie dlatego, żeby im nie ufał. Wręcz przeciwnie, nigdy w nich nie wątpił, nie chciał tylko narażać ich na ryzyko, by ktoś kiedyś nazwał ich kapusiami, gdyby zdarzyło się najgorsze. W czasie przesłuchania prowadzący dochodzenie zawsze szukał czegośkolwiek, co pozwoliłoby mu powiązać podejrzanego z przestępstwem. Leo wołał im tego oszczędzić. Dobrze pamiętał, jak sam siedział kiedyś naprzeciwko tłustego gliniarza, który bez przerwy stawiał te same pytania.

„Nie wydałem cię. Nie ratowałem siebie, tylko ciebie”.

Zostawił las za sobą i wrócił do domu przez skute zimnem miasto. Gdy wjechał w bramę, czekali już na niego na podwórzu. Jeszcze przed jeziorem zadzwonił do Feliksa i powiedział, że muszą przyjechać. W telefonie słychać było hałaśliwy zgiełk knajpy, kontrastujący z miłą ciszą rezerwatu. Felix zaprotestował, czego Leo zresztą się spodziewał, ale po chwili zawołał Vincenta i zamówił taksówkę.

– Co, do kurwy nędzy, jest nagle takie pilne?

Leo słyszał w głosie brata alkohol i jak zawsze potrafił bezbłędnie ocenić, ile głębszych albo butelek już wychylił.

– Pogadamy w garażu.

Taksówka stała nieco dalej z włączonym silnikiem.

– To na twój koszt, braciszku – uprzedził Felix. – A jak wejdziemy do środka, będzie jeszcze drożej. Spieszmy nam się z powrotem.

– Idź, nie gadaj – powiedział Leo, po czym podszedł do taksówki, zapukał w okno i wręczył kierowcy dwie pięćsetki. Ledwie szyba się zasunęła, z przodu zapaliła się zielona tabliczka z napisem „Wolny” i samochód odjechał.

– Zadzwonisz sobie po nową, jak skończymy.

W garażu było ciemno i zimno. Leo zapalił światło, włączył termowentylator. Vincent wszedł za nim, podczas gdy Felix został demonstracyjnie na zewnątrz. Gdy jednak starszy brat rozłożył dużą mapę Sztokholmu i południowych przedmieść, dołączył do nich.

– Tutaj.

– Co: tutaj?

– Ósmo za dwadzieścia dni.

Leo zakreślił czerwonym flamastrem koło na jednym końcu mapy, blisko drogi krajowej i niezbyt daleko od otwartego morza.

– Mówisz poważnie?

– Nigdy dotąd nie obrabowano dwóch banków jednocześnie.

– Tyle to i my wiemy! Zostawiliśmy supermiejsce przy oknie i tłukliśmy się czterdzieści pięć minut taksówką, żeby usłyszeć coś takiego, do cholery?

– Felix, posłuchaj.

– Nie, to ty posłuchaj! Siedzieliśmy sobie milutko w knajpie, w końcu dziś jest świętej Łucji, tak czy nie? Popijaliśmy sobie piwko i coś tam szamaliśmy. A ty ściągasz nas do tego pieprzonego zimnego garażu... Za kilka dni Boże Narodzenie! Chyba, kurde, należy nam się parę dni wolnego, nie uważasz?

– Będziesz świętować w przyszłym roku.

Leo wygładził mapę, jakby to był obrus na stole, przy którym niedawno siedzieli jego bracia.

– Nikt jeszcze nie zrobił podwójnego skoku. Dlatego my zrobimy potrójny, od razu na trzy banki.

Leo pociągnął czerwoną kreskę od czerwonego kółka oznaczającego niewielką miejscowość Ösmo wzdłuż drogi 225 i zakreślił nowe kółko wokół jeszcze mniejszej miejscowości o nazwie Sorunda.

– Po drodze do domu. Mijamy go często. Nieduży bank, bez żadnej ochrony.

Felix spoglądał na zmianę na starszego brata i na mapę z czerwonymi znakami.

– Kto tu jest pijany: ja czy ty?

Wyjął Leo flamaster z ręki i narysował nowy, większy okrąg.

– Stąd nie ma w ogóle jak zwać. Żadnych dróg ucieczki do wyboru. To tak, jakbyśmy podali im swoją pozycję jak na dłoni i poprosili ich jeszcze, żeby nas otoczyli.

Leo odebrał bratu flamaster i tym razem narysował krzyżyk poza mapą – bezpośrednio na drewnianym blacie warsztatu.

– Nikt nas nie otoczy, jeżeli gliny nie będą miały w okolicy ani jednego swojego człowieka do dyspozycji. – Spojrzał na obu braci, po czym wskazał na krzyżyk. – To jest dworzec centralny w samym centrum Sztokholmu. Czterdzieści dziewięć kilometrów dalej. Policja będzie miała ręce pełne roboty... z rozbieraniem bomby.

Biały, płaski krajobraz. Kiedy wyjeżdżał ze Sztokholmu, było ciemno, a teraz oślepiało go światło słońca odbijające się od śniegu. Ciągle czuł na swoim ramieniu rękę Karlströma.

To był kretyński pomysł, że został u niego na kolacji. W momencie, gdy przyjął zaproszenie na *coq au vin*, nawiązał równocześnie bliższą relację między przelożonym a podwładnym. Jako policjant zorientowany w życiorysach przestępców skazanych na dożywocie, Karlström znał jego historię, nigdy dotąd jednak nie dał mu tego do zrozumienia. Na korytarzach komendy nikt nie kładł nikomu dłoni na ramieniu, ale przy rodzinnym stole, w atmosferze wzajemnej życzliwości i ciepła, bariery pękały.

Po wizycie u szefa krążył bez celu po spowitym ciemnością Sztokholmie, tuż przed północą wstąpił do knajpy przy Bergsunds Strand, gdzie utknął na kilka godzin na wysokim stołku przy barze, a potem pojechał do domu przy Högalidsgatan, aby po kolejnej nocy z kilkoma godzinami snu wsiąść do samochodu i popijając po drodze kawę z tekturowego kubka, ruszyć do więzienia o zaostrożnym rygorze w Kumla, dwieście trzydzieści kilometrów na północ. Zdawał sobie sprawę, że nie robi tego ze względu na Karlströma, nie wątpił jednak, że szef miał rację.

I Sanna także.

Wykorzystali już wszystkie kontakty, jakie mieli z podziemnym światkiem – bez skutku. Ale istniał jeszcze jeden, dostępny wyłącznie jemu.

Na horyzoncie widoczny z daleka szary betonowy mur – siedem metrów wysokości, zwinięty drut kolczasty na szczycie. Od jego ostatniej wizyty upłynęło już kilka lat, lecz gdy się tu zbliżał, ogarnęło go to samo uczucie: czy po drugiej stronie tego muru są naprawdę ludzie, którzy myślą, śpią, jedzą i spędzają każdy dzień na tęsknocie za tym, co zostawili?

Zaparkował blisko bramy, wysiadł i nacisnął dzwonek.

– John Broncks, policja kryminalna.

Domofon przy wejściu zatrzeszczał głośno. Chyba nie działał.

– John Broncks, komenda Sztokholm...

– Słyszałem już.

– Na widzenie z Samem Larsenem.

– Nie było zgłoszone i umówione.

– Zgłaszam teraz.

– Zgodnie z przepisami trzeba je zgłosić minimum sześć godzin wcześniej. Ten obowiązek dotyczy także policjantów.

– To nie jest zwykła wizyta. Prowadzę śledztwo.

Klikięcie oznaczało zwolnienie zamka i otwarcie drzwi. Po kilku krokach Broncks dotarł do wartowni z zakratowanym okienkiem głównego strażnika. Umundurowany funkcjonariusz siedział na swoim stanowisku w otoczeniu urzędowych ozdób adwentowych – w oknie wisiała plastikowa gwiazda, a ohydny renifer ze słomy stał na jednym z wielu monitorów odbierających obrazy z pięćdziesięciu ośmiu kamer monitoringu.

Broncks pokazał legitymację i dostał identyfikator dla gości. Choć powinien przypiąć go do marynarki na piersi, wsunął go do kieszeni. Inny strażnik zaprowadził go do pokoju widzeń i zostawił samego w pomieszczeniu, w którym stało podwójne łóżko z ordynarnym foliowym ochraniaczem na materacu i prosty stół z dwoma równie prostymi krzesłami. Z kranu na ścianie monotonnie kapąła woda do umywalki, a z zakratowanego okna widać było mur od wewnętrznej strony. Tutaj nie czuło się świąt ani żadnych pór roku, tutaj żyli ludzie, którzy nie liczyli dni.

Mniej więcej po piętnastu minutach otworzyły się drzwi i jako pierwsi do środka wkroczyli dwaj strażnicy, aby się upewnić, czy wszystko jest jak trzeba, po czym wyszli i zamknęli je za sobą, zostawiając w pomieszczeniu mężczyznę, którego przyprowadzili. Był starszy o dwa lata, trzy miesiące i pięć dni od Johna Broncksa. I o trzy centymetry wyższy. A teraz także o trzydzieści kilogramów cięższy. Wcześniej mieli podobną budowę, lecz osiemnaście lat codziennego wyciskania ciężarów zbudowało nową strukturę tej pozbawionej wszelkiej konstrukcji egzystencji.

– Cześć.

Obrzucili się spojrzeniem. Jeden był w dżinsach, marynarce i zimowych butach. Drugi – w wypchanych spodniach, w spranym T-shircie z więziennym logotypem na piersi i w klapkach na gołych stopach.

– Powiedziałem cześć.

Broncks usiadł przy chybliwym stole, Sam zaś stanął przy oknie i wyjrzał na dziedziniec. Stąd widział mur z innej perspektywy.

– Jak się czujesz?

Przez pierwsze lata odsiadywania przez Sama kary dożywocia odwiedzał go dosyć często – najpierw w Hall, potem w Tidaholm. Wtedy nie rozumiał jeszcze, że ktoś, kto nie może myśleć o swoim życiu w kategoriach czasu, nie może mieć też żadnej nadziei, nie może patrzeć w przyszłość. A kiedy sobie uświadomił, że taka egzystencja zmienia człowieka, jego wizyty stały się coraz rzadsze, aż w końcu w ogóle przestał przyjeżdżać. W tym pokoju widzeń nie był chyba nigdy.

– Posłuchaj... Gdy następnym razem będziesz zamierzał się tu wybrać, to uprzedź wcześniej. Jak wszyscy inni. Jak każdy, kto akurat nie jest gliną. Bo jak wrócę do swojej roboty do kuchni, nie chcę kolejny raz odpowiadać na pytania, dlaczego się objam. Ty, do jasnej cholery, powinienes wiedzieć to chyba najlepiej – człowiekowi nie może się tutaj zdarzyć chyba nic gorszego niż nagła i nieuzasadniona wizyta psa.

Sam stał wciąż przy zakratowanym oknie, odwrócony tyłem.

– Spytałem, jak się czujesz.

– Jak się czuję?

– Tak.

– A od kiedy cię to obchodzi? – Szerokie plecy się obróciły. Oczy zwróciły się na Broncksa. – Widzę, że nie umiesz odpowiedzieć na to pytanie, więc powiedz chociaż, co, u diabła, cię tu przywiało?

John Broncks wyciągnął drugie krzesło spod stołu i podsunął Samowi. Szło lepiej, niż się spodziewał. Przynajmniej rozmawiali.

– Dwa duże napady rabunkowe. W Svedmyra i w Farsta. Ci sami sprawcy.

Jego starszy brat wołał jednak stać.

– Mama była u mnie w zeszłym tygodniu.

– Superuzbrojeni. Perfekcyjnie zorganizowani.

– Poczęstowałem ją ciastem marmurkowym. Pamiętasz, John, jak ono smakuje?

– Może to ktoś, z kim siedziałeś? Pewnie wy tutaj...

– A poprzednim razem... były muffinki.

– ...gadaliście o tym?

Rozwścieczony Sam pochylił się nad stołem.

– Nie było cię tu od trzech cholernych lat! I nagle się zjawiasz, i myślisz... że czegoś się ode mnie dowiesz, tak?! Że pomogę ci w jakimś pieprzonym dochodzeniu!

Sam trząśł się cały, kiedy podszedł do drzwi i wyciągnął rękę do czerwonego dzwonka.

– Spadaj, John!

– Sam, przecież wiesz, że chcę się z tobą widywać. Jesteś moim bratem.

– Nawet gdybym coś wiedział, to i tak nie pisałbym słówkiem! Ale nie wiem. Nikt nic nie wie! Tu, w tych murach, nikt nigdy o nich nie słyszał! Kapujesz, braciszku? Ci goście są zupełnie nieznanzi. Nigdy nie siedzieli. A mimo to świetnie wiedzą, co robią.

Sam popatrzył długo na brata nieprzeniknionym wzrokiem. Znowu przybliżył palec do czerwonego guzika, nacisnął i pochylił się do mikrofonu.

– Widzenie skończone.

– Zostało ci jeszcze ponad pół godziny.

– Którego słowa nie rozumiałeś? Powiedziałem wyraźnie, chcę wrócić na oddział.

Zimna, ohydna nora, kilka metrów kwadratowych poza wszelkim czasem, poza porami roku. Unikali nawzajem własnych spojrzeń tak samo jak w dzieciństwie, gdy coś nabroili i jeden próbował przetrzymać drugiego.

– Mówisz, że była u ciebie mama?

Ciasto marmurkowe. Muffinki. Więżniowie uznani za niebezpiecznych i osadzeni na długo zawsze piekli przed widzeniami ciasto. Broncks uśmiechnął się słabo. Pokój wizyt w więzieniu o zaostrzonym

rygorze – świeże ciasto na chybliwym stole obok chamskiej folii na łożku do pieprzenia się.

– Jak wygląda?

On, żyjący na wolności, w ogóle się z nią nie widywał. Ale brat, który siedział tutaj za kratkami, spotykał się z mamą regularnie.

– Wiesz, Sam, że ty masz z nią częstszy kontakt ode mnie?

Na korytarzu rozległy się kroki i po chwili drzwi otworzyli ci sami strażnicy.

Sam ruszył już, prowadzony między nimi, gdy nagle się odwrócił.

– Powinieneś to zmienić.

– Co?

– Widywać się z nią. Ona powoli zaczyna się starzeć.

John patrzył na znikające w głębi długiego korytarza szerokie plecy swojego starszego brata między szczupłymi mundurowymi. Oddał identyfikator, wyszedł przez wartownię i bramę w murze, usiadł w swoim samochodzie i nie ruszył z miejsca.

Mur wysoki na siedem metrów. Czterystu sześćdziesięciu trzech groźnych przestępców skazanych na długie lata więzienia. Jeden z nich przewodniczył więziennej radzie samopomocy, był kimś w rodzaju telefonu zaufania.

Jego brat.

I nawet on nic nie słyszał, nic nie wiedział. Czterej mężczyźni, których Broncks szukał, byli taką samą zagadką i poza murami więzienia, i wewnątrz nich.

Uruchomił silnik i ruszył. Śnieg wciąż iskrzył się w słońcu.

Drogi w okolicy więzienia były białe i czyste. Dwieście trzydzieści kilometrów dalej, gdy E4 przeszła w Essingeleden prowadzącą w kierunku Kungsholmen i wjazdu na podziemny parking policji wykuty w górze pod Kronobergsparken, ulice pokrywała brudna śnieżna breja.

John Broncks poszukiwał informacji o przestępcach, którzy uciekali się do skrajnej przemocy. Z tego powodu przestąpił próg najcięższego więzienia w Szwecji, gdzie tego rodzaju zbrodnie i wykroczenia zawsze stanowiły temat rozmów.

Nikt nic nie wiedział.

Tropił czterech typów, którzy nie byli znani nikomu za murami więzienia, choć mieli dostęp do broni i wydawali się świetnie zorganizowani i przygotowani.

Automatyczne drzwi do garażu otworzyły się powoli i Broncks wjechał na policyjny parking, który wydawał się pełny. Szukając miejsca, zastanawiał się, co ci wszyscy ludzie właściwie robią, przesiadując całymi dniami w swoich biurach. Gdy zmierzał do windy, usłyszał odgłosy dochodzące z małego garażu zajmującego cztery miejsca parkingowe i przeznaczonego dla techników kryminalnych. Zawrócił i wszedł do środka. Tak jak poprzednim razem zastał w nim Sannę. Dzisiaj leżała ukryta niemal cała w wanie z napisem „Pogotowie kanalizacyjne” na obu bokach i badała jego wnętrze za pomocą lampy podczerwieni.

– Pierwszy samochód użyty do ucieczki. Van marki Dodge.

Sanna wyczołgała się z auta, po czym przeszła do drugiego, stojącego tuż obok, i wzięła do ręki lampę UV.

– Drugi samochód użyty do ucieczki. Van marki Dodge.

Ten sam mechaniczny ton. Ciekaw był, czy jest tego świadoma, czy też jej głos automatycznie przybiera takie obojętne brzmienie na jego widok, a potem wraca do normy.

– Nie najnowsze modele. Skradzione w nocy poprzedzającej napad. Za pomocą czegoś takiego.

Podniosła podłużne narzędzie: drewniany uchwyt przechodził w metalowy cienki drut. Skierowała go na mały, kwadratowy kawałek taśmy klejącej na drzwiach pod boczną szybą.

– Czymś takim da się otworzyć równie szybko jak kluczykiem. Przeciskasz... o tutaj... przez blachę i pyk, jesteś w środku.

Wyrzuciła kawałek taśmy, odsłaniając wyraźną dziurę, następnie otworzyła drzwi i usiadła ostrożnie za kierownicą.

– A do uruchomienia stacyjki użyli czegoś, z czym się jeszcze nie spotkałam: wzięli wkręt do drewna, nierdzewny, trzymilimetrowy, o ostrych krawędziach.

Usunęła obudowę wokół stacyjki, którą przykręcono już na nowo. Sprawcy zrobili to samo: zamontowali ją prowizorycznie, żeby nic nie było widać, dzięki czemu opóźnili odkrycie tego szczegółu i zyskali na czasie.

– Wkręcasz wkręt w miejsce, gdzie normalnie wkładasz kluczyk, nie za głęboko, bo można wszystko popsuć, maksymalnie na dwa, trzy gwinty. Mocne uderzenie w główkę wkrętu... potem wystarczy zwykły śrubokręt i uruchamiasz silnik.

Skończyła. Broncks dobrze znał jej manierę, polegającą na tym, że odwracała się plecami, kiedy nie chciała dalej rozmawiać. Otworzyła laptopa, który stał na masce samochodu, i zajęła się czymś innym. Żadnego „cześć”, „do widzenia”, nic takiego. Powiedział więc „na razie” i wyszedł. W połowie drogi do windy usłyszał, jak Sanna zawołała za nim:

– Hej! Jeszcze nie skończyłam!

Zatrzymał się i odwrócił.

– Nie?

– Jest jeszcze coś.

Odkręciła ekran laptopa i czekała, żeby podszedł bliżej.

– Przyjrzyj się temu kadrowi.

– Już go widziałem.

– Wiem, ale spójrz jeszcze raz.

Kamera numer 2. Dwanaście sekund. Ujęcie z ukosa z góry.

– Jego mikrofon. Próbowałam ustalić markę, dlatego powiększyłam obraz i skupiłam się przy okazji na kołnierzu kombinezону, kilka sekund przed ich wejściem.

Przewinęła nagranie do tyłu, zatrzymała obraz.

– W sumie cztery sekundy, piętnaście klatek na sekundę. Chciałabym, żebyś obejrzał każdą po kolei.

Stała całkiem blisko niego, a jej głos nie był już tak mechaniczny. Znajomy zapach. Dziwne uczucie. Jakby znajdowali się w innym czasie, jakby za chwilę mieli wyjść stąd razem i pójść do wspólnego mieszkania. Jakby nie dzieliło ich dziesięć lat.

– Tutaj.

Pierwszy napastnik był zaledwie o krok od drzwi.

Zatrzymał się.

– Jego dłoń.

Sanna powiększyła obraz.

– Widzisz?

John skinął głową. Widział. Bardzo wyraźnie.

Ten, który szedł pierwszy i przewodził, przystanął, odwrócił się, opuścił broń, po czym uniósł lewą rękę do kołnierza swojego kombinezону, gdzie miał wpięty mikrofon, i zasłonił go dłonią. Potem pochylił się lekko i przesunął słuchawki na głowie drugiego.

– Mikrofon marki Sennheiser. Ale to nieważne. W każdym razie w tej chwili.

Cztery sekundy, sześćdziesiąt klatek, jeszcze raz.

– Ten ruch... widzisz?

Dłoń na mikrofonie. Dłoń na słuchawkach. A zaraz potem – Broncks był tego pewny – gość coś... szepnął.

– Coś mi się tu nie zgadza – powiedziała Sanna.

Przybliżyła na monitorze usta i wąskie wargi, dwie jasne kreski w ciemnym materiale wypowiadające jakieś słowa.

– Dłoń. Szept. Nie rozumiem.

Sanna spojrzała z bliska na Johna – z równie bliska jak postać na zatrzymanym kadrcze patrzyła na kompana tuż za swoimi plecami.

– Z jednej strony wojskowa dyscyplina, a z drugiej... coś takiego. Intymny gest. Można odnieść wrażenie, że kładzie rękę na mikrofonie, a potem unosi temu drugiemu słuchawki niemal z czułością. Widzisz? A dosłownie za sekundę wejdzie do środka i zacznie walić z automatu.

Dwa miesiące nieprzerwanego dochodzenia, pracy niemal na okrągłą dobę, nie przyniosły żadnych rezultatów. Wciąż nic nie wiadano o sprawcach. A tutaj nagle ten drobny gest. John Broncks widział i czuł to. Nie do końca miał pewność, co to jest, lecz po raz pierwszy w tej gonitwie za cieniami ujrzał ludzi z krwi i kości. Jak na dwóch brutalnych napastników ograbiających bank ci dwaj stali zadziwiająco blisko siebie i wydawali się sobie osobliwie bliscy.

Poza tym miał wrażenie, że dostrzegł coś jeszcze.

– Możesz zmniejszyć to ujęcie z powrotem do normalnej wielkości? I puścić jeszcze raz całą sekwencję? Cztery pierwsze sekundy.

Zrobiła, o co poprosił.

– Zatrzymaj... tutaj. I powiększ... O, teraz. Jego twarz. Tylko ją.

Trzej faceci w szeregu tuż przed wejściem do banku. Broncks wskazał palcem na tego pośrodku.

– Widzisz? On ma opuszczone powieki.

Oczy widoczne w czarnych otworach. Nie ulegało wątpliwości. Były zamknięte.

– Przewiń do przodu.

Przesuwając powoli kursor po osi czasu, przechodziła od ujęcia do ujęcia.

– On się waha. Jest niespokojny.

Oczy ukryte w masce wciąż były zamknięte.

– On się boi, a to tutaj... to mi wygląda na ciepły i serdeczny uścisk, nie uważasz!? Przywódca z mikrofonem go ochrania. Oni dwaj są sobie bliscy.

John Broncks unikał windy, bo czasami musiał po prostu trochę się poruszać, zmusić serce do szybszej pracy.

Niemal wbiegł po schodach na górę. A potem otworzył u siebie okno na oścież, wpuścił do środka wilgotne i zimne powietrze z dziedzińca komendy, które zderzyło się z gorącym służbowego pokoju.

Wyglądali na bardzo zżytych. To dosyć nietypowe jak na groźnych złodziei obrabiających bank.

Przywódca powinien wydawać polecenia, rozkazywać, ale widocznie niepokój i wahanie jego towarzysza były ważniejsze.

Coś jeszcze zwróciło uwagę Broncksa.

Jeden był wysoki, a drugi trochę niższy. Jeden szeroki w ramionach, drugi jeszcze jakby niewyrośnięty. Jeden starszy, drugi młodszy.

Zażyłość. Zaufanie.

Dłoń zasłania mikrofon i głos dociera tylko do jednego, wybranego, rozwiewa jego niepokój, a potem we dwóch, razem, podchodzą do wejścia do banku.

Właśnie to Broncks dostrzegł i rozpoznał między nimi. Więź. Która polegała na tym, że ktoś zawsze był w pobliżu, obejmował go co wieczór i mówił, że wszystko będzie dobrze. A później pewnej nocy zakradł się do sypialni rodziców i wbił tacie nóż między zębra. Starszy brat, który uspokajał go i pocieszał, a zaraz potem popełnił zbrodnię.

Kilka głębokich wdechów w otwartym oknie. John Broncks teraz już wiedział.

Po raz pierwszy od przejęcia sprawy udało mu się w ogóle cokolwiek wydedukować. Sprawcy nie byli już całkiem bezpostaciowi. Mieli przynajmniej kontury.

Zażyłość. Zaufanie.

To byli bracia.

W ciągu ostatnich tygodni pogoda się zmieniała. Śnieg zaczął się topić jeszcze przed Wigilią, a pierwszego dnia świąt bez przerwy padał deszcz, co spowodowało, że ziemię przykrywała brudna breja z resztek śniegu, lodu i piasku pozostającego po posypywaniu chodników i jezdni. Leo właśnie liczył na coś takiego – na szare Boże Narodzenie z czarnymi ulicami i drogami. Bardzo chciał, aby ocieplenie się utrzymało, bo sucha nawierzchnia ułatwiłaby ucieczkę po napadzie.

Cztery kanapki owinięte w folię. Kubki, łyżeczki, mleko, słoiczek z cukrem i termos z kawą w foliowej torbie. Dwie rośliny w doniczce na parapecie, a między nimi porcelanowy aniołek bez jednego oka, z odpadającą farbą z jednej strony. Kiedyś stał w rodzinnym domu Anneli, a teraz co roku przez kilka tygodni około Bożego Narodzenia czuwał w ich kuchni pod świąteczną gwiazdą. Ozdoby świąteczne były wszędzie. Zdecydowanie za duży plastikowy Święty Mikołaj pojawił się na podłodze przy lodówce, a drugi, równie okazały, pod półką na czapki w przedpokoju, kilka mniejszych zaś przycupnęło na schodach na górę, a jeden pod choinką w salonie. To były rzeczy, które Anneli wniosła w jego życie i które miały dla niej spore znaczenie. Gdy nadchodził grudzień, wypakowywała je z kartonu opatrzonego napisem „Dekoracje świąteczne”, a on przyglądał się, z jaką niecierpliwością i radością je rozstawia, a potem przenosi z miejsca na miejsce, dopóki nie uzna, że to lub tamto jest najlepsze.

Poobijany porcelanowy aniołek i cała gromada plastikowych Świętych Mikołajów. A przecież to tylko zwykła data, w niczym nie ważniejsza od 24 listopada czy 24 października. Ale być może Anneli potrzebowała jakichś stałych punktów w rzeczywistości, aby odmierzać mijający czas. Świetnie nadawały się do tego sylwester, Wielkanoc, sobótka i inne dni, które dla niego też były wyłącznie datami. Ktoś inny o tym zdecydował i za pomocą takiego narzędzia jak kalendarz usiłował sterować życiem ludzi. A przecież ważne i istotne jest tylko to, co ty sam za takie uznasz i co sam zrealizujesz. Chodzi o stworzenie własnego kalendarza – na przykład 2 stycznia nastąpi pierwszy w Szwecji potrójny napad na bank, a 17 lutego, 11 marca i 16 kwietnia to daty wybrane przez niego samodzielnie na kolejne napady i tylko dlatego zyskiwały na znaczeniu.

Stojąc przy oknie, podniósł porcelanowego aniołka i spróbował odczytać stempel na podstawce. Po chwili odstawił go z powrotem.

Pragnienia.

Bardzo kruche. Był zmuszony delikatnie ostudzić jej pragnienia, wyjaśnić, że tego roku nie będzie prawdziwych świąt, ale że z rozmachem będą obchodzić następne Boże Narodzenie, jak już będzie po wszystkim, i to z takim rozmachem, jak sąsiedzi po drugiej stronie płotu, którym często przyglądała się przez okno w kuchni. W Wigilię podchodziła do niego setki razy.

Wieczorem zjedli szynkę, czerwoną kapustę, pulpety mięsne i zapiekankę zwaną pokusą Janssona, dał jej prezent gwiazdkowy dla syna, do którego pojechała od razu po świątach. Zapalili nawet świece i siedząc w fotelach, oglądali ze dwie godziny kreskówki z Kaczorem Donaldem i oczywiście *Boże Narodzenie Karla-Bertila Jonssona*. W końcu miał już dość i zszedł do groty Fantoma, żeby kontynuować pracę nad swoim własnym kalendarzem.

Z torbą foliową w ręce wyszedł w mrok wilgotnego poranka. Buty na cienkiej podeszwie od razu przemoczyły się w brei ze śniegu i deszczu. W garażu natomiast dzięki szumiącemu termowentylatorowi było sucho i przyjemnie ciepło. A dzięki mocnym jarzeniówkom także jasno. Vincent, Felix i Jasper czekali już na stołkach wokół stołu zrobionego z płyty pilśniowej opartej na dwóch drewnianych koziolkach. Na wierzchu leżała rozpostarta mapa.

– Kawa i coś na ząb.

Leo rozdał kubki i kanapki.

– Mleka?

W poprzek mapy biegła niemal prosta czerwona linia. Zaczynała się w centrum Sztokholmu, w części noszącej nazwę Kronoberg, gdzie mieściła się główna siedziba i biło serce stołecznej policji, a kończyła czterdzieści dziewięć kilometrów dalej, w Osmo, w miejscu, w którym dwa banki stały

ściana w ścianę. Linia ta przecinała Sztokholm, gminy Huddinge, Haninge oraz Nynäshamn i miała rozstrzygające znaczenie, jeśli chodzi o odwrócenie uwagi prowadzącej pościg policji, a także skuteczną ucieczkę z miejsca przestępstwa.

– Obiekt numer jeden.

Dziesięciokoronówka w dłoni Leo. Położył ją na jednym z oznaczających gęstą zabudowę szarych prostokątów na końcu czerwonej kreski.

– Obiekt numer dwa.

Następna moneta dziesięciokoronowa położona na pierwszej.

– I tutaj, tuż pod oknami obiektu, stoi auto, którym uciekniemy.

Samochodzik zabawka, też w czerwonym kolorze.

– To ty, Felix.

W torbie przyniesionej przez Leo znajdowały się jeszcze inne rzeczy. Papierowe pudełko, które wszyscy dobrze znali. Trzy zielone plastikowe żołnierzyki, które kiedyś stały na podłodze mieszkania w Skogås. Miały zaledwie kilka centymetrów wysokości i pachniały identycznie jak dawniej. Żołnierze amerykańscy w skali 1 : 72.

– To jest Vincent, to Jasper... a tutaj będę ja.

Rozsunął złote monety i ostatnią figurkę postawił na jednej z nich.

– Obiekt numer jeden, Leo, otwiera drzwi. Obiekt numer dwa, Jasper i Vincent, otwiera drzwi. Jest za dziesiątej trzecia.

A teraz samochodzik Dinky Toys. Czerwony volkswagen model 1300, tak zwany garbus, wciąż jeszcze w oryginalnym opakowaniu, którego żaden z nich nie miał serca wyrzucić, ponieważ Leo ukradł kiedyś to autko w sklepie z zabawkami w Skogås specjalnie dla Feliksa.

– Felix zajmuje się samochodem, tak samo jak w Svedmyra.

Większy karton z innymi figurkami w skali 1 : 72. Pachniały tak samo dziwnie i intensywnie, ale były brązowe i miały helmy trochę bardziej okrągłe od amerykańskich i inną broń.

– Żołnierze rosyjscy.

Leo wysypał całą garść plastikowych figurek na początku linii i ustawił w szeregu; kilku umieścił jeszcze w trzech innych miejscach trochę dalej.

– Gliny. Większość jest w Sztokholmie. Ale kilku mamy też w Huddinge i w Handen. A najmniej parszywych psów stoi i czeka tutaj... w Nacka.

Upewnił się, czy wszystkie figurki są na właściwych miejscach. Następnie podniósł nad nimi ręce niczym jakiś olbrzym i powoli przesunął wszystkie razem do punktu, w którym zbiegały się ulice, tory kolejowe i linie metra, na szarą plamę w samym centrum Sztokholmu.

– Oni wszyscy zjadą się tutaj. Na dworzec centralny. – Spojrzał na Jaspiera i skinął głową. – Dlatego że my podłożymy tam bombę. Prawdziwą bombę w skrytce do przechowywania bagażu.

Vincent jak zwykle w ogóle się nie odzywał. Teraz jednak postawił mocno kubek na blacie, powodując, że ostatnie figurki przewróciły się na mapę.

– Vincent, do cholery...

– To będziemy jeszcze na dodatek terrorystami?

– Nie odpalimy tej bomby. Ale gliny muszą wiedzieć, że to nie ściema i że jest prawdziwa.

Leo wskazał na stos żołnierzyków wokół sztokholmskiego dworca głównego.

– Nasz pierwszy manewr odwracający uwagę to zamknięcie dworca. Policja skupi się na pilnowaniu porządku wokół niego i na rozbrojeniu bomby, a my w tym czasie obrobimy dwa banki czterdzieści dziewięć kilometrów stamtąd.

Nic to nie pomogło. Vincent demonstracyjnie przesunął połowę leżących żołnierzyków w kierunku Starego Miasta, a drugą – w stronę Kungsholmen.

– A potem? Gdzie podłożymy następną bombę? Na zamku? Na komendzie policji? Czy może porwiemy się na coś większego?

Leo z mieszaniną irytacji i dumy uśmiechnął się do Vincenta, po czym cierpliwie przemieścił wszystkie figurki z powrotem w okolice dworca.

– Nasz drugi manewr służący odwróceniu uwagi: dwa czerwone samochody.

Chwyciwszy palcem wskazującym i kciukiem garbusa, który dotąd stał na półce nad łóżkiem Feliksa, przejechał nim po mapie bocznymi drogami od punktu oznaczającego dwa banki.

– Użyjemy samochodu, który każdy rozpozna. I który nieliczni gliniarze, jacy zostaną jeszcze na południu od miasta, znajdują tutaj.

Przełonił czerwonego garbusa z drogi, którą zamierzali uciekać, na drogę szybkiego ruchu za bankami.

– Tu sobie będzie stał. No i oczywiście policja od razu zablokuje tę drogę w przekonaniu, że pojechaliśmy nią dalej.

– Nie rozumiem – odezwał się najmłodszy z braci.

– Vincent, to...

– Nie rozumiem, dlaczego dałeś mi całą górę książek i powiedziałeś, że będziemy obrabiać banki.

– No i?

– Budowanie bomb to nie to samo co napadanie na banki.

– Vincent, słyszysz mnie?

– Tak?

– Jeśli nawet skonstruujemy bombę i ją podłożymy, to nie znaczy, że ona wybuchnie. Okej?

Vincent nie dotknął już ani jednego żołnierzyka. Nie spuścił też wzroku ani nie uciekł nim w bok, tylko wciąż nie odrywał oczu od swego najstarszego brata.

– Nadal nie rozumiem.

– Posłuchaj, czy nie możesz...

– Nie kapuję, po co mamy budować jakąś pieprzoną bombę, a potem sami pakować się w pułapkę i zostawiać samochód, który każdy rozpozna na głównej drodze, jak na patelni!

Leo nie był już zirytowany, ale wciąż trochę dumny z tego, że najmłodszy brat uparcie domaga się odpowiedzi.

– Otóż to! Chodzi o to, żeby oni właśnie tak pomyśleli! A my w tym czasie będziemy już tutaj, Vincent, na jakiejś niewielkiej bocznej drodze, i będziemy jechać do trzeciego banku.

Trzecia dziesięciokoronówka sunęła po mapie wzdłuż wąskich kresek do niewielkiej miejscowości Sorunda.

– Dalej nic z tego nie rozumiem.

Nie bez dumy Leo wyjął z torby jeszcze jeden samochodzik.

– Wiecie, ile czasu zajęło mi znalezienie tego autka? Obleciałem wszystkie sklepy z zabawkami w mieście i wreszcie zobaczyłem je na wystawie u handlarza starociami przy Ringvägen.

Dokładna kopia pojazdu, którym mieli uciekać – czerwony volkswagen garbus. Postawił go przy trzeciej monecie.

– To tym samochodem będziemy jechać jakąś boczną szosą. – Następnie wskazał na drugi koniec mapy. – A tymczasem identyczny wóz będzie stał sobie tutaj, a drodze szybkiego ruchu, zamkniętej blokadami z obu stron.

Leo spojrzął na Vincenta, który nie zamierzał już protestować, a przynajmniej nie tego ranka.

– Czary-mary, bracie. Zostały nam cztery dni.

Za każdym razem, kiedy Felix skręcał kierownicą, uderzał łokciem w drzwi od strony kierowcy i chociaż odsunął swój fotel maksymalnie do tyłu, przy przełączaniu biegów sięgał kolanami deski rozdzielczej.

Nie dość, że było ciasno za kółkiem, to na dodatek samochód nie miał wielkiej mocy ani łatwo się nie prowadził. Tym razem jednak przy wyborze pojazdu liczyło się całkiem inne kryterium: miał być łatwy do rozpoznania i do opisania.

Począł, aż drzwi do garażu się otworzą, po czym wjechał do środka. W jaskrawym świetle leżała na stole rozpostarta mapa, a na niej trzy dziesięciokoronówki i dwa czerwone samochodziki obok stosu plastikowych żołnierzyków. Zamknął drzwi i ściągnął z półki przybitej do ściany te same narzędzia co zawsze, kiedy zmieniali samochód na inny model: klucz francuski, śrubokręt, wkrętak.

– Co?! Mamy jeździć czymś takim? – wybuchł Jasper, który siedział z Vincentem i Leo w głębi garażu i razem z nimi wyjmował z czterech kartonów zawinięte w cienką folię paczki.

– Tak, właśnie czymś takim – potwierdził Felix.

Jasper wstał i podszedł do auta.

– Tym... kretyńskim garbusem? Felix, litości, przecież te czerwone samochodziki Leo postawił tylko dla przykładu, a ty wzięłeś to na poważnie?

– Super, Jasper.

– Przecież, kurde, nie będziemy chyba...

– I właśnie o to chodziło. Nie masz zielonego pojęcia o samochodach, a mimo wszystko ten rozpoznałeś, czyli inni też go zapamiętają.

Był to dokładnie ten sam model co dwie miniatutki stojące na mapie. Najbardziej rozpoznawalne auto świata. Akurat to Felix wynajął u Gotlandczyków pod Södertälje i teraz musiał je poznać. Najpierw na klęczkach rozkręci drzwi, a potem siedząc na fotelu kierowcy, rozłoży na części pierwsze stacyjkę i blokadę kierownicy, złoży z powrotem i rozłoży jeszcze kilka razy, aż dojdzie do takiej wprawy, że będzie w stanie ukraść dwa identyczne auta, czyli włamać się do nich w kilka sekund, nie zostawiając żadnych śladów.

– Jest koszmarnie mały.

Leo z foliową paczką w jednej ręce i kartonem w drugiej odszedł od stołu i stanął między Feliksem a Jasperem, wypełniając wyrwę, która powstała między nimi kilka tygodni temu i w żadnym razie nie powinna się pogłębić.

– Chyba ja będę siedział z przodu, tak czy nie?

Leo mrugnął porozumiewawczo do brata i przyjaciela, po czym wręczył Feliksowi paczkę.

– *Extra large.*

Nowy kombinezon, czarny. Felix wyjął go z torby i potrząsnąwszy mocno, rozłożył.

– A to dla ciebie. Rozmiar czterdzieści pięć.

Podał Jasperowi brązowe pudełko. Silny zapach skóry rozszedł się, zanim Jasper zdążył je otworzyć.

– Takie buty noszą izraelscy spadochroniarze. Cztery pary w jednym rozmiarze i bez żadnych uszkodzeń na podszewkach. Kiedy technicy policyjni zaczną obwąchiwać okolicę i szukać śladów, natrafią na... identyczne.

Felix wciągnął kombinezon, a Jasper zawiązywał buty.

Nowa broń. Nowe stroje. I nowe auta.

Leo poklepał dłońią dach czerwonego samochodu.

– Potrzebne są nam dwa takie. Ten sam model, ten sam rok produkcji, ten sam kolor. Najpierw szukamy tutaj, na południu. Jasper w Huddinge. Vincent i Felix w Skogås, Trångsund i Handen. Ja z Anneli pojadę do Farsta i Hökarängen. Jeśli nic nie znajdziemy, rozejrzemy się po północnych dzielnicach. Mamy jeszcze trzy dni.

Konstrukcja była w gruncie rzeczy całkiem prosta. Czysto mechaniczna. Podłużna i wąska metalowa kaseta wypełniona w połowie gwoździami, śrubami, nakrętkami i plastycznym materiałem wybuchowym m/46. Przy krótszym boku zamocowany był połączony z lontem zapalnik uderzeniowy. Prosta reakcja łańcuchowa: A wyzwala reakcję B, a B wyzwala reakcję C. Otworzenie krótszego boku spowoduje uruchomienie zapalnika i w konsekwencji wybuch zawartości kasety i śmierć wszystkiego, co żywe, w najbliższym otoczeniu.

– Widziałeś go?

Leo siedział w garażu na stole z czerwonym stalowym drutem w ręce, z którego właśnie odcinał dokładnie dziesięć centymetrów. Mapa, dziesięciokoronówki i plastikowe żołnierzyki leżące tu wczoraj zostały spalone – przecież i tak wszystko mieli w głowach: gdzie, kiedy i jak.

– Felix, słyszysz?

– Co takiego?

– Widziałeś Vincenta?

Felix zamienił wiertarkę do drewna na wiertarkę do metalu; niewielki otwór powinien znajdować się dokładnie dośrodku górnej ścianki kasety kryjącej w środku gwoździe i materiał wybuchowy.

– Już jedzie.

– Kiedy będzie?

Leo wsunął ucięty kawałek drutu przez wyborowany otwór i umocował go na zapalniku.

– Felix, pytam cię, kiedy on będzie?

– Zaraz.

Rozległo się pukanie do drzwi garażowych.

Leo otworzył. Do środka wdarło się zimne i rześkie powietrze. W oddali rozległ się głuchy huk fajerwerków.

– Za dwadzieścia dwunasta. Spóźniłeś się.

– Nie mogłem złapać taksówki.

Zamknąwszy drzwi, Leo uścił najmłodszego brata, następnie cofnął się o krok i patrząc na niego, gwizdnął z uznaniem: Vincent miał pod kurtką ciemny garnitur i białą koszulę z rozpiętym kołnierzykiem.

– Łał, wyglądasz jak dorosły facet.

– Dwa tysiące. Kupiłem sobie dzisiaj.

Vincent wręczył Leo papierową torbę, którą przyniósł ze sobą, i ruszył w głąb garażu.

– To jest ta... bomba?

Dwie butelki Bollingera stanęły na stole obok trzech kieliszków do szampana.

– No, to jesteśmy gotowi – powiedział Leo.

– Czyli co, teraz będziemy terrorystami?

Vincent wpatrywał się w szaroczną skrzynkę i w dłoń Feliksa, który odrywał taśmę klejącą.

– Wyobraź sobie, że na przykład mogłaby się tam znaleźć akurat nasza mama i wstawić torbę do skrytki obok!

– Myślałem, że już to sobie wyjaśniliśmy i temat jest zamknięty.

– Może dla ciebie, Leo. Ale nie dla mnie.

– Vincent, posłuchaj jeszcze raz. Nie położymy tam tej skrzynki po to, żeby kogokolwiek zabić, już ci to mówiłem. Chodzi tylko o to, żeby policja była przekonana, że to żadna ściema, i potraktowała sprawę poważnie. Jeśli natomiast użyjemy atrapy, wtedy od razu nas przejrzą.

– A jak ona... mimo wszystko wybuchnie? Przez przypadek?

Leo pochylał się ku bratu. Poczul od niego alkohol.

– Vincent? Ty wcale nie łapałeś taksówki. – Pociągnął głośno nosem, dając do zrozumienia, co ma na myśli. – Siedziałeś w domu i piłeś.

Leo próbował spojrzeć najmłodszemu bratu prosto w oczy, ten jednak wciąż nie odrywał wzroku od skrzynki z czerwonym drutem wystającym z wywierconego na wierzchu otworu.

– Posłuchaj, Vincent, jeżeli masz mi coś do powiedzenia, to wal prosto z mostu. Jesteśmy braćmi! Nie musisz się przedem zaprawiać!

– Już powiedziałem. To wszystko mi śmierdzi.

– Jak to „śmierdzi”?

– Po prostu mi się nie podoba. Żle się z tym czuję. I jeśli nic się nie zmieni, to ja... się wypisuję.

– Vincent, skup się teraz. – Leo lekko uchylił wieko skrzynki, pod którym pokazały się ułożone warstwami gwoździe, śruby i materiał wybuchowy. – Jeśli to wszystko jest zabezpieczone – dotknął czarnego zapalnika w kształcie rurki – to nie ma prawa wybuchnąć.

Następnie wsunął palec wskazujący do czerwonej zawlecзки z drutu na drugim końcu zapalnika.

– Jeśli pociągnę jeszcze trochę bardziej za to... – pokazał uszko zawlecčki – jeśli będę chciał, żeby doszło do wybuchu, wtedy wystarczy milimetr i będzie po nas. Ale powtarzam: tylko pod warunkiem, że pociągnę za ten pierścień zabezpieczający. – Leo ostrożnie wyjął palec z zawlecčki. – Słuchaj dalej. Najpierw zawiadomimy gliny, że na dworcu w skrytce leży bomba. Pojadą tam i zobaczą, że bomba jest prawdziwa. I oni zajmą się rozbrajaniem, a my w tym czasie zrobimy swoje. Obrobimy dwa banki w Ösmo, a potem jeszcze w Sorunda po drodze do domu. Policja zablokuje całe miasto, rozlokuje swoich ludzi wszędzie gdzie się da, ale przez ładnych kilka godzin będzie pięćdziesiąt kilometrów od nas. Nikomu nic się nie stanie. Możesz być pewny, Vincent. Nikt nie zginie. Żadna starsza pani, która wstawi swoją torbę do skrytki obok bomby.

Felix ostrożnie zabezpieczył wieko skrzynki taśmą klejącą i na wszelki wypadek okleił je jeszcze raz. Stał między swoimi dwoma braćmi i słuchał ich rozmowy, nie wtrącając się ani słowem. Bardzo dobrze to znał. Dotąd to on zawsze protestował, a teraz pierwszy raz zrobił to Vincent. Felix wiedział, jak się to skończy. Najstarszy brat nie da się przegłosować, bo to on tu dowodzi i zaraża wszystkich energią. On na pewno się nie zmieni.

– No to jak? Zgoda?

Vincent nie bez wahania skinął potwierdzająco głową.

– I bardzo dobrze. Bo już za dziesięć dwunasta. Najwyższa pora odpalić szampana.

Zapiął kurtkę, sięgnął po kieliszki i butelki ze stołu, po czym ruszył w stronę drzwi.

– Poczekaj, Leo. Musimy sobie wyjaśnić coś jeszcze.

Felix oparł łokieć na stole, jakby chciał dać do zrozumienia, że wcale mu się nie spieszy.

– Skoro już mamy tu naszego najmłodszego brata – zwrócił się w stronę Vincenta – niech nam powie, kto otworzył drzwi.

Vincent spojrzał na niego zdezorientowany.

– Wtedy, kiedy przyszedł ojciec.

Leo popatrzył na Feliksa i pokręcił głową.

– Felix, do jasnej cholery, znowu chcesz bić pianę? To akurat tyle dziś znaczy, co zeszłoroczny śnieg! Człowieku, za osiem minut północ! Idziemy!

Teraz młodszy brat też pokręcił głową.

– Zaraz. Najpierw to sobie wyjaśnimy.

Wykopali kryjówkę pod pokojem. Obaj przesiąkli odorem gliny i blocka. A potem, przy płukaniu betoniarki, zaczęli się kłócić o to, kto dawno temu otworzył drzwi, kto wpuścił do domu kogoś, kogo nie powinno w nim być, i w końcu doszli do wniosku, że każdy przekonany jest równie mocno o tym, że zrobił to on.

– Vincent, powiedz, kto otworzył drzwi staremu, kiedy przyszedł, żeby zabić mamę?

– O czym wy mówicie?

– Kiedy wypuścili go z więzienia. Po tym jak przeniesliśmy się z mamą do Falun. Kiedy do nas przyjechał.

Felix popatrzył na Leo. **J a o t w o r z y ł e m.** Leo spojrzał na Feliksa. **J a o t w o r z y ł e m.**

– Kto otworzył drzwi?

– Felix, opamiętaj się, przecież on miał wtedy sześć lat! Chcesz z niego zrobić świadka koronnego czy co?

Vincent patrzył na nich obu zaskoczony.

– Siedem, miałem siedem lat, kiedy on chciał zamordować mamę.

Felix zrobił teraz to, co miał zwyczaj robić Leo: położył ręce na ramionach Vincenta.

– Zapomnij o tym, że jesteśmy twoimi starszymi braćmi. Powiedz, co widziałeś. To byłem ja czy Leo?

Leo wskazał butelkę szampana na swój zegarek na ręce.

– No, powiedz, co pamiętasz. Felix będzie w końcu zadowolony i będziemy mogli stąd pójść.

Stał tam. Felix tuż obok, z ręką na skoblu. Leo szedł do nich.

– Vincent, mów wreszcie! Co widziałeś? To byłem ja czy Leo?

Podskakiwał. Ale nie mógł dosięgnąć. Chociaż niewiele brakowało.

– To ja.

A potem udało się, dosięgnął. Przekręcił skobel.

– To ja otworzyłem.

Leo roześmiał się, ale ani głośno, ani radośnie.

– Dyplomatyczna odpowiedź.

Felix nawet się nie roześmiał.

– Nie pajacuj, do jasnej cholery! Powiedz, jak było, nikt nie będzie na ciebie zły, obiecuję... No, kto to zrobił?

– Ja. Pamiętam dobrze. Stałem pod drzwiami, przekręciłem skobel, nacisnąłem klamkę i otworzyłem drzwi.

– Ty?

– Tak.

Felix zrobił się purpurowy na twarzy. Wprost kipiał. Jak to możliwe, że wszyscy trzej stali pod tymi drzwiami i teraz każdy jest przekonany, że to właśnie on je otworzył.

– Wobec tego gdzie ja, do jasnej cholery, byłem? A może w ogóle mnie tam nie było? Leo wisiał mu na plecach, ty otworzyłeś, a ja co? Siedziałem w kuchni na krześle? W kiblu? Czy w ogóle nie istniałem? I może to też wy napluliście mamie w twarz? Tak? No, który z was?

– A jakie to ma w ogóle znaczenie?

– Dla mnie ma. I to duże.

W garażu zaległa cisza. Z dworu dochodził odgłos fajerwerków, z każdą sekundą coraz donośniejszy.

– To ty na nią naplułeś. Ale to nie ma żadnego związku. To było całkiem... co innego.

Leo kiwnął na Feliksa.

– To naprawdę nie ma dziś żadnego znaczenia.

Trzydzieści sekund do północy. Trzymając trzy kieliszki, Leo otworzył drzwi garażu. Ukazało się wieczorne niebo pełne spadających gwiazd. Kolorowych pióropuszy i kwiatów, które rozkwitały, by po chwili zgasnąć. Usunął złotą folię z szyjki i z hukiem odkorkował szampana.

– Powodzenia!

Trzy kieliszki z musującym trunkiem.

– Za Gettryggen, za Farsta, za Svedmyra.

Leo uniósł kieliszek ku niebu, które robiło się na przemian zielone, czerwone, złote i niebieskie.

– I za przyszły rok! Za Ösmo, Rimbo, Kungsör i Ullared.

Za magazyn z bronią. Za furgonetkę z pieniędzmi. Za pojedynczy, podwójny i potrójny napad.

A kiedy już skończą, sprzedadzą broń policji i znikną na zawsze.

– Ale przede wszystkim za Ösmo! Za dwa dni.

Gwoździe, śruby, nakrętki i materiał wybuchowy ważyły niemało. Czuł ich ciężar w ramieniu i przedramieniu, gdy ścisnął uszy torby podróżnej. Normalnym krokiem mijał ludzi jedzących kielbaski, czytających popołudniowe gazety, popijających kawę z tekturowych kubków i raz po raz zerkających na ogromną tablicę elektroniczną na ścianie nad wyjściem na perony. Nylonowa torba ważyła z dziesięć kilo, ale on starał się nieść ją tak, aby wyglądała na lekką, jak gdyby były w niej jedynie ubrania i może ewentualnie jeszcze neser, czyli rzeczy, jakie znajdowały się w bagażu niemal każdego podróżnego przemierzającego marmurową posadzkę hali głównej.

Stołeczny dworzec był światem samym w sobie, miejscem, które dzieli i jednocześnie łączy; choć przewijało się tu mnóstwo ludzi, nikt nic nie znaczył.

Ale każdy różnił się od niego. Cienia mającego jeden jedyny cel.

Musiał dotrzeć do skrytek bagażowych, otworzyć jedną z nich, wstawić torbę, zamknąć i odejść.

A jednocześnie miał nie rzucać się w oczy i wyglądać tak, jakby przed chwilą przyjechał do Sztokholmu albo właśnie z niego wyjeżdżał. Podróżny w czarnej wełnianej czapce i zimowej kurtce podobnej do innych.

Kiedy od strony Vasagatan wszedł przez rozsuwane drzwi do ogromnej hali głównej, najpierw pokreślił się między grupkami ludzi i kasami, przystanął przed tablicami informującymi o przyjazdach i odjazdach pociągów, następnie mimo kamer monitoringu i strażników wtopił się w tłum, tak aby potem nikt nie mógł dojść, kto ponosi odpowiedzialność za to, że zatrzymano wszystkie pociągi, zarówno zmierzające do stolicy z najprzeróżniejszych zakątków Szwecji, jak i te, które miały do nich jechać. Następnie skierował się w stronę rzędów skrytek bagażowych, jak przypadkowy podróżny przagnący na kilka godzin pozbyć się niewygodnej torby i trochę odpocząć.

Leo wiedział, że parking na godziny pod wiaduktem naprzeciwko Sheratonu jest jedynym miejscem w okolicy dworca pozostającym poza zasięgiem kamer monitoringu umiejscowionych na dachach domów. Przed chwilą Jasper zniknął w głównym wejściu i wmiszał się w morze głów. On siedział za kierownicą ich firmowego samochodu i czekał, aż Jasper wróci. Potem mieli odebrać Feliksa i Vincenta z nieczynnej stacji benzynowej i ruszyć wszyscy razem na południe, w kierunku Ösmo.

Komórkę trzymał w tej samej bocznej kieszeni spodni co całówkę i klucz francuski. Właśnie zadzwoniła. Chociaż nie powinna. Tylko sześć osób znało ten numer telefonu na kartę. Jasper, który był teraz w środku, Felix i Vincent, którzy na niego czekali, i Anneli w domu, w Tumba. Oni wszyscy wiedzieli, że nie wolno im dzwonić. Poza tym mama, ale ona o tej porze zwykle spała, ponieważ pracowała nocami.

– Tylko znowu się nie rozłączaj.

I... ojciec.

– Muszę z tobą porozmawiać.

– Przecież powiedziałem ci poprzednio, że nie mam czasu. Teraz też nie.

Leo słyszał, jak ojciec oddycha zdenerwowany przez nos, jakby powietrze stało na drodze słowom mającym tak wielką wagę.

– Ta koperta. Słyszysz? Nie chcę już się kłócić o tamte cholerne pieniądze, pal to sześć, ale zaczynam się zastanawiać...

Na Vasagatan gęsty ruch. Na dachu dworca stado gołębi. Przed wejściem do Sheratonu grupa japońskich turystów z aparatami fotograficznymi i identyfikatorami na piersiach. Ale Jasper wciąż nie wraca.

– Jeśli dałeś mi tyle pieniędzy, chociaż twoim zdaniem nie jesteś mi nic winien, to znaczy, że masz ich jeszcze więcej. Tylko pytanie: skąd? Ja też pracuję w tym fachu, maluję i robię remonty, i to na czarno, ale nie wyciągam takich sum. No więc jeżeli ty masz aż tyle, Leo... to musiałeś zdobyć tę kasę w jakiś inny sposób.

– Nawet sobie nie wyobrażasz, ile mamy roboty.

– Chyba faktycznie sobie nie wyobrażam.

– No i bardzo dobrze. Niech tak zostanie. Nie zamierzam z tobą o tym rozmawiać.

– Prowadzisz firmę ze swoimi braćmi... moimi p o z o s t a ł y m i synami! A to znaczy, że twoi bracia są we wszystkim wplątani. Jesteś za nich odpowiedzialny, Leo. Jeżeli wdałeś się w coś nielegalnego, to ponosisz odpowiedzialność i za nich.

Znowu to przekłete sapanie, w sam mikrofon słuchawki, jakby ojciec teraz rozglądał się dookoła, żeby upewnić się, że nikt nie podsłuchuje.

– Jeśli masz problemy, Leo...

– Odpowiedzialność?

– Jeśli masz problemy... wiesz przecież, że zawsze możesz się do mnie zwrócić. Już kiedyś ci pomogłem.

– Nie mam żadnych problemów.

– Żyję na tym świecie trochę dłużej, dwadzieścia siedem lat dłużej niż ty, Leo.

– Nie słyszałeś, co powiedziałem?

– Dlatego mam trochę więcej doświadczenia od ciebie i widzę rzeczy, których ty nie widzisz.

– Posłuchaj mnie.

– Tak?

– Posłuchaj... tato.

Znowu sapanie po drugiej stronie. Jego ojciec czekał.

– Tak?

– Poczuję się do odpowiedzialności za nich. A oni mi ufają. To prosty mechanizm: jeżeli o kogoś dbasz, ten ktoś ci ufa. Dwadzieścia siedem lat? A jakie to, kurde, ma znaczenie? To jest tylko czas. Jeśli nic z nim nie zrobisz, nie wykorzystasz go jak trzeba, to będzie jedynie.... czasem. Nie martw się ani o Vincenta, ani o Feliksa. Nie mają źle z „kapusiem”.

Rzucił okiem na wejście na dworzec i przelewający się przez nie tłum ludzi, szukając wzrokiem faceta w czarnej wełnianej czapce i zimowej kurtce.

– A ciebie z całą pewnością nigdy nie poproszę o pomoc.

Ważne, aby skrytka znajdowała się w środkowej części hali głównej i była położona na wysokości klatki piersiowej. Policja będzie wtedy zmuszona ewakuować cały dworzec, żeby móc uruchomić swojego robota do wykrywania bomb. Po prawej jakaś kobieta zamykała jedną z szafek – wrzuciła monetę, po czym przekręciła kluczyk i odeszła. Chociaż Jasper został już sam, na wszelki wypadek odwrócił się plecami, otwierając sąsiednią skrytkę, numer 326. Gdy stukot obcasów na marmurowej posadzce stał się mniej słyszalny, ostrożnie wsunął do niej torbę mieszczącą siedem i pół kilograma pociętych gwoździ i dwa i pół kilograma materiału wybuchowego. Rozejrzał się dookoła. Nikt nie zwracał na niego uwagi, nawet przechodzący zaledwie kilka metrów obok mężczyźni w wojskowych mundurach, ciemnozielonych beretach i z workami brezentowymi przerzuconymi przez ramię. Nagle ręka odmówiła mu posłuszeństwa i serce zaczęło walić jak szalone. Nie mógł zamknąć drzwiczek. Złoty trójząb kłuł go w oczy, symbolizował Odwagę, Siłę i Wytrzymałość. Żołnierze marynarki wojennej. Pięciu krótko ostrzyżonych mężczyzn w drodze na północ.

Miną mnie. Te ich wygolone czaszki, te ich oczy – tyle w nich pewności siebie. Oni mnie nie widzą. Ale ja ich widzę.

Nie mówią do siebie ani słowa. Słyszą to każdego cholernego dnia, że mają tego nie robić, że są wyborową, elitarną jednostką Szwecji.

Przecież byłem jednym z nich.

Torba leżała w skrytce 326. Ale zamek błyskawiczny nie był zasunięty całkowicie – zaciął się kilka centymetrów przed końcem. Gdy Jasper chciał go zamknąć, zobaczył czerwoną pętelkę zawlecarki między brzegami torby.

Berety założone na bakier znajdowały się z nim. Idealnie leżały na ich głowach.

I wtedy nagle to poczuł. Odrzę. Po prostu.

Odrzę do tych, którzy nie wiedzieli, że istnieją też inne sojusze i związki, przychylnie innym, w których można równie profesjonalnie strzelać, atakować i wysadzać, a na dodatek oferujące przyjaźń i braterską więź. Odrzę do tych, którzy nie mieli pojęcia, dlaczego stoi teraz w tym miejscu.

Nie jestem już jednym z was.

Palec wsunięty między zamek błyskawiczny i w druciane oczko zawlecarki.

Zabezpieczenie.

Jeżeli to pociągnę, wystarczy przesunąć metalową skrzynkę dosłownie o włos.

Wygoleni zniknęli w tłumie, wtopieni między innych upodobnili się do nich i zmierzali nie wiadomo gdzie.

Jestem dużo lepszy od was.

Jeśli to zrobisz, jeżeli to wyciągnę, wtedy po otwarciu szafki wszystko wybuchnie. Wiecie o tym?

Siedem minut. Leo wypatrywał przez szybę w mrowiu ludzi sylwetki Jaspersa.

Powinien już dawno być gotowy. Miał wejść do hali, znaleźć pustą skrytkę bagażową, wstawić do niej torbę. Wystarczy trzy, cztery minuty.

Wciąż trzymał komórkę w ręce.

Przez całe lata ani jednego telefonu od niego, a tu nagle dwa w ciągu kilku tygodni. Głos w jego głowie, natarczywy, wwiercający się w mózg, usiłujący dostać się do środka za pomocą nieistniejącego już klucza.

Nie powinienem był tam jechać.

Nie powinienem był wtykać mu czterdziestu trzech tysięcy do kieszeni ani pokazywać pick-upa, ani opowiadać o pracy.

Nie powinienem był uchylać drzwi do naszego życia.

Nareszcie. Jest. We wstecznym lusterku. Czarna czapka. Długie, zdecydowane kroki. Jasper wychodzi z dworca. Bez torby.

– Trochę to trwało.

– Chciałem mieć pewność.

– Że co?

– Że... nikt mnie nie obserwuje.

Z parkingu osłoniętego wiaduktem Leo wyjechał na Vasagatan.

– Jest w dobrym miejscu?

– Na wysokości klatki piersiowej.

Na twarzy Jaspersa pojawił się uśmiech, który Leo pamiętał na przykład z incydentu z kijem bejsbolowym i przetrąconym nadgarstkiem.

– Jak otworzą szafkę, od razu się skapną, że to żadna ściema. Wszystkie psy z całego Sztokholmu zostaną odkomenderowane na centralny.

– W porządku.

– Bo chyba o to ci chodziło? Żeby od razu... się skapnęli?

– Dokładnie o to.

Ludzie spieszący na dworzec i wychodzący z niego zamienili się w lusterku wstecznym w ruchome punkty. W końcu zjechali z Vasagatan na Centralbron.

– Leo?

– Tak?

– Dzięki.

– Za co?

– Że mi ufasz.

Przejechali przez most, mając po lewej stronie budynek Riksdagu, a po prawej wyspę Riddarholmen.

– Jasper?

– Tak?

– Zapnij pas.

Wjechali w tunel prowadzący pod dzielnicę Södermalm.

– Trzy minuty, okej? – powiedział Leo.

– Trzy minuty.

– Felix czeka w samochodzie. Ja w pojedynkę załatwiam obiekt numer jeden, a ty z Vincentem obiekt numer dwa.

Taksówka przed nimi zahamowała tak gwałtownie, jakby kierowca nie był pewny, dokąd chce jechać. Leo, tuż za nim, też musiał wcisnąć hamulec i zmienić pas na wysokości mniej więcej Skanstullsbron.

– A to znaczy, że odpowiadasz za mojego najmłodszego brata.

- Wiem o tym.
- Vincentowi nie może się nic stać.
- Wiem.

Leo podjechał na otoczony sennymi sklepikami szary plac przy stacji metra Gullmarsplan i zostawił Jaspera tuż przed budką telefoniczną, sam zaś przejechał na drugą stronę, gdzie miał czekać przy 7-Eleven.

Zimna słuchawka przyciśnięta do ucha.

- Policja, słucham.
- Usta blisko mikrofonu.
- Słyszysz pani?
- No, słucham.

– W hali głównej dworca centralnego, w skrytce bagażowej trzysta dwadzieścia sześć, leży bomba. Kobieta po drugiej stronie milczała, w tle słychać było głosy innych pracowników centrali zgłoszeniowej policji.

– Powtarzam: na dworcu centralnym, w hali głównej, w skrytce bagażowej. Numer skrytki...

Zmienił głos, starając się, aby nie brzmiał sztucznie, tylko poważnie i trochę złośliwie. Podobał mu się.

– trzy... dwa... sześć. Trzysta dwadzieścia sześć. Bomba wybuchnie punktualnie o godzinie siedemnastej. Nieodwołalnie.

Nacisnął palcem widelki. W budce zaległa cisza.

Wyszedł na zewnątrz.

Lekko przygarbiony, z rękami wciśniętymi głęboko w kieszenie kurtki, przeciął plac i podszedł do budynku z 7-Eleven na dole i czekającego przed nim samochodu. Podobało mu się, gdy ktoś miał głos taki jak Leo – opanowany i czysty, bo krzyk nigdy specjalnie nie przeraża. Leo rzadko podnosił głos, a jeśli już mu się to zdarzało, nie pozostawało to niezauważone. Nie dlatego, że budził nim przerażenie, tylko z tego powodu, że trudno było przewidzieć, co nastąpi potem.

Silnik był włączony, a Leo miał na kolanach urządzenie do nasłuchu częstotliwości wykorzystywanych przez policję.

– Przekazali komunikat już kilka razy. „Alarm bombowy na dworcu centralnym”. Pierwsze radiowozu są już w drodze.

Leo zapiął dosyć ciasno oba zegarki na prawym przedramieniu. Ten bliżej nadgarstka był stary i miał brzydkie czerwone wskazówki, za to pasek całkiem nowy, z jasnobrażowej skóry. Drugi kupił sobie sam już jako dorosły – rolex ze lśniącą kopertą ze szlachetnej stali i cyferblatem z fluorescencyjnymi wskazówkami. Wyróżniał się też tym, że tykał tak głośno, iż słychać było odmierzenie sekund.

Zgodnie z własnymi odręcznymi notatkami Leo musiał pilnować sześciu ram czasowych.

Etap 1: dwanaście minut. Przebrać się. Podwójna zmiana samochodu. Przemieszczenie się do banku nr 1 i banku nr 2.

Ta część akcji wiązała się z największym ryzykiem. Zrzucić ubrania robocze i włożyć kombinezony na tyłach nieczynnej od dawna stacji benzynowej. Przesiąść się do skradzionego mercedesa. Dziewięć i pół kilometra jazdy do drugiego samochodu – ukradzionego garbusa. Dwa kilometry jazdy do centrum Ösmo.

Etap 2: trzy minuty. Napad na dwa banki.

Etap 3: siedem minut. Przemieszczenie się do banku nr 3.

Ta część akcji wiązała się z największym ryzykiem. Po napadzie na dwa banki pojedą dosyć rzadko uczęszczanymi bocznymi drogami między Ösmo a Sorundą najpierw skradzionym garbusiem, który świadkowie będą mogli łatwo opisać, a policja zidentyfikować, potem zaś skradzionym mercedesem. W tym czasie ładunek wybuchowy na dworcu centralnym ściągnie do centrum Sztokholmu pięćdziesiąt kilometrów dalej znaczne siły policyjne. Nieliczni funkcjonariusze znajdujący się jeszcze w okolicy znajdą natomiast drugiego garbusa, pozostawionego rano przez Feliksa przy wyjeździe w przeciwnym kierunku.

Etap 4: trzy minuty. Bank nr 3.

Etap 5 i 6: sześć minut. Przemieszczenie się. Przebranie. Zmiana samochodu.

Podczas tych faz ryzyko było podwyższone, ale do opanowania. Po trzecim banku powrót do punktu wyjścia, czyli do nieczynnej stacji benzynowej, zmiana kombinezonów na stroje robocze i przesiadka z mercedesa do samochodu firmowego. Przez wszystkie etapy Leo będzie używał zegarka z czerwonymi wskazówkami, aby zachować kontrolę nad czasem, który upłynie od momentu przedzierzgnięcia się w gangsterów do chwili, gdy przestaną nimi być: w sumie trzydzieści jeden minut.

Leo spojrzął na zegarki. Oba pokazywały 14:51. Została jedna minuta do zakończenia etapu 1 i jedna do rozpoczęcia etapu 2. Ostatni kilometr do Ösmo Centrum. Mijali po drodze domki jednorodzinne, szeregowce, pojedyncze bloki. Kawałek dalej w kuchni na parterze siedział samotny mężczyzna, jadł cebulę z boczkiem wędzonym i dzwonił na numer, na który dzwonić nie powinien.

Jechali łatwym do zidentyfikowania samochodem. On i Felix z przodu, na tylnym siedzeniu Jasper z Vincentem. Wszyscy cztery identycznie ubrani.

Garbus wziął ostatni zakręt obok biblioteki i pływalni, po czym wtoczył się na plac przed niewielkim centrum handlowym w kształcie litery U. Po lewej znajdowały się sklepy spożywcze, pośrodku banki, a w krótszej części kiosk, w którym można było kupić tytoń na wagę i bibułkę do papierosów.

– Opuśćcie głowy.

Ciasno. Wystarczyło, że przesunął tułów w którąkolwiek stronę, od razu na coś się natykał – gdy pochylił się niżej, otarł się czołem o przycisk skrytki pod przednią szybą, ramieniem zaczeplił o rączkę do odkręcania szyby, a łokciem zawadził o hamulec ręczny i dźwignię zmiany biegów. Już w kamizelce kuloodpornej i z ciężkim automatem na kolanach naciągnął sobie na głowę kominiarkę i poprawił wycięcia na oczy.

– Dwadzieścia sekund.

Po opuszczeniu Gullmarsplan i telefonie na policję uważali, aby nie jechać ani za szybko, ani za wolno. Na wysokości Globen² w drodze na południe spotkali pierwszy radiowóz; po kilku chwilach następny, a przy zjeździe na Tyresövägen kolejne trzy, pędzące na sygnale w kierunku śródmieścia. Siedzieli w milczeniu otoczeni głosami. Z radia samochodowego padł pierwszy komunikat podany w „Dagens Eko” – „Sztokholmski dworzec centralny zamknięty; według uzyskanych informacji z powodu podłożenia bomby” – a z odbiornika na kolanach Jaspera z podłuchem policyjnych częstotliwości usłyszeli dyżurującego oficera potwierdzającego znalezienie niebezpiecznego ładunku; mówił, że specjalna grupa operacyjna ustaliła, że nylonowa torba w skrytce 326 zawiera materiał wybuchowy, a przybywające na dworzec jednostki policji pomagają opróżnić go z ludzi, a także zablokować niektóre stacje metra i wstrzymać ruch wszystkich pociągów regionalnych i dalekobieżnych.

– Piętnaście sekund.

Wszystko przebiegało zgodnie z planem. Z wyjątkiem cholernego telefonu od ojca i jego głosu, który bez przerwy wwiercał mu się w mózg.

Jeśli masz problemy.

Leo nie chciał go słyszeć.

Już kiedyś ci pomogłem.

Dołąd gazu – nie zauważając, że Jasper kilkakrotnie prosił go, aby zwolnił, ani nie odnotowując komunikatów padających z policyjnego radia przed otwarciem skrytki.

Mam dwadzieścia cztery lata – a nie dziesięć! Ty nie jesteś mi w stanie pomóc – to przecież ja pomogłem tobie!

Jeszcze niecałe dziesięć kilometrów do zjazdu. Odbił na lewy pas.

Ty nie masz żadnych innych synów! Ale ja mam dwóch braci!

Sto dziesięć na godzinę.

Ty przegrałeś, a mnie się udało!

Sto czterdzieści.

Więc zostaw ich w spokoju i nie wtykaj nosa w nie swoje sprawy!

Dopiero gdy Jasper mocno szarpnął go za ramię i wrzasnął prosto do ucha, żeby może łaskawie zwolnił, Leo gwałtownie przyhamował. Niewiele brakowało, a przegapiłby zjazd na lokalną drogę. Gdy na ułamek sekundy stracił kontrolę nad samochodem, odbiornik policyjny spadł z kolan Jaspera na podłogę.

– Dziesięć sekund.

Znajdowali się na wąskiej i dosyć krętej drodze wijącej się przez lasy i pola, od czasu do czasu mijali też jakieś jezioro. Leo jechał już wolniej, stopa na pedale gazu znowu była mu poslušna. Po tygodniu temperatury powyżej zera ziemia nie była już całkiem biała, tylko miejscami brązowa, tu i ówdzie wystawały kępy szszarzałej trawy, tworząc razem brudny dywan o nieregularnym wzorze. Stacja benzynowa znajdowała się przy jedynym prostym odcinku szosy, zabita deskami od czasu, gdy kawałek dalej zbudowano drogę szybkiego ruchu. Leo przyhamował i skręcił na plac na tyłach budynku. Żółte żaluzje w oknach były opuszczone, a na liczniku dystrybutora nadal widniała cena 76,40 korony. Zatrzymał samochód obok skradzionego mercedesa, w którym czekali Felix i Vincent.

Nożycami do metalu przecięli kłódkę przy porzdzewiałych metalowych drzwiach, po czym zastąpili ją nową, a następnie, już w środku, wyłożyli całe swoje wyposażenie na porysowaną ładę obok na wpół otwartej kasy. W ciszy przerywanej jedynie poskrzypywaniem wyblakłego szyldu Colteksu kołyszącego się na wietrze zmienili stroje robocze na czarne kombinezony. Leo pomógł Vincentowi zapiąć kamizelkę kuloodporną na jego nagim torsie, chudym i wątłym, bo będącym akurat w momencie, gdy sylwetka przestaje wyciągać się w górę, a zaczyna rosnać wszzerz. Starał się napiąć ramię tak, aby dobrze przylegała do ciała i żadna zbłąkana kula nie wleciała w szczelinę pod pachę i nie trafiła w serce. Leo robił to powoli, dokładnie i z troską, ponieważ dla niego był to wciąż ten sam chłopak, który kiedyś nosił zielony zimowy kombinezon zapinany pod samą brodę, aby nigdzie nie dostała się ani odrobina śniegu. Dopiero gdy Felix po raz trzeci spytał: „Co jest, do cholery?”, a on po raz trzeci odpowiedział: „Nic”, zostawił rzepy w spokoju.

– Pięć sekund.

Miarowe oddechy.

Lekki podskok na krawężniku i czerwony garbus jechał przez plac w stronę dużych okien wystawowych oraz dwóch banków leżących po sąsiedzku.

– Dokładnie trzy minuty. Oba jednocześnie. Potem spotykamy się tutaj.

Jednostka: **policja kryminalna**

Przestępstwo: **napad rabunkowy**

Świadek: **Hansen, Tomas**

Miejsce przestępstwa: **Handelsbanken Ösmo C**

Jednostka: **policja kryminalna**

Przestępstwo: **napad rabunkowy**

Świadek: **Lindh, Marit**

Miejsce przestępstwa: **Skandinaviska
Enskilda Banken, Ösmo C**

Do środka wpadł jeden mężczyzna w czarnej kominiarce i krzyknął: „Wszyscy na ziemię!”. Oddał wiele strzałów w jedną kamerę pod sufitem i w drugą na ścianie.

Do środka wpadło dwóch mężczyzn w czarnych kominiarkach, obaj krzyczeli: „Wszyscy na ziemię!” i oddali jakieś dwadzieścia strzałów do obu kamer.

Hansen stał w kolejce z innymi klientami, wtedy jakaś kobieta wrzasnęła, że ona musi wyjść, i puściła się do drzwi. Napastnik chwycił ją za kurtkę.

Lindh zobaczyła, jak jeden z napastników przeskoczył przez ładę kasową i spytał: „Kto ma klucz do skarbcza?”.

Pchnął ją na podłogę, a ona dalej wrzeszczała. Wtedy jeden z pracowników banku powiedział, żeby się uciszyła i leżała spokojnie.

Lindh sięgnęła po klucz, który leżał na jej biurku, nacisnęła guzik odblokowujący tylne drzwi i otworzyła skarbiec.

On obserwował, jak mężczyzna i kasjerka

Kiedy napastnicy znajdowali się

poszli do skarbcza, a jednocześnie, jak drugi z bandy stał za oknem i celował w niego.

w skarbcu, Lindh słyszała brzęczenie oznaczające otwieranie skrytek. Opróżniali jedną po drugiej. Kazali jej nie ruszać się z ziemi. Wtedy zauważyła, że mieli identyczne buty.

Kiedy zamaskowany mężczyzna opuszczał skarbiec, miał przewieszoną przez ramię dużą torbę. W drodze do drzwi przeszedł blisko tamtej kobiety. Hansen pamięta, że była przerażona i przez cały czas krzyczała.

Jakiś głos powiedział głośno: „Jeszcze pięć sekund, wychodzić!”, po czym obaj mężczyźni w maskach zniknęli. Lindh dodała, że podczas napadu słyszała zarówno strzały, jak i krzyki w banku obok.

Kiedy po stu siedemdziesięciu sekundach Leo wypadł na zewnątrz, pozostało mu jeszcze dziesięć sekund. Prześladował go krzyk kobiety, która mimo że kazał jej leżeć na podłodze i choć personel banku prosił ją, żeby była cicho, wciąż wrzeszczała, owładnięta strachem i paniką, tak jak powinna była zrobić inna kobieta, gdy pewien mężczyzna wdarł się do mieszkania, by ją zabić.

Dlaczego wtedy nie krzyczała?

Strzelił po sześć razy do każdej kamery. Zostało mu jeszcze osiem nabojęw.

Leo cisnął torbę do bagażnika i skinął w stronę Feliksa.

W tym momencie wszystko zamarło.

A właściwie nie zamarło, tylko raczej okrążyło go, osaczyło, napierając na głowę, brzuch, tors.

Najpierw zauważył pełne przerażenia, ale i fascynacji spojrzenia ludzi za szybą spożywczego supermarketu. Potem usłyszał gorączkowe ujadanie owczarka niemieckiego przywiązanego do latarni pośrodku placu i szarpącego się na smyczy z otwartym pyskiem. Te odgłosy i spojrzenia, podobnie jak oczy i krzyk kobiety z banku, paraliżowały go tak mocno, że ledwo łapał powietrze, mimo że po każdym napadzie właśnie w tym momencie zwykle był najspokojniejszy, bo nie musiał już myśleć ani czuć, a jedynie kontrolować czas, aby punkt po punkcie dotrzeć do końca listy.

Przecież miała tylko spokojnie leżeć i być cicho. A ona krzyczała i krzyczała, i krzyczała.

Leo był przygotowany na to, że jakiś idiota spośród klientów albo męskiego personelu banku może próbować zgrywać bohatera lub że dojdzie do konfrontacji z miejscową policją; w takim przypadku nie zawahałby się strzelić, aby udowodnić, że nie cofnie się przed użyciem siły. Czasami nawet wyobrażał sobie taką sytuację śmiertelnego zagrożenia, walkę na śmierć i życie, w której przeciwstawia się ciężko uzbrojonej policji. Ale na coś takiego, na atak paniki i załamanie nerwowe kobiety, która nie chciała się podporządkować jego rozkazom, bez przerwy wrzeszczała i chciała wyrwać się na zewnątrz, nie był w ogóle przygotowany.

– Dwie minuty pięćdziesiąt pięć! Pięćdziesiąt sześć!

Głos Feliksa tuż przy nim.

– Pięćdziesiąt osiem! Pięćdziesiąt dziewięć! Wychodzić! Wychodzić!

Jasper i Vincent wypadli z drzwi sąsiadujących z tymi, z których przed momentem wybiegł on sam, cisnęli swoje wypchane torby do bagażnika i wtoczyli się na tylne siedzenie. W tej samej chwili Felix rzucił się na fotel kierowcy, nadepnął sprężelę i przekręcił kluczyk, gotowy odjechać.

Ale Leo ani drgnął. Stał jak posąg obok samochodu.

– Black One! Minęły trzy minuty!

Nie słyszał krzyku Feliksa.

– Black One! Czas!

Nadal był osaczony. Nadal wszystko napierało na niego, nie dawało oddychać: spojrzenia, dźwięki, pasek automatu wiszącego na szyi.

Krzyczący ludzie za oknem banku.

Zaczął iść z powrotem.

Broniąca się kobieta i mężczyzna używający siły.

Jak wtedy. Ale z wielką różnicą. Wtedy nie słyszał krzyku.

Przelotne spojrzenie na dach w oddali. A potem po raz drugi otworzył drzwi.

Felix naciskał gaz, nie zdejmując nogi ze sprzęgła, krzyknął głośno:

– Black One, czas, kurwa mać!

Ale Leo szedł dalej.

Czarna postać zniknęła w wejściu do banku, a Felix nie widział, jak brat uniósł broń.

Jego ręce były spokojne, kiedy mierzył do celu. I kiedy strzelił.

Najpierw raz, potem drugi, obok.

I jeszcze raz, pomiędzy dwa pierwsze i trochę niżej.

I trafił, z idealną precyzją.

Leo miał jeszcze osiem nabojęw. Teraz magazynek był pusty. Opuścił broń, otworzył drzwi, a gdy wyszedł, tamto zniknęło.

Nic go nie osaczało, nie okręzało, nie dusiło. Nikt nie krzyczał.

Było cicho. Tak samo cicho, jak to zapamiętał.

Nie słyszał dziecka pędzącego z przerażeniem przez plac z kiosku ani powarkującego przy latarni psa z wywalonym długim językiem, ani ptaków przysiadających na dachu supermarketu, ani nawet skrzypienia swoich własnych butów na asfalcie.

Poruszał się w absolutnej ciszy.

I znowu czuł to, co zwykle czuł już po wszystkim: spokój pozwalający mu głęboko oddychać i się odprężyć.

14:57:30

Troje drzwi otworzył kartą magnetyczną, dwoje – kluczem.

John Broncks biegł przez ponure korytarze i ciemne klatki schodowe komendy policji i w końcu dotarł do jasnozielonych stalowych drzwi do garażu.

Pięć minut i piętnaście sekund wcześniej – o 14:52:15 – jeden z cywilnych pracowników ogromnej centrali alarmowej policji przyjął zawiadomienie o trwającym napadzie na Handelsbanken w Ösmo Centrum.

O 14:52:32 inny operator, siedzący kilka stanowisk dalej, przyjął zawiadomienie o trwającym napadzie na inny bank, Skandinaviska Enskilda Banken, ale w tym samym miejscu – w Ösmo Centrum.

O 14:53:17 Karlström wszedł bez pukania do pokoju Johna i oznajmił mu, że to, co Broncks przewidział podczas wizyty w jego domu w dzień świętej Łucji, rzeczywiście się stało. Czterech napastników w czarnych kominiarkach. Dużo strzałów. Broń z zasobów szwedzkiej armii. Dokładnie trzy minuty.

To wy.

Broncks biegł przez podziemny garaż, w którym czuć było olejem i spalinami, a zimą robiło się zimno nie do wytrzymania. W ostatnim czasie w regionie Sztokholm dokonano trzech napadów na banki. Za każdym razem jechał na miejsce przestępstwa. Sparbanken w Upplands Väsby – trzech uzbrojonych w pistolet i siekiere mężczyzn w oplu zostało złapanych jeszcze tego samego wieczoru w nielegalnym kasynie w Värtahamnen. Föreningsbanken przy Norrmalmstorg – mężczyzna w średnim wieku grożący pistoletem, ujęty po godzinie w swoim dawnym pokoju dziecięcym z całym łupem i pistoletem startowym pod łóżkiem. Furgon z pieniędzmi w drodze do centrum pocztowego w Tomtebodą – dwóch mężczyzn uzbrojonych w śrutówki zbiegło.

Ale po żadnym z tych napadów nie miał wrażenia powtarzalności. A teraz tak.

To wy. Nigdy dotąd niekarani, bez żadnych powiązań w świecie przestępczym, a mimo to perfekcyjnie przygotowani i uzbrojeni, i niepozostawiający śladów umożliwiających prowadzenie śledztwa.

Włączył silnik i minął wydzielony garaż techników kryminalistyki, gdzie kilka tygodni temu na ekranie komputera zauważył coś, co wydało się bardzo nietypowe. Gangster tuż przed jednym z najbrutalniejszych w Europie napadów na bank odwraca się, zasłania mikrofon i szepcze coś do drugiego, jakby troszczył się o niego i czuł za niego odpowiedzialny. Drzwi garażu otworzyły się automatycznie. Broncks podjechał w górę dosyć stromym wyjazdem do szlabanu. Po chwili znalazł się w świetle dnia i zniknął w potoku aut przy Fridhemsplan.

To jego pierwsze i dotąd jedyne spostrzeżenie dotyczące sprawców.

Dwaj bracia.

Znowu uderzyli. Tym razem na dwa banki jednocześnie. Ryzykowali coraz bardziej i zdaje się, że na tym nie skończą.

Każdy kolejny napad przybliżył mnie do was.

Zaparowane szyby.

Wszyscy oprócz Feliksa mieli jeszcze kominiarki na głowach i ciężko oddychali.

Ciepło wydzielane przez czterech dorosłych mężczyzn w zimnej metalowej puszcze na kółkach zmieniło się w mleczną mgiełkę osadzającą się na szybach od środka.

– Co to miało, kurwa, być? – rzucił Felix, nie odrywając wzroku od drogi.

Z mocno zaciśniętymi na kierownicy dłońmi jechał równo osiemdziesiąt na godzinę.

– Przecież widziałeś.

– Nie, nie widziałem! Pytam: co to, kurwa, miało być?

Leo też patrzył przed siebie. Na drzewa, których przybywało w miarę, jak ubywało domów.

Minęło sto osiemdziesiąt sekund.

Zdażył. Zdażyli też Jasper z Vincentem.

I wtedy przystanął. A potem wrócił. I strzelił – osiem razy.

– To przecież ty masz te swoje dwa pieprzone zegarki na ręce i ty ustaliłeś sześć etapów! I to ty bez przerwy chrzaniisz, że musimy trzymać się planu i przestrzegać czasu!

Gdy samochód skręcił w wąską i wyboistą polną drogę, Leo niechcący potrącił ramieniem Feliksa. Na każdej dziurze kolana obijały mu się o spód deski rozdzielczej, a obcisły kombinezon kleił się do ciała, kiedy zatrzymali się przy gorze kamieni na końcu traktu, na którym nie pozostał nawet ślad śniegu.

– Miałem jeszcze czas.

Każdy z nich znał kolejność działań.

Wysiąść z samochodu. Otworzyć bagażnik. Wyjąć trzy torby wyładowane pieniędzmi.

– Wróciłeś tam!

Następny samochód, mercedes, czekał tuż obok.

– Wszedłeś z powrotem do banku i wygarnąłeś jak jakiś totalnie walnięty! Naraziłeś nas wszystkich!

Otworzyć drugi bagażnik. Włożyć trzy torby. Wskoczyć do drugiego samochodu.

Polną drogą dojechać z powrotem do szosy.

– Ale przecież jesteśmy tutaj, tak czy nie? Dwa kilometry za Ösmo, w innym samochodzie, którego nikt nie widział, i nikt nie depte nam po piętach. Jak już koniecznie chcesz labiedzić, to odłóż to na potem, jak wrócimy do domu.

Leo się odwrócił.

– Zdjąć kominiarki.

Cztery identyczne indywidua bez wieku stały się nagle czterema młodymi mężczyznami z mokrymi włosami przyklejonymi do czoła. Wyminał ich samochód z kobietą i małym dzieckiem w foteliku na siedzeniu obok. Kobieta nie zwróciła na nich uwagi.

Jasper pochylił się i lekko stuknąwszy Leo w ramię, powiedział:

– Pierwsza strona tłustym drukiem!

Felix odwrócił się raptownie, tracąc nieco panowanie nad kierownicą, i wrzasnął:

– Schowaj ryj!

Leo nie spuszczał oczu z drogi. Automat na kolanach, w rękach kominiarka w gotowości.

Pięć kilometrów do następnego banku.

Samochody przed Johnem Broncksem nie posunęły się nawet o centymetr. Wjechał przednimi kołami na chodnik, żeby przekonać się, jak wygląda sytuacja. Cała Hantverkargatan stała zapchana pojazdami blokującymi każdy metr asfaltu od ratusza do dworca centralnego.

Opuścił szybę, sięgnął ręką pod siedzenie i wyjął „koguta”. Magnes przyssał się do dachu i niebieskie światło zaczęło obracać się równomiernie przy akompaniamencie głośniego sygnału odbijającego się echem między domami. Przeciskając się do przodu, zderzakiem zawadzał o zderzaki, przecinał ciągle linie i manewrował między jadącymi w przeciwną stronę samochodami, które próbowały wcisnąć się w lukę, których nie było.

Całe centrum Sztokholmu pogrążone w chaosie.

Ulice w okolicy dworca były albo zamknięte, albo zablokowane przez pojazdy zmuszone do objazdów. Jak wynikało z informacji podanych przez krótkofalówkę, ktoś podłożył bombę w samym sercu stolicy. Bomba uważana początkowo za atrapę okazała się niebezpiecznym ładunkiem wybuchowym i na miejsce sprowadzono już techników od rozbrajania, psy tropiące, a także specjalnego zdalnie sterowanego robota.

– Jadę w kierunku Ösmo. Ile radiowozów jest na miejscu?

– Jeden.

– Jeden?

– Drugi jest w drodze z Nynäshamn.

– Czyli dwa? Dwa radiowozy?

Krótki most centralny miał kilka pasów, ale ponieważ jezdnia w przeciwnym kierunku była oddzielona betonowym wałem, Broncks musiał – mimo „koguta” i sygnału – zwolnić, czekając, aż jeden samochód za drugim usunie się na bok.

– To wszystko, czym w tej chwili dysponujemy.

– To za mało! Potrzebny jest oddział do zadań specjalnych, psy, helikopter... Przecież to są, do cholery, dwa banki równocześnie!

Stare Miasto, Slussen; dopiero gdzieś na początku Söderledstunnel trochę zaczęło się rozluźniać.

– Słyszał pan, co powiedziałem?

– Słyszałem. A kim pan, jeśli mogę użyć pańskiego sformułowania, do cholery, jest? I dlaczego pan do nas jedzie?

– John Broncks, policja kryminalna, Sztokholm Śródmieście.

– To mi nie wyjaśnia, ani kim pan jest, ani czemu jedzie pan w rejon, z którym nie ma pan nic wspólnego.

– Bank w Svedmyra, napad na furgon z pieniędzmi w Farsta... To wszystko sprawka tych samych ludzi. Jestem o tym przekonany! Pracuję nad tym już od trzech miesięcy.

W tunelu był mniejszy ruch. Broncks trochę przyspieszył. Zmierzał w kierunku światła i kolejnego mostu.

– Są solidnie uzbrojeni i nie zawahają się użyć swoich automatów. Dwa radiowozy? To naprawdę za mało.

– Więcej nie da się ściągnąć.

– Jak to się nie...

– Już próbowałem. Ale oddział specjalny, psy, helikoptery i w ogóle prawie wszystkie siły tłoczą się teraz tam, skąd pan jedzie. Chyba pan wie dlaczego? Poprosiliśmy już o wsparcie z innych regionów.

Światło dnia. Most Johanneshovsbron. I niezwykły widok. Woda w dole pokryta niebiesko połyskującym lodem, a na biegnącym równoległe moście zatrzymane pociągi metra. Między torami a jezdnią setki albo tysiące ludzi idących w obu kierunkach. Płaszczki, kurtki, nogi stapały się w jedno, zlewały w potok insektów, w dwie gigantyczne stonogi.

Na drugim końcu mostu – stacja Gullmarsplan z peronami, schodami i z jeszcze większą liczbą zatrzymanych pociągów metra oraz masami ludzi zmierzającymi do szybko sprowadzonych autobusów, które miały zastąpić transport szynowy. Broncks znalazł się właśnie na wysokości Globen i zamierzał przyspieszyć na coraz luźniejszej trasie, gdy ciszę w krótkofalówce przerwał jakiś nowy głos:

– Wybuchła!

To nie zdarzało się często. Profesjonalne głosy komunikujące dzień w dzień na tych samych częstotliwościach z czasem stawały się nieodróżnialne – identyczna intonacja, identyczny ton, identyczny dystans.

– To całe gówno wyleciało w powietrze! A z naszego robota został złom!

Ale niekiedy, gdy działo się coś nieoczekiwanego, gdy zagrożenie i niebezpieczeństwo stawały się namacalne, wówczas owe głosy brzmiały prawdziwie, szczerze.

– Dostało się... jednemu z naszych!

Vincent siedział z czarną kominiarką wetkniętą na lufę automatu i patrzył na zmieniający się widok za oknem – białobrązowe pola, białozielony las i znowu białobrązowe pola. Leo położył dłoń na spoczywającej na kierownicy dłoni Feliksa i powiedział, że wszystko będzie dobrze, na co ten skinął głową i obaj popatrzyli na siebie tak jak zawsze. Ale potem rozległ się tamten głos. Głos z policyjnego radia przeciął powietrze jak nóż, o którym Leo i Felix czasami mówili – ten sam, który rozpruł kurtkę i ramię Leo, gdy on, Vincent, był jeszcze za mały, żeby pamiętać.

– Dostało się...

A później wszystko zmieniło miejsca. Uczucia. Spojrzenia. Myśli. Kiedy przerażony, spanikowany i wściekły głos na policyjnych częstotliwościach poinformował, że bomba eksplodowała i że funkcjonariusz sterujący robotem, który miał rozbroić ładunek, został trafiony odłamkami niesionymi z falą uderzeniową.

– ...jednemu z naszych.

Następnie zamilkł. Żadnego uzupełnienia, czy policjant żyje, czy nie. Jedyne pozbawione komentarza doniesienie z miejsca, w którym wszyscy ludzie usiłowali zrozumieć, co się stało.

– Przecież miała nie wybuchnąć! – krzyknął Vincent, pochylając się do Leo. Chciał zobaczyć jego twarz, jego reakcję, ale widział tylko nieruchomy kark. – Mówiłeś, że nie wybuchnie, słyszysz?! Obiecałeś mi to, do cholery!

Leo przyciszył radio i monotonne pikanie zamarło. Minęli właśnie niebieską tablicę na skraju drogi: „Sorunda 3 km”. Byli prawie na miejscu.

– Nic już nie da się poradzić.

– A jeżeli on nie żyje?

– Posłuchaj, Vincent, nie wiemy, co się stało. Nie wiemy, dlaczego wybuchła. Ale to ustalę. Tylko później. Jak skończymy z następnym bankiem.

W oddali przed pokrytą śniegiem stodolą stał traktor z przyczepą. Tu i ówdzie pojedyncze gospodarstwa, oparte o ściany rowery dziecięce i narty. Ciągnik siodłowy na przydrożnym parkingu, którego kierowca sikał za drzewem.

– To ty wyciągnąłeś zawleczkę?

Felix przekręcił lusterko wsteczne, żeby spojrzeć na Jaspера na tylnym siedzeniu. On jednak uciekł wzrokiem w bok.

– Zrobiłeś to?

– Co ty, kurde, pieprzysz?

– Jasper, popatrz na mnie! To ty odbezpieczyłeś tę kurewską bombę?

Jasper spojrział w lusterko. Na Feliksa.

– Jasne, że nie. Niby po co miałbym to zrobić?

Vincent uderzył go w bok.

– Ktoś został ranny i może umrze!

– A co ja niby mam z tym wspólnego?

Felix jechał równo, mimo że raz po raz spoglądał we wsteczne lusterko.

– Kłamiesz, Jasper! Widzę to po tobie!

Leo się nie odzywał. Do tej chwili.

– Przestańcie!

– Przecież majstrowałem razem z wami przy tym parszywym ładunku – rzucił Felix – i wiem, że...

– Przestań, skup się, do jasnej cholery, na drodze!

Vincent nie odróżniał już białobrazowych pól i białozielonych lasów, w zmierzchu kontury za oknem zaczęły się zacierać. Za to wyraźnie widział, jak zmieniły się oczy Feliksa. Leo rzadko podnosił głos, każdy to wiedział, a jeszcze rzadziej się zdarzało, aby Felix rzucał na kogoś oskarżenia, nie mając żadnych dowodów. Już wiedział, jak naprawdę było, i niezależnie od tego, co myślał Leo, nie zamierzał zmienić zdania.

Zjazd na Sorundę, małą miejscowość z jednym bankiem, ich obiektem numer trzy. Felix minął go i jechał dalej.

– Hej, co jest?

– Sam powiedziałeś, Leo: ustalimy, jak wrócimy do domu. No więc jedziemy.

– To nie jest droga do... przejechałeś zjazd!

Szosa była tak wąska, że każdy jadący z naprzeciwka musiał przyhamować i zjechać trochę na bok, aby uniknąć zderzenia. Felix jednak nawet specjalnie dodał gazu, kiedy zobaczył jakiś samochód na horyzoncie, i pruł sto na godzinę.

– Zawracaj!

– Jak chcesz się bawić w to dalej, proszę bardzo! Ale beze mnie!

Czerwone plamy widoczne na szyi Feliksa rozlały się teraz wyżej, na jego policzki i skronie. Vincent świetnie wiedział, co to znaczy: jego starszy brat starał się za wszelką cenę zapanować nad furją, nie dopuścić do wybuchu. Vincent powinien właściwie być niespokojny, a tymczasem czuł jedynie miłe ciepło gdzieś w środku, w głębi serca. „Źle się z tym czuję. I jeśli nic się nie zmieni, to ja... się wypisuję”. Mówił to na serio. A teraz było mu wszystko jedno. Bo jeśli na najbliższym zakręcie walną w drzewo i zginą na miejscu, jeśli tamten policjant z dworca już nie żyje i jeśli bomba wybuchła, bo ktoś tak chciał... to jest mu wszystko jedno. Kompletnie obojętne. Po raz pierwszy w życiu zrozumiał, gdzie zniknął Leo, kiedy zamykał się w sobie. Przenosił się w ciszę, w której nie istnieje czas, przyszłość ani przeszłość i gdzie w konsekwencji nie ma też żadnego niepokoju. Jest jedynie teraźniejszość. Teraz. Jedyne, na co on sam mógł mieć wpływ, to właśnie ta chwila, tutaj, w samochodzie, u boku swoich braci.

Strzelanina w dwóch bankach.

Wybuch ładunku podłożonego w samym sercu Sztokholmu.

John Broncks miał trzydzieści kilometrów za sobą i jeszcze dwadzieścia przed sobą. Za szybą znikwały zabudowania ostatniej miejscowości podmiejskiej na południe od stolicy, krajobraz robił się płaski, usiany tu i ówdzie grupkami drzew na rozległych łąkach.

Według pierwszych informacji docierających z Ösmo jeden z napastników opuścił bank po dokonaniu rabunku, a następnie wrócił do niego i oddał dodatkowo osiem strzałów. Czyli to, czego Broncks od dawna się obawiał, mogło stać się rzeczywistością – mogli być zabici.

Jak wynikało z relacji kierującego akcją na dworcu w Sztokholmie, eksperci od rozbrajania bomb stwierdzili, że ze względu na pozycję zawleczki eksplozja była nieuchronna nawet przy minimalnym poruszeniu ładunku. W tej sytuacji wniosek wydawał się oczywisty: celem było okaleczenie i śmierć wielu ludzi.

Dwa osobne incydenty na przestrzeni dziewięciu minut, mimo wszystko jakoś ze sobą powiązane.

Z każdym kilometrem robiło się coraz bardziej szaro, niedługo całkiem zapadnie ciemność.

– Broncks?

Głos oficera dyżurnego z Nynäshamn brzmiał już zdecydowanie przyjaźniej.

– Gdzie pan jest?

– Mam jeszcze osiem kilometrów.

– Znaleźliśmy samochód, którym uciekali sprawcy. Czerwony volkswagen. Numery rejestracyjne: GZP 784. Na drodze, którą pan jedzie, tuż przy zjeździe. Za kilka minut powinien pan zobaczyć tego garbusa i nasz radiowóz.

Czyli na miejscu przestępstwa został tylko jeden radiowóz.

– O której go znaleźliście?

– O piętnastej dziewięć.

John Broncks zastanowił się przez chwilę.

Obszar poszukiwań powiększał się wraz z upływem czasu. W Farsta i Svedmyra rósł błyskawicznie i był ogromny.

Tu przeciwnie.

– Jakież blokady?

– Dwa radiowozy blokują drogę krajową od północy, a jeden z Nynäshamn od południa. Zamykamy całą drogę główną wzdłuż wybrzeża. Czekamy na kolejne radiowozy z Huddinge i z Södertälje, żeby zablokować drogi w głębi łądu, od zachodu i od wschodu.

Broncks policzył szybko.

14:56 – volkswagen z czterema zamaskowanymi napastnikami opuszcza miejsce przestępstwa.

14:58 – pojazd zostaje porzucony trzy kilometry dalej.

14:59 – ucieczka jest kontynuowana innym samochodem.

Obszar poszukiwań się nie rozrastał. Po raz pierwszy nie byli daleko od siebie.

Zjazd na Ösmo. Kilkaset metrów dalej najpierw szereg drzew, a potem lasek i czerwony lakier poblyskujący między nagimi pniami.

Powietrze zimniejsze i ostrzejsze niż w Sztokholmie.

Chłód szczypiący w policzki i szyję, powodujący sztywnienie palców u rąk.

Broncks ruszył po śniegu w stronę samochodu, zataczając łuk, aby nie wejść na pozostawione ślady.

Czerwony garbus stał przodem do sosny, niemal otarł się o korę.

– Jacyś świadkowie?

Młody mężczyzna w mundurze miał nad górną wargą lekki meszek z aspiracjami do bycia kiedyś wąsem. Przywitał Broncksa uściskiem dłoni. Jego ręka też była zimna.

– Nikt nie widział nikogo, kto by tu przyjeżdżał albo stąd odjeżdżał.

– A to? – Broncks wskazał na volkswagena.

– Jesteśmy pewni, że to samochód sprawców: ten sam model i te same numery rejestracyjne co w pojeździe widzianym przez wielu świadków przed bankiem.

Tylna tablica: GZP 784.

Broncks obszedł auto dookoła. Zajrzał do środka od strony pasażera. Na podłodze puszka piwa i opakowanie po hamburgerze, w wysuniętej popielnicze trzy lub cztery pety. Aby przejść dalej do przodu, musiał przecisnąć się między blisko rosnącymi drzewami i gęstymi zaroślami. Zrobiło mu się

jeszcze zimniej, kiedy pod jego stopami pękła cienka zlodowaciała skorupa i do butów dostało mu się trochę śniegu.

Zauważył to od razu, mimo że pień drzewa zasłaniał przednią tablicę niemal w połowie.

BGY 397.

Inny numer rejestracyjny.

Inny z przodu, inny z tyłu.

Gdy mercedes zahamował gwałtownie na tyłach nieczynnej stacji benzynowej, prawy reflektor rozbił się o zardzewiałą barierkę przy wejściu, a zewnętrzne lustro zawadziło o kran wystający ze ściany.

Felix popędził z latarką w dłoń do zamkniętych na kłódkę metalowych drzwi.

– Felix!

Leo dogonił go i chwycił za ramię.

– Jeszcze wciąż mamy czas!

Dwa kilometry wcześniej. Zjazd. Felix pojechał dalej, minął go i nie pozwolił, aby podwójny napad stał się potrójnym.

– Mieliliśmy! Teraz już nie mamy. Bo czas się skończył.

Leo ciągnął brata coraz mocniej za rękaw, nie był w stanie go jednak zatrzymać.

– Jedziemy do Sorundy. I to już!

Jeden z nich wrócił do banku i strzelał.

Drugi wbrew wspólnym uzgodnieniom odbezpieczył bombę.

– Proszę bardzo. Ale beze mnie.

Latarka wciśnięta pod pachę, snop światła skierowany na metalowe drzwi, kluczyk do kłódki.

– Felix, co ty, kurwa, wyprawiasz?

Leo chwycił dłoń ściskającą kluczyk.

– Puść mnie! Wejdę do środka, zmienię ciuchy i pojedę do domu.

Sfatygowany szyld Colteksu przy dystrybutorze skrzyphiał na wietrze jak poprzednio.

– Wracaj do samochodu! Został nam jeszcze jeden bank!

– Ja mam dość. Zmarnowałeś dwadzieścia sekund, żeby iść tam z powrotem i nie wiadomo po jaką cholere wygarnąć. Dwa banki i trzy kilo hajsu na dzisiaj wystarczy.

Do dwóch cieni w świetle latarki dołączył trzeci; nieoczekiwanie stanął między nimi Jasper.

– Planowaliśmy ten pieprzony skok przez tyle tygodni! – W ręce trzymał swoją czarną kominiarkę. Teraz naciągnął ją sobie na głowę. – No więc zróbmy go do końca, Felix, co nam szkodzi capnąć jeszcze dwa dodatkowe kilo hajsu!

Felix podał mu kluczyki do samochodu.

– No to jedź!

– Mówisz poważnie? Chcesz się wyłamać? Zostawić nas na lodzie? A co z naszą umową?

– Umowa była taka, że tamta kurewska bomba nie wybuchnie! – Skierował snop latarki na oczy za czarnym materiałem. – Wiem, że to przez ciebie.

Jasper uniósł rękę, żeby zasłonić się przed jaskrawym światłem.

– Gównu wiesz.

– To przez ciebie.

Jasper wytrącił mu latarkę z ręki. Spadła na ziemię i zgasła.

– Nie mam zamiaru wysłuchiwać tego dłużej. Leo, ja...

– Helikopter!

Żaden z nich nie słyszał Vincenta. Nie zauważył, jak otworzył drzwi samochodu i puścił się do nich pędem z odbiornikiem policyjnych częstotliwości w rękę. Stał tuż za nimi.

– Przed chwilą mówili, że mają helikopter!

– Broncks?

– Tak?

– Dostanie pan swój helikopter.

Mocno wiało, dlatego Broncks trzymał mikrofon krótkofalówki przy samych ustach, osłaniając go dłonią. Korony wysokich drzew kołysały się jak szalone tam i z powrotem. Stał przy czerwonym

volkswagenie z dwoma różnymi numerami rejestracyjnymi. Śnieg, który dostał mu się do butów, zaczął się topić – czuł, że ma już mokre skarpetki i lodowate stopy.

– Jedenasta dywizja wojsk lotniczych zaferowała pomoc. Właśnie startują z Berga.

Oficer dyżurny z Nynäshamn nadal był tylko głosem. Ale wydawał się już znajomy, a teraz nawet wlał w Broncksa trochę nadziei.

– Usłysz go pan za kilka minut. Leci w pana kierunku i obserwuje obszar wzdłuż drogi krajowej.

– Okej! To...

– Broncks, chwileczkę! Jeden z kolegów właśnie mi melduje...

– No?

Stał w lasku, widząc gdzieś daleko słaby blask ulicznych latarni. W słuchawce zaległa cisza, gdy jednak się w nią wsłuchał, był w stanie odróżnić ciche głosy i czyjeś kroki, a potem ktoś powiedział do mikrofonu:

– Może to zabrzmiało trochę dziwnie, ale znaleziono znowu samochód użyty do ucieczki.

– Jak to?

– Identyczny model, identyczny numer rejestracyjny. Tyle że po drugiej stronie miejscowości....

– Jak mam to rozumieć?

– Volkswagen tysiąc trzysta. Czerwony. GZP siedemset osiemdziesiąt cztery. Na końcu polnej drogi, przy stercie kamieni. Mniej więcej w takiej samej odległości od Ösmo jak pan teraz, tyle że na zachód, a nie na wschód.

Broncks rzucił okiem na tylną tablicę rejestracyjną. GZP 784. Potem ruszył jeszcze raz przez mokry śnieg, przeczisnął się między pniami i sprawdził tablicę z przodu. BGY 397.

Przysunął mikrofon do ust.

– Ma pan kontakt z kimś na miejscu?

– Tak.

– Niech pan mu powie, żeby obszedł samochód dookoła.

Słyszał w tle przytłumioną wymianę zdań i czekał. W końcu rozległy się trzaski i znowu odezwał się znajomy głos.

– Już sprawdził.

– No i co?

– Z przodu jest inny numer.

– BGY trzysta dziewięćdziesiąt siedem?

– Zgadza się.

Ukradli dwa identyczne auta i zamienili tablice rejestracyjne. I dzięki temu mieli dwa identyczne pojazdy z identycznymi numerami z przodu i z tyłu, żeby świadkowie mogli je zapamiętać.

Sprawcy zostawili jeden z nich przed napadem: albo ten w lasku blisko drogi krajowej w kierunku wschodnim, albo drugi, na końcu polnej drogi w kierunku zachodnim.

Z jednego rejonu poszukiwań nagle zrobiły się dwa.

A ścigający musieli teraz podwoić liczbę blokad, liczbę granicznych obszarów i liczbę zaangażowanych jednostek policji.

Ponieważ nie wiedzieli, który z dwóch samochodów był rzeczywiście używany, gdy cztery sprawy napadów przesiedli się do trzeciego pojazdu.

– Broncks?

– Tak?

– Czy pan myśli to samo co ja?

– Potrzebujemy więcej radiowozów.

– Nic z tego. Przecież pan wie: dworzec centralny.

Dmuchało coraz mocniej, mimo że wierzchołki drzew już nie ugiwały się tak jak niedawno. John Broncks rozejrzał się w mroku i zrozumiał. To nie wiatr przybrał na sile, tylko powietrze cięło śmigło helikoptera.

– Śmigłowiec!

– Tak?

– Trzeba go skierować gdzie indziej. Musi oddalić się od wybrzeża i drogi krajowej i wziąć kurs na północny zachód! Niech przeszuka boczne drogi w głębi łądu!

Odgłos helikoptera. Najpierw przytłumiony i daleki. Potem coraz wyraźniejszy i bliższy.

Leo spojrzął na niebo, które powinno było być czarne, a tymczasem ciemność przecinały snopy światła rzucane ze szperaczy.

– Felix! Vincent!

Stali przed zamkniętymi drzwiami nieczynnej stacji benzynowej przy wymarłej bocznej drodze. W ubraniach, w których kilkanaście minut temu obrabowali dwa banki. Z trzema kilogramami banknotów.

– Plandeka na samochody! Szybko!

Sztokholmska policja dysponowała dwoma helikopterami, które poleciały tam, gdzie on je wysłał – w rejon sztokholmskiego dworca centralnego, pięćdziesiąt kilometrów stąd.

A to był śmigłowiec wojskowy. Takiej opcji Leo w ogóle nie brał pod uwagę.

Jeśli zostaną zauważeni w powietrzu, wtedy pozostanie im jedno rozwiązanie: otworzyć ogień. Tyle tylko, że śmigłowce wojskowe są odpowiednio zabezpieczone – stal pancerna chroni zarówno silnik, jak i ludzi na pokładzie. Raczej mała szansa, aby dało się go trafić, zanim załoga przekaże gdzie trzeba meldunek o tym, co odkryła.

Felix dopadł do firmowego pick-upa, przechylił oparcie fotela kierowcy i sięgnął po złożoną plandekę, podczas gdy Leo podbiegł do samochodu obok, zgarnął z siedzeń i z podłogi cztery automaty, a następnie jeden zawiesił sobie na szyi, drugi zaś podał Jasperowi.

– Nie spuszczać oka z helikoptera!

Jasper przycisnął jedno ramię do ściany stacji, przyklęknął i przyjął pozycję, celując w światło padające z góry.

– Trzeba zakryć całe samochody!

Szybko rozpostarli pogniecioną oliwkową płachtę, z której wypadło trochę brązowych liści, teraz już wyschniętych i kruchych, pochodzących jeszcze z lasu przy magazynie z bronią.

– Nadlatuje! – wrzasnął Jasper, lecz jego głos gubił się w głośnym warkocie.

Jednoczesny energiczny ruch trzech par ramion i wielki brezent o wymiarach cztery metry na sześć pokrył szczelnie oba samochody.

– Do środka – wszyscy! – krzyknął Leo i podbiegł pierwszy do zamkniętych drzwi stacji. – Szybko, szybko!

Kluczyk do klódki.

Felix szukał we wszystkich kieszeniach kombinezonu: na piersi, na nogach, z boku i z tyłu. Nigdzie go nie było.

Zaczął szukać jeszcze raz. Przekłęte terkotanie i oślepiające światło były coraz bliżej, a on nie mógł go znaleźć!

Trzymał go w palcach, kiedy Leo chwycił go za ramię, a Jasper wytrącił mu z ręki latarkę, która upadła na ziemię i zgasła.

Trzymał go w palcach...

Trzymał go...

– Nie mam pojęcia, gdzie on jest!

– Felix, gdzie jest ten pierdolony kluczyk?!

– Nie mogę znaleźć! Ale w samochodzie mam nożyce do metalu, zaraz...

– Nie zdążymy!

Pieprzone terkotanie. Wściekle jaskrawe światło.

– Leo, jestem gotowy, słyszysz?

Jasper klęczał obok nich, wciąż w pozycji strzeleckiej, z bronią skierowaną ku reflektorom szperającym po częściowo zaśnieżonej ziemi.

Wcisnął mocniej kolbę w dołek na ramieniu.

– Leo, czekam! Wystarczy, że dasz rozkaz!

Snop światła padający z helikoptera przypominał podłużne srebrne oko oddalone już jedynie kilkaset metrów. Leo wahał się. Wiedział, że jak tylko krzyknie „Ognia!”, Jasper strzeli. Ale jeżeli nie trafi, będzie po wszystkim.

– Pod samochody!

Pierwszy podskoczył do plandeki, uniósł jeden bok, jakby otwierał wejście do groty.

– Do środka, szybko!

Pierwszy wczuł się pod pick-upa Vincent, za nim Felix.

– Ty też!

Jasper wstał, przebiegł dwa kroki z automatem w rękach, rzucił się na ziemię, przeturlał pod plandekę. Leo za nim. Szperacz śmigłowca był już blisko stacji, wyasfaltowanego placu i samochodów nakrytych zieloną plachtą.

Przywarli do ziemi, czując na plecach rurę wydechową i miskę olejową.

Helikopter był już tutaj. Nad nimi.

Obracające się śmigło wcisnęło powietrze w plandekę, która najpierw zaczęła drżeć, a potem zatrzępotała w nierównym rytmie. Oślepiające światło przesączało się przez nią, zalewając wszystko przenikliwą zielenią.

Leżeli i oddychali w ciszy. Leo z ramieniem przyciśniętym do ramienia Feliksa. Nie miał wątpliwości, co teraz myślał jego młodszy brat.

Gdyby go nie zatrzymał. Gdyby napadli na trzeci bank.

Śmigłowiec dotarłby na miejsce przed nimi i zostaliby odkryci.

Oko, oko, nos.

Nieco niżej pięć otworów obok siebie w półkolu.

Usta. Uśmiechają się.

John Broncks policzył dokładnie. Osiem strzałów. Prosto w szybę nad ladą kasową.

Stał w pustej sali bankowej – klientów i personel przeprowadzono do cieplej i przytulnej czytelnicy biblioteki po drugiej stronie placu, gdzie lokalna policja miała przeprowadzić przesłuchania. Jakaś młoda kobieta została zawieziona do szpitala – milczała, chociaż według jednego ze świadków nieprzerwanie krzyczała – miała zwichniętą ramię i kilka drobnych skaleczeń, które wkrótce się zagoją, lecz ten krzyk na pewno będzie nieuchronnie powracać.

Kamery monitoringu i kawałki szkła na podłodze. W banku za ścianą było podobnie.

Trzy minuty, podwójny napad rabunkowy, a potem sprawcy odjechali samochodem, który znaleziono w dwóch miejscach.

Blokada dróg nic nie dała. Wojskowy helikopter też niczego nie znalazł.

A wy jesteście poza obszarem poszukiwań.

„Na szybie pancерnej przy jednym z okienek kasowych widoczne otwory po strzałach układające się w kształt twarzy. Dokładne odległości podane są w załączniku”.

Broncks podszedł bliżej i powoli wyciągnął rękę w kierunku ośmiu otworów.

Jedno oko. Drugie oko. Nos. Usta.

Wpatrywał się w tę twarz, a ona wpatrywała się w niego.

Nie mrugała i nie poruszała wargami – nierzeczywista i sztuczna, miała puste oczy i martwe usta z zastygłym uśmiechem oraz nos w złym miejscu, za bardzo pośrodku. Pęknięcia i setki drobnych rys powstałych na roztrzaskanej szybie wokół otworów po kulach przypominały skórę z brzydkimi zmarszczkami.

Broncks odwrócił się w stronę drzwi wejściowych.

Skończyłeś. Opuściłeś bank. A potem wróciłeś i oddając strzał za strzałem, wyrąbałeś w szybie ten uśmiech.

Znak.

Co on, u diabła, znaczy? Dlaczego się do mnie uśmiechasz? Dlatego, że znowu zniknęliście bez śladu? Że dokonaliście pierwszego w Szwecji podwójnego napadu rabunkowego? Że planujecie coś jeszcze większego?

Wpatrywał się w twarz, a ona wpatrywała się w niego.

Ciemno na dworze. Nawet z daleka przez okno widać było, że Vincent i Feliks przeszli z kuchni do pokoju, który po chwili rozjaśniła niebieska poświata włączanego przez jednego z nich telewizora.

Leo i Jasper stali jeszcze na zewnątrz.

Wiatr studził ich rozpalone policzki, napięcie stopniowo ustępowało. Zdjęli z siebie kombinezony i czekali, aż z ich ciała wyparuje pot.

Gdy ucichł huk helikoptera i oddalił się snop jaskrawego światła, wyczołgali się spod samochodu i ściągnęli plandekę. Po raz drugi włamali się do budynku, przecinając kłódkę, przebrali się i odjechali firmowym pick-upem – Felix za kierownicą, a Leo, Vincent i Jasper na pace, ukryci za stertą materiału

izolacyjnego. Przez całą drogę nie padło ani jedno słowo. Dzieliło ich osiem strzałów w szybę kasową i ładunek, który miał nie wybuchnąć, a wybuchł.

– Przysięgam.

Stojąc przed Leo, Jasper niecierpliwie przestępował z nogi na nogę.

– Zawleczka była nietknięta, kiedy zamykałem skrytkę. Słowo honoru, Leo! Przysięgam!

Późne popołudnie. Po drugiej stronie ogrodzenia – wieczorny ruch, ludzie wracali z pracy do domu.

– To ja skonstruowałem tę bombę. – Leo patrzył na dom. Felix stał w pokoju z pilotem w ręce. – Zaprojektowałem ją od początku do końca i zbudowałem. Razem z Feliksem. I on ma rację. Ten ładunek nie mógł wybuchnąć sam z siebie.

Jasper pokręcił głową.

– Kurde, Leo, umiesz sobie wyobrazić, jak ja się teraz czuję?

I kilka razy uderzył się pięścią w pierś.

– Kiedy stoisz przede mną i mi nie wierzysz? To potwornie... boli. Tak, boli!

Felix usiadł na kanapie. Vincent obok niego.

– No to mi wyjaśnij, jak to możliwe, że bomba wybuchła?

– A skąd mam wiedzieć? Nie ja ją budowałem. – Pięści znowu kilka razy uderzyły w pierś. – Przysięgam, Leo! Zrobiłem tylko to, co miałem zrobić! Słowo!

Ruch na ulicy jeszcze przez jakiś czas będzie duży, a może nawet się nasili, dopóki większość ludzi nie dotrze do domu. Ale on już dotarł. Wrócił do domu. Podczas gdy Jasper zniknął w kuchni, Leo wszedł na piętro.

Felix i Jasper siedzieli nadal na kanapie przed okrągłym stołem, na którym stał otoczony wianuszkami szklanek i butelek odbiornik policyjny. Tak samo siedzieli po napadzie w Svedmyra, tyle że tym razem nie było słychać śmiechu ani podekscytowanych głosów. Panowała absolutna cisza. Głos w telewizorze wyciszony, radio wyłączone.

Z dużych zwykłych szklanek w milczeniu pili whisky zamiast musującego szampana.

– Włącz radio.

– Nie.

– Chcę wiedzieć, co mówią.

– Zaraz będą wiadomości.

Leo usiadł na fotelu i nalał sobie trochę whisky.

– Przestań się już nabzdyczać. W końcu w tych torbach jest ponad dwa miliony koron.

Felix nic nie powiedział, tylko skierował pilot na telewizor i podgłośnił.

– Słyszysz, wyluzuj wreszcie.

– Wyluzuj? – Felix napełnił sobie szklankę do połowy i niemal jednym haustem opróżnił. – Wróciłeś tam, zламаłeś ustalenia i... wygarnąłeś osiem razy.

Przejechał palcami po włosach. Opuścił głowę, a kiedy po chwili spojrział na starszego brata, jego wzrok przewiercał Leo na wylot.

– Planowałeś to wcześniej... czy to był po prostu taki durny impuls?

– To nie był żaden durny impuls. Pomyślałem po prostu, że to... pasuje.

– Powiem ci, że mnie to ani trochę nie pasuje! Słiście już do samochodu. Mieliśmy już stamtąd spieszać, ja trzymałem nogę na gazie, a ty ni z tego, ni z owego sobie zawracasz!

Z telewizora dobiegł stłumiony dźwięk sygnału wieczornych wiadomości.

– Mógłbyś zrobić głośniejsze?

Jasper przyszedł z kuchni. Przyniósł po cztery butelki piwa w każdej ręce.

„Ładunek wybuchowy umieszczony w skrytce bagażowej na sztokholmskim dworcu centralnym eksplodował tuż po godzinie piętnastej, gdy próbowano go rozbroić za pomocą policyjnego zdalnie sterowanego robota”.

Siedzący na końcu kanapy Vincent pochylił się, aby lepiej widzieć i słyszeć. Długie sekwencje ujęć z dworca. Przytłumiony huk. Potem szybkie zbliżenie czarnego dymu wydobywającego się z hali głównej i stopniowo rozplywającego się w powietrzu.

Ale nie takich obrazów wypatrywał. Szukał rannych ludzi, krwi na białym prześcieradle i plam na czarnym asfalcie. Noszy lub sanitariuszy. Nic z tych rzeczy. W głównianym reportażu pokazano jedynie stosy gruzu na schodach, w hali głównej i w poczekalni, a także barierki odgradzające i podróżnych w długich kolejkach.

„Jeden z techników policyjnych został lekko ranny. Przewieziono go do szpitala Sabbatsberg”.

No, nareszcie. Widoczna na ekranie karetka.

Vincent odwrócił się do Leo.

– Co on powiedział?

– Jak to?

– No co powiedział o tym gliniarzu!

– Że został ranny. Ale lekko.

Vincent opadł z ulgą na kanapę. Policjant nie zginął.

Roześmiał się słabo. To wszystko jest takie dziwne. Ostatnie miesiące wydawały mu się jakby nierzeczywiste. Jak film, o którym rozmawiali po obejrzeniu. Napad podzielony na sceny. Ale teraz było inaczej. Wiedział, że to jest rzeczywiste.

Felix znowu nalał sobie do połowy i od razu wypił.

– No i co, jesteś dumny, Jasper? Bomba. I to w samym centrum. Fajnie się z tym czujesz?

– To nie mój problem, że to, co zbudowałeś, wylatuje w powietrze, choć nie powinno.

– Dobrze wiem, że to twoja sprawka!

Felix zerwał się z kanapy, chwycił Jaspера za koszulę i potrząsnął nim mocno.

– Puszczaj!

Guzik od koszuli poturlał się po podłodze. Przyspieszone oddechy. Jasper złapał Feliksa za rękę, a ten zacisnął je jeszcze mocniej.

– Możesz gadać, co chcesz, a ja i tak wiem!

– Siadajcie, do cholery! – Leo odepchnął ich obu. – Co wy, do kurwy nędzy, wyprawiacie? Siadajcie!

– On kłamie!

– Siadaj, powiedziałem!

– Nie będę siedział w jednym pokoju z tym gnojkiem!

Felix puścił koszulę, Jasper zaś cofnął rękę i zaczął zapinać nieliczne guziki, które pozostały jeszcze na miejscu.

– Felix, zamknij się wreszcie!

Leo spojrział na swojego młodszego brata z zacięłą miną.

– Wierzę Jasperowi. Przysiągł mi, że to nie on. Patrząc mi w oczy.

– Mówisz, że mu wierzysz?

– Tak, wierzę.

– Przecież na nim w ogóle nie można polegać. Wpycha ochroniarzowi lufę do gardła, w Sköndal i Svedmyra zostaje po czasie i odstawia solówki, no a dzisiaj, kurde... To chyba zaczyna być zaraźliwe, co, Leo? Ja w każdym razie za grosz mu już nie ufam, a chyba powinniśmy, do kurwy nędzy, ufać jeden drugiemu?

Drgały mu napięte mięśnie policzków. Leo wiedział, co to oznacza.

– Jak Jasper mówi, że tego nie zrobił, to ja mu wierzę.

– Ty też możesz sobie iść do wszystkich diabłów!

Felix przewrócił jeden z foteli i ruszył w stronę drzwi.

– Posłuchajcie wszyscy! – krzyknął Vincent. – W gruncie rzeczy to nie ma znaczenia.

To on trzy dni wcześniej na widok budowanej bomby jako pierwszy postawił się człowiekowi, który nauczył go chodzić. To on rozprętał całe to piekło.

– To już nieważne, Felix. Przecież nikt nie zginął.

A skoro on zaczął tę awanturę, to może tylko on będzie w stanie ją zakończyć.

– Nie ma co już o tym gadać. Srać na to. A wy... przestańcie się kłócić.

Popatrzył na stojącego w drzwiach Feliksa, na Leo, który podniósł przewrócony fotel, i na Jaspера, tak wkurzonego brakiem guzików przy koszuli, że w końcu po prostu ją zdjął.

– Vincent ma rację – powiedział Leo i niechcący potrącił stół, wskazując nagle na telewizor. Migawki z ogarniętego chaosem sztokholmskiego dworca zostały zastąpione zdjęciami z niedużego miasteczka kilkadziesiąt kilometrów na południe od stolicy – taśmy odgradzające i gapie przed dwoma bankami z widocznymi śladami po kulach i z otwartymi skarbcami.

– To wszystko nieważne – dodał. – Najważniejsze, że my siedzimy tu razem, a oni tam ciągle nie mają pojęcia, kim jesteśmy ani co planujemy.

Czarny koń. Z gęstą rozwianą grzywą. A kiedy staje dęba, patrzy na niego.

Vranac. Etykieta na butelce wina.

Ten koń jest wolny i nieokiełznany. Buntuje się i nie daje poskromić. On potrafił to dostrzec. Podczas gdy inni pili po prostu niedrogie wino z Czarnogóry o aromacie śliwek i ziemi, i tyle.

Ivan siedział na ławie w kuchni w swoim mieszkaniu na parterze już prawie cały dzień. Czasami tak mu się zdarzało, kiedy na dworze było zimno, a on miał sporo wolnego czasu. Sięgnął po korkociąg, wyciągnął korek z butelki i przelał połowę zawartości do rondła stojącego na kuchni. Następnie dodał dwie łyżki cukru, poczekał, aż się rozpuści, a potem napełnił tym cienkuszem prawie czysty duży kubek do kawy. Dzień jak co dzień. Chociaż nie do końca. Po pierwszych dziesięciu kuponach, pierwszej butelce vranacu i kilku pierwszych papierosach zadzwonił do najstarszego syna. To była ich druga rozmowa w ciągu trzech lat. Nie miał nawet pewności, czy wybrał właściwy numer.

Numer się zgadzał, ale głos brzmiał jakoś dziwnie – Leo był rozdrażniony, opryskliwy i mocno się spieszył. „Nie mam czasu”. Potem w tranzystorowym radiu nadali specjalne wiadomości o podłożeniu ładunku wybuchowego w skrytce bagażowej na dworcu centralnym w Sztokholmie, który eksplodował przy rozbrajaniu. Bomba w samym centrum szwedzkiej stolicy. Ivan mieszkał w Szwecji od trzydziestu lat, ale przypominał sobie jedną taką sytuację, kiedy bomba wybuchła w zachodnoniemieckiej ambasadzie. No i może jeszcze jedną. Generalnie coś takiego działo się zupełnie gdzie indziej, w miejscach, które on już dawno zostawił za sobą. A jeszcze później, po wypełnieniu kolejnych dwudziestu kuponów, postawieniu dziesiątków krzyżyków układających się w określone wzory i chyba po następnej połowie butelki, a także po ładnych kilku papierosach, Radio Sztokholm podało, że tu, w Ösmo, pięćset metrów od jego okna, dokonano napadu na bank, a nawet na dwa banki.

Dzień jak co dzień. Chociaż nie do końca.

Czarny koń stawał dęba. A on pamiętał białego konia, który był potulny. Dostał go w prezencie od ośmioletniego Leo na swoje trzydzieste piąte urodziny. Porcelanowy konik leżący spokojnie na trawie. Jego syn tyle razy widział wciąż tę samą etykietę na butelkach, że w końcu pomyślał, iż ojciec uwielbia konie.

Jeszcze kilka łyków. Aromat ziemi i śliwek. I jakiegoś zioła. Ciepło rozchodziło się przyjemnie od przetyku po całej piersi.

Napad rabunkowy? Tutaj? Podwójny? I strzelanina?

Okno było otwarte, on jednak nie słyszał żadnych strzałów, a przecież umiałby je rozpoznać i odróżnić od fajerwerków. Huk wystrzału przebrzmiewał dość szybko. Ale on na pewno by go zauważył. Zwłaszcza że podobno było tych wystrzałów kilkadziesiąt.

Na wąskim kaloryferze w łazience wisiały cztery skarpety, które wyprał sobie w ręku. Wypite wino nie tylko złagodziło ból w kolanie, ale pomogło też nie czuć wilgoci skarpetek, gdy wciągnął je na stopy i włożył swoje schodzone brązowe półbuty.

Na wieszaku wisiały dwie kurtki. Miał do wyboru jasnoszarą i ciemnoszarą.

Wybrał jasną.

Gdy Ivan wsunął ręce do kieszeni, materiał na plecach napiął się mocno. Zamknął drzwi wejściowe i wyszedł na ulicę. Koperta wypchana banknotami ciągle nie pozwalała mu zapiąć kieszeni koszuli na piersi; co prawda zrobiła się cieńsza, lecz była bardziej pomięta i wciąż zajmowała tyle samo miejsca. Jego kieszonkowe. Z czterdziestu trzech tysięcy zostało dwadzieścia dziewięć tysięcy i pięćset koron. Wydał na tytoń, bibułkę, vranaca i całą stertę kuponów Keno.

Najpierw szedł senną ulicą z domami jednorodzinnymi i szeregowcami po obu stronach, potem trochę w dół; na wysokości przystanku autobusowego przed biblioteką zobaczył pierwszy radiowóz. Dalej zagrodzony rynek, a na nim gliniarze w swoich ciemnych mundurach i idiotycznych czapkach kręcili się w kółko i gadali z każdym, kto miał coś do powiedzenia. A wszystko to w blasku świątecznych iluminacji w formie płatków śniegu, Świętych Mikołajów i reniferów. Pieprzone święta. Obżarstwo i rozrzutność. Ludzie opychali się i robili się coraz tłustejši. Nieżywe świnie wtrajane przez żywe świnie. Sztuczna radość. Wszyscy się cieszyli i piali, dopóki nie zaczynały wrzeszczeć bachory.

Wyjątkowo w tym roku bożonarodzeniowa iluminacja przynajmniej przydała się do czegoś sensownego – oświetlała miejsce przestępstwa. Największy Święty Mikołaj świecił najjaskrawiej i rzucał światło na nadętę twarz ludzi, którzy mieli coś wyjątkowego do opowiedzenia i przez to czuli się też wyjątkowi. Podszedł bliżej do grupki mieszkańców rozmawiających między sobą po cichu. Wyglądali na normalnych i ponieważ nie zgrywali się na nikogo ważnego, nie polecili od razu

opowiedzieć wszystkiego glinom, tylko dzielili się z innymi swoimi wrażeniami i tym, co zobaczyli. Byli tutaj, gdy wszystko się wydarzyło, widzieli mężczyzn w czarnych kominiarkach, którzy strzelali bez zastanowienia i zamienili ich miasteczko w strefę wojny.

Ivan wyciągnął głowę ponad skupisko gapiów. Za oknami banku kręcili się ludzie z policji.

On też tam był. Ten bezczelny glina też tu przyjechał. Ivan nie miał wątpliwości.

Bubek, który machnął mu legitymacją policyjną przed nosem na progu jego własnego domu, arogant, który insynuował, że Ivan Duvnjac jest jakimś nędznym włamywaczem, pieprzonym szczerem obrabiającym czyjeś domy.

Przecisnął się między ludźmi i zaczął śledzić tego gburę chodzącego w kółko po banku i przyglądającego się rozbitym kamerom na podłodze, przewróconym krzesłom i splądrowanym szufladom kas. Jakaś kobieta ubrana w szczelny biały kombinezon i rękawiczki zbierała na kłęczkach z posadzki łuski po nabojach. Ivan nie ruszył się z miejsca, dopóki tamten cham nie obrócił się w jego stronę i nie obrzucił wzrokiem tych, którzy gapił się na niego.

Na pewno mnie rozpoznałeś. Przyszedłeś wtedy, żeby mnie sprowokować. A teraz patrzysz na mnie tak, jakby mnie nie było. A przecież nie po to się wtedy zjawiliś, żeby pytać o jakieś kretyńskie włamania. Ukryłeś przede mną prawdziwy powód.

Po chwili ważniak przeszedł za okienka kasowe i zniknął – prawdopodobnie w skarbcu. Teraz Ivan mógł zobaczyć to, przed czym gliniarz stał przez chwilę i w co wpatrywał się nieruchomo.

Osiem postrzałów w szybę nad kasami.

Wszystkie razem układały się... w twarz. Para oczu, nos i uśmiechnięte usta.

To był diabelsko szyderczy uśmiech. Ktoś zadrwił sobie z ważniaka i jego kolegów.

Ivan stał przed bankiem i przyglądał się twarzy wśród odłamków szkła i łusek po nabojach, starając się wyłączyć głosy ludzi wokół siebie, którzy do znudzenia mówili i mówili o tym, co widzieli i co, wyolbrzymiane i przejawskrawiane, zaczynało już żyć własnym życiem.

Wydarzenia, które na pozór zdawały się nie mieć ze sobą związku, a mimo to zająębiały się jedno o drugie, podobnie jak kombinacje cyfr na kuponie totka. Miał na myśli wizytę bezczelnego gliniarza, kopertę w kieszeni koszuli, dwa banki obrabowane pięćset metrów od jego domu i ten szyderczy uśmiech wyszczerzony nie tylko do tych, co ścigają, ale i do tych, co właśnie teraz stoją i się gapią – do niego.

Wyszedł z tłumu i z każdym krokiem w stronę domu narastało w nim przekonanie, że jest obserwowany. Czuł na plecach czyjs nieustępliwy wzrok.

wtedy
część druga

Wciąż stoją nieruchomo w ciasnej windzie. Jaskrawe światło razi ich w oczy. Obserwują się nawzajem w wąskim pasku lustra pokrytego w górnej części cieńszą warstwą graffiti. Od czasu do czasu, ale tylko na ułamek sekundy, żeby nie dało się zauważyć, Leo zerka na nóż Mora, który tata wciąż trzyma w dłoni i ściska tak mocno, że aż ma białe kostki.

– Zrobileś to, mój ty zasmarkańcu. Uderzyłeś go. I to w sam nos.

Głos taty drży jakby od środka. A potem tata głośno przełyka, identycznie jak on.

– Mogłem cię stracić.

– Ale tato...

– Drzwi!

– Mówię ci, nic by się nie stało. Bo ja to wszystko właśnie tak sobie zaplanowałem. Chciałem, żeby Hasse i ten fiński spaślak gonili mnie aż tutaj. Żebyś mógł zobaczyć. Przyłożyłem mu prosto w nos, o tak...

– Otwórz drzwi.

– Spójrz, tato, w sam...

– Otworzysz wreszcie te cholerne drzwi czy nie?

– Już?

– Tak, już.

Głos taty brzmi znowu normalnie. Już chyba nie trzęsie się tak mocno od środka.

Leo otwiera najpierw drzwi windy, a potem drzwi do mieszkania.

Wie, że to jest to samo pięciopokojowe mieszkanie na siódmym piętrze w samym środku Skogås, przeciw wyszedł z niego niedawno. Oczywiście, że to wie. A mimo to pomieszczenia wydają mu się mniejsze.

Ciasne. Przytłaczające.

Stoi w przedpokoju, który stał się jakby krótszy, a jego ściany sprawiają wrażenie niższych niż rano, gdy wyjmował nóż z roboczych spodni taty i wychodził do szkoły razem z Feliksem. Czuje się tak, jakby musiał pochylić głowę, żeby nie zawadzić o sufit, kiedy tata mówi, żeby zdjął kurtkę i sweter. Jest mu tak zimno, że ma gęsią skórkę na całym ciele, a tata tymczasem ogląda rozdarcie na rękawie kurtki i dziurę na jej ramieniu. Potem przypatruje się zadraśnięciu na obojczyku. Rana już nie krwawi, Leo czuje palce taty na zaschniętej, nierównej powierzchni.

– Wcale mnie nie boli. Ledwie mnie drasnął...

Tata zniknął już w kuchni. Przekręca gałkę kuchenki gazowej i robi sobie gorące wino z cukrem. Po chwili siada przy stole i wlewa połowę czarnego płynu do szklanki.

Leo obserwuje jego plecy. Ma ochotę usiąść obok niego i jeszcze raz pokazać mu skaleczenie, zaschłą brunatną krew. Przechodzi przez przedpokój, który do tej pory wydawał mu się o wiele dłuższy, i zatrzymuje się w otwartych drzwiach do pokoju. Vincent rozstawił na podłodze wszystkie żołnierzyki, jeden obok drugiego, a teraz wyciąga spod łóżka nową piłkę tenisową oblepioną kurzem. Potem patrzy na Leo i uśmiecha się do niego.

– Widzisz, jedna jedyna bomba. I zaraz wszyscy od niej zginą.

A gdy po rzuceniu piłką połowa figurek nadal stoi, Vincent podnosi ją znowu i ciska w nie, póki wszystkie się nie przewrócą.

– Zdejmijmy go, Leo – szepcze Felix, stając za jego plecami. – To znaczy ten worek treningowy. Wejdziemy do pokoju i po prostu zamkniemy za sobą drzwi.

Felix przesuwa trójnożny stółek na środek, staje na nim i usiłuje dosięgnąć haka pod sufitem. Ale nie daje rady.

– Tu powinna wisieć lampa, którą zdjął tata. Gdyby była na swoim miejscu, Kekkonen nie dziobałby cię nożem tak, że omal nie umarłeś.

– Nic się nie stało, Felix. Przecież dałem radę im obu.

– Coś takiego nigdy nikomu nie wychodzi na dobre, słyszysz?

Felix próbuje znowu. Zaciska zęby i wspinając się na palce na stołku, wyciąga w górę drżące ręce, dosięga haka, ale materaca nie udaje mu się zdjąć. Siada na taborecie i mocno przygryza wargi, jak zawsze gdy płacze, a nie chce, żeby ktoś to zobaczył.

– Smutno ci?

Felix ma siedem lat. A kiedy ma się tylko siedem lat, nie sposób ściągnąć ciężkiego materaca z haka pod samym sufitem.

– Nie.

Krótkie zaprzeczenie, połknięte razem z wdechem. Urwane w połowie.

– Przecież widzę.

– Nie chodzi o mnie, tylko o ten durny worek. I o ten durny hak.

Felix wstaje i wali w materac. Wiele razy. Boksuje i boksuje, w końcu nie ma siły i spogląda na Leo, który po chwili unosi lekko materac, aby sznurkowa pętla zsunęła się z haka, i upuszcza go na podłogę. Następnie bierze z rąk Feliksa lampę i już przy pierwszej próbie udaje mu się zawiesić ją z powrotem pod sufitem.

Opuszczają najmniejszy pokój w mieszkaniu, który teraz wydaje się jeszcze mniejszy – zbyt mały, aby kiedykolwiek móc znowu do niego wejść.

Więcej miejsca jest w pokoju Vincenta. Siadają więc u niego na przeciwległych końcach dywanu przedstawiającego miasto i przyglądają się najmłodszemu bratu, gdy ten znowu rozstawia brązowe i zielone żołnierzyki, a potem upuszcza na nie dwie piłki tenisowe. Dwie bomby jednocześnie.

Po pewnym czasie do ich uszu dochodzi przez mury dobrze im znany odgłos: uporczywe trąbienie, powtarzane raz za razem. Wszyscy trzej wiedzą, że to musi być niebieski samochód.

– Chodźcie!

Vincent zostawia swoje żołnierzyki – w szyku i jeszcze niezbombardowane – biegnie do okna i wdrapuje się na pudło po Lego.

– Leo! Felix! No, chodźcie!

Obaj stają obok swojego małego brata i wyglądają na dwór. Jasnoniebieski samochód z lodami zatrzymuje się przed dwójką – tam mieszka Jasper, którego ojciec zrzuca z balkonu od drugiej strony kondomy, a one lądują po drodze na drzewach i powiewają jak białe liście – potem przystaje przed czwórką – to klatka Marie, którą Leo kiedyś prawie pocałował – i wreszcie przed szóstką, gdzie mieszka turecka rodzina z synami Farukiem, Emrem i Bekirem. Później znowu słychać trąbienie i samochód podejżdża pod ich klatkę. Stoi tam, dopóki są klienci.

– No, chłopaki!

Cholerny klakson. To przez niego nie usłyszeli ciężkich kroków w przedpokoju.

– Moje chłopaki!

Nigdy nie wiadomo, czy tata jest zły, czy nie. Niby głos nie brzmi groźnie, ale patrzy na nich tym znajomym spojrzeniem.

– Lody! Lody przyjechały! Chyba sobie zasłużyliście, tak czy nie? No, bierzcie kurtki!

Vincent natychmiast puszcza się od okna do przedpokoju. Felix wprowadzie wolniej, ale też rusza za nim. Leo natomiast zostaje i się odwraca. Przy jego stopach stoją figurki w wojskowych mundurach, a on trzyma w rękach piłki tenisowe. Upuszcza je i żołnierzyki przewracają się na ziemię. Wszystkie.

Potem pomaga Vincentowi włożyć buty, które kiedyś nosił, oraz dawny ulubiony kombinezon Feliksa. Zapina mu go pod samą szyję i na koniec wkłada na głowę czapkę, wcześniej nienoszoną przez żadnego z nich, tymczasem tata przelewa resztę wina do dwóch butelek z czarnymi porzeczkami na etykietach.

Kiedy Leo niecałą godzinę wcześniej stał w windzie obok taty, była prawie zima. Teraz otwierają drzwi i nagle jest wiosna – ptaki, drzewa, słońce. A dokładnie w miejscu, gdzie niedawno leżał nóż Mora, stoi samochód z lodami.

– No, chłopaki, jakie chcecie?

Pierwsze uderzenie. Prosto w nos.

– Wy wybieracie, a tata płaci!

Stał i się nie ruszał. Nawet wtedy, kiedy Kekkonen podniósł błyszczące ostrze.

– Tylko weźcie na patyku.

Stał i się nie ruszał.

– Żadnych innych.

Tata trzyma w ręce banknot stukoronowy. Wygląda jakoś inaczej niż zawsze. Wypił to swoje czarne wino, ale to chyba nie od niego. Znowu się trzęsie. Chociaż się uśmiecha. Chociaż pociąga kilka łyków z jednej z dwóch butelek po napoju z czarnej porzeczki, drży. W środku.

– Te?

Zastanawiają się.

– Może te?

W końcu Vincent decyduje.

– Tak, te.

Zielone lody na patyku, o smaku gruszkowym, cały nierozpakowany karton.

– No, chłopaki, idziemy się przejść. Zjecie sobie lody na spacerze!

Tata jest wysoki, także w porównaniu z innymi ojcami. Kiedy niesie Vincenta na barana, to ten ma do ziemi spory kawałek. Leo idzie obok, Felix kilka kroków za nimi. Każdy z zielonymi lodami w ręce, a tata popija znowu z drugiej butelki z etykietą z czarną porzeczka. Idą s p a c e r e m, przecinają duży parking, potem kierują się w stronę łąki i boiska do piłki nożnej z nowymi bramkami i siatkami, a w końcu docierają do zatoki, na której akurat z trzaskiem pęka lód.

Siedzą na półwyspie. Albo na cyplu. W każdym razie na kawałku lądu wrzynającym się w jezioro i zakłócającym równą linię brzegu. Szerokie kamienne bloki leżą spiętrzone jeden na drugim jak kawałki puzzli, które do siebie nie pasują. Na całym cyplu rosną tylko dwa drzewa. Sosny, niezbyt wysokie, z ciemniejszymi pniami u dołu od wilgoci powstałej po szybko topniejącym śniegu.

Trzysta metrów od brzegu do brzegu. Drevviken. Latem Leo przepłynie całe jezioro. Próbował już w zeszłym roku. Pewnego wieczoru, kiedy powierzchnia wody była gładka jak lustro, dopłynął do środka. Dałby radę do końca, jest tego pewny, jednak zawrócił, ponieważ Felix i Vincent stali na stromej skale i wrzeszczeli jak opętani, żeby się nie wygłupiał, bo właśnie zjadł kolację, a po jedzeniu każdy idzie jak kamień na dno. Czasami zastanawiał się, czy to rzeczywiście prawda. Jezioro na środku jest głębokie.

W pół godziny można z tego miejsca dotrzeć łódką do Farsta albo do Sköndal, gdzie mieszkają babcia i dziadek. Może kiedy będzie dorosły, da radę dopłynąć wpław także tam, o ile będzie trzymał się bliżej brzegu, bo przy nim fale są mniejsze, no i przedtem nic nie zje. Suche ubranie mógłby mieć na plecach w szczelnie zawiązanej foliowej torbie.

Jeszcze jeden łyk. Tata siedzi pod sosną i przełyka głośno. Jeśli tata hałasuje i wydaje jakieś odgłosy, wiadomo, że można się nie bać. Gorzej, gdy go nie słyhać – wtedy robi się niebezpiecznie.

Także druga butelka po napoju z czarnej porzeczki jest już prawie pusta. Tata wyszcza jeszcze jedną kropkę i następną, potem kładzie flaszkę na ziemi, a ona zaczyna się turlać po skale w dół, ku lodowi i wąskiemu pasowi wody przy samym brzegu.

– Pozbierajcie patyki po lodach.

Tata patrzy na nich. Na Feliksa, Vincenta i na Leo, który przeszukuje zwiędłą trawę i brunatne liście. Zjedli tyle lodów, że aż urosły im brzuchy.

– Co do jednego! I przyjdźcie tu z nimi do mnie.

Naliczyli jedenaście sztuk. Idą w stronę sosen, gdzie siedzi tata. Wyciąga do nich rękę.

– Dajcie mi je!

Potem mają usiąść dookoła niego jak Indianie wokół swego wodza.

– Dobrze. A teraz każdy weźmie sobie po jednym.

– Po jednym?

– Jeden patyk dla każdego.

Wykonują polecenie i czekają, co będzie dalej. Od strony wody dochodzą odgłosy coraz głośniejszego i coraz częstszego pękania lodu.

– A teraz je złamcie.

Słyszeli, co tata powiedział, ale nie rozumieją.

– No, złamcie je!

Złamać. Zniszczyć. Patyk po lodach?

– Leo?

W głosie taty słyhać zniecierpliwienie, irytację. Ten ton znaczy, że może się zdarzyć wszystko.

Wdech, wydech.

Patyk po lodzie leży jak pomost między dłońmi Leo. Naciska go z obu końców i przełamuje.

Bez trudu.

Felix robi to samo co on – w każdej dłoni jeden koniec. Boli go, kiedy naciska i drewnienko wgniata się w skórę. Jeszcze raz. I jeszcze raz.

– Felix?

Felix naciska znowu, nie zwracając uwagi na ból, kiedy ostre drzazgi wbijają się głęboko.

– Vincent?

Ciało trzylatka, niesione na nóżkach trzylatka, zbliża się do wody, wiatr rozwiewa mu cienkie włosy. Maluch przykłęka, podnosi coś z brzegu i wraca z kamieniem tak dużym, że ledwie mieści się w jego rączkach. Kładzie patyk na nierównej powierzchni skały, potem podnosi ponad głowę swoje

trzyletnie ramiona i opuszcza na niego kamień. Powtarza to wiele razy, podczas gdy zarówno wódz, jak i dwaj pozostali Indianie odsuwają się w obawie przed półkilogramowym otoczakiem.

W końcu drewnienko Vincenta jest trochę odłupane z boku.

– No i jak wam poszło?

Znowu siadają w kręgu. Leo i Felix podają tacie swoje kawalki.

– Są przełamane?

– Tak.

– Całkiem?

– Tak.

– Okej. A teraz ty, Leo, jako najsilniejszy, weź ode mnie pięć patyków i przełam je wszystkie razem.

– Rękami?

– Tak jak zrobiłeś to przed chwilą.

Spojrzał na tatę, który przestał już trząść się w środku. Wyraźnie do czegoś zmierza, nie wyjaśnia jednak, o co mu chodzi.

Pięć patyków po lodach. To już o wiele szerszy most między jego dłońmi. Leo napręża ramiona, ręce i palce. Koncentruje się.

Nic z tego.

Jeszcze raz.

Czuje ostry ból w obu dłoniach, kiedy napina się i napina, a patyki stawiają mu opór.

Nie daje rady.

– To...

Nie ma odwagi spojrzeć na tatę. W oczy, które pewnie patrzą teraz tak samo jak na tamtego pasożyta z kręconymi włosami i jego zarośniętego kumpla przed centrum handlowym, oskalpowanego potem nożem Mora.

– ...niemożliwe.

Pięć cienkich patyczków po lodach. Leo upuszcza je na skałę. Rozsypują się na wszystkie strony, a on zamyka oczy i czeka. Po chwili czuje jego rękę na swoim ramieniu. Ale jej dotyk nie jest mocny, gwałtowny, tylko delikatny.

– To, chłopcy, jest właśnie nasza rodzina. Nasz klan.

Tata podnosi patyki ze skały, a potem każdemu synowi po kolei pokazuje po jednym z nich.

– Ten patyk to Vincent, a ten Felix. Tutaj mamy Leo, a tu... mamę... i... tatę.

Następnie składa je wszystkie razem.

– A klan trzyma się zawsze razem.

Teraz patyczki leżą między jego potężnymi dłońmi.

Vincent. Felix. Leo. Mama. Tata.

– Jesteśmy klanem. Wy jesteście moim klanem.

Po czym próbuje złamać je wszystkie naraz. Killakrotnie. Bez skutku. Nawet jemu się nie udaje.

– Jeżeli klan trzyma się razem, wtedy żadna siła go nie złamie. Mama czasami tego nie rozumie. Nie rozumie, co to znaczy prawdziwa solidarność.

Siedzą teraz bliżej. Oddech taty czuć winem z butelki po napoju.

– Klan jest co prawda nieduży, ale niezniszczalny. Klan ma przywódcę, który kieruje, a potem przekazuje przywództwo następnemu. Rozumiecie?

Kiwają głową ku tacie, który patrzy na nich, ale najintensywniej przygląda się Leo.

– Rozumiesz, Leo?

Oczy taty wydają się takie jak w windzie. Tyle że teraz widać je lepiej, bo nie w lustrze.

– Bywało, że duże armie próbowały pokonać nieduże klany i nic z tego nie wyszło. Bo klan składa się z członków rodziny, którzy zawsze nawzajem się wspierają!

Gdy patrzy na nich, domyślają się, że tata powiedział właśnie coś ważnego.

Próbują więc pokazać, że go rozumieją.

– Jak... Indianie?

– Nie! Nie! Nie! Plemiona indiańskie są jak... zwykle społeczności, a ja mówię o klanie, o rodzinnych więziach, jak u Czyngis-chana czy u Kozaków.

Tata wstaje i chwije się trochę na skałe, jak to zwykle bywa, kiedy dorośli opróżnią za dużo z butelek po napoju z czarnej porzeczeki.

– Kozacy nie mają ziemi... jedynie swoją rodzinę i swój ród. Przemieszczają się z miejsca na miejsce, nie potrzebują żadnego miejsca na własność, bo zawsze mają siebie nawzajem.

Nagle tata krzyżuje ramiona na piersi, kładzie dłonie na uniesionych wysoko łokciach, przykuca jak żaba i zaczyna podskakiwać. A właściwie nie podskakiwać, tylko wyrzucać raz jedną, raz drugą nogę przed siebie. Teraz bardziej przypomina konika polnego. I jeszcze do tego śpiewa. Cały czas powtarza jedno słowo, które brzmi mniej więcej jak „kalinka” czy coś w tym rodzaju. W końcu potyka się i nie jest już Kozakiem. Jego potężne ciało upada do tyłu na twardą skałę. Tata uderza się w głowę, mimo to śmieje się głośno, zanosi od śmiechu, co zdarza mu się bardzo rzadko.

– W klanie, w prawdziwym klanie, nigdy jeden nie wyrządza krzywdy drugiemu.

Po chwili tata siada z powrotem.

– W prawdziwym klanie nikt nikogo nie zdradza.

Odór wina miesza się z zapachem jego przepoconej ciasnej roboczej koszuli.

– W prawdziwym klanie obowiązuje zasada: jeden za wszystkich, wszyscy za jednego.

Leo wie, że prawdopodobnie się myli, ma jednak poczucie, jakby tata mówił tylko do niego.

– Bo inaczej... wszystko się rozpada.

Zostali na cyplu trochę dłużej. Tata na zmianę siedział i leżał na skale, chyba nawet spał; albo i nie spał, tylko był nieobecny i milczał, bo czasami tak z nim po prostu jest. Leo zawsze uważał to za dziwne, że ktoś, kto w jednej chwili tańczy i podśpiewuje „kalinka”, za moment całkiem zamyka się w sobie i wygaduje coś, czego Leo nie rozumie. Nie chodziło o to, że belkotał, tylko o to, co mówił. Opowiadał o swoim dzieciństwie, młodości i o przyjeździe do Szwecji.

Idą gęsiego wąską ścieżką przez las. Jest już popołudnie. Ponieważ zrobiło się zimniej, szczerzej zapinają ocieplane kurtki. Choć nie idą szybko, Vincent zatrzymuje się zniemacka, zadziera głowę i patrzy błagalnie. Leo bierze go na ręce. Tata idzie na samym końcu, znowu głośno śpiewa, ale teraz już bez słów. Już wyrwał się z ciszy i ani razu nie zapada się w siebie przez całą drogę znad brzegu Drevviken przez las, obok boiska, łąki i szkoły, aż do samych drzwi domu.

Zawsze znajdzie się jakaś nowa butelka.

Stojak pod zlewem jest co prawda pusty, ale za nim leży jeszcze jedno wino, awaryjny zapas, aby tata nigdy nie został bez niczego. Sięga teraz po nie, idzie z butelką do sypialni i kładzie się na nieposłane łóżko. Leo czeka, aż zaśnie, i dopiero wtedy zamyka drzwi. To ważne, żeby tata trochę pospał, bo wtedy mają chwilę spokoju i mogą się trochę rozluźnić.

Ich kurtki wiszą na trzech wieszakach w przedpokoju. Felix stoi przy nich i lustruje dziury w kurtce Leo. Przesuwa palcami po wystrzępionych brzegach, odsłania białe wypełnienie, podobne do bawełny, ale jednak sztywniejsze i twardsze, próbuje wepchnąć je z powrotem do środka, ale ono wciąż wylazi. Jeśli odwraca do ściany dziurę po nożu na ramieniu, wtedy widać dziurę na rękawie. I odwrotnie. A przecież w każdej chwili może zjawić się mama, która nie powinna zobaczyć, że kurtka jest zniszczona.

Leo przechodzi na palcach obok drzwi sypialni, zza których dobiega pochrapywanie taty, do kuchni, wyjmując z najwyższej szuflady stojącej szafki taśmę klejącą, odrywa małe kawałki, a potem próbuje zakleić nimi dziury w kurtce. Nic to nie daje, dziury stają się przez to jeszcze większe. Felix z kolei znajduje kilka igieł, ale ani jednej nitki w odpowiednim kolorze, choć wyrzucił na podłogę w przedpokoju zawartość wszystkich możliwych pudełek i słoiczków. Później obaj odkrywają na biurku tubę z klejem, okazuje się jednak, że zakrętka przyschła tak mocno, że w żaden sposób nie są w stanie jej odkręcić, choć od kolejnych prób bołą ich palce.

– Będzie źle, Leo, mówię ci.

– Odwrócimy dziury... o tak... do ściany.

– Mama i tak zobaczy.

– A z wierzchu powiesimy szalik.

– Dobrze wiesz, że to nic nie da.

– No to powiemy jej, że zawadziłem o kolczaste krzaki.

– O jakie znowu...

– Bo Faruk trafił piłką w zarośla, a ja się schyliłem i chciałem ją wyjąć, no i wtedy zaczęłem o kolce i zrobiłem sobie te dwie dziury.

– Nie, nie, lepiej powiedz, że to ja kopnąłem. Bo próbowałem strzelić gola lewą nogą, a przecież jestem prawonóżny.

Mama wraca do domu.

Oni dwaj siedzą cicho w kuchni i nasłuchują, jak stawia torebkę na krześle, siatkę z zakupami na podłodze, a płaszcz wieszka na wieszaku.

Potem szybko przechodzi dalej. Nie patrząc, nie zauważając dziur po nożu.

Wchodzi do kuchni, a kiedy słyszy dobiegające z sypialni chrapanie taty, pyta, co jedli na obiad i na kolację. Zanim Leo i Felix zdążą odpowiedzieć, wyręcza ich Vincent i głośno woła ze swojego pokoju: „Lody”, Leo zaś dodaje, że później zrobił naleśniki, a mama przez sekundę sprawia wrażenie, że chyba mu nawet uwierzyła.

– Naleśniki?

Szuka wzrokiem patelni na kuchni i w zlewie, talerzy z resztkami dżemu truskawkowego. Na próżno.

Leo tym razem jest szybszy od Vincenta i odpowiada:

– Tak.

– Tak?

– Tak.

Mama rzadko się denerwuje, ale to właśnie taka chwila. Widać to w jej twarzy, zwłaszcza gdy zza drzwi sypialni rozlega się urywane pijackie pochrapywanie taty i wypełnia całe mieszkanie.

– Wszystko... pozmywałem. I wstawiłem do szafek. Patelnię. I talerze.

Mama otwiera jedną z nich. Ale nie tę z garnkami czy z naczyniami, tylko szafkę pod zlewem. Wysuwa kosz na śmieci i wtedy wszyscy mogą zobaczyć – puste butelki i pusty stojak.

Jest zła.

Ale nie na niego i na jego kłamstwa.

– Okej. No to co chcecie na kolację? – Dotyka jego policzka. Jej skóra jest zawsze taka miękka. – Co powiecie na naleśniki?

– Super.

Leo pomaga jej wyjąć mąkę, jajka, mleko i sól. I kawałek boczku, który tata zawsze kroi sobie ostrym nożem na grube plastry i zjada z cebulą.

Naleśniki z boczkiem.

– Kiedy tata poszedł do sypialni?

– Jak wróciliśmy do domu.

– Do domu?

– Tak.

– A skąd?

Jak ma to powiedzieć? Najpierw był samochód z lodami. Potem dwie butelki po napoju z czarnych porzeczek. I patyki po lodach, których nie da się złamać tak samo jak rodziny.

– Skąd?

– Ze szkoły.

Jej dłoń znowu delikatnie dotyka jego policzka.

– Skąd?

Wciąż to samo. Ma słowa na końcu języka, nie jest jednak w stanie ich z siebie wydusić.

Dlatego gdy tylko słyszy, że ktoś dzwoni do drzwi, wybiega szybko do przedpokoju. Byleby uciec z kuchni i nie musieć odpowiedzieć na pytanie mamy jeszcze jednym kłamstwem.

– Zostałem w domu twoją mamę albo tatę?

Leo nigdy dotąd nie widział mężczyzny stojącego w progu.

– Kim pan jest?

Jest wysoki. Prawie jak tata. Ale ma krótkie włosy i przyjazne oczy.

– No to jak? Rodzice są w domu?

Facet nie wygląda na domokrążcę. Nie jest też dozorcą, który przyszedłby się poskarżyć, że szaleją po piwnicy albo że stłukli dwie lampy przy parkingu. To raczej ktoś, kto chce porozmawiać o Jezusie i zostawić kolorowe broszury z obrazkami dzieci, które bawią się z lwami.

– Jest mama.

Nie, on chyba jednak nie chce rozmawiać o Jezusie, bo nie ma żadnej gazetki w ręku. Poza tym tacy zawsze chodzą parami.

Leo czuje skurcz w żołądku, gdzieś za żebrami.

Dobrze, że tata śpi.

Bo ktoś, kto dzwoni do drzwi i pyta o mamę i tatę, na pewno chce pogadać o tym, co zrobił albo Leo, albo Felix, albo tata. To już lepiej, żeby tata się nie obudził.

– Dziękuję.

Leo idzie do kuchni i najpierw nasłuchuje. Tata wciąż chrapie. Więc specjalnie staje plecami do sypialni, kiedy zwraca się do mamy, która w plastikowej misce robi ciasto na naleśniki.

– Ktoś chce z tobą porozmawiać.

– Kto?

Leo wzrusza ramionami.

– Nie wiem.

Mama płucze ręce pod kranem, wyciera je w ścierkę, która wisi przy piekarniku, i wychodzi do przedpokoju.

– Dzień dobry.

Mężczyzna wyciąga do niej rękę.

– Jestem ojcem Hassego.

Hasse? Hasse i Kekkonen? Ci dwaj, którzy pobili mojego syna?

– A ja jestem mamą Leo. Cieszę się, że pan przyszedł. Właśnie zamierzałam się z panem skontaktować.

Wysoki mężczyzna kiwa głową z westchnięciem.

– Rozumiem. I doceniam to. Bo to wszystko jest po prostu... nie do zaakceptowania.

Mama też kiwa głową z westchnięciem i otwiera nieco szerzej drzwi.

– Proszę wejść. Nie będziemy przecież rozmawiać na klatce schodowej.

Tata Hassego przestępuje próg, ale zatrzymuje się na wycieraczkę. Mama patrzy na przedpokój oczami tego mężczyzny, jakby to były dwa różne pomieszczenia. Jej ściana. I ściana Ivana. Jej – ozdobiona wiklinowymi koszykami i obrazkami namalowanymi specjalnie dla niej przez Feliksa, a Ivana – obwieszona starymi narzędziami i z szabłą, którą zawsze należy dotknąć i poprawić, aby wisiała dokładnie pośrodku.

– Proszę mnie zrozumieć: nie przyszedłem tu po to, żeby robić pani jakiekolwiek zarzuty.

Mówiąc do mamy, tata Hassego pochyla się trochę, jakby chciał wydawać się niższy.

– Chcę tylko się upewnić, czy porozmawiała pani ze swoim synem.

Mama zmienia pozycję. Oparta do tej pory tylko na jednej nodze, teraz przenosi ciężar ciała na obie, jakby przygotowywała się do obrony. Zauważa to tylko Leo, bo dobrze ją zna. Wie, że kiedy ona tak stoi, to się mobilizuje.

– A ja z kolei chciałam się upewnić, czy p a n porozmawiał ze s w o i m synem.

– Tak, porozmawiałem. Mieliśmy przecież... masę czasu. Cztery godziny na ostrym dyżurze.

– Na ostrym dyżurze?

– Tak.

– Dzisiaj?

– Złamanie awulsyjne. Wskutek użycia brutalnej siły. Tak powiedzieli.

Mama obraca się ku Leo, patrzy mu w twarz, na której granatowa dotąd silna opuchlizna przeszła w umiarkowane obrzmienia pokryte żółtawobrazowymi plamami. Przygląda mu się, a po jej spojrzeniu widać, że w tym momencie zrozumiała, iż sytuacja uległa zmianie. *Z z e s z ł e g o t y g o d n i a z r o b i ł o s i ę d z i s i a j , a p a ń s k i s y n s t a ł s i ę m o i m s y n e m .* Punkt wyjścia do rozmowy nie był już ten sam.

Leo patrzy w podłogę, nasłuchuje i stwierdza, że pochrapywanie za ścianą nagle ustało.

– Gdyby nie było mnie dzisiaj w domu i natychmiast nie zawiózłbym syna na ostry dyżur, mógłby mieć trwałe uszkodzenia na całe życie.

Ciężkie kroki są coraz bliżej.

– Trzeba było unieść kość i wyprostować przegrodę nosową.

Mama znowu obraca się w stronę Leo. I dopiero teraz zauważa, że tata wyszedł z sypialni. Zmierzwione włosy sterczą mu na boki, przeciągnięta zmęczoną dłonią do tyłu grzywka stoi na baczność.

– Nie jestem pewna, czy dobrze zrozumiałam. Dzisiaj? Kość nosa?

– Tak.

– W takim razie... jest mi ogromnie przykro. Natychmiast porozmawiam z Leo i wszystko wyjaśnimy. Moglibyśmy wpaść do państwa i wspólnie porozmawiać. Pański syn i pan, mój syn i ja.

Ciężkie kroki.

– A co jest do wyjaśnienia? Oczywiście, że wszystko wyjaśnimy. Prawda, Britt-Marie?

Tata przechodzi obok Leo i staje między gościem a mamą.

Mężczyzna, gotowy już do wyjścia, trzyma rękę na kłamce lekko uchylonych drzwi. Tata podchodzi do niego jeszcze bliżej.

– Chyba nie chce pan już iść. Proszę! Niech pan wejdzie! Zaraz sobie wszystko wyjaśnimy.

I puszcza oko do mamy.

– Może da się pan zaprosić na kolację? Britt-Marie! Mamy dzisiaj gościa na kolacji! Tatę Hassego!

Wysoki mężczyzna wydaje się oszołomiony, ponieważ naprawdę chciał już się pożegnać.

– Ależ nie... To naprawdę nie jest konieczne, chciałem tylko z państwem o tym porozmawiać...

Mama uśmiecha się do niego niewyraźnie. Ale nie do taty.

– Posłuchaj, Ivan, już omówiłam to z tatą Hassego, potem wszystko ci opowiem. Już po wyjściu pana.

Teraz tata się uśmiecha.

– Ale ja jeszcze nie skończyłem. Leo jest też m o i m synem. Zapraszam pana, proszę do środka, panie „tato Hassego”.

Chwyta klamkę i zamyka mu drzwi przed nosem. Wskazuje ręką na kuchnię, nie pozwalając tym samym mamie ruszyć się z miejsca, a drugą wymachuje energicznie, kiedy gość schyla się, aby zdjąć buty. Ależ nie trzeba, później wszystko się posprząta.

– Czyli chciał pan wyjaśnić tę sprawę.

Siedzą przy stole w kuchni. Tata na swoim stałym miejscu przy popielniczce i stosiku kuponów totka, ojciec Hassego na krześle mamy.

– Tak.

– A co tak naprawdę mamy wyjaśnić? Że nasi synowie się pobili? Że tym razem mój dziesięcioletni syn przyłożył pana trzynastoletniemu synowi? I że są teraz kwita?

Ojciec Hassego rozgląda się dookoła, szuka mamy, której nie ma w kuchni.

– Kwita? Tak to pan nazywa? Mój syn wrócił dziś do domu z poważnymi obrażeniami. Złamanie kości nosa i...

– Chwileczkę.

Tata unosi władczy gestem dłoń i kiwa palcem w stronę przedpokoju.

– Leo!

Leo przestępuje próg kuchni.

– Chodź bliżej!

Leo robi krok dalej, nie ma jednak odwagi podejść aż do stołu.

– Leo, synu, to jest tata Hassego. Mówi, że uderzyłeś Hassego. W nos.

Łódówka warczy tak głośno jak nigdy dotąd.

– Czy to prawda? Uderzyłeś go?

– Tak.

– Jeden raz?

– Tak.

Kuchnia zamieniła się w salę sądową, a na niego patrzą dwaj sędziowie przysięgli. Jeden się uśmiecha, drugi z powagą kiwa głową. Następnie ten, który się uśmiecha, sięga do kieszeni spodni i wyjmuje kilka banknotów.

– Masz.

Daje Leo pięćdziesiąt koron.

– Jeśli następnym razem będziesz chciał wyrównać rachunki, to uderz dwa razy. Wtedy dam ci stówkę.

Pięćdziesiąt koron. Z pieniędzy taty. Leo bierze wymięty banknot i wygląda go starannie.

– Możesz już iść. Pobaw się z braćmi.

Tata mruga do ojca Hassego, identycznie jak kilka minut temu do mamy.

– No, czyli oni dwaj są teraz kwita. Pana syn najpierw pobił mojego, a potem mój pańskiego. Między nimi sprawa jest załatwiona. – Tata bierze długopis do ręki i przysuwa bliżej kupony lotka. – Ale nie między nami.

Zaczyna stawiać krzyżyki w różnych konfiguracjach.

– Bo przychodzi pan do mojego domu i zrzuca całą winę na m o j e g o syna. A to nie on zaczął wszystko, tylko p a n i s k i synalek, ten mały gangster! I dlatego to my, panie „tato Hassego”, musimy się rozmówić i doprowadzić sprawę do końca. Tutaj, przy tym stole. Obiecuję panu, może pan być tego pewny, że za każdym razem, kiedy pański opryszek podniesie teraz na kogoś rękę, nieważne na kogo, wtedy ja pana odszukam i obiję panu gębę.

Tata Hassego zrywa się z krzesła.

– Pan mi grozi?

Tata odkłada długopis i patrzy spode łba, jak to on potrafi.

– Jeśli pan chce, może pan tak uważać.

– Sądziłem... że będziemy mogli spokojnie porozmawiać.

– Rozmawiamy. Jak na razie.

Ojciec Hassego milknie na chwilę. Ma czerwoną twarz.

– Pan mi grozi. Zdaje pan sobie sprawę, że mogę z tym pójść na policję?

Tata śmieje się, cicho, przynajmniej tak to wygląda.

– Proszę bardzo. Niech pan idzie i zgłosi.

Teraz śmieje się głośniej. Tak szczerze.

– Przekłete gliny jeszcze mi podziękują. Będą mi wdzięczni! Bo w końcu się dowiedzą, że pana syn to mały gangster.

A potem wszystko dzieje się tak szybko, jak wtedy w restauracji ze szklanką piwa. Tata wstaje, chwyta ojca Hassego za kołnierz i wciska w kąt między warczącą lodówkę a drzwi.

– Zapamiętaj pan sobie! Za każdym razem, kiedy ten pański bandyta kogoś dotknie, wtedy przetrzępię panu skórę. Za każdym razem, bez wyjątku!

Tata mówi coraz głośniej i dlatego w tym momencie uchylają się drzwi do pokoju Vincenta. Felix i Vincent patrzą przez szparę, jak tata przyciska ojca Hassego do ściany, a potem wlecze go przez przedpokój do wyjścia.

– Do widzenia, panie „tato Hassego”. Pozdrowienia dla synalka ode mnie. Niech pan złapie go porządnie za nos, ściśnie i nim potrząśnie, i powie, że to pozdrowienie od Leo. Syna Ivana.

Britt-Marie stoi nadal w przedpokoju, blisko drzwi, tam, gdzie została, gdy mąż zabronił jej ruszyć się z miejsca i przejść za gościem dalej, aby we trójkę usiedli przy stole w kuchni. Gdy kroki mężczyzny milkną na klatce schodowej, czuje, że nogi uginają się jej w kolanach, a ciało chce się osunąć na podłogę, jak zawsze, gdy nie ma siły stawić oporu agresji wywołanej alkoholem. Tym razem jednak Britt-Marie postanawia się nie poddawać i przewyciężyć własną bezsilność.

– Leo, Felix, Vincent, idźcie do swoich pokoiów!

– Niby dlaczego mają iść do swoich pokoiów?

– Bo chcę z tobą porozmawiać. W cztery oczy.

– Ty? A czy ty wiesz, co twój syn dzisiaj zrobił?

Tata unosi szal zakrywający odwrócony do ściany rękaw kurtki i odsłania dziurę, która teraz jest jeszcze większa. Nawet palec taty spokojnie się w niej mieści.

– Bronił się. Bronił nas. Naszego honoru. Zagrozili mu nożem! I zrobił to, co zrobił, dla nas! Proszę bardzo, możesz porozmawiać, Britt-Marie! Ale z nami wszystkimi! Jesteśmy rodziną.

Tydzień temu jej syn przyszedł do domu z podbitym okiem i policzkiem pokrytym zaschniętą krwią.

– Britt-Marie! Czy rozumiesz, co do ciebie mówię?

A dzisiaj usłyszała o złamanym nosie.

– Jeśli uważasz, że nasz syn postąpił dziś źle, powiedz mu to. Przy nas wszystkich.

Teraz zauważa w kurtce syna dziurę po ostrzu noża.

– Nie, Leo nie postąpił źle, Ivan.

Jej kolana tym razem się nie ugną, tak postanowiła.

– Tylko ty y.

– Ja?

Tata puszcza kurtkę, ale rękę trzyma wciąż w górze.

– To ja nauczyłem naszego syna, jak ma się bronić!

– A jeśli ojciec Hassego zgłosi cię na policję?

Tata podchodzi bliżej, z podniesioną ręką.

– Za co?

– Groziłeś mu, Ivan.

– Nie ma na to żadnych świadków. Tak czy nie?

Spogląda na nią, a potem na swoich trzech synów.

– Czy ktoś z was słyszał, żebym groził tacie Hassego? No, słyszał któryś? Czy tylko moja żona jest kapusiem w tym domu?

Najdłużej patrzy na najstarszego syna.

– Leo, no powiedz, słyszałeś coś takiego?

Czeka, aż otrzyma odpowiedź.

– Nie, tato. Nie słyszałem.

– Ale ja słyszałam, Ivan.

Mama stoi blisko taty. Blisko jego ręki. Ale w ogóle się tym nie przejmuję.

– Słyszałam, jak mu groziłeś. I mogę słowo w słowo powtórzyć, co powiedziałeś.

Ręka.

– Chcesz... mnie... zdradzić? Wbić mi nóż w plecy?

Porusza nią.

– Wydać mnie? Naprawdę byś to zrobiła?

Przysuwa do jej twarzy.

– Tato, nie!

Felix podbiega do ojca i mamy, i do ręki drżącej nerwowo tuż przed jej nosem.

– Tato! Nie rób tego! Tato!

Felix podskakuje, krzyczy i szarpie tatę za spodnie, dopóki ręka nie znajdzie się niżej.

– Nigdy więcej nie waż się występować przeciwko mojej rodzinie.

Potem nagle zaczyna się pozorny ruch.

Leo patrzy, jak tata wychodzi na balkon i przechyla się przez balustradę, jak mama przeciera oczy, idzie do łazienki, zamyka za sobą drzwi i odkręca kran. Felix puka do niej, chce, żeby go wpuściła. Vincent biegnie do swojego pokoju, chwytając piłki tenisowe i upuszcza je na podłogę, głośno szlochając.

Wszystko się rusza, nic nie stoi w miejscu.

Tylko Leo zamarł.

Jedynie on tkwi jak posąg, nie krzyczy i nie płacze.

I już wie.

Tata drży w mieszkaniu, które stało się jeszcze mniejsze.

Ale tym razem drży i na zewnątrz, i w środku.

Właściwie to lubi ciemność. Długie noce w domu opieki, ciszę, sporadyczne pokasływanie wymagających szczególnej opieki pensjonariuszy. Czasami trzeba kogoś przewrócić na łóżku. Czasami ktoś ocknie się z koszmaru i trzeba go uspokoić – poprawić mu poduszkę, delikatnie objąć, podać szklankę wody.

Ale ciemność za oknem ich wspólnej sypialni jest inna, niespokojna. Britt-Marie długo nie mogła zasnąć, a teraz leży na prawym boku i obserwuje go, jak chrapie głośno, oddalony od niej zaledwie o jeden piśszczotliwy gest albo o piekący policzek. Ma mokre od potu czoło i włosy. Za kilka godzin obudzi się z niespokojnego snu i popatrzy na nią, bez słowa prosząc o wybaczenie.

Czyjeś kroki. W przedpokoju.

Jest tego pewna.

A potem drzwi wejściowe otwierają się i zamykają. Siada na brzegu łóżka, wsuwa stopy w kapcie i wychodzi z sypialni.

Nikogo.

Kuchnia, duży pokój, pokój Ivana, Vincenta. Wszystko wygląda normalnie. Dopiero w pokoju Leo i Feliksa zauważa, że jedno łóżko jest puste.

Idzie szybko do kuchni i wychodzi na balkon. Ten, kto zejdzie po schodach, musi przecież potem wyjść głównymi drzwiami.

Całe Skogås wydaje się pogrążone we śnie. Drzwi na dole nie otwierają się, nie pojawia się niczyi cień w blasku ulicznej latarni.

Wraca i siada na pustym łóżku. Koldra leży na podłodze, a na niej trzy poduszki.

Felix.

To on krzyknął na swojego ojca, żeby cofnął rękę, i to on w panice bębnił potem w drzwi łazienki. Już nieraz znikał wcześniej, kiedy słowa zamieniały się w pogroźki. Nigdy jednak w nocy. Może dlatego ona teraz trzęsie się z zimna, chociaż jest całkiem ciepło. I nie czuje dłoni na swoim prawym ramieniu, mimo że spoczywa tam już dłuższą chwilę.

– Mamo?

Wzdryga się. To Leo. Widocznie niechcący go obudziła.

– Powinieneś jeszcze spać, synku.

– Pójdę go poszukać.

Britt-Marie obejmuje go mocno. Zauważa, że bardzo urósł.

– Połóż się. To ja razem z tatą...

– Wiem, gdzie on jest.

– Nie wyszedł z domu od frontu.

– Wiem, wyszedł tylnym wejściem.

Jej najstarszy syn wciąga na siebie to, co leży na bezładnym stosie na krześle: dżinsy, sweter, kurtkę, wkłada buty. Chwilę później drzwi wejściowe otwierają się i zamykają po raz drugi tej nocy.

Britt-Marie stoi samotnie w kuchni. Okrągły zegar na ścianie tyka zbyt głośno i nieublaganie odmierza sekundy niezależnie od tego, do której części mieszkania by poszła. Odsuwa na bok pełną popielniczkę oraz stertę kuponów i patrzy na ściany domu, który kiedyś był także jej domem.

Łóżko, w którym leży chrapiący, spocony i niespokojny mężczyzna.

Puste łóżko, ponieważ ktoś uciekł.

Puste łóżko, ponieważ ktoś pobiegł szukać uciekiniera.

I jeszcze jedno puste łóżko, ponieważ ona siedzi teraz z łokciami opartymi na kuchennym stole i zastanawia się, czy on uciekł dlatego, że usłyszał, jak rozmawiała tuż po północy ze swoją mamą, co prawda szeptem, ale zdecydowanym i kategorycznym tonem, jakiego używa się zazwyczaj wtedy, gdy zostanie podjęta ważna decyzja.

Księżyc jest prawie w pełni i jego blask rozświetlający niebo dociera nawet na tył siedmiopiętrowego bloku na podstokholmskim przedmieściu.

Leo oddycha głęboko. Przed nim leży dosyć wysokie skaliste wzniesienie, na którym chętnie się bawia i które oddziela osiedle od lasu kurczącego się z każdym rokiem.

Bierze rozpęd, jak zawsze odpychając się od chropowatej ściany domu, potem dodaje gazu i pędzi z całych sił pod górę. Pod stopami czuje szczeliny, pniaki i korzenie, chwytając się ich, aby wspiąć się na sam czubek. Serce łomocze mu o żebra. Wdech, wydech, wdech, wydech. Jeszcze jedna szczelina, ze dwa pniaki i kilka korzeni i jest na szczycie. Skała przechodzi w mur obronny zbudowany w czasie pierwszej albo drugiej, albo jeszcze innej wojny. Często bawia się w tym miejscu. Mur jest wysoki, a od czasu do czasu są w nim kanciaste nisze wyglądające jak groty. Porusza się szybko wzdłuż niego, jak wąż wijący się przez ciemny las. Tu, na górze, jest nawet jeszcze trochę śniegu.

Wie, że każda minięta nisza to kolejne pokonane sto metrów. Leo, Felix, Buddha i Faruk kryją się w nich, kiedy bawia się w wojnę z chłopakami z szeregowców.

Po czterystu metrach dociera do wyrwy, przez którą przechodzi się do lasu pełnego sękatych drzew, gdzie powiesił się tata Gregera. Po sześciuset metrach jest skała, z której w ostatnie lato spadł mały Billy – po tym wypadku jego mama zamknęła swój salon fryzjerski i bez przerwy snuła się bez celu po Skogås jak zjawą. Leo dobrze pamięta widok jego martwego ciała, ale już wtedy postanowił sobie, że nigdy nie będzie o tym myślał.

– Felix?

Leo podchodzi bliżej, przystaje. Nasłuchuje.

– Braciszku? Jesteś tam?

Jego młodszy brat siedzi na samej krawędzi.

– Felix, widzę cię.

Jeszcze jeden krok. Nie ma odwagi podejść bliżej. W świetle księżycy brat wygląda na większego.

– Chcę być sam.

– Nie możesz tu zostać. Jest środek nocy. Musisz wrócić do domu, do łóżka.

– Nie.

– Mama się obudziła. I się martwi.

– Nie wrócę do domu.

Leo przesuwa się powoli, małymi kroczkami, tak żeby Felix nic nie zauważył, i nagle staje tuż za nim.

– Dlaczego?

Wystarczy tylko jeszcze jeden niewielki krok i mógłby runąć na twarde skały jak mały Billy.

– Bo zrobi się bardzo źle.

– Źle?

– Słyszałem, co mama mówiła.

– Co?

– Słyszałem, jak powiedziała, że ucieknie.

Leo siada na skałe. Nie za blisko. Ale i nie daleko.

– To niemożliwe.

– Słyszałem na własne uszy.

Ciemność. Cisza. I coś pęka, trzeszczy, jak wcześniej lód w ciągu dnia. To wiatr szarpie gałęziami i zwiewa wilgotne liście.

– Co słyszałeś?

– Rozmawiała przez telefon. Kiedy byliśmy w łóżkach. Pewnie myślała, że śpimy.

– No i co?

– Z babcią. I miała taki dziwny głos.

Szara skała jest lodowata. Leo dopiero teraz czuje, że zimno wnika mu w ciało, a potem wychodzi przez dziurę w rękawie.

– Powiedziała... słyszałem to, Leo... słyszałem, jak powiedziała: „Nie wytrzymam dłużej”. I to kilka razy.

– Mówiła to już nieraz. Ale zawsze i tak wracała.

– Naprawdę słyszałem! Ona nie wróci! Teraz na pewno już nie wróci.

Trzaski są coraz głośniejsze. I częstsze. To przez wiatr. Ale słychać też jeszcze inne odgłosy. Samochodów jadących Gamla Nynäsvägen po drugiej stronie lasu. Leo nigdy by nawet nie pomyślał, że tyle ludzi jest w drodze nocą.

– Jest zimno, Felix.

– Nie.

– Nie masz czapki ani rękawiczek.

– Bo nie jest zimno.

Leo sięga do kieszeni swojej kurtki. Zwykle ją tam ma. Czapkę w czerwone, białe i niebieskie paski.

Jest. Wciska ją bratu na głowę.

– Osiemdziesiąt procent ciepła traci się przez głowę.

– Co?

– Taka jest prawda.

Felix poprawia sobie kolorową czapkę, za bardzo nasuniętą na czoło. Potem siedzą obok siebie w ciszy i patrzą na jasno świecący okrągły księżyc.

– Trzeba iść do domu.

– Nie.

– Nic się nie naprawi, jak tu będziesz siedział.

– Nic się nie naprawi, jak wrócę do domu.

Słychać coraz więcej samochodów. Ciężarowych. One brzmią inaczej.

– Leo?

– No?

– Myślę o tacie.

– Że co?

– On przecież nic nie wie.

– No i?

Felix macha nogami nad przepaścią.

– Powinniśmy mu powiedzieć, że mama chce odejść?

teraz
część trzecia

Bardzo lubił tę porę roku. Kwiecień i budzące się wokół życie. Tęsknił za tym, żeby usiąść wśród krzaczków jagód w lesie albo na porośniętej mchem skale i wystawić twarz do słońca, którego nieśmiało, ale intensywne promienie przedzierały się przez wierzchołki drzew.

Oparł się o samochód, który już od wielu lat przywoził go tutaj, wysłużone volvo kombi przeżarte rdzą tak bardzo, że ledwo się trzymało. Prawdopodobnie to już jego ostatnia wiosna. Choć może dotrwa jeszcze do lata. Ale potem nieodwołalnie przyjdzie pora na pożegnanie i trzeba będzie odstawić ten wrak na złom.

Krótki odcinek żwirowej drogi za długim zakrętem prowadził do opuszczonego szlabanu. Parkował tu co wieczór, zapalał papierosa i zgodnie z regulaminem czekał pięć minut. Już niemal zapomniał, jak to miejsce wygląda za dnia. Niby to samo, a jednak inne.

Dziś wypada półroczna inspekcja.

Postoi tu jeszcze moment, potem zgasi niedopalek na żółto-czerwonym szlabanie i ruszy stromym podejściem na otwarty plac wysypany żwirami w środku lasu. Dzisiaj jednak nie będzie omiatał latarką szarego bunkra, krążąc dookoła niego samotnie, bo będzie miał towarzystwo i wspólnie otworzą drzwi magazynu, policzą wszystkie sztuki w drewnianych skrzyniach i porównają wynik z listą inwentarową zawieszoną w foliowej koszulce na sznurku: „Pierwszy rząd: **pistolety maszynowe m/45 - 124 sztuki**. Drugi rząd: **karabiny automatyczne 4 - 92 sztuki**. Trzeci rząd: **karabiny maszynowe KSP 58 - 5 sztuk**”.

Przyjechali. Zielona furgonetka z dwoma mundurowymi z żandarmerii wojskowej 44. okręgu obronnego. Obaj zawsze zbyt mocno ściskali mu rękę na powitanie. Jeden z oficerów ruchem głowy wskazał na żarzący się papieros między palcami jego lewej dłoni, wypalony niemal do samego filtra.

– Nie rzucił pan?

– A przeskadza to panu?

– Nie... Ale pamiętam, jak pan mówił, że pańska żona...

– Wie pan co, pałę, kiedy mam na to ochotę. – Jeszcze raz zaciągnął się głęboko. – A czy człowiek się zmieni, czy nie, to i tak nie ma żadnego znaczenia, żonie i tak się nie dogodzi.

Zduślił niedopalek na tym samym miejscu co ostatniego wieczoru i w każdy inny wieczór, tuż nad pierwszym „W” na prostokątnej tablicy z napisem NIEUPOWAŻNIONYM WSTĘP WZBRONIONY.

– Okej, okej. Rozumiem. To... gdzie pan teraz mieszka?

Niezbyt często się zdarzało, żeby ci z żandarmerii wojskowej się uśmiechali, to nie należało do ich obowiązków. Ten jednak się uśmiechnął, więc on też odpowiedział mu tym samym.

– Prawdopodobnie w równie ponurej kawalerce, jak pan.

Drugi, bynajmniej nieskory do uśmiechu i o całkowicie martwej twarzy, podszedł do szlabanu i masywnej kłódki, w jakie wyposażone były wszystkie zapory przy wjazdach na teren z magazynami broni.

Klucz wszedł w dziurkę, ale nie dawał się przekręcić.

Żandarm sprawdził następny.

I jeszcze jeden.

– Nie mogę otworzyć. Żadnym z nich.

Teraz we dwóch sprawdzali zarówno klucze, jak i kłódkę. Na pozór wszystko wyglądało normalnie, nic nie wzbudzało podejrzeń. Próbowali szesnastoma kluczami po kolei. Bez skutku.

– Wobec tego trzeba iść na piechotę.

– Robię to co wieczór. Sto pięćdziesiąt metrów w jedną stronę, sto pięćdziesiąt z powrotem. Dziesięć takich magazynów to w sumie całkiem niezła trasa i sporo ruchu.

Pogladził się po brzuchu – miał sześćdziesiąt lat, a był całkiem szczupły.

Żandarmi ruszyli za nim. Choć byli o dwadzieścia lat młodszy i za każdym razem mocno ściskali mu rękę, żeby zaznaczyć, kto jest kim, już po kilku minutach marszu przez las byli ugotowani. Na ostatnim

odcinku pod górę specjalnie wydłużył krok na tyle, żeby byli w stanie za nim nadążyć, ale by ziajali jak psy.

– Co wieczór obchodzę z latarką magazyn naokoło i badam z bliska ściany.

Aby zademonstrować, jak to wygląda, zrobił jedną rundkę wokół bunkra, kierując rękę z wyimaginowaną latarką na grube na dwa i pół metra mury, aż w końcu zatrzymał się przed stalowymi drzwiami.

Jeden z oficerów sięgnął po ten sam pęk kluczy, kilka sekund szukał, następnie włożył jeden z nich do zamka i obrócił.

– Ten działa bez problemu.

Drzwi otworzyły się do środka. Oficer zrobił krok do przodu. I nagle stanął jak wryty.

– Rany... booskie.

Natychmiast dołączył do niego drugi i bez słowa też stanął w miejscu.

Strażnik próbował dojrzeć coś zza ich szerokich pleców, w końcu jednak przecisnął się między nimi i dopiero wtedy zobaczył to samo co oni.

Za progiem była ogromna dziura w posadzce. Szerokości ponad pół metra od krawędzi do krawędzi. Stalowe pręty uzbrojenia, tkwiące wcześniej w betonie, sterczały odsłonięte i powyginane, przypominając zmiażdżoną klatkę piersiową.

Jeden z mundurowych sięgnął po skrzynię stojącą na samej górze stosu najbliższej drzwi, z napisem na ściankach: KSP 58. Uniósł wieko. Pusto. Otworzył następną. Pusto. Następną – tak samo. Jeszcze jedną – nic. Jego kolega sprawdził jedną z piramid pod ścianą. Z tym samym rezultatem.

W sumie dwadzieścia cztery puste skrzynie.

– Zniknęło wszystko. Co do jednej sztuki!

Teraz spojrzeli na niego, na strażnika.

– Przecież od ostatniej inspekcji był tu pan co wieczór.

Nagle pożałował, że nie ma przy sobie papierosa.

– Ja...

– Co wieczór!

Strażnik nie należał do bojaźliwych. Mężczyznę w jego wieku niewiele już mogło przestraszyć. W tej chwili jednak się przeraził. Bo niczego nie rozumiał. A jak człowiek nie rozumie, to się boi.

– Przecież z zewnątrz wszystko jest nietknięte. Sami widzieliście! A wczoraj...

– Musiało się coś panu, do cholery, rzucić w oczy!

– Przecież przyszlście tu teraz ze mną i widzieliście. I byliście tak samo zaskoczeni jak ja...

– Ktoś włamał się do środka i ogołocił magazyn co do sztuki. Broń dla dwóch kompanii. I to jest fakt!

Strażnik usiadł na jednej z pustych skrzyń i rozejrzał się po ciasnym pomieszczeniu. Dwadzieścia cztery skrzynie i trzy osoby.

– To musiało się stać... wczoraj w nocy. Nie...

Mundurowy o martwej twarzy przyklęknął nad dołem i odgarnął okruchy betonu oraz piasek, po czym przyjrzał się jednemu z żelaznych prętów uzbrojenia. Po chwili przesunął kciukiem w miejscu, w którym pręt został przecięty. Na ziemię posypała się rdza.

– Włamanie było dawno temu.

Wiosna zaczęła się dobrze. Dostali spore zlecenie, na trzy tygodnie.

Dom z lat trzydziestych, dwa i pół kilometra od nich, od Tumba; chodziło o położenie zewnętrznego ocieplenia i nową elewację. Leo zaproponował cenę na tyle niską, żeby wyeliminować z przetargu konkurencyjne firmy. Gabbe był pewnie zdziwiony, ale nie powiedział ani słowa. Nie zależało im przecież na zarobku. Wraz z każdym kolejnym skokiem na bank coraz większego znaczenia nabierał kamuflaż. Stali więc na dziewięciometrowym rusztowaniu sięgającym od ziemi po dach; Felix z Leo malowali na biało okna, a trochę niżej Vincent z Jasperem szerokim pędzlem pociągali na żółto panele.

Leo przykucnął, chwycił mocno stalową rurę, odwrócił się i ostrożnie spuszczał nogi, zszedł po rusztowaniu, sekcja za sekcją, na sam dół. Potem zdjął z paki samochodu ostatnie dziesięciolitrowe puszkę z farbą i postawił na trawniku. Wreszcie usiadł za kierownicą i wyjechał tyłem z wjazdu. Zatrzymał się jeszcze na ulicy i spojrzał na dom opleciony gigantycznym stalowym rusztowaniem. Przypomniały mu się plastikowe klocki Meccano, które składali we trzech na podłodze w pokoju Vincenta. Dobrze znał spokojne ruchy Feliksa machającego pędzlem od lewej do prawej, dokładność Vincenta, niekiedy przesadną, i rozmach Jaspera. Nigdy nie pozwalali mu pracować na samej górze, ponieważ nabierał na pędzel za dużo farby, która skapywała na wszystko i wszystkich. Nie dość, że byli potem cali zachlapani, to na dodatek zdarzało się, że niechęć wdeptywali w plamy farby i mieli później śliskie podeszwy. Zostało im już samo malowanie. Niecały tydzień. Później cały swój czas poświęcą innej robocie, tej nieuwzględnianej w księgach rachunkowych firmy budowlanej, ale pomnażającej pieniądze w grocie Fantoma ukrytej pod leżącym sejfem.

Fasada i jądro. Obowiązek i przyjemność. Stanie w miejscu i posuwanie się naprzód.

Od początku roku wszystko przebiegało zgodnie z planem.

Luty: remont mieszkania na Starym Mieście, cyklinowanie parkietu, malowanie ścian; półtora tygodnia, trzydzieści siedem tysięcy koron plus koszty materiałów. Potem większa robótka w mniejszej miejscowości, w Rimbo, niecałe sześćdziesiąt kilometrów na północ od Sztokholmu. Napad różniący się od wszystkich poprzednich. Byli ubrani w dżinsy, tanie jasne kurtki i adidas zapinane na rzepy, na głowy mieli naciągnięte pończochy, a w rękach atrapy broni. Do banku weszli jedynie Leo i Vincent. Ta akcja to było tylko ćwiczenie, które miało zmienić ich tożsamość i przełamać dotychczasowy schemat; coś w rodzaju próby generalnej, w razie gdyby za jakiś czas musieli wprowadzić zmiany w swoim zachowaniu i sposobie działania. Tak czy inaczej, trening przyniósł im pięćset pięćdziesiąt sześć tysięcy koron.

Marzec: instalacja ogrzewania podłogowego i położenie parkietu w piwnicy w Älvsjö; jeden tydzień, dziesięć tysięcy koron. Potem Kungsör, nieduże miasto sto czterdzieści kilometrów na zachód od Sztokholmu. Trzydzieści cztery minuty po napadzie policja zlokalizowała samochód, którym uciekli, na bocznej drodze w lesie, ale tam wszelkie ślady się urwały. Oni bowiem, wyposażeni w kompas i mapę, ruszyli po ciemku na piechotę do wykopanej uprzednio jamy w ziemi, nakrytej płytą pilśniową, styropianem i folią, a potem przyrzuconej ziemią i mchem, tak by wtopiła się w otaczające poszycie, a jednocześnie chroniła przed zimnem, helikopterami i kamerami termowizyjnymi. Wcześniej wyposażyli swoją kryjówkę w maty, śpiwory i żywność. Następnego dnia powędrowali na stację benzynową, gdzie zostawili wynajęty samochód, i po usunięciu blokad na drogach pojechali do domu bogatsi o osiemset dwanaście tysięcy koron.

Dwa pojedyncze napady przyniosły im w sumie milion trzysta sześćdziesiąt osiem tysięcy koron potrzebnych dla sfinansowania następnego skoku, największego z dotychczasowych.

Leo przejechał tunelem pod E4, a potem odbił w prawo na Gamla Södertäljevägen. Bardzo blisko miejsca, w którym wszystko zaczęło. Czuł to w całym ciele. Czwartego kwietnia. Dzień, którym żył i na który gorączkowo czekał od tamtej nocy spędzonej przez całą czwórkę w kryjówce pod ziemią, mchem i wrzosem. Kiedy wszystko się zmieniło.

A teraz, gdy już wszyscy wiedzą, zmieni się znowu.

Policja znajdzie brakujący element układanki i dzięki niemu połączy cały szereg napadów na banki, które niby wydawały się mieć wspólny mianownik, a jednak nie miały. Od tej chwili stanie się jasne, że za nimi wszystkimi kryje się jeden jedyny gang, dysponujący zasobem broni większym, niż mają w sumie wszystkie zorganizowane grupy przestępcze w Szwecji.

Jechał powoli przez płaski krajobraz, słońce osuszyło już po zimie rozległe pola, a w przydrożnych rowach zaczynała kiełkować trawa, która za kilka tygodni porośnie to, co martwe i bezbarwne.

Po długim zakręcie ukazał się przed nim teren wojskowy zagrodzony opuszczonym szlabanem.

Leo nieco zwolnił. I wtedy go zobaczył: samochód, który pilnie obserwował przez wiele wieczorów z rzędu, zdezelowane volvo należące do starszawego strażnika, zwykle wypalającego w ciemności po kilka papierosów. Ale obok stał też inny pojazd – furgonetka z wojskowym numerem rejestracyjnym.

Teraz już wiedział.

Są tutaj i zaraz otworzą drzwi bunkra – albo może już otworzyli – wejdą i odkryją coś, co ich śmiertelnie przerazi. Kradzież dwustu dwudziestu jeden sztuk broni automatycznej wprawi w stan szoku najwyższe władze policji, a jego pozycja przetargowa po ostatnim z ostatnich napadów wzrośnie.

Zatrzymał samochód na skraju drogi. Nie planował tego; jego dłonie nieoczekiwanie skrzyły kierownicę w prawo, on zaś miał ochotę wysiąść, przebiec przez las i podkraść się do placu wysypanego żwirem, położyć się na miękkim mchu i patrzeć na tych, którzy nie mogli go zobaczyć.

Siedział bez ruchu. Ścisnął mocno kierownicę. Wiedział, że jeśli ją puści, to już stąd nie odjedzie.

Zakręcił i ruszył przed siebie.

A kiedy był już wystarczająco daleko, odchylił się na siedzeniu i dodał gazu.

Było parę minut po dziesiątej, miał jeszcze sporo czasu.

Pociąg z Falun przyjeżdżał dopiero o 10:37.

W ciągu trzech miesięcy trzydzieści sześć brutalnych napadów na terenie całej Szwecji. Obrabowano dwadzieścia dwa banki, jedenaście furgonów przewożących pieniądze, dwa kantory wymiany walut i jeden lombard. Tak wysokiej liczby napadów rabunkowych w tak krótkim czasie nie odnotowano jeszcze nigdy dotąd. Gang, którego namierzenie i unieszkodliwienie było zadaniem Broncksa, na pewno nie był autorem ich wszystkich.

John Broncks stał na jasno oświetlonym korytarzu i grzebał w tylnej kieszeni spodni w poszukiwaniu drobnych. Znalazł nawet więcej, niż się spodziewał, bo aż dwadzieścia koron.

Trudno się dziwić, że średnio dwanaście napadów rabunkowych na miesiąc w niedużym kraju wywoływało stały stan zaniepokojenia i lęku. Obawiano się, że jeśli nic się nie zmieni, ta grabieżcza pandemia będzie zataczać coraz szersze kręgi. Począwszy od połowy lutego, policja ochraniała transporty pieniędzy, jeżdżąc za nimi, ale banków, których było za dużo, i to rozrzuczonych po zbyt rozległym terytorium, nie dało się zabezpieczyć przed tą zakaźną chorobą. Dlatego praca policji została sprowadzona teraz do czekania na kolejny skok i do wszczęcia kolejnego śledztwa.

Najpierw same jednokoronówki. Potem piątki. Broncks wrzucał do małej szczeliny automatu wszystkie monety po kolei.

Aby doszło do pandemii, musi być najpierw ognisko zakażenia. W tym przypadku tworzyło je osiem znaków po strzałach w szybę kuloodporną ułożonych w uśmiechniętą twarz. Broncks zaś nadal nie miał ani jednego śladu, nie licząc mnóstwa łusek po nabojach, których nie dało się przypisać do żadnej broni, oraz świadomości wielu ludzi, którzy już nigdy nie zapomną o tym, co przeżyli.

Po czasie zmiany następował czas dezorientacji – jak zawsze, gdy wprowadzano w życie nową koncepcję, gdy jeden system się rozsypywał i ustępował miejsca nowemu. Ten nowy model błyskawicznie rozprzestrzenił się wśród ludzi gotowych ponosić ryzyko i niemających nic do stracenia. Czterech zamaskowanych napastników wyrzuciło do góry nogami nie tylko policyjne procedury dotyczące ochrony obiektów, ale zmieniło też scenę kryminalną. Inni przestępcy podziwiali ten diabelski uśmieszek, czytali, co pisano w gazetach, oglądali relacje w telewizji i znajdowali w tym inspirację do podobnych czynów, nie cofając się przed jeszcze większą brutalnością jako gwarancją bogatszych łupów.

Przemoc ciągle eskalowała, co w konsekwencji prowadziło do wytrzebienia w kręgach przestępczych nędznych resztek moralności lub przyzwoitości nawet w relacjach wewnętrznych. Jeśli my się zbroimy, wy też musicie, a skoro wy się zbroicie, my potrzebujemy jeszcze więcej broni, żeby utrzymać was w szachu. Broncks był dogłębnie przekonany, że za dziesięć czy dwadzieścia lat analitycy uznają, że począwszy właśnie od tego momentu, banki zostały zmuszone diametralnie zmienić obsługę swoich zasobów gotówkowych, a bezwzględność stała się narzędziem godnym podziwu.

Broncks przycisnął kwadratowe guziki z cyframi jeden i trzy, a potem czekał, aż metalowa spirala wysunie do przodu pierwsze marcepanowe ciastko oblane czekoladą w foliowej osłonce. Po chwili następne. W ciągu dnia woda z mlekiem i cukier, wieczorami – pizza z kartonu. Tak wyglądało jego życie od momentu, gdy rozpoczął poszukiwania, które prowadziły donikąd. Długie spacery bez celu przez miasto wczesnym rankiem, a potem po pracy, żeby pozbyć się chociaż trochę energii. Po północy wstępował jeszcze do siłowni w podziemiach komendy; sam jak palec w wielkiej sali około trzeciej nad ranem dźwigał hantle i sztangi, odreagowywał na bieżni albo wałęs w worek bokserski, żeby przypadkiem nie wyladowywać się na ludziach. Zerwał folię, włożył zielone ciastko marcepanowe do ust i z narastającym wstrętem przełknął niemilosiernie słodką maź. Nie miał jednak wyboru – musiał jakoś zapelnąć tę pustą czełusć w swoim wnętrzu, aby odsunąć swojego wychudzonego, bladego i żylastego sobowtóra.

Monolityczna, zwarta banda. Bez powiązań ze światem przestępczym, a tym samym poza zasięgiem informatorów, z którymi Broncks i jego koledzy regularnie współpracowali. Żaden z jej czterech członków nie był nigdy dotąd karany i dlatego wszyscy pozostawali anonimowi, co mogło się zmienić tylko wtedy, gdyby popełnili jakiś błąd, a niestety jak dotąd go nie zrobili.

Świeżo wypastowane linoleum w jego pokoju błyszczało w jaskrawym świetle wpadającym przez okno. Chorobliwe przemęczenie i nerwowość powodowały, że paradoksalnie czuł się rześki, postanowił więc wybrać się tego dnia na drugi spacer, mimo że było dopiero przedpołudnie. Zasunął suwak w skórzaną ocieplaną kurtce. Była zdecydowanie za gruba na wiosenne słońce, nie znalazł jednak na razie czasu, aby przynieść lżejsze rzeczy ze skrytki na poddaszu.

W ciągu ostatnich tygodni zaważnęła nim irytacja i złość, jakich dotychczas nigdy nie doświadczył. U ich podstaw leżała pogarda połączona z fascynacją i ciekawością. Przyglądał mu się prawie każdego dnia, patrzył na kilkusekundowe czarno-białe nagranie z kamery monitoringu. Przywódca. Ten, który liczył, wyrąbał szyderczy uśmiech w szybie, który kierował i używał skrajnej przemocy, aby dostać to, co chciał. I chyba właśnie stąd ta jego złość. Bo tu nie chodziło o samą przemoc. Tej przemocy towarzyszyła swoboda, która dla Broncksa była zagadkowa. Mężczyzna z filmiku porywał się na rozwiązania, na jakie w dorosłym świecie odważyłoby się tylko dziecko, i właśnie dlatego mu się udawało. To była jego recepta na sukces. Ponieważ myślał inaczej niż my i podchodził na przykład do naszych blokad dróg, jakby to był trik dający się rozwiązać za pomocą zestawu małego iluzjonisty, wygrywał. Policja miała metody dostosowane do kombinacji dorosłych przestępców, a nie do czegoś takiego. Ale to bogactwo pomysłów było równie interesujące, co irytujące.

Wiele by dał, żeby zajrzeć do tego mózgu, nawiązać z nim kontakt, pojąć go.

Broncks zszedł po schodach i otwierając drzwi na zmianę kartą i kluczem, dotarł do wyjścia na Kungsholmsgatan. Na dworze było jaśniej, niż się spodziewał, dlatego zmrużył oczy, a potem odetchnął głęboko i ruszył w kierunku centrum.

Od podwójnego skoku w Ösmo dokonano trzydziestu sześciu napadów rabunkowych w całym kraju. Broncks przeanalizował je wszystkie i zwrócił uwagę szczególnie na dwa. Jeden w stu procentach odpowiadał sposobowi działania grupy, drugi – odbiegał od niego całkowicie.

Pierwszy miał miejsce w Kungsör, sennym miasteczku oddalonym niecałą godzinę jazdy od Sztokholmu, i był jakby wzorcową ilustracją metody stosowanej przez niedościgną czwórkę. Ich przywódca – Broncks nazwał go na swój użytek Wielkim Bratem – zawsze pojawiał się pierwszy i strzelał do kamery nad drzwiami. Za nim wchodził Mały Brat, zawsze uzbrojony w pistolet maszynowy, i albo przeskakiwał przez ladę kasową, albo wbiegał za nią, żeby opróżnić szuflady. Trzeci, ochrzczony przez niego Żołnierzem, przemieszczał się, zachowując zawsze pozycję gotową do strzału, jakby brał udział w ćwiczeniach wojskowych poświęconych walce wręcz w terenie zabudowanym, a jemu akurat przypadło w udziale taktyczne zadanie w postaci napadu na bank. Żołnierz zawsze posługiwał się karabinem automatycznym 4 i strzelał z niego do drugiej kamery, a następnie ruszał do skarbcza za kasami. Czwarty, nazywany Kierowcą, przywoził ich wszystkich na miejsce i zabierał, poza tym ubezpieczał od zewnątrz i zdaniem wielu świadków był dosyć opanowany za kierownicą, bo ani nie gawoził, ani nie brał zakrętów z nadmierną brawurą.

Po pierwszym czytaniu protokołów z przesłuchań świadków i przejrzeniu ekspertyzy technicznej po drugim napadzie – w Rimbo, położonym o jakieś czterdzieści pięć minut jazdy na północ od Sztokholmu – Broncks odłożył te dokumenty na bok, nie poświęcając im szczególnej uwagi, ponieważ opisany w nich skok wydawał się zupełnie nietypowy dla szukanych przez niego sprawców. Do banku weszło tylko dwóch mężczyzn. Byli ubrani w dżinsy i kurtki. Na głowach mieli nylonowe pończochy. Nie zniszczyli żadnej kamery, dzięki czemu można było prześledzić całą akcję, każdy ruch, od samego początku do końca. Obaj zachowywali się bardzo spokojnie, byli grzeczni dla personelu, ani razu nie podnieśli głosu. Po prostu wmaszerowali do środka, pokazali broń, zabrali pieniądze i odjechali sprzed banku kradzionym oplem kadettem. Napad ten w żadnym elemencie nie przypominał wcześniejszych akcji. Dopiero gdy Sanna pokazała mu krótki fragment nagrania z jednej z kamer tego banku – jak już kiedyś to zrobiła – Broncks znowu sięgnął do teczki. Tuż przed wejściem do banku pierwszy mężczyzna z rajstopą naciągniętą na twarz odwrócił się, jakby chciał sprawdzić swojego kolegę, potem położył mu rękę na ramieniu i coś powiedział, a na koniec wymienili ze sobą długie spojrzenia. Jeden przewodził i chronił. Wielki Brat. Drugi wykonywał polecenia i był chroniony. Mały Brat.

– John!

Broncks zbliżał się do Scheelegatan, gdy usłyszał za sobą szybkie kroki. Odwrócił się i zmrużył oczy pod słońce.

– Poczekaj!

Karlström próbował go dogonić.

Broncks chyba nigdy jeszcze nie widział, by jego szef biegł. A już na pewno nie tutaj. Widywali się codziennie jedynie na korytarzach komendy albo czasami na jakimś miejscu przestępstwa bądź – wyjątkowo – w dzień świętej Łucji w pięknej willi w malowniczej dzielnicy Äppelviken.

– Sto dwadzieścia cztery pistolety maszynowe m/45! – obwieścił Karlström triumfalnie, nie mogąc złapać tchu. – Dziewięćdziesiąt dwa karabiny automatyczne 4!

Po każdym zdaniu łapczywie łapał powietrze, aby móc mówić dalej.

– I pięć karabinów maszynowych model 58!

– No i?

– Całkiem sporo, co?

– Zależy, na jaką wojnę się wybierasz.

– Zwłaszcza jeśli napada się na banki i transporty pieniędzy.

Broncks, który wybrał się na spacer, żeby pozbyć się zbędnej energii, uznał, że może już zawrócić.

– Słyszysz, John? W sumie dwieście dwadzieścia jeden sztuk.

– Na razie nadążam.

– Ta broń powinna leżeć w zabezpieczonym wojskowym magazynie w Botkyrka. Ale nie leży! I bardzo możliwe, że została stamtąd wykradziona jeszcze jesienią!

John Broncks stał jak zamurowany.

Wokół niego pulsowało wielkie miasto, pełne ludzi i pojazdów, ale on nic nie widział i nic nie słyszał.

Odwrócił się na pięcie i zaczął iść z powrotem. Dziś nie będzie już musiał spacerować. Mimo wszystko był spokojny.

John Broncks bardzo lubił matematykę. Liczby dawały mu swego rodzaju poczucie bezpieczeństwa. Niezależnie od tego, w jakim stanie ducha się znajdował, matematyka zawsze dostarczała jednoznacznej odpowiedzi. Tym razem jednak było inaczej. Niemal przez pół roku na jego biurku czekało nierozwiązane równanie.

$$X \cdot Y = Z$$

Równanie zawierające trzy niewiadome i dlatego nie do rozwiązania.

Z każdym napadem jedna niewiadoma się zmieniała.

Ale może już niedługo odpowiedź znajdzie się w ciemnym sosnowym lesie.

Trochę zarysował prawy bok, kiedy wcisnął się między niebieskie volvo nadające się na złom a furgonetkę na wojskowych numerach. Poza nimi stały tu jeszcze trzy wozy policji – w sumie pięć pojazdów zaparkowanych tak ciasno, że trudno było znaleźć miejsce. Dwaj policjanci w mundurach zatrzymali go i sprawdzili legitymację. Potem ruszył na miejsce, obszedłszy naokoło żółto-czerwony szlaban z wciąż nietkniętą kłódką.

Droga przez las pięła się dosyć stromo przez kilkaset metrów, a na samym czubku przeszła w wyspany żwirem plac. Pośrodku stała grupka ludzi. Policjanci, żołnierze, kilku cywili, a wśród nich świecący w słońcu biały uniform Sanny. A potem zobaczył nieduży szary bunkier.

Broncks przywitał się z kolegami z komendy i z Huddinge, a także z oficerami żandarmerii wojskowej oraz ze starszym mężczyzną, od którego czuć było papierosami. Ten ostatni przedstawił się jako strażnik odpowiadający za obiekt i ze spojrzeniem pełnym niepokoju ruszył za nim w stronę magazynu.

– Cześć.

Sanna, klęcząc przed potężnymi stalowymi drzwiami, usłyszała jego kroki na żwirze i odwróciła się.

– Cześć.

– Widziałeś kłódkę na dole, przy szlabanie?

– Tak.

– Nietknięta. Przynajmniej tak wygląda. A naprawdę to dokładna kopia tej, która była tam wcześniej i została usunięta. Nawet numer seryjny się zgadza, kluczyk co prawda pasuje, ale nie daje się przekręcić.

U stóp Sanny był duży dół.

– To samo tutaj. Na pierwszy rzut oka wszystko wydawało się nienaruszone. – Sanna wskazała głową na stojącego nieopodal starszego mężczyznę. – Ten człowiek co wieczór sprawdzał magazyn i nie zauważył nic podejrzanego. Od zewnątrz.

Po czym Sanna pchnęła ciężkie stalowe drzwi i odsunęła się nieco, aby Broncks mógł zajrzeć do środka. W rozrytej betonowej posadzce ział głęboki dół.

– Sprawcy dostali się do bunkra przez tunel wykopany pod wejściem. Potem go zasypali. Właśnie przed chwilą go odsłoniliśmy.

Weszła w głąb bunkra, a Broncks podążył za nią. Ciasno. Klaustrofobicznie. Od razu pomyślał o swoim bracie.

– Niezła robota.

Zielone skrzynie, pootwierane i opróżnione, stały jedna na drugiej pod ścianami.

Na niewielkim kawałku nieuszkodzonej posadzki leżały na stosie przykrywy z wypisanymi czarnym tuszem oznakowaniami: AK 4, m/45, KSP 58.

– Starali się zamaskować to, co zrobili, no i chyba im się udało.

To zamknięte pomieszczenie bez okien przypominało więzienną celę. Włamanie się tutaj wydawało się niemożliwe. Lecz wystające z podłogi ostre szpony wyraźnie temu przeczyły. Poprzecinane pręty stalowego uzbrojenia sterzczały z ziemi, usiłując go chwycić i wciągnąć w ziejącą jamę.

– Czyli to tutaj zaczęli. To jest ta nieznaną zmienna, która przez cały czas rosła i rosła.

– Co za zmienna?

Broncks przykleknął na warstwie cementowego pyłu.

– Farsta. Svedmyra i Ösmo. Rimbo i Kungssör.

– Jaka zmienna, John?

Spojrzał na nią.

– Niezależnie od tego, czy chodzi o skradziony samochód z niewielką dziurką na warstwie lakieru tuż pod zamkiem, zamaskowaną kawałkiem taśmy klejącej, czy o bunkier z arsenałem broni dla całego regimentu z podkopem pod wejściem, ci goście świetnie wiedzą, co zrobić, żeby opóźnić odkrycie. I kiedy nam się wydaje, że już ich mamy, oni od dawna są zupełnie gdzie indziej.

Oparł dłoń na krawędzi dołu. Od tego miejsca wszystko się zaczęło. Jego długie wieczory, wczesne poranki, długie weekendy i ciągle poczucie, że goni i nigdy nie dogoni. Włożył głębiej rękę w wykop w wilgotnym żwirze. Pełen wściekłości, ale i podziwu.

– Jeśli chcesz popełnić poważne przestępstwo, a nie posiadasz broni ani nigdy nie siedziałeś za kratami i nie masz kontaktów w świecie przestępczym, żeby ktoś pomógł ci ją zdobyć, to co robisz? Całkiem proste: obrabiasz wojskowy magazyn broni.

– John, powiedziales: nigdy nie siedziałeś za kratami? Czy to znaczy, że byłeś u niego?

John Broncks nie odpowiedział. Nie musiał. Sanna poznała to po jego oczach, gdy na nią spojrział. Znali się nawzajem na tyle dobrze, że takie rzeczy wyczuwali w lot. To właśnie dlatego domyślił się, że dwaj z napastników są braćmi.

Uśmiechnęli się do siebie przelotnie, po czym John opuścił bunkier. Czekalo na niego równanie z trzema niewiadomymi, którego na razie nie udało mu się rozwiązać, ponieważ jedna z nich ciągle się zmieniała.

Jak wynikało z ekspertyz techników na temat pięciu największych napadów, sprawcy nigdy nie użyli dwa razy tej samej broni. Broncks już dawno założył, że po każdej akcji broń była niszczona i zastępowana nową. Chodziło o usunięcie dowodów materialnych umożliwiających skojarzenie poszczególnych napadów z tymi samymi sprawcami. W tej sytuacji złapanie ich na gorącym uczynku skutkowałoby oskarżeniem wyłącznie o ostatni napad, a nie o całą serię rabunków.

X • Y = Z

Teraz rozwiązanie równania było już możliwe.

Sprawcy mieli do dyspozycji dwieście dwadzieścia jeden sztuk broni automatycznej – zmienna Z.

Do tej pory wykorzystali cztery AK 4, trzy pistolety maszynowe i jeden KSP 58 – zmienna X, która ciągle rośnie.

I zakładając, że przy każdym napadzie strzelają średnio z dwóch automatów, można przyjąć, że wystarczy im jeszcze broni na sto pięć skoków – zmienna Y.

Chyba że zostaną wcześniej złapani.

Przepiękne sklepienie. Kierowało myśli ku nieskończoności. Zawsze gdy Leo stał w ogromnej hali z ogromną czaszą wysoko w górze, ogarniało go poczucie, że to, co robią, będzie trwało zawsze, choć wiedział, że któregoś dnia nastąpi koniec. Powiół spojrzeniem po ścianach olbrzymiego holu głównego sztokholmskiego dworca, mającego piętnaście albo siedemnaście metrów wysokości. Wlewające się do środka światło zdawało się nadawać sens na pozór bezcelowym ruchom ludzi błądzących między peronami, kasami biletowymi, barami i kioskami z prasą.

Na elektronicznej tablicy w rogu, informującej o najbliższych przyjazdach i odjazdach pociągów, zegar pokazywał godzinę 10:35. Jeszcze dwie minuty.

Ruszył na peron siódmy, na który przyjeżdżały pociągi z północy. Jak tylko sięgał pamięcią, zawsze lubił przebywać w przestronnych budowlach, w których niesło się echo i czuć było niemal bezgraniczną przestrzeń. Często stawał w nich pośrodku, odchyłał głowę i patrzył w górę. Inni ludzie rzadko się tak zachowywali. I za każdym razem myślał wtedy o swojej pierwszej wizycie w Storkyrkan². Mama chciała mu pokazać rzeźbę świętego Jerzego ze smokiem, największe wrażenie zrobiło jednak na nim przede wszystkim potężne sklepienie kościoła. Pamięta, że wspiął się na palce, aby go dotknąć, podczas gdy mama próbowała zwrócić mu uwagę na potężny postument ze świętym, który w błyszczącej zbroi i z uniesionym mieczem siedział na koniu, a pod kopytami zwierzęcia wila się rycząca bestia.

Uwieczniona po wsze czasy chwila. U kresu, gdy smok wciąż jeszcze ma szansę się wywinąć i strącić na ziemię tego tchórza kryjącego się pod zbroją na koniu.

On też zatrzymał chwilę.

Zatrzymał czas tutaj, na dworcu. Podróźni musieli czekać stłoczeni za barierkami, podczas gdy znaczna część sztokholmskiej policji pilnowała blokad dróg i nadzorowała pracę zdalnie sterowanego robota. Chwila, która wydłużyła się do kilku godzin, gdy cały system zamarł przed eksplozją i po eksplozji, do której nigdy nie powinno było dojść. A teraz wszystko wyglądało tak, jakby nic takiego się nie wydarzyło. Ani śladu po ponad siedmiu kilogramach gwoździ i śrub ciśnionych falą uderzeniową.

Z całą pewnością ładunek eksplodował nie z powodu błędu popełnionego przez niego lub Feliksa przy konstruowaniu bomby. Miał natomiast wątpliwości co do tego, czy Jasper nie zmajstrował czegoś specjalnie przy zawleczce. Postanowił jednak nie zadawać mu po raz drugi tego pytania, wołał bowiem nie ryzykować i nie sprawić, by przez kłamstwo przepaść między Jasperem a Feliksem jeszcze bardziej się pogłębiła. Stała między nimi i ich rozdzieliła, i wciąż czuwał nad tym, aby zachowywali się profesjonalnie, a jednocześnie starał się ograniczyć do minimum sytuację, by oni dwaj musieli być blisko siebie. Podczas akcji Felix prowadził samochód i ochraniał ich z zewnątrz, Jasper zaś działał w środku.

Ta wyrwa, przepaść – także zakrzepła.

Peron siódmy. Tłum czekających podróżnych. Widział, jak pociąg wtacza się powoli i staje, wszystkie drzwi otwierają się jednocześnie, pasażerowie wysiadają z walizkami i wózkami dziecięcymi. Jest. Kobieta około pięćdziesiątki, rudawe włosy trochę przyprószone siwizną, jej chód też nie wydawał się już taki lekki. Czekał, obserwując ją uważnie. Ona zaś rozejrzała się dookoła, przez ułamek sekundy jej wzrok zatrzymał się na nim. Lecz zamiast ruszyć w jego stronę, sięgnęła do torebki po telefon komórkowy. Za moment zadzwoniła jego komórka.

– Gdzie jesteś?

Trzymał aparat przy uchu i uśmiechał się szeroko.

– Stoję tutaj. Przed tobą.

– Nie widzę cię.

Ludzie między nami. Ale jestem tu, patrzę na ciebie. A ty patrzysz na mnie.

– Spójrz przed siebie.

– Nie widzę cię.

– A teraz? Macham do ciebie.

Trzymał rękę w górze, dopóki go nie zauważyła i nie zaczęła iść w jego stronę.

Uścisnęli się. Potem ona cofnęła się o krok, zmierzyła go od stóp do głów.

– Boże drogi, niesamowite! W ogóle cię nie poznałam.

– Przecież minął tylko rok.

– To znaczy, może nawet cię poznałam, ale mimo to nie widziałam. Jakbym... szukała kogoś innego. Kogoś, kim byłeś jeszcze niedawno.

– Mamo.

Objął ją znowu, a ona powtórnie mu się przyjrzała.

– Mam wrażenie, że ten chłopiec, za którym się rozglądałam... trochę się postarzał.

– No bo jestem starszy.

– Nie miałam nic złego na myśli. Chodzi chyba... sama nie wiem... o upływ czasu.

Chciał wziąć jej torbę, lecz szybko ją podniosła, jakby próbowała pokazać, że sama świetnie sobie radzi. Ruszyli więc z peronu i weszli do hali głównej.

– To było tutaj, tak?

Zatrzymała się pośrodku, dokładnie przed długim szeregiem skrytek bagażowych.

– Co?

– No, ten wybuch?

– Tak, tutaj.

– Widziałam w telewizji. Taśmy odgradzające przez całą halę i pełno ludzi, którzy czekali na swoje pociągi.

Spojrzała na niego i przypomniała sobie inną taśmę, białoniebieską, która kiedyś trzepotała przed o wiele mniejszym budynkiem po detonacji zupełnie innej bomby. Piwnica i jej ojciec biegnący tam

i z powrotem wśród coraz wyższych płomieni, a wśród tego wszystkiego dziesięcioletni synek patrzący na nią przez okno z przerażeniem w oczach.

– Przekłęci idioci! Narażają życie innych ludzi!

Położyła mu rękę na ramieniu. Leo nie był w stanie podnieść na nią wzroku. Chwylił jej torbę i nie ustąpił, dopóki w końcu się nie poddała.

– Ci idioci mieli szczęście, mamó. Bo nikt nie zginął.

Samochód firmowy stał niedaleko wejścia. Za wycieraczkę zatknięty był mandat. Leo porwał go i cisnął kawałki papieru na asfalt. Mama w tym czasie okrążyła samochód, patrząc z podziwem na logo firmy ogólnobudowlanej.

– To wszystko twoje dzieło, Leo. Sam, bez niczyjej pomocy, stworzyłeś firmę. I dzięki niej masz pracę nie tylko ty, ale także twoi bracia.

Ucisnęła go znowu.

Przebijali się przez Sztokholm na południe. Przy zjeździe za Hallundą Leo zawałał się przez moment, w końcu jednak odbił na prawy pas i zjechał z E4 na starą lokalną drogę. Chciał tylko rzucić okiem, zwolnić przed szlabanem, przekonać się, czy oni już wiedzą.

Przerdzewiałe niebieskie volvo i furgonetka na wojskowych numerach. A obok nich jeszcze cztery inne samochody. Policyjne. Trzy oznakowane, jeden cywilny. I biało-niebieska taśma odgradzająca, tworząca jakby specjalną bramę, która zaznaczała miejsce śledztwa w związku z popełnieniem jakiegoś przestępstwa. Pilnowali jej dwaj umundurowani i uzbrojeni policjanci.

– Chyba coś musiało się tu stać.

Mama zauważyła, że Leo zerka w tamtą stronę, więc stuknęła palcem w szybę i powtórzyła:

– Widzisz, Leo, tę taśmę? To znaczy, że coś się stało.

Leo przyspieszył. Samochody, mundurowi i nawet trzepocząca taśma stawały się coraz mniejsze w lusterku wstecznym.

Czyli już nie tylko oni wiedzieli.

Że bunkier z bronią najlepiej jest sforsować od dołu, przez podłogę.

Wciąż zalatywało prochem. A może tylko mu się wydawało, gdy próbował sobie wyobrazić eksplozję, która musiała być całkiem potężna.

Rozerwana posadzka. Powyginane pręty zbrojeniowe. A nad jego głową na suficie szydercza czarna plama po wybuchu.

– Chodź za mną.

Sanna wyszła z bunkra i ruszyła szybkim krokiem przed siebie. Ponieważ Broncks pozostał nieco z tyłu, chwyciła go za rękaw i pociągnęła za sobą przez plac w stronę skraju lasu.

– Tunel wykopany w żwirze i betonowej płycie, pół roku temu. – Wskazała na gołe drzewa wokół nich. – Musiała być wczesna jesień. Pewnie zaczęły spadać pierwsze liście.

Przykucnęła, czekając, aż zrobi to samo. Następnie wskazała palcem na krzaczki jagód i kilka kamieni ukrytych między nimi.

– Otoczaki. Wykopane podczas przebijania tunelu. Sprawcy przynieśli je tutaj i zostawili na ziemi. Pod nimi są liście, które wtedy już zdążyły spaść, a na nich te, które spadły dopiero później. Rozumiesz?

– Nie za bardzo.

– Te pod kamieniami to liście dębu. Dąb najwcześniej gubi liście, już w październiku. A na kamieniach leżą liście brzozy, które spadają dopiero w listopadzie.

– Październik. Farsta. Pierwszy napad.

Broncks wciąż czuł jej dłoń na swojej ręce. Mimo że upłynęło już kilka minut. Spojrzał w kierunku grupy, która zdawała się powiększać, ale nadal składała się głównie z policjantów i wojskowych. Gdzieś między nimi stał mężczyzna o wylęknionych oczach. Wciąż palił i wyraźnie marzył o tym, by być zupełnie gdzie indziej.

– Mówiłaś, że ten po cywilnemu to kto?

– Strażnik. Chodził za mną krok w krok i patrzył mi na ręce. Jakby to była jego osobista sprawa.

Broncks przecisnął się do niego między mundurami i wyciągnął rękę.

– John Broncks, policja kryminalna, Sztokholm Śródmieście.

– Joachim Nielsen. Okręg obronny czterdzieści cztery. Wiem, co pan sobie myśli.

Zapach nikotyny. Z bliska bardzo intensywny.

– Co pana zdaniem?

– Że powinienem był to zauważyć. I jak to możliwe, że przez tyle czasu niczego nie odkryłem.

– I co pan na to?

– Robiłem wszystko zgodnie z instrukcją. Co do joty.

Zamilkł. Z lasu wyszły dwie osoby. Mężczyzna z aparatem fotograficznym i kobieta. Broncks ją znał. To dziennikarka. Całkiem dobra. Oboje musieli zrobić spore koło, aby obejść zagrodzenia i dostać się aż tutaj. Tyle że nie powinno ich tu w ogóle być, jeszcze za wcześniej na jakiekolwiek informacje.

– A tyle się mówi o nieujawnianiu informacji na zbyt wczesnym etapie.

– Słucham?

– Zawsze znajdzie się ktoś, kto szepnie coś mediom, byle tylko zarobić z dziesięć tysięcy.

Broncks razem ze strażnikiem przyglądali się, jak dziennikarka i fotograf grzecznie, ale zdecydowanie usuwani byli poza teren objęty śledztwem.

– Który to? – spytał strażnik.

– Co który?

– Który ukradł te... dwieście dwadzieścia jeden sztuk broni?

Broncks pokręcił głową.

– Nie wiem który. A właściwie którzy. Ale domyślam się, do czego jej użyli.

Na placu wciąż pojawiały się jakieś nowe osoby. Po wspinacze po stromym zboczu dołączyło właśnie dwóch mężczyzn w garniturach i dwóch mundurowych. Pierwsi reprezentowali dyрекcję policji kryminalnej, a drudzy wydział bezpieczeństwa sztabu generalnego.

Skinęli ku strażnikowi, który po chwili podszedł do nich wylękniony, jakby się tego spodziewał.

John Broncks uściśnął Nielsenowi na pożegnanie rękę, zdając sobie sprawę, że biedak niezwłocznie zostanie przeniesiony gdzie indziej i otrzyma inne zadania. Następnie wrócił do pustego bunkra i zapachu prochu. Teraz już wiedział. Ci, których szukał, włamali się tutaj między czwartym a dziewiątym października, między poprzednią inspekcją a napadem na furgon z pieniędzmi w Farsta.

Prawie sześć miesięcy temu.

Gdzie, u diabła, można przez tyle czasu ukrywać broń dla całego regimentu?

Brama podniosła się lżej niż zwykle, jakby ona też była ciekawa i pełna oczekiwań. Światło późnego popołudnia wdzierało się coraz dalej w głąb garażu, odsłaniając plamy po oleju i farbie na posadzce i oświetlając stół, na którym rozmontowali kasę pancerną i zbudowali bombę, a który teraz zarzucony był papierowymi torbami pełnymi gwoździ, narzędziami i paroma metrami biezącymi listew przypodłogowych.

– Tu się szkolimy.

– Szkolicie się?

– No, w konstruowaniu, budowaniu modeli, projektowaniu itepe.

Mama wyglądała na dumną.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo się cieszę, że tak świetnie dajesz sobie radę. I że opiekujesz się Feliksem i Vincentem.

Pozwolił, by szła pierwsza przez oświetlone pomieszczenie, które zdawało się nie mieć końca.

– To wszystko należy do ciebie, Leo?

– Do nas.

– Do was.

– Potrzebujemy dużo miejsca. No wiesz, firma się rozwija.

Zsunął na bok dębowe listwy, podniósł młotek, potem śrubokręt i klucz francuski, a w końcu sięgnął po to, co leżało pod nimi i wyglądało na paczkę papierosów.

– Co to jest?

– Przecież widzisz.

– To ty palisz?

– Od czasu do czasu.

– Ale Vincent nie pali?

Uśmiechnął się do niej i dotknął jej policzka.

– Dobrze cię znowu widzieć, mamó.

Usłyszeli warkot samochodu na dziedzińcu. Po chwili do garażu wjechał drugi pick-up i zatrzymał się obok nich. Na pace leżała bela materiału izolacyjnego i kilka dziesięciolitrowych puszek farby.

– Jeszcze jeden... samochód firmowy?

– Przecież mówiłem, mam, rozwijamy się.

Felix wyskoczył z szoferki z szeroko rozłożonymi ramionami.

– Mamusia!

Uniósł ją wysoko i obrócił się z nią dwa razy dookoła. Z jego roboczego ubrania osypywał się żółty pył.

– Felix, daj spokój! – śmiała się.

Leo lubił, kiedy ich mama się tak śmiała. Człowiek miał wtedy ochotę się do niej przyłączyć.

Gdy Felix postawił ją na ziemi, z pick-upa wysiadł najmłodszy syn.

– Vincent!

Jego ścisłała trochę dłużej niż dwóch pozostałych. Vincent wydawał się speszony i próbował pokryć to uśmiechem.

– Ale ty urosłeś!

– Przecież mam już osiemnaście lat.

– Jeszcze siedemnaście.

– Już niedługo będę miał osiemnaście.

Wciąż go nie puszczając, cofnęła się o pół kroku.

– Vincent, od ciebie czuć papierosami.

– Mamo, to ja palę – wtrącił Felix.

– Ty?

– No tak.

– Oba próbujecie go przede mną kryć – powiedziała z uśmiechem, który mógł być szczery, ale niekoniecznie. – Czasami może lepiej, żeby matki nie wiedziały wszystkiego, prawda?

Drzwi do garażu zamknęły się za nimi i ciepłe słoneczne słońce oświetlało już tylko dziedzińiec. Gdy szli do domu, mama rozglądała się naokoło, szukając być może trawnika czy ogródka, nic jednak nie powiedziała, tylko chwyciła Feliksa pod rękę.

– Jak długo zostaniesz?

– Tylko u was przenocuję.

– Mamo!

– Jutro wcześniej rano jadę do babci. Moglibyście pojechać ze mną. Wszyscy razem. Leo, jak daleko stąd jest do Sköndal?

Byli tam nie tak dawno temu. Jeden z nich przejechał obok domku dziadków w porwanym furgonie z pieniędzmi, drugi leżał na wzgórzu z odbezpieczonym automatem, a trzeci dopłynął do pomostu w kąpielisku pontonem, którym potem wszyscy razem uciekli.

– To niemożliwe, mam. Mamy tyle roboty, rozumiesz?

– Rozumiem. R o z w i j a c i e s i ę. Wejźmy do środka?

Anneli widziała ich przez okno w kuchni, całą czwórkę w otwartym garażu. Ścisłali się nawzajem i głośno śmiali. Matka i trzech synów. Wspólnota i naturalna bliskość niepozostawiające miejsca dla innych.

Leo szedł pierwszy, jak ktoś w rodzaju odpowiadającego za wszystkich zastępczego ojca. Potem Felix, który przy niej zawsze wydawał się o kilka lat młodszy i umiał doprowadzać ją do śmiechu, i chyba odgrywał tę rolę ku zadowoleniu obojga. A tuż za nimi Vincent, zawsze najmłodszy, niezależnie od tego, jak bardzo się starał.

Gdyby ona tylko wiedziała.

Otworzyły się drzwi i Anneli powitała kobietę, której tak naprawdę wcale nie знаła. Co prawda nieraz rozmawiały ze sobą, ale nigdy o niczym ważnym. Mama Leo nie miała w zwyczaju mówić tego, co myśli, a już na pewno nie wprost. Uzyskanie od niej odpowiedzi wymagało zawsze stawiania bardzo wielu pytań, co powodowało, że Anneli zwykle czuła się tak, jakby została przejrzana na wylot i zrobiła coś niewłaściwego, choć nie miała takiego zamiaru. Leo niekiedy przypominał pod tym względem swoją matkę. Oboje mieli przenikliwe spojrzenie i czujnie sprawdzali każde pytanie, czy przypadkiem coś się za nim nie kryje, jakby obawiali się, że mogą zostać zranieni. A przecież zawsze chodziło tylko o proste pytanie.

– Mogłabyś zająć się mamą i pokazać jej dom?

Leo chciał usiąść przed telewizorem. Był ciekaw, czy w wiadomościach powiedzą coś o splądrowanym wojskowym magazynie broni.

– Byłoby miło, gdybyś i ty poszedł z nami. Przecież mama jest tu pierwszy raz.

Dołączył więc do nich, próbując przyspieszyć oględziny. Nie spodziewał się, że to potrwa tak długo, ale mama zatrzymywała się w każdym pomieszczeniu i dopypywała o szczegóły, a Anneli, gdy tylko miała sposobność, nieustannie powtarzała, że to lokum tymczasowe: „Wiem, Britt-Marie, naokoło domu nie jest zbyt ładnie, ale za rok będzie lepiej”. I oznajmiła, że kupią o wiele większy dom, jak tylko firma okrzepnie. Wreszcie dotarli do ostatniego pokoju, ich sypialni na piętrze, i Leo mógł w końcu zostawić je same przy oknie z widokiem na jabłonie i trawnik sąsiadów. „Wyobrażam sobie coś takiego jak tamten dom”.

Felix i Vincent siedzieli w salonie na przeciwnych końcach kanapy i czekali na specjalne wydanie wiadomości, które zaraz miało się zacząć.

– Wiedzą już? – spytał Felix.

– Tak, przejechałem tamtędy. Widziałem tam mnóstwo ludzi.

Czołówka, a potem lektor, którego pamiętali jeszcze z czasów swojego dzieciństwa. Beznamiętny głos i obojętny wyraz twarzy, niezależnie od tego, czy przekazywał wyniki z giełdy, czy informował o czyjejś śmierci.

„W godzinach przedpołudniowych stwierdzono niespotykaną w historii Szwecji kradzież broni z magazynu wojskowego w Botkyrka, niecałe dwadzieścia mil na południe od Sztokholmu”.

Krótką migawką z wysypanego żwirem placu z niewielkim szarym budyneczkiem, a potem jaskrawo oświetlone ciasne pomieszczenie.

– Widzieliście...

Obraz był niestabilny, chwilami też nieostry. W końcu na ekranie pokazał się ogromny dół. Można było odnieść wrażenie, że kamera przewraca się do przodu, aby zniknąć w czarnej dziurze.

– ...ktoś najwyraźniej rozwaliał podłogę.

Leo uśmiechnął się do obu braci i jednocześnie przypomniał sobie, jak leżał w tamtym lesie i chowając się przed światłem latarki, wiedział, że za chwilę zrobi coś, czego dotąd nie zrobił nikt.

– A potem ten „ktoś” najwyraźniej...

Kamera pokazywała zielone drewniane skrzynie.

– ...wyniósł wszystko, co tam było. I nikt tego nie odkrył. Aż do dzisiaj.

„Według informacji policji sprawcy mają doświadczenie w zakresie techniki wysadzania ładunków wybuchowych, a także rozeznanie wojskowe”.

Leo poczuł to znowu. Ogarnął go spokój i nawet swego rodzaju błogość.

– Popatrz, Leo, przecież tamtędy przejeżdżaliśmy!

Mama. Nieostrzeżenie weszła do pokoju.

– Mówiłam ci! Biało-niebieska taśma to znak, że stało się coś niedobrego!

Usiadła na kanapie między swymi młodszymi synami. Felix poczuł jej ramię tuż obok swojego. On, który zawsze doprowadzał mamę do śmiechu, nie miał pojęcia, co ma teraz powiedzieć albo zrobić. Oczywiście nic nie wiedziała, spojrzała jednak na niego w taki sposób, jakby wszystkiego się domyślała i prosiła go wzrokiem, aby jej wyjaśnił. To spojrzenie było zdolne wybaczyć wszystko, nawet trwającą od lat zdradę. Sięgnął po pilota i całkowicie ściszył dźwięk. Może powinien powiedzieć to w tej chwili: „Mamo, to my ukradliśmy broń, o której mówią w telewizji. A potem obrabowaliśmy pięć banków”. A ona być może pochyliłaby się do niego i go przytuliła.

– Felix?

– Tak?

– Co się dzieje? Coś cię męczy?

Kolejne obrazy z pustego składu broni. Wiedzieli wszyscy oprócz mamy. Że to, co powinno być tam, leży tutaj, pod ich stopami.

– Zastanawiam się, czy nie powinienem dać sobie spokój z tą... firmą budowlaną.

Odkąd mama weszła do pokoju, Leo nie odezwał się ani słowem. Teraz jednak się ocknął.

– Co takiego?

Felix nie patrzył na niego. Zwrócił spojrzenie na mamę.

– No bo nie jestem do końca przekonany, czy chcę być całe życie budowlanem.

– Nie jesteś?

– Wiesz co, mamo? Tak naprawdę to chciałbym iść na studia.

Felix wiedział, że Leo chętnie zadałby mu w tej chwili kilka pytań, czuł na sobie jego wzrok, on jednak specjalnie patrzył tylko na mamę, która uśmiechnęła się do niego promiennie.

– Wspaniale, Felix, oczywiście, że powinieneś iść na studia.

Uścisnęła go mocno, a potem zwróciła się do Leo:

– Prawda, synku? To brzmi naprawdę dobrze.

Garaż w garażu.

John Broncks zapukał i odczekał, aż Sanna wpuści go do środka.

– Nie musisz pukać, John. Wejdz. Nigdy dotąd nie pukałeś.

– Gang Wojskowy. Taką dostali ksywę.

Gdy popełniane przez przestępcę lub grupę przestępców zbrodnie odpowiadały pewnemu wspólnemu schematowi, policja nadawała wówczas takim osobom określone nazwy, etykiety. Na przykład: kamizelki kuloodporne, buty, precyzja, komunikacja. Od upublicznienia pierwszych zdjęć pustego składu broni kilka godzin wcześniej nie było wątpliwości, jaka będzie nazwa w tym przypadku.

– Patrzysz właśnie na resztki płyty, na której zamontowali ładunki wybuchowe – wyjaśniła Sanna.

Na dużym stole w rogu leżały pokryte sadzą fragmenty masy plastycznej i płyty piłśniowej.

– Taśma klejąca. Płyta piłśniowa. Trotyl, pentyl i RDX.

Sanna przesunęła kilka kawalków na właściwe miejsca.

– W skrócie wyglądało to tak: podejrzani podzielili plastyczny materiał wybuchowy na dwanaście bryłek i połączyli je między sobą lontem pentrytowym. Żeby wysadzić dół o średnicy sześćdziesięciu centymetrów, musieli mieć pół kilograma materiału wybuchowego.

– Pół kilograma?

– Tak.

– To musiał być niezły huk.

– Owszem.

– I nikt nic nie słyszał?

– Płyta z ładunkami wybuchowymi leżała pod bunkrem. Detonacja została przytłumiona przez budynek. Poza tym przecież wszystko działo się wysoko w lesie, na odludziu, gdzie nikt nie mieszka.

Sanna spojrzała na niego. Kiedyś, w innym czasie, Broncks zakochał się w tych oczach. Widać było wyraźnie, że jest już zmęczona po długim dniu pracy. Sięgnęła po kurtkę, która wisiała na oparciu krzesła.

– Jeśli kawalek mnie odprowadzisz, będziemy mogli jeszcze chwilę porozmawiać.

Przemierzywszy długie korytarze komendy, wyszli na Bergsgatan. Szli najpierw w milczeniu pustą ulicą. Do północy było jeszcze kilka godzin, ale zrobiło się już zimniej.

– Wielki Brat. Tak go nazywam na własny użytek. Przywódca. Ale nie do końca przekonuje mnie jego wizerunek, jaki powstaje po każdym kolejnym napadzie i który dzisiaj okazał się... niby prawdziwy. Człowiek zimny. Analityczny. Uporządkowany. Precyzyjny. Z pewnością jest też taki. Jednak to nie jest wojskowa operacja obliczona na pół roku, a potem koniec. To nigdy się nie skończy. On jest jak nałogowiec. Nie tyka alkoholu, narkotyków, nic z tych rzeczy. Ale jest uzależniony. Od skoków na banki. I po jakimś czasie potrzebuje... jeszcze więcej. Żeby przeżyć kopa, nie wystarczy mu to, co już ma, tylko szuka czegoś innego. Kiedy planował napad na transport z pieniędzmi w Farsta, siedział na wózku inwalidzkim i czekał... Wtedy mu to wystarczyło. W Svedmyra przejście z dodge'a do dodge'a też było odpowiednią dawką. Ale potem musiał już zwiększyć sobie działkę. Wymyślił więc napad na dwa banki jednocześnie, on załatwił jeden, a jego partnerzy drugi.

Gdy doszli do końca Hantverkargatan, Broncks wskazał pytająco na most na brzegu Riddarfjärden. Sanna potwierdziła skinieniem głowy.

– A z tego wynika, że następnym razem musi podnieść sobie poprzeczkę jeszcze wyżej. Może obrobić więcej banków naraz, może oddać więcej strzałów. Dla uzyskania kopa musi podbijać stawkę. Na tego rodzaju uzależnienie nie ma innego lekarstwa niż śmierć.

Woda po prawej była gładka i spokojna, promy kursujące między wysepkami odpoczywały przed kolejnym dniem, również na torach kolejowych po lewej zalegała cisza.

– Wielki Brat? – zagadnęła Sanna.

– Tak.

– Dopóki śmierć nas nie rozłączy?

John zatrzymał się i oparłszy o ławkę na moście, spojrzal na Sannę. Znała go dobrze jak mało kto. Być może nikt. Albo tylko jej się wydawało, że go zna.

– Wiem, o czym myślisz. Ale to nie jest takie cholernie proste.

– Wiesz?

– Jeśli uważasz, że próbuję temu facetowi, którego nazywam Wielkim Bratem, nadać rysy mego brata, to się mylisz. Oni nie są... Różnią ich motywów.

– Skąd wiesz? Dwóch starszych braci odwołujących się do przemocy.

– Ale ten robi to dla własnego zysku.

– Chcesz powiedzieć, że twój brat zabił ze względu na kogoś innego?

Spojrzal na nią chłodno.

– Wiesz co, Sanna?

– No?

– Czasami nie rozumiem, o czym ty mówisz.

Minęli w milczeniu wysepkę Riddarholmen i piękne budowle, w których nikt nie mieszkał, i ruszyli powoli ku rysującym się na horyzoncie konturom Södermalm. Weszli po schodach na niewielki placzyk z balustradą, z którego roztaczał się piękny widok na jeszcze nie do końca pogrążone we śnie miasto. Stali tu już kiedyś i patrzyli na Sztokholm, za pierwszym razem. Przyszli wtedy od innej strony, ale też wieczorem. Podziwiali wielkie miasto w świetle latarni i blasku padającego z okien.

– Minęliśmy się... kiedyś.

Stali obok siebie i spoglądali na dachy i uliczki w dole. A jej głos nie był wcale mechaniczny ani obojętny. John zauważył to już wcześniej, w ciągu dnia.

– Słucham?

– Na Kungsgatan.

Sanna spojrziała na niego właśnie tak, jak chciał, by spojrziała.

– Widziałam cię. Z daleka.

Ja też cię widziałem.

– Latem. Kilka lat temu. To była sobota. Mnóstwo ludzi w mieście. Chciałam ściągnąć cię spacerem, kiedy się mijaliśmy, ale ty odwróciłeś głowę.

Widziałas mnie. A ja odwróciłem głowę.

Próbował wyobrazić sobie tę rozmowę codziennie przez dziesięć lat. Po kilka razy na dzień. Sanna była przy nim nieustannie. Kiedy się budził i kiedy szedł spać. Bardzo chciałby jej wyjaśnić, dlaczego w pewien czwartek poprosił ją, aby spakowała swoje rzeczy, a sam wyszedł i czekał w knajpie, aż się wyniesie. Opowiedziałby jej, jak już w drodze powrotnej do domu sama myśl o pustce, którą zastanie w mieszkaniu, nie pozwalała mu oddychać, ścisła mu gardło. A potem ta koszmarna wędrówka przez pokoje o pustych ścianach, atak paniki, łomotanie serca, utrata przytomności w przedpokoju i dwa dni spędzone w szpitalu.

Codziennie przez dziesięć lat. A teraz ona stoi tuż przed nim, niemal go dotyka. Lecz jeśli tylko się poruszy, czar prysnie. Dlatego to ona lekko się pochyla i go całuje, on zaś odpowiada jej dopiero wtedy, gdy nabiera całkowitej pewności, że to dzieje się naprawdę.

Plakał.

Trzymał ją w objęciach i płakał. Nie potrafił się opanować. On, który nie płakał nawet na pogrzebie własnego ojca, bo nie można oplakiwać kogoś, komu się nie wybaczyło.

– Ja też cię widziałem.

– Słucham?

– Wtedy. Na Kungsgatan. Widziałem cię, ale...

– Widziałeś mnie?

– Tak. Ale...

– Naprawdę mnie widziałeś? Ale nie dałeś tego po sobie poznać?

Pomyślał, że może powinien w tym momencie spytać ją o jej życie. O to, jak jej naprawdę jest.

– Nie dałeś tego po sobie poznać. Tak samo jak wtedy, kiedy żyliśmy razem.

Powinien spytać o jej siostrę. Czy kupiła sobie dom swoich marzeń. I dlaczego Sanna wróciła akurat do pracy na komendzie. I czy jakiś inny mężczyzna był jej tak bliski jak on.

– Pamiętasz, John... ostatni raz?

Ona krzyczy.

– Nie, nie pamiętam.

Krzyczy: „Jesteś taki cholernie bezwzględny”. I jeszcze raz: „Jesteś potwornie bezwzględny”, a potem zamyka drzwi i wychodzi.

– Nie pamiętasz nawet... dlaczego poprosiłeś mnie, żebym odeszła?

Stał i wciąż płakał.

Powinien spytać teraz o to wszystko. Przecież właśnie ze sobą rozmawiają.

– Nie pamiętasz, dlaczego spakowałeś moje rzeczy do torby IKEA.

Powinno to zrobić.

– Nic się nie zmieniłeś, John! Jesteś wciąż taki sam, chociaż nie nie pamiętasz. I nadal nie można do ciebie dotrzeć.

Ona nie płakała. Ruszyła w kierunku postoju taksówek i przystanku autobusowego, a on tym razem się nie odwrócił, bo nie chciał patrzeć, jak odchodzi.

Dziedzinec. Nie lubił go. Nie jak Anneli – z powodu braku ogródka i trawnika – tylko dlatego, że był nierówny, i ci, którzy wylali na niego asfalt, po prostu odwalili tylko swoją robotę, a on generalnie nie przepadał za ludźmi, którzy się nie starają i nie dają z siebie wszystkiego.

Leo stał przy oknie i patrzył na kałuże po deszczu. Potem przeniósł spojrzenie na własne odbicie w szybie i ujrzał w niej także siedzącą w głębi pokoju na brzegu rozkładanej kanapy mamę. Była w nocnej koszuli, bardzo różniącej się od tej, jaką nosiła Anneli. Zdejmowała ozdobne poduszki i kładła je w piramidę na podłodze.

Opuścił rolety i odwrócił się, kiedy mama chwyciła właśnie za szmaciany pasek, żeby rozłożyć materac. Leo odsunął ją delikatnie od łóżka.

– Ja to zrobię. To nie takie proste.

Nacisnął jeden róg, a drugą ręką chwycił pasek – i szarpnął. Wyciągnął materac i rozłożył go na całą długość. Łóżko przykrywało dokładnie cztery płytki podłogowe, dwie białe i dwie czarne, które z kolei kryły szafę pancerną i wejście do składu broni pod nią. Rozwiązał tasemki, które przytrzymywały na miejscu świeżo powleczonej koldre, a potem wygładził ją dłońmi, aby nie było na niej żadnych fałdek.

– Zawsze byłeś taki dokładny... – Mama usiadła z uśmiechem na koldrze. – Wygodnie jest mieć taki dodatkowy pokój, kiedy przyjeżdżają goście.

– Szkoda, że nie widziałaś, jak wyglądał przed remontem.

– Widzę, że ściany są chyba świeżo pomalowane, prawda? A podłogę sam kładłeś?

– Nie ja. Vincent. Własnoręcznie położył każdą płytkę.

Usiadł obok niej, a ona od razu wzięła go za rękę.

– Jeśli mam być szczerą, Leo, spodziewałam się tego.

– Czego?

– Że zajmiesz się nim, kiedy mi powiedział, że wyjeżdża do Sztokholmu.

Gdy czule głaskała go po dłoni, przeszył go dreszcz, choć przecież byli sobie bliscy i dobrze znał ten gest. To samo poczuł, gdy szli razem przez halę dworca i zatrzymała się w miejscu, gdzie wybuchła bomba, a potem gdy widzieli z daleka biało-niebieskie taśmy odgradzające przy wjeździe na teren wojskowy.

– Wiesz, mam, Vincent sam już daje sobie niezłą radę.

– Przecież wiem, że tak nie jest. A przynajmniej nie całkiem. Zawsze dbałeś o niego i o Feliksa. A nawet myślałeś o mnie i o swoim ojcu.

Pokręcił głową.

– Mamo...

Jakby nie chciał tego dłużej słuchać.

– Gdybyś wtedy, Leo, nie wkroczył, nie byłoby mnie już na tym świecie. On nie przestałby bić.

Zauważyła w jego spojrzeniu poczucie winy. Ale zignorowała je. Sądziła, że jest zażenowany.

– Jestem z ciebie taka dumna. Ty nigdy nie uchylasz się od odpowiedzialności. Nigdy przed nią nie uciekasz.

– Mamo, przestań już.

Ujęła w swoje dłonie także jego drugą rękę.

– Tobie udało się wszystko to, co jemu nie wyszło. Założyłeś firmę, która się rozwija, a nie bankrutuje, i na dodatek zapewnia pracę także twoim braciom. Jesteś dla nich lepszym ojcem, niż on był kiedykolwiek. A na początku był taki jak ty. Troskliwy. Czuły.

Zamilkła. Kiedy zaś zaczęła znowu mówić, jej głos zrobił się twardszy.

– My dwoje jesteśmy do siebie bardzo podobni, wiesz? Potrafimy wiele znieść. Może na pierwszy rzut oka tego po nas nie widać, ale jesteśmy ulepieni z tej samej gliny.

Spojrzała na niego, Leo jednak nie patrzył już na nią. Obawiał się, że ona za chwilę go przejrzy i zrozumie, że to, co wzięła za poczucie winy, w rzeczywistości jest wstydem. Dlatego uśmiechnął się tylko i uściśnął ją na pożegnanie.

– Dobranoc, mamo.

Nie oglądając się już za siebie, wyłączył przy wyjściu górne światło. Potem poszedł do ciemnej kuchni i stanął w oknie. Tu jego odbicie w szybie było dużo wyraźniejsze.

Słyszał jej miarowy oddech. Zasnęła.

Na rozkładanej kanapie nad składem broni, o której przez cały dzień mówiono we wszystkich wiadomościach.

Myślała, że jej łóżko stoi na solidnej podłodze, którą położył jej najmłodszy syn. Myślała, że najstarszy syn prowadzi firmę dającą pracę wszystkim trzem. Myślała dokładnie to, co wszyscy powinni byli myśleć. A nawet widziała to, co wszyscy powinni byli widzieć.

A mimo to Leo czuł się nieswojo.

Widział w szybie kogoś, kto jej zdaniem jest do niej podobny, kto jest odpowiedzialny.

Oddychał powoli, aż w końcu szyba zaszła parą i jego odbicie zniknęło.

Jeszcze jeden. Jeszcze tylko jeden, ten największy. Potrójny napad na bank. Piętnaście milionów koron. Potem odsprzeda broń i Felix będzie mógł zacząć studia. A on będzie znowu taki jak ona. I jeśli na tym skończą, nikt nigdy się nie dowie.

Kiedy zaczynał się program, na stoliku przed kanapą nie mogło leżeć absolutnie nic z wyjątkiem notesu – nowusińskiego, z białymi, niezapisanymi kartkami. Kupił go w kiosku u Jönssona razem z gazetami. Chociaż normalnie prawie nigdy nie czytał niczego na takim marnym papierze, w ostatnim tygodniu codziennie około czwartej ruszał do centrum, żeby kupić dwie gazety poranne i dwie popołudniowe, które teraz leżały na stole na kanapie.

Przed nim tylko notes. Deska do krojenia, nóż, popielniczka, resztki cebuli i wino, a nawet okruchy tytoniu i czerwone okrągłe ślady po szklankach – wszystko zostało uprzątnięte i starannie wytarte.

Ivan położył ołówek automatyczny – najpierw upewnił się, czy działa – na pierwszej nietkniętej stronie notesu, a kiedy oparł się wygodnie, od razu zapadł się dosyć głęboko, ponieważ środkowa część kanapy była już mocno wysiedziana. Zupełnie jakby leżał w poprzek na hamaku. Uciśk w dolnej części kręgosłupa był tym trudniejszy do wytrzymania, że od rana Ivan nie wypił ani kropli wina. Toteż usiadł prosto z powrotem i oparł łokcie na kolanach – jak zwykle, gdy czekał na losowanie i obserwował piłki wirujące we wszystkie strony, a potem lądujące po kolei w przejrzyściej rurze.

Przysunął bliżej stos gazet i zaczął je przeglądać, nie bardzo wiedząc po co, bo przecież przeczytał każdy artykuł już po kilka razy. I wszystko, czego się z nich dowiedział, miał w głowie. Ale w programie telewizyjnym, na który czekał, zawsze pokazywali coś nowego w sprawie najświeższych przestępstw, to, do czego gazety nie miały jeszcze dostępu, i podawali informacje, na których upowszechnieniu zależało policji. Te policyjne ważniaki miały się za nie wiadomo kogo, a tak naprawdę do niczego się nie nadawały i tylko udawały, że coś robią.

Czekał od dwudziestu minut. Nie chciał przegapić początku. Dwa bloki reklamowe, w których próbowano przekonać ludzi, że ich życie stanie się trochę bardziej kolorowe, jeżeli kupią sobie jakieś gówniane nowe fidrygalki, jakich istnieją już tysiące, potem końcówka kolejnego serialu, w którym nikt nie zestarzał się od dziesięciu lat i ludzie siedzieli na kanapie podobnej do jego własnej, a w tle rozbrzmiewał śmiech wklejany po każdym zdaniu.

Jeszcze jeden papieros. Opuszkami palców ostrożnie nałożył mocnego tytoniu na bibułkę, zwinął ją kilkoma wprawnymi ruchami, włożył papierosa między wargi i solidnie się zaciągnął. Na blacie pojawiła się znowu wilgotna plama, a przecież stolik musi być czysty.

Przeglądał stos gazet nie dlatego, że się niepokoił. Nie, to tylko niecierpliwość. Czuł tak piekielne mrowienie i swędzenie, że po prostu nie mógł spokojnie usiedzieć. Gdy chciał wyciągnąć okulary do czytania z kieszeni koszuli, niechcący zahaczył nimi o kopertę z dziewiętnastoma tysiącami w stukoronowych banknotach. Nie była już taka wypchana jak tamtego dnia jesienią, kiedy Leo przyszedł tutaj pierwszy raz po ponad czterech latach i wręczył mu czterdzieści trzy tysiące, jakby miał ich co niemiara, jakby to były papierki w grze w monopol. Chociaż twierdził, że nie jest mu nic winien.

Ivan odłożył na bok gazetę leżącą na samym wierzchu. Na pierwszej stronie widniało zdjęcie ubranego na czarno mężczyzny w kominiarce celującego z automatu. Akurat gdy stał w kolejce do kasy w supermarkecie i czekał, aż rozlaźla panienka za ruchomą taśmą łaskawie obsłuży trzech gości przed nim, rzucił okiem na stojak z prasą i z daleka odczytał tylko jeden tytuł: GANG WOJSKOWY. A potem, kiedy już podeszedł bliżej, zobaczył resztę: ci, którzy wyczyścili cały skład broni dla wojska, podobno napadli potem na furgon z pieniędzmi w Farsta, obrobili bank w Svedmyra i oprócz tego dwa banki leżące kilka metrów od tej żółtwej kasy.

Stojąc w kolejce, przypomniał sobie szyderyczy uśmiech na szybie w banku, rozmowy ludzi naokoło niego na rynku i myśl, jaka wtedy przysłała mu do głowy: że zdarzenia, które na pozór się ze sobą nie wiążą, stanowią jednak całość, jak kombinacja cyfr na kuponie Keno. I wtedy on, który nigdy nie kupował gazet, położył aż cztery egzemplarze na taśmie, obok paczki jajek, zielonej papryki i torebki migdałów. A potem przeczytał dokładnie. Ukradzioną z wojskowego magazynu broń została użyta w napadzie w Sköndal, w kąpielisku nad zatoką, gdzie przez wiele lat Britt-Marie pracowała na obozach wakacyjnych dla niepełnosprawnych, oraz w napadzie na dwa banki oddalone niecałe pięćset metrów od jego domu.

Skandal. To jej okolica. Według policji – jak pisano w gazecie – miejsce tak ukryte i nietypowe, że trzeba je dobrze znać, aby je wybrać.

Ósmo. Jego rejon. Zwracano też uwagę na brutalną przemoc i osiem strzałów ułożonych w uśmiechniętą twarz.

Uzmysłowiwszy to sobie, przestał zwracać uwagę na tekst, a skupił się głównie na zdjęciach. We wszystkich gazetach publikowano dwa jednakowe czarno-białe ujęcia mężczyzny uznanego za przywódcę grupy, gdy wchodzi do banku i gdy celuje. Wprawdzie fotografie były niewyraźne, ale pewne szczegóły dały się wychwytać. Szerokie ramiona. Oczy w otworach kominiarki – jakby ona stała tu teraz przed nim i patrzyła na niego. I wąskie, ściągnięte w kreskę wargi, podobne do jego ust.

Ivan poprawił notes i wziął do ręki ołówek.

Zaczynało się.

POSZUKIWANI. Według zapowiedzi dzisiejsze specjalne wydanie programu miało być w całości poświęcone Gangowi Wojskowemu. Przymuszalnie miano nadzieję, że oglądający go widzowie będą może dostarczać policji jakichś przydatnych informacji i wskazówek.

Nacisnął ołówek, wyglądził pierwszą stronę notesu i śledził na ekranie moderatora, który w towarzystwie waśniaków z policji opowiadał o największej w historii Szwecji kradzieży broni i o sześciu brutalnych napadach rabunkowych przypisywanych wstępnie tym samym sprawcom.

Sześciu? Ivan zapisał: „Sześć napadów rabunkowych”. W gazetach pisano tylko o czterech.

Szybkie migawki z zaatakowanych banków. Odlamki szkła na posadzkach i otwarte drzwi do ogłolonych skarbców.

Furgon z pieniędzmi w Farsta. Handelsbanken w Svedmyra. Handelsbanken i Skandinaviska Enskilda Banken w Ósmo. Sparbanken w Rimbo i Skandinaviska Enskilda Banken w Kungsör.

Zapisał znowu. Nowa informacja. „Rimbo”. „Kungsör”.

Potem kilkusekundowy przejazd kamery po hali głównej sztokholmskiego dworca centralnego. Wybuch bomby. Przerażeni ludzie za barierkami. Ivan odłożył ołówek. Podniósł go znowu. Miał pewność. Nikt o tym nie pisał ani nie mówił, że to mogło mieć związek z nimi.

Prowadzący program odwrócił się teraz tyłem do kamery i zatrzymał się przy pulpicie, za którym stał jeden z gliniarzy. I zaczął mówić o bombie. Ze podwójny napad niedaleko domu Ivana i ładunek podłożony tego samego dnia na dworcu mogą być częścią tego samego planu.

Bomba?

Zapisał to słowo – „bomba” – nie potrafił jednak wyobrazić sobie nic konkretnego. Broń – to zrozumiałe, napad – też pasuje, ale bomba? Ten wyraz w ogóle nie komponował się z resztą. Nie mieścił się w żadnym schemacie.

Prowadzący odwrócił się i spojrzał prosto w kamerę.

Teraz opowiadał o członkach gangu. O tym, że mają przygotowanie wojskowe, że są dobrze zbudowani, nie mówią dialektem i prawdopodobnie nie byli wcześniej karani.

„Nie mówią dialektem”.

„Niekarani”.

A potem pojawiły się całkiem nowe obrazy. Ruchome.

Do tej pory nigdzie nie pokazywali tych sekwencji. Ujęcia z różnych kamer monitoringu tuż przed ich zniszczeniem. Krótkie, kilkusekundowe migawki. Na ich podstawie przywódcę opisano jako mężczyznę o wadze od osiemdziesięciu do osiemdziesięciu pięciu kilogramów i wzroście od metra osiemdziesięciu pięciu do metra dziewięćdziesięciu centymetrów.

Tym razem nie odłożył ołówka, tylko go upuścił i usłyszał, jak potoczył się po blacie i spadł na podłogę. A przecież powinien dokładnie to zapisać: wzrost, wagę. Wszystko, czego dotąd nie wiedział. Wszystkie nowe dane. Przecież po to kupił notes.

Teraz było to już całkiem zbędne.

Przecież widział. Mimo że wszystko trwało w sumie zaledwie kilka sekund. Rozpoznał wzorec, który kryje się w każdej z milionów komórek i jest powtarzany w ruchach nóg i rąk, w najcieńszej linii po wewnętrznej stronie dłoni i na opuszkach palców.

Ivan sięgnął po nietkniętą butelkę wina stojącą na podłodze. Otworzył ją i pił, dopóki nie zabrakło mu powietrza.

Teraz już wiedział.

Mgła, gałęzie, żwir.

Plac do zawracania kilka kilometrów w głębi lasu. Halland.

Felix wyprostował plecy. Pracował w bardzo niewygodnej pozycji, a to, co miał do zrobienia, zajęło mu znacznie więcej czasu, niż myślał. Z nożycami do metalu w prawej ręce przebijał się centymetr po centymetrze przez dach samochodu. Wycinał w nim okrągły otwór.

A potem przyjdzie pora na napad na trzy banki. Jednocześnie.

Polakierowana blacha stawiała opór, jakby była żywa. Felix musiał jeszcze uzbroić się w cierpliwość i pracować dalej, póki nie wytnie dziury, przez którą będzie mógł potem obserwować.

Nieduży las przy drodze 153. Po drugiej stronie Szwecji. Żeby dotrzeć tu ze Sztokholmu, trzeba jechać na południowy zachód, z wybrzeża na wybrzeże. Punkt zbiórki. Tak nazwali to miejsce. Są tutaj już prawie całą dobę. Jechali sześć godzin samochodem, żeby przeprowadzić swój ostatni skok.

Felix zawadził o ostry kant blachy i skaleczył się trochę, lecz tylko zaklął i dalej zmagął się z upartym dachem. Już niedługo otwór w nim będzie nie półokrągły, ale okrągły.

Dotarli tu wczoraj po południu i rozbili obóz dwa kilometry za miejscowością Ullared, która liczyła niecały tysiąc mieszkańców, ale była jednocześnie siedzibą największego w Szwecji domu towarowego, do którego pielgrzymują Szwedzi dosłownie ze wszystkich zakątków kraju. Zwłaszcza w takim okresie jak teraz. W okolicy świąt wielkanocnych, gdy w szkołach trwały ferie. Obroty były w tym czasie rekordy. Należało się więc spodziewać, że trzy banki położone naprzeciwko domu towarowego, po drugiej stronie placu, też mają skarbcze wypchane pieniędzmi.

Wyposażeni w karimaty, śpiwory, suszoną żywność i wodę podgrzewaną na kocherze rozłożyli się w lesie. W samochodzie, którym przyjechali na miejsce, niedużej ciężarówce wynajętej przed tygodniem, dokonali już wszelkich potrzebnych zmian, montując dodatkową ścianę za szoferką. Gdy zapadła ciemność, pojechali do Varbergu, najbliższego miasta, i ukradli samochód, którym zamierzali się posłużyć podczas napadu i w którym Felix mozolnie wycinał teraz otwór w dachu.

Po powrocie z Varbergu czuwali na zmianę, aby każdy z nich miał po kilka godzin snu. Felix jednak nie zasnął ani na chwilę. Patrzył w granatowe niebo usiane gwiazdami, czując, jak przez karimatę wpelza do śpiwora przejmująca wilgoć. Ale to nie dlatego nie mógł zmrzucić oka. Coś było nie tak. Męczył go jakiś niepokój.

W lesie panowała absolutna cisza, przerywana jedynie od czasu do czasu dalekim ujadaniem wielu psów. Gdzieś w okolicy musiało chyba być schronisko.

Wstali o piątej rano. Napili się kawy i zjedli kanapki jeszcze ze Sztokholmu.

Potem napełnili bak skradzionego samochodu benzyną z czterech przywiezionych kanistrów. Następnie usiedli znowu na zsuniętych karimatach i rozłożyli na nich mapę i zdjęcia z powietrza okolicy, aby powtórzyć krok po kroku wszystkie etapy potrójnego skoku. Leo zajmie się bankiem nr 1, Vincent i Jasper – bankiem nr 2, a na końcu wszyscy razem obrobią bank nr 3. Felix natomiast przez cały czas będzie kontrolował drogi dojazdowe, patrząc przez otwór, nad którego wycięciem musiał jeszcze trochę popracować.

– Vincent, mógłbyś mi pomóc?

Jego młodszy brat odsunął skrzypiące drzwi i stanąwszy na siedzeniu, zaczął naciskać prawie już odcięty okrągły fragment blachy do góry. Wspólnymi siłami wypchnęli go całkiem na zewnątrz i wyrzucili do rowu.

Felix usiadł na dachu z nogami zwisającymi w wyciętym otworze, Vincent zaś wystawił głowę ponad poszarpaną stalową krawędzią. Jego oczy były inne niż zwykle – zmęczone albo pełne niepokoju.

– Felix?

– No?

– To się nie może udać. Słyszysz?

Czyli jednak pełne niepokoju. Młodszego brata trapiło to samo, co jemu nie pozwoliło zasnąć ostatniej nocy.

– Ja to czuję. Serio.

To były jego własne myśli. Ale sformułował je Vincent.

– Nigdy wcześniej nie miałem czegoś takiego.

– Dopóki ja siedzę za kierownicą, nic nie może się spieszyć. Pamiętaj, Vincent.

Sam chciałby w to wierzyć. Ale nie wierzył.

Ostatni raz.

To był ich ostateczny cel.

Trzy banki jednocześnie we właściwym momencie. Dziesięć milionów, może piętnaście albo nawet dwadzieścia. Wtedy już nam wystarczy.

Przeżył o to im chodziło. O zdobycie wystarczającej sumy i o coś, czego nikt dotąd nie dokonał.

– Ostatni raz, Vincent. Potem znikamy. I już nigdy nikt nie usłyszy o Gangu Wojskowym.

Leo zabrał się do zwijania mat, a Jasper do wkładania magazynków do trzech specjalnie uszytych kamizelek i do torby. Felix zeskokczył z dachu, opierając się na ramieniu Vincenta, po czym usiadł za kółkiem.

Już czas.

Na parkingu przed trzema bankami w Ullared światło było zupełnie inne. W lesie sprawiało wrażenie bardziej przytłumionego, zielonkawego, a to, które wpadało teraz przez otwór wycięty w dachu, wydawało się ostrzejsze, jaskrawsze i uwidatniało wszystko, co znajdowało się w samochodzie. Dlatego Felix miał wrażenie, że widzi karabin maszynowy po raz pierwszy. Choć ten automat leżał w ich magazynie pod podłogą przez ponad pół roku, tak naprawdę nigdy nie widział go z bliska. Jedenastokilogramowa maszyna ze zwisającymi po bokach taśmami naboju, niszcząca wszystko, co znajdzie się na jej drodze. I na tym polegała różnica. Pistolet maszynowy, który zawsze miał na kolanach, kiedy czekał w samochodzie podczas wcześniejszych skoków, był mniejszy i w zestawieniu z tym monstrum wydawał się kruchy i niepozorny. To jakby porównać rekina do szczupaka.

Rozłożył statyw, obrócił się w ciasnej przestrzeni części bagażowej tak, aby móc stabilnie chwycić nieporęczny karabin, podniósł go nad głowę, wysunął przez wycięty otwór i umieścił na dachu. Taśmy nabojowe grzechotały jak transporter opancerzony, dlatego Felix chwycił je szybko i próbował stłumić ten hałas, zasłaniając je przedramionami.

Czuł się tak, jakby był w strefie walk pokazywanych w telewizyjnych wiadomościach, na jednej z wojen domowych, gdzie jakiś partyzant leży na wzgórzu i ostrzeliwuje całą wioskę. A teraz to on obserwuje wioskę z głową wystawioną przez dziurę w dachu i ma na celowniku zwykłych ludzi w zwykłej szwedzkiej miejscowości. Gdy zaś spojrzą na niego, pewnie poczują to samo co on przed telewizorem – uznają, że patrzą na coś nierzeczywistego.

Stał za karabinem i obracał go stopniowo od punktu na godzinie dziewiątej do punktu na godzinie trzeciej. Miał pełną kontrolę nad drogą od lewej strony, którą niedawno przyjechali, nad fasadami banków na wprost, przed którymi został przed chwilą trzech napastników, oraz nad drogą po prawej, gdzie za trzy minuty mieli zniknąć w oddali.

Felix oglądał napady zawsze od zewnątrz – jak w telewizji. Tym razem też tak było, gdy celował w każdy bank po kolei. Telewizyjny reportaż wojenny. Trzy telewizory z innymi programami. Trzy prostokątne szyby jednakowej wielkości z różnymi logotypami banków jak trzy ekrany z równocześnie rozgrywającymi się scenami. Ekran po lewej – Sparbanken, samotny zamaskowany mężczyzna, Leo, postępuje krok w krok za kasjerką, która torbę utrzymaną w ręce wypełnia banknotami wygarnianymi z jednej kasy za drugą. Ekran pośrodku – Skandinaviska Enskilda Banken, dwóch zamaskowanych mężczyzn, Vincent i Jasper; jeden zajmuje się kasami, drugi z automatem przystawionym do karku jednego z pracowników idzie za nim do skarbcza. Ekran po prawej – Handelsbanken, który mają obrobić na końcu wspólnie; jedna z pracownic rzuca się do drzwi, ponieważ zauważyła na zewnątrz samochód z karabinem na dachu i przebiegających mężczyzn w kominiarkach; zamyka je, a potem cały personel i klienci kładą się na podłodze ukryci za drewnianą ladą.

W Svedmyra, Rimbo i Kungsör był tylko jeden ekran, w Ösmo – dwa. Tutaj natomiast show wymyślony i wyreżyserowany przez najstarszego brata rozgrywał się na trzech ekranach.

Ostatni raz.

I nagle ten nierzeczywisty show zmienił się w jaskrawą rzeczywistość i uzyskał nieoczekiwany przebieg, którego Felix się nie spodziewał – odkrywał nowe dialogi, nowe sceny, nowe postacie grające poza scenariuszem. Trzy włamania przełamujące iluzję. Nie sposób już było sprowadzać tego, co

widział, do fikcji i filmu w telewizorach. Oni byli tu naprawdę. Ludzie. Realni. Wychodzili z ekranu. A skoro istnieli, to byli także śmiertelni. I on, z automatem w rękach plującym ośmiuset pociskami na minutę, też jest rzeczywisty.

Najpierw pojawił się starszy myśliwy. Wysiadł z samochodu, zostawiając żonę na fotelu pasażera. Ubrany w kurtkę moro i czapkę z daszkiem otworzył bagażnik i wyciągnął z futerału broń myśliwską. Następnie ruszył zdecydowanym krokiem prosto w stronę Feliksa, który cały czas miał go na muszce.

– Co, u diabła, pan tu wyprawia?

Felix celował w niego ze swojej wojennej maszyny.

– Niech pan odejdzie, dobrze panu radzę!

Facet stał jednak w miejscu, gapił się przekornie w lufę, odbezpieczając jednocześnie swoją wiatrówkę. Felix wiedział, że albo on, albo myśliwy. Nie miał wyboru. Mierzyli do siebie nawzajem, a on czuł, że zaraz wystrzeli. Nagle z samochodu wysiadła żona i zawołała męża.

– Bengt, kochanie, daj spokój. No, chodź już, idziemy!

Niewiele brakowało. I to, co mogło się stać, byłoby rzeczywiste.

Potem jedna z kasjerek wrzuciła do torby Leo ampułkę barwiącą, która aktywowała się już po jego wyjściu z banku – czerwony gęsty dym nie tylko wydobywał się na zewnątrz, ale farbował także skradzione banknoty. Felix nigdy dotąd nie widział czegoś takiego, nie w sytuacji, kiedy należało zachować spokój i opanowanie. Ale Leo nie stracił rezonu. Zawrócił, wpadł w drzwi i wrzasnął:

– Ostrzegalem was, żeby nikt mi się nie ważył wrzucić tego gówna do torby!

I otworzył ogień. Jego starszy brat stał w czerwonym dymie pośrodku sali bankowej i w dzikiej furii, poza wszelką kontrolą, walił z automatu dookoła siebie. Z dachu samochodu trudno było dostrzec, czy kogoś trafił. Chyba nie. To, co było blisko, gdy pojawił się dziadek ze śrutówką, teraz stało się rzeczywistością. Felix doświadczał jej wszystkimi zmysłami.

Następny Vincent, najmłodszy z nich wszystkich.

Jako pierwszy podszedł do zamkniętych już drzwi trzeciego banku. Zaczął walić na zmianę kolbą i lufą w szybę, roztrzaskał ekran telewizora, wskoczył do środka. Krzyknął: „Wszyscy na ziemię!” i wszyscy padli. Poza starszą kobietą. Szła w jego kierunku z wyciągniętą ręką, jakby go o coś prosiła, może o to, żeby ją wypuścił. Vincent już podniósł broń, wymierzył w staruszkę i dopiero w ostatniej sekundzie zrozumiał, że nie stanowi dla niego zagrożenia. Jej skomlenie: „Nie strzelaj, proszę, nie strzelaj!” słychać było nawet w samochodzie.

Wystarczył jeden ruch palca. Niewiele brakowało, a jego mały brat by zabił. Rzeczywistość chyba nigdy nie była tak namacalnie obecna jak w tym momencie, gdy Vincent stał nieruchomo, z bronią opuszczoną ku ziemi, i próbował zrozumieć, do czego mógł doprowadzić.

Potem akcja trzech równoległych filmów powróciła do pierwotnego scenariusza.

Napastnicy opuścili trzeci bank, przechodząc przez roztrzaskany ekran telewizora, dopadli pędem samochodu, cisnęli torby do środka i zasunęli boczne drzwi, podczas gdy Felix zdjął swoją maszynę z dachu i rzucił się na fotel za kierownicą. Sekundę później śmigali zygżakiem między samochodami, których kierowcy z przerażenia zatrzymywali się na środku jezdni.

Vincent przypuszczał, że jechali boczną wąską drogą chyba ze sto dziesięć na godzinę. Z dziury nad głową wiało zimnem i cały dach klekotał. Na przednim siedzeniu siedział Leo i purpurowy z wściekłości grzebał w torbie pełnej czerwonych banknotów. Vincent nadal miał przed oczami tamtą starszą kobietę z wyciągniętą w jego kierunku ręką. Wciąż czuł napięcie w swoim palcu opartym na spuście. Dosłownie w ostatniej sekundzie dostrzegł jej zmarszczki i siwe włosy, usłyszał jej skomlenie o to, żeby pozwolił jej wyjść.

– Kurwa! Kurwa! Kurwa! Całe dwa miliony! Wszystkie czerwone!

Uważał ją za bardzo odważną, tak samo jak kasjerkę, która mimo strachu wrzuciła zgodnie z obowiązującymi ją instrukcjami bombę barwiącą do torby zamaskowanego napastnika obrabującego bank.

– Pieprzona dziwka! Wszystkie pofarbowane!

Leo nie przestawał wrzeszczeć, Vincent zaś przez dziurę w dachu patrzył na wierzchołki drzew. Było ich coraz więcej. Zostało im już tylko kilka kilometrów do drogi przez las, w którą zaraz odbiją.

– A wy? Ile żeście zdobyli?

Leo próbował zapanować nad swoim głosem.

– Nie mam pojęcia!

– Jasper, człowieku, to policz, do cholery!

– Maks... czterysta tysięcy. W sumie. Skarbiec w pierwszym banku był prawie pusty.

Zła odpowiedź.

Torba odbiła się od tylnej ściany, kiedy Leo z furją cisnął nią przez cały samochód.

– Czterysta marnych tysięcy!

Zwolnili i skręcili z szosy. Gdy Felix znowu dodał gazu, podwozie zaczęło obijać się o nierówność i występy na leśnej drodze.

Już niedaleko. Niedaleko do bezpiecznej ciemności za ścianą.

Droga przez las zaczęła wznosić się lekko pod górę. Mniej więcej w połowie wzniesienia usłyszeli pierwszy huk. Vincent nie tylko go usłyszał, ale nawet poczuł wstrząs. Następny był jeszcze silniejszy, jakby ktoś walnął drewnianym młotem.

Gdy samochód zwolnił, od razu domyślił się, co się stało. Dogorywający silnik nietrudno jest rozpoznać.

– Zdechł... Całkiem zdechł! Zero reakcji!

Felix zaciągnął ręczny hamulec i wyskoczył na drogę.

Z latarką w ręce wturlał się pod ciężarówkę, której szukał każdy policjant w całym Hallandzie.

– Przewód paliwowy! Słyszysz, Leo! Pęknięty!

– Jesteś pewny?

– Tak.

– Najpierw ta pieprzona farba, a teraz jeszcze to! Kurwa mać! Trzeba wepchnąć tego rupiecia pod górę, a potem stoczyć się na luzie najdalej jak się da. Ostatni kawałek pójdziemy na piechotę. Będziemy mieli co najmniej dwadzieścia minut w plecach!

Osiem młodych ramion pchało ciężki pojazd na szczyt wzniesienia, a z każdym metrem coraz bardziej kurczył się pozostały im jeszcze czas. Na samym czubku Felix wskoczył za kierownicę, a gdy koła już prawie przestawały się obracać, skierował go w bok, między drzewa. Mieli dwa kilometry do punktu zbiórki. Zaczęli biec.

Nieduży samochód dostawczy stał tam, gdzie go zostawili mniej więcej godzinę wcześniej – na skraju placu do zawracania, w otoczeniu drzew, kamieni i stosu ułożonych bali. Gdyby ktoś tu niechcący trafił i z ciekawości zajrzał do środka, ujrzałby to, co zobaczyli Vincent, Leo i Jasper, gdy otworzyli tylne drzwi: bele ostrego, grubego i postrzępionego materiału izolacyjnego. Wszyscy trzej wskoczyli na pakę, przecisnęli się między belami aż do wyjmowanej ściany za szoferką, którą zamontowali, gdy samochód stał przez tydzień w garażu w Tumba. Ukryci za nią zamierzali dojechać aż do Göteborga, gdzie zaplanowali następną zmianę środka lokomocji.

– Dwadzieścia siedem minut spóźnienia – podsumował Leo.

Policja miała czas, żeby zablokować drogi.

– Pamiętaj, Felix, tak jak się umawialiśmy.

Felix był już prawie gotowy. Przebrał się w strój roboczy, bo to on przecież miał siedzieć za kierownicą.

– Pukasz dwa razy, jak trzeba będzie odbezpieczyć broń. Okej?

Kierowca niewielkiej ciężarówki mający dostarczyć na jakąś budowę materiał izolacyjny skinął głową i ustawił ściankę na właściwym miejscu.

W niewielkiej szczelinie zaległa absolutna ciemność.

Wyjechali z leśnej drogi na asfalt. Normalna prędkość.

Było ciasno. Vincent siedział przyciśnięty do Leo, niemal na nim. Jasper po jego drugiej stronie, też bez możliwości ruchu. Otaczała ich całkowita ciemność, organiczna, żywa, niczym czarna tkanka, która zdawała się rozrastać zarówno od ściany odgradzającej ich od Feliksa, jak i od maskującej przegrody od strony paki. Po każdym urwanym oddechu starszego brata Vincent czuł strumień ciepłego powietrza na swoim policzku.

Przy każdym zmniejszeniu prędkości ciemność dosłownie wsysała ich w siebie, a wolniejszy ruch samochodu wywoływał w piersi Vincenta ucisk jak na huśtawce.

Ale nie tym razem.

To nie było miękkie hamowanie, po którym zaraz znowu nastąpi przyspieszenie. Felix zatrzymał się naprawdę.

Rozległo się puknięcie. Po chwili drugie.

Vincent czuł, jak Leo przekręcił się trochę, żeby odbezpieczyć broń, Jasper zrobił to samo. Metaliczne kliknięcia w ciasnej przestrzeni zamkniętej dwiema ścianami. Vincent uświadomił sobie, że przez całą noc i przez cały dzień czekał na ten moment.

„Felix?” „Tak?” „To się nie może udać”.

Wiedział, jak wygląda blokada na drodze – dwa radiowozy z pulsującym niebieskim światłem, czterech policjantów w mundurach, jeden z nich trzymał lizaka z napisem POLICJA i zatrzymywał nim samochody.

Felix w ogóle nie spał. Nie przyznał się do tego, ale Vincent poznał to po nim od razu. Przez trzydzieści godzin nie zmrugał oka, a teraz siedział tam sam, za kierownicą, na skraju obcej drogi gdzieś w Hallandzie. Powinien się skoncentrować. Musi uważać na każde słowo.

Felix opuścił szybę, przez cienką ściankę słychać było każdy odgłos.

– Prawo jazdy, proszę!

Dosyć młody głos. Potem chwila ciszy. Felix trzymał swój portfel w kieszeni na piersi, pewnie go teraz wyciągał.

– Skąd pan jedzie i dokąd się pan wybiera?

– Skąd jadę?

– Tak, gdzie pan był?

– Stało się coś?

Znowu cisza. Policjant prawdopodobnie sprawdzał prawo jazdy, a jego koledzy czekali kawalek dalej.

– Spytałem, gdzie pan był i dokąd pan jedzie?

– Mam domek letniskowy w Tylösand. Blisko morza, piaszczysta plaża, pięknie jak cholera. Wynajmuję go. Za miesiąc mam pierwszych gości ze Sztokholmu. Płacą jak za zboże. Chcę jeszcze zrobić izolację ścian w jednym pokoju. Materiał mam z tyłu.

– Proszę wysiąść.

Otworzyły się drzwi. Głuche pacnięcie, kiedy Felix zeskoczył na ziemię.

– I proszę otworzyć pakę. Żebyśmy mogli zajrzeć.

Kroki wzdłuż samochodu. Feliksa rozpoznał od razu. Policjant stawiał nogi lżej, być może nie był wcale wysoki.

Otworzyły się tylne drzwi. Policjant mógł popatrzeć do środka.

Przez szczelinę u góry, między ścianką a sufitem, przesączało się trochę światła. Widać było cien poruszającego się policjanta.

Vincent wstrzymał oddech. Przymknął powieki. Wtedy smuga i cien policjanta zniknęły. Usiłował skupić się wyłącznie na Feliksie, który gdzieś dalej z kimś rozmawiał. Może z drugim policjantem. Musi skoncentrować się na jego głosie. Słuchać i nie otwierać oczu.

Gdy tak siedział w napięciu, przed oczami znowu stanęła mu tamta kobieta, jej pomarszczona twarz, siwe włosy – pewnie była mądra, bo starzy ludzie często tacy są i ona wyglądała na mądrą – ujrzał jej rękę w proszącym geście i oczy, w których nie było strachu.

Bele materiału izolacyjnego zostały przesunięte na bok. Folia, w którą były owinięte, zaszurzyła pod podłogą. Policjant stał całkiem blisko. Kiedy się odwrócił, jego kurtka otarła się o ściankę.

Wszystko mogło się zdarzyć. W każdej chwili. Nic nie było pewne. Z wyjątkiem tego, że Jasper od razu strzelił, jeśli policjant ich odkryje. Leo także. On natomiast nie odbezpieczył swojej broni. Jeszcze nie.

Ktoś oparł się o prowizoryczną ściankę. Przez górną szparę przedostało się jeszcze więcej światła. Zamontowali ją tutaj Leo z Feliksem, a oni zwykle robili wszystko solidnie. Jeśli jednak ścianka ustąpi pod ciężarem ciała funkcjonariusza?

– Można wiedzieć, czego pan szuka?

– Był napad.

Wysiądź. No już.

– Na bank. Właściwie na banki. Trzy.

Odejdź od tej ścianki.

– To zaczyna być już wkurzające.

Vincent potrafił sobie wyobrazić, jak Felix przekrzywia głowę na bok i wrusza ramionami.

– To znaczy... czy ci idioci nie mogliby znaleźć sobie jakiejś porządnej roboty jak wszyscy inni.

Policjant nie opierał się już o ściankę. Zdaje się, że schodził z paki. Wreszcie zeskoczył na ziemię. Najpierw zatrzęsnęły się jedne drzwi, potem drugie.

Ciemność otoczyła ich znowu, równie żywa jak poprzednio. Na zewnątrz dały się słyszeć lekkie kroki, potem Felix powiedział coś jeszcze z uznaniem o rzetelności policjantów. Na kilka minut rzeczywistość rozpadła się na kawałki, miliony odłamków runęło pod powiekami Vincenta. Teraz układał je jeden za drugim na miejsce. Ale nie na to samo co wcześniej. To nie było już możliwe.

Rozległ się warkot silnika ciężarówki.

Te kawałki już nigdy nie trafią na swoje dawne miejsce.

Vincent był tego pewien. To jedyna rzecz, jakiej był pewien. Poczul, że samochód przyspieszył.

Vincent pił tak wolno, że płyn w jego szklance zrobił się najpierw ciepławy, a w końcu w ogóle przestał mu smakować. Poza tym starał się cały czas pilnować, aby się nie upić. Kilka razy był bliski zażnięcia. Po bezsennej nocy nie potrafił się już ani skupić, ani bać. Jeszcze trochę musiał jednak wytrzymać. Potem wsiądzie do pociągu i równomierny stukot kół o szyny prawdopodobnie sprawi, że powracające obrazy z potrójnego napadu zaczną się stopniowo zacierać, a on w ciasnym sześciuosobowym przedziale wreszcie zapadnie w sen. Albo chociaż zniknie ten jeden jedyny obraz – kiedy niewiele brakowało, żeby stał się mordercą. Tamten krótki moment przeciął rzeczywistość na dwie z gruntu odmienne alternatywy.

Przez okno pubu Vincent patrzył na tył göteborskiego dworca głównego.

Z kiosku naprzeciwko szedł Jasper sprężystym krokiem, chociaż też wiele nie pospał. Niósł najświeższe gazety krzyczące wielkimi tytułami: *Potrójny napad na banki – Gang Wojskowy znowu w natarciu*. Zdjęcie z kamery monitoringu pokazywało jego samego w czarnej kominiarce tuż przed oddaniem strzału. Jasper z zaczerwienioną twarzą rzucił gazety na stolik i ruszył po trzecie piwo do baru, przy którym na stojąco wychylił od razu trzeci kieliszek Jägermeistra.

– Widziałeś? Już jest w wieczornym wydaniu.

– Mamy dziesięć minut do pociągu.

– Trzy banki, Vincent, możesz to sobie wyobrazić! To jacyś kompletnie porąbani goście!

Podniósł gazety, mówił zdecydowanie za głośno i jeszcze się rozglądał, czy inni na pewno go słyszą.

– Jasper, przestań! – szepnął Vincent. – Uspokój się!

Ale Jasper, który był już trochę wstawiony, roześmiał się skrzekliwie, rozkładając jedną z gazet i wskazując na duże zdjęcie.

– Spójrz tylko na tego typa! On nawet umie trzymać kałacha jak należy!

– Na zewnątrz roi się od policji! Widziałem! Na dworcu też. Zamknij się wreszcie!

Vincent nie miał najmniejszej ochoty siedzieć tu z Jasperem. Wolalby pogadać ze swoimi braćmi, z Leo, który jechał ciężarówką po E4, albo z Feliksem, który za moment wystartuje z Landvetter i po czterdziestu pięciu minutach wyląduje w Sztokholmie. Potrzebowal ich. Tutaj. Teraz.

– Wyluzuj, Vincent! Przecież wszyscy o tym gadają. Jak myślisz, co czyta tamta babcia po drugiej stronie? Albo tamten facet, co dolewa sobie ukradkiem smirnoffa do kawy? Według ciebie oni nie oglądali specjalnego wydania wiadomości w telewizji? Nie jesteśmy więc gorsi od nich. Wrzuć na luz, braciszku!

Rozdzielili się po wszystkim i wybrali różne środki lokomocji, aby nie rzucać się w oczy. To była ostatnia faza ich potrójnego skoku. Ale Vincent, jakby na przekór tym ustaleniom, zwracał na siebie uwagę agresywnym i głośnym zachowaniem, jak gdyby ciągle jeszcze nie uwolnił się od napięcia i nie odreagował.

Braciszku.

– Widziałeś czy Leo? Jak się zorientował, że ponad połowa towaru jest czerwona? Ja widziałem. I świetnie rozumiem, co on wtedy czuł. Bo ja i Leo... To przecież my wszystko obmyśliliśmy. A tu jakaś pinda z okienka wrzuca mu to gówno! Wszystkie papiery zafarbowane i nadają się tylko na śmietnik. Do spalenia!

– Jasper, stul pysk!

– Ale mielibyśmy więcej kasy, gdybyś ty, braciszku, nie tracił czasu na cackanie się z personelem jak jakiś mięczak. Gangster nie może się obcyndalać! Moglibyśmy mieć kilka milionów więcej.

Mięczak.

Vincent miał dość. Wstał, wyciągnął torbę spod stołu i zarzucił ją sobie na ramię. Poczul na biodrze kolbę automatu. Miał w niej poza tym sporo pieniędzy i dziesięć puszek piwa. Ruszył na dworzec, na peron, z którego odjeżdżały pociągi do Sztokholmu. Jasper deptał mu po piętach.

– Braciszek certoli się z personelem.

– Ale zdobyłem klucze, tak czy nie?

Dał się sprowokować. Nie powinien był odpowiadać. Bo każda jego odpowiedź to dla Jaspera zachęta, by dalej się produkować.

– No właśnie, zdobyłem! A chodzi o to, żeby je dostać jak na tacy. Przykładasz łufę do czoła i zaraz wszyscy robią w gacie.

Nie mógł już wytrzymać. Postanowił jednak, że nie da się wyprowadzić z równowagi. Choćby ten cholerny kretyn wygadawał nie wiadomo co, on go oleje. Torba na ramieniu, pociąg na peronie, miejsce w przedziale, trzy godziny snu. Nie odezwie się do niego już ani razu.

– Posłuchaj no. Leo ciągle powtarza, że my wszyscy jesteśmy jak firma. On jako jej właściciel jest... szefem, ja jakby jego zastępcą, a ty, Vincent, jesteś tylko zwykłym uczniem, praktykantem i dlatego cackasz się z personelem. Leo o tym wie. Ale na szczęście do takich spraw ma kogoś takiego jak ja i dlatego kazał mi być w czasie akcji twardy i bezwzględny. I jestem. A nie taki jak ty, braciszku.

Vincent wsiadł do pociągu i ruszył wąskim przejściem, przytrzymując ręką torbę, aby niechący nie potrącił automatem kogoś z mijanych pasażerów. Znalazł pusty przedział na samym końcu wagonu, zaciągnął zasłonki i zamknął drzwi, postawił torbę na półce, a potem wyciągnął się na trzech siedzeniach jak długi, zasłaniając sobie twarz kurtką.

Regularne postukiwanie kół pociągu o szyny na miejscach ich złączeń oraz delikatne kołysanie stopniowo go obezwładniało, a rytmicznie migające pod powiekami błyski światła i kolorów wyciszały myśli. Po dziesięciu minutach wszedł konduktor i sprawdził bilety, a potem Jasper stanął na jego siedzeniu, żeby sięgnąć torbę z półki, wbijając mu przy tym między żebra wzmocniony blaszką czubek buta.

– Czego chcesz?

Jasper postawił torbę na podłodze, wyjął puszkę piwa i szybko pociągnął za aluminiowe kółko. Zimne krople prysnęły Vincentowi prosto w twarz.

– Musisz, do cholery, otwierać ją nade mną!

Jasper sięgnął znowu do torby, między złożone kolby automatów i foliowe torby z zafarbowanymi na czerwono banknotami, po czym wyłowił z niej jeszcze jedną puszkę i wyciągnął ją ku Vincentowi, który jednak odmownie pokręcił głową.

– Co ja ci takiego zrobiłem, że mnie tak nie cierpisz, braciszku?!

– Nie jesteśmy żadnymi braćmi. Więc przestań w końcu mówić do mnie „braciszku”!

I znowu się odezwał, co wyraźnie ucieszyło Jaspera, bo prowokowało go do jeszcze większej agresji. Vincent czuł jednak, że głowa cięży mu coraz bardziej i ogarnia go sen, uniemożliwiający jasne myślenie.

– Będę do ciebie mówił „braciszku”, bo tak mi się podoba. Poza tym przecież jesteś najmłodszy, tak czy nie? I dlatego nie masz błędnego pojęcia o tym, co ja i Leo wyczynialiśmy, jak ty byłeś jeszcze małym szcylem.

Vincent mimo najszczerzych chęci nie potrafił zebrać myśli, czuł piasek i szczypanie pod powiekami, a każdy włoszek na karku wydawał się naładowany elektrycznością; zmęczenie nie dawało za wygraną, próbowało pokonać ciało, które wciąż nie spało, chociaż powinno.

– Przy każdym skoku, braciszku... pierwszy idzie Leo, ja na końcu, a ty w środku, masz najbezpieczniejszą pozycję. Obaj cię chronimy. Tak to ustaliliśmy z Leo.

Jasper ścisnął swoją pustą puszkę po piwie w taki sposób, że lekko wgnieciona ścianka zaraz cofnęła się na swoje miejsce z irytującym odgłosem. Powtórzył to kilka razy.

– Grzejemy zawsze z automatów do czerwoności, ale za każdym razem zostawiamy kilka nabojoyw na wypadek, gdyby nagle przypętały się jakieś policyjne cipy i goniły za nami. Nie zadałeś sobie nigdy pytania, braciszku, skąd ta cała amunicja?

Znowu nacisnął puszkę. Ścianka wgięła się do środka i odbiła. I jeszcze raz: wgięła się – odbiła, wgięła się – odbiła. Odgłos jak tykanie sekundnika. Jasper przysunął ją do ucha Vincenta. Chciał go sprowokować.

– Gdybyś tylko wiedział, ile ja dla ciebie zrobiłem. Dzień w dzień przez sześć lat. A ty teraz wypinasz się tu na mnie i strzelasz focha. Niech to szlag!

– Przez sześć lat... O czym ty bredzisz?

– O czym ja bredzę? A jak myślisz, skąd mieliśmy tamten materiał wybuchowy i lont pentrytowy do wysadzenia podłogi w bunkrze?

Vincent usiadł na siedzeniu. Wszystko go bolało. Chciał tylko spać, nic więcej.

– Z wojska. Najpierw Leo, kiedy był w woju, wziął co potrzeba. A potem ja.

Vincent poczuł, że odzyskuje siły.

– Końcowe ćwiczenia, braciszku, zaczynają się od tego, że cała ciężarówka zaplombowanych skrzyń zostaje wyladowana przy drodze w śniegu. Z bronią, materiałami wybuchowymi, amunicją. Szybko można stracić rozeznanie, co jest, a czego nie ma, ale i Leo, i ja wiedzieliśmy, że ostateczna inwentaryzacja jest robiona po zakończeniu ćwiczeń.

Rozdrażnienie, które jeszcze niedawno zatrzymywało się na skórze, teraz wpelzało jak robaki do środka, a im głośniejszy był ten pieprzony kretyn, tym bardziej Vincent był pewny, że już nigdy nie napadną razem na bank.

– Jednej nocy, kiedy mieliśmy wartę, bo musisz wiedzieć, że za czasów Leo i dwa lata później, kiedy ja odbywałem służbę, wszystkie procedury niczym się nie różniły, no więc wzięliśmy ze sobą na wartę czarne foliowe worki na śmieci. Mieliśmy trzy godziny, żeby pootwierać plomby przy nietkniętych jeszcze skrzyniach, wyjąć naboje, lont czy granaty i zaplombować pojemniki z powrotem. Worki zagrzebaliśmy po prostu w śniegu i wróciliśmy na wartę.

Małe robaki rozpełzały się po całym wnętrzu, dotarły już do serca, które zaczęło łomotać jak szalone. Vincent nie widział niczego poza ustami Jaspera, a te poruszały się bez przerwy i opowiadały o jego najstarszym bracie, jakby Leo był Jasperem, a Jasper – Leo.

– Wiedzieliśmy, że po ćwiczeniach będzie szczegółowa inwentaryzacja i że potem wywrócą całą jednostkę do góry nogami.

Jakby Leo był Jasperem, a Jasper – Leo.

– Dosłownie, braciszku, to było jak normalna rewizja, brali do ręki każdą najmniejszą rzecz.

Ty nie jesteś moim bratem.

– Ale nie znaleźli niczego. Niczego, braciszku.

Ty nie jesteś Leo.

– Potem wszyscy opuścili jednostkę i wrócili do domów. Ale my wynajęliśmy samochód, wykopaliśmy zagrzebane wcześniej worki, kupiliśmy u przewoźnika kolejowego skrzynki do transportu towarów, zapakowaliśmy w nie worki i nadaliśmy je na swoje własne adresy, a potem wsiedliśmy do pociągu i już w domu odebraliśmy przesyłki z dworca towarowego. Ogarniasz, braciszku? Planowaliśmy tę akcję z Leo przez sześć lat.

Do Vincenta nie docierały już żadne słowa; wpatrzony w ohydny szparę między zębami Jaspera, widział tylko, jak jego wargi poruszają się nieustannie – to w górę, to w dół, to w górę, to w dół.

– Swoją drogą to niesamowite... Bo chociaż to ty jesteś bratem Leo, ja znam go lepiej. Kiedy wchodzimy do banku, między nami dwoma jest więź, jakiej nie ma między wami. Każdy z nas świetnie wie, co za chwilę zrobi ten drugi.

Nagle Vincent wstał. Wyrósł znienacka pośrodku kołyszącego się przedziału. Miał ochotę uderzyć tamtego, zmusić te usta do milczenia, wykorzystując do tego wszystkie siły, jakie jeszcze zostały mu w zmęczonym ciele.

– Ja i Leo możemy zrobić dosłownie wszystko. Jesteśmy niepokonani. Sparalizowaliśmy całą policję za pomocą jednej gównianej bombki! Aż strach pomyśleć, co będzie następne. Nas dwóch stać na dużo więcej, braciszku!

Vincent nie uderzył.

– Za pomocą bomby, którą ty odbezpieczyłeś!

Czuł jednak, jak paznokcie wbijają mu się w dłonie; zacisnął mocno pięści, nie zdając sobie z tego sprawy.

– Wiem, że to zrobisz! Ja i Felix wiedzieliśmy to od razu!

Najpierw Jasper jak zwykle pokręcił przecząco głową. Ale po chwili jakby się rozmyślił. Uśmiechnął się.

– Przewidywałem, że policja wyśle tam swojego robota.

– Czyli to... prawda?

– Znam się na tych sprawach, braciszku, nie poważnego nie mogło się stać.

– Czyli to jednak ty wyciągnąłeś zawleczkę! A do tej pory wszystkiemu zaprzeczałeś!

– Nikt nie zginął. Tak czy nie?

– Kłamałeś! Okłamałeś Leo! A on tak ci ufa! Ale nie rozumiesz takich rzeczy, bo jesteś... samotny, nie masz własnych braci!

Vincent miał wciąż zaciśnięte dłonie, przygotowany na to, że Jasper zaraz go uderzy. On jednak jedynie patrzył na niego pustym wzrokiem i nic nie mówił. Vincent usiadł z powrotem. Rozprostował palce. Były kredowobiałe. W przedziale zaległa wreszcie cisza. Lżej było oddychać. W końcu powiedział to, co myślał. Wprost.

– Mówisz, że... jestem samotny?

– Tak.

Jasper wciąż patrzył na niego pustym wzrokiem, otwierając jednocześnie po omacku torbę. Ale zamiast kolejnej puszkki piwa wyjął z niej pistolet maszynowy.

– I nie mam... własnych braci?

– Nie masz.

Jasper rozłożył kolbę, pogładził ręką lufę.

– A wiesz, braciszku, co ja mógłbym teraz zrobić? Coś, do czego są zdolni tylko... samotni faceci. Bez braci.

– Odłóż go z powrotem do torby.

Jasper odbezpieczył broń.

– Zdaje się, że nie wiesz. Ale gdybyś tak spróbował zgadnąć, braciszku. Co?

Wstał tak szybko, że Vincent zorientował się, co się dzieje, dopiero wtedy, gdy Jasper przycisnął mu lufę do skroni i odchylił głowę.

– Wobec tego ci wyjaśnię, braciszku. Posłuchaj mnie teraz. Tą pukawką... czujesz ją, no nie...? mogę ci zrobić, co mi się tylko podoba.

Vincent chyba nigdy dotąd nie był tak bliski śmierci. Obrabował dziewięć banków i strzelał z broni maszynowej między ludzi, nie zdawał sobie jednak sprawy, jak to jest, gdy człowiek śmiertelnie się boi. A teraz to on jest na miejscu ochroniarza z furgonu z pieniędzmi albo kasjerki w banku. Zamienili się rolami.

– Jasper, musisz...

– Nie słyszę cię.

– ...nie możesz.

– Chcesz czegoś ode mnie, braciszku? Czy może czujesz się trochę... samotny?

Lufa pistoletu wciskała mu się coraz mocniej w skroń. Z pękniętej skóry zaczęła lecieć krew.

– Nie okłamałem Leo, kapujesz?

Za drzwiami przedziału ktoś przeszedł do toalety albo do wagonu restauracyjnego. Za cienką ścianą ktoś inny się śmiał i mówił głośno.

– Kapujesz, braciszku?

Vincent nie był pewny, czy poruszył głowę, ponieważ ciało nie chciało go słuchać, ale naprawdę usiłować potaknąć i Jasper chyba musiał to zauważyć, bo z takim samym spokojem, z jakim wcześniej sięgnął po broń, teraz ją złożył, schował do torby i zaciągnął suwak.

Poza przedziałem słychać było więcej kroków i więcej głosów.

Vincent siedział nieruchomo.

Dziewięć napadów. A on dopiero teraz zrozumiał prostą prawdę: ten, kto ma broń w ręce, decyduje.

Na dziedzińcu wysypanym żwirem siedziało kilku więźniów, paląc papierosy w kwietniowym zimnym wietrze. Krótka przerwa w pracy przy taśmie w więziennym warsztacie, gdzie za jedenaście koron za godzinę przycinano i skręcano drewniane klocki. Mężczyźni mieli na sobie sztywne, bezkształtne pikowane kurtki, podobne do tych, jakie Broncks widział w filmach o gułagach. Dookoła siedmiometrowy szary mur.

To tutaj traficie, jak was dopadnę.

Rozejrzył się dookoła. Chociaż żył sam, nigdy nie czuł się samotny. Z wyjątkiem tego miejsca. Trudno było wyobrazić sobie coś bardziej przygnębiającego i beznadziejnego niż czekanie w sali widzeń. Przy odwiedzinach w więzieniu nie chodziło o radość – najważniejsza była kontrola i bezpieczeństwo. Czas dla siebie w pomieszczeniu z łóżkiem do pieprzenia obciążonym ordynarną folią i z kapiącym kranem.

Dzwonek, przenikliwy i metaliczny, jak w mieszkaniu, w którym dzielili ze sobą pokój aż do czternastego roku życia. Dwa łóżka tuż obok siebie. Ale on nie widział w tym nic nadzwyczajnego, mimo że każdy z jego rówieśników miał własny pokój. Po chwili grzechotanie pęku kluczy, następnie podwójne mechaniczne kliknięcie rygli zwalnianych w zamku.

Klapki kąpielowe, niebieskie szorty, biały T-shirt z logo zakładu po jednej stronie. Pół kroku za nim strażnik.

Sam był znowu szerszy w ramionach. Kolejne pokłady furii przekształciły się w mięśnie. Beznamiętna twarz, równie martwa i zimna jak ta sala widzeń. Oczy bez wyrazu – bez śladu tęsknoty za przyszłością czy przeszłością. To chyba było najtrudniejsze – żyć czasem terazniejszym niejako poza świadomością.

To tutaj traficie. I tacy się staniecie. I ty też, Wielki Bracie, znajdziesz się w tym miejscu.

Drzwi się zatrzasnęły. Chociaż byli teraz we dwóch, John nadal czuł się samotny.

– Tym razem zgłosiłeś się wcześniej – odezwał się Sam.

– Tak, chciałem...

– Mimo to nie przyniosłem ciasta, bo to przecież nie są normalne odwiedziny.

Obaj opierali się o złote ściany. Ale dzielił ich niewyobrażalny dystans.

– Jadłem po drodze.

John wyciągnął krzesło spod stołu i usiadł.

– Kiedy byłem tu ostatnio, mieli za sobą napad na transport pieniędzy i na jeden bank. Teraz doszło do tego jeszcze siedem banków, wybuch bomby na dworcu w Sztokholmie i rabunek ponad dwustu sztuk broni.

Sam nieznacznie się uśmiechnął.

– Trzeba przyznać, że są naprawdę niezli... Jak wyście ich nazwali...? Gangiem Wojskowym?

John oparł łokcie na stole, który był równie chybotliwy jak krzesło.

– Razem z tobą siedzi tutaj czterystu sześćdziesięciu trzech osadzonych. Ludzi skazanych na długoletnie więzienie. Po osiemnastu latach, Sam, znasz ich wszystkich. A oni z kolei znają cały podziemny światek.

Wydawało się, że jego brat mocniej wpycha plecy w ścianę, aby zachować dystans w tym ciasnym pomieszczeniu.

– Posłuchaj... chyba już raz o tym mówiliśmy, tak czy nie? Gdybym nawet coś wiedział, to i tak na pewno nie zwierzałbym się z tego żadnemu glinie.

– Ale sytuacja się zmieniła, Sam, nie rozumiesz? Okej, pal sześć banki. Tyle że zanim ta banda zaczęła działać, w armii brakowało tylko trzynastu sztuk broni automatycznej. A teraz poza koszarami, na wolnym rynku, jest jej tyle, że wystarczyłoby do wyposażenia każdej organizacji przestępczej twoich tutejszych kolegów. Pierwszy lepszy opryszek będzie zaraz biegać po ulicach z karabinem maszynowym. I możesz być pewny, że nie będzie strzelał do kamer, tylko do niewinnych ludzi, jak mu wejdą w drogę. Coś takiego nie jest chyba w porządku nawet dla kogoś, kto nie będzie się zwierzał jakiemuś glinie?

Ironiczny uśmiešek zgasł, a twarz Sama jakby się odprężyła. Przez ułamek sekundy można było odnieść wrażenie, że słucha z uwagą i bez złości.

– Nie chcę dopuścić do tego, żeby zginęli Bogu ducha winni, przypadkowi ludzie.

Tylko przez ułamek sekundy.

– Nie rozumiem, dlaczego tyś się tak na nich zafiksował?

– Właśnie ci wyjaśniłem. Nigdy nie zaakceptuję tego, że ktoś chce rozwiązywać swoje problemy za pomocą przemocy.

Nigdy o tym nie rozmawiali.

– Nie zaakceptujesz, mówisz?

– Tak. Oni używają przemocy jako narzędzia.

– Narzędzia?

– Kiedy ochroniarz pokazuje im zdjęcia swoich dzieci, oni wypychają mu łufę jeszcze głębiej do gardła, żeby osiągnąć to, co chcą.

– Jak się jest ochroniarzem, to trzeba być świadomym ryzyka. To nie pierwszy napad na transport pieniędzy.

– A co z kasjerką, którą brutalnie popchnęli na podłogę? Ta kobieta już nigdy nie zaśnie bez prosków. Szkoda, że nie widziałeś jej oczu. Patrzyła dokładnie tak samo jak wtedy nasza mama.

Sam podszedł wreszcie spod ściany do stolika. Nabrzmiałe żyły na jego przedramionach były jak rzeki na mapie. Oparł się na krzesło z taką siłą, że chyba mógłby je złamać.

– Ostatecznie sama wybrała sobie taką pracę. Chyba wiedziała, że zdarzają się napady na banki.

Zanim Sam został skazany na dożywotnie więzienie, nigdy nie był kryminalistą. Stał się nim w tych murach.

– Czyli uważasz, że... oni są w porządku?

– Jestem tutaj już osiemnaście lat. Więc jak myślisz?

Palce na oparciu krzesła rozluźniły się nieco i odzyskały normalną barwę.

– Ty siedzisz na pieprzonym krzesle dla gości, a ja zostanę tu na zawsze. Z a a k c e p t u j to! Ty podałeś mi rękę. A ja ją odrzuciłem. To też z a a k c e p t u j!

Sam patrzył na niego tak jak kiedyś, dawno. Bez ironii, pogardy, nienawiści czy poczucia winy.

– Chcieli, żebym laził raz w tygodniu do jakiegoś pieprzonego terapeuty i żeby jakiś idiota mi truł, że zabiłem ojca dlatego, że miałem okropne dzieciństwo. I że to nie była... moja wina.

W końcu Sam usiadł naprzeciw brata.

– Co za brednia! To ja sam zdecydowałem, że zadżgam tego bydlaka. I to ja teraz tu siedzę. Bicie piany o tym, co się wtedy stało, to jak mówienie o jakimś cholernym kaseciaku, który odtwarza tylko to, co się na nim nagrało.

Położył swoje żyłaste przedramiona na stole.

– Dziecko, John, słucha i nagrywa, wchłania w siebie, kopiuje, magazynuje. Wszystko. Jak leci. A odtwarzacz przecież nie myśli, tylko odtwarza.

John miał ochotę dotknąć tych ramion. Położyć na nich dłoń. Po tylu latach.

– Tylko ty i ja możemy być tacy jak on. Albo nie być. On wciąż jest w nas. Niezależnie od tego, co każdy z nas powie czy zrobi. I żaden pieprzony terapeuta tego nie zmieni. Z a a k c e p t u j to.

– Nie przyjechałem tutaj, żeby rozmawiać o nim.

– Wiem, przyjechałeś po to, żebym ci nakablował.

Nie wziął go jednak za rękę. Pamiętał, jak ostatnim razem ostrożnie dotknął jego ramienia. Sam podskoczył wtedy, jakby John go uderzył.

– Słyszałem, że byłeś u niego.

– Siedzisz tutaj, Sam.

– Trzymałeś go za rękę.

– Musisz więc coś wiedzieć o tych ludziach.

– Mama mi mówiła. Siedziałeś przy jego łóżku i trzymałeś go za rękę. Trzymałeś za rękę tego padalca. Za tę samą rękę, która... biła.

– Sam, na pewno coś słyszałeś. Nazwisko. Kryjówka, gdzie trzymają broń. Zawsze znajdzie się ktoś, kto nie umie utrzymać języka za zębami. Jesteś moim bratem, to zostanie między nami, chyba wiesz?

– Trzymałeś go za rękę. A teraz, mój b r a c i e, przychodzisz do mnie i myślisz, że będę wypytywał ludzi, żeby ci pomóc?

Sam nacisnął guzik na ścianie, by wezwać strażnika.

– Widzenie skończone.

– Już?

– Już.

Tak samo jak poprzednio. Nawet po kilku miesiącach sześćdziesiąt minut to za dużo czasu.

Zaległa niewygodna cisza.

Unikali swoich spojrzeń. W końcu John nie wytrzymał. Po prostu musiał coś powiedzieć.

– Oni są braćmi. A przynajmniej dwóch z nich. Jestem tego pewny. Widziałem, jak się poruszają, jak się do siebie zwracają.

Sam wychodził z pokoju widzeń zawsze pod eskortą dwóch strażników. Jeden szedł przed nim, drugi za nim. Gdy byli w połowie drogi do schodów prowadzących w dół, do długich korytarzy pod więzieniem, Sam odwrócił się jeszcze.

– John, nie przychodź tu już nigdy.

Nie powiedział tego głośno, chyba nawet zniżył głos, ale każde słowo było słyszalne.

– Nie chcę cię więcej widzieć.

Leo ostrożnie wyjął z miski pięć ociekających wodą banknotów pięciusetkoronowych i powiesił je na sznurze do suszenia bielizny, który rozciągnął między ścianami garażu. Mokry papier był ciężki, należało się więc spodziewać, że po wyschnięciu banknoty będą zagniecione pośrodku i dlatego wszystkie po kolei będą wymagały prasowania.

Sznury biegly pod stropem ogromnego garażu wzdłuż i w szerz, tworząc coś w rodzaju podwieszonoego sufitu z kołyszającymi się papierkami, które odzyskały swoją wartość.

Piętnaście godzin temu foliowa torba była wypchana nadającą się na śmieci makulaturą. Przynajmniej Leo tak uważał, kiedy zamknął za sobą drzwi garażu. Gdyby bowiem nadal miał w świadomości, że są to – zgodnie z prawdą – zafarbowane na czerwono i nieprzydatne do niczego banknoty o wartości dwóch milionów koron, nigdy nie przyszedłoby mu do głowy żadne rozwiązanie. Wściekłość na kasjerkę, która sprytnie podrzuciła mu między banknoty ampulkę barwiącą do złudzenia przypominającą rolkę monet i w ten sposób zniszczyła niemal cały łup potrójnego skoku, całkowicie zdławiłaby jego kreatywność i zdobyte pieniądze pozostałyby nic nieznaczącymi strzępami papieru.

Zaczął od banknotu stukoronowego. Rozciągnął go, trzymając palcami za brzegi. Czerwona farba na nadruku wyglądała jak ślady na skórze po smagnięciach pejczem. Gdy przesunął kciukiem po papierze, pozostał czysty. Nie ulegało wątpliwości, że trzeba będzie spalić cały ten szajs.

Po chwili Leo przyjrzał się bliżej swojemu kciukowi. Zmienił się. Skóra zrobiła się lekko czerwona.

Farba jednokomponentowa.

Wystarczyło mieć trochę do czynienia z budownictwem, żeby wiedzieć, że taka farba, w przeciwieństwie do dwukomponentowej, nie weszła w reakcję z drugim komponentem i dlatego nie jest trwała. Kto jak kto, ale on orientował się w tych sprawach.

Mimo wszystko nadal nie miał odwagi myśleć o dwóch milionach. Na razie. Otworzył jednak metalową szafkę z łatwopalnymi cieczami, wyjął butelkę z benzenem i wylał kilka kropli na banknot. Czerwona farba natychmiast się rozpuściła. Ale po kilku sekundach wyblakł też oryginalny nadruk. Wynikało z tego jednak, że usunięcie farby jest możliwe. Chodziło tylko o znalezienie odpowiedniego rodzaju rozpuszczalnika.

Renol. Metanol. Etanol. Sięgnął też po kwas octowy, w końcu stwierdził, że najskuteczniejszy jest najłatwiej dostępny chemicznie oczyszczony aceton. Wprawdzie podobnie jak benzen rozpuszczał zarówno czerwoną farbę, jak i zabezpieczające detale świecące w świetle ultrafioletowym, tyle że nie tak samo szybko i nie tak agresywnie. Wszystko sprowadzało się do czasu. Cała sztuka polegała na ustaleniu właściwej liczby sekund. W tym celu musiał przeprowadzić wiele testów, do których użył banknotów o niskich nominałach – głównie dwudziestokoronowych i kilku pięćdziesięciokoronowych.

Dobrze dobrany czas i prawidłowa proporcja acetonu i wody w miskach.

Aceton jest sprzedawany wszędzie. Leo poprosił Anneli, żeby pojechała samochodem do miasta i w różnych sklepach kupiła pięćdziesiąt litrów roztworu. Dwieście mililitrów tu, dwieście mililitrów tam i stopniowo się zbiera. On zaś w tym czasie dalej eksperymentował.

I w końcu odniósł sukces.

Po 114 400 zmarnowanych koronach trzymał w ręce pierwszy idealny banknot.

Aceton, woda, czas. I dwa miliony koron zostaną odzyskane.

Gdy zawieszał na sznurze ostatnie banknoty z tej partii, rozległo się pukanie do drzwi.

– Leo, tu cuchnie jak w jakiejś fabryce farb – powiedział Vincent.

– Musisz koniecznie wywietrzyć, to na pewno niezbyt zdrowe – dodał Felix.

Leo miał na rękach klejące się rękawice, a przód bluzy i rękawy były przemoczone. Musieli poczekać z uściskiem, jakim zawsze się witali.

– Rozwiązałem problem! Słyszycie? Rozwiązałem problem!

Na stole leżał wielki stos zafarbowanych banknotów. Przed nim stały w szeregu trzy duże metalowe miski wypełnione do połowy przezrystym płynem.

– Pierwsza kąpiel, tylko aceton.

Żółte rękawice chwyciły plik banknotów.

– Same pięćsetki. Dwadzieścia naraz.

Czerwona farba znikła, podczas gdy Leo kontrolował czas. Pięć sekund. Potem szybko przełożył banknoty do następnej miski.

– Aceton i woda, pół na pół. Tutaj muszą leżeć dziesięć sekund.

Płyn zabarwił się lekko na czerwono, a z pięćsetek zniknęły resztki farby. Mokre banknoty trafiały teraz do trzeciego, ostatniego naczynia.

– Czysta woda dla ustabilizowania. Trzy minuty.

Czekali w milczeniu, wpatrując się przez powierzchnię wody w napis SVERIGES RIKSBANK, w poszczególne cyfry – 500 – oraz w wizerunek mężczyzny z długimi włosami i w kapeluszu, przedstawiający króla Karola XI.

– Widzicie? Farba zniknęła, a oryginalny kolor i wszystkie znaki pozostały.

Po wypłukaniu w wodzie banknoty trafiały na sznur.

– Nie ma Jaspera? – spytał Vincent, Leo zaś usłyszał w jego głosie dziwny niepokój.

– Nie.

– A będzie?

– A dlaczego miałby być?

Leo spojrzął badawczym wzrokiem na najmłodszego brata. Również na jego twarzy widać było niepokój.

– O co chodzi?

– O nic.

Zdaje się, że nie była to prawda. Leo postanowił jednak na razie nie drążyć tematu.

Zrobił krok do tyłu. Garaż pełen rozwieszonych banknotów to ładny widok. Najważniejsze jednak, że mu się udało. Bo nikt poza nim nie może decydować o tym, kiedy ma się poddać. Rozwiązanie problemu kosztowało go co prawda 114 400 koron, ale nawet te lekko zafarbowane banknoty leżące w wiadrze da się chyba jeszcze uratować i wykorzystać.

Nie w sklepie. Są przecież inne sposoby.

– Te tutaj skiepsciły się, kiedy eksperymentowałem, ale do płacenia za benzynę w automacie się nadają. Już wypróbowałem. Tylko trzeba będzie tankować w różnych miejscach.

– Przecież to jest makulatura, a nie pieniądze – zaprotestował Felix.

– Wcale nie.

Felix zamieszał ręką w wiadrze. Wartość pływających w nich banknotów odpowiadała wielu miesięcznym pensjom przeciętnego Szweda.

– Wcześniej czy później trafią w ręce glin. Więc puszczenie ich w obieg to idiotyzm.

– Przeciwnie.

– Przeciwnie?

– W ten sposób damy im do zrozumienia, że choćby nie wiem jak próbowali, i tak nas nie powstrzymają. Nawet durnymi ampulkami barwiącymi.

Leo zachichotał. Chyba był trochę odurzony oparami acetonu, które jak cienka folia oblepiały mu mózg i uwolniły go od dręczących myśli o częściowo nieudanym potrójnym napadzie.

– Czyli ten idiota Jasper tu nie przyjdzie?

Chociaż Felix zadał to pytanie Leo, zerknął na Vincenta.

Leo ściągnął plastikowe rękawice.

– A co wyście się obaj tak na niego uwzięli? O co biega? Nie ma go tu i nie przyjdzie. Zadowolony?

– Nie, ja nie jestem zadowolony. I Vincent też nie. Ale czego tu się spodziewać po takim kretynie jak Jasper? Wiadomo, że się nie pokaże. Pewnie leczy dziś kaca po tym, jak się wczoraj napruł w pociągu.

– Upił się?

– Tak.

– W trupa?

– Tak.

Leo zwrócił się do najmłodszego brata.

– Vincent, to prawda?

– Prawda.

– Przy innych pasażerach?

– No tak.

– Szlag by to trafił! Przecież zawsze mówię: pijemy t u t a j. Po wszystkim. A nie przy ludziach. Żeby nie zwracać na siebie uwagi.

– No, on wczoraj raczej zwracał. Zgadza się, Vincent?

Wyraźnie dało się wyczuć, że Felix domagał się potwierdzenia swoich słów.

– Zgadza się, Vincent? – powtórzył.

Ale Vincent nie patrzył ani na Leo, ani na Feliksa, tylko przed siebie.

– Nie wiem, o czym mówisz. Daj już spokój.

Leo czekał, lecz żaden z braci już się nie odezwał. Wiedział jednak, że wcześniej czy później do tego wróca.

Wylał zawartość trzech misek do zlewu, optukał je i napełnił ponownie.

– Zastanawiałem się nad następnym skokiem.

– Nad następnym skokiem?

– Mhm.

– Mieliśmy skończyć na tym. Na potrójnym. Mówiłeś, że to nasz ostatni napad – zdziwił się Felix.

Leo wciągnął z powrotem rękawice. Sięgnął po nową porcję banknotów ze stosu.

– Mieliśmy. Ale przecież wiesz, że nie drapnęliśmy tyle, na ile liczyliśmy. A to, co tutaj wypierzemy, plus zapas pod sejfem starczy nam przy naszych wydatkach najwyżej na dwa lata.

– To poszukamy sobie jakiejś roboty, jak wszyscy inni.

– Nie będziemy musieli. Bo zrobimy powtórkę.

– Jaką powtórkę?

– Ullared. Jeszcze nikt się na coś takiego nie poważył. Obrobimy jeszcze raz te same trzy banki. Wiemy, jakie popełniliśmy błędy, i ich nie powtórzymy. Dziesięć do piętnastu milionów!

Pierwsza kąpiel i pierwsza porcja. Dziesięć pięćsetek i dziesięć setek.

– Mówię serio. Wszystko jest już zaplanowane. Za kilka miesięcy. Ani jeden gliniarz w całej Szwecji nie spodziewa się czegoś takiego. Te same pieprzone banki!

Pięć sekund. Zmiana kąpeli.

– Leo?

– No?

– Zatrzymali nas na blokadzie na drodze – wtrącił Felix.

– Ale ty super sobie poradziłeś, braciszku!

– A gdyby wyjęli bele i odkryli tę lipną ścianę?

– Ale nie wyjęli i nie odkryli.

– A gdyby jednak?

– Wtedy strzeliłbym im w nogi.

– A gdybyś nie trafił, gdybyś...

– Felix, człowieku, my napadamy na banki, mamy broń, ostrą amunicję i jeśli oni wyciągną swoje pukawki... ktoś zawsze może zginąć, ale moja w tym głowa, żeby to nie był nikt z nas.

Z dziesięciu sekund zrobiło się dwanaście. Zapomniał o kontroli czasu.

– A jeżeli mimo wszystko coś nam się stanie? Tobie, Vincentowi albo mnie?

– Wtedy napadniemy na jakiś szpital czy przychodnię albo porwiemy lekarza.

– Leo?

Trzecia miska. Teraz już bez pośpiechu.

– Leo, kurde, chyba zmulił cię ten aceton, co?

– Przed każdym skokiem zawsze sprawdzam adresy chirurgów, którzy mieszkają najbliżej banku.

I tym razem też tak zrobię.

– Chirurgów?

– Gdyby jeden z nas został postrzelony, to raczej nie wstąpilibyśmy do przychodni, żeby się zapisać na wizytę, no nie? Trzeba sobie poradzić inaczej. W razie czego podejźdżamy więc pod dom, wrzucamy doktora do bagażnika razem z jakimiś medykamentami, które u niego znajdziemy. Igły, nici chirurgiczne i coś do dezynfekcji i tak mamy zawsze ze sobą.

Banknoty odzyskały swój pierwotny wygląd. Były idealne. Leo podsunął miskę Feliksowi, który stał najbliżej niego.

– Rozwiń je, okej?

– Posłuchaj, Leo. Nie przyszedłem tutaj, żeby rozwieszać jakieś papiery. Vincent też nie. Wypisujemy się.

Leo próbował wręczyć miszkę najmłodszemu bratu, który też pokręcił odmownie głową. Wobec tego zabrał się do tego sam.

– Jak to... „wypisujemy się”?

– Zwyczajnie. Nie weźmiemy w tym więcej udziału.

– Felix, co ty, do cholery, pieprzysz?

– Mówię o tym, że przy pierwszym napadzie leżałem na wzgórzu, po ciemku, nikt mnie nie widział. Prawie nie miałem pojęcia, jak się obchodzić z bronią, a mimo to celowałem do samochodu z pieniędzmi i niewiele brakowało, a zastrzeliłbym dwoje ludzi, którzy akurat jechali w niewłaściwym kierunku.

– Ale nie zastrzeliłeś.

– A teraz... tkwiłem w samochodzie z rozoranim dachem i celowałem z całkiem innej broni. Z pieprzonego kałacha! W biały dzień! Każdy mógł mnie zobaczyć. I byłem gotowy wypalić do kogokolwiek, kto wszedłby mi w drogę.

– Ale nic takiego się nie stało.

– A Vincent? Nasz mały braciszek? On kropnąłby jakąś babcię tylko dlatego, że prosiła go o pomoc.

– Ale tego nie zrobił.

– Mam dość. Nawet Vincent ma dość. Stoimy na skraju przepaści, a wtedy wystarczy jeden krok i... łąduje się na samym dnie. Gdyby tamci gliniarze porządnie sprawdzili samochód i zajrzeli za bele... Czy to do ciebie dociera?

– Felix, popatrz na mnie i powtórz za mną; oni tego nie zrobili.

– Nasz fart się skończył. Następnym razem już nie będziemy mieli tyle szczęścia, kula trafi albo ich, albo nas.

Leo trzymał cztery mokre banknoty w ręce. Felix zastąpił mu drogę.

– Posłuchaj. My... to znaczy Felix i ja... wyprowadzamy się do Göteborga.

Najmłodszy brat bardzo rzadko patrzył na niego z tak zdecydowanym wyrazem twarzy.

– Wynajęliśmy sobie mieszkanie.

Leo czekał. Na dalszy ciąg. Ale to Felix wyjaśnił mu dalej:

– Ty wróciłeś ciężarówką do Sztokholmu, Vincent męczył się z tym durniem w pociągu, a ja miałem polecieć z Landvetter. I poleciałem, ale później. Przebukowałem sobie bilet i obejrzałem kilka mieszkań. W „Göteborgs-Posten” było mnóstwo ogłoszeń. Wszystkie chaty drogie jak cholera. I jeszcze trzeba zapłacić trzy czynsze z góry. Nasze jest w samym centrum. W Vasastan czy w Vasastaden. Kuchnia i dwa pokoje. Każdy będzie miał swój.

Dookoła butów Leo powstała kałuża. W końcu rozwiesił cztery ostatnie banknoty z tej partii.

– Gównu mnie obchodzi, ile tam jest pokoi. – Odwrócił się do nich. – A co wy... kurwa... zamierzacie tam robić?

– Uczyć się. Ja pójdę na Uniwersytet Technologiczny Chalmers, a Vincent robi maturę.

– Chyba nie mówisz poważnie?

– Wyjeżdżamy w ten weekend.

– Serio? Wy obaj? Jaja sobie ze mnie robicie, no nie?

– Mówimy serio, Leo. A ty możesz teraz zrobić to, co planowałeś.

– To znaczy co?

– Odsprzedać broń. Przecież mówiłeś, że zamierzasz tak zrobić, jak skończymy. Pozbędziesz się tego gówna, dostaniesz kupę kasy i wyjdiesz na swoje.

– Mieliliśmy to zrobić razem! To miał być wielki finał!

– Za późno.

– Czyli... wystawiacie mnie do wiatru, tak? Zdradzacie? Myślałem, że możemy sobie ufać, przecież zawsze wszystko sobie mówiliśmy! Knujecie coś za moimi plecami, załatwiacie po cichu, a potem przychodzicie i oznajmiacie! Stawiacie mnie przed faktem dokonanym! Nie dajecie mi najmniejszej szansy!

– Gdybyśmy ci powiedzieli, że nigdy by się nie skończyło – odezwał się Vincent ze wzrokiem utkwionym w podłogę. – Na pewno byś się... wtrącił. I znowu nas namówił.

– Wtrącił?

– Tak.

– Wtrącił! Skoro tak, cholera... to proszę bardzo, róbcie sobie, co chcecie! Jedźcie! Czego jeszcze tu stoicie? Pospieszcie się! Macie mnóstwo pakowania, no nie?! A ja muszę jeszcze wyprać cały milion koron.

Kolejna garść banknotów. Pięćdziesiątki i dwudziestki. Nie słyszał, kiedy wyszli i zamknęli drzwi.

Anneli trzymała telefon w lewej ręce, a papierosa w prawej. Przyjemnie było tak stać na dworze z twarzą zwróconą do słońca i rozmawiać. A gdy oparła się o ścianę domu, nawet nie czuła wiatru. Tyle że za każdym razem po zakończeniu rozmowy pojawiała się ta dręcząca pustka wypełniona głuchym echem. Nie było gdzie iść.

Tak bardzo za nim tęskniła.

Kiedy mocno zaciągnęła się papierosem, odrobinę się uspokoiła. Wiedziała, że wszystko będzie dobrze, jeśli tylko cierpliwie poczeka. Tak samo jak wtedy, pierwszego dnia w szpitalu, kiedy przewód mający zaopatrywać jej nowo narodzonego syna w tlen przez nieuwagę pielęgniarki wypadł z zamocowania w ścianie i jakiś obcy człowiek popędził przez korytarz z jej dzieckiem na rękach, które nie mogło samodzielnie oddychać, bo miało wodę w płucach, a ona przez kilka pierwszych koszmarnych minut była pewna, że to koniec. Wtedy też paliła, na szpitalnym balkonie, przy gigantycznej popielniczce z setkami niedopałków, które sterczały z niej jak ucięte grzyby, wypełniała płuca smołą i nikotyną tak długo, aż odzyskała spokój.

Sebastian był dla niej całym światem. A ona go oddała. Teraz rozmawiali ze sobą trzy razy w tygodniu i widywali się co drugi weekend.

Spotkała na swojej drodze sporo młodszego od niej mężczyznę, dwudziestojednatka, który miał wszystko to, czego brakowało ojcu Sebastianowi, a za czym ona tęskniła: energię, szalone pomysły i wewnętrzną siłę.

Polożna przyszła potem do niej na balkon. Jej syn pierwszy raz krzyknął porządnie i zaczął oddychać; woda w płucach zniknęła. Wieczorem leżał już obok niej w plastikowym pojemniku z tlenem. Patrzyła na niego, a on patrzył na nią. Była o tym przekonana.

Jest kobietą, która zostawiła własne dziecko dla innego mężczyzny. Zakochała się. Bez pamięci. I dalej go kochała. Ale za rok ona i Sebastian znowu będą razem. Kiedy to się skończy. Wówczas weźmie go do siebie i będą prawdziwą rodziną. Musi tylko być cierpliwa.

– Dzień dobry.

Anneli zmrzyła oczy pod słońce. Po drugiej stronie ogrodzenia stała kobieta z sąsiedniego domu i patrzyła na nią przez oczka siatki. Nieco dalej na trawniku bawiło się dziecko. Minęła jesień i zima, a one jeszcze ani razu ze sobą nie rozmawiały. Anneli często obserwowała sąsiadkę z okna, patrzyła, jak grabiła liście albo rzucała dużą żółtą piłkę do małego.

Tak jak ona kiedyś do Sebastiana. I za jakiś czas znowu będzie to robić.

– Dzień dobry.

Anneli zgasiła czubkiem buta niedopałek i podeszła do siatki, podczas gdy kobieta wzięła dziecko na rękę. Stały tak blisko siebie, że Anneli mogłaby pogłaskać malucha po policzku.

– Jestem Stina.

– A ja Anneli.

– Minęło już trochę czasu, odkąd się wprowadziliście, często widuję was przed domem... Może wpadlibyście do nas na kolację? W końcu jesteście najbliższymi sąsiadami.

Czasami wystarczy tak niewiele, żeby poczuć się lepiej. I to był właśnie taki moment. Ani asfaltowy dziedziniec, ani siatka zakończona drutem kolczastym na górze nie mogły zmącić widoku. Kobieta obok prowadziła normalne, banalne życie. I chciała się nim z nią podzielić. Może mogłyby zostać przyjaciółkami i plotkować o różnych rzeczach. Przecież nikt jej tu nie zamknął siłą. Wprost przeciwnie. To był jej wybór. Zdecydowała się zamieszkać w tym brzydkim małym domu, byle tylko być blisko niego, gotowa poczekać na i c h zwykle, powszednie życie. Ale tymczasem otworzyły się nieoczekiwane perspektywy. *Czym zajmuje się twój mąż? Jest lekarzem. Aha, a mój napada na banki.*

Choć z drugiej strony nikt przecież nic nie wie, nikt nic nie widział. Leo jest budowlancem. A ona może być artystką. Albo nie mieć chwilowo pracy. Lub przebywać na długim zwolnieniu z powodu kręgosłupa. Kolacja. Potem może od czasu do czasu kawa. Albo popilnuje jej dziecka. Zwykłe życie.

Anneli pobiegła do domu, z rozmachem otworzyła drzwi, po czym wpadła do kuchni i rzuciła się Leo na szyję. Z filizanki wylało się na stół trochę kawy, ale nie zwracała na to uwagi.

– Jesteśmy zaproszeni na kolację!

Spojrzał na nią nieobecny wzrokiem.

– Do niej! Widzisz tę kobietę na trawniku? Zaprosiła nas. Na piątek wieczór.

– Na kolację?

– Tak.

– Anneli... Sąsiedzi z wózkami dziecięcymi i małymi pieskami to nie moja bajka. Jestem tutaj z innego powodu... Czy chociaż wiesz, jak się nazywają?

– Ona ma na imię Stina, synek to Lucas, a jej mąż nazywa się...

– Mam w nosie, jak się nazywają.

Zdawał sobie sprawę, że robi jej przykrość. Ale miał inne zamiary. Chciał doprowadzić sprawę do końca, a nie zaczynać coś nowego.

– Zaprosili nas. Ty przesiadujesz całymi dniami w tym swoim garażu, a ja przecież muszę widywać się z ludźmi!

– Anneli, spójrz na mnie! Ta Stina, czy jak ona się tam nazywa, na pewno zrozumie i się nie obrazi, jeśli podziękujemy. Kiedy już skończę to, co mam jeszcze do zrobienia, wtedy ewentualnie będziemy mogli się zastanowić, czy chce mi się jeść kolację z ludźmi, którzy są mi kompletnie obojętni.

Anneli, która do tej pory obejmowała go za szyję, odsunęła się.

Patrząc na jego plecy przy kuchennym stole, nagle przypomniała sobie, jak siedzieli obok siebie w samochodzie w drodze do Farsta. Prowadziła wtedy, a on był przebrany za Araba; zatrzymała samochód między dwiema latarniami, poprawiła mu włosy, które trochę się przekrzywiły i kłudy, kiedy ją pocałował. A teraz uzmysłowiła sobie, że właśnie wtedy przekroczyła granicę, a skoro to zrobiła, już zawsze będzie znajdować się po drugiej stronie.

– Mam iść do niej zaraz? I co powinnam jej powiedzieć według ciebie? Że nie możemy przyjść w najbliższy piątek, bo mój mąż ma do rozwiązania drobny problem, ponieważ jego bracia najwyraźniej nie chcą już napadać na banki? Twoi bracia... Ci twoi przekłęci bracia... Wszystko zawsze kręci się wokół nich!

Przekroczyła tamtą granicę, ponieważ sądziła, że lepiej jest współuczestniczyć i wiedzieć. Jej lęk jednak wcale przez to nie zmalał, przeciwnie – stał się silniejszy. Za każdym razem, kiedy wychodzili cało z kolejnej akcji, wiedziała, że zaraz będzie następna, jeszcze bardziej ryzykowna.

– Czy naprawdę tak trudno to zrozumieć? Nie mam żadnych przyjaciół i w ogóle z nikim się nie spotykam.

– To moja wina?

– Nie mogę nikogo do siebie zaprosić. Nawet... własnego syna.

On nie pojmował lęku. Nie obnosił się z nim jak wszyscy inni. Leo nigdy się nie bał. Albo po prostu go do siebie nie dopuszczał. Jak wtedy, gdy ona straciła z oczu Sebastiana na wielkim placu Sergela w samym centrum Sztokholmu. Jej mały chłopczyk stał obok niej, a nagle go nie było, zniknął. To niebywałe, jak szybko można stracić kontrolę nad czasem i przestrzenią. Trzęsła się cała, biegła tam i z powrotem, wykrzykiwała jego imię, wyobrażając sobie, że wyszedł na jezdnię między pędzącą samochody albo że zabrał go ktoś obcy.

– Ja wciąż coś dla ciebie robię, Leo! Każdego dnia! Rzeczy, na które może wcale nie mam ochoty. Ale robię to dla ciebie!

Leo zachował się w tamtej sytuacji zupełnie inaczej. Po chwili chwycił ją w tłumie, powiedział: „Ty pójdziesz w tę stronę, a ja poszukam tam, za pięć minut widzimy się tutaj i zaczynamy od nowa”. Przekuł swój lęk w działanie, zamiast tak jak ona tracić kontrolę nad czasem i przestrzenią. Robił tak za każdym razem. I może to dlatego nie bardzo rozumiał jej potrzeby zjedzenia kolacji z sąsiadami. Dla niego zwykle życie było tylko fasadą, za którą kryje się coś innego. Po prostu postanowił, że w jego życiu nie ma miejsca dla tak przyziemnych rzeczy, podobnie jak nie ma miejsca na lęk.

– Nigdy do niczego cię nie zmuszałem.

– Chcę, żebyś ty zrobił teraz coś dla mnie!

– Jeśli coś ci się nie podoba, Anneli, to po prostu mi powiedz. Jeżeli coś ci nie odpowiada, to tego nie rób. Tak jak ja teraz.

– Czy ty mnie w ogóle spytałeś, czy chcę mieszkać w tym domu? Nienawidzę go! Tego ohydneho kamiennego bunkra i tego cholernego baraku, w którym całymi dniami trenujecie te swoje napady na banki...

Anneli nie płakała często. Teraz jednak nie wytrzymała, jej wściekłość znalazła ujście we łzach.

– Wyszukałeś go sobie i postanowiłeś, że tu zamieszkaś. Bo odpowiadał tobie i twoim potrzebom, ale nie nam! Ta pieprzona grota pod pokojem gościnnym, w którym zajeżdża środkiem do smarowania broni, i ta koszmarna kuchnia, w której wy odbyliście więcej narad, niż my zjedliśmy kolacji! Jedyna pozytywna rzecz w tym wszystkim jest taka, że za plotem mieszkają normalni ludzie, którzy zaprosili nas na kolację, bo chcą nas poznać. Nas! Nie rozumiesz tego?

Stała przed nim, zanosząc się płaczem, on zaś wiedział, że powinien ją pocieszyć, lecz nie potrafił. Nie w tej chwili. Felix wyniósł się już do Göteborga, Vincent miał zaraz do niego dołączyć. Za chwilę przez bramę wjedzie Jasper. Może pocieszy ją później.

Pocałował ją więc w czoło i wyszedł. Sąsiadka nadal była w swoim ogródku. Gdy spojrzała na niego, skinął jej przelotnie głową, jak to mają w zwyczaju robić sąsiedzi.

Poszedł powoli do garażu. To w nim chciał się spotkać z Jasperem, żeby móc zamknąć drzwi.

I podsumować.

Czasami tak trzeba. Ktoś podsumowuje ciebie, a ty podsumowujesz kogoś.

Jeśli jeszcze raz zobaczę tego kretyna.

To były ostatnie słowa Feliksa przed rozstaniem. Jakby chciał przelać swoją furię na starszego brata. Vincent wszedł jeszcze do domu, żeby pożegnać się z Anneli, oni dwaj zaś zostali sami i wtedy Felix szepetem opowiedział mu to, o czym Vincent nie chciał mówić. O podróży pociągiem i o tym, co zrobił Jasper.

Jeśli jeszcze raz zobaczę tego kretyna, to nie puszczę go żywego.

Felix przekazał swoją wściekłość starszemu bratu i poszedł. Ale Leo już wkrótce się jej pozbędzie.

Sięgnął po skrzynkę z narzędziami. Wśród młotków i śrubokrętów leżał spory kawałek aluminiowej folii termicznej. Potrzebował czegoś do wytłumienia dźwięku. Po zrobieniu dziesięciu prototypów i wypróbowaniu każdego stwierdził, że folia Gullfiber najlepiej nadaje się do jego celów. Przeciął więc folię, na której spał w lesie pod Ullared, na długie pasy. Wystarczyło owinąć jednym z nich lufę automatu, żeby na dworze nie było słychać strzału oddanego w garażu.

Zrobił to teraz i położył broń na stole. Czekał. Zaraz rozlegnie się pukanie do drzwi.

I rzeczywiście. Ktoś zapukał. Najpierw nieśmiało, a po chwili mocniej.

Leo uniósł drzwi garażu.

Jasper wyglądał na zmęczonego. Zmarnowanego. Potem uśmiechnął się przeproszająco, jakby wiedział, co przeskrobał.

– Chciałeś... ze mną porozmawiać?

– Wejdz.

Z wciąż niepewnym uśmiechem na twarzy Jasper przeszedł dalej, podczas gdy Leo zaraz zamknął za nim drzwi.

– Leo, człowieku, faktycznie udało ci się pozbyć tej farby!

Jasper zatrzymał się pod sznurami rozciągniętymi pod sufitem i przeciągnął dłońmi po długich rzędach pięćsetek. Jego przeproszający uśmiech zniknął, a miejsce niepewności zajęło przymilanie się.

– Leo, kurde, jak to zrobiłeś? Wyprałeś te papiery do czysta! Jesteś geniuszem, serio!

– Wziąłeś sobie dziesięć tysięcy. Z tych niezafarbowanych.

– Tak, ale...

– Powiedz mi, jak to się robi? Jak można przepuścić w cztery dni dziesięć tysięcy?

Jasper jakby odetchnął z ulgą. Czyli znalazł się tutaj tylko z powodu tych kilku kawałków?

– Jak? Leo, no nie mów, że nie pamiętasz! Zapraszasz narzeczoną do knajpy, parę drinków przy barze to już kilkaset koron, a potem przystawka, danie główne, butelka wina i... tysiączek z głowy. Potem trzeba wpaść do jakiegoś klubu. Taksówka. I...

– Okej, wobec tego możesz sobie zaraz zabrać jeszcze więcej. – Leo podał Jasperowi pustą plastikową torbę. – No, bierz, do cholery! Są twoje, wszystkie.

Nad jego głową sznur z kołyszącymi się banknotami.

– Mam wziąć... wszystkie?

– To twój udział.

– Mój udział?

– Resztę podzielimy na cztery.

– Ale przecież... A następny raz? Na plany i przygotowanie też potrzebne są pieniądze...

Choć Leo tym razem mu nie przerwał, Jasper zamilkł nagle, kiedy zobaczył, co Leo trzyma w swoich rękach.

Automat AK 4. Ale to nie jego widok wytrącił go z równowagi, tylko to, co zobaczył na jego lufie – owinięty wokół niej pasek folii termicznej.

– Kurde... Dalej eksperymentowałeś?

– Tak.

– To folia aluminiowa?

– Działa. Jeśli strzelę tutaj, nikt nie usłyszy, nawet sąsiadka zza płotu.

– Jak to: strzelisz?

– Zwyczajnie.

– Tutaj?

Leo wskazał głową na płytę ze sklejki opartą o ścianę.

– Mogę ci zademonstrować. Jeden strzał. Żeby cię przekonać, że w ogóle nic nie słycać.

Odbezpieczył broń, wycelował i strzelił. A huk, który normalnie by ich ogłuszył, został wytłumiony przez domowej roboty tłumik.

– Kurde, Leo... to faktycznie działa! Ty to jednak masz łeb!

Leo opuścił automat lufą do dołu, lecz wciąż go nie odkładał.

– Wiem, że to ty wyciągnąłeś zawleczkę.

– Jaką zawleczkę?

– Mówię o bombie, Jasper!

Znowu przepraszający, niepewny uśmiešek.

– Nie, nie, Leo...

– Jestem pewny na sto procent.

– Pewny? Jak to... pewny? Przecież wiesz, mówiłem ci...

– To ja skonstruowałem ten ładunek. I jak sam przyznałeś, ja wpadłem na to, jak usunąć farbę z pieniędzy i jak w prosty sposób wytłumić strzał. Ja też wymyśliłem, jak wysadzić bunkier i gdzie ukryć broń i pieniądze. Uważasz, że zbudowałbym bombę, która w każdej chwili może eksplodować, i wysłałbym z nią w walizce na dworzec jednego z własnych ludzi?! Najpierw kłamałeś. A teraz mnie obrażasz.

Leo uniósł automat nieco wyżej, ale nadal z lufą skierowaną w dół.

– Posłuchaj, Leo... Myślałem, że... Kurde, Leo, chyba rozumiesz... – Jasper urwał, Leo jednak dał znak, aby mówić dalej. – Myślałem, że powstanie większy chaos, kiedy maksymalnie wykorzystamy to, co mamy do dyspozycji. Kapujesz? Przecież zawsze mówisz, że przemoc...

– Masz mi coś jeszcze do powiedzenia?

Jasper zerkał ukradkiem na automat, który gdy jest naładowany, waży 5,2 kilograma. Zdaje się, że ten był. W magazynku dwadzieścia nabożów. Wokół lufy okręcona taśma tłumiąca.

– To znaczy?

– Na przykład co się stało w pociągu z Göteborga?

– Nic specjalnego.

Prawa dłoń Leo znieacka wyładowała na policzku Jaspera i niczym cios łopatą przewróciła nieprzygotowane na atak ciało o wadze osiemdziesięciu pięciu kilo. To było uderzenie wywołujące raczej upokorzenie niż ból. Jasper zachwiał się, zatoczył i osunął po ścianie, zaskoczony tym, że bije go ktoś, komu ufał. Po chwili dźwignął się z trudem, nim zdołał jednak odzyskać równowagę na chwiejnych nogach, otwarta dłoń trafiła go w drugi policzek. Przewrócił się znowu, uderzając mocno tyłem głowy o posadzkę.

– No i co, Jasper, fajnie jest upokarzać innych?

Jasper leżał na ziemi. W jego oczach było wszystko. Rozczarowanie. Oszołomienie. Nienawiść. Smutek. Zwierzę, które chciało zagryźć, ale odsłoniło bezzębne szczęki.

Leo poczekał, aż Jasper po raz drugi stanie na nogi. I wtedy uniósł broń. Odwrócił ją w swoją stronę i podał Jasperowi, który wziął ją do ręki kompletnie zbaraniały, zwłaszcza gdy Leo chwycił lufę i przysunął jej koniec sobie do czoła, kipiąc wściekłością.

– Upokorzyłeś Vincenta! Mojego najmłodszego brata!

Jasper chciał puścić broń, lecz Leo przytrzymał jego prawą dłoń i przesunął palec wskazujący między kabląk a spust.

– Leo! Przestań!

Leo znowu uderzył go w policzek, na którym widoczne już były szerokie czerwone smugi.

– Jeśli grozisz mojemu bratu, to tak, jakbyś groził mnie!

Przycisnął koniec lufy do czoła i zrobił krok do przodu, zmuszając Jaspersa, by się cofnął.

– Jeśli upokarzasz Vincenta, to tak, jakbyś upokarzał mnie!

Jasper oparł się plecami o ścianę. Rozdzielały ich suszące się na sznurze banknoty.

– Jeśli chcesz go zabić, to najpierw musisz zabić mnie!

Oczy, w których jeszcze przed chwilą były widoczne nienawiść, zawód i zaskoczenie, wyrażały w tej chwili coś, co do tej pory było Jasperowi obce: strach.

– Przepraszam. Przepraszam, Leo.

Dosyć długo stali tak naprzeciw siebie.

W końcu Leo puścił broń.

– Zabieraj swoje pieniądze i zjeżdżaj stąd.

Wyjął automat ze sztywnych palców Jaspersa i go zabezpieczył.

– Leo... Leo... przepraszam! To się już nigdy nie powtórzy! Przysięgam! Już nigdy nie...

Ostatni policzek nie został wymierzony płaską dłonią. Jasper nie upadł od razu, tylko najpierw rąbnął w ścianę i osunął się po niej na posadzkę.

– Przysięgam... kurde...

Krew i ślina między wargami.

– Nigdy, przenigdy... Leo!

– Wszystko, co wiesz o mnie, a ja wiem o tobie, zostanie tu, w tych ścianach. A teraz wyjdiesz i już nigdy więcej się nie zobaczymy.

Poczekał, aż drzwi garażu się zamkną. Znowu był sam.

To mógłby być już koniec.

Ale nie był.

Jeszcze nie teraz. Nie dla niego. Było za wcześnie.

On przeciwko nim.

System bankowy postarał się o to, żeby zafarbować na czerwono jego dwa miliony koron, a on jako pierwszy doprowadził je do normalnego stanu i w ten sposób odzyskał. Obaj bracia oświadczyli, że nie będą już napadać na banki, i kazał im spadać. Przyłożył lufę do swojego czoła i kazał Jasperowi strzelić.

Niech się dzieje, co chce. Wszystko jedno.

On przeciwko nim, przeciwko każdemu cholernemu glinie; wyzwie na pojedynek całą policję i wszystkich ich pokona. Teraz to on będzie stawiał żądania i dyktował warunki, a oni będą go słuchać i odpowiadać tak, jak chce.

Pora na realizację ostatniej części planu. Teraz zapłacą mu więcej, niż przyniosły w sumie dotychczasowe skoki.

Kilka nierozpakowanych jeszcze po przeprowadzce kartonów stało na stosie w tylnej części garażu. Brązowa walizeczka leżała na samym wierzchu w jednym z nich. Leo otworzył ją i wyjął szarą i ciężką maszynę do pisania marki Facit.

Uderzył palcami w kilka klawiszy, żeby sprawdzić, czy działają i czy czcionki na długich metalowych ramionach uderzają w walek. Na półce z kopertami i formularzami faktur leżały czyste kartki papieru. Wziął jedną i wkręcił w maszynę. Następnie napisał: „**Leo Duvnjac Leo Duvnjac Leo Duvnjac**” na samym środku oraz „**Anna-Karin Anna-Karin Anna-Karin**” kilka linijek niżej.

Właśnie tak to sobie wyobrażał. Tyle że jeszcze nie teraz, nie na tym etapie – przecież miał być wielki finał.

Miał siedzieć przed maszyną do pisania, ale nie sam.

Pochylił się bardziej, przyjrzał dokładnie każdej literze. Uznał, że to, co napisał, wygląda dobrze. Taśma była świeża, „**a**”, „**-**” i „**v**” wydawały się trochę ciemniejsze od innych znaków, z kolei „**n**” oraz „**k**” nieco bledsze, ale wszystkie litery były czytelne.

Mniej więcej się orientował, jaką wartość ma każdy model broni na czarnym rynku, tyle że bez kontaktów z kryminalistami nie miał dostępu do tego świata. Dlatego upatrzył sobie innego kupca, nieświadomego, że Leo do niego nie należy. I dlatego gotowego zapłacić dowolną sumę, byle tylko nie dopuścić do sytuacji, w której każda większa organizacja przestępcza w Szwecji ma dostęp do nowej broni automatycznej.

Wiedział też, do kogo zaadresuje swoją propozycję – widział tego gościa wiele razy w telewizji i na zdjęciach w gazetach w związku z działaniem Gangu Wojskowego. Potem zakonserwuje, odpowiednio zapakuje i zakopie pierwsze próbki towaru – podstawą każdej transakcji jest zaufanie między kupującym a sprzedającym. Nawet w przypadku, gdy sprzedającym jest pojedyncza osoba prywatna, a kupującym aparat policyjny całego państwa.

Leo wyciągnął kartkę z maszyny, zgniół ją i wrzucił do kosza.

Po czym przyniósł drugą, niezapisaną i wkręcił ją idealnie równo w wałek.

Pierwszy list. Pierwsze instrukcje.

John Broncks w ważnych dla niego sprawach nigdy nie odpuszczał. Nie potrafił. Zarówno jeśli chodziło o relacje międzyludzkie, jak i o dochodzenia. Czasami była to zaleta – nigdy się nie poddawać i nie ustępować, nigdy nie uginać karku i wciąż utrzymywać serce i umysł na najwyższych obrotach. Ale to ciągle przeżywanie wszystkiego w sobie bez możliwości pozbycia się choćby części balastu bywało też dla niego piekłem.

Był już bliski tego stanu. Mijał tydzień za tygodniem, miesiąc za miesiącem, a on nadal nie wiedział niczego.

Oni nie istnieli.

Dokonali największego w historii rabunku broni, ukryli nie wiadomo gdzie dwieście dwadzieścia jeden automatów, a on nie miał zielonego pojęcia, jak to zrobili, gdzie się teraz podziewają i kim są. Jedyne, czym dysponował, to długie na czterdzieści jeden stron zgłoszenie z pięcioma identycznymi kolumnami na każdej:

Towar: broń
Model: AK 4
Nr: 11237

Towar: broń
Model: AK 4
Nr: 10042

Towar: broń
Model: AK 4
Nr: 11534

Towar: broń
Model: AK 4
Nr: 12621

Towar: broń
Model: AK 4
Nr: 10668

Potem od napadu rabunkowego na jeden bank przeszli do pierwszego w historii napadu równocześnie na dwa banki, a następnie do również pionierskiego napadu potrójnego. On tymczasem w dalszym ciągu szukał po omacku. Jedyne, czym dysponował, to w sumie 3109 stron protokołów wstępnych i niemal równie wielki stos ekspertyz kryminalistycznych.

Jednostka: policja kryminalna
Przestępstwo: napad rabunkowy, Ullared
Świadek: Ingemar Lund
Miejsce przestępstwa: Sparbanken

Jednostka: policja kryminalna
Przestępstwo: napad rabunkowy, Ullared
Świadek: Ulf Heino
Miejsce przestępstwa: SE-banken

Jednostka: policja kryminalna
Przestępstwo: napad rabunkowy, Ullared
Świadek: Lena Arnesen
Miejsce przestępstwa: Handelsbanken

Już kilkakrotnie wybierał się do Karlströma, aby mu oznajmić, że się poddaje. I za każdym razem zwracał na korytarzu. Przecież oni gdzieś są. I nie zrezygnują ze swoich planów, dopóki będą przekonani o własnej nietykalności.

Dzisiaj jednak podjął ostateczną decyzję.

Chciał poprosić szefa, aby prowadząc dalej tę sprawę, mógł się zająć także innymi, bo może dzięki temu zyska nową energię.

– Cześć.

To Sanna. Tym razem nie zatrzymała się w progu i nie oparła o futrynę, nie patrzyła też na niego obojętnie, ale i nie wspomniała ani słowem o tym, o czym on myślał nieustannie – o ich spacerze i pocałunku, który mógł być nowym początkiem.

– Masz chwilę?

Skinął głową, na co usiadła naprzeciwko na jednym z wciąż nierozpakowanych kartonów, żeby omówić z nim cotygodniowy raport działu kryminalistycznego. Trzymała w ręce dwie foliowe koszulki i jedną brązową kopertę. Po chwili położyła mu to wszystko na biurku.

– List leżał w twojej skrytce. A to jest czternaście tysięcy czterysta koron.

Sanna odsunęła na bok kopertę i skupiła się na pierwszej koszulce, która zawierała banknoty. Pięcuset- i stukoronowe. Lekko zaróżowione.

– Dostaliśmy je ze stacji benzynowych. Nie do użycia w sklepach, ale automaty nie rozpoznają różnicy.

Broncks już nieraz widział banknoty zafarbowane ampułkami barwiącymi, w jakie wyposażony jest każdy bank. Wszystkie były zawsze intensywnie czerwone, te przed nim zaś wyglądały zupełnie inaczej.

– Jestem pewna, że pochodzą ze Sparbanken w Ullared – mówiła dalej Sanna. – Zrobiliśmy analizę barwnika i stwierdziliśmy zgodność z zawartością ampułek będących nadal w posiadaniu oddziału banku. Dodatkowo dla porównania zafarbowaliśmy nimi kilka wycofanych z obiegu banknotów, które dostaliśmy od banku centralnego. Czerwona farba, John, pochodzi od tego samego wytwórcy i dostawcy.

Przed Sanną leżały trzy albo cztery dokumenty. W każdym starannie i przejrzyście zaprezentowane ekspertyzy i wyniki analiz.

– Ale szczególnie interesujące jest to, że na wszystkich banknotach są ślady acetonu. To znaczy, że zostały wyprane w silnych środkach chemicznych! Pojmujesz? Jeszcze nigdy o czymś takim nie słyszałam. Zwykły aceton! Nie do wiary! Sama wypróbowałam. Pomieszany w odpowiedniej proporcji z wodą usuwa czerwony barwnik całkowicie, bez śladu!

Broncks sięgnął po drugą koszulkę i wyjął z niej kilka banknotów. Przyjrzał się im uważnie, obmacał palcami – były prawdziwe i wyglądały normalnie.

– Kilka dni temu zafarbowaliśmy je identyczną ampułką, a potem usunęłam barwnik. Jak widzisz, są w porządku. Jeśli złodziejom też udało się otrzymać mieszanekę acetonu i wody w odpowiednich proporcjach... to znaczy, że zachowali łup prawie w całości oraz że banki muszą wymyślić jakieś nowe zabezpieczenie. Po raz kolejny.

Po złożeniu sprawozdania zamierzała jak zwykle jak najszybciej wyjść, jakby nic się między nimi nie wydarzyło.

– Sanna.

Zatrzymała się w drzwiach.

– Tak?

– Nie wybrałabyś się... na spacer? Może na piwo?

– Nie.

– Nie? Ale... ostatnim razem...

– Ostatnim razem?

– Wiesz, co mam na myśli.

– To był tylko zwykły pocałunek.

– To było zupełnie coś innego niż tylko zwykły pocałunek.

– Czasami, John, pocałunek jest tylko pocałunkiem.

Cofnęła się kilka kroków w głąb pokoju. Miała zaczerwienione policzki – jak zawsze, gdy zbierała siły z najgłębszych zakamarków swojego wnętrza.

– John.

Taką miała twarz, kiedy wyznała mu, że go kocha.

I taką miała twarz, kiedy ją poprosił, żeby się wyprowadziła.

– Tak?

– Jasne, że myślałam o tobie przez te wszystkie lata. Ale teraz, kiedy spotkaliśmy się znowu i pracujemy razem... Jak by ci to wytłumaczyć...? Tamto to jedynie wspomnienia. Mam wrażenie, jakbym cię nigdy przedtem nie znała, jakby nigdy nic nie było między nami. Ja już nic nie pamiętam! My naprawdę ze sobą mieszkaliśmy? Obejmowaliśmy się, jedli razem śniadanie, skrecali wspólnie meble? Śmialiśmy się i płakali? John, jesteś teraz jak fotografia. Rozumiesz, co mam na myśli? Czasami kiedy patrzę na własne zdjęcie sprzed lat, wydaje mi się, że to ktoś inny, nie ja. Nie znam tej osoby, nie

wiem, co ona myśli. I za każdym razem, kiedy cię teraz widzę, John, czuję to coraz bardziej. Jesteś kimś, kto nie istnieje. Dobrze było spotkać cię znowu. Ale już nigdy nie będę o tobie myśleć.

Jej policzki coraz bardziej pałały.

– Może i ty zacząłbyś myśleć tak samo... Czy to się naprawdę zdarzyło? Czy ja naprawdę leżałam z nią w łóżku? Czy otwieraliśmy te same drzwi? Nie da się wyciąć tego, co było, wkleić tak po prostu w terazniejszość... i kontynuować. Czas wszystko zmienia. Z wyjątkiem cholerniej pamięci.

Zauważył, że lekko drżą jej ręce.

– Spacer? Pocałunek? To nie było zaplanowane. Zwyczajnie się zdarzyło. Na zakończenie. Uświadom sobie, że nigdy tak naprawdę nie zakończyliśmy naszego związku. Dwa lata. Co to jest? Gdybyś odważył się być ze mną do momentu, aż wszystko się między nami wypali... wtedy by ci mnie nie brakowało. I umiałbyś się wyzwolić.

Patrzyli na siebie. John czuł, że dłużej tego nie wytrzyma. Sanna podeszła do dwóch nierozpakowanych kartonów. Sprawiała wrażenie, jakby chciała w nie uderzyć, lecz nie zrobiła tego.

– Powinniśmy odłożyć nasz związek *ad acta*, tak samo jak ty powinieneś wreszcie coś zrobić z tymi cholernymi kartonami. Proszę cię, John, oddzielmy grubą kreską całą tę historię. Nie jestem sama, żyję z kimś, do kogo właśnie za chwilę wrócę, do wspólnego domu. Ten ktoś istnieje teraz, tutaj.

John jeszcze długo siedział przy swoim biurku. Jasnoróżowe banknoty leżały obok czystych. Czerdziesięjdostronicowe zgłoszenia kradzieży broni po jednej stronie blatu, po drugiej – liczący trzy tysiące sto dziewięć stron protokołów wstępny. A nieco dalej brązowa koperta, którą przyniosła Sanna.

John Broncks oparł się wygodnie w fotelu, odepchnął nogami od biurka i podjechał aż pod samą ścianę z tyłu.

Miał głęboko w nosie wyprane banknoty, wstępne protokoły i jakieś koperty wyjęte z jego skrytki. Było mu też wszystko jedno, czy ona jest z kimś, kto istnieje tu i teraz. Chyba po raz pierwszy od momentu, kiedy przestąpił próg komendy, chciał wyjść z niej przed nastaniem wieczoru i nocy – zanim sam udzieli sobie na to pozwolenia. Wyłączył lampkę na biurku. Światło odbijające się w foliowych koszulkach zgasło, banknoty stały się mniej różowe, ale napis na brązowej kopercie ciemniejszy i przez to wyraźniejszy. Już miał odejść od biurka, gdy coś go powstrzymało. „Do rąk własnych” – przeczytał. Poniżej widniało jego nazwisko: „Inspektor John Broncks”.

W tym budynku nie otrzymywało się takich listów.

Rozerwał kopertę jednym palcem i szybko wyjął kartkę.

Zaczął czytać.

Szanowny Panie Broncks,

po nawiązaniu kontaktu z dwudziestoma uznanymi przez Państwa za najniebezpieczniejsze grupami przestępczymi w kraju i uzyskawszy od nich potwierdzenie zainteresowania naszym asortymentem towarów, postanowiliśmy umożliwić również Państwa organizacji skorzystanie z naszej oferty handlowej.

Niniejszym mamy przyjemność zaproponować Państwu zakup następującego wyposażenia:

Karabin maszynowy AK 4 – 124 sztuki

Pistolet maszynowy m/45 – 92 sztuki

Karabin maszynowy KSP m/58 – 5 sztuk.

Broncks otworzył górną szufladę biurka i wyjął z niej parę plastikowych rękawiczek. Powinien był włożyć je od razu, ale trudno. Wciągnąwszy je na dłonie, czytał dalej ten zaskakujący list.

W celu podniesienia wartości naszej oferty pragniemy przytoczyć poniżej kilka znanych jedynie nam i Państwu detali dotyczących przedmiotu naszej imponującej kampanii reklamowej.

Svedmyra, 12.12: 7 strzałów w narożną kamerę oddanych z karabinu maszynowego KSP m/58. Drzwi wolno stojącej szafy pancerniej zablokowały się; opróżniono tylko najwyższą skrytkę.

Ösmo 02.01: Użycie do ucieczki dwóch identycznych pojazdów w celu utrudnienia pościgu. Jedna z kas nie mogła zostać opróżniona z powodu zamka czasowego.

Ponad pół roku. Dzień w dzień przez okrągłą dobę. Szukał ich, ścigał, żył razem z nimi. I nie natrafił na żaden ślad, na żaden znak życia. A teraz coś takiego. Bezpośredni kontakt z prowadzącym dochodzenie.

Pozostawiliśmy specjalnie dla Państwa próbkę oferowanych przez nas produktów w miejscu, do którego trafią Państwo bez trudu, stosując się do poniższych wskazówek:

Proszę jechać Gamla Södertäljevägen. Zatrzymać się przy szlabanie, iść 7 m w prawo, a potem ścieżką 35 m pod górę. Na szczycie leży 5 kamieni pod młodą sosną. Tam znajdziecie przeznaczoną dla Was próbkę.

Pozdrawiam
Anna-Karin

Broncks zapisał szybko trasę w swoim notesie, po czym zarówno list, jak i kopertę włożył ostrożnie do foliowej torebki.

Detale dotyczące napadów w Svedmyra i Ösmo.

Dosłownie kilka minut temu niemal postanowił, że się poddaje. Jednak nie, teraz nie może zrezygnować. Nie pójdzie do Karlströma i nie poprosi go o włączenie do innych śledztw. Nie będzie prowadził równoległe żadnych innych spraw.

Nawiązali z nim kontakt i znowu musi poświęcić im cały swój czas.

Bo oni ciągle gdzieś są.

A on nie spocznie, dopóki ich nie dopadnie.

John Broncks pamiętał przede wszystkim jego oczy. Tamtego dnia, kiedy odkryto, że magazyn wojskowy jest pusty, były pełne łęku.

Dziś były zupełnie inne, emanowała z nich wewnętrzna siła.

Czas jest najlepszym lekarstwem. Wszystko mija.

– Dobrze, że mógł pan przyjechać tak szybko.

– Jak człowieka zwolnią z pracy, to nie ma za wiele do roboty.

Joachim Nielsen, dawny strażnik wojskowego magazynu, stał przy szlabanie i palił papierosa.

– Ale nie to jest najgorsze. – Zaciągnął się lekko i rozejrzał wkoło. – Najgorsze jest to... że oni musieli mnie całymi tygodniami obserwować. Nie tylko tamtego wieczoru, kiedy to zrobili. Wiedzieli, kiedy kończyć palić. Na której części tablicy gaszą niedopałek. Ile czasu zajmuje mi wejście sto pięćdziesiąt metrów wysoko pod górę. Wiedzieli wszystko.

– Niech mnie pan tam zaprowadzi.

– Po co?

– Pokopiemy trochę.

– Co?

– No tak.

Strażnik wzruszył ramionami i zaczął iść pierwsze siedem metrów przez las. Po chwili zatrzymał się i przeczytał kolejną wskazówkę.

– Trzydzieści pięć metrów. Chyba wiem, dokąd dojdziemy. Do takiego niedużego wzniesienia.

Wąska ścieżka prowadziła ich głębiej w ciemny las.

– Wiedzieli, którędy i kiedy chodzić. Znali każdy mój krok. I dlatego wszystko tak zorganizowali, że następnego dnia po włamaniu niczego nie zauważyłem.

Łęk minął, ale dręczące go myśli pozostały. I chociaż Nielsen nie padł ofiarą bezpośredniej przemocy, to doświadczenie zatruje mu resztę życia.

Ominęli przewrócone na ziemię drzewo i wsłuchali się w pohukiwanie sowy.

– To tutaj – powiedział Nielsen.

Niezbyt wysoko. Pięć kamieni obok młodej sosny. Broncks rozłożył swoją saperkę i usunął z wierzchu warstwę mchu. Teraz przyszła pora na niego. Zaczął kopać i jednocześnie mówić jakby do siebie, nie oczekując odpowiedzi.

– Kłódka przy szlabanie.

Ziemia była pulchna. Ktoś niedawno kopał w tym miejscu.

– Tunel pod wejściem i betonowa podłoga wysadzona od dołu.

Wbił porządnie szpadel i natknął się chyba na coś metalowego.

– Usunęli wszelkie ślady. Wywieźli tonę broni i nikt nic nie widział i nie słyszał.

Broncks wyjął z kieszeni parę nowych gumowych rękawiczek, po czym przykłęknął. Wetknął głęboko rękę w pulchnioną ziemię. Po chwili chwycił czarny foliowy worek, który mógł ważyć około dwudziestu kilogramów.

– Wszystko robili bezbłędnie. Do tej pory.

Nóż miał w drugiej kieszeni. Przeciął nim kilka warstw folii, rozerwał worek i odsłonił jego zawartość.

– Odezwali się. Do mnie. Do inspektora prowadzącego śledztwo.

Wyjął leżący na samym wierzchu pistolet maszynowy. Porządnie zabezpieczony specjalnym smarem.

– Chcą negocjować. Czyli coś musiało się stać.

Podał broń strażnikowi i sięgnął po następną.

– Najwyraźniej postanowili nie napadać już na banki.

Spodziewał się, że będzie ich więcej. Że gliniarz o nazwisku Broncks weźmie jeszcze kilku innych, chociażby jakichś techników.

Leo poprawił ostrość lornetki i przesunął się trochę na bok, żeby lepiej widzieć, bo kilka grubych sosen zasłaniało mu widoczność, kiedy zaczęli kopać. Leżał sobie wygodnie w miękkim mchu w najwyższym punkcie lasu, osłonięty zaroślami i dwiema ogromnymi skałami. Starannie wybrał oba miejsca – zarówno to, w którym zakopał pięć automatów, jak i to, które zapewniało mu odpowiednią perspektywę, a znikąd nie było go widać.

Smoking Man. Prawdopodobnie jedyna osoba znająca ten teren równie dobrze, jak on. Wyglądał jednak na zmęczonego i zużytego, jak jego własny samochód. Człowiek, który przeszedł przez coś, co odmieniło.

Broncks wydawał się starszy o dziesięć, może piętnaście lat od niego samego. Czyli mógł mieć trzydzieści pięć lat albo czterdziestkę. Miał sprężysty krok, jakby kiedyś był sportowcem. Ubrany podobnie do niego – w dżinsy, skórzaną kurtkę, na nogach półbuty. Głina po cywilnemu, ale w stroju nienadającym się na spacer po lesie i do kopania dołów.

Wiedział, że trochę ryzykuje, przychodząc tutaj. Leżał zaledwie czterysta metrów dalej i obserwował policjanta, którego znał z telewizji i który prawdopodobnie jak nikt inny orientował się w szczegółach dziesięciu napadów. Mimo to Leo czuł się spokojny. Obserwował, sam nie będąc widziany. Planował, nikogo nie wtajemniczając w swoje zamiary. A ten glina, który wykopywał broń i zaraz znajdzie kolejne instrukcje, był tylko narzędziem posuwającym negocjacje do przodu.

Trzy AK 4 i dwa pistolety maszynowe. Zabezpieczone specjalną oliwą i starannie owinięte w folię.

John Broncks nadal nie miał pewności, czy ma traktować to wszystko poważnie, czy ktoś po prostu robił sobie z niego żarty.

– Tu coś jest.

Strażnik wziął do ręki ostatnią sztukę broni i odwrócił się do Broncksa. Na kabluku był zawiązany cienki sznurek z kopertą na końcu. Taką samą jak poprzednia, tyle że ta była w kwiatki i serduszka, a adres zakreślono naokoło czerwonym długopisem.

Broncks otworzył i zaczął czytać:

Szanowny Panie Broncks,
Cieszymy się, że otrzymał Pan nasze próbki.

Biorąc pod uwagę konsekwencje, jakie miałyby dla Państwa sprzedaż naszych towarów innym potencjalnym nabywcom, ustaliliśmy cenę całego posiadanego przez nas asortymentu na 25 milionów koron.

Jeśli zdecydują się Państwo skorzystać z naszej oferty, prosimy zamieścić 4 maja w „Dagens Nyheter” w rubryce *Ogłoszenia prywatne* następujący tekst jako potwierdzenie:

„Tęsknię za tobą, Anno-Karin”.

– Anna-Karin – bąknął Broncks pod nosem.

– Słucham?

– Ci goście mają poczucie humoru.

– Poczucie humoru?

– Wczoraj rozstałem się na dobre z moją dawną przyjaciółką. Zdaje się, że właśnie zyskałem nową.

Strażnik nie miał pojęcia, o czym mówi inspektor. Ale nie dopytywał. Obracał automaty na wszystkie strony, przyglądał się im, wnikliwie badał.

– Modele się zgadzają.

Skupił się głównie na numerach seryjnych.

– Ten tutaj... 11413.

Czyli to nie był żart.

– Wszystkie pięć, inspektorze, są z tego magazynu.

John Broncks rozejrzył się dookoła. Miał dziwne wrażenie, że jest obserwowany.

– Wszystko się zgadza – potwierdził jeszcze raz Nielsen.

„Dagens Nyheter”. Ogłoszenia prywatne.

Już zdecydował.

Anna-Karin nie dostanie żadnej odpowiedzi.

– Słucham?

Jeśli to naprawdę nie jest jakiś głupi żart, na pewno odezwą się znowu. A im częściej będą się z nim kontaktować, tym lepiej ich pozna.

– Do tej pory ten gość robił wszystko dobrze. Teraz zaczął się komunikować. Używa imienia. A kto używa imienia, nie ma już ronda, które prowadzi do kolejnego ronda. On sam stopniowo blokuje sobie drogi ucieczki.

– Przepraszam, panie inspektorze, ale nie bardzo rozumiem, o czym pan mówi.

Ruszyli z powrotem ścieżką do szlabanu.

– To dobrze – powiedział Broncks, gdy dotarli do samochodu.

– Co dobrze?

– Że pan nie rozumie. Chciałbym też, żeby ta nasza wycieczka została naszą tajemnicą.

Strażnik podał mu broń, którą niósł.

– Co pan z tym zrobi?

– Włożę tutaj. I to też niech pozostanie między nami.

Broncks otworzył bagażnik swojego samochodu.

Nielsen kiwnął głową z uśmiechem.

– Jak wspomniałem, zostałem zwolniony. Nie mam komu składać raportów.

Długi blat roboczy w laboratorium techników był pokryty w całości zdjęciami różnych modeli maszyn do pisania. Sanna stała za nim i objaśniała wszystko po kolei.

– Dokładnie zbadalam i list, i kopertę. Na sto procent pisane były na jednej maszynie. Odległość między znakami: dwa przecinek dwadzieścia pięć milimetrów, taśma nasyciona czarnym tuszem, czcionka mogłaby wskazywać na maszynę Elite.

Broncks siedział na jednym z wysokich stołków, które przypominały siedzenia z jego pracowni chemicznej w szkole, i przyglądał się Sannie, a właściwie jej rękóm. Zdaje się, że na jednej miała tatuaż.

– Tyle że – ciągnęła dalej Sanna – czasami podobne czcionki miały też maszyny innych producentów. Spójrz, John, na przykład ta T2 marki Facit, z lat sześćdziesiątych. Jeśli przyjmiemy, że list został napisany w Szwecji, to prawdopodobnie na maszynie Facit.

To było wytatuowane imię. Broncks nie miał wątpliwości. Próbował je odcyfrować.

– Wygląda na to, że maszyna jest już dosyć zużyta. Sporo czcionek jest startych. Uderzenia w klawisze musiały być dosyć równomierne, ale w niektórych miejscach uderzano dwa razy.

Podniosła zdjęcie szarej, dosyć masywnej maszyny. Broncks najchętniej pisał na komputerze albo długopisem, ale dobrze znał odgłos czcionek uderzających w walek i delikatny dźwięczny sygnał, gdy należało przejść do następnego wiersza.

– Sprawdziłam też znaczek i papier koperty. Nie znalazłam najmniejszego śladu śliny, klej na odwrocie znaczka został zwilżony zwykłą wodą.

Broncks nie spodziewał się niczego innego.

– To na razie wszystko, John.

Sanna zaczęła zbierać swoje zdjęcia.

– Prawie wszystko.

Podał jej kopertę pokrytą czerwonymi serduszkami i drobnymi kwiatkami.

– Dostałem jeszcze jeden list. Od mojej nowej... przyjaciółki. Chciałbym, żebyś mu się przyjrzała.

Sanna przez ułamek sekundy sprawiała wrażenie lekko zmieszanej.

– Anna-Karin. Widzę, że imię się nie zmieniło.

Chyba nie miała pewności, czy sobie z niej nie żartuje.

– Wobec tego radzę ci, żebyś nie traktował jej tak samo jak mnie.

Po chwili jednak zrozumiała, o co chodzi, i uśmiechnęła się.

– Anna-Karin. Sprytne.

– Co w tym sprytnego?

– W niektórych szwedzkich jednostkach na AK czwórki mówi się Anna-Karin. Chyba słyszałeś?

Nie wiedział o tym. I Sanna to zauważyła.

– A dlaczego nie byłam tam z tobą? Dlaczego nie zbadalam miejsca? Czemu nie wspomniałeś mi, że tam jedziesz?

– Nie chcę na razie nic oficjalnie mówić, żadnych papierów, nic z tych rzeczy.

– A Karlström?

– Nie ma o niczym pojęcia.

– John, do cholery, ty...

– Oni chcą dwadzieścia pięć milionów koron. Są zdesperowani. Gdyby to w jakikolwiek sposób wyciekło, bardzo utrudniłoby moją pozycję przetargową, a im by pomogło.

– John, przecież...

– Okej, powiem mu. Za jakiś czas.

Gdy już prawie był na korytarzu, odwrócił się i dodał:

– Swoją drogą, ryzyko jest dosyć spore.

– Słucham?

– Że potraktuję Annę-Karin tak samo jak ciebie.

Jak okiem sięgnąć, nigdzie żywego ducha. Leo stał na niewielkiej polanie w przepięknym lesie między dwoma niedużymi miastami Sala i Avesta, sto czterdzieści kilometrów na północny zachód od Sztokholmu. Symbole oglądane wcześniej na mapie stały się trójwymiarową rzeczywistością. Pół godziny temu minął jakieś rozpadające się domki letniskowe, a potem niedużym pontonem przeprawił się przez jezioro. W tym miejscu policja miała mu zostawić dwadzieścia pięć milionów koron.

Leo wcisnął gwoździe w korę. Okazało się to o wiele łatwiejsze, niż myślał. Siedziały w drewnie jak wessane. Zrobił krok do tyłu po miękkim mchu i spojrzął na stalowy pojemnik ze śrubami i plastycznym materiałem wybuchowym, owinięty w taśmę malarską, z krótkim lontem wystającym na samym dole.

Własnoręcznie zrobiona mina ładowa. Pół kilograma żelastwa i materiału wybuchowego. Wykonał takich piętnaście i trzymał je wszystkie w Grocie Fantoma.

Rozejrzał się dookoła. Las nie był ani za gęsty, ani za rzadki. Helikopter powinien zauważyć jego rakiętę sygnalizacyjną. Opadająca powoli jasna kula naprowadzi pilota na rozstawione przez Leo na ziemi cztery źródła światła, między które zostanie zrzuciona torba z gotówką.

Policja nie dostała jeszcze ostatniego listu ze wskazówkami, dlatego nie mogła przygotować żadnej kontrakcji. A on właśnie po to tu teraz przyjechał, aby opracować odpowiednie instrukcje. Postanowił, że zdradzi miejsce ukrycia broni dopiero wtedy, gdy dwadzieścia pięć milionów znajdzie się w jego rękach.

Helikopter będzie krążył raz za razem według podanych przez niego współrzędnych, zataczając koło o obwodzie dwustu kilometrów. Zaznaczył sobie tę trasę na mapie oraz dwa jej najważniejsze punkty – start w Sztokholmie i cel w Avesta. Pomiędzy nimi okręgi oznaczające pięć nieregularnych lądowisk, na których śmigłowiec będzie mógł zatankować. On sam zdecyduje zarówno o godzinie startu, jak i o prędkości lotu, dlatego będzie wiedział, o której godzinie helikopter dotrze na miejsce.

Leo dotknął przytwierdzonej do drzewa miny. Siedziała mocno w pniu. Policja na pewno gubiła się w domysłach, kiedy i gdzie będzie wyznaczony zrzut. Nie ulegało wątpliwości, że postawią na nogi wszystkich gliniarzy w środkowej Szwecji, którzy zajmą pozycje wzdłuż trasy lotu helikoptera. A gdy on wystrzelił w nocne niebo czerwoną rakiętę, wszyscy ruszą w jego kierunku.

Słońce przeświecało między czubkami drzew, a w jego promieniach błyszczała przejrzysta żyłka wędkarska, którą Leo ostrożnie okręcił wokół zapalnika. Następnie zaczął powoli się cofać, rozkręcając jednocześnie żyłkę. Po dziesięciu metrach zatrzymał się i ją napiął. Był całkiem sam. Ale wyposażony w broń, która mogła zabić dziesięć, dwadzieścia, a może nawet trzydzieści osób.

Przez trzy noce spał pod gwiazdami, przez trzy dni z nikim nie rozmawiał ani się nie śmiał. Żaden z braci nie dzielił z nim tego nerwowego oczekiwania.

Leo pociągnął lekko żyłkę. Zapalnik stawiał opór.

Jutro ukaże się gazeta. Z odpowiedzią. Wróg otrzymał nazwisko i twarz, wyglądał przeciętnie i nazywał się John Broncks. Jutro w kilku słowach wyrazi swoją tęsknotę za Anną-Karin.

On był przekonany, że policja pójdzie na ten układ. Nie tylko dlatego, że nie chciała, aby kryminaliści dorwali się do broni. Istniał jeszcze inny wabik – on sam.

Gliny zrobią wszystko, aby w końcu go capnąć. Toteż przygotowywał się na każdą ewentualność.

Był gotów do stawienia czoła atakowi. Piętnaście min lądowych, wszystkie odpowiednio daleko od niego, ale przy właściwym rozlokowaniu mógł za ich pomocą zabić kilkaset osób.

Policja sprowadzi tu swoich najlepszych ludzi. Elitę, jednostkę antyterrorystyczną.

Dwudziestu perfekcyjnie wyszkolonych Jasperów.

Sobowtóry Jaspera.

A on ich wszystkich unieszkodliwi siecią z żyłki wędkarskiej.

Założył ochraniacze na uszy, po czym pociągnął lekko za linkę przywiązaną do testowej miny na osnie dziesięć metrów dalej. Rozległ się potworny huk i z ziemi wysoko w górę wzbilo się wszystko, co żyło. Nawet brzoza stojąca na skraju polany przewróciła się z jękiem skargi. Eksplozja była bardziej druzgocąca, niż przypuszczał.

Teraz wszystko zależy od Ciebie, Broncks. Czy zapanuje spokój czy chaos.

Leo rozejrzył się ostatni raz po ogromnym lesie, który już odżył po głośniejszej detonacji. Znowu słychać było świergot ptaków i szum wiatru. Dziś nie mógł zrobić tu już nic więcej. Pora jechać do domu i zamienić ubranie moro na dżinsy, kurtkę i koszulę z jasnymi plamami po kawie. Czyli na typowy strój taksówkarza na nocnej zmianie.

Przeciął polanę i ruszył w kierunku tych, którzy nigdy nie śpią i w których towarzystwie poczeka na ukazanie się małego anonisu w gazecie.

O godzinie czwartej nad ranem prawie cały Sztokholm nadal śpi. Ostatni goście nocnych lokali zmierzają do domów, a dojeżdżający do pracy są jeszcze w łóżkach. Ale w otwartym przez całą dobę barze przy Gullmarsplan, w którym przesiadują głównie taksówkarze, panuje ożywiony ruch. Głośne rozmowy, parująca kawa w kartonowych kubkach, brudne od drukarskiego tuszu palce kartkują pachnące jeszcze farbą gazety.

Leo siedział przy jednym ze stolików w rogu i na całym blacie rozpostarł poranne wydanie „Dagens Nyheter”. Nie interesowała go ani polityka, ani kultura czy sport, a jedynie drobne ogłoszenia. Przebiegł szybko wzrokiem oferty sprzedaży samochodów, mieszkań, wózków dziecięcych i pochylił się jeszcze niżej nad gazetą, aby odnaleźć *Ogłoszenia prywatne*. „Inger z dziećmi Fanny i Mią. Odezwijcie się jak najszybciej. Anita”. I jeszcze jedno: „Będę czekać na ciebie przy promie. B”. Jakaś kobieta o imieniu Anita i ktoś, kto będzie czekać przy promie.

I to wszystko. Nic więcej!

Składając gazetę, rozdarł ją niechcący.

Był sam. Bez braci. Bez swojej bandy. Nie mógł zrobić kolejnego skoku. Został w domu, którego nienawidził Anneli, z ponad dwiema setkami sztuk broni pod podłogą.

A ten skurczybyk po prostu nie odpowiedział!

Wymijając ubranych na granatowo kierowców z Taxi Stockholm i Taxi Kurir, wybiegł z baru w chłodny brzask. Niedaleko stała budka telefoniczna, z której Jasper dzwonił, żeby powiedzieć o bombie podłożonej na dworcu, a z której on nie zamierzał korzystać nigdy więcej. Wszedł do środka i wybrał numer komórki. Sześć sygnałów. Potem został przekierowany na pocztę głosową. Rozłączył się i zadzwonił znowu. I jeszcze raz.

– Halo...

– Próbką towaru.

– Słucham?

– Podobała się panu?

– Kim... pan jest?

Flegmatyczny głos wyrwanego ze snu człowieka.

– Halo, kim...

– Kobietą twojego życia.

John Broncks usiadł na łóżku, opuścił nogi na zimną podłogę i podszedł do okna. Chciał się upewnić, czy nikt go nie obserwuje.

– Kim?

– Twoją małą Anną-Karin.

Męski głos. Niestary, ale trudny do określenia pod względem wieku. Ani wysoki, ani niski, pośredni.

– I czego pan sobie życzy... Anno-Karin?

– Dzisiejsza gazeta. Nie odpowiedział pan.

– Nie szukam znajomości przez ogłoszenia w gazecie.

Broncks przeszedł szybko do przedpokoju, z kieszeni swojej kurtki wyjął mały magnetofon, po czym ostrożnie podłączył go do komórki.

– Jeśli wy nie kupicie broni, jeśli nie wycofacie towaru z rynku... znajdą się inni zainteresowani.

– Wykopałem próbki i je sprawdziłem. Rzeczywiście pochodzą z obrabowanego magazynu wojskowego w Getryggen, kilkadziesiąt kilometrów na południe od Sztokholmu. Ale to jeszcze nie świadczy o tym, że to pan je ukradł.

– Jeśli go nie kupicie, cały nasz asortyment trafi w inne ręce. W ręce innych grup przestępczych. Być może nie tak... zdyscyplinowanych jak moja niewielka grupka. Przecież pan dobrze wie, o kim mówię. O dobrze zorganizowanych organizacjach przestępczych, o których wciąż tyle trąbicie. Niech pan sobie na przykład wyobrazi uzbrojone po zęby bandy Hells Angels.

– Ale to też nie dowodzi, że jest pan w posiadaniu reszty broni.

– Nie dowodzi?

– Nie, nie dowodzi.

– A może przekona pana to, że wymienilem kłódkę przy szlabanie na identyczną o takim samym numerze seryjnym. I że widziałem w bunkrze listę inwentarzową z datą czwartego października, która wisiała tam spokojnie jeszcze przez pół roku, ponieważ włamanie było tak perfekcyjnie przeprowadzone, że sześćdziesięcioletni strażnik ze zdezelowanego volvo nie zauważył nawet najmniejszego śladu po nim. Chce pan jeszcze więcej podobnych detali, które może znać tylko ktoś, kto zabrał tę broń?

Broncks rzucił okiem na zegar w kuchni. Dziesięć po czwartej. Już się chyba nie położy.

– Czyli to pan jest szefem. No dobrze, Anno-Karin. W takim razie chciałbym wiedzieć jedną rzecz.

– Macie dwadzieścia cztery godziny.

– Chciałbym wiedzieć... dlaczego pan to robi?

– Macie dobę na decyzję, czy kupujecie.

– A jest pan pewny, że panu już się ona nie przyda?

– Dwadzieścia pięć milionów koron.

– Popęłnił pan potworny błąd, panie Anno-Karin. Trzeba było zakopać cały ten arsenał głęboko na jakimś polu albo wyrzucić do jeziora, a nie kontaktować się ze mną. Gdyby nie to, prawdopodobnie udałoby się panu uratować chociaż to, co ukradł pan do tej pory, a może nawet wyjść z tego cało.

Broncks chciał napić się wody, odkręcił więc kran nad zlewem, czekając, aż poleci bardzo zimna.

– I jeszcze jedno. Skoro pan ma na imię Anna-Karin...

– Co pan, do cholery, robi?

– Nalewam sobie wody do szklanki. No więc skoro pan to Anna-Karin, wobec tego jak nazywa się pański brat?

Wypił, napełnił szklankę ponownie i wypił do połowy.

– Mam na myśli brata, z którym obrabia pan banki, no wie pan?

– Odpowiedz w ciągu dwudziestu czterech godzin. W tej samej rubryce. Ma się zaczynać od „Kochana Anno-Karin”.

– Ja też mam brata. I dlatego nawet na czarno-białym filmie kamery monitoringu potrafiłem rozpoznać charakterystyczne gesty i sposób porozumiewania się rodzeństwa. Pan jest ten starszy. I szepcze do ucha młodszemu, który po raz pierwszy w życiu ma skierować broń między żywych ludzi.

– A w drugiej linijce ma być: „Teżnię za tobą i chcę się nadal spotykać”.

Szara bluza z kapturem wisiała na krześle w przedpokoju. Wiosenny poranek był trochę chłodny, dlatego Broncks naciągnął ją na nagi tors.

– Niech pan posłucha, panie Anno-Karin. Ja wyjątkowo nie lubię przemocy.

– Jak odpowiecie, Anna-Karin też skontaktuje się z wami przez ogłoszenie. A z niego będą wynikać warunki naszej dalszej udanej współpracy: sposób uregulowania płatności i miejsce dostarczenia pozostałego towaru.

– A wie pan dlaczego? Bo dorastałem w jej otoczeniu. I wiem, jak to działa. Albo człowiek potem szczerze nienawidzi przemocy, albo sam ją stosuje. Mam rację?

– Doba.

– Doba to za mało.

– Więcej nie będzie.

– Wobec tego nic pan od nas nie dostanie. Muszę uzyskać zgodę od głównego komendanta policji.

John Broncks krążył po swoim niewielkim mieszkaniu. Połączenie jeszcze nie zostało przerwane. W słuchawce dały się słyszeć dalekie odgłosy ulicy i miarowy oddech.

– Okej.

Głos w telefonie wydał się nagle bardziej donośny, dobitniejszy.

– Za tydzień, jedenastego maja, „Dagens Nyheter”. Jeśli wtedy nadal nie będzie się pan chciał widywać z Anną-Karin, rozpęta się piekło.

Potem zapadła cisza. Nieznajomy się rozłączył.

John Broncks ziewnął. Rzeczywiście nie położył się już do łóżka, tylko wrócił do kuchni, zrobił sobie herbatę, a potem wybrał się na spacer po Söder Målarstrand i naokoło wyspy Långholmen.

Podjął słuszną decyzję. Nie zamieścił żadnego ogłoszenia i nie poskarżył się, że tęskni, tylko potraktował Annę-Karin tak, jak kiedyś Sannę. I zadziało. Lepiej, niż się spodziewał. Wymusił w ten sposób bezpośredni kontakt.

Teraz miał siedem dni na podjęcie następnej decyzji.

Dlatego stał w tej chwili w ogromnym i pełnym kurzu garażu komendy i wypatrywał znajomego samochodu. Uznał, że pora porozmawiać z szefem, a nie chciał ani znowu nachodzić go w domu, ani czekać, aż rozsiądzie się w swoim pokoju na górze. Ta rozmowa wymagała innych warunków.

Karlström powinien już niedługo przyjechać. Każdego dnia rano odwoził najpierw młodszą córkę do przedszkola, potem starszą do szkoły i na koniec żonę do pracy. Powolne pożegnanie z rodziną, z którą za kilka godzin znowu się zobaczy. W garażu na swoim stałym miejscu – opatrzonym mosiężną tablicą na ścianie z napisem „Komisarz Karlström”, przysługującą wyłącznie szefom – nie zjawiał się nigdy wcześniej niż o 8:15 i nigdy później niż o 8:45.

John Broncks bynajmniej się nie chował, mimo to Karlström w ogóle go nie zauważył opartego o betonowy filar. Pewnie dlatego lekko się wystraszył, gdy Broncks niemal w tej samej chwili, gdy samochód się zatrzymał, otworzył tylne drzwi i wsiadł do auta.

– Dziś nad ranem zadzwonił do mnie Wielki Brat.

Karlström wyłączył silnik i doszedłszy do siebie, odwrócił się.

– Nad ranem?

– Tak.

Bronckowski zajęło dziesięć minut zrelacjonowanie wszystkiego po kolei; powiedział o napisanym na starej maszynie liście w brązowej kopercie, próbkach towaru zakopanych w lesie razem z kopertą w serduszką oraz o niezamieszczonym ogłoszeniu, co wywołało rozmowę telefoniczną.

Minęła kolejna minuta, zanim Karlström się odezwał.

– Kiedy dokładnie wykopałeś tę broń?

– Osiem dni temu.

– Osiem dni temu?

– Tak.

– I dopiero teraz wskakujesz do samochodu swojego szefa i opowiadasz mu o tym?

– Chciałem mieć całkowitą pewność.

– Pewność czego?

– Jak on zareaguje. Gdybym ci powiedział wcześniej, na pewno włączyłbyś w to więcej ludzi. I nie dotarlibyśmy do niego tak blisko. Rozumiesz? A tak zwrócił się do mnie bezpośrednio. Jesteśmy tylko my dwaj, prowadzi negocjacje tylko ze mną.

Karlström patrzył na szarą ścianę przed sobą, z tablicą informującą, że to jego miejsce.

– Okej. Wobec tego dlaczego zwracasz się do mnie właśnie teraz? Czego nie jesteś w stanie zrobić sam? Jakiego wsparcia oczekujesz?

Dwudziestu pięciu milionów koron.

W najbliższym tygodniu wszystko się rozstrzygnie.

– John, słyszałeś, o co cię spytałem?

Zapłać. Odbierz Wielkiemu Bratu broń. Zrób wszystko, aby autor najbardziej brutalnych napadów rabunkowych na banki w Szwecji już nigdy niczego nie obrabował. A jednocześnie – mimo wielomiesięcznej pogoni za nim będziesz tym policjantem, który umożliwi mu rozplynięcie się w powietrzu i pozostanie anonimowym bohaterem w kronice kryminalnej Skandynawii.

Karlström trącił go łokciem w bok.

– John, w czym mógłbym ci pomóc?

Albo nie dawać mu pieniędzy, zmusić go do tego, aby robił to, w czym jest naprawdę dobry – czyli napadał na kolejne banki, ranił więcej ludzi. A dzięki temu wciąż zachować możliwość schwycenia go pewnego pięknego dnia.

- Potrzebuję czegoś, czym dysponują wyłącznie ludzie mający własne stałe miejsca parkingowe.
- Nie rozumiem.
- Potrzebuję dwudziestu pięciu milionów.

Dziewiąte piętro. tak wszyscy nazywali Sekcję Techniki Operacyjnej i Podśluchu, zlokalizowaną w tym samym budynku co Krajowe Dowództwo Policji i Komenda Śródmieście, tylko w innym skrzydle. Z garażu wjeżdżało się na poziom zero, a potem po kilku minutach spaceru korytarzami docierało do innej windy, prowadzącej właśnie na dziewiąte piętro.

– *Ale to też nie dowodzi, że pan jest w posiadaniu reszty broni.*

– *Nie dowodzi?*

– *Nie, nie dowodzi.*

Po spotkaniu w garażu z Karlströmem John Broncks siedział dosyć długo w swoim pokoju, odtwarzając poranną rozmowę telefoniczną i wsłuchując się w głos Wielkiego Brata. W końcu miał już dość i uznał, że warto byłoby poznać ocenę eksperta na jej temat, kogoś, kto potrafi wyłapać najmniejsze niuanse ludzkiego głosu.

Starszy mężczyzna o przygarbionych plecach był tutaj od zawsze, jak tylko Broncks sięgał pamięcią. Zazwyczaj siedział w specjalnym pomieszczeniu wyposażonym w aparaturę podsłuchową i analizował rozmowy przychodzące i wychodzące. Tym razem nie chodziło o wnioski prokuratora o założenie podsłuchu – Broncks przyniósł ze sobą nagraną rozmowę i pochylony starszy pan dosyć chętnie oderwał się od swojej bieżącej pracy.

– *Z całą pewnością dzwonił stąd. Z Gullmarsplan. Ze zwykłej budki telefonicznej.*

Wskazał na elektroniczną mapę, gdzie pośrodku migąła czerwona dioda.

– *Właśnie z tego miejsca dostaliśmy informację o podłożeniu bomby na dworcu.*

Wpatrując się w migający punkt, Broncks doszedł do wniosku, że jego Wielki Brat z premedytacją wybrał tę budkę, ponieważ wiedział, że rozmowa zostanie nagrana i przeanalizowana. A kontakt z tego samego miejsca potwierdzał jednoznacznie, kim jest i do czego jest gotów się posunąć.

– *Rozmowa trwała cztery minuty i pięćdziesiąt cztery sekundy. Zainicjowana tu, na Gullmarsplan, odebrana.... tutaj, na Högalidsgatan 38. To twoje... mieszkanie, tak?*

Przygarbiony mężczyzna wskazał na kolejną mrugającą diodę na mapie, położoną na północny zachód od poprzedniej. Broncks skinął twierdząco głową.

– *Czyli to pan jest szefem. No dobrze, Anno-Karin. W takim razie chciałbym wiedzieć jedną rzecz.*

– *To było dobre, Broncks. Nieźle sobie z nim poradziłeś.*

– *A jest pan pewny, że panu już się ona nie przyda?*

– *Prowokujesz go i on dał się sprowokować, posłuchaj...*

– *I jeszcze jedno. Skoro pan ma na imię Anna-Karin...*

– *Co pan, do cholery, robi?*

– *Nalewam sobie wody do szklanki. No więc skoro pan to Anna-Karin, wobec tego jak nazywa się pański brat?*

– *W tym miejscu, kiedy pytasz, jak się nazywa jego brat. Zaskoczyłeś go, bo nie odpowiada od razu, tylko przeciąga i pyta cię, co robisz. Wyraźnie trafiłeś w punkt. Na początku jest spokojny, wydaje mu się, że to on jest panem sytuacji, ale kiedy mówisz: „Mam na myśli brata, z którym obrabia pan banki, no wie pan?“, przestaje być taki opanowany, unika odpowiedzi, robi pauzy, żeby się pozbierać, i próbuje przywrócić rozmowę na dotychczasowe tory, powtarzając swoją informację. Potem robi się lapidarny, rzeczowy, chce się upewnić, że podejmiesz dialog, który w rezultacie ma mu przynieść dwadzieścia pięć milionów koron.*

Inspektor do spraw technik operacyjnych i podsłuchu nałożył słuchawki na uszy, chcąc w ten sposób dać do zrozumienia, że musi już wrócić do swojej bieżącej pracy. Ale po chwili zsunął je jeszcze i zwrócił się do Johna:

– *Broncks, jeśli on zadzwoni jeszcze raz, staraj się przeciągać rozmowę. Im dłużej człowiek mówi, tym trudniej mu się maskować, ukrywać prawdziwe brzmienie głosu, naleciałości dialektowe. I nie przerywaj mu tak często. Daj mu się wygadać, odsłonić. Czekaś tyle czasu... więc się nie spiesz, jesteś już blisko.*

Wyrwany ze snu Leo zareagował oszołomieniem, które szybko przerodziło się w strach. A przecież on nigdy się nie boi. Słowa wgryzały się w niego głęboko i atakowały jak przeraźliwy gwizd pędzącego pociągu albo ryk syreny alarmowej. Potem rodziła się panika, ale stopniowo przebijało się przez nią też niedowierzanie.

Bo przecież to nie był żaden sygnał ani alarm. To głos – daleki, mimo to wyjątkowo donośny.

– Nie jesteś moim tatą.

To Ivan mówi do niego. Wypowiada te słowa i patrzy z niewzruszoną pewnością siebie.

– Słyszysz, nie jesteś moim tatą.

To niemożliwe, nie może mówić tak do własnego syna. Coś jest nie tak. Ale znowu powtarza to samo, a Leo czuje, że wzbiera w nim obrzydzenie, co zmusza go do tego, by uświadomił sobie, że to, o czym jeszcze przed chwilą był przekonany, jest złudzeniem, nie istnieje. To dlatego postać Ivana się przeobraża, jego ciemne włosy stają się jasne jak u anioła, a w głosie słychać raczej zadziorność niż oskarżenie.

– Nie jesteś moim tatą!

Przed nim stoi nie żaden anioł, tylko człowiek. Mały człowiek.

Wówczas obrzydzenie i strach przechodzą w irytację. Przecież chce spać, bardzo chce spać, jakim prawem budzi go jakiś smarkacz, który między jawa a snem staje się Ivanem. Pięć dni spędził w lesie, szukając najlepszych dróg ucieczki i rozmieszczając miny własnej roboty. Przez cały tydzień sypiał tylko trzy godziny dziennie, a teraz budzi go ten dzieciak, który najwyraźniej jadł przed chwilą jogurt i kanapkę z pastą kawiorową.

– Nie jesteś moim tatą.

– No nie... Ale może mógłbym być twoim przyszywanym tatą – powiedział Leo, siadając z niechęcią na kanapie.

– Nie!

– Naprawdę. Tak mówi się na kogoś, kogo widuje się tylko raz na pół roku, ty mały bandyto!

Sebastian pokręcił energicznie głową, a gdy Leo przerzucił go sobie przez ramię, roześmiał się głośno.

– Mama ci nie mówiła, że za karę będziesz jadł tylko owsiankę, jeśli bez pozwolenia obudzisz Króla Leo?

– Nienawidzę owsianki!

Zeszli po schodach do kuchni. Sebastian wciąż śmiał się do rozpuku i piszczał, że nie chce owsianki. Gdy Leo postawił go na podłodze, mały od razu czmychnął do przedpokoju, gdzie schował się pod kurtką Leo, udając, że ucieka przed owsianką.

– Sebastian?

Anneli siedziała już przy stole z filiżanką kawy i paliła papierosa.

– Posłuchaj, skarbie, musisz się ubrać. I potem będziemy mogli wyjść.

Zgasiła papierosa w prawie pełnej popielniczce, zapaliła nowego i spojrzała na Leo.

– Co jest?

– Nic.

– Przecież widzę.

– Napiję się kawy i będzie dobrze.

Resztką w dzbanku wystarczyła akurat na jedną filiżankę.

– Mamy mało czasu. Ubierz się.

– To dlatego wysłałaś do mnie tego bandytę? Żeby mnie obudził?

– Nie lubię, kiedy go tak nazywasz.

– A ja nie lubię, jak palisz w domu. – Wyjął jej papierosa z ust, po czym podszedł do otwartego okna i wyrzucił na dwór. – Naprawdę musisz palić akurat teraz, kiedy wyjątkowo jest u nas Sebastian?

Następnie uchylił też drugie okno.

– Poza tym... nie mogę dziś z wami pojechać.

Anneli – tak jak się spodziewał – zrobiła zawiedzioną minę i zerkając do przedpokoju, powiedziała szeptem:

- Przecież się umówiliśmy. Obiecałeś. On się właśnie ubiera.
- Przepraszam.
- Stało się coś? Wczoraj znowu wróciłeś późno w nocy. Gdzie byłeś? Co się dzieje?
- Pracowałem.
- A dlaczego nie możesz z nami pojechać?
- Bo muszę dalej pracować.
- Pracować? Naprawdę nie rozumiesz, jak bardzo go zawiedziesz?
- Daj spokój, do cholery, to twój syn. I ma mnie w nosie.

Leo sięgnął do kieszeni spodni i wyjął tysiackoronowy banknot – ze Sparbanken w Ullared, który obrobił w pojedynkę.

Sebastian stał już przy drzwiach wyjściowych, kompletnie ubrany, ze wzrokiem pałającym niecierpliwym oczekiwaniem. Leo wcisnął mu do rączki pieniądze.

- Nie mogę z wami dziś jechać. Ale i tak będziecie na pewno dobrze się bawić.

Anneli była zła i nawet nie próbowała tego ukryć. Dzisiejsze zachowanie Leo jej ubliżało, a dotychczas rzadko się zdarzało, by czuła się przez niego upokorzona.

- To wystarczy ci na wszystkie karuzele, knocie!
- Leo potargał chłopca po jasnej czuprynie, Sebastian zaś wpatrywał się w banknot w swojej dłoni.
- Na szyyyyyystkie?

– Super, co? Możesz przez cały dzień robić, na co masz tylko ochotę, i żaden nudny dorosły nie będzie ci się wtrącać.

Czuł na plecach palące spojrzenie Anneli. Gdy Sebastian pokiwał głową, nie bardzo rozumiejąc, co Leo ma na myśli, ona szepnęła jeszcze raz:

- Umówiliśmy się i obiecałeś.
- Ale coś mi wypadło. Praca.
- Co za „praca”? – spytała, robiąc w powietrzu znak cudzysłowu.

Leo nie znosił tego gestu. Dobrze to wiedziała. Nie cierpiał go, bo w jego mniemaniu używali go idioci niepewni tego, co mają do powiedzenia, którzy z tego powodu próbowali się podpierać takimi geścikami.

- „Praca”, dzięki której będę miał „pieniądze” na twój „dom marzeń”.

Nigdy dotąd nie posługiwał się palcami w rozmowie. A teraz zrobił to trzy razy z rzędu, mimo że wiedział, że w niczym mu to nie pomoże. Nadal był rozdrażniony i zły – tak samo jak przed chwilą, w nocy i przez wszystkie te dni, które minęły od rozmowy przez telefon.

- *Skoro pan ma na imię Anna-Karin...*
- Ten skurczybyk wiedział. Wiedział to, czego nie powinien.
- *No więc skoro pan to Anna-Karin, to jak nazywa się pański brat?*

I chociaż Leo nie powiedział ani słowa za dużo, Broncks wyciągnął z niego za wiele. Zdradził swoich braci i utwierdził tego pieprzonego glinę w jego przekonaniu. Jeśli miałby kiedykolwiek zostać schwytany, to schwytani zostaną także jego bracia.

Wychodząc, Anneli nie powiedziała nawet „cześć”. Leo usłyszał tylko trzaśnięcie drzwi. Postanowił przebrać się w roboczy strój – ważne, żeby wszystko wyglądało normalnie.

Jeszcze jedna filiżanka kawy.

Poczuł, jak irytacja stopniowo w nim opada. Ten cholerny inspektor był dokładnie taki sam jak tamten tłusty glina po drugiej stronie stołu w kuchni. Takim typom należy się to, co wtedy zrobił – wbił mu ostry ołówek w dłoń. Ponieważ nawet od dziecka nie można oczekiwać, żeby tylko siedziało cicho i potakiwało, i mówiło to, co ktoś inny chce usłyszeć.

- Bo to, czego się nie dostaje, trzeba wziąć sobie samemu.
- Odebrać.

I nigdy już nie oddać.

W kafeterii komendy przy stołach siedziało po kilka osób, rozmawiając o tym, co ich wszystkich łączyło – o pracy. John Broncks starał się tutaj nie jadać, ponieważ rozmowy dotyczące tych samych tematów, ale prowadzone w roboczych warunkach, toczyły się niejako naturalnie i łatwo, tu natomiast wydawały się wymuszone i sztuczne. Broncks wlał sobie z automatu gorącej wody do filiżanki i poza tym nie wziął nic więcej. Nie zamierzał się bynajmniej głodzić, ale po tygodniu intensywnych rozmyślań chciał podjąć ostateczną decyzję.

Karlström siedział przy niewielkim stoliku pod oknem z widokiem na dziedziniec wewnętrzny. Z widelcem w prawej ręce lewą przeglądał plik dokumentów. Broncks nigdy dotąd nie widział go w takiej sytuacji. Szef zwykle poświęcał każdemu posiłkowi całą swoją uwagę.

– Cześć.

Na talerzu rozgotowane ziemniaki, a obok żylasty kawałek mięsa. Dosyć nietypowe menu jak na Karlströma. Podniósł głowę znad papierów i popił łyk wody z lodem. Przynajmniej pod tym względem pozostał wierny swoim zasadom – nigdy nie mówił z pełnymi ustami.

– Witam, John. Cieszę się, że mogłeś przyjść.

Broncks usiadł przy stole, podczas gdy szef wycierał sobie usta serwetką.

– No to załatwione. U mnie za biurkiem stoi czarna walizeczka z dwudziestoma pięcioma milionami koron. W gotówce. Wszystkie banknoty używane.

Kilka stolików dalej rozległ się gromki śmiech. Koledzy z centrali alarmowej. Wyraźnie rozluźnieni, ponieważ nie musieli odbierać żadnych pilnych zgłoszeń.

– Tak więc masz teraz to, co jest ci potrzebne do wymiany. Broń za pieniądze. Tyle że to nie wystarczy.

– Jak to?

– Jak się pewnie domyślasz, musiałem w tej sprawie dostać zielone światło nie tylko od komendanta głównego, ale i od ministra sprawiedliwości. Wycofanie broni z rynku to dla nich za mało. Obaj domagają się ich ujęcia.

– A myślisz, że ja nie chciałbym ich dopaść?!

– Broń. I aresztowanie. Rozumiesz? I muszę być informowany o wszystkim. Na bieżąco.

– Oczywiście. O wszystkim.

– Chcę więc wiedzieć, kiedy i gdzie dojdzie do wymiany i jak zostanie przeprowadzona?

– Jeszcze do tego nie doszliśmy. Ale cię zawiadomię.

– Kiedy oni przedstawią już swoje żądania i powiedzą, jak wszystko ma się odbyć, ty postawisz własne warunki, tak żebyśmy mogli się przygotować do kontrruchu.

– Nie jestem pewny, czy to będzie możliwe.

Broncks przyglądał się wnikliwie twarzy Karlströma. Po dziesięciu latach współpracy obaj znali się jak łyse konie, przynajmniej pod względem zawodowym. Dlatego bez trudu zauważył widoczną w tej chwili w oczach szefa obawę, że oni dwaj zmierzają chyba w innych kierunkach.

– Musi być możliwe, John. Tylko trzeba wszystko dobrze zaplanować.

– Ci goście dysponują bronią, ładunkami wybuchowymi, nie cofną się przed niczym. I zawsze mają wszystko perfekcyjnie przemyślane. Jeden jedyny błąd przy wymianie może kosztować życie wielu osób.

– I właśnie dlatego trzeba ich złapać.

– Jeśli rozwalą naszych ludzi i się wywiną, nadal będziemy wiedzieć o nich tyle, co nic. Przecież nie mamy nawet pojęcia, kim są! Nikt ich nie zna! Są niewidzialni! I gotowi na wszystko, by tak zostało!

Teraz Karlström uważnie zmierzył Broncksa wzrokiem. Szef policji kryminalnej rzadko wpadał w furię, ale w tym momencie wyraźnie stracił panowanie nad sobą.

– John, posłuchaj, przecież doskonale wiesz, jak to działa. Zaufanie zdobywa się przez lata. A zwłaszcza takie zaufanie, które pozwala człowiekowi prosić innych o przysługę. Nie możesz o nie prosić przy byle okazji. Dlatego za każdym razem trzeba mądrze rozważyć, kiedy skorzystać z takiej możliwości. I właśnie to zrobiłem. Zdołałem dla ciebie dwadzieścia pięć milionów, nie mając żadnych

gwarancji, że kilku gównianych kryminalistów nie zacznie szantażować państwa i że nie wyjdzie to potem na jaw... Najwyżsi urzędnicy w tym kraju pomogli mi, ponieważ wcześniej zdobyłem ich zaufanie. Poprosiłem ich o jedną z niewielu przysług, jaką są mi winni. I naprawdę nie chciałbym, John, żeby to wszystko było na próżno.

Broncks pochylił się nad stołem i nad talerzem z niedojedzonym obiadem.

– Mówię ci, że oni nie mają żadnej siatki powiązań, żadnych kontaktów. Wiem to. Nigdy nie zadarli z prawem. I jeśliby teraz próbowali dotrzeć do kogoś, żeby sprzedać broń... nasi informatorzy od razu by to wyczaili. Więc tego nie robią. Ale nie ze względu na strach, tylko dlatego, że są sprytni.

– Jesteś tego całkowicie pewny?

– Pewny na sto procent jestem tylko jednego: jeżeli zmusimy ich do obrabiania dalej banków, nasze szanse na to, że kiedyś ich capniemy, rosną. Jeśli nie odezwiemy się do nich i nie powiemy, że chcemy odkupić tę broń... z czystej desperacji znowu zaczną napadać na banki. A gdy jest się w sytuacji przymusowej, łatwo popełnia się błędy.

Karlström poprawił na swoim talerzu sztucce, które i tak leżały już perfekcyjnie. Najpierw paskudne jedzenie, a teraz jeszcze to.

– Powiedz mi, John, kiedy wpadłeś na ten pomysł... Kiedy doszedłeś do wniosku, że nie powinniśmy im płacić?

– Od razu po pierwszym liście.

– To po jaką cholerę kazaleś mi biegać po mieście i żebrać po próżnicy o pieniądze?

– Nie po próżnicy. Bo ja muszę wiedzieć na pewno, że one są. Nie chcę być zmuszony do kłamstwa. Wielki Brat nie może mieć najmniejszych wątpliwości. Musi słyszeć w moim głosie, że te miliony leżą u mnie na biurku. A w razie gdyby chciał, to nawet dostanie ich zdjęcie.

Broncks odsunął krzesło.

– A jeżeli się okaże, że się pomyliłem, wtedy sięgnę po te pieniądze. Ale tylko wtedy, jeśli to będzie jedyna możliwość, aby zapobiec kompletnemu chaosowi.

W końcu wstał i chciał już odejść. W ostatniej chwili jednak Karlström też się podniósł i położył mu dłoń na ramieniu, jak kiedyś.

– John, chcesz wiedzieć, co o tym myślę?

Broncks również tym razem się powstrzymał i nie stracił jego dłoni, tylko skinął twierdząco głową.

– Sądzę, że możliwe jest i jedno, i drugie: wymiana i aresztowanie. Nasze środki i zasoby są większe niż to, czym oni dysponują. Ale najważniejsze: skończyć z tym szaleństwem. I pokazać wszystkim, że ich złapaliśmy, gdy tylko nadarzyła się sposobność, i to wcale nie przypadkiem. A potem liczba napadów na bank i liczba ofiar się zmniejszą.

Karlström wciąż trzymał go za ramię. Tak samo jak wtedy.

– I jeszcze jedno.

A Broncks czuł się tak samo niezręcznie.

– Gdy to się skończy... chciałbym, żebyś wziął urlop. Zrozumiano?

– Jasne.

– Słyszysz, John? Żadnych nowych spraw. Urlop.

– Tak, tak. Ale tymczasem mam jeszcze kilka rzeczy do zrobienia. Na przykład pierwszy raz w życiu muszę nadać ogłoszenie w gazecie.

Wciąż jeszcze trochę wody w filtrze, kawa nadal niegotowa. Ale już niedługo.

Był piękny i ciepły majowy poranek. Anneli spała, Sebastian też. Sześciolatek był u nich od tygodnia, Leo jednak prawie cały czas przebywał poza domem, mimo że jej syn rzeczywiście odwiedzał ich bardzo rzadko. Wiedział, że Anneli jest zawiedziona, ale nie wątpił, że go zrozumie.

Kiedy będzie już po wszystkim.

Wreszcie woda przestała się sączyć. W tej samej chwili Leo usłyszał metaliczny trzask skrzynki na listy. Nalał sobie kawy do dużego porcelanowego kubka i postawił go na stole. Za chwilę wróci i przelajkając pierwszy łyk, otworzy poranną gazetę i dokładnie przeczyta drobne ogłoszenia.

Cały jego plan zależał od tego momentu. Kilka kroków do furtki i skrzynki, po czym zacznie się odliczanie do końca. A potem, jeszcze tego samego dnia, nada ostatni list z instrukcjami dotyczącymi wymiany.

I będzie po wszystkim.

Otworzył skrzynkę, robiąc jeszcze większy hałas. Obiecywał sobie, że nie zajrzy do gazety od razu. Zrobi to przy kuchennym stole, przy pierwszej porannej kawie. Ale nie wytrzymał. Tak samo było na samym początku, gdy postanowił, że po eksplozji, która rozerwała posadzkę w bunkrze, poleży pięć minut w lesie i odczeka. Wtedy też nie wytrzymał.

Wszystkie przygotowania, wszystkie plany zależały od odpowiedzi gdzieś na stronie trzydziestej szóstej albo siódmej w gazecie, którą mocno ścisnął w dłoni.

W połowie drogi do drzwi domu zaczął przewracać kartki, szukać.

Strona trzydziesta siódma.

Przystanął jak porażony prądem. Wściekłość zamieniła się w sopol lodu, który roztopiał się w jego wnętrzu i mroził zimnymi kroplami.

Nie wróci teraz do domu i nie napije się aromatycznej kawy, która czekała na niego na stole, tylko wsiądzie do samochodu i będzie nim krążył po okolicy, aż obudzi się dzień.

Nienawidził tej policyjnej cipy.

John Broncks nie spał. Nawet nie próbował. Łóżko było nierozesłane, a drzwi do sypialni zamknięte.

Trzy kubki kawy przy kuchennym stole, mimo że normalnie nie brał jej do ust. Ale ta mroczna czerni i gorzkawy smak dobrze pasowały do nocy spędzonej na czuwaniu.

Telefon leżący na stronie trzydziestej siódmej z drobnymi ogłoszeniami zadzwonił pierwszy raz. Potem, gdy Broncks czytał, odezwał się po raz drugi. I znowu.

„Anno-Karin, w ogóle nie tęsknię za tobą i nie chcę się już z tobą spotykać”.

Patrzył na komórkę, która dzwoniła już czwarty raz, a po chwili piąty. Potem cisza. Broncks liczył sekundy jak dziecko podczas burzy odmierza czas, jaki upływa między oślepiającym blaskiem błyskawicy a przytłumionym pomrukiem grzmotu.

Siedem sekund. I odezwał się znowu.

Odczekał trzy sygnały.

– Dzień dobry, Anno-Karin.

– Popelnił pan piekielnie wielki błąd!

A więc to tak brzmiał jego głos w stresie. Nie był ani mocny, ani słaby, nadal bez śladu akcentu czy naleciałości dialektowych. Dostyc dobrze pasował do zamaskowanej czarnej postaci, którą widział tyle razy.

– To pana zdanie.

– Posłuchaj, ty mała, wredna...

– Dużo ludzi na Gullmarsplan? Mogę wysłać radiowóz, jeśli pan sobie życzy.

– Na razie minęło piętnaście sekund. Za trzydzieści się rozłączę i nie dacie rady mnie namierzyć. Ale najpierw chciałbym, aby do pana dotarło, że właśnie zaczął pan straszliwą wojnę. Oddał pan broń należącą do państwa w ręce bandziorów.

Broncks próbował skupić się na odgłosach w tle rozmowy. Słyszał jednak tylko ciszę. Wielki Brat albo zasłonił czymś słuchawkę, albo stał w miejscu przynajmniej na razie jeszcze niezbyt ruchliwym.

– Wielki Bracie... wie pan równie dobrze jak ja, że tak się nie stanie. Mam rację? Nie był pan wcześniej karany, chociaż jest pan chyba najniebezpieczniejszym gangsterem obrabiającym banki, jakiego dotąd spotkałem. Można by spytać, jak to, u diabła, możliwe? Ano możliwe, bo pan umie myśleć. I także dlatego nie będzie pan szukał kontaktów z innymi kryminalistami.

– No to niech się pan teraz skupi i posłucha! Żeby moja broń wyładowała w rękach niewłaściwych ludzi, nie są mi potrzebne żadne kontakty! Najwyuczajniej w świecie zakopię kilka skrzynek i wyślę gdzie trzeba liścik w czerwone serduszka z opisem, jak do nich trafić. Nie zna pan przypadkiem takiej metody? W każdej skrzyni czterdzieści automatów, jedna dla Hells Angels, jedna dla jugolskiej mafii i po jednej dla tych oszołomów z przedmieść. I za to wszystko pan będzie odpowiedzialny, pan, bo nie odkupiliście tego, co ukradłem.

– Wie pan co? Na moim biurku na komendzie leży już teczka z dwudziestoma pięcioma milionami koron w używanych banknotach. To są pana pieniądze. Przeznaczone na wymianę. Tyle tylko, że w końcu doszedłem do wniosku, że to nie ma sensu.

Zaległa cisza.

– Bo w niczym nie jest pan tak dobry, jak w napadaniu na banki, Wielki Bracie. I dlatego znowu zrobi pan skok. I jeszcze jeden, i znowu! Mam rację, Anno-Karin? Znowu będziesz obrabiać banki, ty kretynie!

– Panie Johnie Broncks! Przeoczył pan jeden szczegół. Pan nie wie, kim jestem i jak wyglądam. Ale ja wiem, kim pan jest i jak pan wygląda.

Cisza, jaka teraz zapadła, była inna. Bezszelestna. Wielki Brat się rozłączył. Gdy Broncks położył komórkę na stole, zdał sobie sprawę, że wstał z krzesła podczas rozmowy.

Teraz mógł jedynie czekać na kolejny ruch Wielkiego Brata.

Była dopiero ósma, kiedy Leo wjechał na wyasfaltowany dziedziniec. Kawa w jednej z nielicznych otwartych o tej porze kafejek i kilka godzin krążenia bez celu po południowych przedmieściach, żeby odzyskać spokój, niewiele mu pomogły. Poczucie gigantycznej klęski gryzło go dalej.

Wysiadł z samochodu i ruszył w stronę garażu. Odgłos odbijanej o ziemię piłki tylko wzmógł jego irytację. Sebastian już wstał i najwyraźniej bawił się w profesjonalnego piłkarza – strzelał gole, mając za bramkę drzwi garażu i komentując każde uderzenie w udawanym angielskim.

– Cześć, przyszywany tato. Gdzie byłeś?

– Już nie śpisz?

– Zagrasz ze mną? Przydałby mi się dobry bramkarz.

Leo otworzył wąskie drzwi z boku garażu.

– Sebastian, idź, proszę, do mamy.

Sześciolatkowi udał się właśnie wyjątkowo mocny strzał, który wprawił wielkie drzwi garażowe w drżenie.

– Ona ciągle tylko śpi i śpi. Cały czas.

Leo złapał kiepsko napompowaną piłkę w ręce i kopnął ją na drugą stronę dużego podwórza.

– Pobaw się tam.

Sebastian spojrział na niego z zawiedzioną miną, po czym pobiegł jednak za futbolówką. Leo zaś wszedł do garażu, zapalił światło i zamknął za sobą drzwi.

Maszyna do pisania stała nadal pod stołem. Sięgnął po nią i postawił na swoim miejscu.

Potem wszystko potoczyło się szybko. Podszedł energicznym krokiem do ściany, o którą był oparty duży młot. Podniósł go wysoko ponad głowę, wziął zamach.

Gruba metalowa obudowa, klawisze i czcionki na cienkich ramionach roztrzaskiwały się na części z każdym kolejnym uderzeniem, któremu towarzyszył jego krzyk rozsadzający mu czaszkę.

– Co ty robisz?

Przeklęty bękart otworzył drzwi i zajął do środka.

– Zjeżdżaj stąd!

– Robisz straszny hałas!

– Zjeżdżaj, powiedziałem!

Kiedy Sebastian zniknął, Leo walił młotem tak długo, aż z maszyny do pisania pozostały tylko metalowe i plastikowe odłamki. Już nie da się na niej nic wystukać! Żaden śmierdzący glina nigdy nie będzie mógł udowodnić, że listy z ofertą sprzedaży broni były pisane na niej! Winę za to ponosił John Broncks, a on, Leo, nie marzył teraz o niczym innym, tylko o skomplikowaniu mu życia. Zamierzał okpić go po raz kolejny i rozpląnąć się w powietrzu na jego oczach.

Siedem miesięcy temu koperta była biała jak śnieg i zawierała osiemdziesiąt sześć pięćsetek. Teraz było na niej mnóstwo śladów po palcach, a w środku zostały zaledwie cztery banknoty, czyli w sumie dwa tysiące koron. Po ponad czterech latach milczenia Leo stanął pod jego drzwiami i machnął mu przed nosem grubą kopertą. Gdy tylko najstarszy syn odjechał swoim błyszczącym samochodem firmowym, Ivan szybko wyjął spod stosu kuponów Keno długopis i zapisał to, o czym nie chciał zapomnieć. „Właśnie skończyłem dużą budowę w Tumba, Solbo Center. Siedemset metrów kwadratowych. Lokale sklepowe i usługowe. Dobre pieniądze”. Już wtedy te czterdzieści trzy tysiące, które dla niego były jak papierki w grze w Monopol, wydały mu się podejrzane. „Trzydzieści pięć tysięcy, które według ciebie jestem ci winny. Pięć tysięcy procentu. I jeszcze dodatkowo trzy. Po tysiącu za każde żebro”.

Ivan oparł kopertę o szklankę z piwem na plastikowym żółtym stoliku. Z dużego pieca do pizzy buchnęło gorące suche powietrze, gdy drewniana łopata wsunęła do środka surowe ciasto, aby siedem minut później wyjąć placek z poczerwiałych brzegach, z rozpuszczonym serem na wierzchu.

Pociągnął jeszcze kilka łyków piwa ze szklanki, ale nie za dużo, ponieważ chciał być trzeźwy, gdy będzie szedł.

Obrócił głowę w stronę okna. Nad ruchliwą jezdnią drżało rozgrzane powietrze wczesnego lata. Nie udawało mu się uciec przed gorącym – czyhało na niego wszędzie.

Czterdzieści trzy tysiące. A on wciąż czuł, że coś w tym wszystkim śmierdzi.

Dzwonił do Leo dwa razy, żeby spróbować się od niego dowiedzieć, czy nie robi przypadkiem czegoś, czego nie powinien, nie udało mu się jednak uzyskać żadnej odpowiedzi. Do dzisiaj wciąż istniała minimalna możliwość, że się mylił. Dopóki choleryczny tłusty facet, który skojarzył mu się z rozpuszczającym się lodem, nie dopił swojego piwa do końca i nie wyszedł z pizzerii. Kierownik budowy o nazwisku Gabbe. Po wielu telefonach Ivan zdołał ustalić, że to on kierował robotami na budowie, której nazwę zapisał sobie kilka miesięcy temu na kopercie. Przedstawił mu się jako stolarz posiadający własną firmę i powiedział, że ponieważ dostał propozycję współpracy z firmą budowlaną Leo Duvnjaca, chętnie czegoś by się o nim dowiedział.

Rozmowa zaczęła się dobrze.

Kierownik potwierdził skrzekliwym głosem, że rzeczywiście zatrudnił firmę Leo jako podwykonawcę, co oznaczało, że wersja syna mogła się zgadzać – to znaczy, nie dało się wykluczyć, że pieniądze w kopercie pochodziły ze zleceń budowlanych, a jego wnioski były jedynie urojeniem.

Okazało się jednak inaczej.

Po pół szklanki piwa kierownik pochylił się ku niemu nad stołem i dał mu radę: „Tylko niech pan uważa na kosztorys. Powiem panu szczerze, że ten Duvnjac ma ceny dumpingowe. Mnie to nie przeszkadza, bo przecież pracuje dla mnie, ale jeśli pan myśli o współpracy z nim... Te chłopaki oferują tak niskie ceny, że naprawdę zachodzę w głowę, jak oni mogą z tego żyć”.

W tym momencie wszystko stało się jasne. Jego wątpliwości były jak najbardziej uzasadnione. Nie zdając sobie z tego sprawy, kierownik Gabbe potwierdził głośno to, czego Ivan od dawna się domyślał – że tamten zamaskowany napastnik na ekranie telewizora to jego najstarszy syn.

Po drugiej stronie szerokiej ulicy nieduży dom z wielkim garażem.

Wskazany przez Gabbego.

Mieszkał w nim Leo. Tak blisko.

Ivan dopił piwo i położył na stoliku pięćdziesiątkę. Wszystko będzie tak, jak sobie wymyślił i poukladał w bezsenne noce, gdy wino przestało mu już smakować. Najpierw on i Leo – przecież kiedyś dobrze się rozumieli – ojciec i syn założą niedużą firmę, która stopniowo będzie się rozrastać. Potem rozwiąże swoje problemy z Feliksem i pozna Vincenta, który właściwie prawie nie wie, kim jest jego ojciec. I przyjdzie wreszcie taki czas, że wieczorami będą siedzieć razem i rozmawiać.

Wszyscy czterej. Będą pracować i budować rodzinną firmę. Klan.

Zaczął iść. Przeciął ulicę. Szedł w stronę dziwnie małego domku ogrodzonego siatką ze spiralnie skręconym drutem kolczastym na górze. Całość przypominała trochę twierdzę.

Dotknął ręką kieszeni na piersi. Nie poczuł koperty. Czyżby zostawił ją w pizzerii? Sprawdził jeszcze raz. Była na swoim miejscu. Cienki papier tuż przy jego piersi. Wciąż przypominała mu o ostatnim spotkaniu z najstarszym synem. Miesiąc za miesiącem leżała na sercu, czyli tam, gdzie powinna.

Był niespokojny, zdenerwowany i w pierwszej chwili nie rozumiał dlaczego.

Aż wreszcie zdał sobie sprawę, że denerwuje się przed spotkaniem z Leo, on, który w ogóle nie bał się spotkań z nikim, nigdy.

Przeszedł przez ruchliwą drogę przelotową, dotarł do wąskiej bocznej ulicy, minął okazałą drewnianą willę. Było bardzo gorąco. Pot sphywał mu między łopatkami, miał już prawie całkiem przemoczoną koszulę. Przez przypominający furtkę prowadzącą do więzienia otwór w siatce wszedł na cały wylany asfaltem dziedziniec. Ktoś odwalił tu niezłą fuszerkę, bo powierzchnia była nierówna i trzeszczała pod butami. W głębi stał domek i wielki garaż, które widział z okien pizzerii.

Zauważył, że brama garażowa jest podniesiona, a w środku stoi ktoś przy wirującej betoniarce. Ivan wiedział, kto to. Te plecy rozpoznał nawet w czarnym kombinezonie na ekranie telewizora.

– Leo.

Stał i czekał, póki betoniarka się nie zatrzymała i syn nie odwrócił się w jego stronę.

To on.

Jego pierwsza wizyta po czterech i pół roku, a mimo to jego syn nie wydawał się zaskoczony. Sprawiał wręcz wrażenie, jakby się go spodziewał.

– Cześć, tato.

– Musimy porozmawiać, Leo.

Jego syn wyglądał znacznie starszej niż ostatnim razem. Mimo że nie upłynął nawet rok. Ale od tamtej pory dokonał ośmiu groźnych napadów rabunkowych.

– Jasne, mów.

– Moglibyśmy wejść do środka?

Ivan wskazał głową na dom, w którym nigdy dotąd nie był, tymczasem Leo nacisnął jakiś guzik na ścianie i drzwi garażowe zaczęły się opuszczać. Ivan w ostatniej chwili zdążył wejść do środka.

– Tutaj też będzie dobrze – powiedział Leo.

Koperta. Ivan jej dotknął. Wciąż była na swoim miejscu.

– Leo.

– Tak?

– Ty i ja należymy do siebie, bo między nami nie ma żadnych tajemnic.

Czekał na odpowiedź, która jednak nie padła. Mówił więc dalej:

– Chyba się domyślasz, że wiem.

– Co wiesz?

– Że to ty i twoi bracia.

– Co wiesz o mnie i moich braciach?

Zadziwiająco trudno było znaleźć odpowiednie słowa. Nie wyobrażał sobie, że kiedykolwiek nie będzie potrafił powiedzieć komuś, co uważa i wie. Dlaczego tak cholernie trudno jest spojrzeć własnemu synowi w oczy, wyznaczyć mu wszystko wprost, a potem poczekać na jego reakcję.

– Że to ciebie i twoich braci gliny nazwały Gangiem Wojskowym.

Nie doczekał się żadnej reakcji. Twarz Leo była martwa.

– Nie ma znaczenia, czy masz maskę na twarzy, czy nie. Przejrzy każdą maskę. Przejrzy cię na wskroś. Wiem, jak się poruszasz, Leo, w końcu, do cholery, jestem twoim ojcem.

– Nie wiesz o mnie nic, a jeszcze mniej o moich braciach.

– Myślisz, że mnie oszukasz? Możesz okpić policję, ale nie mnie!

Dalej kamienna twarz.

– No to jeśli jesteś taki przekonany, to idź i nas wydaj. Powiedz im, że według ciebie Gang Wojskowy to ja, Felix i Vincent.

Ivan miał wrażenie, że niepokój i nerwowość, które odczuwał wcześniej, minęły.

Na stole warsztatowym stała zbita z desek skrzynka wielkości kartonu po bananach. Leo przesyłał do niej zawartość plastikowego wiadra. Najpierw wypadło coś w rodzaju czarnego walca, a potem długie i cienkie blaszki z literami na końcach. Maszyna do pisania. W częściach.

– No, odplac mi się i donieś na mnie. Tak jak podobno ja doniosłem na ciebie.

Małe kółka betoniarki zaskrzypiały, gdy Leo przyciągnął ją do stołu i przechylił nad drewnianą skrzynką, tak aby szara płynna masa zakryła wszystkie szczątki maszyny.

– Mówisz, że należymy do siebie i nie dzielą nas żadne tajemnice. Tak samo jak wtedy, kiedy dokładnie mi wyjaśniłeś, ile benzyny trzeba wlać do butelki. Tak, tato?

Leo znowu nacisnął guzik na ścianie i tym razem drzwi się podniosły. Następnie wyszedł na dwór i zamknął je po raz drugi tuż za plecami ojca.

– Dobrze wiesz, że nigdy nie pójde na policję.

Leo ruszył w stronę domu, Ivan z trudem dotrzymywał mu kroku.

– Leo, posłuchaj mnie.

Jego syn kroczył niewzruszenie dalej. Nie zwracając uwagi na mężczyznę, który szedł tuż obok i coś do niego mówił.

– Nie rób tego więcej. Jeśli potrzebujesz mojej pomocy, to mi powiedz. Moglibyśmy pracować razem. Zostawimy przeszłość za sobą i pójdziemy dalej.

Wreszcie się zatrzymał. I spojrzał na swojego ojca.

– Chcesz mi pomóc?

Wszedłszy po schodkach, otworzył drzwi do małego murowanego domku i nawet się nie odwracając, powiedział:

– Wiedziałeś, jak tu trafić, to chyba wiesz też, jak stąd wyjść.

wtedy
część trzecia

Leży tuż obok niego i czuje zapach jego włosów. Vincent oddycha spokojnie, podczas gdy ona przygląda się jego nagiemu ciałku, które się porusza, obraca. Kładzie mu rękę na policzku, głaszcze go i całuje.

Policzek Vincenta. Skóra, dopiero od trzech lat wystawiona na wiatr, zimno i słońce, wciąż jest gładka i delikatna.

Britt-Marie położyła się najpierw w pustym łóżku Feliksa. Jej syna, który zaczął krzyczeć, gdy zobaczył podniesioną na nią dłoń ojca, a potem walił pięściami w drzwi łazienki, aby zagłuszyć ciekącą wodę. Który wymknął się nocą z mieszkania i uciekł w ciemność. Potem położyła się w pustym łóżku Leo. Który ma dopiero dziesięć lat, lecz w tej sytuacji wziął na siebie rolę dorosłego i poszedł szukać brata.

Na łóżku Vincenta trochę się uspokoiła. Wprawdzie nie zasnęła, ale jej serce biło już nieco wolniej.

Gdy leżała z nosem zanurzonym w cienkich włosach Vincenta, otworzyły się drzwi mieszkania.

Wrócili.

I wtedy znowu opanowało ją to szczególne uczucie – jak zawsze, kiedy powraca coś, co jest większe od niej i co mogła utracić. Unosi się w powietrzu. Śpiewa. Śmieje.

Britt-Marie ostrożnie odwraca głowę, wstaje cicho z łóżka, zamyka za sobą drzwi i przystaje przed progiem sypialni, z której wciąż dochodzi urywane chrapanie.

Leo i Felix, jej ukochani synowie. Obejmuje ich mocno w wąskim przedpokoju, a jej ucho staje się całkiem wilgotne, gdy Felix przyciska do niego usta i szepcze:

– Wiem, że od nas odejdziesz.

Leo słyszy go równie wyraźnie jak ona, lecz on nie szepcze: „A ja wiem, że zostaniesz, prawda, mamo?”.

Britt-Marie obejmuje ich obu jednocześnie.

– Wszystko będzie dobrze.

– Ale ja słyszałem, jak rozmawiałaś z babcią. Kiedy, mamo? Kiedy odejdziesz?

Spogląda mu w oczy, które są podobne do jej własnych.

– Przecież wciąż tu jestem, Felix, tak czy nie? A teraz idźcie się umyć. Zrobię śniadanie. Niedługo trzeba iść do szkoły.

Gdy tylko chłopcy wyszli i wsiedli do windy, otwiera schowek w przedpokoju i wyjmuje wciśniętą w kąt jasnobrązową skórzaną walizkę, którą w połowie wypełniają rajstopy, majtki, sukienki, spodnie i bluzki. Z poprzedniego razu, kiedy zdecydowała, że odejdzie, a potem jednak została. Fragmenty życia. Potem idzie do pokoju Vincenta i wypełnia drugą połowę walizki jego rzeczami. Nagle słyszy z kuchni szum wody ciekącej z kranu – Ivan wstał. Nieruchomieje.

Odgłos szklanki wstawianej do zlewu. Potem kroki do sypialni. Ciche skrzypnięcie zamykanych drzwi.

Britt-Marie czeka, nasłuchuje. Cisza.

Z walizką w ręce przemyka do przedpokoju i stawia ją obok szafki na obuwie. Potem wraca do Vincenta i podnosi go ostrożnie z łóżka.

Ręka sięga do kieszeni kurtki. Gdzie są kluczyki do samochodu?

Pewnie w kuchni, na stole.

Z Vincentem w objęciach idzie do kuchni, jej buty lekko stukają. Kluczyki leżą obok popielniczki. Bierze je i odwraca się, żeby wyjść.

– Co to ma być?

Ivan. Stoi w drzwiach z jej brązową walizką.

– Co to ma znaczyć? – pyta szeptem, wywracając jednocześnie walizkę i wysypując z niej rzeczy na podłogę. Na wierzchu stosu ubrań między przedpokojem a kuchnią leży biała halka. Ivan pochyla się i podnosi ją dwoma palcami, jakby była brudna. Następnie rzuca ją za siebie, nie spuszczać z oczu niczego, co jest przed nim.

– Co chcesz zrobić z moim synem?

Mały czerwony T-shirt trzyletniego dziecka.

– Zaniesiesz teraz mego syna z powrotem do pokoju i położysz go do łóżka, tak żeby się nie obudził. N a t y c h m i a s t. Słyszysz, Britt-Marie?

Ivan stoi w progu i dalej mówi szeptem. Jego ogromne ciało wypełnia całe drzwi. Ustępuje nieco na bok, kiedy Britt-Marie przeciska się obok niego i idzie do pokoju Vincenta. Kładzie go do łóżka i starannie przykrywa. Mały porusza się niespokojnie, gdy poprawia mu poduszki.

Później Britt-Marie przykłada w przedpokoju i zbiera z podłogi swoje ubrania. Majtki i zielona sukienka z rękawami w żółte pasy to ostatnie rzeczy, które wkłada do walizki. Przyciskając ją do siebie, idzie do drzwi wejściowych.

– Dokąd się wybierasz?

Ivan zagradza jej drogę. Rozpościera ramiona – gest, który ją przytłacza, osacza i niszczy.

– Pójdziemy teraz do kuchni i usiądziemy przy stole, który razem kupiliśmy.

I n i s z c z y.

– Pomówimy. Tylko chwilę.

– Nie mamy o czym mówić.

– Musimy pomówić, Britt-Marie. Ty i ja.

– Jesteś głuchy, Ivan? Nie rozumiesz, co ci powiedziałam? Nie mamy o czym mówić.

Ivan podnosi rękę jak poprzedniego wieczoru i potrząsa nią przed jej twarzą.

– Mam trzech synów, prawda? Trzech wspaniałych synów! Ja mam dobrą pracę. I ty masz dobrą pracę. I my... Britt-Marie, mamy to tutaj. Żyjemy... tutaj.

Jego szorstka dłoń głaszcze jej policzek.

– To ty mnie nie rozumiesz, Britt-Marie. Posłuchaj, kochanie. To bardzo ważne, żeby nasi synowie umieli się bronić.

Teraz głaszcze ją delikatniejszą, wierzchnią stroną dłoni.

– Czego ty właściwie chcesz? Nie rozumiem cię, kochanie. Co mam zrobić? Dlaczego chcesz to wszystko... zniszczyć?

– To nie ja wszystko niszczę, Ivan.

Delikatnie zakłada jej za ucho długie włosy.

– Być może posunąłem się wczoraj za daleko. Ale przecież rozumiesz dlaczego. Tak czy nie? Wiesz przecież, o co mi chodzi. Kocham naszych synów. Kocham Leo. Kocham... n a s z e g o syna.

Jego szepot przechodzi w coś w rodzaju syku.

– Wścieklem się, przynajmniej! Ale ojciec Hassego stał tu w przedpokoju... i stawiał żądania. Uważał, że to akurat my powinniśmy go przeprosić! Rozumiesz chyba, że doprowadził mnie do furii, prawda?

Przesuwa palcem po jej wargach.

– Następnym razem będę bardziej opanowany, wezmę się w garść, kochanie. Obiecuję.

Britt-Marie patrzy mu w oczy.

– Ja...

Przyciska do siebie walizkę jeszcze mocniej.

– ...odchodzę.

– Jak to?

Otwiera drzwi.

– I co potem? Jak odejdziesz? Co będzie z moją rodziną? Z moimi chłopcami?

– Już za późno.

– Kochanie... ja...

– Ivan, ja odchodzę. Musisz się z tym pogodzić.

Nagle wszystko się zmienia. On chwytą ją za ramię, odrywa jej rękę od klamki i atakuje słowami:

– Myślisz, że możesz tak po prostu sobie odejść? I jeszcze zabrać ze sobą jakieś rzeczy? Nic z tego!

Ciągnie ją za ramię i popycha pod ścianę. Przytrzymując ją jedną ręką, drugą przeszukuje kieszenie jej kurtki. Po chwili podtyka jej pod nos błyszczące kluczyki do samochodu.

– Samochód zostanie tutaj. Zrozumiano?! Nie zabierzesz go, bo nic tutaj nie jest twoje. Nic a nic!

Druga kieszeń. Jej portmonetka. Wysypuje z niej banknoty i monety.

– To nie twoje pieniądze – mówi.

– Połowa jest moja.

– Tu w ogóle nic nie jest twoje!

– Pół samochodu i połowa pieniędzy są moje.

Ivan puszcza ją, a ona jakby zapada się w sobie. Potem biegnie do ściany, na której są jego narzędzia. Zdejmuje z niej wiszącą na honorowym miejscu szablę i wyjmuje z pochwy błyszczącą broń.

– Połowa?

Klinga polyskuje jak kluczyki do samochodu, kiedy nią tak wymachuje.

Odwraca się do kosza na jej ścianie i przecina go na pół. Na podłogę spadają dwie pary rękawiczek i czapka.

– Proszę bardzo. Skoro od nas odchodzisz, to podzielimy wszystko.

Z wyciągniętą przed sobą szablą biegnie boso przez przedpokój i wpada do pokoju Vincenta.

– Połowa.

Britt-Marie jeszcze nie wszystko rozumie, wyczuwa jednak zagrożenie i natychmiast rusza za nim.

– Dzielimy wszystko.

Zrywa z Vincenta kołderkę i rzuca ją na podłogę. Nagi trzyletni chłopiec obraca się na bok, podciąga nogi, drapie się w nos i policzek, ziewa.

– W s z y s t k o.

Klinga szabli uniesiona nad dzieckiem. Nad Vincentem.

– Skoro od nas odchodzisz, Britt-Marie, zmuszasz mnie do podzielenia wszystkiego.

Ona czuje jego oddech, szybki i nierówny, pełen desperacji i agresji.

– Jedna połowa dla ciebie i jedna dla mnie.

– Ty szepczesz.

– Dzielimy wszystko, Britt-Marie, dokładnie jak chcesz, to twoja decyzja.

– Ivan, ty szepczesz. Dlaczego? Bo boisz się go obudzić? Gdybyś naprawdę chciał go rozrząbać na dwa kawałki, tobyś nie szeptał.

On poci się, drży, ostrze szabli spoczywa na nagiej skórze Vincenta.

– Kiedy zobaczyłeś nóż, Ivan, popędziłeś boso na dwór. Bałeś się, że stracisz jednego z synów.

Jej spojrzenie nie spoczywa już na Vincencie, który ziewa i przewraca się na drugi bok. Jej spojrzenie spoczywa na kimś, kto jest o wiele mniejszy.

– Nie zrobisz tego, Ivan, bo wiem, że go kochasz.

On drży jeszcze mocniej, a potem jego uchwyt słabnie.

Ona, nie patrząc na niego, opuszcza pokój, mieszkanie, dom. Nie słyszy, jak Ivan powoli osuwa się na podłogę, jak wypuszcza szablę z ręki i jak płacze – jak ktoś, kto jeszcze nigdy w życiu nie przelał ani jednej łzy.

Szkolny dziedziniec jest pusty, a przynajmniej ta jego część, która leży najwyżej i którą Leo widzi teraz jak na dłoni.

Siedzi na długiej drewnianej ławce, oparty plecami o ceglany mur czwartoklasistów. Żuje gumę o smaku malinowym, a jednocześnie szuka w torebce innej, żółtej, która w pierwszych sekundach smakuje kwaśno, a zaraz potem słodko. Później wybiera brązowe słone lukrecje przypominające wyglądem królicze bobki. Je można żuć najdłużej.

Podobnie jak przez długie ostatnie tygodnie siedzi i wypatruje. Jak Indianin na wzgórzu obserwujący leżącą pod nim dolinę. Ma przed sobą dziedziniec szkolny siódmo-, ósmo- i dziewiątoklasistów. Pośrodku maszt na flagę i kąt dla palaczy. Mimo chłodnego marcowego wiatru sterczy tam grupka uczniów bez kurtek – siódmoklasiści, trzy dziewczyny i trzech chłopaków. Nie zna ich. Tych dwóch, których wypatruje, nie ma tam już od pewnego czasu.

Hasse i Kekkonen.

Zadaje sobie pytanie, czy ojciec Hassego dalej jeszcze drży. Jego tata drżał od środka, a gdy pojawił się ojciec Hassego, przestał. Drżenie przeniosło się na kogoś innego.

Rozlega się obrzydliwy szkolny dzwonek, który nie ma końca.

Leo strząsa z kurtki ceglany pył i chociaż idzie szybko, ledwo zdąża przed początkiem lekcji.

Na korytarzu gwałtownie otwierają się drzwi pierwszej klasy i wypada z nich jego młodszy brat.

– Felix! Poczekaj!

Spoglądają na siebie, a potem Felix pędzi dalej, przecina boisko, ulicę. Wprawdzie jest szybki, lecz nie tak szybki jak Leo, który dopada go po drugiej stronie parkingu.

– Ona musi tu jeszcze być, Leo.

Podchodzi do czerwono-białego dodge'a, minibusa mamy i taty, rzuca na ziemię swój worek gimnastyczny i podskakuje, aby zająrzeć do środka przez szybę od strony pasażera.

– Przecież zabrałaby samochód, no nie?

Dopiero teraz patrzy dłużej na starszego brata i czeka na potwierdzenie.

– Wybierz sobie coś.

Leo podtyka mu torebkę ze słodyczami. Guma owocowa, królicze bobki, białe myszki i duże kolorowe pianki puszyste jak gąbka.

Leo nie potakuje.

Felix puszcza się pędem dalej, przecina kłujące zarośla, pędzi asfaltową alejką i wpada do windy. Leo dobiega, gdy jej drzwi właśnie się zamykają.

– No masz. Weź sobie, co chcesz. Kupiłem te słodycze za pięćdziesiątkę, którą dostałem od taty, gdy przyłożyłem Hassemu w nos.

Leo się uśmiecha i udając, że Feliksowi też da w nos, podsuwa mu torebkę.

– Felix?

Torebka pełna słodyczy, a on nawet na nią nie patrzy.

Wychodzą z windy i idą do mieszkania. Felix zatrzymuje się przed wieszakiem na ubrania i podskakuje, jak niedawno przy samochodzie. Płaszcz mamy, jej rękawiczki i cienka chustka, którą kupiła sobie, kiedy byli na Wyspach Alandzkich, i którą często nosi – wszystko zniknęło.

– Mamo?

Kuchnia jest pełna brudnych naczyń, na płycie stoją puste butelki i otwarta torebka cukru. Łóżka w sypialni nie są posłane, a rolety opuszczone.

– Mamo!

W pokoju do pracy lampa z kloszem z papieru ryżowego, pokój Feliksa i Leo wygląda jak zawsze.

– Mamo!

Vincent siedzi z tatą na dywanie w swoim pokoju. Wśród rozstawionych żołnierzyków i klocków Lego. Chyba właśnie coś budują. Tata trzyma papierosa w jednej ręce, a drugą podaje synowi klocki, które on wciska po kolei w długim szeregu na czterokątnej podstawie.

– No, chłopaki?

Długa ręka taty przecina gęstą chmurę dymu i wachluje w ich kierunku trochę świeższego powietrza, którym można jako tako oddychać, chociaż i tak za chwilę cały pokój jest znowu w dymie.

– Chodźcie, chłopcy, usiądźcie z nami!

– Gdzie jest mama?

– Usiądźcie.

– Chcę wiedzieć.

– Najpierw usiądź, Felix.

Tata robi zamaszty ruch ręką i przewraca ostatnie stojące jeszcze żołnierzyki oraz domek z klocków.

– Nie ma jej.

– A gdzie jest?

– Już tu nie mieszka.

– Gdzie teraz jest?

– Nie wiem.

– Gdzie jest mama?

– Ukrywa się.

Obejmuje ich za szyje muskularnymi ramionami, jak zawsze, kiedy napije się swojego słodzonego wina.

– A może wy wiecie, gdzie się ukrywa? Może coś wam powiedziała, zanim poszliście do szkoły? No, powiedziała wam coś?

Felix odwraca głowę i wpatruje się w dywan.

– Felix? Wiesz coś?

Felix, który krzychał wtedy „Tato, nie!” i z desperacją walił pięściami w drzwi łazienki.

– Nie wolno ci mnie okłamywać, Felix. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę? Nigdy nie wolno okłamywać taty. A ja widzę po tobie, że coś wiesz.

Pierwsze łzy.

– Nie płacz, Felix.

Coraz więcej łez.

– Popatrz na mnie, Felix. Ona mnie zdradziła. Mama mnie zdradziła!

Łzy płyną, chociaż tego nie chce.

– Odeszła od nas. Rozumiesz? Ale my nie płacemy. Bo to ona powinna płakać. Powiedz mi tylko, gdzie jest, to ją znajdziemy i przyprowadzimy do domu. Ty i ja, i Leo, i Vincent. Wszyscy razem.

Leo najbardziej zaskakuje siebie samego, kiedy otwiera usta; nie może już dłużej patrzeć, jak Felix się męczy.

– Ona jest... u babci i dziadka.

Samochód zatrzymuje się i rusza. Zatrzymuje się i rusza.

Stopy taty to na hamulcu, to na gazie, ześlizgują się z pedałów, płaczą, nie trafiają na właściwy. Wreszcie tata, kręcąc zamasyżuje kierownicą, odjeżdża, najpierw bez Vincenta, który zostaje samotny na parkingu. Dopiero po chwili dociera do niego, dlaczego jego dwaj pozostali synowie, którzy zdążyli w ostatnim momencie wskoczyć do środka, krzyczą „Tato, stój!”. Wtedy raptownie hamuje i cofa na pełnym gazie.

Podczas jazdy żaden z chłopców się nie odzywa z obawy, by nie wylądować na poboczu ani nie znaleźć się po przeciwnej stronie jezdnii. Leo bardzo dobrze pamięta swój strach, gdy pewnego popołudnia jechali na flakach trzydzieści kilometrów do Södertälje, i przerażenie, kiedy ich poprzednie auto wpadło w poślizg przed centrum handlowym i wylądowało na dachu, a on był pewien, że tata się zabił. Dlatego teraz milczy i daje znać Feliksowi i Vincentowi, żeby też nic nie mówili, gdy tata zatrzymuje się raptownie przed Centrum Farsta, idzie do sklepu monopolowego, a później wraca, otwiera butelkę z wizerunkiem czarnego ogiera i jedzie dalej. Potem nie jest już daleko – wiadukt nad Nynäsvägen i obok wysokiego wzgórza, które mogłoby być dobrym punktem obserwacyjnym dla Indian, później w dół zboczem, które zdawało się nie mieć końca, aż do tablicy z napisem Stora Sköndal.

Zatrzymują się.

Tata opuszcza szybę w swoich drzwiach, wiatr wieje mu w twarz, on zaś opróżnia butelkę do dna, a kiedy rzuca nią w tablicę, rozlega się metaliczny huk. Leo otwiera oczy. Jazda się skończyła. Tata wpatruje się w leżącą w wysokiej trawie pustą butelkę. Felix i Vincent mają wciąż zacisnięte powieki. Dwadzieścia pięć metrów dalej widać kilka małych domków z ogródkiem. W oknach ozdobionych koronkowymi firankami stoją doniczki z kwiatami.

Dom dziadka i babci leży pośrodku, za trzyczęściowym żywopłotem z krzewów malin. Leo bardzo go lubi. Tam nikt na niego nie krzyczy, z radia płyną wiadomości albo muzyka klasyczna, w pokojach pachnie świecami, a okruchy ze stołu są zawsze posprzątane.

Między nogami taty, blisko pedału gazu, leży reklamówka z jeszcze jedną butelką. Tata otwiera ją i pociąga trzy, cztery, pięć, sześć łyków.

– Jeżeli nie będzie chciała jechać z nami...

Kolejnych sześć, siedem łyków.

– ...to wiesz, co masz zrobić.

Przekrzywia lusterko wsteczne i patrzy na siedzącego na tylnym siedzeniu Feliksa przenikliwym wzrokiem.

– Bo... Leo nie może. Rozumiesz? Jest za duży. A Vincent jest jeszcze za mały. Dlatego ty musisz to zrobić.

Felix patrzy na niego, aż w końcu nie może wytrzymać i spuszcza głowę.

– Spójrz na mnie.

Jeśli utkwisz wzrok w wycieraczkę na podłodze, to może nie usłyszysz słów taty.

– Felix?

Tata odwraca się i czeka, aż wycieraczka zamieni się w zagłówek, a zagłówek w niego.

– Musisz spojrzeć na nią, tak jak ja teraz patrzę na ciebie, i jeszcze raz zadać to pytanie. Zawsze trzeba dać człowiekowi ostatnią szansę. A potem podejdziesz do niej bardzo blisko i to zrobisz.

Tata strzela palcami. Nikt nie potrafi strzelać palcami tak głośno jak on.

– Jeśli nie zrobisz tego dokładnie tak, jak ci mówiłem, mama nie zrozumie, że wszyscy do siebie należymy i musimy być razem.

Obraca się w stronę Leo.

– Mam rację, Leo?

Leo nie reaguje.

– M a m r a c j ę?

Oczy, które nigdy się nie poddają, nigdy nie ustępują. W końcu Leo potakuje.

Dziesięć, jedenaście, dwanaście i jeszcze więcej łyków, po czym tata otwiera drzwi samochodu i wysiada.

Na roboczym kombinezonie ma koszulę w kratę, z jednej z wielu kieszeni wystaje czerwona rękonoża Mora, z innej metrówka. Zataczając się po ulicy, wymachuje rękami do swoich synów, aby szli za nim. Przechodzą przez przydrożny rów, wchodzą do ogrodu, mijają dużą czereśnię, na której czubek Leo lubi się wspinać, a potem idą między krzewami malin, które nie mają jeszcze liści.

– Ja zostanę tutaj.

Tata trzyma się kilku cienkich gałęzi, które łamią się za każdym razem, gdy tylko traci równowagę.

– A wy idźcie dalej.

Vincent chwytając Leo za rękę, Felix wciąga głowę między ramiona.

– Leo! Felix! Vincent! Do przodu. Pamiętajcie, jak się umówiliśmy.

Dom jest biały. Pięć schodków prowadzi do drzwi wejściowych z małym okienkiem z mleczną szybą i mosiężną tabliczką, którą przykręcił kiedyś dziadek i na której jest napisane AXELSSON. Wcześniej nazywała się tak mama. Dzwonek ma przyjemniejsze brzmienie niż wszystkie inne, dwa powtarzające się tony, brzmi zupełnie inaczej niż u nich w domu czy dzwonek szkolny, który wwierca się w mózg.

Nikt nie otwiera. Vincent trzyma się kurczowo ręki Leo. *Nie ma jej*. Na karku czuje nerwowy oddech Feliksa. *Nie ma jej!*

Zbiegają z powrotem ze schodów, ale tata wymachuje do nich w malinach, aby zawrócili i zadzwonili jeszcze raz.

Nikt nie podchodzi. Dzwonią. Nikogo... Dwa tony raz za razem. I znowu. Nikt...

Nagle drzwi się otwierają. Dziadek. Jego oczy nie są tak pogodne jak zawsze.

– Czy... jest mama?

Dziadek szuka wzrokiem ponad ich głowami.

– A gdzie wasz tata?

Wychodzi na schodki.

– Jest w samochodzie, dziadku.

– W samochodzie?

– Chcieliśmy porozmawiać z mamą.

Dziadek rozgląda się i szepcze:

– No to wejdźcie do środka.

– Wolelibyśmy tutaj, dziadku.

Dziadek nie bardzo rozumie, zresztą tak samo jak i oni. Mierzy wzrokiem Leo, najstarszego, który starał się powiedzieć to, co polecił mu tata. Potem spogląda na Vincenta, który trzyma za rękę swojego dużego brata i robi wrażenie jeszcze mniejszego, gdy się do niego przyciska. Felix stoi z rękami w kieszeniach kurtki kilka kroków za nimi i wpatruje się w ziemię.

– Proszę, dziadku.

– No dobrze. Poczekajcie chwilę.

Wraca do środka i dokładnie zamyka za sobą drzwi. Czas mija powoli. Godzina. Jeszcze jedna godzina.

Leo zerka na brzydkie wskazówki swojego zegarka.

Dwie godziny. Tak mu się wydaje. Dwie minuty.

Potem coś słyhać.

Ktoś idzie powoli po schodach z piwnicy, gdzie jest pokój z łóżkiem dla gości, tak szerokim, że zazwyczaj spali w nim wszyscy trzej. Drewniane stopnie są gładkie i dudnią głucho, kiedy się po nich stąpa.

Mama. Uśmiecha się. Jest szczęśliwa i jednocześnie wystraszona. Tak jak dziadek rozgląda się dookoła i wychodzi przed drzwi.

– Nie ma go tutaj, mamó.

Ona obejmuje ich po kolei.

– Mamó?

Leo koncentruje się na słowach, które tata kazał mu powiedzieć. Żeby nie było słyhać, jak bardzo ma ściśnięte gardło.

– No co, synku?

– Wróć z nami do domu.

Potrząsa głową, a jasne włosy spadają jej na czoło i oczy.

– Nie mogę.

– Proszę.

– Nie teraz. Wszystko będzie dobrze. Później.

– Mamo, proszę, proszę.

– Leo, posłuchaj. Wszystko będzie dobrze. Za kilka dni znowu będziemy razem. Rozumiesz?

Przykuca i bierze w ramiona Leo i Vincenta, tuli ich mocno. Ale Feliksa nie ściska. Ponieważ cofnął się i mama nie może go dosięgnąć. Tylko on może to zrobić, bo Leo jest za duży, a Vincent za mały.

Po chwili Felix podbiega do niej, a gdy ona rozkłada ramiona, on odchrząkuje, patrzy na nią...

I pluje.

Placze i znowu pluje. Ciepła ślina, która długo zbierała mu się w ustach, spływa z jej czoła po policzku i niżej, na szyję.

Felix stoi przed nią z zamkniętymi oczami, dygocze całą i płacze. Mama przytula go do siebie. Dwa razy splunął jej w twarz, a ona mimo to go obejmuje. W końcu odrywa się od niej, chce uciec od tej śliny na jej twarzy, brodzie. Słyszy, jak Leo i Vincent biegną za nim. Drewniaki najmłodszego brata stukają po asfalcie. Po drugiej stronie drogi stoi samochód, w otwartym oknie widać twarz taty.

Felix wypluwa resztki śliny, potem otwiera tylne drzwi i czeka, aż Leo otworzy przednie i usiądzie z Vincentem na kolanach na fotelu obok kierowcy.

– I co powiedziała?

Łyk z butelki. Piętnasty? Dziewiętnasty? Nie liczyli wszystkich. I jeszcze jeden. Potem tata odwraca się do niego.

– Powiedziała coś?

– Ona...

– Pytam Feliksa.

Ślina. Ma jej coraz więcej. Pełne usta.

– Felix?

– Nie.

– W ogóle nic nie powiedziała?

Trudno jest mówić, jak ma się tyle śliny w ustach. Mimo to próbuje.

– Nic.

– Cholera, przecież powinna...

– Przytuliła mnie.

Felix przelyka. Teraz jest mu łatwiej.

– Mama mnie uścisnęła. Mocno. Potem.

Jest noc, przynajmniej tak się Feliksowi wydaje. W oknie nie ma ani zasłonek, ani rolet. Nie są konieczne – na siódmym piętrze i tak nikt nie może zajrzeć do mieszkania. W zimowych miesiącach niebo jest czarniejsze, a księżyc i gwiazdy świecą jaśniej. Leżąc w łóżku, Felix ma poczucie, że są bardzo blisko i że wystarczy otworzyć okno, aby móc ich dotknąć.

Felix lubi widok nieba, lecz nie znosi samego siebie.

Nie podoba mu się też, że leży tak i nie może zasnąć, poci się i ciężko oddycha. A najmniej mu się podoba, że wciąż czuje obejmujące go ramiona mamy. Jakby się do niego przykleiły. Czy to możliwe? Próbuje się ich pozbyć, strząsa je, uderza, w końcu drapie paznokciami. A przecież to ona powinna była uderzyć jego. Splunął jej w twarz, odchrząknął i splunął znowu! A ona wtedy go objęła. Felix ją bije, wali w jej ramiona i trafia w siebie. Choć okłada się mocno, nie czuje najmniejszego bólu, nic a nic. Znajduje się między jawą a snem, mimo to słyszy dochodzące z kuchni odgłosy. Tata bełkocze i jego słowa jak zwykle trudno zrozumieć. Co jakiś czas Leo odpowiada mu krótko.

Felix znowu w nią wali. Mocniej. Rozdrapuje jej przedramiona oboma kciukami, bo ich paznokcie są najostrzejsze. Mama wciąż go ścisza i ścisza, wreszcie trochę puszcza, a wtedy on się wyslizguje, wypelza z łóżka i czołga się do przedpokoju. Zatrzymuje się przed progiem kuchni, zagląda do środka.

Tata siedzi plecami do drzwi na swoim krześle. Leo jest do niego zwrócony lewym bokiem. Pałą są wszystkie lampy, nawet jaskrawe oświetlenie nad płytą i zlewem jest włączone.

Tata. Leo. Światło. I środek nocy. Ale to nie jest takie dziwne.

Najdziwniejsze jest to, co Felix widzi na stole.

Na samym środku stoi zamknięty zielony kanister na benzynę i dwie puste butelki po winie, obok leży lejek i zapalniczka.

Felix nigdy dotąd nie widział tych przedmiotów w kuchni na stole, w każdym razie nigdy jednocześnie. Podczołguje się bliżej i opiera łokciami o próg, aby zobaczyć dokładniej.

Nagle tata wstaje i rusza do drzwi.

Felix szybko wycofuje się w ciemny kąt i przyciska się do ściany, wstrzymując oddech. Tata przechodzi obok niego, nie widząc go.

– Leo? – woła przez ramię.

Felix wyciąga szyję. W sypialni rodziców tata ściąga powłoczkę z poduszki mamy.

– Leo, przygotuj lejek! Słyszalesz?

Tata przykładła powłoczkę do nosa, wdycha jej zapach. W rogu są wyhaftowane inicjały mamy. Tata stoi tak i wciąż głęboko powietrze; nie zauważa, że jest obserwowany.

– Potem trzeba wcisnąć to, na ile się da, w szyjkę butelki.

Jego wielkie stopy w drodze do kuchni prawie nadeptują na Feliksa. Tata bierze butelkę do ręki i pokazuje swoimi typowymi, zamaszystymi gestami, o co mu chodzi.

– Kiedy byłem mały, robiliśmy to nie z butelkami, a z gęsiami. Razem z braćmi wpychaliśmy im jedzenie w ich cholernie wąskie ptasie gardła, a one od tego rosły i były tłuste i smaczne.

Felix uderza łokciem o próg, aż echo roznosi się po całym mieszkaniu. Znowu wstrzymuje oddech i patyka oczyma. Pewnie tata teraz się odwróci. Na szczęście chyba nie usłyszał, bo nic się nie dzieje.

– Ty nie masz pojęcia o takich rzeczach, Leo, ale ja się na tym znam i zaraz wszystko ci wyjaśnię i opowiem. Słuchasz mnie, Leo? Cztery tysiące lat temu żydzi jako pierwsi zaczęli hodować gęsi. Byli wtedy niewolnikami i pracowali w Egipcie dla faraona, który lubił gęsie wątróbki. Nie chciał jeść nic innego, tylko wciąż wątróbki, wątróbki i wątróbki. Żydzi nie mieli wyjścia i musieli znaleźć jakiś sposób, żeby móc szybko tuczyć gęsi. Zaczęli więc wpychać im jedzenie do gardła. Robili to za pomocą takich długich kijów. Bo ten faraon był nienasycony. Jest też pewien Hiszpan, tak mi się przynajmniej wydaje, że to Hiszpan. Ale ten gość kocha swoje gęsi. Rozmawia z nimi i daje im owoce z własnego ogrodu. Stworzył istny raj dla gęsi! I każdej jesieni, kiedy inne gęsi odlatują do Afryki, czy gdzie one tam fruną, jego gęsi urządzają istne przedstawienie. Gęgają tak głośno, że te przelatujące nad nimi zatrzymują się, słowo daję, Leo, lądują i zostają w rajku dla gęsi.

Tata odkręca niezdarne nakrętkę kanistra i pochyla go w kierunku lejka tkwiącego w pustej butelce.

– On daje im swoją miłość. Dokładnie tak samo jak ja. On tworzy klan. I wtedy... wtedy się zostaje.

Nagle po mieszkaniu rozchodzi się przenikliwy zapach benzyny.

– Trzymaj porządnie tę butelkę, Leo. Obydwoma rękami.

Leo trzyma butelkę obiema rękami, a kiedy tata nalewa ostrożnie benzynę, czarny ogier na etykiecie staje dęba.

– Nigdy więcej niż do połowy. To ważne.

Tata sprawdza, czy w butelce jest dość benzyny. Wącha znowu powłoczkę z poduszki mamy, potem chwytą ją w obie dłonie i drze na kawałki. Fragment z inicjałami mamy składa w kwadrat i nasycą benzyną.

– Wyobraź sobie, że to taka cholernie wąska gęsia gardziel. Teraz musisz to wepchnąć do środka.

Tata wsuwa materiał po kawałku do butelki, aż dotyka on benzyny.

– Widzisz? Nigdy nie wolno wpychać do samego końca. Bo jak potem to zapalisz... – tata gestami wyobraża wybuch i głosem naśladuje huk – ...eksplozja nastąpi za wcześnie. Kiedy materiał już się pali, ty wciąż trzymasz butelkę, i to pionowo. Potem rzucasz ją przed siebie, jakbyś chciał komuś przyłożyć.

Tata obchodzi dwa razy stół w kuchni, trzymając przy tym butelkę w wyciągniętej ręce. Ma wysunięty podbródek i dolną wargę i mówi, posykując, jak to często robi, gdy jest pijany i jakby nieobecny.

– Bo my... to nie Axelssonowie.

Potem myje ręce, zapala papierosa bez filtra i otwiera kolejne wino.

– Rozumiesz? Ty nigdy nie będziesz jakimś tam cholernym Axelssonem!

Pije jeszcze szybciej niż zwykle.

– Coś ci powiem. Kiedy poznałem twoją matkę, w ogóle jej nie chciałem. Była ładna, to na pewno, ale powiedziałem jej, powiedziałem dokładnie tak: „Nie chcę cię. Bo miłość to zdrada”.

Tata z otwartym winem w jednej ręce i kanistrem z benzyną w drugiej przechodzi obok Feliksa w kierunku wieszaka z ubraniami.

– Wiesz, co mi odpowiedziała, Leo? Powiedziała: „Nigdy cię nie zdradzę, Ivan”.

Jego kurtka wisi na wieszaku, a buty stoją na wycieraczce.

– Tak właśnie mi powiedziała. Dosłownie! A ja wtedy spytałem: „Dlaczego jesteś taka pewna?”.

I wiesz, co od niej wtedy usłyszałem, Leo? Wiesz?

Tata zdejmuje z wieszaka także kurtkę Leo i rzuca ją w kierunku stołu w kuchni, przy którym nadal siedzi najstarszy syn.

– Powiedziała tak: „Gdybym kiedykolwiek cię zdradziła, Ivan, to możesz mnie zabić”.

Leo liczy sekundy. Sześć sekund od raptownego hamowania do włączenia nieprawidłowego biegu, dwanaście sekund między napadem złości, bo samochód przed nimi jechał za wolno, a zakrętem, który okazał się węższy, niż tata go pamiętał, dziewięć sekund między niecierpliwym trąbieniem klaksonu a wysunięciem się samochodu za nimi na lewy pas.

Zatrzymują się w tym samym miejscu co po południu. I chociaż jest ciemno, Leo rozpoznaje przysadzisty komin na domu, który pod gałęziami czereśni robi wrażenie tak małego, że niemal znika za rozrośniętymi krzewami malin. Siedzą w milczeniu i patrzą przed siebie, jakby wspięli się na jakieś wzniesienie i spoglądali teraz na dolinę.

Na kolanach foliowa torba.

Choć nie jest szczególnie ciężka, Leo musi siedzieć bez ruchu, aby butelka była w pozycji pionowej.

Najgorszy jest ten zapach. Opary benzyny wdzierają się do nosa i mózgu. Nie wiedział dotąd, co to jest koktajl Mołotowa.

Czuje, że się trzęsie. Tata przekazał mu to drżenie, jak wtedy ojcu Hassego.

– Leo, niezależnie od tego, co się stanie, pamiętaj, że cię kocham.

Drżenie, którego tak bardzo się boi.

– Tato?

– Tak?

– Musimy to zrobić?

Leo powstrzymuje mruganie powiekami, aż zaczynają boleć go oczy.

– Tak.

– Ale jeśli...

– Najpierw z nią porozmawiamy.

– A jeżeli nie będzie chciała rozmawiać?

– Wtedy to ona zdecyduje, co się stanie.

Tata otwiera drzwi i wysiada. Chwieje się, łapie w ostatniej chwili za boczne lustro i odzyskuje równowagę. Czeka, aż Leo też wysiądzie.

Lecz on zostaje w samochodzie.

I wpatruje się w swój zegarek z brzydkimi wskazówkami. Szesnaście minut i dwadzieścia cztery sekundy po pierwszej. Leo wie, jak to działa, wie, że jak kontroluje się czas i wpatruje w zegarek, wtedy mniej się czuje. Zawsze tak robi, gdy ściga się z Feliksem, roznosząc prospekty reklamowe po klatkach w bloku. Liczy sekundy, żeby zapomnieć o zmęczeniu.

Tata nic nie mówi. I nie musi. Tylko wyciąga rękę i nie opuszcza jej tak długo, aż Leo się w końcu nie podda – przyciskając butelkę z benzyną do piersi, wstaje i wychodzi z samochodu. Zapomniał już, że ręka taty jest taka szorstka, bo od lat jej nie dotykał.

Droga do domu dziadków wydaje się długa. Tata wykonuje takie same nieskoordynowane ruchy jak przed chwilą podczas jazdy. Poza tym zatacza się, potyka, gubi kierunek. Mimo to w końcu podchodzą blisko. Ścieżka między krzewami malin tonie w ciemnościach. Dziadek jest dumny z tych malin, bo są większe niż u innych, a ich czerwień jest cieplejsza – to jakaś stara, wyjątkowo słodka odmiana.

– Britt-Marie!

Tata ściska rękę Leo i przepędza ciszę, ale nie ciemność.

– Britt-Marie!

Leo wysuwa lewe ramię do światła lampy nad drzwiami wejściowymi i obserwuje brzydkie wskazówki swojego zegarka. Dziewiętnaście minut i pięćdziesiąt dwie sekundy po pierwszej. Najpierw światło zapala się w sypialni dziadków. Potem pojawia się też w dużym pokoju – lampa stojąca z abażurem w kwiaty, którą można przesunąć albo do fotela, albo do kanapy.

– Wynoś się! – woła dziadek, otworzywszy okno. – Jest środek nocy, Ivan, wracaj do domu!

Dziadek mierzy wzrokiem najpierw Ivana, a potem Leo, aż ten odwraca wzrok.

– Britt-Marie! Wyjdź do nas, Britt-Marie! Twoje miejsce jest gdzie indziej!

– Zadzwoń na policję, Ivan.

– Ty? Cholerny Axelsson?

– Jak stąd nie pójdziesz, zadzwonie!

– Britt-Marie, chodź z nami! Ona ma wrócić do domu, do swojej rodziny!

– Zamykam okno, a jeśli się nie wyniesiesz, zaraz zadzwonie. Zadzwonie na policję.

Dziadek rzeczywiście zamyka okno i gasi światło. Tata dopiero teraz puszcza rękę Leo i wygraża dziadkowi i jego domowi uniesioną pięścią.

– Britt-Marie! Nie siedź tam! Wyjdź! Wróć do swojej rodziny! Do twoich dzieci! Do mnie!

Okno pozostaje zamknięte, w domu jest ciemno. Tata bierze od Leo plastikową torbę i wyjmując z niej butelkę.

– Wyjdź, słyszysz! Bo inaczej cię spalę! I spalę całą tę cholerną budę!

Tata próbuje podać butelkę Leo, lecz ramiona chłopca zwisają bezwładnie.

– Leo... musisz celować w okno piwnicy.

Jego ramiona nadal są martwe. Leo nie bierze od ojca butelki i nie patrzy na niego, tylko spogląda na ziemię i na trawę.

– Wypędzimy ją z tego domu ogniem. Rozumiesz?

Tata wyjmując z kieszeni na piersi zapalniczkę i przysuwa płomień do szyjki butelki, w którą wetknięta jest nasyciona benzyną szmatka. Wystaje jak pióropuszc i od razu zapala się złotym i pomarańczowym światłem.

– Britt-Marie! To twoja decyzja! To jest...

Ruchy taty są powolne i Leo wie, że nigdy ich nie zapomni, chociaż w tej chwili zlewają się przed jego oczami z gołymi gałęziami kołyszającej się czereśni.

Tata trafia w okno pokoju w piwnicy, w którym zazwyczaj nocują, kiedy są u dziadków w odwiedzinach i nie mają najmniejszej ochoty wracać do domu. Mija prawie cała minuta, Leo nie jest tego pewien, bo liczy sekundy: od rozbicia szyby do rozszerzenia się ognia. Ten głuchy poszum. Małe płomienie, które łączą się ze sobą i polykają wszystko.

Tata już nie krzyczy. Nie rusza się. Nawet nie drży.

Okno piwnicy jest teraz jasno rozświetlone. Innym światłem niż tym od lamp, bardziej złotym. Ogień pożera krzesła i łóżko, i coś jeszcze.

Potem otwierają się drzwi do piwnicy.

Dziadek rzuca duży dywan na płomienie, i jeszcze jeden. Babcia i mama uwijają się z zielonymi i niebieskimi wiadrami, polewają ogień wodą.

– Leo, uciekamy!

W domu dziadków wciąż wszyscy biegną tam i z powrotem. Napędzają wiadra wodą w pralni.

– Teraz.

Dwie brzydkie wskazówki. Minęły cztery minuty i czterdzieści cztery sekundy, od kiedy Leo wysiadł z samochodu i przeszedł między krzewami malin, w których tata właśnie się potyka. Przedtem rozciął sobie policzek i podbródek linką do suszenia bielizny. Ale to wszystko nic nie znaczy.

Gdy stamtąd odjeżdżają, Leo zamyka oczy i w ogóle ich nie otwiera. Droga powrotna wydaje mu się bardzo długa, jakby jechali na drugi koniec Szwecji.

Tata parkuje, a kiedy Leo podnosi powieki, od razu zauważa policyjny radiowóz.

Tuż przed drzwiami wejściowymi. Czarno-biały. Stoi w poprzek przed ich blokiem, wyraźnie widoczny pod uliczną latarnią.

Leo nigdy jeszcze nie widział samochodu policyjnego tak blisko domu. Zazwyczaj zatrzymują się trochę dalej, na parkingu. Nigdy wprost przed domem, jakby chcieli zablokować wejście.

– Wszystko będzie dobrze.

Leo kurczy się jeszcze bardziej na tylnym siedzeniu.

– Jesteśmy rodziną, tak czy nie? I jak wszystkie rodziny będziemy się trzymać razem, a wtedy wszystko będzie dobrze.

I jedne, i drugie przednie drzwi radiowozu otwierają się jednocześnie. Jest ich dwoje. Starszy mężczyzna, nawet starszy niż tata, i młodsza kobieta. Leo jeszcze nie widział zbyt wielu policjantek. Podchodzą do samochodu od strony taty.

– Ivan Duvnjac?

Ich głosy słychać wyraźnie, chociaż wszystkie okna są zamknięte. Pukają w szybę. Tata ją opuszcza.

– Słucham?

– Musi pan pojechać z nami.

– Z jakiej racji?

– Wie pan bardzo dobrze, dlaczego tu jesteście.

Tata kręci głową i usiłuje mówić wyraźnie.

– Nie. Nie mam zielonego pojęcia.

Odwraca się.

– A ty wiesz, Leo?

Tata odchyła się do niego. Odór alkoholu z jego ust jest równie ostry co zapach benzyny i dymu, którym przesiąkła jego kurtka.

Policjanci dostrzegają Leo.

– Nie, tato. Nie wiem, o czym oni mówią.

Starszy policjant kiwa głową w kierunku Ivana i rzuca:

– Niech pan pomyśli o swoim dziecku.

Policjantka obchodzi samochód. W rękach trzyma kajdanki.

– Proszę jechać z nami. Dobrowolnie.

Czeka, aż wreszcie tata po trwającej całą wieczność chwili wzrusza ramionami.

– Leo?

– Tak?

– Idź na górę i zaopiekuj się braćmi.

– Tato, ja...

– Zrób, co mówię! Idź do domu. Zaopiekuj się braćmi.

Funkcjonariuszka z kajdankami otwiera drzwi od strony kierowcy, tata wyciąga do niej rękę. Policjanci otaczają go z obu stron i prowadzą do swojego samochodu. Tata siada na tylnym siedzeniu. Kiedy czarno-biały radiowóz odjeżdża, Leo odwraca się jeszcze raz. Patrzą na siebie, niezbyt długo, lecz wystarczająco długo.

Leo naciska ostrożnie klamkę, zdejmując buty i nie zapalając światła, wchodzi do mieszkania. Vincent wierci się na łóżku, mamrocze coś pod nosem i po chwili znowu zasypia. Ale Felix się budzi. A może wcale nie spał.

Trudno jest wyjaśnić – zwłaszcza w środku nocy – że mama nie wróci do domu. Trudno jest także powiedzieć, że tata też nie przyjdzie do domu. Mimo to Leo próbuje, a Felix go słucha. Kiedy kończy, dzwoni mama i pyta, czy wszyscy trzej synowie są w domu. Leo potwierdza, a ona mówi, że zmieniła zdanie i że zaraz przyjedzie.

Leo biegnie do kuchni, otwiera najniższą szufladę szafki i wyjmując dwie papierowe torby.

Mama zaraz tu będzie, więc stół kuchenny musi znowu wyglądać jak stół kuchenny.

Kanister na benzynę, resztki powłóczki, butelki po winie.

Pety, kupony totka, cukier.

Leo uprzęta wszystko po kolei i potem wstawia torby do szafki pod zlewem.

Jeśli kanister, powłoczka i butelki znikną i stół kuchenny znowu będzie wyglądał jak stół kuchenny, to nie będzie powodu, by o tym mówić.

Po raz drugi wyciera gąbką stół i myje garnki. Wącha go i szoruje jeszcze raz, aż zapach wina całkiem zniknie. Zdąża tuż przed pojawieniem się mamy. Czuje przyjemne ciepło w piersi i żołądku. Ale kiedy wybiega jej naprzeciw do przedpokoju, widzi jeszcze dwie osoby.

– Leo, ci panowie... są z policji.

Ponieważ nie jest to pytanie, Leo nie odpowiada.

– Chcą obejrzeć nasze mieszkanie, a potem trochę z tobą porozmawiać.

Przecież w naszym mieszkaniu jesteście tylko my.

– Jestem zmęczony.

Tylko my tu mieszkamy – Vincent, Felix, mama, tata i ja.

– Rozumiem, skarbie, to nie potrwa długo.

Ci dwaj... są tu obcy.

– Potem sobie pójdą, okej, Leo?

Są wszędzie. W przedpokoju, w kuchni, w pokoju Vincenta, w pokoju Feliksa i jego, w pomieszczeniu roboczym, w dużym pokoju, nawet w łazience i na balkonie. Otwierają szafy, szuflady i schowki, przesuwają buty, żołnierzyki, obrazy i doniczki z kwiatami. Sprawdzają zrobiony domowym sposobem worek boksinowy i złotą rękojeść szabli, która wisi w niebieskiej aksamitnej pochwie pod kolekcją staroświeckich narzędzi. Leo stoi cały czas na progu między przedpokojem a kuchnią. Również gdy otwierają szafkę pod zlewem i znajdują dwie papierowe torby z podartą powłóczką, która dalej pachnie mamą.

– Cześć, Leo – mówi ten większy z policjantów i próbuje uśmiechać się do niego zachęcająco. – Jak wspomniała twoja mama, jestem funkcjonariuszem policji i chciałbym przez chwilę z tobą porozmawiać.

Leo jeszcze nigdy nie spotkał policjanta bez munduru. Ten nosi długi płaszcz jak tata, tylko w jaśniejszym kolorze. Wskazuje na wytarty niedawno stół.

– Nic ci nie zrobię, obiecuję. Nie ponosisz winy za to, co się stało, Leo. Chciałem tylko zadać ci kilka pytań. Chciałbym się dowiedzieć, co się działo, kiedy jechałeś z tatą samochodem.

Przysuwa sobie kuchenne krzesło, krzesło taty, i siada na nim. Potem kładzie na stole niewielki kołnотatnik i ołówek.

– Powiedz mi, Leo. Siedzieliście w samochodzie, twój tata prowadził. Dokąd pojechał?

– Nie powiem.

– A... dlaczego nie?

– Bo nie chcę.

– Postaraj się jednak.

– Ale ja nie chcę.

– Leo? Przecież rozmawiam z tobą.

– Nie chcę.

Leo wpatruje się w podłogę, a wtedy ten koszmarny glina idzie do przedpokoju i wraca z jego kurtką. Kładzie ją na błyszczącym stole. Leo widzi duże dłonie policjanta, lecz wie, że mimo wszystko nie udałoby im się złamać naraz pięciu patyków po lodach.

– Ta kurtka pachnie dymem. Czujesz?

Wszystko tutaj jest nasze.

– W jednej z papierowych toreb znajduje się kanister z benzyną, w drugiej są puste butelki po winie i pocięty na paski materiał.

A nie wasze.

– Wiesz, co można z tego zrobić?

My tu mieszkamy.

– Wiesz, co twój tata z tego zrobił?

A nie wy.

– Koktajl Mołotowa. Tak to się nazywa. To butelka napełniona benzyną. Jeśli się ją rozbije, wtedy benzyna się zapala i płomienie szybko się rozprzestrzeniają, niszczą, zabijają. To są bomby zapalające, jakich używa się na wojnie.

Jesteśmy klanem.

– Twój dziadek widział ciebie i twojego tatę na podwórzu, kiedy jego dom stanął w płomieniach. Twoja babcia też was widziała. I mama, i pięcioro sąsiadów. Wszyscy cię widzieli i wszyscy widzieli twojego tatę.

A klan zawsze trzyma się razem.

– Twój dziadek widział, że trzymałeś w rękach reklamówkę. Co się potem stało? Czy to ty rzuciłeś butelkę? Czy może zrobił to twój tata?

Klan nie daje się rozbić.

– Leo?

Wszystko jedno, co się zdarzy.

– Chciałbym, abys mnie teraz uważnie posłuchał.

Członkowie klanu, prawdziwego klanu, nigdy się nie zdradzają.

– Popatrz na mnie, Leo. Czy rozumiesz, co zrobił twój tata?

Członkowie klanu, prawdziwego klanu, chronią się nawzajem zawsze, zawsze, zawsze.

– Nie musisz chronić swojego taty. Bo zrobił coś niedobrego. To on powinien troszczyć się o ciebie.

– Ja nie jestem patykiem po lodach.

Te słowa padają tak niespodziewanie, że Leo aż sam się im dziwi.

– Słysz pan! Nie jestem patykiem po lodach!

– Opowiedz mi teraz dokładnie, co zrobił twój tata. Ze względu na twoją mamę i twoich braci, dobrze, Leo?

Nawet nie zauważył, że mama płacze. Może zaczęła dopiero teraz? Jest gdzieś za nim i choć nie może widzieć jej oczu, słyszy ją. Nie płacze ze strachu, tylko z jego powodu. Ponieważ jej syn stoi przed funkcjonariuszem policji kryminalnej i musi odpowiadać na pytania, które nikogo nie powinny obchodzić. Dlatego płacze.

– Nie jestem jakimś tam patykiem po lodach, który można tak po prostu złamać!

Na kolonotatniku leży ołówek. Leo rzuca się do stołu, chwytając ołówek i dając upust przerażeniu i złości, jakie nagromadziły się w jego dziesięcioletnim ciele, wbijając szare ostrze w potężną dłoń policjanta.

Potem wybiega z kuchni, słysząc za sobą jęk funkcjonariusza, wymija mamę, która próbuje go schwytać. W przedpokoju prawie zderza się z drugim policjantem, też po cywilnemu. Zamyka drzwi pokoju Vincenta od środka. Jego najmłodszy brat śpi jakby nigdy nic, a Felix siedzi na podłodze obok góry klocków Lego.

– Leonard!

Mama wali w drzwi.

– Wyjdź! Słyszysz! M u s i s z z nimi porozmawiać!

Choć trudno w to uwierzyć, Vincent mimo hałasu śpi dalej.

– Otwórz drzwi!

A Felix nadal siedzi spokojnie na podłodze między setkami klocków Lego.

– Leo! Posłuchaj swojej mamy. Otwórz drzwi i wyjdź! – krzyczy wysoki policjant.

– Co się tam stało? – pyta szeptem Felix. – Czy on...?

– To on tak jęczał. Jest ranny w rękę – odpowiada Leo.

Nawoływanie. Coraz większy hałas. Ale on go nie słyszy. Jeśli postanowi się nic nie słyszeć, to wtedy się nie słyszy. Leo robi tak czasami, wycofuje się we własną przestrzeń i zamyka za sobą drzwi. Ta jego przestrzeń jest jeszcze mniejsza niż ta tutaj. A tam jest tylko on, jego ciało, i wszystko istnieje w jego wnętrzu, na zewnątrz zaś nie ma nic.

– Leo? Chyba wiesz, że możemy otworzyć drzwi także bez twojej pomocy, prawda? Twoja mama tego nie chce. Dlatego otwórz sam!

Wtedy budzi się Vincent. Potargane włosy, zaspane oczy.

Leo bierze go na ręce i chodzi z nim po pokoju od drzwi do okna.

– Vincent? Ich nie ma.

Zatrzymuje się blisko drzwi, naprzeciw tego krzykliwego głosu, który domaga się, żeby otworzył i wyszedł.

– Nie ma ich.

Zaspane oczy nie są już zaspane. Patrzą na niego uważnie.

– Słyszysz, braciszku?

– Tak.

– Nie ma ich. A my... przejdziemy przez nich po prostu na wskroś.

– Tak.

– Nie ma ich. A my... przejdziemy przez nich po prostu na wskroś.

Trzyletni chłopiec próbuje to zrozumieć, a potem uśmiecha się i powtarza.

– Przez nich na wskroś?

– Przez nich na wskroś.

Mama i obaj policjanci wciąż stoją pod drzwiami. Tatę wiozą dokądś przez noc radiowozem.

Leo dosyć długo chodzi po pokoju za zamkniętymi drzwiami, duży brat z młodszym na rękach.

Chyba jeszcze nigdy nie czuł się tak spokojny jak teraz. Był sam tylko z Feliksem i Vincentem. I on tu decydował, kto istnieje, a kto nie.

teraz
część czwarta

Trzy godziny jazdy pociągiem ze Sztokholmu na zachód przez świat szykujący się do świąt.

Podczas długiej, pięciusetkilometrowej podróży grudzień ukazał mu dwa swoje oblicza. W stolicy panował mróz i wszyscy przemykali szybko z opuszczonymi głowami, a jezioro Mälaren skuwał lód, w Göteborgu natomiast ludzie spacerowali sobie niespiesznie po ulicach, wciąż jeszcze w jesiennych strojach. Leo poszedł za ich przykładem – rozpiął płaszcz i ruszył powoli przed siebie.

W kiosku przy Kungsporsplatsen kupił butelkę wody mineralnej, a naprzeciwko wyższej szkoły artystycznej gorącą kielbasę. Potem skręcił z Avenyn i podążył wzdłuż linii tramwajowej w kierunku Vasaparken. Stamtąd było już niedaleko do Erik Dahlbergsgatan. Do nich. Do jego braci. Nie widział ich, od kiedy się przeprowadzili. Jesienią nie odczuwał szczególnej tęsknoty za Feliksem i Vincentem, ponieważ po prostu świadomie ją wyparł, lecz teraz, kiedy był coraz bliżej, narastało w nim niecierpliwe oczekiwanie.

Przecież sam postanowił, że zostawi ich w spokoju. Mimo to czuł się tak, jakby to oni trzymali go na dystans. Wcześniej wszyscy trzej mieli ze sobą świetny kontakt, nigdy o nic się nie oskarżali, nigdy nie wchodzili sobie w drogę i nigdy jeden drugiego nie musiał prosić o pomoc. A ostatnio rozmawiali ze sobą dwa, co najwyżej trzy razy na miesiąc – powierzchowna wymiana zdań o pogodzie, cenach taksówek lub o nowych filmach, które warto zobaczyć. Na temat nieudanej sprzedaży broni nie padło ani jedno słowo. Nie znosił tego. Tak właśnie było z jego matką i jej rodzeństwem – tak rozmawiają ze sobą ludzie, których nic nie łączy.

Jego dwaj młodsi bracia przeprowadzili się do wynajętego mieszkania w pięknej kamienicy z lat dwudziestych. Na liście lokatorów przy wejściu była przyklejona kartka z ich nazwiskiem, zakrywająca inne nazwisko. Trzecie piętro. Najpierw zadzwonił, a potem dla pewności zapukał. Po krokach poznał, że do drzwi podszedł Felix.

Miał dłuższe włosy niż zazwyczaj, ale dobrze w nich wyglądał. Uścisnęli się w drzwiach, jakby wszystko było zupełnie normalnie.

– Jesteś głodny?

Pachniało jedzeniem. Leo podążył za Feliksem do kuchni wąskim korytarzem. Obok lodówki stał Vincent. Robił wrażenie dojrzałego i silniejszego, budową ciała przypominał teraz bardziej mężczyznę, a jego nadal żywe oczy patrzyły przenikliwiej i z większą pewnością siebie. Jeszcze jeden uścisk. Leo nie miał pewności, czy dystans i chłód były rzeczywiste, czy je sobie tylko uroił.

– Czyli tu nic nie jest wasze?

– Nie.

Stół i krzesła, których nigdy przedtem nie widział. Kuchenka mikrofalowa, toster i radio – wszystko obce. Na ścianie wisił plakat z podobizną Salvadora Dalego. Leo zastanawiał się, czy jego bracia w ogóle wiedzą, kto to jest.

– Jak dawniej, kiedy byliście mali i dostawaliście po mnie ubrania – powiedział Leo.

– Wszystko z second handu. Meble i urządzenia kuchenne. Zostawili nam nawet szampon. Mamie się to spodobało.

– Mówiła mi, że była tutaj.

Na płycie kuchennej stał garnek z mielonym mięsem w sosie. Gotował Felix.

– Wspominała, że dobrze wam idzie na uniwerku i w szkole. I była bardzo z ciebie dumna, Vincent, że zdążyłeś już opanować cały materiał pierwszego roku w liceum dla dorosłych.

Był zniecierpliwiony, nie umiał tego ukryć i miał wrażenie, że Felix to zauważył.

– Powinieneś zobaczyć jego świadectwo. Same superoceny. Wyobraź sobie, Leo, że nasz najmłodszy brat ma już osiemnaście lat i teraz może robić, co mu się żywnie podoba.

Felix mrugnął do Vincenta, który odpowiedział mu nieśmiałym uśmiechem. Przynajmniej pod tym względem się nie zmienił. Felix postawił na stole talerze, kieliszki i butelkę wina.

– Jak długo zostaniesz?

– Pociąg odjeżdża za cztery godziny.

– Za cztery godziny? Myślałem, że posiedzisz u nas jakiś czas.

Leo nie odpowiedział. Ten jego niepokorny młodszy brat. Ale przyjechał tutaj po to, aby zbudować między nimi most, a nie by wszystko popsuć.

– Jeden napad na bank dla sfinansowania innych planów. Wszystko jest przygotowane. Mały bank w Heby. Na dzień przed Wigilią. Ładnych kilka milionów.

Sos był prawie gotowy. Woda na makaron też się zagotowała.

– Wtedy mielibyśmy pieniądze na naprawę duży skok. A potem... możecie studiować, co tylko chcecie.

– Już to robimy. – Felix wrzucił całą zawartość opakowania spaghetti do garnka. – Myślałem, że wiesz, że studiujemy, co chcemy.

– Jesteście mi potrzebni.

– Leo, my z tym skończyliśmy.

Leo postanowił, że niezależnie od wszystkiego zachowa spokój. Niedługo jednak wytrzymał. Uderzył ręką w stół, aż zadzwoniły talerze i sztuce.

– Wydaje ci się, że staniesz się normalny, dlatego że... chodzisz do jakiejś pieprzonej szkoły i zakuwasz?

Felix napelnił kieliszek starszego brata do pełna.

– Studuję nie dlatego, żeby być normalny, tylko żeby zdobyć wykształcenie.

Leo spróbował wina.

– A ty, Vincent?

Najmłodszy brat unikał jego wzroku.

– Vincent, do cholery!

– Właściwie to nawet prościej było brać w tym udział – odpowiedział Vincent. – Wtedy przynajmniej wiadomo, co i jak, jeśli wszystko się schrzani.

Leo roześmiał się, ale bez przekonania. Wypił jeszcze jeden łyk wina.

– Schrzani się? Vincent, nic się nie schrzani. Nigdy. Chodź, usiądź przy mnie.

Vincent posłuchał go i usiadł naprzeciwko Leo.

– A jeśli jednak?

– Nie ma mowy.

– A jeśli znowu ugrzęźniemy na jakiejś blokadzie, a oni tym razem się domyślą? Że to ty? Że to my?

Jeszcze jeden łyk. Wino nie tylko wyglądało na tanie, ale tak też smakowało.

– To takimi rzeczami umilacie sobie tutaj czas? Wymyślaniem czarnych scenariuszy?

– Naprawdę nie słyszysz, co on próbuje ci powiedzieć?!

Nitki spaghetti zniknęły w gotującej się wodzie. Felix zamieszał je plastikowym widelcem, trochę zbyt energicznie.

– Leo, zrozum wreszcie, co on chce ci powiedzieć!

– On? Czy ty?

– Okej, okej, Leo. Po co to wszystko?

– Co?

– Te napady na banki.

– Żebyśmy byli finansowo niezależni.

– Przecież masz broń. Po prostu ją sprzedaj. Od początku miałeś taki plan.

– Już byłem blisko. Zrobiłem tak, jak ustaliłem. Nawiązałem kontakt z gliną, wyszukałem dobre miejsce na przekazanie wszystkiego, podłożyłem piętnaście min naziemnych. Wszystko było gotowe i torba z dwudziestoma pięcioma milionami stała na biurku tego fiuta.

Zrobił przerwę.

– No i?

– Potem ten pieprzony fiut zaczął mnie prowokować. Próbował wyprowadzić mnie z równowagi, zmusić do popełnienia błędu. Napisałem dziewięć listów, a ten glina odpowiedział na nie pięcioma ogłoszeniami w gazecie. Dopiero wtedy zrozumiałem, że po prostu chciał mnie trzymać na pasku i w ogóle nie zamierzał zapłacić choćby jednej złamanej korony. Chcieli mnie tylko wywabić z ukrycia. Wtedy przerwałem całą tę akcję.

Felix słuchał go z niezmiennym wyrazem twarzy.

– Okej. No to zapytam cię jeszcze raz. Dlaczego napadasz na banki?

– Dlaczego ja napadam na banki? Mam wrażenie, że ty też maczałeś w tym palce. A może się mylę, Felix? Czyżby ciebie tam nie było? A jeśli też brałeś w tym udział, no to powiedz sam dlaczego!

– Przecież Vincent właśnie próbował ci to wyjaśnić! Bo prościej jest brać w tym udział, niż nie brać. Jeśli wszystko by się schrzaśniło, to przynajmniej bym o tym wiedział. Ty oczywiście nie masz takich problemów, ale ja mam, Vincent też. Tylko ty tego nie kumasz. Zawsze uważasz, że wszystko pójdzie gładko.

Felix odlał makaron. Jego napięta twarz skryła się w obłoku pary.

– No bo wszystko idzie gładko.

– Mówiłeś, że nigdy nie odwiedzisz ojca. Bardzo mnie to uspokoiło. A potem mimo wszystko do niego pojechałeś. A teraz widzę, że robisz się dokładnie taki sam... jak on! Dla ciebie istnieje tylko kolejny napad na bank, i nic więcej. Traktujesz Vincenta i mnie dokładnie tak, jak Ivan traktował ciebie po tym, jak z nim zerwałeś.

– Co ty gadasz?

– Jesteś taki jak on. A ja dokładnie wiem, kiedy zaszła w tobie ta zmiana. Gdy omal nie zabił mamy. Kiedy wskoczyłeś mu na plecy i mama uciekła, a on przestał ją bić. Widziałem, jak na siebie patrzyliście... Ty po prostu... przejąłeś jego rolę.

– Przestań!

– A potem? Pamiętasz, co stało się potem? Zapomniałeś, co? Oczekałeś, aż wyjdzie i wsiądzie do samochodu, wziąłeś cholerne wiadro i szmatę i wytarłeś całą tę krew na klatce schodowej. Potem wróciłeś do mieszkanka i popatrzyłeś na nas. Wtedy już wiedziałem. Od tamtego momentu ty decydowałeś o wszystkim.

– Skończyłeś?

– Nie! Skończę dopiero wtedy, jak dotrże do ciebie, o co mi chodzi. Mówiłeś o niezależności. Stałeś przy oknie i gapiąc się na ulicę, mówiłeś, że nikt nie ma prawa decydować o naszym życiu. Ale potem stało się coś wręcz odwrotnego. Napady na banki spowodowały, że byliśmy od siebie jeszcze bardziej zależni. I to jest dla ciebie tak samo ważne jak dla tego starego ramola. Trzymać się razem. Trzymać się razem! Chcesz z nami łamać patyki po lodach?

– Skończyłeś wreszcie?

Leo patrzył na dwa stojące na stole garnki, z których unosiła się para. Jedzenie było tak samo tanie jak wino. Byłe jakie żarcie.

– To nie ja jestem podobny do Ivana, tylko ty, Felix. Chociaż na okrągło nawijasz o tym, jak bardzo go nienawidzisz. To, kurde, jakaś obsesja. Jesteś tak samo upierdliwy jak on: jak się do czegoś przypniesz, to nie ma zmiłuj. Ale jemu nigdy nie udało się to, co osiągnąłem.

Leo mimo wszystko nałożył spaghetti z brązowym sosem na swój talerz, a także na talerze Feliksa i Vincenta.

– Tylko jeszcze ten jeden raz, Vincent. I jeśli jest tak, jak mówisz...

Leo położył rękę na ramieniu Vincenta.

– ...to powinieneś to zrobić. Bo pewnie tak będzie prościej, niż na dzień przed Bożym Narodzeniem siedzieć tutaj i się martwić.

– Dosyć, Leo. Nie w i d z i s z, że on już nie chce?

– A co ty możesz wiedzieć?! Rozmawiam nie z tobą, tylko z Vincentem.

– Przecież wyraźnie widzę, że on nie chce!

– Co ty powiesz? Naprawdę?

Pomiędzy nimi garnek z mielonym mięsem w sosie; Felix chwycił go nagle i cisnął nim o ścianę. Brunatna maź rozprysła się po całej kuchni.

– Napłulem w twarz własnej matce! Nigdy więcej nie zrobię nic dla nikogo wbrew własnej woli. Nigdy więcej!

Sos spływał po białej ścianie i po białej koszuli Leo.

– Mówisz o sobie, Felix, a ja mówię o Vincencie.

Vincent patrzył przez cały czas w swój talerz, a teraz podniósł głowę.

– Czy nie możemy po prostu z tym skończyć?

I teraz to on położył rękę na ramieniu Leo.

– Czy ty nie możesz po prostu z tym skończyć?

Na stole stał brzydki drewniany stojak na serwetki. Leo wziął wszystkie, zmiął je w rękę i starł nimi sos ze swojej koszuli.

– I co dalej? Może też mam zacząć coś zakuwać tak jak wy i udawać, że jesteśmy normalni?

Nigdy nie musieli prosić jeden drugiego o cokolwiek. Tym razem jednak Leo się na to zdecydował.

– Czy kiedykolwiek prosiłem was o pomoc? Nie. Ale teraz to robię. Proszę was. Jesteście mi potrzebni. Jeszcze tylko ten jeden raz. Ostatni.

Popatrzył na brata z długimi włosami, a potem na drugiego, który nagle stał się dorosły.

– Felix?

Milczenie.

– Vincent?

Milczenie.

– Proszę was.

Felix spojrział na niego. Vincent znowu utkwiał wzrok w talerzu.

Cisza.

– W porządku. Zrobię to sam. Skoro nie mam rodziny, zrobię to sam.

Czasami noce ciągnęły się w nieskończoność. Czasami na przemian pocił się i trząsł z zimna, i budził się co dziesięć minut tylko po to, aby natychmiast zapaść w kolejny chaotyczny sen, pozbawiony wszelkiego sensu.

I znowu była to jedna z takich nocy; męczyły go już cały tydzień, od momentu gdy ci, którzy byli mu najbliżsi, odwrócili się od niego. Sześć nocy w samotności, która leżała obok niego i między nim a Anneli. Gdyby jego bracia nie żyli, zrozumiałby przynajmniej, dlaczego nie może być razem z nimi. Albo gdyby mu powiedzieli, że go nienawidzą. Ale oni żyją. I kochają go nadal tak samo, jak on ich kocha. A mimo to nie chcą już więcej brać udziału we wspólnej robocie. Miał wrażenie, że jego bracia nagle bardzo się oddalili.

Leo odrzucił przepocone prześcieradło, zszedł do kuchni i mocnym szarpnięciem otworzył okno, choć na dworze było osiem stopni mrozu. Wystawił twarz na lodowate powietrze i głęboko wciągnął je w płuca. Próbował wsunąć rozżarzony żelazny pręt między półkulę mózgu, ale to, co zwykle mu pomagało, już nie działało, a przynajmniej ostatnio. Zaraz po północy wciągał na siebie dres i biegł z godzinę między pogrążonymi we śnie willami, a i tak nie był potem wystarczająco zmęczony, żeby zasnąć. Przewracał się w łóżku z boku na bok, pocił się, marzył i w końcu robił to, co teraz – pętał się po wyciębionym domu i wpuszczał jeszcze więcej lodowatego powietrza do środka.

Nie mógł znaleźć spokoju. Felix się nie ugiął. Te jego niezachwiane przekonania. Przecież nie jestem taki jak Ivan! I Felix to wie. A Vincent... powinien bardziej mi ufać.

Ostatnio jeszcze raz dokładnie przeanalizował wszystkie trzy najważniejsze etapy każdego skoku: przygotowanie, akcja i to, co najważniejsze – ucieczka, przemiana z rabusia w zwykłego człowieka.

Jeden z tych punktów pozostawał niezmienny: akcja. Ani razu nie opuścili obiektu ze spodziewanym łupem. Napad na transport pieniędzy przyniósł im tylko milion koron zamiast dziesięciu, a podczas pojedynczych napadów na banki też nie wygarnęli z sejfów i skarbów wszystkiego. Podwójny skok przyniósł im trzy zamiast ośmiu milionów, a po potrójnym, który miał im dać piętnaście milionów, wzbogacili się tylko o dwa, i to w banknotach zafarbowanych na czerwono.

Wyciągnął rękę za okno i uformował kulę ze śniegu na zewnętrznym parapecie. Poczul przyjemny chłód, gdy tajała w jego dłoniach.

Leo miał swój własny kalendarz, a w nim dni, które on sam, a nie nikt inny, określał jako ważne; to on wypełniał je treścią i tylko dlatego były znaczące i różniły się od innych. Jego kalendarz wypełniała seria napadów, które powinny przynieść ponad trzydzieści milionów koron; trzech bracia mieli zainwestować je potem w legalną działalność, by w ten sposób zabezpieczyć sobie przyszłość.

Zamknął okno, wytarł ręce w kuchenną ścierekę, minął przedpokój i wszedł do pokoju dla gości. Po dziesięciu napadach ten pieprzony Broncks wciąż nie wiedział, kim są. Gdyby tylko Leo wybrał odpowiednią datę, wszystko precyzyjnie przeprowadził, a potem zniknął bez śladu, wcześniej czy później również środkowy punkt planu – akcja – musiałby się udać i przynieść maksymalny zysk.

Dziesiąty.

Małe miasto, niedaleko Sztokholmu.

Dzień przed Wigilią – to dzień, w którym na konta wpływały wypłaty.

Napad, którego nie dokona Gang Wojskowy.

Bo Gang Wojskowy już nie istnieje, prasa nie napisze o tej bandzie ani jednej linijki. Fantomy zniknęły i przybrały nową postać. Właśnie to ćwiczył w banku w Rimbo: napad na bank, który odróżniałby się od innych – napastnicy w dżinsach, jasnych kurtkach, adidasach na rzepy i w czarnych pończochach na głowie, żadnych strzałów. Ćwiczyli zmianę tożsamości i przełamywanie schematów. Na wszelki wypadek. I teraz nastąpiła taka konieczność.

Podniósł płytki podłogowe i otworzył drzwi sejfu. Wyklejona czarnym aksamitem tylna ścianka zniknęła w ciemności. Zszedł po drabince i zapalił lampę nad ustawionymi w rzędzie automatami.

Na regale obok kuloodpornych kamizelek leżała czarna torba sportowa.

Potrójny napad przyniósł 2 137 000 koron, z czego 227 000 poszło na koszty. 195 000 było zafarbowanych tak, że nie dało się ich uratować. Resztę podzieliłi na cztery. 428 750 koron na głowę.

Jego własny udział już znacznie stopniał. Pozostało tylko 75 000 koron, banknoty nie pokrywały nawet dna torby.

Otworzył suwak i wyjął dziesięć tysięcy w różnych nominałach – chciał je dać Anneli na prezenty gwiazdkowe, jedzenie na święta, choinkę i na światełka – takie same, jakie sąsiedzi zawiesili na swoich jablonkach. Potem wziął jeszcze dziesięć tysięcy dla siebie. Zostało tylko 55 000 koron. Zamknął torbę i usiadł w jaskrawym świetle lampy na betonowym występie, przysłuchując się pomrukiwaniu pompy drenażowej pod stopami.

Gdyby wyszedł na górę, zamknął drzwi sejfu i nigdy więcej ich nie otwierał, to nikt nigdy niczego by się nie dowiedział.

Stopy na zimnej czarno-białej podłodze z płytek PCV. Kroki. Jej kroki. Stała nad nim, widział jedynie oświetlone od dołu nogi.

– Leo?

– Tak?

– Co tu robisz?

Anneli przykucnęła. Było jej zimno w cienkiej koszuli nocnej.

– Chodź na górę. Pójdziemy z powrotem do łóżka. Może uda ci się zasnąć.

– Ten potrójny skok powinien być nam przynieść piętnaście milionów.

Nachyliła się. Po chwili jej bose stopy zaczęły opuszczać się po wąskich szczeblach drabinki. Stała przy nim i pogłaskała ciepłą ręką jego policzek.

– Leo?

Byli otoczeni ustawionymi równym rzędem automatami przypominającymi ogromne skamieliny. Leo odgrażał się, że odda tę kolekcję w ręce największych szwedzkich gangów, żeby były jeszcze skuteczniejsze. Ale zrezygnował. Miał je gdzieś, tak samo jak tego pieprzonego glinę, z którym prowadził negocjacje.

– Leo, Kocham cię. Tylko ja wiem wszystko o tobie i tych rzeczach.

Usiadła mu na kolanach. Chyba rzeczywiście marzła, bo wciąż pocierała stopę o stopę, starając się nie dotykać nimi betonowej posadzki.

– Wiem, ile znaczą dla ciebie Felix i Vincent. Dobrze wiem. Ale ja dla ciebie opuściłam własnego syna. Musisz oderwać się od swoich braci. Dla nas.

Patrzyła mu w oczy. Były tak blisko. Kiedyś zakochała się w świetle, które z nich biło. Teraz już go w nich nie widziała. Zgasło.

– Wiem, że troszczyłeś się o nich jak ojciec, ale brat nie powinien być ojcem dla swojego rodzeństwa.

Pocałowała go, a on spojrzał na nią. W tej chwili jakby znowu coś błysnęło w jego spojrzeniu. Była tego prawie pewna.

– O co chodzi?

– Anneli?

– Tak?

– Myślisz, że mogłabyś poprowadzić samochód po skoku?

Sądziła, że się przesłyszała.

– Mogłabyś?

– Co?

– Poprowadzić samochód po skoku.

A jednak się nie pomyliła.

– Ja?

– Tak, ty.

Jeden jedyny raz pomogła im przy maskowaniu się i zawiozła ich na miejsce. Potem pojechała do domu. Przy następnych skokach zawsze czekała na nich w czterech ścianach i nie brała w niczym udziału.

Teraz Leo chciał, żeby wzięła udział w skoku, naprawdę.

Miałaby siedzieć za kierownicą w trakcie ucieczki, jak Felix.

Pocałowała go.

– J a?

– Tak, ty. Mówię poważnie. Cholernie dobrze prowadzisz samochód.

Przytulili się do niego, jej skóra przy jego skórze, śmiała się i go całowała.

Wczesnie rano, było jeszcze ciemno. Za oknem domu z lat pięćdziesiątych w Bagarmossen odbijało się światło ulicznych latarni.

Kilka godzin temu wyszedł razem z Anneli po drabince z kryjówki pod podłogą. Potem położył się blisko niej na łóżku, prześcieradło nie było już wilgotne od potu. Anneli obejmowała go tak długo, aż w końcu zasnął. Po trzech godzinach snu czuł się całkowicie wypoczęty. Ciało znowu było mu posłuszne, mógł myśleć, poruszał się lekko i sprężysto.

Leo umyślnie zaparkował w pewnej odległości i minąwszy kilka gołych krzaków i pusty plac zabaw, zmierzał w kierunku tylnej, a nie frontowej części budynku, ponieważ nie chciał być zauważony. Wiedział, że Jasper wciąż wypatruje z okna kuchni, czy przed domem nie zatrzymuje się jakieś auto, gotowy w każdej chwili uciec, gdyby pojawiła się policja.

Wystukał cztery cyfry na domofonie przy tylnym wejściu, mając nadzieję, że kod się nie zmienił. Po lekkim kliknięciu drzwi dały się otworzyć.

Zdawał sobie sprawę, że Jasper ma opracowany dokładny plan ucieczki. Naprzeciwko domu, po drugiej stronie parkingu, rozciągał się rezerwat Nacka, jeden z największych kompleksów leśnych w rejonie Sztokholmu. Gdzieś tam na skraju lasu Jasper zakopał między dwoma blokami skalnymi plastikowy pojemnik z ubraniem, butami, nożem, gotówką, paszportem i beretą, którą kupił trzy lata temu w USA i przesłał w częściach do Szwecji. Leo nie pozwoliłby mu się urwać lub ukryć. Jasper prawdopodobnie miał jeszcze świeżo w pamięci policzek, który powalił go na ziemię. Leżał wtedy na podłodze i patrzył na Leo szeroko otwartymi oczami. Wyzierała z nich nienawiść, rozczarowanie, oszołomienie i smutek.

Ściany klatki schodowej były utrzymane w zielonym odcieniu, który wywoływał u Leo nudności. Ostrożnie podszedł do drzwi mieszkania i zadzwonił.

Ze środka nie dochodziły żadne odgłosy. Leo był jednak przekonany, że okienko judasza pociemniało. Zaczął więc pukać bez przerwy. W końcu klapka zasłaniająca szczelinę na listy lekko się uniosła.

– Czego chcesz?

– Pogadać.

– O czym?

– Otwórz drzwi, do jasnej cholery!

Przez dłuższą chwilę było cicho. W końcu drzwi uchyliły się na szerokość łańcucha.

– Wyciągnij ręce – powiedział Jasper.

W szparze między drzwiami a futryną pojawiły się jego oczy. Patrzyły niepewnie. Leo wyciągnął w jego kierunku obie dłonie. Zaraz potem zachrobotał łańcuch i drzwi otworzyły się szerzej.

Jasper miał na sobie zaprasowane w kant brązowe spodnie i beżową koszulę. Był starannie uczesany i świeżo ogolony. O wpół do siódmej rano. O tej porze Jasper wyglądał na ogół jak skotłowane łóżko. Leo spodziewał się załamanego samotnego człowieka, a nie faceta o zaróżowionych policzkach.

Ale niepewność nie zniknęła. Prawą rękę trzymał demonstracyjnie cofniętą za plecy, jakby chciał pokazać, że coś za sobą ukrywa.

Gotowy do ataku. Gotowy przegryźć gardło.

Kiedy Leo wszedł do środka, Jasper się odsunął. Uważał, aby zachować odpowiedni dystans – być wystarczająco blisko, aby móc zaatakować, i dostatecznie daleko, aby móc się obronić.

– Nie musisz się mnie bać.

Słaby ruch głową.

– Jasper, odłóż to gówno, które trzymasz za plecami.

– Co ty powiesz? My...

Jasper przelknął ślinę.

– ...za dużo o sobie wiemy.

– Ale właśnie dlatego nie musisz się mnie bać.

– Nie? A magazyn broni? A dziewięć napadów na banki? A dworzec?

Leo zrobił krok do przodu, Jasper natychmiast o tyle samo się cofnął.

– Może jesteś tu po to, żeby... posprzątać? Może ty i twoi bracia zdecydowaliście się... zawiesić działalność? Myślisz, że nie zdaję sobie sprawy... że w wirze wydarzeń mógłbym zniknąć jak para kaloszy?

Kiedy Leo chciał zrobić kolejny krok do przodu, Jasper podniósł prawe ramię.

- Ani kroku dalej.
- Nie potrzebujesz tego noża, odłóż go.
- Zdejmij kurtkę.

Leo zdjął skórzaną kurtkę, podniósł ją i wyrzucił na lewą stronę, potem pokazał, że kieszenie też są puste.

- Teraz buty.

Leo pochylił się, rozwiązał sznurowadła, zdjął buty i postawił je na półce obok pary butów bojowych. Wyglądały na zupełnie nowe i przypominały te, które spalił Leo, tyle że były najnowszym modelem.

- Może dostałbym teraz filiżankę kawy?
- Dopiero kiedy podwiniesz nogawki.

Leo wykonał polecenie i rozłożył ramiona.

- Popatrz, tylko skarpetki i owłosione łydki. No to co z tą kawą?

Jasper, który nadal nie czuł się pewnie, obserwował go w milczeniu i wydawał się niezdecydowany, co ma zrobić.

- Jasper, do cholery... Jeśli chciałbym się ciebie pozbyć, to nie przychodziłbym do ciebie do domu, nie uważasz?

Jeszcze chwila wahania, po czym Jasper pokazał, co miał za plecami: długi, ostry nóż kuchenny.

Przeszli przez mały przedpokój do kuchni. Po drodze Leo rzucił okiem do pokoju: domowy ołtarzyk zniknął, zielony beret, zdjęcie Jaspera z ostatnich manewrów z jednostką komandosów górskich, podręczniki i bagnet – wszystko, co wcześniej było dla niego ważne, zniknęło. Stał tylko stół z wazonem bez kwiatów i świecznikiem bez świeczki.

W kuchni Jasper nasypał kawy do filtra, a Leo usiadł przy stole.

- Okej. Po co przyszedłeś?
- Chciałem zobaczyć, co u ciebie słychać.
- Co u mnie słychać?

Jasper uśmiechnął się niemal szyderczo. W tym momencie Leo zauważył po drugiej stronie stołu przewieszoną przez oparcie krzesła kurtkę od jakiegoś uniformu. Z tego samego brązowego materiału co spodnie. Na prawym rękawie jakiś znaczek, widoczny tylko częściowo.

- Co ty właściwie na sobie masz? I co tam wisi na krześle?

Leo wskazał na kurtkę. Trzy pierwsze litery to SEC, reszty domyślił się bez trudu – Securitas, największa szwedzka firma ochroniarska, tyle że Leo nijak nie mógł zrozumieć, skąd wzięła się na krześle w kuchni Jaspera.

- To moja.

Leo spojrział najpierw na kurtkę, potem na Jaspera.

- Twoja?
- Tak. Przecież zostałem wywalony z poprzedniej pracy, nie pamiętasz?
- Ale co ty robisz w Securitas?
- A co ty robisz tutaj?

Jasper odwrócił się od niego i zajął ekspresem do kawy, który prychnął i bulgotał. Niepewność powoli go opuszczała.

- Jestem tutaj, bo cię potrzebuję – powiedział Leo.

Jasper odwrócił się gwałtownie.

- Potrzebujesz mnie?
- Tak. Żeby zrobić dziesiąty skok.

Całkiem się odprężył. Podświadome poczucie zagrożenia zniknęło, a wraz z nim również wrogie nastawienie i nieufność.

Siedem miesięcy tęsknoty. A teraz stali tutaj. Razem.

- Dziesiąty?
- Dziesiąty.

- Myślałem, że już nigdy mnie o to nie poprosisz – powiedział Jasper z szerokim uśmiechem.

Nalał mocnej kawy do dwóch filiżanek.

- Powiedz w końcu, co ty robisz w Securitas?

- Wyłączam alarm, jeśli gdzieś się włączy, zajmuję się wybitymi oknami w szkołach i uszkodami po włamaniach do piwnic... Tego typu rzeczy.

Jasper wyjął z lodówki karton z mlekiem i nalewał trochę do filiżanki Leo.

– W firmie ciągle o nas mówią – powiedział Jasper z uśmiechem pełnym tęsknoty. – O Gangu Wojskowym. „Ciekawe, co obrobią następnym razem? Bank? Czy znowu transporter z pieniędzmi? A może jakiś magazyn?” A ja siedzę obok i tylko słucham.

Miał dumną minę. Nietrudno było sobie wyobrazić, jak w pomieszczeniu socjalnym, gdzie zbierali się podczas przerw w pracy, skręca się ze złości, ponieważ nie może nikomu pisać choćby słówka.

– Za kilka miesięcy sam będę jeździł transporterem z pieniędzmi. I czasami się zastanawiam, jak bym się zachował, gdyby ktoś mnie napadł.

Dotknął wciąż wiszącej na krześle kurtki.

– Są dwie możliwości. Albo posłusznie zrobiłbym to, co mi każą, gdybym zobaczył, że goście znają się na rzeczy, albowiem ich obezwładnił, gdyby okazali się amatorami. Dałbym sobie radę nawet z kilkoma, wtedy pisaliby o mnie w gazetach jak o bohaterze. I nikt by się nawet nie domyślał, że równie dobrze sam mógłbym być na ich miejscu!

– Jest jeszcze trzecia możliwość.

– Jaka?

– A co byś zrobił, gdybym to ja na ciebie napadł?

– Ty?

– Jeśli ja napadłbym na twój transporter?

– No... rozebrałbym się do naga i położył na podłodze, a ty mógłbyś ze mną zrobić, co ci się żywnie podoba.

Obaj wybuchnęli śmiechem.

– Ale na to jest jeszcze za wcześnie – kontynuował Jasper. – Muszę najpierw zdobyć ich zaufanie, wkręcić się między nich, wejść do systemu. Dopiero wtedy pozwolą mi jeździć furgonem z pieniędzmi.

Leo opróżnił swoją filiżankę. Jeszcze nigdy nie zdarzyło mu się to u Jaspera.

– No dobra. Najpierw dziesięć skoków. A potem zaplanujemy tę drugą akcję. Ty i ja.

Jeszcze kilka godzin temu siedział sam w swoim magazynie broni. A teraz miał i kierowcę, i kumpla, z którym napadnie na bank.

– A twoi bracia. Co oni na to?

– Nic. Zrobimy to bez nich.

– To znaczy, że będziemy tylko we dwóch?

– Nie. Jest jeszcze kierowca.

– Kto?

– O tym pogadamy później.

– Czyli jest nas trójka?

– Nie, jest jeszcze ktoś.

Boczne drogi, które tak dobrze znał; przez wiele tygodni jeździli po nich bez przerwy tam i z powrotem – Felix za kierownicą, żeby nauczyć się na pamięć każdego zakrętu, każdego łuku, a on obok, żeby porównać rzeczywistość za oknem z rozłożoną na jego kolanach mapą w skali 1 : 50 000.

Wtedy gdy planowali ucieczkę, gdy przeprowadzili wspólny skok.

Był już prawie na miejscu, ostatnie metry przez miejscowość składającą się głównie z domów jednorodzinnych skupionych wokół stacji kolejki podmiejskiej i niewielkiego centrum handlowego, gdzie wszyscy się spotykali, a potem szli dalej.

Kilka dni. I wszystko się odmieniło. Najpierw wizyta w Göteborgu, gdzie spotkał się z oporem Feliksa i Vincenta, a potem wizyta u śmiertelnie wystraszonego Jaspera, który załatwił sobie pracę otwierającą nowe możliwości.

Zerwał z Jasperem, który stał przed nim i kłamał mu prosto w oczy, że to nie on odbezpieczył bombę na dworcu i nie on przyłożył naładowaną broń do skroni jego najmłodszego brata, który stracił kontrolę nad sobą i zawiódł jego zaufanie. Ale przed chwilą nawiązał kontakt z innym Jasperem – ubranym w porządną koszulę i uniform Securitas, mającym szansę na prowadzenie furgonów przewożących pieniądze do i z Riksbanken.

Siedzieli przy stole, na którym kiedyś stały świeżo wyczyszczone ulubione buty Jaspera, i rozstali się jako przyjaciele połączeni wspólnym celem. Najpierw mały napad przed świętami, aby sfinansować następne dwanaście miesięcy, a potem znacznie większa akcja w okolicy Bożego Narodzenia

następnego roku. Obiekt: centrala Banku Narodowego. Miejsce: garaż pod największą sztokholmską galerią handlową. Potencjalny łup: czterdzieści do pięćdziesięciu milionów, ponieważ taki utarg dostarczano codziennie do banku w okresie przedświątecznym, a potem rozwożono pieniądze do bankomatów, aby obroty wzrosły jeszcze bardziej. Tymczasem pulsujące serce handlu czekał zawał. Z Jasperem po swojej stronie niemożliwe nagle stało się możliwe. Przy takich sumach być może przekonałby nawet braci, że opłaca się jeszcze ten ostatni raz wziąć udział w robocie.

Za rok.

Największy napad rabunkowy w historii Szwecji. A potem zniknąć na zawsze.

Leo zatrzymał się przed furtką. Ostatnio leżały tu opadłe liście, teraz pod nogami trzeszczały zmrożone żdźbła trawy, a policzki parzyły mu kryształki lodu – wirowały wokół niego i iskrzyły się w porannym słońcu. Skinął głową w kierunku mężczyzny, który z gazetą pod pachą klęczał na śniegu i sprawdzał coś przy płocie.

– Jak się masz, Steve. Ojciec jest w domu?

– Leo?

Mężczyzna wstał i zdjął okulary.

– Proszę, proszę, kogo ja widzę. Trzeba przyznać, że nie odwiedzasz swojego ojca zbyt często.

Steve był właścicielem domu i mieszkał w nieco większym mieszkaniu na piętrze. Gdy podali sobie ręce, Leo zauważył, co Steve oglądał. Kilka zielonych sztachet w ogrodzeniu było złamanych.

– Jest w domu?

– Chyba tak. W każdym razie samochód stoi.

Ten sam żółty saab kombi co wcześniej, choć w jeszcze gorszym stanie. Stał tam, gdzie poprzednio, tylko nieco bardziej w poprzek. Steve pokręcił głową.

– Wjechał w płot.

– Czyli jest w domu?

– Jest, ale nie reaguje na moje pukanie.

– Okej, to teraz ja zapukam.

Steve nie zwracał na niego uwagi, zajęty jedną z chybotających się sztachet jak dziecko ruszającym się zębem.

– Twój ojciec bywa czasami... dość trudny. Ale tak źle jeszcze nigdy z nim nie było. Cały czas tkwi w domu i nikomu nie otwiera. Do tej pory przynajmniej terminowo płacił czynsz, a teraz nie robi nawet tego.

Odchylił sztachetę mocniej i nią szarpnął – odpadła.

– Poza tym pożyczył ode mnie pieniądze.

Leo spojrział w stronę okien na parterze. Z karniszy zwisały koldry i koce, jakby chodziło o zaciemnienie podczas wojny.

– Kiedy widziałeś go ostatnio?

– Wczoraj, jak wrócił z monopolowego. Chciałem z nim porozmawiać, ale zatrzęsął mi drzwi przed nosem. Prowadził po pijanemu... Naprawdę próbowałem z nim porozmawiać.

– Nie powiedział ci czegoś nadzwyczajnego?

– Nadzwyczajnego?

– No, ważnego, czegoś, co go nurtuje. Przecież na ogół dużo ze sobą rozmawiacie.

Steve wzruszył ramionami.

– Nie. Nic nie mówił. To znaczy nic poza tym, że bym, cytuję dosłownie, się wynosił i poszedł wyruchać kaktusa, bo inaczej wcisnie mi ogon lisa w dupę. Co prawda mam klucz, ale nie odważyłem się sam wejść do jego mieszkania. Nie zrozum mnie źle, Leo, lubię Ivana, chociaż czasami jest trudny i ma temperament choleryka. Ale potrafi być też zabawny i można z nim przyjemnie spędzić czas. Tylko że ostatnio, Leo, zupełnie go nie poznaję. Poważnie. Martwię się o niego, a jednocześnie trochę się go boję. Bywa niebezpieczny, nigdy przedtem taki nie był, przynajmniej w stosunku do mnie. Nie rozumiem, co się z nim dzieje.

Leo skinął głową. Jego ojciec rozwiązywał swoje problemy jak zawsze – pijąc, zachowując się po chamsku i nie rozmawiając.

– Zajmę się tym. Ile jest ci winien?

Steve w końcu trochę się odprężył.

– Czynsz plus dług, razem osiem tysięcy.

Leo wyjął portfel z tylnej kieszeni spodni i wyciągnął z niego sześć tysięcy w banknotach po pięćset koron.

– Pozostałe dwa tysiące dostaniesz w ciągu tygodnia. Wtedy też naprawię ci plot. Może być?

Steve chciał właśnie wziąć pieniądze, gdy Leo nagle cofnął rękę.

– Potrzebuję jeszcze klucza do mieszkania.

Leo przekręcił klucz w zamku. Uderzył w niego smród od dawna niewietrzonego mieszkania zmieszany z zapachem ojca. Zapalił światło. Na podłodze leżały powycinane gazety. Stół w pokoju był pokryty zmietnymi kuponami Keno, zgniecionymi opakowaniami po jedzeniu i kawałkami surowej cebuli, której zapach wyraźnie dominował. Były też nożyczki, kawałki gazet, tubka kleju i cała bateria pustych butelek po winie – Leo naliczył ich czternaście. Na kanapie leżało coś czarnego – gruby segregator, który prawie w całości zniknął między wytartymi skórzanymi poduszkami.

Leo usiadł i zaczął go przeglądać. Całe strony artykułów o Gangu Wojskowym. Zdjęcia z odłamkami szkła, z jego własną zamaskowaną twarzą i z ośmioma otworami po kulach w szybie oddzielającej kasę. *Cały pieprzony album z wycinkami z gazet.*

Jego ojciec rzeczywiście dokładnie wszystko sprawdził. Nie tylko się domyślał – on wiedział. Ojciec, który zbiera wszystko, co dotyczy jego synów, aby móc o nich czytać wciąż na nowo.

Jakby był... z nich dumny.

Leo miał wątpliwości, czy jego ojciec kiedykolwiek czuł coś takiego. Od tej myśli zrobiło mu się niedobrze. Zatrzasnął z hukiem segregator i ruszył w stronę zamkniętych drzwi sypialni.

Ivan Duvnjac leżał w ciemności zupełnie bez ruchu. Leo podszedł szybko do łóżka i przytknął palec do wargi, aż w końcu poczuł lekki oddech. Potem położył ojcu dłoń na nosie i ustach. Lekki świst w gardle zamienił się w chaotyczne chrapanie. Ivan jęknął i zaczął machać wokół siebie rękami niczym młotem, który stracił rytm.

– Tato.

Leo schwycił go za ramiona i ostrożnie nim potrząsnął.

– Tato!

Ivan obrócił swoje ogromne ciało na bok, ale oczy miał wciąż zamknięte.

– Tato, spójrz na mnie!

Ivan uchylił powieki.

– Leo...?

Schwycił syna za wyciągnięte ramię i z trudem usiadł; jego gołe stopy dotknęły podłogi.

– Jak, do cholery, tu wszedłeś?

– Co ty wyprawiasz, tato? Awanturujesz się z właścicielem domu, wjeżdżasz mu po pijanemu w plot i jeszcze mu grozisz? A co by było, gdyby wezwał policję? Gdyby ci cholerni gliniarze tu przyszli? Leżysz jak wyrzucony na brzeg mors, a Steve ma zapasowy klucz. Wyobraź sobie, co by się stało, gdyby tu weszli i znaleźli... na przykład to.

Rzucił ojcu na kolana czarny segregator.

– Skojarzenie cię ze mną nie jest znowu takie trudne. Jeśli trafiliby na coś takiego u ciebie, ojca trzech synów, od razu by wiedzieli, że trzeba ich sprawdzić.

Ivan popatrzył na segregator z wycinkami z gazet i odłożył go ostrożnie na łóżko.

– Wydałbyś własnych synów! Twoje cholerne pijaństwo znowu wszystko by zepsuło!

Leo ściągnął z okien koldrę i koce i odsunął na bok firanki. Więcej światła. Ivan skulił się, jakby chciał od niego uciec.

– Spójrz na mnie, tato, i posłuchaj chwilę. Chcę ci zaproponować robotę.

– Przecież mam już pracę.

– Bzdura. Właśnie dałem Steve'owi sześć tysięcy koron. Mówi, że jesteś mu winien jeszcze więcej.

Leo odzekał, aż ojciec przestanie mrugać zmęczonymi oczami i przyzwyczai się do dziennego światła.

– Brakuje mi jednego człowieka.

Ivan wstał, wciąż z przymkniętymi powiekami, i wyszedł z pokoju na chwiejnych nogach.

– A więc jesteś tchórzem. Nie masz do tego smykałki.

Leo poszedł za nim.

– A ty musisz się najpierw spoić winem, żeby rzucić butelką z benzyną w dom dziadków.

– Może, ale nie jestem zdrajcą.

– Ja cię nie zdradziłem.

– Ty...

– Miałem wtedy dziesięć lat. Ta twoja stara śpiewka już na mnie nie działa. Opuść więc siebie.

Na podłodze leżały stopy gazet. Na stole resztki jedzenia.

Oto obraz ojca.

Ivan przeczesał zmierzwione włosy dłonią i spojrzął na syna.

– Posłuchaj, Leo! Jeśli nie przestaniesz, to będą na ciebie polować jak na dziką zwierzynę. Nie ludź się, że wiecznie będzie ci się udawać! Są gliny, które tylko przesiadują w radiowozach, ale są też tacy, którzy mają taką samą broń jak ty. I tylko czekają, żebyś zrobił błąd, a wtedy... wtedy zastrzelą cię jak psa. Nie jesteś w stanie z nimi wygrać. To niemożliwe.

– Z tobą czy bez ciebie, nie zrezygnuję.

Ojciec usiadł na wysłużonej kanapie. Wydał się mały.

– Pytam cię ostatni raz: tak czy nie?

Ivan wyprężył się nagle.

– Czyli mnie potrzebujecie?

– Pójdiesz z nami?

– Potrzebujecie mnie czy nie?

– Potrzebujemy cię.

„Potrzebujemy cię”. Leo wypowiedział te dwa słowa. Proste pytanie, na które właśnie tak odpowiedział.

Jego trzech synowie go potrzebują.

– No to idź z wami.

Leo skinął głową, a potem przeszedł do kuchni i ściągnął grubą koldrę, która także tutaj wisiała w oknie. W jaskrawym świetle zawirował kurz.

– I jeszcze jedno. Od tej chwili ani kropli.

Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatnio pakował prezenty gwiazdkowe. Zawsze robiła to Britt-Marie. Zajmowała się tym zwykle późnym wieczorem, kiedy ich trzej niemogący się doczekać niespodzianki synowie w końcu spali.

Ivan wazył w ręce zapakowany w błyszczący czerwony papier dość dużych rozmiarów prezent. Z pięćdziesiąt gramów, nie więcej. Teraz wstążeczka. Kiedyś podejrzwał, jak Britt-Marie przeciąga po złotej tasiemce ostrzem nożyczek, a potem układa z powstałych spiralek coś na kształt kwiatu rododendronu. Choć bardzo się starał, nic takiego mu nie wychodziło. Rezultat wciąż pozostawał ten sam: sterczące lodygi.

Pośrodku przycisnął do papieru samoprzylepną etykietkę z motywem świątecznym i wziął do ręki niebieski długopis. Litery były słabo widoczne, więc sięgnął po czarny.

„Wesołych świąt życzy Ivan”.

Potem zabrał paczkę ze stołu w kuchni – chyba jednak miała co najwyżej dwadzieścia pięć gramów – zaniósł do przedpokoju i położył przy drzwiach obok innych.

Pusta paczka obok innych pustych paczek.

Chciał wrócić i zapakować następny karton, ale musiał się zatrzymać, bo znowu drżał. Drżenie, które przebijało się przez jego suchą skórę. Odczekał, aż trochę ustało, żeby inni go nie zauważyli.

Wieczorem mogło być jeszcze gorzej, a następnego ranka tym bardziej. Alkohol był jak sublokator, który zagnieżdził się w jego ciele i w żaden sposób nie dawał się przepędzić. Rano, kiedy stał przed lustrem w przedpokoju i przeciągał dłońią po świeżo ogolonym policzku, drżał mniej. Jego oczy wydawały się wodniste i małe, jakby chciały się ukryć, aby nie widzieć jego kręconych, posiwiałych na skroniach włosów i nosa, który po tym, jak przyjechał do Szwecji, zrobił się jeszcze większy. Przecież wiedział, że nos i uszy rosną przez całe życie.

Męczyło go nieustanne klucie, w żołądku i tam, gdzie chyba są nerki i wątroba. Pił wino każdego dnia i każdej nocy, nawet nie wiedział, od jak dawna to już trwało, lecz nie miał wątpliwości, że potrzebne są jeszcze co najmniej trzy dni, aby stan jego nerwów powrócił częściowo do normy. Z tym cholernym kluciem dawał sobie radę. Ale bał się brać udział w skoku na bank w czasie, gdy trucizna opuszczająca jego organizm i nerwy torowały sobie drogę przez wysuszoną skórę.

Było jedno wyjście: napić się. Nie za dużo, jedynie tyle, aby wewnętrzny demon zęgnął się trochę wolniej i powodował przy tym odrobinę mniej hałasu. I aby zagłuszyć panikę. Kieliszek wina co dwie godziny i nikt niczego nie zauważy.

Obiecał jednak najstarszemu synowi, że nie weźmie do ust ani kropli. Wyszedł więc z łazienki, nie zatrzymując się po drodze przy stojącej w kuchni pełnej do połowy butelce, i poszedł wprost do sypialni, gdzie zapakował do sfatygowanej brązowej walizki dwie pary dżinsów, dwie pary nowych majtek, dwie pary skarpetek, dwie koszule i ładny jasnoszary garnitur. Nie do końca wiedział, co będzie potem. Czy zostanie u Leo i będą razem świętować Boże Narodzenie. Ivan, Leo, Felix i Vincent. Najpierw napad na bank, a potem święta.

Wyciągnął ręce, żeby sprawdzić, czy drżą – przestały. Poprawił paczkę, która leżała na samej górze. Potem wrócił do kuchni i podszedł do stołu, na którym leżał papier do prezentów, taśma klejąca, wstążeczka i ozdobne etykiety.

– Zgadnij, dla kogo to wszystko?

Leo siedział naprzeciwko Anneli. Również przed nimi leżały paczki.

– „Wesołych świąt... – przeczytał na głos, dopisując: – ...życzy ci Twój syn Leo”.

Ta pusta paczka była o wiele mniejsza niż tamte, które Ivan wyniósł już do przedpokoju. Leo zsunął ją ze stołu razem z innymi niedużymi pakiecikami do jutowego worka.

– To jest szczęśliwa rodzina, tato – powiedział Leo – która robi to wszystko, co robią szczęśliwe rodziny. Pakuje prezenty i obchodzi Boże Narodzenie z bliskimi. Jesteś zaskoczony, co?

Ręce Ivana drżały, na szczęście nikt tego nie zauważył. Sięgnął po szklankę zimnej wody i nie wylał ani kropli. Przy stole stały dwa puste krzesła. Czyli jeszcze nie wszyscy przyszedli.

Opuścił swoje mieszkanie na parterze w Ösmo, przyjechał do tego domu w Tumba i zapukał do udekorowanych kołyszającymi się dzwonekami drzwi. Otworzył mu Leo, a on postawił walizkę w przedpokoju i powiesił na wieszaku czarny płaszcz. Witając go, Leo położył mu rękę na ramieniu. Ivan zastanawiał się przez chwilę, czy nie objąć syna, ale się rozmyślił. Po chwili podeszła do niego kobieta nucąca kolędę, która właśnie płynęła z głośników na ścianie. Ivan nawet nie wiedział, że jego najstarszy syn z kimś mieszka. Podał jej rękę. Anneli go przywitała i zaraz potem pokazała mu udekorowany świątecznie dom. Dopiero gdy weszli do pokoju dla gości na parterze, stało się dla niego jasne, że jest we wszystkim wtajemniczona i że nawet będzie brała udział w tym, co miało się zdarzyć następnego dnia. Leo czekał już przed rozkładaną kanapą i razem z Anneli zademonstrował mu potajemną kryjówkę pod podłogą. Ivan zszedł i zobaczył tam broń, o której zniknięciu tyle nasłuchiwał się w telewizji. Ale to nie ona zrobiła na nim szczególne wrażenie – zaimponował mu genialny pomysł samego schowka. Przez moment nastroj był wręcz beztrojski. Ojciec i syn – znowu zjednoczeni. Ivan miał ochotę spytać: „Kiedy przyjdą Felix i Vincent?”

Ostatni pusty karton owinięty w ozdobny papier trafił do jutowego worka. Kiedy zaczęły je pakować, za oknem przesuwały się samochody tkwiące w wieczornym korku. Teraz wszystkie były już gdzieś daleko i ciszę zakłócały od czasu do czasu tylko pojedyncze auta.

Uprzątnęli stół w kuchni, Leo opuścił rolety i rozłożył na pustym blacie ogromną mapę okolicy. Ivan zaczął jej się uważnie przyglądać, próbując odgadnąć, gdzie jutro uderzą. Syn na razie tego nie zdradził. Pośrodku mapy w Upplandzie leżała miejscowość o nazwie Heby, a trochę na lewo – Sala w Västmanlandzie. Małe miasteczka, których nazwy już kiedyś słyszał, lecz nigdy tam nie był. Około stu dwudziestu kilometrów na północny zachód od Sztokholmu.

Ktoś zapukał do drzwi.

Ivan zauważył, że jest spięty i prawie nie może oddychać. Serce zaczęło mu bić jak oszalałe, jakby po tych wszystkich latach zmienił zdanie i uznał, że jednak nie chce widzieć swoich synów.

Leo wyszedł do przedpokoju. Otworzyły się drzwi, rozległ się dźwięk dzwoneczków, jak przy jego wejściu kilka godzin wcześniej. Potem słychać było śmiech, odgłos poklepywania po ramieniu.

Uścisnęli się. Moi synowie.

O Boże, jak ja bym się teraz napił.

Głos chyba dwudziestolatka. Trochę jaśniejszy, niż można się było spodziewać. Ivan nastawił uszu. Felix? Czy może Vincent, który musi być już chyba duży?

Poszedł do przedpokoju. I zobaczył kogoś innego. Bo to chyba niemożliwe, żeby Felix tak wyglądał? Przecież miał ciemne włosy i był dość podobny do niego. To nie mógł być też raczej Vincent, ponieważ mimo wszystko raczej by go rozpoznał.

– Dobry wieczór. Jestem Jasper.

Ręce jego chłopców były mocniejsze. A te są kruche, prawa dłoń Jaspera całkowicie zniknęła w jego dłoni.

– Ivan.

– Wiem. Wychowałem się w Skogås i często bywałem w waszym domu, nie pamiętasz?

Ivan pokręcił głową.

– Ale ja cię pamiętam. W pizzerii obciąłeś kiedyś jednemu gościowi włosy, a potem dałeś wycisk wszystkim jego koleiom po kolei.

Ten, który na pewno nie był żadnym z jego synów, przeszedł do kuchni. Najwyraźniej nie był tu pierwszy raz. Z ożywieniem powiedział: „Cześć, Anneli, popatrz, kto przyszedł!”. Na co ona się roześmiała, ale nie szczerze i serdecznie, tylko z przymusu, bo tak wypadało.

Ivan nie ruszał się z przedpokoju. Może idzie ktoś jeszcze? Rzucił okiem na schodki, a gdy Leo zamknął drzwi, wyrwał przez małą szybkę na dziedziniec. Nie. Nie przyszedł już nikt więcej.

– On będzie z nami?

– Jasper był z nami od samego początku.

Mapa leżała wciąż na stole w kuchni. Leo wyjął z kieszeni dwie dziesięciokoronowe monety i położył tam, gdzie była zaznaczona miejscowość Heby.

– Tutaj jest bank. A tutaj, w odległości dwóch kilometrów, posterunek policji, który obsadzony jest tylko przez pół tygodnia przez jednego lub dwóch gliniarzy. W dzień przed Wigilią mniej więcej o tej porze obaj będą zbierać się do domu.

Leo stuknął jedną z monet o mapę.

– Tato? Słuchasz mnie? Będziesz stał tutaj, dobrze widoczny, przed bankiem. Każdy, kto się zbliży, powinien wiedzieć, że jesteście uzbrojeni.

Przesunął złotą dziesięciokoronówkę, która symbolizowała posterunek policji, w kierunku banku.

– Gliniarze właściwie nie powinni się pojawić. Jeśli jednak się pokażą, to musisz, tato, zmusić ich do odwrotu. Strzałem w powietrze. A jeśli to nie pomoże, to strzałem ponad głowami. A jak i to ich nie przekona, oddasz dowolną liczbę strzałów w chłodnicę ich samochodu. Jeżeli w dalszym ciągu nie zawrócą, musisz bronić siebie i Anneli, która będzie czekać w samochodzie. Tato, spójrz na mnie! Jeśli już będziesz musiał strzelać, to celuj w tułów.

Do dwóch dziesięciokoronówek dołączyła teraz nieco większa srebrna pięciokoronówka, którą Leo położył w odległości kilku kilometrów na północ, obok drogi przecinającej zakreskowany na zielono obszar leśny.

– Po wyjściu z banku dojedziemy pierwszym pojazdem tutaj.

Ivan obserwował mapę i ręce Leo, które przesuwaly monety z jednego miejsca w drugie. Ale nie słuchał syna. Dwa wolne krzesła. Oni nie przyszli.

– Tato, jesteś tu? Pierwszy samochód przykryjemy gałęziami i pójdziemy przez las... stąd... jakieś dwieście metrów... dotąd. Tam na niedużym parkingu będzie stało drugie auto, z prezentami gwiazdkowymi i jedzeniem. Zamienimy ukradziony samochód na wynajęty. Zanim do niego wsiądziemy, przebierzemy się w eleganckie ubrania i będziemy szczęśliwą rodziną jadącą na święta.

– Tylko my? My... we czwórkę?

– To tylko jeden bank. Nie potrzebujemy więcej ludzi.

– A Felix? I Vincent? Gdzie oni są?

Ivan kilkakrotnie przeniósł wzrok z pustych krzeseł na milczącego Leo. Potem rzucił pytające spojrzenie Jasperowi i Anneli. Żadne z nich nie odpowiedziało.

– Tato, spójrz.

Ze stojącej na podłodze torby Leo wyjął owinięty w ręcznik karabin. Podczas odbytej już trzydzieści lat temu służby wojskowej Ivan używał innej broni, ale zasada pozostała ta sama. Leo rozłożył karabin na cztery części.

– Kolba, lufa, a tutaj, tato, zamek i w nim iglica. Przekręcasz ją o pół obrotu i wyjmujesz. Teraz twoja kolej. Złóż to, a potem zobaczymy, jak się z tym obchodzić.

Na stole leżały przed nim cztery części karabinu. Ivan nie chciał ani brać ich do ręki, ani składać. Bo wszystkie razem mogły zamienić się w śmiertcionośną broń. Co prawda wiedział, czym parają się jego synowie, ale nie do końca przyjmował to do wiadomości. To on zawsze zadawał ciosy innym ludziom.

– Tato? Musisz to umieć na pamięć. Dokładnie tak jak wtedy, kiedy nauczyłeś mnie uderzać całym ciałem, pamiętasz?

Ivan wczepił się palcami w materiał dżinsów. Gdyby rozluźnił uścisk, wszyscy by zauważyli, że drżą mu dłonie. Popatrzył na pojedyncze części karabinu, po chwili wziął do ręki zamek, włożył go w łożysko, przekręcił, jednak zamek się nie zatrzasnął. Czuł na sobie wzrok wszystkich siedzących przy stole. Jeszcze raz włożył metalową część do łożyska i obrócił ją zgodnie ze wskazówką. Nagle ogarnęły go wątpliwości. Inne niż pozostałych; podpowiadały mu, żeby porzucił broń i uciekł przed tym szaleństwem.

– Tato, po kolei, jedna część za drugą – powiedział Leo, kładąc dłoń na ręce Ivana. W taki sposób nie dotykali się już całą wieczność.

Ivan obrócił metal. Raz. Dwa razy. Trzeci raz... Usłyszał trzask! Wprawdzie drżały mu ręce, lecz był w stanie to jakoś ukryć.

– Dobrze. Teraz reszta.

Lufa. Kolba. Zamek. Po kolei, aż karabin był kompletny.

– Tato, posłuchaj mnie dobrze, to ważne. Jutro musisz mieć te ruchy wykute na blachę. Nie chcę, abyś nacisnął coś przypadkowo i w kogoś trafił.

Leo wziął broń z ręki Ivana.

– To jest zabezpieczenie, musi być ustawione na S, chyba że przyjadą gliniarze. Wtedy przesuniesz dźwignię na P, czyli na ogień pojedynczy, nie na A, bo to oznacza przejście na automat i dwadzieścia strzałów w dwie sekundy. A Bóg jeden raczy wiedzieć, w co trafią.

Jasper stał trochę z boku. A Leo podszedł, chwycił broń, stanął między stołem a kuchenką w pozycji strzeleckiej i wycelował w opuszczoną roletę.

– Posłuchaj, Ivan. Popatrz na mnie. Celujesz i oddajesz strzał po wydechu. Pamiętaj, żeby oprzeć się całym ciężarem na kolbie, dzięki temu odrzut będzie mniejszy. W końcu nie chcemy, żeby potem bolały cię ramiona.

Jasper zabezpieczył karabin i przechylił głowę na bok.

– Potrafisz tak? Pokaż.

Na kolanach Ivana znalazła się broń automatyczna, ponieważ właśnie tam położył mu ją jakiś smarkacz, który był tu zamiast jego młodszych synów. A teraz w dodatku miał czelność wydawać mu polecenia, żeby stanął jak jakiś idiota i ćwiczył celowanie.

– Jak się niby nazywasz?

– Jasper, i chciałem...

– Widziałeś, jak wtedy w pizzerii urządziłem jednego gówniarza, który za dużo gadał?

– Tak, stałem pod oknem, kiedy...

– Tamten typ też chciał mi mówić, co mam robić, a czego nie.

Gdy Jasper sięgnął po automat i zaczął się wymądrzać, Leo od razu wiedział, jak ojciec zareaguje. Nie miał jednak pewności, czy Ivan rzeczywiście jest świadom tego, co czeka ich następnego dnia.

– Tato?

– No.

– Włóż płaszcz. Chciałbym, żebyś pojechał ze mną.

– Dokąd?

– Musimy zorganizować sobie samochód.

Ivan stał znowu w przedpokoju przy prezentach. Nie był pewien, co irytowało go najbardziej: jego własny niepokój, który wywoływał to cholerne drżenie, czy też te niekończące się kolędy.

Czekał już z minutę w swoim płaszczu bez ciepłej podpinkii i w zbyt cienkich butach, gdy Anneli zawołała:

– Czy mógłbyś jeszcze na chwilę tu podejść?

Stała w dużym pokoju na rozkładanej drabince przed choinką. Miała sznur z lampkami elektrycznymi, które ostrożnie przypinała do gałązek.

– Mam już buty na nogach.

– Nie szkodzi.

Ivan stanął obok Anneli, która przyglądała się choince. Najwyraźniej widzieli dwie różne rzeczy. Bo Anneli robiła wrażenie zadowolonej, znowu nuciła i zaczęła zawieszzać kolejne srebrne bombki, Ivan natomiast widział tylko biedne drzewko wyrwane ze swojego naturalnego otoczenia i bez sensu obwieszane świecidełkami.

– Te są prawdziwe – powiedziała, wskazując na kilka prezentów pod choinką. – Większość jest dla Sebastiana. To mój syn. Przyjdzie do nas na Wigilię.

Na parapecie leżała gwiazda na czubek. Anneli podała ją Ivanowi.

– Ja nie sięgnę tak wysoko, ale może tobie się uda?

Od tych kolęd skręcały mu się wnętrzności. Wziął do ręki gwiazdę i umocował ją na szczycie choinki.

– Super! Wspaniale!

Była szczerze uszczęśliwiona widokiem udekorowanej choinki z gwiazdą na czubku. Dla Ivana zaś było to tylko kolejne sztucznie wystrojone drzewko.

– Dziękuję, Ivan. Czy mógłbyś mi jeszcze pomóc przy prezentach?

Wskazała na stojące w przedpokoju worki z pustymi paczkami.

Nióśł dwa lekkie worki jutowe do wynajętego samochodu. Jakiś japończyk, żeby jutro nie rzucali się w oczy. Anneli z trzecim workiem w ręce otworzyła bagażnik.

– Połowa paczek ma leżeć tutaj. Jeśli ktoś otworzy bagażnik, najpierw zobaczy prezenty. Będziemy jechać około trzeciej po południu, czyli jeszcze nie zrobi się ciemno. Jeśli będą leżały tutaj, na tylnym siedzeniu i na tylnej półce, będą widoczne z góry. Samochód pełen prezentów i ja za kierownicą. To był mój pomysł.

Zdaje się, że napelniał ją taką samą dumą jak widok choinki. Marznąc, Ivan odczekał, aż Anneli zastanowi się, czy zielona, czy też niebieska paczka będzie lepiej pasować do złotej. W końcu zabrała obie z tylnego siedzenia i położyła na tylnej półce, a potem ostatecznie wrzuciła do bagażnika.

– Co ty robisz? – zapytał Ivan.

– Powinno ładnie wyglądać.

– Przecież wygląda ładnie.

Leo pojawił się z torbą na ramieniu.

– Tato, pojedziemy twoim samochodem i zostawimy go tam, gdzie znajdziemy inny.

Ivan wyszedł za Leo przez furtkę do swojego samochodu; był wyladowany w połowie narzędziami i pędzłami.

– Ten Jasper... – zaczął Ivan.

– Tak?

– Co to właściwie za typ?

– Jeden z moich najstarszych kumpli. Nie pamiętasz go?

Ivan wyjął kluczyki z wewnętrznej kieszeni czarnego płaszcza.

– Ufasz mu?

– Słucham?

– Ufasz temu pozał się Boże żołnierzycy?

Otworzył drzwi samochodu, wsiadli i Ivan włożył kluczyk do stacyjki.

– Posłuchaj. Jasper należy do gości, którzy nigdy się nie zawahają – powiedział Leo. – Zrobi wszystko, co mu powiem. Jeśli jutro miałyby się stać coś nieoczekiwanego, jeśli by mieli nas zatrzymać, podejść do nas zbyt blisko... to on tak łatwo nie ustąpi.

Anneli stała w kuchni przy oknie i obserwowała Leo i Ivana. Na próżno czekała, aż Leo się odwróci i ich spojrzenia jak zwykle się spotkają. Zawsze tuż przed skokiem wycofywał się w swój świat, którym z nikim się nie dzielił. Tym razem jednak miała przed sobą inny widok: ojca i syna. Jeszcze nigdy nie widziała ich razem, a kiedy tak szli obok siebie ramię w ramię, wyraźnie dała się zauważyć ich wzajemna bliskość, której oni sami chyba nie byli świadomi.

W dużym pokoju było ciemno. Anneli włączyła lampki na choince. Potem przykłękała i przesunęła dwie duże paczki pod największą gałąź, zastanawiając się, czy Sebastian na pewno się ucieszy. Kiedy rozpakowywał swoje prezenty, zawsze robił wrażenie bardzo skoncentrowanego, pełnego oczekiwania. Już dawno nie spędzali razem Wigilii. Ale może w tym roku, gdy już ukryją samochód, schowają pieniądze i zniszczą broń, uda jej się przywieźć go tutaj. Może będzie jeszcze czas, żeby wstawić do piekarnika szynkę i przygotować śledzia w occie i soku cytrynowym ze świeżą kolendrą i pietruszką. Świętowałiby Boże Narodzenie jak zupełnie normalna rodzina, tylko Leo, Sebastian i ona.

Anneli kupiła dla swojego syna pod choinkę dzwonek do roweru i kask hokejowy pomalowany w płomienie. Właśnie taki chciał. Te ostatnie prezenty pakowała przy niskim stole przed kanapą.

– A ty co chciałabyś dostać?

Jasper. Nie zauważyła go. Lubił się zakradać.

– Jak to?

– Tak sobie pomyślałem... że zdążyłbym jeszcze do Åhlénsa. Zdaje się, że przed świętami mają otwarte do dziewiętej.

– Możliwe.

– W końcu nie mogę być tu z wami i nic ci nie dać.

– Co powiedziałaś?

– Skoro mam z wami być, to chciałbym wam...

– Ale ciebie tu nie będzie. Po skoku każdy będzie świętował u siebie.

– Leo zapytał mnie, czybym nie został, i się zgodziłem, więc chyba świętujemy razem. Rodzina się rozrasta!

Siedział w fotelu Feliksa i lekko się w nim kołysał, tak jak Felix.

– Nie. Ciebie tu nie będzie.

– Myślałem, że to będzie jakby taki nowy początek.

– Słyszysz, co mówię? Ciebie tu nie będzie.

– O ile się nie myślę, możemy złupić ponad milion. A potem... możemy po prostu iść za ciosem.

Nie odpowiedziała.

– Anneli, co o tym myślisz?

Nie patrzyła na niego, tylko skupiła się na zawijaniu prezentu w papier. Wyszło jej trochę krzywo.

– Co o tym myślę? Że niczego nie rozumiesz. I że cię tu nie będzie, bo nie należysz do rodziny. Że... że w ogóle nic nie kapujesz, że po prostu jesteś tylko zwykłym szeregowym żołnierzem! Psem, który biega za kijem rzuconym przez pana.

Wzięła znowu do ręki papier i zaczęła pakować od nowa.

– Nie rozumiesz, że nie jesteś jego bratem? Wprawdzie siedzisz na miejscu Feliksa, ale to nie wystarczy, żeby być jego bratem!

Patrzyła na człowieka, który mógł nawet strzelić, byle tylko postawić na swoim. Kiedy czuł się zraniony, był gotów wstać, zaatakować, zniszczyć. Ale teraz po prostu siedział i patrzył na nią niewzruszony. I kotłował się dalej.

– Anneli, znam Leo o wiele dłużej niż ty. On nigdy nie pozwoli, żeby ktoś taki jak ty wszedł mu w drogę. Leo nie zostawi swoich braci. Dobrze o tym wiesz.

Kilkakrotnie uderzył się pięściami w klatkę piersiową.

– Leo nie zostawi swoich braci.

Następnie wstał i ruszył w kierunku schodów. Jednak zatrzymał się w pół drogi.

– To prawda. Jestem żołnierzem. Nawet cholernie dobrym żołnierzem. A dobry żołnierz wie zawsze, co trzeba zrobić. Dlatego bardzo dobrze wiem, co mam do zrobienia jutro. A jak jest z tobą?

Zasalutował.

– To nie ja jestem słabym ogniwem w tym łańcuchu – mówił dalej. – Będziesz prowadzić samochód. A ile banków obrabowałaś do tej pory? A jeżeli gliny nas zatrzymają i będziesz musiała opuścić szybkę w samochodzie, żeby zapytać: „Czy mam dmuchnąć?”... No, to do widzenia!

Po tych słowach zszedł po schodach do kryjówki z bronią, żeby wykonać zadanie, które powierzył mu Leo.

Jasper w bawełnianych rękawiczkach wycierał jeden nabój po drugim i wkładał je do magazynka, który również wytarł. Leżało przed nim szesnaście magazynków bez ani jednego odcisku palców. On sam miał zawsze przy sobie osiem, Leo chciał zwykle sześć, a Ivan dostanie dwa. Myśli o następnym napadzie, tym wielkim, który przyniosłby im pięćdziesiąt milionów, trochę go uspokajały. Ale i tak nie mógł pozbyć się złości. *Prosty szeregowy żołnierz*. Anneli nie miała pojęcia, co planują za rok! *Nie jego brat*. Była jak tykająca bomba, czuł to przez skórę. I nieraz miał ochotę wykrzyknąć to Leo – że ona wszystko wie, może się wygadać w każdej chwili i wszystko zniszczyć. Najchętniej ostrzegłby Leo, ale to było niemożliwe, bo ten mógłby zrozumieć go nie tak, jak trzeba. Najchętniej przystawiłby jej lufę do czoła i dał do zrozumienia, że zniknie na zawsze, jeśli piśnie choćby słówko. Ale już nigdy nie popełni takiego błędu, nie po historii z Vincentem. Jeżeli ktoś nie chce się niczego nauczyć, to nie ma zmiłuj – nikt go nie nauczy. A jednak wyszło na jego, to on miał rację. I dlatego to on, a nie Vincent, teraz tu siedzi i wyciera odciski palców. Prawdopodobnie miał też rację, jeśli chodzi o Anneli.

Spojrzał na zegarek. Niedługo powinni wrócić.

Cały rząd broni automatycznej i nienaruszona jeszcze zawartość szarozielonej skrzynki na najwyższej półce. Zdjął pokrywę. Granaty ręczne. Zabrali je z ostatnich manewrów. Jutro weźmie trzy ze sobą. Dla bezpieczeństwa. Leo nie musi o tym wiedzieć.

Leo i Ivan jechali w milczeniu przez zimową noc formem scorpio, którego ukradli na wymarłym parkingu w Södertälje. Przejechali przez Strängnäs i skręcili na szosę 55.

– Dajesz radę?

Leo uznał, że nie będzie lepszej okazji. Byli sami w samochodzie, chciał się upewnić.

– Co masz na myśli?

– Picie.

Leo chciałby znowu poczuć u ojca bezgraniczną siłę, z którą się wychował. Tego mężczyzny obok siebie nie znał już tak dobrze i nie potrafił odczytywać jego zachowań równie bezbłędnie jak kiedyś. Leo musiał się dowiedzieć, czy istnieje jeszcze człowiek, który nauczył go, jak uderzać całym ciałem, jak trafiać przeciwnika prosto w nos.

– Będziesz stał przed bankiem. Jeśli pojawią się gliny, najpierw natkną się na ciebie. Dasz sobie z tym radę?

– Strzele, jeśli będzie trzeba.

– Wycelujesz i strzelisz?

– Przecież chyba jeszcze, do cholery, wiem, jak działa karabin!

W milczeniu jechali przez stary szwedzki krajobraz, gdzie na każdym skrzyżowaniu stały kamienie z pismem runicznym i grobowce z epoki brązu. Minęli zjazd na wyspę Arnö, na której – gdy byli jeszcze rodziną – kilka razy wynajmowali latem domek letniskowy. Potem droga prowadziła przez most, rondo i kawałek przez E18. Ostatnie kilometry pokonali znowu zwykłą szosą. Ojciec podniósł głos, to dobry znak, ale niewystarczający. Leo musiał się jeszcze upewnić.

– Czyli dzisiaj wieczorem nie muszę chować butelek?

Leo zauważył, że Ivan zacisnął dłonie.

– Leo, co to ma być, do cholery? Siedzisz tu i próbujesz mi rozkazywać! Na tym ci zależy? Chcesz odgrywać przede mną przywódcę?

– Tato, nie odpowiedziałeś. Butelki! Odpowiedz mi. Masz zamiar się upić?

– Jeśli jesteś takim superprzywódcą, to gdzie, do diabła, są twoi bracia?

Właśnie taką agresję miał nadzieję usłyszeć. Czyli wciąż jeszcze w nim jest i objawia się instynktowność. Ważne tylko, żeby ojciec ją kontrolował i potrafił świadomie używać.

– To dlatego zgodziłeś się na tę robotę? Bo myślałeś, że zrobimy ten skok razem? Całą dużą pieprzoną rodziną? Nie rozumiesz, że gdyby Felix i Vincent byli ze mną, to nie musiałbym, do jasnej cholery, prosić kogoś takiego jak ty?

Ivan nie patrzył już przed siebie. Oczy, w których jeszcze przed chwilą skrywały się mroczne myśli, nagle patrzyły równie jasno, co ponuro. Spojrzenie mogące w każdej chwili zamienić się w przemoc. Ręce Ivana przestały drżeć.

– A dlaczego nie ma ich przy tobie?

– Bo nie mają na to ochoty. Tak po prostu, tato.

– Pokłóciliście się? Moi synowie? Uczylem was przecież, że musicie się trzymać razem.

Jeszcze to w nim siedziało i był w stanie nad tym zapanować. A skoro sam potrafił trzymać się w ryzach, to i Leo da sobie z nim radę.

– Po prostu nie mają na to ochoty. A jak ktoś za nic nie chce, to nie ma sensu go zmuszać. Jeśli uważasz, że ten skok to dla ciebie za dużo, powiedz mi to teraz, tato.

Ostatni zakręt. Droga była coraz węższa i zakręty ograniczały widoczność. Zamiast pól widzieli bezkształtną ciemność.

– Leo, ty naprawdę chcesz zrobić ten skok?

Przed nimi pojawiły się pierwsze światła małych domków jednorodzinnych i pojedyncze bloki mieszkalne, z których składała się miejscowość Heby.

– Chodzi mi o tych ludzi, z tym pozał się Boże żołnierzykiem. Pajacem, który uważa, że powinniśmy zaatakować Rosję? I z kobietą, która traci czas na układanie pustych prezentów na tylnym siedzeniu w określonym porządku, żeby tylko ładnie wyglądały? Czy ona w ogóle umie prowadzić? Posłuchaj, Leo. Czy dobrze się nad tym wszystkim zastanowiłeś?

– Wszystko przemyślałem jak najdokładniej. Jesteś jedynym ryzykownym elementem.

– Przecież to szaleństwo, Leo!

– Dziewięć napadów. Wiem, co robię.

Ivan nagle zrozumiał. To zawsze on miał coś do powiedzenia. Lecz w tym cholernym samochodzie, który nawet nie należał do nich i w którym lodowaty wiatr gwizdał im z boku przez otwarte okno, ostatnie słowo należało do jego najstarszego syna.

Heby okazało się jeszcze mniejsze niż Ösmo. O tej porze miejscowość wyglądała jak wymarła – otwarty był tylko kiosk przy przystanku autobusowym, knajpka z pizzą i kebabem oraz punkt wynajmu kaset wideo. A w niskim otynkowanym budynku między sklepikiem tytoniowym a gabinetem dentystycznym znajdował się bank.

– Jutro będziesz stać tutaj, obok tych drewnianych barierek przy wejściu – powiedział Leo.

Przejechali powoli obok.

– A może uważasz to za szaleństwo?

Szybko dotarli na koniec miejscowości. Heby składało się właściwie z jednej ulicy i z ładnego białego kościoła na wzgórzu.

Kilka kilometrów dalej na północ zaczynał się gęsty las; w tym miejscu szosa mocno skręcała i prowadziła dalej dwa kilometry w kierunku zachodnim. Leo zwolnił i skręcił między dwiema dużymi stodołami i traktorem na nieutwardzoną drogę. Jutro też się tu zatrzymają – pośrodku gęstej

roślinności. Leo wysiadł, wszedł do lasu i wrócił z przygotowanym wcześniej naręczem gałęzi. Szybko przykryli nimi samochód i ruszyli przez ciemny las.

– Jutro pójdziemy tą samą drogą. Po mniej więcej dwustu metrach dojdziemy do drugiego samochodu.

Pojedyncze gwiazdy, rozsiane wysoko nad drzewami wokół świecącego półksiężyca, stanowiły jedyne źródło światła. Leo próbował dostrzec ojca, lecz słyszał tylko jego ciężki oddech, gdy niewytrenowane ciało pochylało się pod nieustępliwymi gałęziami.

– Tato, powiedz w końcu.

– Co?

Zatrzymali się obok siebie, na długość ramienia.

– Żeby w razie czego mógł jeszcze zmienić plan. Powiedz to teraz. Tutaj. W cztery oczy. Powiedz, że nie dasz rady. Przyjmę to do wiadomości, ale chcę to wiedzieć dzisiaj, a nie dopiero jutro przy śniadaniu.

Zanim Ivan odpowiedział, usłyszeli chrzęst opon na żwirze. Między pniami drzew zabłysło światło reflektorów. Był to ten sam wynajęty samochód, który stał przed domem w Tumba i w którym leżały zapakowane w kolorowy papier niby-prezenty. Za kierownicą siedział Jasper. Leo ruszył w jego stronę.

– Leo?

Właśnie odsuwał na bok kilka gałęzi, kiedy Ivan schwycił go z tyłu za ramię.

– Leo, spójrz na mnie.

Ich twarze rozdzielała ciężka gałąź sosny.

– Popatrz na mnie.

Ivan pociągnął gałąź w dół i ją złamał.

– Jestem twoim ojcem, dam sobie radę. Słyszysz?

Ostrożne, ledwie słyszalne pukanie do drzwi.

Anneli stała w kuchni przy stole i kroїła grube kromki chleba. Ivan obok niej przygotowywał nocną przekąskę, sałatkę z ogórków i pomidorów – źródło energii dla jutrzejszych napastników. Jasper siedział w otwartej kryjówce pod podłogą i oliwił automaty, które mieli zabrać ze sobą następnego dnia. Pochylny w dużym pokoju nad mapą Leo planował awaryjne drogi ucieczki.

Wszyscy znieruchomieli wystraszeni. Na pół dnia przed napadem nikt nie był tu mile widziany.

Leo przemknął do sypialni i uchylił roletę, robiąc w niej małą szczelinę. Zadaszenie nad wejściem nie pozwalało mu jednak nic zobaczyć. Zszedł więc po cichu na dół do drzwi wejściowych i próbował coś dojrzeć przez judasza, lecz ktoś zasłonił otwór.

Ponowne pukanie.

Jasper przyniósł dwa automaty z piwnicy, podał jeden Leo, a ten położył broń na regale w przedpokoju i przykrył ją kurtką. Następnie obaj wśliznęli się do kuchni.

– Idź na górę i zabierz ze sobą Anneli – szepnął Leo do ojca. Odczekał, aż oboje zniknęli na piętrze, i otworzył drzwi.

– Czy są tu grzeczne dzieci?

Felix i Vincent. Oni dwaj. Tutaj. Leo odetchnął z ulgą i się uśmiechnął.

– Wchodźcie.

Objął obydwu. Jego bracia znowu się pojawili.

– No już, wchodźcie do środka!

Jasper podszedł z bronią w rękę.

– Cała rodzina znowu razem!

– Ale ty nie należysz do rodziny – fuknął Vincent.

Anneli zeszła na dół, podczas gdy Ivan zatrzymał się za nią w połowie schodów. Na jego widok Felix wybuchnął nagle złością:

– A czego on tutaj szuka?

– To chyba jasne – odparł Leo.

– Jak to?

– Wy się ulotniście. Ktoś inny musiał więc zająć wasze miejsce.

Ivan zszedł po ostatnich stopniach.

– Moi chłopcy – powiedział, a jego uśmiech stawał się z każdym krokiem szerszy. – Vincent, jak ty urosłeś. A Felix... Widzisz, Leo, a jednak przyszli!

W ciasnym przedpokoju zebrali się tak dużo osób, że Leo czuł się przytłoczony. Za nim stał zniecierpliwiony ojciec, który chciał przywitać swoich synów, przed nim obydwaj młodszy bracia, którzy próbowali wymigać się od powitania.

– Ja i Vincent chcieliśmy porozmawiać z tobą, na osobności – powiedział Felix do Leo.

Leo wskazał ręką na pokój z sejfem w podłodze. Trzej bracia weszli do środka i zamknęli za sobą drzwi.

– Wiem, co myślisz.

– Nic nie myślę.

– Nie zmieniliśmy decyzji. Nie chcemy napadać na banki. Przyjechalśmy tu z innego powodu.

Felix wyjął z kieszeni kopertę.

– Masz. Siedemdziesiąt tysięcy. Tyle nam jeszcze zostało. Jeśli robisz to wszystko tylko dlatego, że potrzebujesz pieniędzy, to weź je, Leo. I zapomnij o tym pieprzonym banku!

Leo najpierw wpatrywał się w pękata kopertę, w banknoty wystające z otworu. I wreszcie pojął. Tak na nich czekał, chciał, żeby przyjechali, ale nie po to.

– Pojawiasz się tu, Felix, i próbujesz zgrywać Świętego Mikołaja i rozdawać prezenty? A co potem, co?

– Jakie potem?

– Tego wystarczy raptem na kilka miesięcy.

– Jak chcesz, możemy tu wrócić. W końcu mamy jeszcze naszą firmę. Prawdziwą firmę budowlaną. Możemy przecież dalej razem remontować domy.

Wciąż trzymał kopertę w wyciągniętej ku bratu ręce.

– Vincent, dalej myślisz tak jak on?

– Nie wiem!

– Nie wiesz?

– Nie wiem.

Leo przechylił głowę na bok i się uśmiechnął.

– Ale wiesz na pewno, że w żadnym wypadku nie chcesz siedzieć w domu i się martwić. Dlatego musisz się teraz zdecydować. Akcja będzie jutro.

Felix upuścił kopertę, którą nikt się już nie interesował.

– Chcecie obrabować bank? Poważnie? Wy... we czworo?

– Tak.

– Leo, ta koperta jest twoja. Teraz sobie pójdę. Nie przyszedłem tu po to, aby obrabować bank, tylko żeby cię powstrzymać. I nigdy więcej nie odzywaj się do nas z takimi propozycjami, ani do mnie, ani do Vincenta.

Podszedł do drzwi, otworzył je i jeszcze raz się odwrócił.

– Vincent? Jutro rano jadę do domu. Bilety są już zarezerwowane. Wiesz, jak możesz się ze mną skontaktować.

– Poczekaj!

Ivan siedział w kuchni. Zerwał się jak na komendę.

– Poczekaj!

Felix go zignorował.

– Poczekaj, chcę z tobą porozmawiać!

Ledwo mu się udało chwycić syna za rękaw.

– Puść mnie, do cholery!

– Posłuchaj, nie widzieliśmy się tak długo...

– Ja mam cię słuchać? Ciebie? Człowieka, który ze swoim własnym synem chce obrabować bank?

Ivan puścił jego ramię.

– Felix, mój chłopcze, przyszedłem tutaj, bo chciałem was widzieć. Ciebie, Leo i Vincenta. Myślałem, że moglibyśmy... pracować razem. Wszyscy razem.

– Co takiego?

Stali oddaleni od siebie o kilka metrów, lecz wystarczająco blisko, by Felix mógł zauważyć, że oddech ojca się zmienił. Nie cuchnął alkoholem.

– Naprawdę myślisz, że obrabuję z tobą bank? Myślisz, że chciałbym być z tobą pod jednym dachem, w jednym pokoju? Po tym wszystkim, co zrobiłem przez ciebie własnej matce? Naprawdę tak myślisz? Idź do diabła!

– Kiedyś musisz wreszcie odpuścić, Felix. Nie jesteś zły na mnie, tylko na tamtego człowieka, którego znałeś, gdy byleś mały, i który był niewiele starszy niż dzisiaj Leo. Zapomnij w końcu o tym, co było wtedy. Spójrz mi w oczy teraz. Zmieniłem się. Zapomnij o tamtym.

– Co ty powiesz? Czy możesz mi wobec tego odpowiedzieć na jedno pytanie? Kto otworzył wtedy te cholerne drzwi, kiedy przyszedłeś, aby bić matkę po twarzy? To byłem ja? Czy może Vincent? Czy Leo? Przypominasz sobie? Czy to też mam zapomnieć?

Podszedł o krok bliżej do ojca.

– Okej, zapomnę.

Odchrząknął i zebrał ślinę w ustach.

– Zapomnę, od tej chwili.

Po czym splunął.

Tym razem trafił nieco wyżej, nie w policzek i szyję, jak wtedy matce.

– Co wy uprawiacie?!

Leo wybiegł z pokoju i rozdzielił ojca i brata.

– Felix, idź już!

Vincent nie ruszał się z miejsca. Stał sam. Widział, jak jego ojciec ociera rękawem ślinę z twarzy i jak Felix otwiera drzwi.

– Felix, poczekaj!

Wybiegł do przedpokoju. Wyminął ojca i Leo.

– Idę z tobą.

Ivan leżał w łóżku już z godzinę, a może nawet ze dwie, gdy nagle przyszło mu do głowy, dlaczego nie może zasnąć. Męczył go jakiś zapach. Usiadł na łóżku i przycisnął do nosa poduszkę. To ta powłoczka. To ona pachnie tak znajomo i intensywnie. Poduszka pachniała Britt-Marie. Nieczęsto o niej myślał, ale tutaj czuł się tak, jakby wokół niego krążyła.

Czy ona tu nocowała?

Poczuł, że przenosi się w przeszłość. *Kapus*. Krążyła wokół niego, a on siedział teraz na zupełnie innym łóżku, na pryczy w celi, po tym jak ktoś rzucił butelkę z benzyną, po tym jak ktoś zdradził. *Kapus*. Policjant z zabandażowaną prawą ręką otworzył zniecka drzwi celi i wszedł, żeby z nim porozmawiać.

Ivan nie chciał z nim rozmawiać.

Ten cholerny glina mimo wszystko został w celi i żądał odpowiedzi.

- **Jak pan mógł zabrać ze sobą syna?**

- **O czym pan właściwie mówi?**

- **O tym, że wziął pan ze sobą dziesięcioletniego syna, gdy podpalał pan dom swojej żony, jego matki.**

- **Nie chcę teraz z panem gadać.**

- **Niech pan posłucha. Pański syn Leo wydaje się dobrym chłopcem, on...**

- **Nie chcę teraz z panem gadać, nikt nie może mnie do tego zmusić. Siedzę w celi, ale to ja decyduję, kiedy chcę mówić. Niech pan więc wyjdzie! Wynocha!**

- **Właściwie to nawet wcale nie musi pan mówić. Pański syn już to zrobił. Leo opowiedział nam wszystko. Jak pan zmaistrował tę butelkę. Jak zabrał go pan do samochodu, jak zaparkował pan na ulicy, jak przeszedł pan między krzakami malin, zanim rzucił pan butelkę z benzyną w okno piwnicy.**

- **Nie rzucałem żadnej butelki. A mój syn nigdy nie powiedziałby ani słowa.**

- **A jednak nie było z tym problemu. Opowiedział nam wszystko z własnej woli. Była przy tym jego matka. Całą godzinę siedziałem z pańskim synem przy stole w waszej kuchni.**

- **Chce mi pan wmówić, że mój syn siedział z jakimś cholernym gliną przez całą godzinę i kablował na własnego ojca?**

- **W rzeczy samej.**

- **Jeśli nie było z tym żadnego problemu, to co się panu stało w rękę? Mój syn nigdy by mnie nie wydał. W mojej rodzinie nikt nikogo nie zdradzi.**

- **Powiedział, ponieważ miał taką potrzebę, nie rozumie pan tego? Jest pan jego ojcem. Niech mi pan powie, co tam zaszło, ze względu na niego. Żeby nie musiał nosić w sobie tego, co się stało.**

- **Zjeżdżaj pan stąd wreszcie, do jasnej cholery!**

Ten cholerny zapach. Nie mógł się go pozbyć, chociaż porwał powłoczkę i wyrzucił przez okno. Potem wyszedł do zimnego i ciemnego przedpokoj. Jak dziecko przemykał po domu swojego syna. Ona krążyła wokół niego, aż zakręciło mu się w głowie. Pośliznął się i uderzył biodrem o zlew, a stopą o stół. Nie chciał wracać do tamtych czasów.

„Jesteś jedynym ryzykownym elementem”. Razem z Leo włamali się do samochodu przeznaczonego do ucieczki i od razu pojechali na miejsce, w którym mieli zmienić samochody. Syn spojrzał na niego i zaczął go oskarżać, zanim jeszcze cokolwiek się zaczęło. On i ryzyko? Nieznośne myśli. To było cholerne ryzyko. Zdrada to było cholerne ryzyko.

Ani kropli od czterdziestu ośmiu godzin, ręce mu drżały, kilkakrotnie omal nie wymiotował, a wiedział, że w lodówce stoi butelka whisky. Trzęsła nim gorączka, potem dreszcze, chociaż w domu nie było już zimno. Usiadł przy stole i marzył teraz od wewnątrz. A może obok whisky stoi też butelka wina? Znowu położył się do łóżka i wymachiwał rękami w powietrzu, waląc w coś, co wokół niego krążyło, krążyło i krążyło.

Jasper usiadł wściekły na łóżku. Przeszkadzały mu nie tylko niewygodne poduszki na kanapie czy zbyt grube prześcieradło. Albo światło, które przesączało się przez nieszczelną roletę. To myśli o Anneli nie dawały mu spać. Była słabym ogniwem w całym łańcuchu. A on jedyną osobą, która zdawała sobie sprawę z ryzyka. Słabe miejsce można rozpoznać tylko wtedy, gdy się je podda próbie. A Anneli pod presją rozprysła się niczym jajko z porcelany. Wystarczyłoby dziesięć minut w specjalnej sali przesłuchań i wyapałaby wszystko jak dziecko.

Było mu żal Leo. Nigdy nie pozbyłby się Anneli. Zawsze będzie miała go w garści. Mogłaby pójść na policję albo po prostu coś gdzieś chlapnąć – przyjaciółce lub komuś w barze. Potem ludzie w mundurach wyłamałoby u nich drzwi. A wtedy nie byłoby wątpliwości, co by go czekało. Dożywocie. Za bombę. Prokurator naciskałby na surowy wyrok dla niego, ponieważ doprowadził do zagrożenia życia wielu osób.

Jeśli zaczęłaby mówić, oznaczałoby to dla niego dożywocie.

Jego wydałaby jako pierwszego, bo nie znosiła go od samego początku. Uświadomił to sobie już podczas ich pierwszego spotkania w nielegalnym klubie w Handen. Była tam sama, piła różowe wino musujące i wyglądała bardzo sexy. Naturalna piękność. Rozmawiali ze sobą przy barze: Anneli, Leo i on. Śmiała się i po każdym kieliszku jej wargi zbliżały się coraz bardziej do ucha Leo. Na niego nawet nie spojrziała.

Leo czuł jej czujne milczenie już od kilku godzin, jej nagą skórę na swojej. Wciąż przewracała się z boku na bok. Wiedział dlaczego. Próbowwała wyobrazić sobie to, w czym nigdy dotąd nie uczestniczyła. Brak jej było naturalnego opanowania Feliksa, niezbędnego, aby czekać przez trzy minuty za kierownicą, podczas gdy oni opróżniali skarbiec, potem zaś oddalić się z miejsca napadu tak szybko i sprawnie, by nikt niczego nie zauważył i nie mógł za nimi podążyć, a przy tym jechać tak spokojnie, aby ich samochód nie rzucał się w oczy.

Bez Felixa potrzebowali teraz przed bankiem dwóch ludzi. Anneli będzie prowadzić, a ojciec ewentualnie stawi opór atakującym. W banku Jasper i on zamienią się rolami. On wejdzie za szybę i opróżni kasy i sejf. A Jasper będzie w tym czasie pilnował leżących na podłodze klientów i pracowników.

Czuł ostry łokieć jej zdrętwiałego ramienia pod żebrami. Podtrzymał go ostrożnie i pogłaskał jej białą skórę koniuszkami palców.

– Anneli? Słyszysz mnie? Nie przejmuj się.

Odwrociła się do niego, jej oczy błyszczały w ciemności. Pocałował ją w czoło i policzek.

– Nie denerwuję się, jeśli to masz na myśli.

– Tak, właśnie to mam na myśli. Postaraj się zasnąć.

– „Leo nigdy nie pozwoli, żeby ktoś taki jak ty wszedł mu w drogę. On ma swoich braci”. Tak powiedział mi Jasper. I wyobraża sobie, że po tym wszystkim może jeszcze z nami spędzać Boże Narodzenie. Nie znoszę go.

– Przecież nie chodzi ci o niego? Nie możesz zasnąć z powodu jutra, prawda? Pewnie się boisz.

Podniosła się i oparła na łokciu.

– Leo, czy naprawdę tego nie rozumiesz? Ja się nie boję. Cieszę się nawet, że mogę przy tym być. Bo wtedy nie muszę siedzieć w domu i nasłuchiwać w radiu, czy jeszcze żyjesz, czy nie. I cieszę się już teraz, że potem wspólnie spędzimy czas, bez twoich braci i bez Jaspera!

Trąciła go znowu łokciem między zębra, nie bardzo mocno, lecz tym razem umyślnie.

– Nie podoba mi się tylko, że ufasz temu psychopacie, który śpi tam na kanapie.

– Anneli, posłuchaj, jutro odwalimy tę robotę razem. Uznałem, że mogę zaufać Jasperowi. Tak samo jak zdecydowałem się zaufać tobie i ojcu. Bo muszę tak zrobić. Okej? Śpij już.

Leo się obrócił, usiadł na brzegu łóżka i postawił stopy na zimnej podłodze. Potrzebował trochę spokoju, którego nie mógł znaleźć tutaj. Dlatego odczekał, aż Anneli zaśnie, a potem zamknął ostrożnie drzwi sypialni i ruszył w stronę schodów.

Zauważył go w ostatniej chwili. Jasper siedział na kanapie. Nie spał. Na stoliku leżały cztery sztuki broni automatycznej.

– Jasper, czyś ty zwariował? Co ty robisz?

– Czyszczę broń.

– Już ją czyściłeś. Wszystko jest przygotowane. Teraz musisz spać.

– Na jutro zapowiadają silne opady śniegu.

– Widziałem. Ale dopiero po południu, kiedy będziemy w drodze do domu. Śpij już.

Jasper odłożył broń, którą oliwił już drugi raz.

– Leo, a jak nas zatrzymają? Jeśli gliny nagle będą tam stały? Pomyślałeś o tym? Czy ona sobie z tym poradzi?

– Z czym?

– Nie ufam jej. Jeśli...

– Jasper? Jutro razem damy radę. Uznałem, że mogę jej zaufać. Tak samo jak zdecydowałem się zaufać tobie i ojcu. Bo muszę tak zrobić. Okej? Śpij już.

To on trzymał wszystko w kupie. Wcześniej, kiedy jeszcze Felix i Vincent brali w tym udział, też tak było, ale teraz wydawało się to bardziej oczywiste. Zszedł na dół, omijając skrzypiący stopień pośrodku schodów. Z pokoju dla gości nie dochodziły żadne odgłosy, lecz na wszelki wypadek zamknął drzwi.

Potem poszedł do kuchni i wypił pół szklanki wody z kranu, który najpierw zawsze prychał, zanim wypłynął z siebie pierwsze krople.

Anneli, Jasper i on. Nikt z nich nie spał. Poza ojcem, o którego tak bardzo się martwił.

Wypił jeszcze pół szklanki, wrócił do przedpokoju i chciał właśnie ruszyć po schodach na górę, gdy usłyszał za sobą głos ojca.

– Leo? Mógłbyś wejść tu na chwilę?

Brzmiał dziwnie. Nie był to ani szept, ani charczenie. Po prostu błagał. Jego ojciec, który nigdy o nic nie prosił, który wydawał jasne polecenia i oczekiwał, że zostaną wykonane, błagał Feliksa przy drzwiach, a ten napluł mu za to w twarz. Teraz błagał swojego najstarszego syna, który nie czuł się dobrze z tego powodu.

– Tato, co ty tu robisz? Powinieneś spać.

W ciemności nie zauważył, że ojciec leży w szortach na ławie kuchennej. Leo już od progu widział, że ojciec drży.

– Usiądź przy mnie na chwilę. Chciałbym ci coś powiedzieć.

Leo wrócił więc do kuchni i usiadł na brzegu ławy, podczas gdy Ivan też się podniósł. I tak oto tam siedzieli: mający ponad dwudziestkę i patrzący w przyszłość Leo i ponad dwa razy starszy Ivan, którego droga życiowa prowadziła już donikąd.

– Ja... może nie zawsze robiłem wszystko dobrze, kiedy byliście mali.

– Zrobiłeś to, co zrobiłeś, ani za dużo, ani za mało.

– Ale to nie było w porządku.

– Przestań.

– Powinieneś być...

– Naprawdę, to już obojętne. Nie chcę o tym więcej słyszeć.

– Ale dla mnie to ważne. Byłeś wtedy jeszcze dzieckiem.

– I co z tego?

– Byłeś jeszcze dzieckiem, Leo. I ja wiem, że nie zrobiłeś tego umyślnie.

– Czego.

– Nie zdradziłeś mnie umyślnie.

– Zdradziłem cię? Znowu zaczynasz?

– Nie, ale...

– Posłuchaj! Raz na zawsze! Nie zdradziłem cię! To nie w naszym stylu! Wprost przeciwnie! Nawet kiedy wszedłeś do mieszkania, żeby zabić mamę, wzięliśmy wszyscy winę na siebie. Dlatego do dzisiaj mówię, że to ja otworzyłem drzwi, a Felix twierdzi, że to on, tak jak Vincent. Po prostu nie jesteśmy zdrajcami!

– Leo... ja... ja nie robię ci z tego powodu wyrzutów. Wiesz przecież, przedtem, jak Felix... ja nie zareagowałem. Felix napluł mi w twarz, a ja nawet nie podniosłem ręki. Napluć komuś w twarz to największa obraza. Jeśli zrobiłby to ktoś inny, to... to taka świnia nieźle by oberwała. Ale nie mój syn.

Mówiąc te słowa, Ivan nieświadomie gwałkał knykcie prawej dłoni, które z biegiem lat stały się bardziej płaskie.

Wyglądały tak, bo często używał ich podczas bójek.

– Koniec z tym gadaniem o moim dzieciństwie.

– Leo, dlaczego nie chcesz...? Ja tylko próbowałem...

Leo wstał i wyszedł. Brakowało mu po prostu sił na takie rozmowy.

– One były otwarte!

Nagle zapanowała całkowita cisza. Pewien rodzaj spokoju. Zbliżając się do drzwi, Leo zrozumiał, co powiedział jego ojciec.

– Kiedy ja... i twoja matka... wtedy w Falun. Drzwi nie były zamknięte na klucz. Po prostu nacisnąłem kłamekę i wszedłem do środka. Przeszedłem obok Feliksa, Vincenta i ciebie.

Leo przysiadł na ławie.

– Słyszysz, Leo? Zaden z was nie otworzył drzwi.

Pilnował ozdobionych brązowymi drewnianymi szczebelkami drzwi z dużą szybą pośrodku. Drzwi prowadzących do banku, który właśnie okradano. I był jednym z napastników.

Ivan się bał. Nie dopuszczał do siebie takich uczuć, ponieważ nie mógł sobie na nie pozwolić w momencie, gdy jego syn w czarnej kominiarce i z bronią automatyczną w ręku wykonywał swoją robotę. Coś jednak odczuwał. Wstyd. Straszny wstyd, który przyłgnał do niego jak wtedy to małe dziecko do jego pleców. Małe palce między łopatkami przeszkodziły mu jeszcze raz uderzyć ją w twarz. Straszny wstyd, kiedy ta druga, mniejsza twarz, stanęła mu na drodze i zmusiła go, by od niej odstał, co pozwoliło jej uciec po zbroczonej krwią gładkiej podłodze. Te palce potem przez cały dzień drapały go w plecy, a czas się zatrzymał. Już niedługo cały świat się dowie, że obrabowano bank i w środku był jego syn.

Za dziesięć trzecia. Ziemię pokrywał biały puch, który tłumił wszelkie odgłosy dochodzące do jego zakrytych kominiarzką uszu. Jeszcze pół godziny temu drogi i ulice były zupełnie suche, a krajobraz szary. Teraz widzieli odciski swoich stóp na śniegu, trzy pary śladów – śladów Leo, jego samego i Jaspera – prowadziły od samochodu do banku. Mieli być w środku przez trzy minuty. Zostały jeszcze dwie i pół. Jeśli dalej tak będzie padać, to ślady ich nóg znikną, zanim wrócą do samochodu.

Trzymał broń zwróconą w kierunku ulicy i kilku sklepów. Kiedy zerkał przez ramię, widział plecy Jaspera pośrodku sali bankowej, podczas gdy jego syn przechodził właśnie obok dużej donicy z kwiatami za oszkloną część do kas. Na ulicy przed nim za kierownicą samochodu siedziała Anneli, która też miała naciągniętą na głowę kominiarkę.

Znowu rzucił okiem na zegarek. Minęło już czterdzieści pięć sekund. Wiele by dał, aby opuścić to miejsce, wypić duży łyk czerwonego wina i nigdy więcej nie musieć patrzeć swoim synom w oczy.

Leo spojrzął krótko przez ramię. Ojciec stał z bronią przed drzwiami. Wytrzymawał. Zaufał mu i okazało się, że była to słuszna decyzja.

Jeszcze sześćdziesiąt sekund.

Leo czekał przed zamkniętym skarbcom, podczas gdy kierownik filii drżącymi rękami usiłował włożyć klucz do zamka. Mężczyzna w wieku jego ojca był może trochę chudszy od Ivana i miał wyjątkowo długie palce. Leo chciał właśnie powiedzieć mu coś uspokajającego, gdy usłyszał trzask otwieranego zamka; odgłos bolców przesuwających się po ciężkiej stalowej ramie i odblokowujących drzwi przypominał ciężkie westchnienie.

Prawie już zapomniał, jak to brzmi.

Wejść do pomieszczenia dla klientów. Zmusić ich i pracowników, aby położyli się na podłodze. Przez trzy minuty być panem całego banku. A potem po długich przygotowaniach nareszcie znaleźć się w otwartym skarbcu i zrozumieć, że wszystko się udało.

Tylko jeden jedyny raz czuł się w obecności swojego ojca dobrze, a mianowicie wtedy, kiedy wspólnie opracowali plan i go przećwiczyli. Pobić Hassego, podczas gdy jego ojciec przyglądał się wszystkiemu z balkonu, było równie prosto, jak teraz napaść na bank, podczas gdy Ivan stał przed drzwiami i wszystkiemu pilnował.

Pieniądze leżały w skarbcu w stosach i było ich nawet więcej, niż się spodziewali. Setki w paczkach po dziesięć tysięcy, pięćsetki w paczkach po pięćdziesiąt tysięcy, tysiące – po sto tysięcy.

Wszystko było tutaj, nic nie leżało w sejfie nocnym.

Kiedy Leo rozkazał kierownikowi filii, aby ten usiadł w skarbcu pod ścianą, usłyszał podniecenie w swoim własnym głosie. Trudno było mu uwierzyć, że w tak małym banku zgromadzono tyle gotówki.

Leo otworzył zawieszoną na ramieniu torbę, która niczym ogromna otchłań połykała każdy wrzucany do niej plik – a wszystkie były niefarbowane. Szybko policzył w myślach: co najmniej trzy i pół miliona! To więcej, niż przyniósł im wtedy podwójny napad, ba, nawet więcej, niż złupili w potrójnym napadzie. W małym zasranym banku w małej zasranej miejscowości, razem z ojcem, który stał na straży, i z Anneli, która siedziała za kierownicą.

Kobięcy głos donosił w radiowej sieci policyjnej o napadzie na bank w Heby. Inny kobięcy głos podał, że w tamtym kierunku wyjechał już radiowóz z Sala. Ta wymiana zdań była Anneli obojętna – ona pojedzie tak, jak w ubiegłym tygodniu wielokrotnie ćwiczyła z Leo, siedząc w samochodzie obok niego jako pasażer. Nawet odgarniany przez wycieraczki śnieg, który zaczął padać, nie miał żadnego znaczenia. Ludzie na zewnątrz, obserwujący wszystko ze swoich kryjówek, mogliby potem złożyć zeznania, nie wiedząc, że za kierownicą siedzi kobieta – ale dla niej nie istnieli. Liczył się tylko uzgodniony wcześniej plan, który opracowali wspólnie z Leo, bez udziału kogokolwiek innego.

Mimo że wszyscy trzej opuścili już bank, spojrzała w pierwszej kolejności na Leo; niósł przewieszoną przez ramię torbę, wydawała się wypchana po brzegi.

Drzwi samochodu otworzyły się i zamknęły i Anneli zgodnie z planem włączyła się do akcji – najpierw przejechała na drugim biegu po szerokim chodniku na ulicę i przyspieszyła przy kościele z czarną wieżą. Potem skręciła w prawo i jeszcze raz w prawo, wyjechała z miejscowości i znalazła się na szosie. Śnieg padał coraz mocniej, ale Anneli pozostała opanowana. Znała każdy zakręt i wiedziała, jaką prędkość należy utrzymać.

– Trzy miliony!

Powiedział to głośno już kilka razy.

– P o n a d trzy miliony!

Jeszcze nigdy Anneli nie słyszała, żeby Leo mówił tak podekscytowanym głosem. Ekspłodował, wręcz ochrypl ze szczęścia. Nawet śmiech Jaspera siedzącego na tylnym siedzeniu wydawał się przyjemny. Było jej obojętne, że widoczność stawała się coraz gorsza, ponieważ nadal dobrze wiedziała, jak mają jechać. Tam dalej powinna skręcić w lewo. Włączyła nawet kierunkowskaz i zachichotała. Przecież to skradziony samochód, który został użyty przy napadzie na bank, a ona włącza kierunkowskaz. Zachichotała jeszcze głośniej, gdy skręcili na pokrytą śniegiem żwirówkę. A potem, ponieważ to było takie przyjemne uczucie i Leo wydawał się tak bardzo szczęśliwy, włączyła kierunkowskaz jeszcze raz, gdy skręcili do lasu, gdzie mogli spotkać co najwyżej sarny i zające. Ostatni raz włączyła kierunkowskaz, kiedy parkowała między sosnami.

Gdy wysiedli ze skradzionego scorpio, znaleźli się w środku szalejącej zamieci. Zamienili swoje czarne stroje na odświętne ubrania. Udało się. J e j się udało. Za chwilę wsiądą do wynajętego samochodu, w którym było pełno pięknie zapakowanych prezentów. Gdy biegli przez las, Anneli schwyciła Leo za rękę i mocno ją ścisnęła.

W pomieszczeniu socjalnym oddziału policji kryminalnej pachniało grzaniem winem, kawą i świątecznym ciastem, a ktoś zadał sobie nawet trud, by między ekspresem do kawy a automatem ze słodyczami ustawić brzydką plastikową choinkę.

John Broncks został w swoim biurze. Zdecydował, że nie weźmie udziału w świątecznym spotkaniu. Co roku uciekał przed zbliżającymi się świętami i związanymi z tym rodzinnymi obyczajami. Wtedy też prawie nie świętowali. W przeszłości kilka razy w Wigilię siedział w pokoju widzeń na umówionej wcześniej rozmowie. Jak wszyscy skazani na dożywocie Sam przed wizytą piekł ciasto i robił kawę; przeżuwali miękka jeszcze babkę marmurkową, jakby to była najnormalniejsza rzecz pod słońcem.

Wpatrywał się w ekran. Kilka minut temu zgłoszono napad w małej, oddalonej o sto dziesięć kilometrów miejscowości. Patrole z Sala i Uppsali były już w drodze, miał więc poważny powód, aby zrezygnować z grzanego wina.

Westchnął.

Na stole piętrzyły się przed nim akta aktualnych dochodzeń.

Na dziedzińcu komendy gonily za sobą kapryśne płatki śniegu.

Istnieli ludzie, którzy o każdej porze dnia i nocy byli gotowi użyć przemocy, aby przeforsować swoją wolę, i ta okoliczność usprawiedliwiała jego obecność tutaj w takim dniu jak ten. Będzie musiał zostać w pracy nieco dłużej.

Zadzwoił do Karlströma. Kiedy szef odebrał, w słuchawce rozległ się głuchy odgłos opon z kolcami trącymi o asfalt.

– Wiesz już o napadzie w Heby? – zapytał niecierpliwie.

Jego szef powinien już być dojechać do domu, mimo to odebrał telefon.

– John?

– Tak?

– Jutro jest Wigilia.

W słuchawce słychać było długi, pełen irytacji klakson. John przypuszczał, że to kierowca jadący za Karlströmem.

– Nie wiem nawet, gdzie jest to Heby – mówił dalej szef. – Gdzieś w rejonie policyjnym Uppsala. Wiem, co zamierzasz. Lecz to nie jest odpowiedni pretekst do siedzenia w biurze. Ten przypadek nas nie dotyczy.

Kilka klaksonów naraz. Wszyscy podobnie jak Karlström byli w drodze do domu, aby wreszcie pozwolić sobie na wieczorny dżin z tonikiem.

– A mówiąc zupełnie poważnie, John, kto dokonuje napadu na bank w przeddzień Wigilii? Tylko ktoś mający w nosie tradycję.

W słuchawce zatrzeszczało.

– Poczekaj. Muszę tylko włożyć na nos okulary.

Znowu trzaski. John Broncks był ciekaw, czy jego szef się zatrzymał, czy jechał dalej, patrząc przy tym na monitor radiowej sieci policyjnej w swoim samochodzie.

W grę wchodziła chyba ta druga ewentualność, bo w dalszym ciągu słychać było odgłos klaksonów.

– Dwa radiowozy są już na miejscu. Jeszcze jeden jest w drodze, jak zapewne mogłeś to zauważyć na swoim monitorze. John, to sto dziesięć kilometrów stąd. Nie mieszaj się do ich problemów.

Grudniowa ciemność zamieniła się w coś dzikiego, agresywnego. Masywna biała ściana osaczała ich ze wszystkich stron, tworzyła zupełnie inny rodzaj ciemności. Wycieraczki rozpaczliwie walczyły ze śniegiem na przedniej szybie i Anneli zmniejszyła prędkość. Ograniczenie do dziewięćdziesięciu na godzinę, a oni nie jechali teraz nawet pięćdziesiątką.

Zgodnie z planem Leo powinni mieć już za sobą co najmniej dziesięć kilometrów, tymczasem przejechali najwyżej dwa po szosie, na której zaczął już zalegać śnieg.

Anneli musiała zwolnić jeszcze bardziej. Przed nimi wlekły się w żółtym tempie inne samochody. Wyprzedzenie było niemożliwe. Próbowala dwa razy, musiała jednak zrezygnować i wrócić na swoje miejsce w kolumnie. Ponieważ widoczność wynosiła zaledwie kilka metrów, nadjeżdżające z przeciwka pojazdy widać było dopiero wtedy, gdy znajdowały się już bardzo blisko.

Jak na razie Anneli panowała nad sytuacją. Reagowała prawidłowo, gdy tylko opony zdawały się tracić przyczepność. Jej ruchy były płynne – perfekcyjnie zgrane używanie gazu, hamulca i sprzęgła. Leo pogłaskał ją po policzku, na co się uśmiechnęła.

Przestawił na moment lusterko wsteczne. Jasper siedział pochylony nad skrzynką z bronią, liczył magazynki i naboje. Ivan zaciskał dłonie tak mocno, że aż pobielaly mu kostki. Po bladej twarzy ściekał mu pot, który ciągle ocierał brudną chustką do nosa.

Odwyk.

Jego ojciec dość często wcześniej dawał sobie radę z takimi objawami – za każdym razem, kiedy przejściowo przestawał pić. Ale nigdy dotąd nie było tak jak teraz. Jeszcze nigdy symptomy odwyku nie objawiły się u niego w trakcie ucieczki przed policją.

– Tato, postaraj się zasnąć, wtedy będzie ci łatwiej. Oprzyj się wygodnie. Jedziemy wolniej, niż planowaliśmy, ale za pół godziny powinniśmy być w domu.

Z przeciwka nadjeżdżał jakiś samochód.

Leo zauważył go już z daleka. Dwa silne reflektory przebiejały zamieć. Gdy znalazł się na ich wysokości, Leo przekonał się, co to było.

Za kierownicą siedział mężczyzna w mundurze i wlepił wzrok w drogę przed sobą. Na boku samochodu mignęły duże litery, ledwo widoczne z powodu gęstego śniegu.

POLICJA.

– Jasper?

– Widziałem.

– Miej broń w pogotowiu. Ty i tata, schowajcie się pod prezentami.

Samochód przejechał, a policjant w ogóle nie zwrócił na nich uwagi. Leo czuł na nogach ciężar wypełnionej po brzegi torby.

– Uśmiechnij się – powiedział do Anneli. – Jedź i się uśmiechaj. Jesteśmy szczęśliwą rodziną.

Samotny policjant. Broda, krótkie włosy, około pięćdziesiątki. Patrzył przed siebie i jechał w kierunku Heby. Potem pochłonęła go biała ściana.

Jasper i Ivan usiedli z powrotem, znowu położyli prezenty na tylnej półce i na podłodze. Ivan zamknął oczy. Jasper siedział bardzo blisko niego, na tylnym siedzeniu nie było wiele miejsca. Otworzył skrzynkę z amunicją i opuścił do niej broń. Potem się zastanowił.

– Ivan? Nie śpisz?

– Nie.

– Gdzie, do diabła, są twoje magazynki?

– Przecież już ich nie potrzebujemy.

– Magazynki! Chcę się tylko upewnić, że wszystko jest jak trzeba. To moje zadanie.

Ivan nie cierpiał siedzącego tuż obok człowieka. Nie miał jednak siły, żeby się z nim handryczyć – w środku cały dygotał, a po twarzy spływał mu pot. Dlatego zrobił to, o co tamtemu chodziło – poszukał rękami na swoim brzuchu małej torebki przypiętej na pasku.

Nie było jej.

– Nie mam ich.

- Jak to... nie masz?
- Musiały zostać w tamtym samochodzie.
- W tamtym?
- Tak.

Leo słuchał tylko jednym uchem. Teraz się odwrócił.

- Tato, do cholery! Brałeś je do ręki?
- Tak.

- Bez rękawiczek?
- Chyba... tak. Kiedy się przebierałem.
- Anneli, zawracaj, już!

Jasper się pochylił i zniżył głos, jakby Anneli i Ivan mieli nie usłyszeć jego słów.

- Leo, zwariowałeś! Nie możemy teraz zawrócić. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę! Przecież gliny już tam są!

- To mam zawrócić czy nie?

Anneli nadal panowała nad sytuacją, lecz jej ruchy stały się bardziej nerwowe.

- Leo, posłuchaj – dalej szeptał Jasper. – Rozumiem, że nie chcesz zostawić śladów, ale niepotrzebnie się przejmujesz. Przecież nie ma nas w żadnym rejestrze policyjnym.

- Anneli, zawracaj.
- Przecież żaden z nas...
- Mój ojciec jest.
- Co?
- Tam są jego odciski palców. A on był już karany.

Leo pobiegł prosto przed siebie przez białą ścianę, przez las i głęboki śnieg do samochodu, który przedtem ukryli. Odrzucił na bok sosnowe gałęzie i otworzył tylne drzwi. Tu siedział jego ojciec. Szukał na siedzeniu, w bocznych kieszeniach, na tylnej półce. Nic. Przeczłogał się do przodu i obszukał siedzenie kierowcy, siedzenie pasażera, deskę rozdzielczą i w końcu podłogę. Palcami, na które naciągnął cienkie skórzane rękawiczki, obmacał gumowe maty – bez rezultatu.

Została tylko jedna możliwość. Pod fotelami. Pochylił się głębiej.

Pod siedzeniem pasażera coś wyczuł. Leżała. Torba. Leo wyciągnął ją i otworzył. Dwa magazynki z odciskami palców jego ojca.

Puścił się pędem z powrotem. Kiedy wpadł do samochodu, oddychał gwałtownie, a jego serce niemal eksplodowało.

Wszyscy milczeli. Wiedzieli, że policja jest już w pobliżu. Jechali znowu tą samą pieprzoną leśną drogą, minęli te same pieprzone stodoły, wyjechali na tę samą pieprzoną szosę.

Właśnie zaczęli jechać w dobrym kierunku. Chyba wiatr trochę osłabił i może dlatego rozpoznał go w lusterku wstecznym. To był ten sam radiowóz. Z tym samym gliną w środku, który za chwilę zauważył, że kilka minut temu już przejeżdżał obok tego samochodu. Obok samochodu, który w zamieci śnieżnej i tuż po napadzie na bank wydawał się podążać dziwnym szlakiem.

Leo położył rękę na ramieniu Anneli.

– On będzie zaraz za nami. Jedź zupełnie normalnie dalej.

Znowu spojrział w lusterko. Odległość między nimi wynosiła najwyżej pięćdziesiąt metrów.

– Cały czas ta sama prędkość, ten sam odstęp. Nie powinien podjechać bliżej.

Widział, że Anneli też zerka w lusterko.

– Anneli, skup się na drodze. Jasper, daj mi mój karabin.

Jasper wyjął broń ze skrzynki i podał ją Leo. Od kiedy Jasper zauważył, że brakuje magazynków, Ivan w ogóle się nie odzywał. Teraz się pochylał, jego usta niemal dotykały ucha Leo.

– Leo, synu? Co ty zamierzasz?

– Spróbuję wyprostować to, co spieprzyłeś.

Leo odbezpieczył broń leżącą na jego kolanach.

– Anneli, po dwustu metrach odchodzi w prawo dość szeroka asfaltowa droga. Jeśli ten fiut skręci tam za nami, zatrzymasz się, jak tylko ci powiem.

– Co ty, do diabła...? – zaczął Ivan.

– Jeśli pojedzie dalej, to będzie okej.

Anneli włączyła kierunkowskaz, zwolniła i skręciła.

Leo odetchnął głęboko, aby się przygotować. Skrzyżowanie było już dziesięć, może piętnaście metrów za nimi. Radiowóz też skręcił, w gęstej zamieci prawie nie było go widać. Drapieжник, który ich tropił.

– Stop!

Anneli wcisnęła pedał hamulca i samochód wpadł na śliskiej nawierzchni w poślizg. Nacisnęła sprężę i delikatnymi ruchami kierownicy utrzymała samochód na jezdni. Potem się zatrzymała.

Leo otworzył drzwi i wysiadł z bronią w rękę.

John Broncks siedział w biurze i śledził zachodzące w odległości stu dziesięciu kilometrów wydarzenia na monitorze komputera oraz za pomocą radiotelefonu. Ostatni koledzy przechodzili lekko podchmieleni obok jego pokoju i życzyli mu wesolych świąt. Uśmiechał się do nich i zaraz pochylał się nad aktami, aby wyglądać na zajętego.

Na miejscu były trzy samochody patrolowe. Czwarły jechał z Uppsali. Zgodnie z zeznaniami świadków trójka albo czwórka sprawców uciekła autem osobowym, które zostało właśnie zauważone w kierunku północno-zachodnim od miejsca przestępstwa, na bocznej drodze prowadzącej przez teren z domkami letniskowymi pomiędzy Heby i Sala.

Broncks masował sobie bolący krzyż, chodził tam i z powrotem między biurkiem a oknem i ziewał.

Ożywiłaby go szklanka gorącej wody z mlekiem. A ponieważ spotkanie świąteczne nareszcie się skończyło, ruszył do kuchenki, aby przygotować sobie to, co chciał, lecz nagle zatrzymał się w proggu. W radiowej sieci policyjnej słychać było ciągle wysoki sygnał, a potem usłyszał rozgorączkowany głos jednego z kolegów:

„Widzę ich. Samochód z killkoma osobami”.

Radiowóz z Uppsali. Kolega, który jechał sam.

„Zaczynam ich śledzić”.

John Broncks wrócił do swojego biurka. Śledzony samochód znajdował się zaledwie kilkadziesiąt metrów przed tamtym, ale sto dziesięć kilometrów od niego.

Słychać było, jak samochód policyjny zwalnia.

„Ktoś wysiada. Pasażer od strony kierowcy”.

Jadąc z Uppsali, kolega natknął się po drodze na uciekający samochód, zawrócił, zaczął go szukać i wreszcie znalazł. Pojechał za nim. I teraz znalazł się w tarapatach.

„Trzyma coś w ręku. Broń! Celuje we mnie!”

Mimo śnieżycy Leo mógł wyraźnie rozpoznać mundur. Podniósł karabin i czekał. Drzwi od strony kierowcy się otworzyły.

Palec na spuście.

Odczekał, lecz nikt nie wysiadł. Człowiek w mundurze siedział dalej w środku.

Więc strzelił.

Jeden strzał w silnik, potem jeszcze jeden i jeszcze jeden.

Aż w końcu samotny policjant wyskoczył z radiowozu, rzucił się w śnieg i stoczył się do rowu.

Cztery strzały w silnik. Ten pojazd już za nimi pojedzie. Leo usiadł z powrotem obok Anneli.

– Jedź dalej.

Sytuacja się zmieniła. Nijak nie mogli zawrócić, przejechać obok samochodu policyjnego i powrócić na obraną wcześniej trasę ucieczki.

– Dokąd?

– Prosto.

Leo wiedział wprawdzie, gdzie się znajdowali, a mianowicie pośrodku osiedla domków letniskowych, nie miał jednak pojęcia, jak mieliby się stamtąd wydostać. Zawsze jednak jest jakieś wyjście.

Kolega z radiowozu zamilkł, ale nawet przez radio można było bez trudu prześledzić wydarzenia.

Jedne drzwi się otworzyły: policjant wysiadł. Kroki na śniegu: usiłuje uciekać. Głuchy odgłos: szuka ukrycia.

Potem: cztery strzały. Pojedyncze.

A potem już tylko świst wiatru.

„Pojechali dalej”.

Zył. Sądząc po głosie, nie był nawet ranny. Ale chyba wciąż leżał w rowie. Zdaje się, że powoli zaczynało do niego docierać, co się wydarzyło.

„Po prostu wysiadł. Z jasnym zamiarem. Niczego się nie bał. Byłem pewien, że zginę”.

I tak mogło faktycznie się stać.

„Przestrzelił mi silnik. Miał AK czwórkę. Widziałem dokładnie”.

Kiedy Broncks zatrzymał się w proggu, słysząc w radiotelefonie rozgorączkowany głos kolegi, poczuł dziwny niepokój. Ale gdy usłyszał strzały, jego niepokój zniknął w gnieniu oka i ustąpił miejsca czemuś innemu. *To oni*. Sile, energii, a nawet chyba radości. *To oni!* Puścił się biegiem korytarzem, a następnie po schodach do podziemnego garażu. Przez ponad sześć miesięcy najmniejszego znaku życia. Ostatnia nocna rozmowa telefoniczna mogła ich wywabić z ukrycia. Nic z tego. Po kilku listach i ogłoszeniach kontakt zupełnie się urwał, a Broncksa ogarnęły wątpliwości. Być może nieprawidłowo ocenił, jak zachowa się Wielki Brat, i podjął niewłaściwą decyzję. Mimo najrozmaitszych wskazówek od ludzi i intensywnej pracy zespołu dochodzeniowego, poszerzonego o specjalistę od profili psychologicznych, przełom nie nastąpił. Mijały miesiące i Broncks czuł na sobie coraz bardziej surowy wzrok swojego szefa – zbudowane w ciągu ostatnich dziesięciu lat zaufanie powoli zanikało.

Kilka minut później Broncks jechał z dużą prędkością w kierunku E18.

– Tu Broncks.

Miałem jednak rację. Nie pomyliłem się w ocenie Wielkiego Brata.

– Jestem w drodze.

– Mówiłem ci przecież, żebyś poszedł do domu.

Głos Karlströma, w tle kolędy i dziecięce głosy. Broncks przypomniał sobie swoją ostatnią wizytę w tym przepięknym domu w przepięknej dzielnicy. Było to w czasie adwentu rok temu, a on wciąż tropił tych samych sprawców.

– Jestem w drodze do Heby.

– John, do cholery...

– To oni...

– Oni?

– Tak. Oni.

Skrzyżowanie w Rotebro. Przejechał na czerwonym świetle. Karlström czekał, milcząc. Potem zwrócił swoją komórkę w kierunku salonu, muzyka świąteczna stała się wyraźniejsza.

– Słyszysz, John?

Staroświecki adapter, igła drapiąca po winylu. *I'm Dreaming of a White Christmas*.

– Kolędy, John. Szynka i poncz.

– Potrzebny mi będzie oddział specjalny.

– John?

– Wiem, że to oni.

– Zgodnie z zeznaniami jednego ze świadków mężczyzna, który stał na straży przed bankiem, był znacznie starszy niż pozostali. Jego ruchy były powolniejsze i sztywniejsze niż jego kumpli.

– Ale to oni.

– Do tej pory nie było z nimi żadnego starszego faceta, prawda?

– Lennart?

Przez całe lata, odkąd się znali, Broncks ani razu nie zwrócił się do Karlströma po imieniu.

– Tak?

– Jeszcze nigdy nie byliśmy tak blisko nich. Kolegom w Heby potrzebne są posiłki. Sprawcy ostrzelali już samochód patrolowy.

White Christmas nareszcie się skończyło.

– John, nie czekuj ode mnie, żebym dzisiaj wieczorem dzwonił do szefowej policji i prosił ją o oddział specjalny,

Teraz leciał *Frosty the Snowman*.

Pogodny szlagier bożonarodzeniowy śpiewany przez równie pogodny chór dziecięcy.

– Nie na dzień przed Wigilią. Ani żadnego innego dnia, o ile nie chodzi o nasz rejon i dopóki nie ma wątpliwości, że naprawdę mamy do czynienia z Gangiem Wojskowym.

– Anneli, szybciej!

– Nigdy tędy nie jechaliśmy. Nie ćwiczyliśmy tutaj.

– Szybciej! Musimy się stąd wy dostać, zanim zablokują drogi!

Płatki śniegu tańczyły w świetle reflektorów pośrodku ciemnego lasu.

Leo rozłożył mapę, na kolanach miał broń. Wodził palcem wskazującym po drodze, na której się właśnie znajdowali. Samochodem mocno zarzuciło raz w jedną, raz w drugą stronę. Leo uderzył głową i barkiem o szybę.

– Leo, nie wiem, gdzie jesteśmy...

– Jedź po prostu przed siebie!

Jechała, lecz jej myśli krążyły wokół tych siedmiu strzałów oddanych w kierunku samochodu policyjnego. Otworzyli ogień. Kto strzela, może być ostrzelany.

– Gdy miniemy to osiedle domków letniskowych, po czterech kilometrach dojedziemy znowu do dużej drogi. Jedź po prostu dalej.

Wiedziała oczywiście, że z karabinów leżących w piwnicy można też strzelać, lecz nigdy nie dopuszczała do siebie takich myśli.

– Anneli!

Broń została jednak użyta.

– Anneli, stój!

Ta broń może zabijać.

– Zatrzymaj się! Usiądę za kierownicą!

Miała się zatrzymać tutaj? Pośrodku lasu? Dlaczego? W lusterku wstecznym szukała radiowozu, który Leo podziurawił swoimi strzałami. Zbliżał się zakręt, kierownica wymknęła się jej z rąk.

– Uwaga, zakręt!

Wszyscy trzej krzyknęli jednocześnie.

– Odbij, do cholery!

Za późno. Z całej siły wcisnęła pedał hamulca, ale samochód wpadł w poślizg i nieuchronnie toczył się w kierunku rowu. Następnie przechylił się przez krawędź drogi i runął. W środku samochodu prawie nie czulo się uderzenia.

Nastąpiła ogłuszająca cisza. Potwierdziła, że nastąpiła rzecz niewyobrażalna. Nagle nie mieli już czym ucieszać.

Leo usiłował otworzyć drzwi. Były zablokowane przez zaspę. Odwrócił się więc i zaparł mocno plecami o deskę rozdzielczą. Po każdym kopnięciu drzwi otwierały się coraz szerzej. Potem wypelzł na zewnątrz i znalazł się w śniegu sięgającym po kolana.

– Jasper, ty weźmiesz skrzynkę z bronią. A ty, tato, pieniądze. Wszyscy wysiadać!

Jedno po drugim wygramolili się z samochodu w śnieżycę. Jasper przełożył ramiona przez rzemienie skrzynki z bronią i niósł ją jak plecak. Ivan trzymał przed sobą torbę z trzema i pół miliona koron. Anneli ciekła krew z nosa.

– Masz.

Ivan podał jej swoją chustkę. Śniegiem otarła krew z twarzy.

– Leo, a co będzie z Sebastianem?

– Chodź już.

– Co on powie? Przecież miał jutro przyjść do nas do domu.

– Anneli. Popatrz na mnie. Idziemy do domu, i to teraz!

– Przyjdzie do nas jutro, żeby być z nami na święta. A my strzelaliśmy... do człowieka.

Owinęła się szczelniej swoim cienkim płaszczem i wyszła z rowu na drogę. Leo otworzył bagażnik, wyrzucił z niego starannie zapakowane kartony na śnieg i wyciągnął torbę z ich ubraniami z napadu.

– Będzie zimno.

Jedna kurtka dla Anneli – nawet jej nie złapała, jedna dla Jaspera – założył ją na swoją, i jedna dla Ivana – wzięł ją, lecz potem porzucił na śniegu. Nie było mu zimno.

– Do szosy po drugiej stronie są trzy kilometry. Pójdziemy przez las. Żaden miejscowy glina nie ma szans przy naszej broni, a zanim ściągną tu posiłki, minie co najmniej dziewięćdziesiąt minut. Musimy się postarać, żeby zachować tę przewagę.

Śnieg dalej padał, ale nie było już tej białej ściany, tylko raczej miękka firanka, która powoli powiewała to w jedną, to w drugą stronę. Mieli lepszą widoczność, choć jednocześnie stali się też łatwiejszym celem. Ruszyli przez pole w kierunku lasu. Anneli nagle się zatrzymała i osunęła na śnieg.

– Nie chcę iść dalej.

– Do cholery, Anneli!

– Nie chcę. Nigdy tego nie chciałam. Ja chcę... do domu.

– Wstawaj natychmiast!

Siedziała na śniegu i płakała.

– Na pytanie, którego mi nigdy nie zadałeś, odpowiedziałam „tak”! A teraz jestem... tutaj.

Schwycił ją za rękę i próbował podnieść, lecz się bronila. Puścił ją w końcu.

– Anneli!

– Nie chcę.

– Nie możemy tu zostać!

– Odpowiedziałam ci „tak”! A ty mnie nawet nie spytałeś.

Ona podjęła już decyzję. Zostanie tutaj. I poczeka.

– Mówiłem ci, Leo!

Nagle Jasper znalazł się przy nich.

– Mówiłem ci, że ona jest słabym ogniwem w naszym łańcuchu! Wszystko wyśpiewa. Nie możemy jej tu zostawić, Leo, przynajmniej żywej!

Leo schwycił go i przyciągnął do siebie.

– I co proponujesz?

– Jeśli ją aresztują, to nas wyda, jednego po drugim. Nas wszystkich! Również twoich braci!
Jasper miał rację. Śnieżyca w ciągu kilku minut pozbawiła Anneli sił. Jedynie w jej rozbieganych oczach tliło się trochę życia.

– Czyżbyś chciał... ją zastrzelić? To próbujesz mi powiedzieć?

– Tak.

Jasper zdjął karabin z ramienia i go odbezpieczył. Leo zastanawiał się, jak długo Anneli może się trzymać przy przesłuchaniu – godzinę, trzy czy pięć? – i jak daleko zajdzie, jeśli pozostawi ją przy życiu.

Nagle przejaśniło mu się w głowie i rzucił się całym ciałem między podniesioną broń a tę kobietę, z którą chciał dzielić wszystko.

– Anneli!

Przykucnął przy niej i starał się, aby jego plecy znajdowały się między nią a lufą karabinu.

– Posłuchaj mnie! – wrzeszczał.

Niemal na niego nie spojrzała.

Zdjął skórzane rękawiczki i otarł jej zimne lzy z policzków. Potem ujął jej wąską twarz w swoje ręce i próbował pochwycić jej spojrzenie.

– Wstań, dasz sobie radę, do cholery! No już!

Lecz ona się nie ruszała i zapadała się coraz bardziej w zaspie. Ta kobieta przed nim nie była jego Anneli, na której zawsze mógł polegać.

– Ona nas wyda! – wrzeszczał Jasper, przesuając lewą rękę przez rzemień, aby ustabilizować wylot lufy.

– Leo, czekam! Daj mi rozkaz i strzele!

Leo zauważył, że Jasper powoli porusza się wokół niego, aby znaleźć dobrą pozycję do strzału, następnie zaczął okrążyć jego ojca, który cały czas stał bez ruchu, nie dając Leo choćby najmniejszego znaku, nie mówiąc ani słowa. Ivan był ciemną, nieruchomą sylwetką, wokół której tańczyły tysiące płatków śniegu.

– Nie!

Zaplanował ten napad. Był przywódcą, musiał podjąć decyzję.

– Zabezpiecz broń, Jasper!

Schwycił wylot lufy i odsunął ją na bok.

– Leo, nie rozumiesz? Ona cię wyda!

– Ona nie umrze.

Tak to już było. Znaleźli się w tej sytuacji, ponieważ Leo poległ zarówno na ojcu, jak i na Anneli.

– Jeśli ktokolwiek miałby tutaj umrzeć, to tylko Ivan i ja, bo jeszcze nie zakończyliśmy swoich porachunków.

Bo znowu ktoś pozostawił swoje ślady na miejscu zdarzenia.

– A teraz idziemy, słyszysz? Ona zostanie tutaj, a my idziemy dalej.

Pocałował ją, a ona odpowiedziała mu tym samym. Czuł jej ciepły oddech na zimnym wietrze.

Czasami trudno powiedzieć, czy to ostatni raz.

Felix odsunął talerz z deserem, napełnioną do połowy szklankę z piwem i jedną z nudnych książek do matematyki, które Vincent wszędzie rozkładał, i postawił na stole małą sztuczną choinkę. Sztuczny nastrój świąteczny, iluzja, że w tym domu jest tak samo jak w innych. Tak było zawsze, od kiedy pamiętał. Zawsze za dużo, zawsze sztucznie, napięcie, wrzaski, kolejne szaleństwa ojca. Plastikowa choinka na stole była mikroskopijna, jak przy wszystkich Wigiliach, które dotychczas przeżył.

Właściwie to mógłby być spokojny. Tegoroczne święta były częścią jego nowego życia bez przeszłości. Jego młodszy brat siedział nieopodal przed telewizorem i przeskakiwał z kanału na kanał.

Ale spokój to było właśnie to, czego mu brakowało.

– Wyłącz telewizor.

– Muszę wiedzieć.

– A ja w ogóle nie chcę wiedzieć. Wyłącz go, do cholery!

Vincent już od sześciu godzin oglądał wiadomości, a strach wychodził z niego przez wszystkie pory skóry.

„Mężczyźni, którzy napadli na bank w Heby, są nadal na wolności”.

– No, wyłącz, mówię!

– Nie.

– Nie chcę tego wiedzieć. Jestem tutaj, w Göteborgu. A nie tam, do cholery!

„Według ostatnich informacji policja natrafiła na ślad podejrzanych i okrążyła niewielki las, w którym mogą się znajdować”.

Felix usiadł przed plastikową choinką i opróżnił szklankę. Piwo było już letnie. Czuł strach, który bił od Vincenta, i przypomniał sobie ten jeden raz, kiedy dotarł do niego zapach śmierci – któryś z sąsiadów leżał długo martwy w swoim zamkniętym mieszkaniu. To był dokładnie ten zapach.

„Policja wzywa wszystkich mieszkańców do pozostania w domach”.

Felix nie mógł już dłużej tego wytrzymać. Wpadł do pokoju, wyrwał Vincentowi z ręki pilota i wyłączył telewizor. Vincent spojrzał na niego osłupiały, sięgnął po leżącą na stole komórkę i wybrał jeden z zakodowanych numerów.

– Nie dzwoń!

Za późno. Numer został już wybrany.

Na twarzy Vincenta widać było niedorzeczną nadzieję, że to mógł być ktoś inny. Inni gangsterzy, którzy w tym dniu wybrali filię banku w Heby. W końcu przecież nie wiedzieli dokładnie, nie mogli być zupełnie pewni, a może...

„Halo, tu mieszkanie Leo i Anneli. Nie ma nas teraz w domu, ale...” – a potem długi sygnał. Vincent się rozłączył.

Teraz już wiedzieli.

Felix chwycił komórkę i rzucił nią o ścianę. Rozpadła się na kawałki.

– Nie mógł sobie odpuścić, musiał robić to dalej, chociaż przeprowadziliśmy się tutaj... Kurwa mać, Vincent!

Deptał z furią plastikowe części komórki i walił pięściami o ścianę i futrynę. Vincent cuchnął teraz jeszcze bardziej. Felix pobiegł do kuchni, gdzie pod jednym z taboretów stojących w kącie leżały cztery prezenty gwiazdkowe, po dwa dla każdego z nich. Wybrał podłużną paczkę, którą sam zapakował.

– To dla ciebie.

Podał ją Vincentowi, który od razu rozerwał papier. Pudełko, a w nim butelka whisky. Single Malt. Felix przyniósł dwie szklanki i napełnił je po brzegi. Wypili do dna.

– On nigdy nie przestanie – powiedział Vincent i nalał znowu. Wypili.

– Rozumiesz, Felix? Powinienem być tam z nimi!

Plakał, najpierw cicho, a potem coraz głośniej.

– Powinienem tam być z nimi, Felix... Kurwa mać!

Nieprzyjemny zapach strachu się ulotnił, nieustający potok łez miał chyba oczyszczające działanie.

– Chyba to rozumiesz, no nie? On się nigdy nie podda, nie da się wziąć żywcem.

Śnieg sięgał im kolan. Zimowy chłód wnikał przez buty, kurtki, skórę. Wiatr znowu się wzmógł, smagał, bił, gonił, wyzywał.

Przejdę po prostu na wskroś.

Te świnię nigdy już nie zbliżą się do niego i nie będą mu zadawać pytań, walić w zamknięte drzwi.

Na wskroś.

Leo szedł pierwszy, Jasper na końcu, Ivan między nimi. Stał po śladach Leo z ciężkim oddechem, z zacienionymi w pięści rękami w kieszeniach, z kominiarką naciągniętą na siwe włosy. Dwadzieścia minut, połowa trasy. Las przerzedził się i przed nimi otworzyła się szeroka polana, po której łatwiej było iść. Chcieli przeciąć ją szybko, byle zyskać na czasie, zostawić swoich prześladowców daleko za sobą.

Nagle Leo zaczął zapadać się w śnieg. Błyskawicznie. Po talię, potem po pierś. To nie była żadna polana, tylko cienki lód na mokradłach. Lodowata woda wdarła się pod spodnie i kurtkę. Nogi ugrzęzły mu w bagnie.

– Leo!

Ivan podszedł ostrożnie najbliżej jak się dało i wyciągnął do niego rękę. Jego syn się zapadał. Ivan przykucnął na gładkiej powierzchni, wbił obcas w lód i pociągnął. Z jedną nogą w czarnej wodzie, z drugą na kruchym brzegu ciągnął i ciągnął, wyężdżając ostatnie siły. Wreszcie bagno zwolniło swój uchwyt, równie szybko, jak go zacisnęło.

Razem podczołgali się na twardy grunt. Leżeli tam jakiś czas, aż kaszel, który wydostawał się z głębin płuc Ivana, powoli ucichł.

– Leo, nie możesz tak iść dalej. Zamarzniesz.

Temperatura była poniżej zera, hulał ostry wiatr. Błotnista maź, która oblepiała ciało jego syna po pierś, zamieniłaby się natychmiast w lód.

– Depczą nam po piętach! Musimy zachować dystans!

Leo ruszył dalej, dzwoniąc zębami i nie patrząc ani na ojca, ani na Jaspera. Ivan dopędził go i schwycił za kurtkę.

– Słyszałeś, co powiedziałem, Leo? Nie rozumiesz tego? Musisz się osuszyć! Inaczej będzie wszystko jedno, jak daleko zajdziesz!

Leo odrzucił go i poszedł dalej.

Na wskroś przez te drzwi.

Ivan znowu go dopędził.

– Tam, za polaną, jest kilka domków letniskowych. Widzisz je?

Czerwony dom z białymi narożnikami był nieduży. Leżał skryty między kilkoma drzewami i był podobny do innych szwedzkich domków letniskowych.

– Idziemy dalej, do jasnej cholery! – powiedział Leo i odsunął go na bok.

– Pójdziemy tam, żebyś się osuszył.

Ivan wskazał na las.

– A p o t e m pójdziemy dalej. Jeśli w taką pogodę się nie osuszysz, to czeka cię pewna śmierć.

John Broncks zatrzymał się na małym parkingu obok supermarketu. W budynku obok mieścił się bank. Ta mała miejscowość mogłaby się nazywać Ösmo, Ullared, Rombo czy Kungsör – kilka tysięcy mieszkańców i małe centrum ze sklepami, bankiem i biblioteką, wszystko tuż obok siebie. Wybierali swoje obiekty w bardzo przemyślany sposób. Wszystkie leżały zawsze w okolicach, gdzie było mało policji, i łatwo było się do nich dostać, by potem równie łatwo uciec.

Również cała reszta wydała mu się dobrze znajoma.

Powiewająca na wietrze, uniemożliwiająca dostęp gapiom taśma policyjna tworzyła wąskie przejście. Im bliżej podchodził, tym więcej zdezorientowanych i przestraszonych ludzi napotykał po drodze. Wewnątrz budynku zastał podziurawione kulami kamery monitoringu, otwarte drzwi skarbcza i pusty sejf. Jeden z policjantów w mundurze, który właśnie zakończył przesłuchanie, wskazał na drzwi.

– Muszę pana prosić...

– John Broncks z policji kryminalnej, Sztokholm Śródmieście.

Policyjny kolega przyglądał się plakietce służbowej Johna, która wyglądała jak jego własna.

– Broncks?

– Tak.

– Nazywam się Rydén, z posterunku w Heby. To dosyć daleko od Sztokholmu.

– Zdaję sobie sprawę.

– Mamy tu już ludzi z Heby, Sala i Uppsali.

– Rozumiem. Tyle że ja chyba wiem, kogo ścigacie.

Piętnaście minut później Broncks przepytывał personel i klientów, którzy znajdowali się w banku w momencie, gdy do środka wtargnęli dwaj zamaskowani mężczyźni i rozkazali wszystkim położyć się na podłogę. Podniósł łuskę po naboju – pochodził z serii produkowanej dla broni automatycznej, w jaką wyposażona była szwedzka armia. Potem obejrzał ośmiosekundowe nagranie z kamery monitoringu, pokazujące przywódcę i jego pomocnika, którym nadał pseudonimy „Wielki Brat” i „żołnierz”.

To byli oni. Bez czarnych kombinezonów i tylko we dwóch. Mimo to Broncks nie miał wątpliwości.

Tropił ich już ponad rok i nigdy jeszcze nie był tak blisko.

Posterunek policji leżał na skraju Heby. Skromny budynek z cegły, który tak samo jak znacznie większa siedziba komendy w Sztokholmie udekorowany był Świętymi Mikołajami i świetnymi girlandami. Również tutaj na stole obok filiżanek niedopitej kawy stało ciasto. Spotkanie świąteczne zostało nagle przerwane przez napad na bank.

Broncks szedł za Rydénem korytarzem. Podeszli do pokoju, w którym przesłuchiowano jakąś kobietę. Blondynka około trzydziestki z kocem narzuconym na ramiona i filiżanką herbaty w ręce. Patrzyła w pustkę przed siebie, słuchając pytań policjantów. Najpierw nie odpowiadała, a potem zaczęła mówić w mglisty i niejasny sposób, jakby była w szoku.

– Jak oni wyglądali?

– Nie wiem.

– Naprawdę pani nie wie?

– Byli zamaskowani.

– Kto to jest? – zaciekawiał się Broncks, pytając cicho Rydéna.

– Znaleźliśmy ją na drodze w pobliżu osiedla domków letniskowych koło Sala. Sprawcy zabrali jej wynajęty samochód i błędziła po drodze w zamieci.

Czyżby bandyci uciekali samochodem tej młodej kobiety? Członkowie Gangu Wojskowego używali do ucieczki wyłącznie pojazdów, o które sami się postarali. Wybierali je starannie i parkowali w miejscach, na które nikt by nie wpadł. Broncks postanowił, że musi później porozmawiać z tą kobietą.

Poszli do biura Rydéna. Prawie całą ścianę pośrodku zajmowała mapa Heby i okolic. Rydén wskazał na centrum miejscowości, gdzie znajdował się bank, następnie przesunął palcem po drodze w kierunku północnym, a potem skrzywił na jednym ze skrzyżowań na węższą drogę, która biegła na zachód.

– W tym miejscu natrafiliśmy na nią w lesie. Przestępcy zmusili ją, aby się zatrzymała, następnie wsiedli do samochodu i kazali jej jechać. Bała się, poza tym droga była bardzo śliska. Samochód znaleźliśmy w rowie. Pełno w nim było prezentów gwiazdkowych. Od samochodu odchodziły wyraźne ślady w las. Wytropienie ich nie powinno nam zająć dużo czasu.

– A pierwszy pojazd, którym uciekli?

– Jeszcze go szukamy.

Broncks coraz bardziej chciał porozmawiać z tą kobietą.

– Oni zmusili ją do dalszej jazdy?

– Tak.

– Tym wynajętym samochodem? Pełnym prezentów gwiazdkowych?

– Była w drodze do rodziny.

– Kto wynajął ten samochód? I co to były za prezenty?

Rydén otworzył drzwi do innego pokoju; jeden z jego kolegów wypytywał starsze małżeństwo, które przechodziło właśnie z wózkiem z zakupami przez główny plac, gdy samochód przestępców przejeżdżał na wstecznym biegu przez chodnik i podjechał przed bank. Przerwał mu na chwilę rozmowę i po chwili wrócił do Broncksa.

– Za dziesięć minut będziemy znać więcej szczegółów.

Broncks wskazał na salkę, w której siedziała blondynka.

– Mogę posłuchać?

Leo rozbił kolbą karabinu okienko w drzwiach. Potem między ostrymi odłamkami szkła wsunął rękę do środka i sięgnął do zamka. Otworzył je. Wiatr szarpnął nimi i cisnął o ścianę domku z głośniejszym trzaśnięciem.

Zimny korytarz. Ale bez wiatru. I bez śniegu.

Główny wyłącznik prądu znajdował się na ścianie pod półką na nakrycia głowy. Mimo to światło się nie zapaliło.

– Tato, poszukaj skrzynki z bezpiecznikami!

Prosto urządzona kuchnia. Ława, stół, dwa krzesła. Ciasno, ale dość miejsca dla czterech osób. Żeliwny piecyk, obok kosz z kory brzoźowej ze starymi gazetami, polanami i pudełkiem zapalek.

– Jasper, tam dalej widziałem przewód telefoniczny. Znajdź telefon.

Obok kuchni były dwa małe pokoje, pokój dzienny i sypialnia. Jasper przeszukał szafy, szuflady i kosze stojące na podłodze, podczas gdy Leo otworzył drzwiczki paleniska i włożył do środka gazety, wióry i dwa polana.

W przedpokoju coś strzeliło. Ivan znalazł skrzynkę z bezpiecznikami. Przez kable popłynął prąd i pod sufitem zapaliło się światło.

W piecyku z gazet buchnęły płomienie, trzaskały polana.

– Masz, wół jedne na drugie. Nie znalazłem żadnych butów.

Ojciec podał Leo jakieś robocze spodnie i spodnie od dresu, które przyniósł z przedpokoju, a potem usiadł przy stole. Odsunął na bok miskę z suszonymi gruszkami i położył przed sobą paczuszkę z bibułką papierosową i resztką tytoniu. Wystarczyło na dwa skręty, nie więcej. Zwykle palił dwadzieścia sztuk dziennie, a teraz brakowało mu tego bardziej niż kiedykolwiek; nie chciał dać się skusić którejs z butelek stojących na półce między kuchenką a zlewem. Szwedzka wódka, kanadyjska whisky, południowoafrykańskie wino i greckie wino deserowe.

– Leo, musisz zdjąć buty i je wysuszyć, zanim pójdziemy dalej.

– Mieliliśmy tylko dziewięćdziesiąt minut przewagi. Możemy tu spędzić co najwyżej połowę tego czasu.

– Wystarczy, żeby je wysuszyć. W przeciwnym razie odmrozisz sobie nogi! A wtedy trzeba amputować. Widziałem to, kiedy mieszkalem jeszcze... tam. Zaczyna się od palców, potem ciało czernieje i gnije cała stopa. I jeśli jej nie odetniesz, śmierć rozchodzi się po całym ciele.

Posłuchał rady ojca, rozwiązał sznurowadła i postawił oba buty na żeliwnym piecyku, który powoli się rozgrzewał. Potem włożył obie znalezione w przedpokoju pary spodni. I jedne, i drugie były za krótkie i za ciasne.

Ivan postawił swoje buty obok butów Leo i zapalił świeżego skręta. Zaciągnął się głęboko. Następnie sięgnął po jedną z zamkniętych butelek.

– Tato! Uważasz, że to dobry pomysł?

Ojciec podał butelkę synowi.

– To wódka. Wypij łyk. Dobrze ci zrobi, poprawi krążenie.

Leo pociągnął prosto z butelki, czując, że ojciec wciąż go obserwuje. Robił to przez cały dzień i Leo czuł się tak, jakby ojciec go oceniał niczym dziecko, które potrzebuje aprobaty rodziców.

– O co chodzi? – zapytał Leo.

– O nic.

– Głupie gadanie. Przecież widzę, jak na mnie patrzysz!

– Jak?

– Tak.

Ivan spojrział w bok, omijając wzrokiem syna.

– Leo, my... ty... może powinieneś zmienić plan.

– Zmienić plan?

– Czasami trzeba po prostu pogodzić się z faktami.

Leo już zakręcił butelkę, ale teraz otworzył ją ponownie i postawił między okruciami tytoniu i drżącymi dłońmi ojca.

– Jak to? Ja nigdy się nie poddam! W przeciwieństwie do ciebie! Co ty knujesz? To dlatego ściągnąłeś mnie do tej pieprzonej chałupy? No to pij, cholera! Pij!

W drzwiach pojawił się Jasper z telefonem pod pachą.

– Znalazłem – przerwał im. – Był na półce w łazience. Gniazdko jest w kącie przy radiu.

Buty na piecyku nie były jeszcze całkiem suche, ale mimo wszystko porządnie podeschły. Butelka stała otwarta przed ojcem, w końcu zakręcił ją drżącymi szorstkimi rękoma.

Leo poszedł tymczasem z telefonem do pokoju, gdzie znajdowało się gniazdko.

Broncks przysłuchiwał się, jak kobieta z kocem na ramionach męczy się z odpowiedziami na zadawane jej pytania. Już po kilku minutach było dla niego jasne, że wcale nie jest oszołomiona i zdezorientowana, a tylko udaje, i to niezbyt dobrze.

– Czy mógłbym też zadać kilka pytań? – poprosił Broncks.

Młodszy kolega wzruszył ramionami, co Broncks zinterpretował jako odpowiedź: „Rób, co tam uważasz, ja chcę już iść do domu na szynkę świąteczną”. John usiadł na jedynym wolnym krześle i się przedstawił.

– Broncks. Z policji kryminalnej w Sztokholmie.

Jej dłoń była zimna i szczupła.

– Anneli.

– Przysłuchiwałem się przez chwilę. Powiedziała pani, że jechała pani do swoich krewnych. A oni nagle stanęli przed panią na drodze. Ci zamaskowani bandyci zażądali od pani samochodu. Zgadza się?

– Tak.

– I grozili pani?

Oni nie używają nieznanym im pojazdów.

– Tak.

– Użyciem broni?

Wyszukują je bardzo skrupulatnie i odpowiednio wcześniej zostawiają je w wybranych miejscach.

– Tak.

– I zażądali od pani, aby pani ich podrzuciła?

Nigdy nie powierzyliby takiej wystraszonej, kruchej i zestresowanej kobiecie głównej roli w swoich planach ucieczki. Chyba że zmusilibyśmy Wielkiego Brata do desperackich kroków, pójsia na ryzyko i popełnienia błędów.

– Tak.

John Broncks ścisnął jeszcze raz jej pozbawioną życia rękę, a potem wyszedł, próbując znaleźć jakiś wolny pokój. Jednak posterunek policji, który z zewnątrz wydawał się bardzo mały, okazał się jeszcze mniejszy. Dwie salki były wykorzystywane do przesłuchań, a nieliczne pomieszczenia biurowe zostały zajęte przez wezwanych do pomocy kolegów. Wolna była tylko kuchenka. Broncks zamknął za sobą drzwi, aby móc bez przeszkód porozmawiać przez telefon. Czekaając, aż ktoś odbierze, wziął sobie kilka pozostawionych herbatników.

Radosne kolędy. Usłyszał je, zanim szef się odezwał.

– Witaj, John.

– Dzień dobry.

– Nic się nie zmieniło, jutro jest Wigilia.

– Jestem w Heby.

– Wiesz, jak warzy się prawdziwe piwo na Boże Narodzenie, John? Klasyczne piwo bożonarodzeniowe? No?

– Trzy minuty. Tuż przed zamknięciem banku. Broń wojskowa. Strzały.

– Bierzesz schłodzoną lemoniadę i...

– Tylko tyle wiedziałem, kiedy ruszałem w drogę.

– ...dwie butelki pilznera i...

– Teraz obejrzałem przestrzelone kamery monitoringu i łuski po nabojach i rozmawiałem ze świadkami...

– ...butelkę portera. A potem wszystko mieszasz.

– Poza tym ich widziałem. Na filmie z kamery. Obydwo sprawców z banku. To był Wielki Brat i żołnierz.

– Uważam, że powinieneś teraz pojechać do domu i wypróbować mój przepis, John. Jeśli nie wiesz, gdzie twoje miejsce i nie odczuwasz potrzeby, by takie miejsce znaleźć, nic już na to nie poradzę. Ale mogę ci wydać służbowe polecenie: masz natychmiast zejść ze służby.

Pracowali ze sobą od dziesięciu lat, lecz Broncks nie przypominał sobie, aby kiedykolwiek podniósł głos w rozmowie z szefem. To nie było w jego stylu, zresztą również nie w stylu Karlströma. Dlatego kiedy nagle zaczął krzyżeć w tej małej kuchence, obydwaj byli jednakowo zaskoczeni.

– Siedzieliśmy kiedyś razem i oglądaliśmy nagrania z ich dziewięciu napadów! Zajmuję się nimi już od ponad roku! Wiem, że to oni! A teraz, Karlström, nawet strzelali do nas, do policji. Pierwszy raz, a to dlatego, że są spanikowani. Depczemy im po piętach. A wiesz przecież, jaką mają broń. Jeśli zbliżymy się do nich bez posiłków, to może dojść do masakry!

Krzyżał tak głośno, że aż rozboleło go gardło. Jego ostatnie słowa zamieniły się w chrypiący charkot. Zupełnie zapomniał, że jest w stanie się tak zachować.

– Poczekaj chwilę.

Broncks usłyszał, jak Karlström położył słuchawkę, przeszedł po miękkim dywanie do odtwarzacza, muzyka na ułamek sekundy stała się głośniejsza, a potem całkowicie zamilkła. Następnie śledził odgłos jego kroków na górę do gabinetu z widokiem na jezioro Målar.

– Jesteś absolutnie pewien?

– Jestem. To ta banda. Uzbrojona w broń automatyczną, której na pewno użyją, zresztą już jej użyli. Nie chcę, aby policjanci z Heby i z Sala stali się ich ofiarami. Wolę uniknąć widoku martwych kolegów. Potrzebuję jednostki antyterrorystycznej.

Zapadła cisza. Słychać było tylko oddech Karlströma.

– Przekażę twoją prośbę szefowej policji.

– Już to zrobiłem.

– Słucham?

– Jadąc tutaj. Zrozum, każda minuta, którą byśmy stracili, jest na wagę życia i śmierci. Oni już są w drodze. Chciałem tylko, abyś wyciągnął te same wnioski co ja. W końcu nie najlepiej by wyglądało, gdyby taką decyzję podjął inspektor policji kryminalnej bez zezwolenia swojego przełożonego. Dlatego powiedziałem, że już to zaakceptowałeś.

Butelka, którą Vincent dostał w prezencie, była już prawie pusta. Kilka piekielnych minut zamieniło się w piekielne pół godziny.

„Bandyci, którzy dzisiaj po południu otworzyli ogień w banku w Heby, przebywają dalej na wolności”.

Vincent siedział przygnębiony na kanapie z dwoma pilotami w ręce i przełączał między wiadomościami w radiu i w telewizji. Felix chodził bez celu po mieszkaniu. Dwa pokoje z kuchnią z opuszczonymi roletami zmieniły się nagle w celę o powierzchni siedmiu metrów kwadratowych.

„W trakcie pościgu oddano strzały z broni automatycznej do funkcjonariusza policji. Na miejsce przybyła jednostka antyterrorystyczna”.

Strzelanie do policjanta. Jednostka antyterrorystyczna.

Felix wylał z butelki resztę do kieliszka. Cela bez okna. Dokładnie tak się czuł.

Była jeszcze jedna butelka. Drugi prezent dla Vincenta. Ale Felix opróżnił ją prawie sam.

Nagle zadzwonił telefon.

– Halo.

Jego głos.

– To ja.

Żyjesz? Wszyscy żyjecie?

– Felix, co u was?

Ściągają was. Skąd ty, do cholery dzwonicz?

– Słyszysz mnie?

– Słyszę.

Nic nie trzaskalo ani nie przerywało. Chyba jakaś linia stacjonarna.

– Chciałem tylko... z wami pogadać.

– On też jest z wami?

– Kto?

– Ivan.

– Tak.

W tle słychać było, jak ktoś chodzi. Może Ivan. Albo Jasper.

– Felix, jeśli to wszystko dzisiaj się schrzani...

– Oni już są na miejscu.

– Jeśli się schrzani, to chciałbym, żebyście obaj z Vincentem zniknęli.

– Jednostka antyterrorystyczna jest już na miejscu. Podali to w wiadomościach.

– Nie ma.

– Tak mówili. Jednostka antyterrorystyczna.

– To niemożliwe. Potrzebują więcej czasu, żeby tu dotrzeć.

– Leo, nie rób żadnych głupot! Słyszysz?

– Powtarzam ci, Felix. Jeśli dziś się spieprzy, to musicie spadać z waszego mieszkania i zniknąć, wszystko jedno gdzie.

– Dlaczego?

– Bo nie chcę, żebyście musieli odpowiadać za moje czyny.

– Nie.

– Co znaczy „nie”?

– Nie będę uciekał.

Vincent ściszył radio i telewizor.

– Felix, dlaczego musisz być taki cholernie uparty?! Chociaż ten jeden jedyny raz zrób, co mówię, i nie kombinuj!

– Ja już nie okradam banków. I nie będę uciekał. Zostanę tutaj. O b a j zostaniemy tutaj.

Vincent stał już obok niego i przyłożył ucho do słuchawki.

– Chcesz rozmawiać z Vincentem?

Ledwo wypowiedział to pytanie, Vincent wyrwał mu słuchawkę z ręki.

– Leo?

– Tak?

Najmłodszy brat milczał przez chwilę, a potem spróbował powtórzyć słowo w słowo to, co ktoś inny tyle razy wbijał Leo do głowy.

– Leo... słuchaj... my po prostu przejdziemy przez nich na wskroś.

Dzieliło ich ponad pięćset kilometrów.

– Prawda, Leo?

A jednak byli w tym samym pomieszczeniu.

– Tak. Prosto przed siebie i przez nich na wskroś.

Za drzwiami, które sami zamknęli.

– Vincent, Felix nie chce mnie posłuchać, więc ty musisz to zrobić. Jeśli to wszystko tutaj się schrzań, musicie sami dawać sobie radę. Rozumiesz? Musisz to doprowadzić do końca na swój sposób. Jakakolwiek podejmiesz decyzję, Vincent, będzie słuszna. Słyszysz? Cokolwiek się stanie... cokolwiek zrobisz, to będzie słuszne, wszystko jedno, co to będzie.

Na stole stała mała sztuczna choinka, której Vincent dotąd w ogóle nie zauważył. Widocznie to Felix ją kupił.

Chociaż jego brat nie znosił świąt.

– Leo?

– Tak?

– Powinienem być tam z wami.

– Nie, braciszku, w żadnym wypadku.

Broncks stał przed ścianą z ogromną mapą. Wielki czarny krzyżyk oznaczał miejsce, gdzie w rowie leżał samochód. John wiedział już, że pojazd został wynajęty przez Anneli Eriksson, która przewoziła w nim atrakcje prezentów gwiazdkowych. Uciekający bandyci ruszyli z tego miejsca pieszo przez leżący tam na pół metra śnieg. Prawdopodobnie posuwali się w tempie trzech do czterech kilometrów na godzinę. Broncks spojrzął na zegarek, policzył i nakreślił na mapie okrąg o promieniu około sześciu kilometrów od czarnego krzyżyka. Teren poszukiwania nie był duży, a po nadejściu posiłków szybko się skurczy.

– Jeszcze z nią chwilę porozmawiam – powiedział do Rydén. – Jak skończę, może pan powiadomić prokuratora. Anneli Eriksson powinna zostać aresztowana. Wprawdzie nie wiem dokładnie, w jaki sposób jest z tą sprawą powiązana, ale na pewno jest jednym ze sprawców.

Wszedł do salki, w której siedziała kobieta; wciąż udawała kompletnie zdezorientowaną.

– Anneli?

Patrzyła to na stół, to na podłogę

– Anneli. Proszę na mnie spojrzeć. Chciałbym, aby opowiedziała mi pani wszystko, co pani wie. Jeśli pani tego nie robi, to sprawa może przybrać dla pani bardzo zły obrót.

– Co mam panu opowiedzieć?

– Wszystko, co pani wie. O tych mężczyznach z samochodu. To są ludzie, którzy obrabowali bank. Chcę wiedzieć, jak się nazywają i czy może pani nawiązać z nimi kontakt. Jaką broń mają przy sobie. To ważne. Jeśli chce ich pani jeszcze kiedykolwiek zobaczyć.

Po raz pierwszy odpowiedziała na jego spojrzenie.

– Anneli... jaką oni mają broń?

Nie długo, lecz wystarczająco długo. Wiedziała, o czym mówi. Wiedziała, do czego są zdolni ci ludzie, którzy błędzili po lesie. I bała się.

– Rozumie pani, Anneli? Te informacje są nam niezbędne. Aby wyszli z tego żywi.

– Włóż buty.

– Leo, do cholery...

– Zamknij się, tato! Mamy nad nimi przewagę czasową i musimy ją utrzymać! Jasper, weź cały zapas wody i jedzenia, jaki tylko znajdziesz!

– Leo, synu, posłuchaj, oddział specjalny, musisz...

– Nie, teraz ty mnie słuchaj! Nikt nigdy nie podejdzie do mnie zbyt blisko. Nikt!

Wiatr i śnieżycy zelały. Nad drzewami słabo świeciły gwiazdy. To będzie cicha noc, przez co ich ślady łatwiej będzie można śledzić. Ale oni sami też będą mogli się łatwiej posuwać naprzód.

Leo włożył buty, kamizelkę kuloodporną i kurtkę. Kiedy sięgał po broń, coś zauważył. Niewyraźnie, raczej jakiś przeblask, może tylko podświadomie.

Gdy zaczynał, uważał, że ciemność może mu pomóc. Teraz inni czyhali w ciemności i go obserwowali.

Wydawało mu się, że z lewej strony obok okna w kuchni ożył jakiś cień i jakby przesuwiał się w kierunku drzewa. Potem z prawej, cień z zaczerwioną twarzą, który również przemykał od drzewa do drzewa. Gdy w końcu Leo położył się na podłodze i podpełzł do okna, zobaczył pełno takich cieni z bronią podobną do ich broni. Wszyscy poruszali się dużym łukiem wokół domu.

– Oni tu są!

Odwrócił się do Ivana siedzącego w fotelu w pokoju. Jasper przeszukiwał szafki kuchenne, chcąc znaleźć jedzenie, które zamierzał zapakować do swojej skrzynki z bronią.

– Oni już tu są!

Ivan tkwił dalej w fotelu jak sparaliżowany, podczas gdy Jasper podbiegł do okna i zobaczył to samo co Leo. W następnej chwili przyniósł do kuchni kurtkę, wyjął z kieszeni jeden granat, potem drugi i trzeci. Położył je na stole obok torby z magazynkami.

– Nasza banda, wszystko, co stworzyliśmy... to nie może się tak skończyć. Nie możemy na to pozwolić.

– Jasper, słuchaj, czy kompletnie zwariowałeś? Granaty?

– Leo, jutro, na stronach tytułowych wszystkich gazet pokazaliby nas bez masek. A my w gazetach możemy być tylko zamaskowani. Żeby nikt nie mógł powiedzieć: „Aha, to oni tak wyglądają! To ci, co napadali na banki i podłożyli bombę na dworcu”. Powiedz mi tylko, Leo, co mam robić, a zrobię wszystko, co chcesz. Wiesz przecież, wszystko! Nie możemy umrzeć jak jacyś nieudacznicy albo wyładować w jakiejś cholerniej celi jakiegoś gównianego więźnia! Wtedy Gangu Wojskowego już nie będzie!

Ułożył granaty i wyjął z torby magazynki. Poukładał je rzędem obok granatów. A potem odbezpieczył broń i wycelował w noc, gotów strzelać do cieni.

– Uspokój się, do cholery!

Ivan nie mógł już wytrzymać w fotelu. Wstał i podszedł do tego arsenału.

– Jeśli chcesz umrzeć, to tej nocy ci się to uda, mogę ci to zagwarantować. Ale nie jesteś tu sam, ty cholerny kretynie! I dlatego przestań już wymachiwać tym karabinem!

– Mam na imię Jasper! Wygłaszaj dalej te swoje przemowy, potrafisz to bardzo dobrze. Zawsze tak było. Umiesz nawet dać ludziom w mordę, ale dopilnować swoich rzeczy to nie potrafisz. To przecież twoja wina, że siedzimy teraz tutaj!

Usiadł przy leżących na stole granatach i czuł się tak samo samotny jak wtedy, gdy zdecydował się zabrać je ze schowka na broń. Już wtedy wiedział, że oni dwoje się nie nadają – Anneli, której w ogóle nie ufał, i ten stary tetryk.

– Przegrupowują się! Nie kapujesz? Robią dokładnie to, co nam udawało się przez cały rok, i to bez twojej pomocy! Przegrupowują się, żeby zaatakować. Nieważne, czy będę wymachiwał bronią, czy nie, i tak ktoś ma mnie już na muszce! Czuję to. C z u j ę t o!

Leo podczołgał się po podłodze do stołu i usiadł między nimi.

– Leo, dlaczego pozwalasz temu pożałuj Boże żołnierzycy mówić, co mamy robić?

W głosie ojca znowu ta nuta błagania. Leo nie odpowiedział. Obrócił się do piecyka i ogrzał sobie twarz. Torba z pieniędzmi stała na podłodze. Otworzył ją i wyjął dwa pliki banknotów.

– W trzydziestu procentach składają się z bawełny, z materiału. Wiedziałeś o tym, tato?

Setki i pięćsetki.

– Przez to papier jest trochę mocniejszy. Nie drze się tak łatwo. Jak to odkryłem? Bo kiedyś prałem całe mnóstwo banknotów. W acetonie i wodzie. Bo były zafarbowane. A potem je suszyłem.

Otworzył drzwiczki piecyka.

– W wirówce cały ten cholerny materiał się skurczył. Banknoty zrobiły się tak małe, że nie można ich było użyć nawet w automatach na stacjach benzynowych. Bo po prostu nie wiedziałem, że są z bawełny. Zmarnowałem tysiące koron, aż w końcu przyszło mi do głowy, że trzeba je po prostu rozwiesić na sznurze jak bieliznę do suszenia.

Otworzył drzwiczki piecyka. Buchnął z nich żar. Leo włożył pierwszy plik do środka. Setki.

– Co ty, kurwa, robisz?

Jasper krzyknął, ale nie był zły, tylko zdziwiony.

– Mamy zrezygnować? Leo... oszalałeś! Nie pozwolimy, żeby nas capnęli!

– To połóż się na podłodze. Sam powiedziałeś, że mają cię na muszce.

Wrzucił drugi plik do piecyka, pięćsetki, które też zaraz zajęły się płomieniem.

– Dobrze, że spalisz każdą koronę.

Ivan siedział obok syna na podłodze i patrzył w ogień.

– Czasami trzeba się po prostu pogodzić ze swoją sytuacją, synu.

– Pogodzić się? Nie zamierzam oddać im tych pieprzonych pieniędzy.

Leo zanurzył głębooko w torbie obydwie ręce. Sześć plików. Same pięćsetki.

– Nie dostaną ani pieniędzy, ani mnie.

Ogień pochłaniał jeden plik za drugim. Leo włożył kolejną paczkę w mały otwór piecyka.

– Mnie nie dostaną. Rozumiesz, tato? M n i e nie. Dlatego albo weźmiesz teraz do ręki broń, która stoi pod ścianą, albo podpełzniesz do drzwi i wyjdiesz na dwór. Oni już się tobą zajmą, przecież chyba wiesz, prawda? Zrobią to jak zawsze. Od tej chwili, tato, każdy robi, co chce.

Żar bijący od setek tysięcy koron nie różnił się od tego, który dawały polana, tyle że płomienie gasły szybciej.

Nagle zapanowała zupełna cisza. Ivan siedział przy narożnym stole w pokoju osłonięty dwiema ścianami, a jego ręce drżały, kiedy skręcał sobie z resztek tytoniu ostatniego papierosa. Leo wrzucał do pieca jeszcze więcej pieniędzy, które szybko zamieniały się w popiół. Jasper czołgał się po domu i wyglądał ze wszystkich okien. Śledząc ruchy cieni, przełączył broń na ogień automatyczny.

Od tej chwili każdy podejmował decyzje za siebie.

John Broncks widział już taki wyraz oczu.

Ty. Albo ja.

Lecz te oczy należały do jednego z jego własnych ludzi i były otoczone czarną maską zasłaniającą twarz.

Jednostka antyterrorystyczna. Szesnaście członków elitarnego oddziału odkomenderowanych tutaj i uzbrojonych w broń automatyczną i karabinki snajperskie. Zajęli pozycje za grubymi pniami drzew.

Teren poszukiwań skurczył się nareszcie do minimum.

Na prośbę Broncksa bazę w Solna opuściły cztery ciężkie pojazdy i pięćdziesiąt siedem minut później toczyły się po szosie na północny zachód od Heby. W tym czasie patrol z psami podążał powoli od porzuconego samochodu w stronę lasu. Ślady doprowadziły ich wprost do drzwi domu letniskowego. Sześć stóp, trzech mężczyzn. Broncks już wiedział, że ślady to należą do ojca, syna i jego przyjaciela z dzieciństwa, że cała trójka jest uzbrojona w karabiny szturmowe AK 4 i że ma mnóstwo amunicji. Kobieta udająca pomieszaną zdradziła nawet liczbę magazynków, które każdy z nich miał w uszytej przez nią kamizelce.

– Jak długo to może jeszcze potrwać? – zapytał Broncks oficera dowodzącego.

– Nam się nie spieszy.

– Kolega z psem szacuje, że są tam od mniej więcej trzydziestu minut.

– Poczekamy na odpowiedni moment.

Śnieg przestał padać i zrobiło się cieplej. Aura przypominała idylliczną kartkę świąteczną. Wszystko wydawało się takie spokojne. Rozświetlony drewniany dom, miękki jak wata śnieg na dachu i na drzewach owocowych. Z komina unosił się dym.

Lecz nie była to kartka świąteczna.

Uzbrojeni mężczyźni, którzy bez wahania strzelali do policjanta, zapalili światło w pomieszczeniu, które prawdopodobnie było kuchnią. Podczas swoich dziesięciu napadów rabunkowych oddali więcej strzałów niż jakakolwiek inna szwedzka banda.

Policjanci z oddziału specjalnego próbowali już nawiązać z nimi kontakt. Ponownie wybrali numer telefonu stacjonarnego. Jego dzwonek docierał przez szczeliny i okna na zewnątrz. Chcieli przekonać ludzi w środku, aby się poddali. Telefon dzwonił wielokrotnie, lecz nikt nie podnosił słuchawki.

A jednak otrzymali odpowiedź. Zgasło światło.

Nie poddadzą się.

Trzy i pół miliona zajmuje mniej miejsca, niż się wydaje. Nie wypełniają nawet w całości torby sportowej. A jeśli banknoty są wrzucane całymi plikami w trzaskające płomienie, kurczą się natychmiast i zamieniają w maleńkie kupki popiołu.

Ostatnie banknoty, dwudziestokoronówki, wyzionęły ducha w pograżonym w ciemności domku.

Nie było już nawet blasku z kuchni, żar w żeliwnym piecyku zgasł.

Ivan leżał na podłodze w pokoju.

– Leo?

Jego syn przeszedł obok jego głowy do okna. Tak blisko niego, że mógłby go schwycić za nogi. Stojąc przy ścianie tuż obok okna, Leo wychylił się nieco, wyjął oba haczyki z kółek w parapecie i pchnął ostrożnie jedno skrzydło, odsuwając trochę śnieg leżący na zewnętrznym parapecie.

Kilkucentymetrowa szczelina. Ich droga na wolność.

– Wiem, co zamierzasz.

Ivan ukląkł obok syna.

– Leo, nie rób tego.

Na dworze widać było tylko słabe światło pojedynczych gwiazd i księżycza w ostatniej kwadrze. W oknie odbijały się dwie pary ich oczu, jak kiedyś w pokrytym graffiti lustrze wjeżdżającej na siódme piętro windy. Zbiegł siedem pięter boso po schodach w przekonaniu, że go stracił.

– Nie rób tego.

Czworo oczu, które odbijały się w szybie okiennej. Leo widział je tak samo dokładnie. I w dwóch z nich odkrył zwątpienie.

– Oni użyją gazu łzawiącego, tato. Zawsze tak się zaczyna. Myślą, że mogą nas zaskoczyć. A w tym momencie my się im wymkniemy. Tędy. Przez to okno.

Ten mężczyzna był starszy i słabszy niż tamten, do którego Leo wtedy przyłgął, aby powstrzymać go od kolejnych ciosów. Ten jeden jedyny raz objął ojca i poczuł, ile siły tkwiło w jego ciele.

– To nasza szansa. To nasza szczelina czasu. To tak jak po pierwszych strzałach podczas napadu na bank, gdy tylko my wiemy, jaki będzie bieg wydarzeń, i dlatego możemy działać dalej. Może ci idioci wiedzą, że mamy automaty, ale na pewno nie wiedzą, że możemy poczęstować ich granatami. I tym ich zaatakujemy. Jeśli nie wykorzystamy szczeliny czasu, nigdy stąd nie wyjdziemy.

Leo widział w oczach ojca zwątpienie. Wątpi tylko ktoś, kto nie ma już w sobie sił.

– Gdy pojawi się gaz łzawiący, od razu rzucimy dwa granaty na zewnątrz. Tego się nie spodziewają. My obaj wyskoczymy jako pierwsi, a Jasper będzie ich powstrzymywał tak długo, jak tylko będzie trzeba. Będzie nas osłaniał, a potem my osłonimy jego, aż wyjdzie na dwór. Mamy mnóstwo amunicji. Dasz radę, tato.

Leo stał dalej pod ścianą.

– Przecież sam mnie uczyłeś: tańczysz i uderzasz. Taniec wokół niedźwiedzia. On jest większy, ale możemy wygrać, jeśli będziemy wciąż tańczyć dookoła niego, a potem w odpowiedniej chwili zadamy mu cios. Pamiętajasz?

Ivan wstał. Chciał chwycić syna za ramiona, mocno nim potrząsnąć i krzyknąć, żeby go posłuchał.

– Jeśli będziemy dookoła nich dreptać, możemy wygrać. Jeśli uderzymy w momencie, gdy będą myśleli, że mają przewagę. Naciągnij na głowę kominiarkę, tato, i przygotuj się!

– Wygrać?

Ivan nie dotykał go, to mógłoby skończyć się katastrofą. I nie krzyczał. Lecz nareszcie był w stanie mówić.

– To dlaczego spaliłeś pieniądze, jeśli uważasz, że możesz się im wymknąć? Jeżeli użyjemy broni, to wszystko skończy się fatalnie. Wszystko będzie czarne, zgniłe i wszędzie będzie tylko śmierć. I nie mówię tu o odmrożeniach.

Tak długo, jak Leo go słuchał, nie mógł się przygotowywać do akcji. A jeśli się nie przygotowuje, nie będzie mógł wyskoczyć do tych ludzi na zewnątrz, którzy ich otoczyli i będą strzelać.

– Ten facet tam, który udaje żołnierza... Leo, jak ty w ogóle możesz słuchać tych jego bzdur o pierwszych stronach, maskach? Czy naprawdę chcesz, żeby Felix i Vincent zobaczyli cię jutro martwego na tych durnych stronach wszystkich gazet?

– Od kiedy to są dla ciebie tacy ważni? Naciągnij kominiarkę!

Leo miał już swoją na głowie. Czarny materiał skrywał mu twarz.

– Powiedziałem ci już, że nigdy więcej nie będę siedział naprzeciwko jakiegoś pieprzonego gliny! Nigdy! Naciągnij wreszcie tę cholerną kominiarkę, tato! Inaczej zostawię cię tu samego!

Jego syn był już myślami na zewnątrz. Już go nie słuchał.

A siły, ta resztką, która jeszcze mu została i przypominała tamtego mężczyznę z innych czasów, Ivana, ojca trzech synów, opuściły go całkowicie. Zrobił jedyną rzecz, jaka była jeszcze w jego mocy.

– Leo, ja wiem, że mnie wtedy nie zdradziłeś.

Kapuś.

– Zawsze to wiedziałem.

Kapuś.

– Mówię szczerze, Leo. Nie zdradziłeś mnie. Wiem, że tamten policjant mnie okłamał. Że nic mu nie powiedziałeś. Widziałem opatrunek na jego ręce.

Czarna maska przed jego twarzą. Odbezpieczona broń w dłoniach.

Ale jemu było to obojętne.

A jednak zadziało – Ivan doprowadził do tego, że Leo przerwał swoje przygotowania i zaczął go słuchać. A tak długo, jak go słuchał, pozostawał przy życiu.

– To dlaczego zawsze twierdziłeś, że było inaczej?

– Bo uważałem, że tak jest lepiej.

– Uważałeś... że tak jest lepiej?

– Tak.

– Do diabła... Najpierw wszystko niszczysz, potem się poddajesz i czekasz spokojnie na policję. A na samym końcu zwalasz całą winę na mnie!

Teraz ojciec podniósł wzrok.

– Zamieniłeś moje życie w piekło – mówił dalej Leo. – W piekło! K a p u ś. Nigdy się od tego nie uwolniłem. A ty uważałeś, że tak jest lepiej?

Cienie w ciemności za oknem przygotowywały się do ataku.

Jasper przeczołgał się po podłodze z granatem w ręce i wsunął palec w obręcz zawleczonej, podpełzając do drugiego okna.

– Leo, jeśli teraz nie uciekniemy, to po nas!

– Poczekaj! – syknął Leo.

Jasper odsunął firankę na bok i ostrożnie wyjrzał na zewnątrz.

– Widzę ich! Musimy się stąd wynosić!

– Zamknij się!

– Teraz, Leo! Zanim będzie za późno.

– Powiedziałem, zamknij się! Rozmawiam z ojcem, nie widzisz?!

Jego broń była już odbezpieczona.

– Tak było l e p i e j, tato? Lepiej?

Podniósł broń.

– Powinienem cię kropnąć, cholera jasna! Nie ich, tylko ciebie!

Leo zaczerpnął powietrza, przyłożył broń i poczuł ten wewnętrzny spokój. Żaden z nich nie drżał, ani on, ani jego ojciec.

Roztrzaskała się szyba w pierwszym oknie.

Wybrali kuchnię.

Biała chmura z syczącego i wirującego granatu z gazem łzawiącym rozchodziła się z ciepłej kuchni do pokoju. Wszyscy trzej pobiegli do sypialni. Następny granat rozbił okno w pierwszym pokoju i kiedy obydwie chmury się spotkały, zamieniły się w lawinę.

– Na ziemię!

Leo rzucił się na podłogę, Ivan padł obok niego, a Jasper stał wciąż w czarnej kominiarce na głowie.

– Jasper, do cholery, na ziemię!

Jasper nie usłyszał już tych słów, bo z białej chmury padły trzy strzały. Leo zauważył tylko, że krew Jaspera, która trysnęła na niego, w jaskrawym świetle była zaskakująco intensywnie czerwona.

W następnej chwili jego powieki zaczęły drgać, a z oczu popłynął potok łez.

– Rzucić broń!

Przytłumione głosy, dochodzące zza masek gazowych nad nimi, wrzeszczały przez chmurę gazu lżawiącego.

– Zostańcie na ziemi i nie sięgajcie po broń!

Leo oślepl. Nic nie widział. Język go palił, a pierś, która napięła się jak balon, omal mu nie pękła. Zwymiotował. Potem ktoś przygniół go do ziemi, wrzeszczał i krępował. Związano mu nogi, dostał kilka kopniaków w żebra. Ktoś trzymał go za rękę. Nie mógł oddychać, nie mógł myśleć, lecz ta duża dłoń ze zrogowiałym naskórkiem w znanych miejscach nie była mu obca.

Jego ojciec mówił bez przerwy, umyślnie go powstrzymywał i wyprowadzał z równowagi, żeby nie zdążył wyskoczyć na dwór.

I nagle stało się to, co nie powinno było się stać. Aresztowanie nigdy nie było dla niego alternatywą.

A teraz nie było już innej.

Wczesny ranek w wigilię. A może to wciąż noc? John Broncks stracił orientację.

Na dworze było ciemno, a miasto jeszcze spało. Siedział sam w swoim biurze i wpatrywał się w zaklepany karton. Ale nie czuł się tak, jak to sobie wcześniej wyobrażał. Mimo że trwające czternaście miesięcy śledztwo, pełne frustracji, gorączkowych pościgów, zniechęcenia, złości, a od czasu do czasu nawet nienawiści, nareszcie dobiegło końca. Wielki Brat siedział w celi w odległości zaledwie kilkuset metrów, w innej części budynku, a żołnierza odwieziono na oddział intensywnej terapii do Karolinska Sjukhuset. Po pierwszych przesłuchaniach w Heby szybko ustalono adres pobytu Małego Brata i Kierowcy i bez trudu ujęto ich w wynajmowanym mieszkaniu w centrum Göteborga. Dwie niewystępujące we wcześniejszych dochodzeniach osoby również siedziały – Stary w areszcie śledczym w Uppsali, a kobieta na oddziale kobiecym piętro niżej pod Wielkim Bratem.

Cała rodzina.

Trzej bracia, przyjaciel z dzieciństwa, przyjaciółka i ojciec.

Właściwie powinien świętować, śmiać się, cieszyć. Lecz radość nie nadchodziła. Czternaście miesięcy – i nic.

A może to był błąd, że do niej zadzwonił. Może to dlatego.

Ale uważał, że postąpił właściwie.

Kiedy wyszedł do samochodu zaparkowanego przed małym posterunkiem policji w Heby, wszystko było zasypane śniegiem. Cofnął się więc do budynku i wyjąwszy zza drzwi wejściowych łopate, uprzątnął śnieg z chodnika aż do ulicy, następnie zgarnął ręką białą czapę z dachu, okien i maski auta, a na koniec zdrapał z mozołem lód z przedniej szyby. Na drogach panował chaos, poruszał się więc bardzo powoli. Dojechał zaledwie do Enköping, gdy po raz pierwszy wybrał jej numer. Już dawno nie rozmawiali ze sobą przez telefon i w minionych miesiącach widzieli się tylko na oficjalnych spotkaniach lub na korytarzu. Po pierwszym sygnale od razu się rozłączył. Dziesięć albo może dwadzieścia minut później spróbował jeszcze raz, ale rozłączył się, gdy tylko odebrała. Dwadzieścia lub trzydzieści kilometrów dalej, w pobliżu Jakobsberg, odczekał cztery sygnały. Jej głos był ostry. On milczał.

– John? Przecież widzę, że to ty.

Trzymał komórkę przy lewym uchu.

– John, co to ma być?

Trzymał słuchawkę całą dłonią.

– John, słuchaj, to...

– Skończyło się.

– Skończyło się? – głos Sanny nagle nie brzmiał już tak ostro. – Przecież staram ci się to wyjaśnić już od dawna. Cieszę się i czuję ulgę, że też tak to widzisz, John. Ja...

– Nie, chciałem powiedzieć, że ta cała sprawa się skończyła.

– Co proszę?

– Złapałszy ich. Dzisiaj w nocy. W Heby. Gang Wojskowy. Trzej bracia i ich przyjaciel z dzieciństwa. Najmłodszy ma zaledwie osiemnaście lat. Nie był wcześniej karany. Ścigaliśmy grupę smarkaczy, którzy postawili na nogi całą Szwecję. Czternaście miesięcy, a teraz się skończyło, Sanna.

Nastąpiła chwila ciszy. Żadne z nich nie wiedziało, co mają powiedzieć. W telefonach słychać było odgłosy dwóch różnych rzeczywistości. Ona słyszała mężczyznę w jadącym samochodzie, a do niego docierał domowy gwar.

Głosy dzieci. Jedno z nich krzyczało, inne wołało mamę.

– John?

– Masz... Czy to dzieci?

– Obudziłeś nas.

– Masz dzieci?

– Czteroletnią córeczkę i prawie dwuletniego synka.

– Nigdy o tym nie wspomniałaś.

– Niby dlaczego miałabym wspominać?

Słychać je teraz było znacznie wyraźniej, jakby trzymała telefon zwrócony w stronę pokoju.

– John?

Życzyła sobie jasnego zakończenia sprawy. Ale on sobie tego nie wyobrażał.

– Jest Wigilia. Za kilka godzin muszę...

– Wesołych świąt.

– Wiesz co, John...

– Dobrze. Wesołych świąt.

Zbliżał się do miasta. Wybrał okrężną drogę, która prowadziła przez Solnę i obok cmentarza północnego oraz pokrytego śniegiem grobu.

Grobu człowieka, o którym teraz, gdy już go nie było, myślał częściej niż wtedy, gdy jeszcze żył.

Jechał przez miasto, które niedługo się obudzi i będzie żyć szczęściem rodzinnym i prezentami gwiazdkowymi. Dotarł na komendę, która wciąż była tak samo pusta jak kilka godzin temu, kiedy tu przyjechał.

Cała rodzina. I zakończenie.

Poszedł do swojego pokoju i odsunął segregatory. Wkrótce te akta opuszczą jego biuro i będą służyć prokuraturze jako materiał dowodowy. Cztery tysiące stron dotyczące dziewięciu napadów na bank, napadu na transport pieniędzy, kradzieży dwustu dwudziestu jeden sztuk broni automatycznej, szantażu policji i zamachu bombowego na dworcu głównym w Sztokholmie. John Broncks chciałby się teraz poświęcić innemu śledztwu. Jego akta już od dawna czekały w zaklejonym kartonie, który stał nierozpakowany w jego pokoju tyle czasu, że zamienił się w krzesło dla gości.

Przeciął taśmę, którą kilkakrotnie oklejony był karton. Następnie przeszedł pustym korytarzem do kuchenki, gdzie czekała na niego resztką grzanego wina i ostatnie pierniczki.

Potem wrócił do biura.

Niespokojnie okrążył otwarte pudło.

Cała rodzina. I zakończenie.

Miał przed oczami Sama, który opuszczając salę widzeń w asyście dwóch strażników po bokach, odwrócił się i szepnął: „Nie chcę cię więcej widzieć”.

John Broncks przemógł się wreszcie i zbliżył do kartonu. Ogromny stos papierów ukrywał się pod pustymi segregatorami i starymi kalendarzami. Inne śledztwo, którego wynikiem był proces i dożywotni wyrok wydany osiemnaście lat temu.

Zadzwoił już do Sanny. Miała dwoje dzieci. Nawet nie wiedział, gdzie teraz mieszka. A do Sama też nie mógł zadzwonić, w końcu w tej sprawie chodziło o niego.

Spojrzał na okładkę. „Region policyjny: Sztokholm. Przestępstwo: morderstwo”.

Przez wszystkie te lata nigdy nie zajrzał do tych papierów.

Pierwsze strony były podobne do pozostałych dokumentów śledczych, które miał w rękach w czasie swego życia zawodowego. Sprawozdanie wstępne. Dane dotyczące osób podejrzanych. Protokół rozmowy telefonicznej przerażonej i znajdującej się w szoku kobiety z centralą alarmową o godz. 2:32.

Lecz po dwudziestu pięciu stronach podobieństwa się skończyły. Przypadek nabrał nagle zupełnie innego charakteru. Po przesłuchaniu szesnastoletniego Johna Broncksa.

W ogóle nie pamiętał, żeby wtedy z kimkolwiek rozmawiał.

PROWADZĄCY PRZESŁUCHANIE: Wiedziałaś o tym? Wiedziałaś, co zamierza twój brat?

JOHN BRONCKS: A co zamierzał?

PP: Czy powiedział ci, że chce zabić waszego ojca?

To było jednak dziwne. Przypomniał sobie wszystko dopiero, kiedy czytał własne odpowiedzi. On sam mógłby być policjantem prowadzącym przesłuchanie. Może przy prowadzonych przez siebie śledztwach zachowywał się podobnie. I jutro też zachowałby się podobnie, gdyby zaczęły się przesłuchania ojca i jego trzech synów.

PP: A nóż, John?

Zanim jeszcze przeczytał następne pytanie, dobrze wiedział, jak będzie brzmiało. Zadaniem śledczego było znalezienie prawdy i ustalenie kolejności wydarzeń.

PP: Przecież wiesz, że znaleźliśmy go pod twoim łóżkiem?

Znał pytania, lecz nie wiedział, jak będą brzmieć odpowiedzi. „Normalnie udaje, że traci przytomność”. Każdy miał gotową odpowiedź. „Ale chyba pan rozumie, że na to zasłużył”. Usprawiedliwienie użycia przemocy. „Gdybym chciał ją zabić... tobym to zrobił”. Znał pytania, ale nie znał odpowiedzi, ani wtedy, ani teraz.

PP: Ciekaw jestem, John, czy ty też miałeś w ręce ten nóż?

Przeczyta to później. Przesłuchanie jego matki. Przesłuchanie Sama. Raport policjantów zabezpieczających ślady, ze zdjęciami łóżka i pokrwawionego prześcieradła oraz noża z ostrymi zębami, jakiego używa się do czyszczenia ryb. A potem ekspertyza z sekcji zwłok mężczyzny z trzema ranami w okolicy serca. Wcześniej jednak musiał złożyć komuś wizytę.

Nie miał daleko. Nie musiał nawet wychodzić z budynku. W zachodniej części kompleksu swoje siedziby miały policja bezpieczeństwa, Główna Komenda Policji, Sekcja Technik Specjalnych i Podśluchu oraz areszt śledczy Kronoberg. Nie był tutaj od wiosny, kiedy poprosił o pomoc przy analizie dwóch nocnych rozmów telefonicznych. Im więcej mówiono o współpracy różnych wydziałów, tym rzadziej do niej dochodziło.

Tym razem Broncks wjechał windą na ósme piętro i zapukał do drzwi dyżurnego strażnika więziennego. Był środek nocy. Przyszedł bez uprzedzenia. Mimo to młody strażnik po drugiej stronie szyby poprosił inspektora Broncksa przyjaznym tonem, aby zechciał usiąść i chwilę poczekać, za kilka minut będzie mógł się zobaczyć z podejrzanym, który został przywieziony kilka godzin temu i znajduje się w celi w zachodnim korytarzu.

Broncks usiadł i czekał.

Miał przed sobą wizytę w celi więziennej, za sobą śledztwo sprzed osiemnastu lat.

Od jednej rodziny do drugiej.

Rodzina?

Co to jest?

Już nie wiedział.

Może niektóre rodziny były tak silne i solidarne, że stawały się załączkiem nagiej i brutalnej przemocy. A potem przemoc kierowała się do wewnątrz, przeciwko własnym członkom rodziny, przeciwko tym, których ta więź powinna była chronić.

– Panie Broncks?

Nie miał nikogo do rozmowy. Nikogo, z kim mógłby podzielić się swoimi myślami, zanim będzie za późno. Czasami wszystko kończyło się na cmentarzu, czasami tutaj.

– Panie Broncks? Proszę pana?

– Tak?

– Może pan wejść.

Poszedł długim korytarzem za strażnikiem więziennym.

Zatrzymali się przed celą numer 7.

– Jest pan pewien, że chce pan z nim mówić w cztery oczy?

– Tak.

– Mogę panu dać alarm. To małe urządzenie i zmieści się w kieszeni spodni. Dla pewności.

– Dziękuję, to nie będzie potrzebne. Nie zabawię długo.

Klucz strażnika obrócił się ze zgrzytem w zamku. Otworzyły się ciężkie metalowe drzwi.

Wysoki, atletycznie zbudowany mężczyzna o jasnych włosach, wyglądający na o wiele młodszego, niż Broncks się spodziewał, siedział na pryczy i wpatrywał się w ścianę.

– Dzień dobry.

Duszne powietrze. Jak w każdej celi.

– Nazywam się John Broncks. Prowadziłem przeciwko panu dochodzenie.

Blondyn wpatrywał się nadal w betonową ścianę.

– I do czego pan doszedł?

– Sporo napadów na banki, kradzież pokażnej liczby broni i zamach bombowy.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– Myślę jednak, że tak... Anno-Karin. Lecz o tym możemy podyskutować jutro.

– Jutro nie będzie żadnej dyskusji.

– Rozmawiał pan już ze mną kilka razy. Ludzie tacy jak pan czasami mówią. Wiem to. Aby pomóc w ten sposób swoim młodszym braciom.

Więzień miał na sobie biały sweter i brązowe spodnie z nadrukiem administracji więzienia. Ubranie, które nosiło już wielu przed nim.

Obrócił się. Niebieskie oczy. Wąskie usta.

To on.

- Nie zdradzę nikogo. My nie zdradzamy nikogo. To nie w naszym stylu.
Potem się odwrócił i znowu utkwiał wzrok w ścianie.
- Niech pan sobie idzie. Nie chcę i nie muszę z panem rozmawiać.
John Broncks postął jeszcze chwilę w dusznej celi. Wdychał więzienny kurz.
- Nie przyszedłem tu, żeby rozmawiać.
Otworzył drzwi i zatrzymał się w progu, czekając na strażnika z dużym pękiem kluczy.
- Chciałem tylko wiedzieć, jak wygląda pan bez maski, Wielki Bracie.

Czas.

Zawsze dokładnie wiedział, ile mu go jeszcze zostało.

Nie miał już zegarka z czerwonymi wskazówkami i jasnobrązowym paskiem. Nosił go tata. Lecz on już go nie potrzebował, właściwie nigdy go nie potrzebował, bo zegar tykał zawsze w jego wnętrzu i mierzył czas, który mu jeszcze pozostał.

Tik. Znowu mniej z życia. Tik. Znowu mniej z życia. Tik. Znowu mniej z życia.

Solidne kraty w oknie celi. Od tej chwili nie mógł i nie miał prawa robić tego, co zawsze robił – myśleć w kategoriach czasu. Był zamknięty. A tutaj człowiek, który dokładnie wiedział, ile upłynęło sekund, ile oddechów, nie mógłby w ogóle oddychać.

Wystarczy, że nie przestanie liczyć dni i pór roku, a nikt nie będzie w stanie mu nic zrobić.

Już raz tego spróbował. I działało. Jeśli nie będzie brał w niczym udziału, jeśli odmówi uczestniczenia w życiu innych, to te zamknięte drzwi będą drzwiami, przez które można będzie po prostu przejść na wskroś.

Także wtedy umundurowani stali przed drzwiami. W domu. W mieszkaniu. Tata rzucił butelkę z benzyną, palilo się w innym domu, a mama i policjanci czekali pod drzwiami, które zamknął od wewnątrz.

Felix na łóżku obok niego, Vincenta trzymał na rękach.

„Przejdziemy przez nich na wskroś”.

Tutaj też przejdzie po prostu na wskroś. Przez te drzwi. Przez policję. Przez przesłuchania. Był wprawdzie zamknięty, lecz sam decydował, czy będzie mówił.

Każdy siedział za zamkniętymi drzwiami. Osobno. Lecz będą znowu razem. Przecież zawsze tak było.

Jeśli tylko nie będą się zastanawiać i nie będą liczyć czasu.

Jeśli teraz było wtedy, a wtedy jest teraz.

Podziękowania od autorów

Oto osoby, którym należy się nasza ogromna wdzięczność:

Trzej bracia, którzy nie awanturowali się szczególnie o to, że znacznie nagieśliśmy rzeczywistość i zbudowaliśmy z niej fikcję.

Petra Gabbe i Fia Roslund – za to, że byliście z nami od początku do samego końca pracy nad książką.

Niclas Breimar – za niezwykle mądre wskazówki.

Eric Thunfors – za okładkę, która wyjątkowo nam się podoba, oraz Astrid Sivender i Anna Silberstein – za harówkę nad korektą.

Mattias Boström, Cherie Fusser, Anna Hirvi Sigurdsson, Lasse Jexell, Madeleine Lawass, Christina Kivi, Anders Olofsson, Anna Karin Sigling, Ann-Marie Skarp i Lotis Wahlöö z Piratförlaget – za ciepłą i kompetentną opiekę nad nami i naszym tekstem.

Federico Ambrosini, Julia Angelin, Jessica Bager, Josefine Johansson Cavalera, Ylva Ericson Dufva, Malin Gyllenhammar Broman, Marie Gyllenhammar, Tor Jonasson, Karolina Larsson, Karin Lindgren i August Modin z Salomonsson Agency za obecność i fachowość tu, w kraju, i nie tylko.

Szczególne podziękowania kierujemy do Sofii Brattselius Thunfors, naszej wydawczynie, oraz do Niclasa Salomonssona, naszego agenta literackiego.
